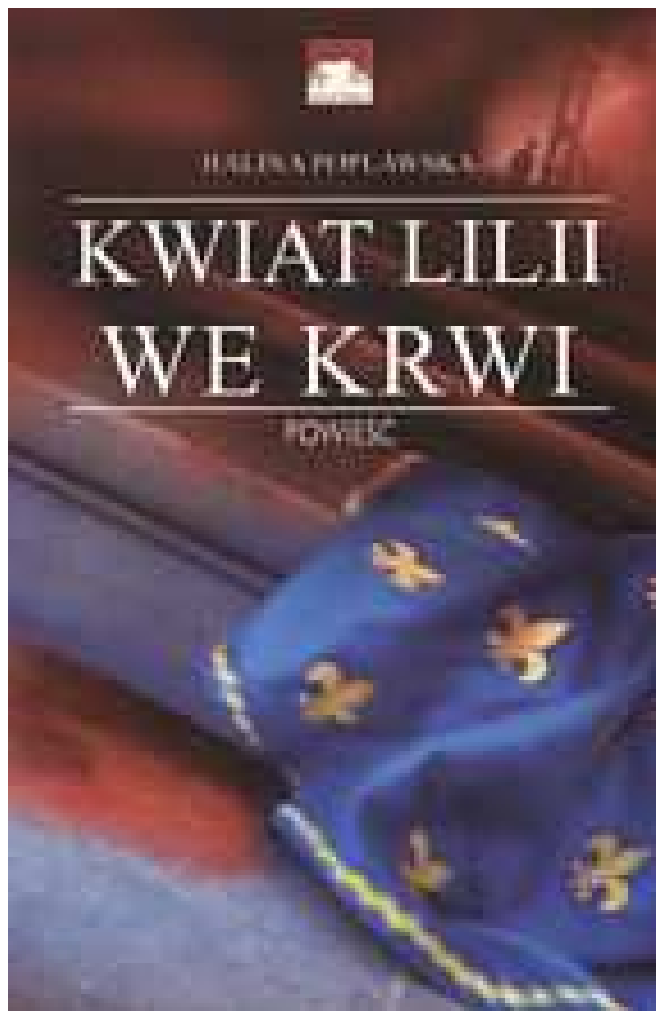


Halina Popławska



Kwiat lili w krwi

Tryptyk rewolucyjny

*tym moim, którzy straszną
śmiercią zginęli*

I

Nigdy nie zapomnę tej nocy, gdy go przywieziono. Nigdy. Choćbym miał żyć i sto lat. Tej parnej letniej nocy nie dającej ani odrobiny ochłody po upalnym dniu.

Bezgłośnie błyskawice przekreślały czarne niebo osłepiającym zygzakiem. Cisza dzwoniła w uszach. Milczały świerszcze i cykady. Jak gdyby w oczekiwaniu. Na co?

Nie mogłem spać. Często mi się to teraz zdarza. I zawsze boli mnie wówczas ręka. Cała. Od dłoni po ramię. A przecież jej nie ma. Uciał mi ją doktor Decaux nazajutrz po bitwie pod Valmy, dwudziestego pierwszego września tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Wracając pamięcią do tej strasznej chwili przeżywam wszystko od początku, tak jak to było, a minęły już trzy lata od owych wydarzeń.

Znowu widzę doktora Decaux, w zakrwawionym fartuchu, gdy stoi nade mną z jakimś nożem czy tasakiem w ręku, a sierżant Remy i dwaj żołnierze trzymają mnie za nogi i za ramiona.

Walczyłem z nimi równie dziko i zaciekle jak z Prusakami, nie chciałem, aby mnie okaleczono, miałem zaledwie osiemnaście lat. Rzucałem się, krzychałem, ale oni byli silniejsi.

- Zuch z ciebie - powiedział doktor Decaux, gdy obandażowany i napojony winem "na wzmocnienie" leżałem pod łopoczącym nad głową płótnem szpitalnego namiotu.

Najgorzej było, gdy mnie z pustym rękawem zobaczyli rodzice. Ja to już miałem czas przywyknąć, bo nie od razu wróciłem do domu. Ale oni...

Ojciec zbladł i milczał. Chyba tak będzie wyglądał przy skonaniu. I nic nie mówił, nie robił wyrzutów, choć był przeciwny, nie chciał, abym szedł do wojska. Ale ojczyzna była w niebezpieczeństwie. Zgromadzenie Narodowe wezwało Francuzów pod broń. Wszystkich, od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Jakże mogłem zostać?

- To bandyci - powiedział wówczas ojciec. - Niech zginą!

- To patrioci - zaprotestowałem.

- Jesteś głupi - ojciec odwrócił się do mnie plecami. - Gdybyś miał choć odrobinę rozumu, nie dałbyś się omotać. Ale ty...

- Jestem rewolucjonistą - odparłem z dumą. - Precz z arystokracją. Ludzie rodzą się wolni i są równi wobec prawa.

- Milcz - rozgniewał się ojciec. - W moim domu nie chcę słyszeć podobnych bredni.

Nic więcej nie mówiłem, ale zaciągnąłem się mimo ojcowskiego zakazu. I byłem pod Valmy, walczyłem pod rozkazami samego Kellermanna, biłem Prusaków, Austriaków, emigrantów. I jestem z tego dumny.

Emigranci! Podli zdrajcy spiskują z wrogami ojczyzny. - Tak wówczas myślałem.

Właściwie po co to wspominam? Sam nie wiem. Nie potrafię jednak uwolnić się od tych majaczeń, szczególnie w nocy, gdy nie mogę spać i obłany potem leżę w dolnej izbie północnej wieży. Mimo grubości murów oddzielających mnie od parnej duchoty powietrza, nie odczuwam żadnej ulgi i podobnie jak chory w gorączce, zaludniam ciemne wnętrza widziadłami z przeszłości.

Wówczas to usłyszałem dalekie rżenie. Tak odzywa się koń, gdy czuje bliski już cel podróży. Potem doleciało mnie postukiwanie kopyt na kamienistej drodze i skrzypienie kół. Czułem nieledwie wysiłek, z jakim zmordowane zwierzęta wciągały na strome wzgórze ciężki widać wehikuł.

Mimo obudzonej ciekawości nie chciało mi się wstać. Byli to przypuszczalnie wysłannicy Komitetu Ocalenia Publicznego lub członkowie Konwentu, delegowani z Paryża dla przeprowadzenia kontroli nastrojów w tej odległej części Francji.

Ci przepasani trójkolorową szarfą dygnitarze z piórami na kapeluszu i parą pistoletów u boku trzęśli się w niewygodnej bryczce na drogach całego kraju, wlokąc za sobą długi cień gilotyny.

Znosili wszystkie te prywacje po to, by utrzymać, a w razie potrzeby ożywić właściwego, to znaczy rewolucyjnego ducha w narodzie.

Pojazd był coraz bliżej. Słyszałem wyraźnie parskanie i sapanie zmęczonych wspinaczką koni. A potem zaskrzypiała otwierana na oścież brama. Nie była to jednak bryczka prawdziwych

patriotów, lecz sądząc po odgłosach raczej podróżna karetka.

Pojazd wtoczył się na dziedziniec, stuknęły drzwiczki, a ściszony głos ojca powiedział wyraźnie:

- Tędy, Wasza Wielbność.

Błysk pochodni rozświetlił na chwilę wąską szparę strzelnicy i czerwonym promieniem oświetlił gotyckie sklepienie mojego mieszkania.

- Dziecko śpi, zaraz je wyniosę. - Nieznajomy głos był niski i lekko schrypły.

- Pomogę Waszej Wielbności. - To mówił znowu mój ojciec.

Następnie odemknięto drzwi dolnej sali, a zawsze młody głos matki zadrżał czule i współczująco:

- Zmęczone biedactwo, śpi, aniołek...

Słyszałem jeszcze, jak stary Jakub odprowadzał konie do stajni, a zamczysta brama znowu zaskrzypiała, ryglowana jak każdego wieczoru.

O zaśnięciu nie miałem co i marzyć. Było mi gorąco i niewygodnie. Ręka rwała jak wówczas po amputacji. Czułem się zbyt słaby, żeby wstać, wytrzymałem jedynie słuch, ale cisza była zupełna.

Przywieziono jakieś dziecko, to pewne. Ojciec był uprzedzony o przybyciu gości, matka też. Tylko ja nic nie wiedziałem, bo nawet stary Jakub dopuszczony został do tajemnicy. Tylko ja...

"Wasza Wielbność"...

Czyż byłby to jakiś klecha, jak wówczas mówiono, jeden z tych co to w dziewięćdziesiątym roku odmówili złożenia przysięgi na wierność narodowi i Cywilnej Konstytucji duchowieństwa? Czyżby ojciec ośmielił się...? Czy narażałby głowę, by ukrywać wrogów Rewolucji?

I nie ufał mi... Obawiał się mnie. Mnie, swojego jedyne syna.

Poczułem ból, straszny ból, gdzieś tam głęboko, jak gdyby na samym dnie mojego jestestwa, taki ból, że usiadłem na posłaniu opierając się jedyną ręką o zimny kamień muru.

Tak, to musiał być jakiś ksiądz i dziecko, przypuszczalnie syn byłego arystokraty. Ksiądz uwoził dziecko z Paryża. Ale dlaczego teraz? Przecież po upadku Robespierre'a skończyło się panowanie terroru. Ojciec nawet nie wie, co to było, co się tam wówczas działo. A ja widziałem. Na własne oczy. O, jak dobrze widziałem! Są rzeczy tak straszliwe, że nic nie zatrze ich w ludzkiej pamięci. Nic. Ale ojciec... Jak mógł? Więc posądza mnie o najgorsze? O zdradę? Ma mnie za Judasza? Czyż aż tak nisko upadłem w jego oczach, że myśli, iż byłbym zdolny wydać? Mojego ojca?

Siedziałem wiele godzin obolały i drętwy, z coraz większym żalem w sercu, aż świt zajrzał w szczeliny strzelnic i cisnął do wnętrza wieży blaskiem wschodzącego słońca.

Zastygłem w tym bezruchu rozpaczony, nieczuły na nic innego jak na krzywdę, jaka mnie spotkała. Wielką krzywdę, większą chyba od tej, którą mi wyrządził pruski pocisk. O tak, o wiele większą.

A potem przypomniałem sobie, co niegdyś mówiłem. Wówczas, gdy wbrew woli ojca wyruszałem na wojnę.

W owym czasie Rewolucja jawiła mi się jako rodzaj drabiny, po której mógłbym łatwo wspiąć się, by dosięgnąć panny Gabrieli.

Naturalnie byłem głupi. Teraz widzę to wyraźnie. Przede wszystkim ode mnie do panny Gabrieli jest tak daleko, że chyba tylko sięgająca nieba drabina Jakubowa byłaby zdolna wynieść mnie na te wyżyny. A Rewolucja...

Dopóki jej nie znałem, Rewolucja w moich zachwyconych oczach była piękna i uśmiechnięta, czysta, bo obmyta łzami radości. Sprawiedliwa i miłosierna, łaskawa dla maluczkich, surowa w miarę potrzeby dla możnych.

"Ludzie rodzą się i pozostają wolni i mają równe prawa".

Tak głosił pierwszy punkt Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 26 sierpnia 1789 roku, poprzedzającej Konstytucję uchwaloną dwa lata później.

Nie ustawiono jeszcze w Paryżu na placu Królewskim, zwanym obecnie Placem Rewolucji, obmierzłego wynalazku doktora Guillotina, nie zaczął działać Komitet Ocalenia Publicznego ani Rewolucyjny Trybunał, gdzie kara śmierci była jedynym wyrokiem, jaki spadał na oskarżonego równie szybko i niezawodnie jak ostrze wprawiane w ruch ręką kata Sansona.

Wolność - Równość - Braterstwo.

Czy istnieją piękniejsze hasła prowadzące ludzkość ku szczęśliwości?

Chyba tylko miłość, moja miłość do panny Gabrieli. Beznadziejna i nieszczęśliwa, od początku skazana na niespełnienie i brak wzajemności, skryta i utajona jak grzech, lękająca się blasku słońca, ale bez tej miłości nie potrafiłbym już żyć.

Rewolucja więc w pewien sposób przybliżała mnie do przedmiotu mojego uwielbienia.

Wolność - myślałem. - Wolno mi kochać, kogo chcę. Ona i tak się nie dowie. To jest wyłącznie moja tajemnica, moja własność, tylko moja. I wolałbym utracić drugą rękę, byle się nie dowiedziała.

I Równość. Jestem człowiekiem równie wolnym jak ona, mającym te same prawa i tak samo przez prawo traktowanym. Dlaczego więc nie mógłbym...? Nie, nie, sama myśl wydaje mi się już bluźnierstwem.

A Braterstwo? Czyż nie wyszliśmy wszyscy z ręki Stwórcy? "Najwyższej Istoty!", jak życzył sobie Robespierre. Ojcostwo Boga czyni z nas braci. I to nas wzajemnie zobowiązuje. Czy ona też tak uważa?

Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem. Panna Gabriela nigdy nie zniżyłaby się Przecież do rozmowy ze mną na takie tematy. Najwyżej mogłaby powiedzieć: "Przynieś mi szal, Bertranku, zostawiłam w altanie... I książkę". I to wszystko. A potem, gdy spełniłbym jej polecenie, odeszłaby w stronę zamkowego tarasu, górującego z dawnych wałów nad okolicą. Tak już nieraz bywało.

Od czasu gdy hrabia de Saunhac przeniósł się do Wersalu, a było to jeszcze przed moim urodzeniem, widywałem pannę Gabrielę rzadko, przeważnie w porze letnich upałów. Wówczas to niezdrowe wyziewy z sadzawek królewskiego parku zmuszały wielu dworaków do szukania schronienia pod mniej lub bardziej przeciekającym dachem rodowej siedziby.

Panna Gabriela była delikatnego zdrowia i hrabia bał się dla córki owej ospy, która wówczas w Wersalu szpeciła wiele pięknych twarzy i twarzyczek.

Nie uniknął jej sam nawet król Ludwik XV. Naznaczony straszliwym piętnem, niczym katowskim Śelazem, ratunek znalazł dopiero w przedwczesnej śmierci.

Panna Gabriela...

Byłem zupełnie małym berbeciem, uczeponym matczynej spódnicy, gdy zobaczyłem ją pierwszy raz.

Miałem może cztery lata, a ona, starsza ode mnie, była już wyrosniętą ośmioletnią dziewczynką w długiej bombiastej sukience tak błękitnej jak jej oczy. Jasne włosy ciemniejące z biegiem lat przeświecały starym złotem wśród luźno puszczonej splotów, które przytrzymywała błękitna wstążka. Wydawała mi się równie piękna jak święta Radegunda w witrażu zamkowej kaplicy, równie nieosiągalna jak gwiazda, nierzeczywista jak zjawa z tamtego świata.

Wyczekiwałem upałów, bo wówczas poprzyjeżdżała, za każdym razem coraz piękniejsza. Mogłem jej się przyglądać z daleka lub z ukrycia, gdyż przepędzano mnie z tej części zamkowego dziedzińca czy ogrodu, gdzie zazwyczaj przebywała.

Byłem już duży, gdy mnie wreszcie dostrzegła. Wśliznąłem się za matką do olbrzymiej zamkowej sieni, chłodnej w największe skwary, a ona tamtędy przechodziła.

- Któż ten chłopczyk? - zwróciła się do mojej matki.

- Mój syn.

- Nigdy go nie widziałam - zauważyła.

- Nie powinien kręcić się po ogrodzie czy na pokojach. - Mimo tej uwagi wiedziałem, że matka jest ze mnie dumna.

- Jak ci na imię? - patrzyła mi prosto w oczy.

- Bertran - szepnąłem.

- Śliczne imię - uśmiechnęła się - i śliczny z ciebie chłopczyk. - Rączką tak miękką jak

atłasowe kotary wielkiego salonu pogłaskała mnie po policzku.

Wkrótce wyjechała.

Odtąd za każdym pobycem panny Gabrieli na zamku miałem szczęście oddać jej drobną przysługę, a zawsze spoglądała na mnie życzliwie i rzuciła jakieś miłe słówko.

Aż pewnej jesieni, w kuchni gdzie królowała moja matka, zaczęto mówić o jej zamążpójściu.

- Czas już, żeby panna Gabriela miała męża - oświadczyła stara Jakubowa łuskając fasolę.

- Do takiej panny to kawalerowie jak pszczoły do miodu. - Jakub starannie nabijał fajkę i uśmiechał się domyślnie.

- Hrabia zostawia córce wolną rękę - zauważyła pomocnica matki, Marietka. - Nie będzie jej przymuszał. Szczęśliwa! Wybierze kogo zechce - wzdychała, ciasniej obwiązując głowę chustką.

- Panna Gabriela nie wyjdzie za mąż! - mój krzyk odbił się od łukowego sklepienia kuchni i zamarł gdzieś aż pod okapem wielkiego komina.

Dygotałem z jakiejś wewnętrznej irytacji, a obecni wybuch mój przyjęli głośnym śmiechem.

- Dlaczegoż to nie wyjdzie? - Stara Jakubowa ocierała zażawione z wesołości oczy.

- Właśnie, dlaczego? - podchwyciła pytanie Marietka. - Z takim posagiem nawet i brzydula, kulawa czy garbata znalazłaby amatora. A cóż dopiero nasza panna Gabriela!

Wszyscy zaczęli mnie molestować, wypytywać, potrząsać mną, nawet milczący zazwyczaj Piotr, parobek używany do najcięższych robót w zamku, przyłączył się do moich dręczycieli.

- Powiedziała mi to święta Radegunda - wypaliłem wreszcie, chcąc się od nich odczepić.

Cios padł wiosną, tuż przed zwołaniem Stanów Generalnych.

- Nareszcie panna Gabriela zaręczona - oznajmiła z zadowoleniem stara Jakubowa. - Tylko to ktoś z daleka, nie z naszych stron.

Nie chciałem temu wierzyć, to przecież nie było możliwe, żeby panna Gabriela...

Niestety, matka potwierdziła gadanie Jakubowej.

- Narzeczony panny Gabrieli to jakiś markiz - dodała. - Poznali się w Wersalu. Panna Gabriela podobno bardzo szczęśliwa.

Panna Gabriela szczęśliwa... i zakochana.

Jak wygląda panna Gabriela zakochana? Jak patrzy na tego swojego markiza? I co mówi? I jak go nazywa?

Wydało mi się nagle, że nasz zamek chwieje się w posadach, że za chwilę runie i przywali mnie kupą gruzów, a ja, żywcem pogrzebany, nie zdołam wydobyć się spod rumowiska.

Zrozumiałem jak w jakimś olśnieniu, że życie moje jest skończone, zanim się jeszcze zaczęło. że nie czeka mnie już nic na tej ziemi, żadne szczęście, bo szczęście jest możliwe tylko w miłości.

Dotąd wystarczała mi świadomość, że serce panny Gabrieli jest wolne, "puste" i gdyby zdarzył się cud, mógłbym posiąść to niczyje serce, wypełnić je moją miłością, tylko moją.

A oto skończyło się wszystko. Zjawił się jakiś tam markiz i zajął to niczyje serce i nie pozostało już w nim ani odrobiny miejsca dla nikogo innego.

Miałem więc "rywala" i powoli rosła we mnie niechęć, a wkrótce i nienawiść do owego pudrowanego fircyka, który tylko dlatego, że był markizem...

Wreszcie zacząłem pragnąć jego śmierci. W owym czasie o śmierć nie było trudno, szczególnie dla kogoś, kto nosił tytuł markiza. Głowa tego "wroga ludu" powinna była co prędzej znaleźć się w koszu pod gilotyną.

Markiz...

Nie ma już na szczęście żadnych diuków czy markizów. Rewolucja zniosła tytuły i szlachectwo. Czyż ludzie nie rodzą się równi?

Wolność - Równość - Braterstwo.

Oto są prawdy, w które należy wierzyć, prawa, którymi należy się kierować. Jak to czyni Rewolucja. Nawet za pomocą gilotyny.

Gdyby tak matka zajrzała w moje myśli... Przeraziłby ją ten jedynek "we władzy szatana". Tak by z pewnością orzekła.

Rewolucja więc wraz z hasłem "śmierć tyranom" stała się swego rodzaju moją "drogą do

piekła".

Od początku, od zwołania do Wersalu Stanów Generalnych, śledziłem z zapamiętaniem bieg wydarzeń.

Trudno było o gazety, wiadomości przychodziły z kilkutygodniowym opóźnieniem, ale żyłem tym wszystkim, co działo się tam, daleko od naszego zamku. Szczególnie zachwyciła mnie paryska gazeta "Francuski patriota" wydawana przez niejakiego pana Brissot, którą czasem znajdowałem w Rignac. Czego tam nie było! Fakty i komentarze, przemówienia i opisy. O tak, ów poniedziałek czwartego maja to zaiste wielka data w dziejach Francji.

Wówczas to trzy stany i król udali się w uroczystej procesji z kościoła Najświętszej Panny do Świętego Ludwika na nabożeństwo poprzedzające otwarcie Stanów Generalnych.

Najpierw szedł stan trzeci, najliczniejszy i najbardziej oddalony od króla. Wszyscy w czerni - tak im nakazano. Niektórzy uznali żałobną barwę stroju odartego z jakiegokolwiek ozdoby za chęć upokorzenia tych, co reprezentują większość przeciw narodu. Strój ten jednak wydał mi się wręcz wytworny, a czarny kolor w moim mniemaniu podkreślał jeszcze jego powagę. Bo czyż frak do krótkich jedwabnych spodni, czarne pończochy, trzewiki z klamrami, płaszcz i trójrogaty kapelusz nie są eleganckie?

Po tej czerni kwitł tęczy łań przetykany srebrem i złotem. To noblesa wystąpiła w dworskich atłasach.

Po świetnych strojach arystokracji, purpuraci i biskupi we fioletach poprzedzali ciemne sutanny niższego duchowieństwa.

Po nich dopiero pod baldachimem niesiono Sakrament, a tuż za Nim kroczył król wraz z braćmi otoczony książętami krwi.

Nazajutrz rozpoczęto obrady.

Wśród przybyłych ministrów szczególnie owacyjnie witano pana Neckera, co to miał uzdrowić finanse. Ludwik XVI usłyszał jeszcze gromkie "niech żyje król". dużo mniej entuzjastycznie witano królową. Król, w odczytanej mowie, zalecał umiar we wprowadzaniu reform oraz różnych innowacji.

A potem wszystko potoczyło się jak spadająca z gór lawina.

Nie było zgody między stanami. Ten trzeci nie chce być usunięty do osobnej sali obrad. Poparty częścią duchowieństwa żąda wspólnej z pierwszym i drugim stanem weryfikacji pełnomocnictw.

Po przeszło miesięcznych sporach i dysputach, które nie doprowadziły do porozumienia, stan trzeci, uważając się za przedstawiciela całej Francji, ogłasza się Zgromadzeniem Narodowym.

Trzynastego lipca od świtu biją na trwogę wszystkie dzwony Paryża. W nocy lud, podburzony płomiennym przemówieniem młodego adwokata Kamila Desmoulinsa, który wołał "czeka nas, patriotów, nowa noc Świętego Bartłomieja", włamał się do arsenału Inwalidów.

Następnego dnia przypuszczono szturm na Bastylię i co najdziwniejsze zdobyto tę niedostępną dotąd fortecę.

Ludzie oszaleli, ściskali się i całowali. Ulicami obnoszono zatkniętą na pice głowę gubernatora straszliwej twierdzy.

Dopiero gwałtowna burza, która wybuchła nocą, ochłodziła nieco rozpalone do białości uniesienie i radość ludu.

Czemu mnie tam nie było?

Przeżywałem wspólnie z bohaterami owych wydarzeń te dni triumfu i wyzwolenia. Byłem jak w gorączce. Ojciec spoglądał na mnie spod oka, matka kilka razy dziennie przykładła mi dłoń do rozpalonego czoła.

- Jesteś chory - mówiła.

- Jestem szczęśliwy - odpowiadałem. - Nareszcie coś się dzieje, nareszcie jest Rewolucja!

- Rewolucja... - zaczynała matka wahająco. - Przecież tam leje się krew. Mordują niewinnych ludzi.

- Niewinnych? - udawałem zdziwienie. - To słuszna kara na zbrodniarzy. Śmierć tyranom! Wszyscy ludzie są równi.

Matka kręciła głową i coraz bardziej była o mnie niespokojna. Wobec ojca nie ośmielałem się z początku wyjawiać głośno i otwarcie moich rewolucyjnych poglądów.

Wśród tych wstrząsających Francję burz i huraganów, nieledwie niezauważona przeszła śmierć delfina, ośmioletniego Ludwika Józefa, chłopca wątłego, zbyt spokojnego na swój wiek, którego zdrowie pozostawiało ostatnio wiele do życzenia. Problematyczna w rewolucyjnych warunkach godność następcy tronu, czyli delfina, spadła na drugiego syna królewskiej pary, czteroletniego Ludwika Karola, księcia Normandii, który na swoje nieszczęście tryskał zdrowiem i niespożytą żywotnością.

Jak szczury opuszczają tonący okręt, tak co znaczniejsi arystokraci uciekają z Francji. Najmłodszy brat króla rozpoczyna ten exodus chroniąc się wraz z rodziną w Turynie. Za nim idą inni.

Pewnego sierpniowego wieczoru wjechała na zamkowy dziedziniec karetą hrabiego de Saunhac. Wysiadła z niej panna Gabriela, blada i przerażona, a spokój emanujący z prastarych murów Belcastel stał zdawałoby się sprzed jej rozszerzonych strachem oczu budzące grozę obrazą.

Hrabia był chmurny, ale mimo zmęczenia drogą kazał zaraz wezwać mojego ojca.

Narada trwała długo w noc, starałem się nie zasnąć, widziałem niepokój matki, która szeptała chwilami: Boże, Boże, co teraz będzie? I mocno zaciskała ręce.

Chciałem ją uspokoić i pocieszyć, powiedzieć, że Rewolucja jest sprawiedliwa, że ani hrabiemu, ani panie Gabrieli, a tym bardziej nam włos z głowy nie spadnie, nie mogłem jednak zdradzić się, że czuwam i czekam na powrót ojca.

Wrócił bardzo zafrasowany. Słyszałem, jak na zapytanie matki odrzekł krótko "później powiem" i położył się. Ale tak jak i na mnie, na niego także nie spłynął błogosławiony sen.

Odtąd każdego dnia hrabia zamykał się z moim ojcem na długie godziny. O czym tam mówili, nie wiem, wiem tylko, że mój ojciec, Jakub i Piotr znosili do zamkowych podziemi ciężkie, jak stwierdziłem, skrzynie i kufry.

Panna Gabriela nie opuszczała północnozachodniej części pierwszego piętra, gdzie były jej pokoje, a ja snułem się wśród całego tego zamieszania niespokojny i zdenerwowany, nie rozumiejąc dobrze sytuacji, lecz przeczuwając, mimo zachwytu Rewolucją, bliskie jakieś niebezpieczeństwo.

Rewolucja tymczasem wielkimi krokami szła przez Francję, pozostawiając za sobą krwawy ślad. Nocami oświetlały jej drogę łuny pożarów, a wszędzie witały okrzykami rozradowane tłumy, pijane winem z pańskich piwnic. Nikt nie pracował na roli, ludzie woleli grabić domy i pałace bogaczy. Podkładano przy tym ogień, by "tyranów" wykurzyć z wygodnych kryjówek.

I tak powoli dobrotliwy uśmiech osuwał się z kamiennej twarzy Rewolucji zastąpiony grymasem bezprzykładnego barbarzyństwa.

Palono i niszczone wszystko, co należało do możnych. Podniesiono rękę na Kościół i na klasztory. Padły zamki Villelongue, Gages i Cassanus, Huguies i La Capelle, \$viaur. Bo czyż najstarsze i najbardziej warowne fortece mogły oprzeć się sile ludu, który zdobył Bastylię?

Te prastare twierdze, broniące niegdyś przed najazdem wroga przytulone do ich stóp osady, zdobyto nieledwie gołymi rękami, bez armat i machin oblężniczych. Wieśniacy zbrojni w widły i kije dali radę owym kamiennym olbrzymom od wieków sterczącym nad okolicą jak na urągowisko.

Co rano dochodziły do nas straszne wieści, a co wieczór zadawaliśmy sobie pytanie, jak długo utrzyma się nasz Belcastel?

Jest to zamek warowny, którego początki sięgają mroków średniowiecza. Wzmianka o nim znajduje się już w kronice z 1040 roku. Hrabia dumny jest z tej prastarej siedziby, a z Belcastel wywodzi się i moja rodzina, równie stara jak ród hrabiego de Saunhac, tyle, że mojego nazwiska nie poprzedza owa partykuła "de" świadcząca o szlacheckim pochodzeniu.

Jakie właściwie ma to teraz znaczenie? Śmierć zrównuje ludzi, księżę krwi umiera tak samo jak najuboższy z żebraków, a nędza ludzkiego ciała dotyka jednakowo utytułowanych magnatów jak i bezdomnego włóczęgę.

Niemniej od panny Gabrieli dzieliła mnie przepaść, której nigdy nie zdołałbym przekroczyć. Nie pomogłyby największe nawet zasługi, bohaterstwo czy poświęcenie.

Ale to już było przeszłością. Rewolucja przywróciła początkową równość między ludźmi, zniżyła górujących nad innymi, wywyższyła maluczkich. I to było wspaniałe. Mimo towarzyszących jej okropności, mimo gilotyny, mimo lęku, niepewności jutra i stale obecnego widma śmierci.

Panna Gabriela bała się, a ja oddałbym życie dla panny Gabrieli.

Moja matka bała się także, widziałem to po jej oczach, po drżeniu rąk, po niespokojnym oglądaniu się za siebie przy najlżejszym hałasie. Tylko ojciec był taki jak zawsze, może nieco bardziej milczący.

Czasem wieczorem panna Gabriela wychodziła na taras zaczerpnąć świeżego powietrza. Nosiła teraz ciemne suknie, luźno spływające loki wiązała czarna wstążka.

Zaczajony w załomie muru nie odrywałem od niej oczu. Raz dostrzegła mnie mimo ciemności.

- Czy to ty, Bertranku?

Wyszedłem na otwartą przestrzeń.

- Zbliź się.

Podszedłem do niej.

- Masz takie piękne oczy - powiedziała cicho.

Wpatrywałem się w nią jak urzeczony.

- Takie oczy spotyka się tylko tu, na naszym Południu, w tej starej prowincji Rouergue, nad brzegami Aveyronu - mówiła jak we śnie. - W Wersalu nie ma takich oczu, tam oczy są zupełnie inne, zimne i nieufne, ich spojrzenie mrozi i odpycha, nie ma w nim szczerości, ani takiego... żaru - dokończyła szeptem.

Nie śmiałem się odezwać, nie śmiałem prawie oddychać, by czar nie prysnął, a trwał wiecznie, aż do skończenia świata.

Ale panna Gabriela zapomniała chyba o mojej obecności, a czar prysł, bo postłyszeliśmy strzały.

- Co to? - przestraszyła się.

- Strzelają - powiedziałem prędko. - Niech się pani nie boi. Nie pozwolę pani skrzywdzić.

- Nie pozwolisz? - zdumiała się.

- Nie pozwolę - oświadczyłem stanowczo - chyba pierwej zginę.

- Bertranku...

Zawstydziłem się mojego wybuchu. Ona zbliżyła się do mnie i dotknęła mojego policzka.

- Jesteś taki młody - powiedziała miękko. - Prawie dziecko.

- Nie jestem dzieckiem. Jestem wolnym człowiekiem.

- Wolnym? - zdziwiła się. - Nie rozumiem.

- Wszyscy jesteśmy wolni.

- Ja nie jestem wolna. Siedzę zamknięta w Belcastel drżąc ze strachu. Gdzie tu wolność?

- Ale może pani kochać kogo pani chce. - Sam nie wiem, skąd wzięła się u mnie taka śmiałość.

- Kochać? Cóż ty wiesz o miłości?

- Wiem wszystko.

- Wszystko? Czyż można wiedzieć wszystko o tak dziwnym uczuciu jak miłość?

- Można. Wystarczy tylko kochać.

Na szczęście było ciemno i nie mogła widzieć mojej twarzy. Ale sam fakt, że rozmawiała ze mną i to rozmawiała o miłości był zdumiewający. Zrozumiałem, że zawdzięczam to Rewolucji. To Rewolucja sprawiła, że panna Gabriela dostrzegła we mnie człowieka, podobną do niej istotę ludzką, obdarzoną rozumem i wolną wolą.

Chwilę jeszcze stała oparta o parapet, a potem odeszła bez słowa. Spędziłem na tarasie pół nocy. Nie chciało mi się spać. Czułem w sobie nadludzką jakąś siłę, nieledwie moc czynienia cudów.

Panna Gabriela rozmawiała ze mną jak z równym sobie, jak gdybym był co najmniej... markizem - myślałem. - Może tak samo rozmawiała na początku znajomości z późniejszym narzeczonym? A potem nagle poraziła mnie myśl, że ją obraziłem, byłem zbyt śmiały i dlatego

odeszła zagniewana. Ale czy była zagniewana?

Chyba raczej zdziwiona, dotąd przecież nigdy nie ośmielałem się mówić do niej nie zapytany. Ale i teraz... Odpowiadałem tylko na pytania - uspokajałem siebie. - Niczym jej nie uchybiłem. Jest dla mnie jak święta Radegunda z witraża.

Było to moje pierwsze zwycięstwo odniesione dzięki Rewolucji. Zwycięstwo, które objawiło mi moją wysoką rangę wolnego człowieka. Nie byłem markizem, ale gdybym mógł, potrafiłbym mówić o miłości równie pięknie, a może dużo piękniej niż mój "rywal". Gdybym tylko mógł...

Dobrze jednak wiedziałem, że sama nawet Rewolucja nie przyzna mi nigdy takiego prawa.

Potem, od połowy października, zaczęły nas dochodzić straszne wieści: oto lud, podobnie jak Bastylię, zdobył Wersal!

Mnie wieści te wprawiły w zachwyt. Król nie mógł już mówić "Francja to ja", Francja to przecież my, wszyscy mieszkańcy tego kraju, od najznacześniejszego stojącego wysoko do nic nie znaczącego, tak nisko przypadłego do ziemi, że można go było potrącić nogą. A więc i ja, ja też byłem częścią Francji, byłem Francją, a Francja nareszcie podniosła rękę na bastion monarchii.

Tysiące, tysiące mężczyzn i kobiet uzbrojonych w widły i piki opuściło Paryż i ruszyło królewskim traktem wprost do dawnej siedziby Króla Słońce.

Tłum stratował strażę pilnującą bram, zalał dziedzińce i wdarł się do pałacu. Przekupki z hal nareszcie mogły z bliska przyjrzeć się "Austriaczce", jak nazywano królową, chciwymi palcami dotknąć atlasu spódnicy i koronek stanika.

Wszystko to wyczytałem w gazecie pana Brissot.

W wygłodzonym Paryżu brakuje żywności. Rozpolitykowana prowincja, zajęta doraźnym wymierzaniem sprawiedliwości, nie dostarcza chleba, mięsa i oliwy. Dlatego ludzie przybyli do Wersalu. Chcą króla i jego rodzinę mieć blisko siebie, w stolicy. Wierzą, że to poprawi ich sytuację, nareszcie będą mieli co jeść.

Król poddaje się woli ludu, nie pragnie rozlewu krwi, nie pozwala strzelać do bezbronnych.

Taki to był początek krzyżowej drogi monarchii.

Jej pierwszy etap zdawał się nie mieć końca. Kareta królewska posuwała się powoli, otoczona napierającym zewsząd tłumem.

Ogłuszeni wrzaskami kobiet, podtrzymujących w bojowym zapale mężów i synów, siedzący w karecie starają się nie okazać lęku. Królowa uspokaja płaczącego delfina, a przytulona do rodziców Maria Teresa zapewnia, że nie boi się niczego.

W parę dni potem, dekretem Zgromadzenia, Ludwik XVI przestał być królem Francji. Odtąd jest tylko "królem Francuzów". Wolna Francja nie ma nad sobą żadnego "tyrana".

Nie mogłem zdradzić się z moimi uczuciami. Należało udawać smutek, choć przepelniała mnie radość i duma.

Ale trwało to krótko.

Pewnego dnia przyszli ludzie z Belcastel, nawet z dalszych okolic i aż z Rignac. Wyszedł do nich mój ojciec. Znali go od lat, znali jego uczciwość i zdrowy rozsądek. Był jednym z nich. Jak oni, całe życie ciężko pracował na chleb.

Jego słowa taką miały siłę przekonywania, że rozeszli się, nie czyniąc nam krzywdy. Ale to był znak. Dłużej nie należało zwlekać. Cała Francja stała w ogniu, Belcastel cudem jakimś nie padł dotąd pod napierającą zewsząd ścianą płomieni.

Zrozumiał to hrabia de Saunhac.

Na wyjazd nie wytoczono karety, wymoszczono jedynie sianem chłopski wózek. Pierwszy raz wytworny dotąd stangret musiał zrzucić liberię i przywdziać podobnie jak jego pan kaftan z samodziału.

Panna Gabriela płakała cicho. Podeszła do murów i położyła rękę na chropawej powierzchni kamienia, a potem podniosła oczy ku środkowej baszcie. Tam zazwyczaj, w razie oblężenia, bywało ostateczne schronienie.

Ale żaden wróg nie oblegał Belcastel, tylko swoi, swoi, którzy nie chcieli hrabiów na tej ziemi.

Pan de Saunhac półgłosem dawał ostatnie polecenia mojemu ojcu. Wszyscy staliśmy na

dziedzińcu. Gdy Jakub odemknął bramę, hrabia podszedł do córki.

- Już czas - powiedział i pomógł jej wsiąść.

Patrzyliśmy na nich, przebranych jak na maskaradę, aż wózek wytoczył się za bramę i długo jeszcze biegliśmy wzrokiem za opuszczającym się ze wzgórza jakże skromnym ekwipażem.

Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że nie ma już panny Gabrieli w Belcastel. Nie ma jej nigdzie. Francja była przed nią zamknięta. Pozostawała jedynie granica, a więc emigracja.

Emigracja.

Nazajutrz ojciec powiedział, że hrabia kieruje się ku Hiszpanii. To była najbliższa granica. Pireneje, choć trudne do przebycia, stanowiły jednak doskonałą kryjówkę. Myślałem z przerażeniem o trudach czekających delikatną pannę Gabrielę. Kiedy ją zobaczę? I czy ją jeszcze zobaczę na tej ziemi?

Tymczasem z Paryża nadchodziły coraz krwawsze wiadomości. Rewolucja, depreczając stary porządek, szybkim krokiem podążała ku swojemu przeznaczeniu. Prawo przestało obowiązywać. Na ulicach dokonywano samosądów, które zazwyczaj kończyły się masakrą "wrogów ludu". I nie żadnych tam arystokratów czy innych wielkich panów, nie, ot na przykład piekarz oskarżony o ukrywanie mąki, rzeźnik, u którego znaleziono poleć słoniny. Rozdarto ich na strzępy, ludzie poszaleli, jak gdyby zapach krwi uderzył im do głowy niczym najmocniejsze wino.

Zgromadzenie dekretem z 2 listopada oddaje kościelne dobra do dyspozycji narodu. Wieś pławi się w szczęściu. Nareszcie można za bezcen kupić ziemię, a także budynki. Kościoły i klasztory przestają być miejscem kultu. Romańskie i gotyckie kaplice zamieniono na spichlerze. Pod łukowym sklepieniem poczerniałym od dymu tysiący świec zaczęto składać siano.

Niech żyje Rewolucja! Wszystko przecież wolno. Niestety, w tym jakże dobrym do życia okresie o pieniądź jest coraz trudniej. Złoto zniknęło z trzosów nawet bogaczy. W połowie grudnia pojawiają się asygnaty, pierwsze papierowe pieniądze we Francji.

Ukryci za grubymi murami Belcastel z drżeniem serca śledziliśmy te wszystkie wydarzenia, a moja matka nieraz westchnęła:

- Jak dobrze, że nie ma tu panny Gabrieli!

Zostało nas teraz w zamku siedmioro: moi rodzice, stary Jakub z żoną, Piotr, Marietka i ja.

W tę pierwszą zimę Rewolucji, ciężką zimę dla całej Francji, każdej nocy i każdego dnia oczekiwaliśmy nieszczęścia. Nas jednych w okolicy oszczędzono. Byliśmy co prawda tylko służbą, niemniej wiedziano o przywiązaniu mego ojca do tego wszystkiego, co te prastare mury reprezentują.

Czyż w całej Francji nie zdobywano podobnych prowincjonalnych Bastylii? Czyż nie mordowano ich mieszkańców oraz wszystkich podejrzanych o wrogość do rewolucyjnych przemian? Wicher huczący nad krajem wymiatał z serc resztki ludzkich uczuć, pozostawiając nienasycone pragnienie krwi i zemsty.

O tak, ciężka to była zima, tym bardziej że zapasy żywności szybko topniały, a kupić nic nie było można.

Wieczorami zbieraliśmy się w kuchni, przy skąpym ogniu, cisnąc się wokół komina i rozmawiając naturalnie o nieobecnych.

Stara Jakubowa nie przestawała użalać się nad losem "biednej panny Gabrieli".

- Gdzie jest teraz nasz kwiatuszek? - wzdychała. - Wygnana z domu u progu szczęścia. A jej markiz? Czy żyje?

- Pewnie też uciekł - wrzusał ramionami Jakub. - Nie czekał przecież aż go zabiją.

- Może spotkają się na emigracji? - dodawała Marietka z nadzieją w głosie.

Wszyscy wspominali pannę Gabrielę. Milczałem tylko ja, no i Piotr schylony nad miską cienkiej zupy. Co tu właściwie było do powiedzenia? W myśli towarzyszyłem pannie Gabrieli w jej krzyżowej drodze. Czy aby dotarli bezpiecznie do krańców Francji? Jakież trudy musiała znosić ta przywykła do wygod i zbytku istota? Czy wytrzyma? A gdyby zachorowała? Albo umarła? Cóż począłbym na tym świecie utraciwszy to, czym biło moje serce?

Ojciec często udawał się do Rignac, przynosił gazety, wiedzieliśmy więc, co się działo w stolicy. Zima była tam cięższa niż na wsi. Ceny żywności szły w górę. Głód i chłód powalały

starych i chorych. Mimo jednak tych wszystkich okropności wierzyłem w Rewolucję, wierzyłem w jej oczyszczającą misję, w jej mądrość i sprawiedliwość. Ci, którzy stali na czele Zgromadzenia Narodowego, opracowywali konstytucję, wydawali dekryty i zarządzenia, byli dla mnie bohaterami i wielkimi ludźmi. Oni znali całą prawdę, prawdę o Rewolucji i jej tragizmie. I wiedzieli, dokąd idą. W domu nazywano ich mordercami i wszelkiego rodzaju kanalią. Musiałem więc milczeć.

Pewnego dnia ośmieliłem się zapytać ojca, co zawierają kufry i skrzynie, które tak pieczołowicie ulokowano w podziemiach zamku.

- Czy to pieniądze? Bogactwa hrabiego?

- Jest tam trochę pieniędzy - odparł ojciec - ale przede wszystkim są papiery, dokumenty, pradawne pergaminy, tak mocne, że czas ich nie zniszczy.

- Papiery? - zdziwiłem się. - Dokumenty?

- Dokumenty - ojciec pokiwał głową. - Całe archiwum rodziny de Saunhac, a jeszcze przedtem panów Belcastel, bo to oni byli pierwsi.

- Komu to potrzebne? - wzruszyłem ramionami. - Takie stare szpargały.

- Komu? - oburzył się ojciec. - To przecież cała nasza historia, dzieje naszej prowincji Rouergue, a wraz z nią i dzieje Francji. Barbarzyńcy niszczą teraz i palą tę przeszłość. Wyrzucają klasztorne biblioteki, zapalają stosy z mądrości przodków. Wywlekają ze zdobytych na właścicielach zamków rodowe papiery, nie zdając sobie sprawy z tego, co czynią. Czyżbyś nie rozumiał, o co tu chodzi?

- Te dokumenty i ta cała przeszłość dotyczą wielkich arystokratycznych rodów, skazanych i tak na zagładę. Ale co nam do tego?

- Nam? - ojciec zaczerwienił się. - My też nie wypadliśmy sroce spod ogona. My też mamy swoje rodzinne dzieje. Nie jestem uczony. Ale żyjąc w Belcastel od początku, nauczyłem się kochać ten zabytek, jakim jest nasz zamek. Poznałem jego wartość, nie tę materialną, to przecież tylko kupa kamieni, ale jego moc, siłę, trzymającą nas od tyłu wieków na tej ziemi i pewność, że nic ani nikt nas z niej nie wygoni. Nawet Rewolucja! - zakończył podniesionym głosem.

- Rewolucja była konieczna - zacząłem śmieje. - Francja potrzebowała reform.

- Co ty tam wiesz - ojciec potrząsnął głową. - Naczytałeś się tych gazetowych świstków i wierzysz we wszystko, co tam gryzmoła te paryskie pismaki. Ale oni nie wiedzą, co to Francja i co to jest nasza ziemia. Oni od ziemi odeszli. Daleko. Chcą teraz władzy. Rządzić innymi. Oto co im w głowie. I niszczyć. Taki na przykład Belcastel. Przed setkami lat oparł się najazdom, a teraz mało brakuje, żeby padł pod ciosami pik i wideł naszych własnych barbarzyńców. I nikt na to nic nie poradzi. Widocznie tak być musi. Musi przewalić się ta nawałnica. Ale co potem znajdziemy pod gruzami? Nie wiem i boję się.

Mądry jest mój ojciec, bardzo mądry, ale nie widzi jednego. Nie widzi, że Rewolucja jest sprawiedliwa. Chce równości i braterstwa dla wszystkich. I wolności. Już teraz ludzie czują się wolni. Są wolni i szczęśliwi. Ojciec to wreszcie zrozumie. Musi zrozumieć. A przeszłość...?

Czy właściwie przeszłość jest taka ważna? Dla mnie to puste słowo. Tylko Rewolucja ma znaczenie, Rewolucja, bo buduje nowy świat, świat ludzi wolnych i równych sobie. Właśnie wyczytałem w gazecie o zniesieniu wszelkich przywilejów. Nie może jeden człowiek uginać się pod ciężarem nad siły, gdy drugi kroczy swobodnie wymachując laseczką. Po to właśnie jest Rewolucja, żeby to zmienić.

Pewnego wieczoru Piotr wrócił z Rignac, dokąd posłał go mój ojciec. Małomówny zazwyczaj parobek był blady i trzęsły mu się ręce, gdy rozkiełzywał konia.

- Co ci to, Piotrze? - spytała Marietka wchodzącego do kuchni.

- Widziałem... - wybąkał Piotr.

- Co widziałeś?

- Widziałem - zaczął. - Zabili mera.

- Mera? - zdziwił się Jakub.

- Roznieśli na strzępy. - Piotr zatrzęsł się i wyskoczył za drzwi.

Słyszałem, jak wymiotował.

Gdy Jakubowa postawiła przed nim miskę zupy, Piotr odsunął naczynie.

- Nie mogę - powiedział niewyraźnie. - To... To było straszne.

- Czegóż od niego chcieli?

- Chleba. Krzyczeli, że mer ukrywa przed ludźmi wielkie zapasy mąki. Ale żadnej mąki nie znaleźli, choć wyciągnawszy go na ulicę, splądrowali dom. Nie wiedziałem - Piotr mówił coraz ciszej - że ludzie mogą być tacy... tacy okrutni. Jak szatany. I kobiety...

- Więc i kobiety? - spytał Jakub.

- Mnóstwo kobiet. Straszniejsze od mężczyzn. Jeszcze żył... a one napchały mu ziemi do ust. "Masz, żryj", tak wrzeszczały. - Panie Peyrade - zwrócił do ojca udęczone spojrzenie. - Co z nami będzie? Co będzie, jeśli ludzie przestali być ludźmi?

Nigdy jeszcze Piotr tyle na raz nie powiedział. Nigdy. Dopiero Rewolucja rozwiązała mu język. Ale nie tak, jak się spodziewałem. Nie tak.

Rewolucja tymczasem szła naprzód z góry wytyczonym szlakiem, a doniosłe decyzje znaczyły jej drogę.

Przede wszystkim doktor Guillotin zaprezentował swój wynalazek, przedstawiając Zgromadzeniu Narodowemu skuteczność zbudowanej przez siebie maszyny. Był to rzeczywiście najbardziej humanitarny sposób pozbawienia człowieka głowy.

Następnie odpowiedni dekret zabronił składania ślubów zakonnych, rozwiązując tym samym wszelkie kongregacje. Jednocześnie Zgromadzenie uchwaliło Cywilną Konstytucję Duchowieństwa.

Przedstawienie w katedrze Notre Dame w Paryżu dramatu "Zdobycie Bastylji" najgodniej zakończyło ten pierwszy, jakże znaczący rok Rewolucji.

II

Słońce stało już dość wysoko, gdy się obudziłem. Na wyplatanym krześle w nogach łóżka siedziała matka.

- Byłam bardzo niespokojna - powiedziała cicho, gdy otworzyłem oczy. - Nie przyszedłeś na śniadanie... Żle się czujesz?

- Żle - burknąłem. - Bardzo źle.

- Co ci jest? - przestraszyła się. - Czy ramię...?

Nie wytrzymałem i wyrzuciłem z siebie wszystko. Cały ból, żal do niej, do ojca. Jak mogli tak mnie potraktować, tak niegodnie!

- Jak gdybym był Judaszem - zakończyłem, odwracając od niej oczy. - Wiem, przywieziono jakieś dziecko - dodałem. - Słyszałem głos ojca i twój, matko.

- Nie trzeba o tym nikomu mówić - powiedziała prędko.

- A komuż mógłbym mówić? - zdziwiłem się. - Nie opuszczam przecież Belcastel. Z jedną ręką...

- Uważają cię za bohatera - przerwała. - Byłeś pod Valmy.

Choć wroga Rewolucji, nie potrafiła ukryć dumy Francuzki ze zwycięstwa odniesionego nad Prusakami.

- Chodź jeść. - Podniosła się i wygładziła spódnicę. - Goście mieszkają na górze – wyjaśniła idąc ku wyjściu.

- Na pierwszym piętrze? - Byłem szczerze zdumiony. - Czyżby w pokojach hrabiego?

- W pokojach hrabiego - przytaknęła. - Ale lepiej nie mówić, że tu są.

- Ukrywają się?

Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

- Nie wiem. W dzisiejszych czasach należy być ostrożnym. Wiesz o tym lepiej niż ja.

Ciężkie drzwi zamknęły się za nią z głuchym stuknięciem. Leżałem jeszcze chwilę rozmyślając o tym, co mi powiedziała.

Musieli to być jacyś znaczni goście, jeśli ich wpuszczono do pokoi hrabiego. Na pierwszym piętrze, tyle że w przeciwnym skrzydle, były także komnaty panny Gabrieli.

Matka co jakiś czas chodziła tam sprzątać i zazwyczaj zabawiła nieco dłużej, niż było potrzeba, jak gdyby pragnęła nacieszyć się nieuchwytną obecnością mieszkanki tych opuszczonych teraz pokoi.

- Chcę zobaczyć - powiedziałem raz, dogoniwszy ją na schodach - proszę, pozwól matko.

Tkane przed wiekami bezcenne arras okrywały ściany salonu. Była tam cała historia damy i jednoroźca, owego bajecznego zwierzęcia, któremu ze środka głowy wyrastał róg łokciowej długości. Białe futerko lśniło przetykane srebrną nitką, podobnie jak suknia damy bielejąca na tle zieleni fantastycznego lasu czy ogrodu.

Dotykałem delikatnych mebelków nie pasujących do surowego piękna owych murów. Tu więc siadywała panna Gabriela. - Myślałem. - Tu marzyła o swoim markizie, przy tym rokokowym biureczku pisała do niego listy. "Mój najdroższy", tak pewnie zaczynała.

Mój najdroższy...

Z każdej ściany spoglądała na mnie dama z jednoroźcem u boku, wiotka i delikatna jak panna Gabriela. Z ostro zakończonych czubka wysokiego czepca spływał przezroczyisty nieledwie welon. Jakiej sztuki dokazał średniowieczny tkacz, by nadać sztywnej przecież materii przejrzystość i zwiewność czegoś tak lekkiego jak tchnienie.

Kanapkę i foteliki otaczające gerydon z intarsjowanym blatem krył adamaszek koloru dojrzałej moreli. Tego samego koloru były aksamitne zasłony u czterech wąskich a wysokich okien. Na żardinierkach piętrzyły się doniczki z ozdobnymi roślinami. Matka podlewała je pieczołowicie, niektóre z nich obracając ku światłu.

- Na szczęście uratowaliśmy to wnętrze przed zniszczeniem - mówiła z dumą. - Panna Gabriela musi wszystko zastać w porządku, tak jak zostawiła. - Obrzucała salon badawczym wzrokiem. - Nie

przestawiaj tego fotelika. Niech stoi przy kominku, jak ona go postawiła. A co tam poruszyłeś na stolyczku do robót? - Tak mnie strofowała...

- Czy panna Gabriela wróci tu kiedykolwiek? - pytałem z bólem w sercu. - Czy w ogóle będzie to możliwe?

- Wróci. - Matka nie miała co do tego żadnych wątpliwości. - Pewnego dnia zjedzie niespodziewanie do Belcastel, może nawet z markizem.

Nie chciałem markiza, nie było dla niego miejsca w tych pokojach. I choć porcelanowe cacka z manufaktury w Sevres rozweselały to średniowieczne wnętrza, nie pasował do niego fircykowany lalusz z włosami osypanymi pudrem. Jak mogła panna Gabriela zainteresować się podobnie zniewieściałym mężczyzną?

- Chodźże już, chodź - przynaglała matka.

Ociągałem się z opuszczeniem tego miejsca, gdzie wydawało mi się, przebywał duch panny Gabrieli.

Gdy tego ranka zjawiłem się na spóźnione śniadanie, w kuchni oprócz matki nie było nikogo.

- Jedz. - Podsuwała mi talerz, kładła łyżkę, kroić chleb. - Bardzo mizernie wyglądasz.

Potem Piotr i Jakub znieśli szezlong z jednego z pokojów i ustawili w zacienionym kącie tarasu.

Niemłody jegomość w czerni sprowadził bladego chłopca o cienkich nóżkach, który z trudem szedł podtrzymywany przez opiekuna. Ułożono go na szezlongu podsuwając poduszki pod głowę i pod ramiona. Przyglądałem się temu z daleka. Widziałem, jak opiekun usiadł przy chłopcu i wyjąwszy z kieszeni książkę, zaczął czytać głośno. Niestety nie mogłem rozróżnić słów, szmer głosu zlewał się w melodyjną całość z odgłosami przyrody. Chłopiec wodził wzrokiem po niebie, po wierzchołkach drzew, wreszcie zamknął oczy. Opiekun przestał czytać i wsunął książkę do kieszeni.

Obiad goście jedli w wielkiej sali jadalnej. Matka nakryła stół najcieńszym obrusem i wydobyla resztkę hrabiowskich sreber, których nie ukryto w podziemiach. Byli to widocznie bardzo znaczni goście.

Popołudnie spędziłem w ogrodzie. Mogłem teraz chodzić, gdzie chciałem, nie było panny Gabrieli, a nawet gdyby była, może dopuściłaby mnie do swego towarzystwa? Kto wie? Rewolucja działała przecież nie takie cuda. Tak myślałem, choć dobrze wiedziałem, jakie cuda działała Rewolucja.

Podwieczorek matka podała na tarasie. Było teraz trochę łatwiej o żywność, mieliśmy własne warzywa i owoce. Na utrzymanie gości ojciec czerpał z pieniędzy hrabiego. Dbał, by w miarę możliwości nie zbywało im na niczym.

Zwracając się do opiekuna chłopca tytułowano go "Wasza Wielebność", on zaś swojego pupila nazywał po prostu Karolem. Gdy raz zapytałem o nich ojca, odparł krótko: spełniam rozkazy hrabiego. Goście są tu na jego zaproszenie.

Byłem coraz bardziej zaintrygowany, lecz unikałem przybyszów nie chcąc okazać się niedyskretnym. Widać mieli wielkie zaufanie do wszystkich domowników, gdyż opiekun chłopca rozmawiał z Piotrem i Jakubem równie swobodnie, jak z moim ojcem. Pewnego dnia Piotr przyniósł kociaka i położył zwierzątko obok dziecka na szezlongu. Chłopczyk zazwyczaj smutny i milczący pierwszy raz od przyjazdu roześmiał się.

- Kotunio, śliczny kotunio - wołał i głaskał kociaka, który zdawał się być bardzo zadowolony z tej pieszczoty. - Czy on będzie mój? - Podniósł oczy na Piotra.

- Tak - Piotr skłonił się niezgrabnie.

- Kto to tacy? - zapytałem z kolei matkę.

- Nie wiem - odpowiedziała, ale nie patrzyła na mnie.

- Czy to krewni hrabiego? Czy znajomi?

- Może. Ojca nie pytaj - dodała prędko. - On też nic nie wie.

Nie pytałem więc. Najlepszych informacji mógłby mi udzielić woźnica, który przywiózł do nas tajemniczych gości. Zabawił jednak w Belcastel tylko dobę, by dać odpocząć koniom, a potem odjechał tą samą podróżną kareta. Zresztą jego mina nie zachęcała do pytań. Był jakiś dziwny, zbyt wyniosły jak na stangreta. Swoją postawą nie dopuszczał do żadnych konfidencji.

Nie dowiedziawszy się więc niczego, znowu zwróciłem się do matki.

- Czy hrabia przysłał list?

- List? - zdziwiła się. - W jaki sposób?

Rzeczywiście, przez te wszystkie lata hrabia ani razu nie dał znać o sobie.

- Skąd więc ci goście wiedzieli, że ojciec ich przyjmie?

- Wiedzieli. Ojciec dostał wiadomość.

- A więc dostał list. - Serce biło mi mocno. Czekałem, że usłyszę coś o panie Gabrieli.

- Gdy ojciec był ostatnio w Rignac, spotkał tam pewnego człowieka.

- Kogo?

- To nieznajomy. Ale ten człowiek przekazał polecenie hrabiego.

- I ojciec uwierzył?

- Człowiek podał hasło. Hrabia przed odjazdem polecił ojcu wykonać to, co przekaże mu osoba znająca hasło. Taka była wola hrabiego, ojciec musiał być posłuszny.

Wszystko to coraz bardziej rozpalało moją ciekawość.

Raz będąc w ogrodzie posłyszałem miauczenie. Kociak siedział wysoko na drzewie i widocznie bał się zejść.

Naturalnie, z jedną ręką nie było mowy o wdrapywaniu się na gruby pień jabłoni. Pobiegnę więc po Piotra, a gdy zniósł kociaka, poszedłem do chłopca, pólleżącego na szezlongu.

- Gdzie był Kotunio? - Spojrzał na mnie jasnymi oczami.

- Na drzewie. - Położyłem mu kota na kolanach.

- Usiądź przy mnie - poprosił. Był akurat sam, opiekun oddalił się na chwilę. - Wiem, jesteś bohaterem - dotknął pustego rękawa. - Jak ci na imię?

- Bertran. - Ujął mnie jego smutny uśmiech i dziwnie żałosne spojrzenie niebieskich oczu.

- Możesz mnie nazywać Karolem - powiedział po chwili. - Jesteś bardzo odważny, prawda? Walczyłeś... za Francję. Opowiedz mi, jak to było pod Valmy.

- Dwaj są bohaterowie tej bitwy - zacząłem.

- Wiem - przerwał - Kellermann i Dumouriez.

- Tak, Kellermann nadział kapelusz na koniec szpady, podniósł ją wysoko i powiewając pióropuszem z okrzykiem "Niech żyje naród" rzucił się na Prusaków. My runęliśmy za nim.

Chłopiec leżał z kotem w objęciach. O tym, że słuchał z najwyższą uwagą, świadczyły rozchylone usta i oczy pełne blasku.

- I co? Co było dalej?

- Ze wszystkich sił siekliśmy wroga - odparłem. - Grzmiały armaty, a my szliśmy naprzód.

- A Valmy?

- Valmy to niewielka wioska z górującym nad nią wiatrakiem. Tam właśnie zgrupował nas Kellermann. Pod tym wiatrakiem. Dał silny wicher, lecz mimo huku dział, dolatywało nas chwilami skrzypienie obracających się skrzydeł.

- Prusakami dowodził książę Brunszwiku, prawda?

- Bezczelny Niemiec! - Potrząsnąłem głową. - Ogłosił manifest nawołujący Francuzów do poddania się. Któż mógł ścierpieć podobną obelgę? Wróg przekroczył granicę i pustoszył nasz kraj. Szedł już na Paryż. A Kellermann to Alzacyjny. Bronił nie tylko Francji, bronił też swojej ziemi.

- A co z wiatrakiem?

- Spłonął od pruskiego ognia.

- Szkoda. - Szepnął.

- Niestety. Pozostał z niego jedynie osmolony kikut. Może kiedyś ludzie odbudują.

- To już nie będzie ten sam. Ten historyczny.

- Cóż to ma za znaczenie? - Wzruszyłem ramionami.

- Dla ciebie historia nie ma znaczenia? - oburzył się.

- Nowy będzie z pewnością lepszy. A historia... - Machnąłem ręką.

Chłopiec milczał, wydawało się, że przestał mnie słuchać.

- Możesz odejść. - Powiedział po chwili.

Od strony zamku zbliżał się opiekun.

Zanim się oddaliłem, słyszałem, jak chłopiec powiedział: "On nie lubi historii. A wydał mi się taki miły. I był pod Valmy".

Nie dosłyszałem odpowiedzi opiekuna. Było mi jakoś dziwnie głupio. Co ten smarkacz wyobraża sobie? "On nie lubi historii". Cóż on w ogóle wie o historii? I o jakiej historii myśli? Taki mały chłopiec. Nie ma chyba więcej jak dziesięć lat... I ten ton... "Możesz odejść". Cóż on sobie do licha wyobraża? Że jest synem byłego arystokraty, to już wszystko mu wolno? Ale interesował się bitwą pod Valmy. Pierwszym zwycięstwem Rewolucji nad wrogami Francji.

Do wieczora o niczym innym nie mogłem myśleć. I ciągle widziałem chudą rączkę, zanurzoną w kocim futerku. Jakże wydawała się słaba, taka cieniutka i blada, jak gdyby nie było w niej krwi ani sił, ani życia.

Matka miała teraz dużo więcej roboty. Sama szykowała posiłki dla gości i podczas gdy my wszyscy jadaliliśmy w kuchni, im trzeba było podawać półmiski w dolnej sali. Gdy zbliżał się ktoś obcy do Belcastel, goście natychmiast zbiegali do podziemi. Tam była dla nich przygotowana kryjówka.

Pewnego ranka zastukał do bramy Jan Vouvelle, cieśla z Rigac. Policzki miał czerwone jak maki i widać było wyraźnie, że wypił więcej niż należało.

Ojciec posadził go w kuchni przy stole, kończyliśmy właśnie śniadanie, i nalał wina.

- Obywatelu Peyrade - zaczął cieśla - wielkie nowiny przyszły do naszego Komitetu. O tak, bardzo wielkie.

- Cóż to za nowiny? - ojciec nie okazał dostatecznego zainteresowania.

- Nasza Republika nareszcie bezpieczna! - oznajmił cieśla z namaszczeniem. - Nic już nam nie zagraża.

- A cóż nam zagrażało? - spytał stary Jakub. - Wrogowie Francji pobici.

- Zagraniczni pobici, ale swoi... - Cieśla miał coraz bardziej mętne oczy. - Rodzina Kapetów skończona - stuknął nagle pięścią w stół, aż stara Jakubowa chwyciła się za serce. - Zdechło wilcze szczenię, przetrzymywane w wieży Temple. Nie będzie u nas więcej tyranów! Koniec! W całej Francji wielka radość. - Język plątał mu się nieco, gdy wygłaszał to rewolucyjne przemówienie.

- To rzeczywiście dobra wiadomość - powiedział powoli mój ojciec. - Ale czy prawdziwa?

- Do Komitetu przyszły gazety z Paryża. Wszystko tam napisane. A ja chciałem osobiście oznajmić wam te nowiny. - Cieśla z trudem podnosił się z krzesła.

- Dziękujemy - mruknął ojciec i skinął na Piotra. - Odprowadzisz obywatela Vouvelle do domu - dodał - i może pożyczą ci jaką gazetę. Chcielibyśmy poczytać.

- Tak, tak - kiwał głową cieśla, czepiając się ramienia Piotra - z pewnością pożyczą.

Po ich wyjściu chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Umarł więc i drugi nasz król - zaczął ojciec - mały Ludwik XVII.

- Biedny męczennik - westchnęła matka.

- To kto teraz królem? - spytała Marietka.

- Hrabia Prowansji, młodszy brat Ludwika XVI - odparł ojciec. - Pewnie będzie się nazywać Ludwik XVIII. Wszyscy synowie królewscy mają na któreś imię Ludwik. Jeśli nie na pierwsze, to na drugie. Na pamiątkę świętego króla Ludwika IX. A ten mały męczennik nazywał się Ludwik Karol.

- Karol? - zdziwiła się Jakubowa. - Jak ten nasz chłopczyk.

- Mało to Karolów na świecie? - Zauważył ojciec. - Równie wielu jak Ludwików.

- Ale ten chłopczyk...

- Cóż ten chłopczyk? - Ojciec wstał. - Taki sam jak inne dzieci, tyle, że chory i słaby.

Nikt się więcej nie odezwał. Ale mnie to wszystko nie dawało spokoju. Musiałem zapytać ojca, choćbym tą swoją ciekawością miał go rozgniewać.

Ale nie rozgniewał się.

- Chcesz wiedzieć, czego sam nie wiem - powiedział patrząc na mnie przenikliwie. - Hrabia nie podał mi nazwiska gości. Domyślam się, że to syn jakiegoś wielkiego pana uratowany w czasie Terroru. Ukrywano go pewnie, dlatego taki chudy i blady.

- Ale jak go przywieziono? - dopytywałem się. - Przecież na drogach rozstawiono patrole. Posterunki sprawdzają papiery podróżnych. Choćby i tu u nas, w Rignac...

- Mieli odpowiednie dokumenty. Jak je dostali, nie wiem. Na pytanie żandarmów woźnica wołał: "z rozkazu Republiki" i okazywał papier z pieczęcią Konwentu. Wszędzie mieli wolny przejazd i świeże konie. Mam nadzieję, że w powrotnej drodze nie spotkało stangreta nic złego - dodał z troską w głosie.

O ile to było możliwe, wszystko więc zostało wyjaśnione. Ale nie do końca. Nieraz patrząc z daleka na opiekuna chłopca miałem ochotę zapytać: "Jakie nazwisko nosi to dziecko?" Ale nie śmiałem. W starym duchownym było coś, co nie pozwalało okazać takiego braku delikatności. Miał przecież do nas zaufanie.

W parę dni potem ojciec wziął mnie pod ramię i poprowadził do dolnej sali. Było już po obiedzie, ale goście siedzieli jeszcze przy stole.

- Nie miałem dotąd okazji przedstawić Waszej Wielebności mojego syna - ojciec popchnął mnie lekko naprzód - oto Bertran, mój jedynak. Stracił rękę pod Valmy.

Opiekun chłopca skinął głową i podsunął ojcu otwartą tabakierkę leżącą obok nakrycia.

- Znamy twoje bohaterstwo - powiedział tym swoim niskim, lekko schrypłym głosem. Oczy miał ciemne i bardzo piękne. Dziwnie młode w starej twarzy. - Wiem, że zawarłeś już znajomość z Karolem.

- Odnalazł mojego Kotunia - przypomniało dziecko, darząc mnie nieśmiałym uśmiechem.

Na ten uśmiech odpowiedziałem podobnie.

- Może... Karol zechciałby zobaczyć kurczęta? - spytał ojciec. - Właśnie się wykluły.

- O tak, tak. - Chłopczyk złożył ręce. - Mogę? - Spojrzał na opiekuna, po czym wstał i wsunął chudą rączkę w moją dłoń.

Poszliśmy na drugi wewnętrzny dziedziniec za okrągłą wieżę, gdzie Marietka wystawiła na słońce koszyk pełen żółciutkiego maleństwa.

Chłopczyk szedł chwiejnie, uczepiony mojej ręki. Przykucnął przy kurczaczkach, ale po chwili zauważyłem, że był bardzo zmęczony.

- Chodźmy do ogrodu na szezlong - zaproponowałem.

Zgodził się od razu.

Ułożyłem go wygodnie na poduszkach. Podziękował uśmiechem, po czym zamknął oczy. Wkrótce zasnął.

Siedziałem przy nim chyba z godzinę, aż nadszedł opiekun.

- Śpi. - Położyłem palec na ustach, ale chłopiec przebudził się i znowu powitał mnie uśmiechem. Zostawiłem ich samych.

Nazajutrz wstałem bardzo wcześnie. Ranek był tak piękny, że pobiegłem do ogrodu. W jednej z bocznych alejek spacerował opiekun chłopca. Chyba się modlił, bo czytał coś półgłosem z niewielkiej czarnej książki. Ujrawszy mnie, zamknął ją natychmiast.

- Nie chciałbym przeszkadzać Waszej Wielebności - powiedziałem nieco zmieszany.

- Wcale mi nie przeszkadzasz - odparł z żywością. - Przeciwnie, rad jestem, że cię widzę. Karol podziwia twoje męstwo.

- To niezwykle dziecko - zauważyłem.

- O tak - pokiwał głową. - I wyjątkowo mądre. Ale cierpienie rozwija.

- Więc on dużo wycierpiał?

- Bardzo dużo. O wiele więcej, niż może znieść ludzkie serce, a cóż dopiero serce dziecka. Jest sierotą - dodał po chwili.

- Czy rodzice... - zacząłem.

- Zgilotynowano ich oboje - przerwał. - Ten proceder stał się we Francji chlebem powszednim.

- Spojrzał na mnie ze smutnym uśmiechem. - Oni przecież nie jedyni. - Westchnął i wsunął książkę do kieszeni. - Przychodzę tu co rano odmawiać brewiarz - wyjaśnił. - Jestem jednym z tych księży,

którzy nie złożyli przysięgi na Konstytucję, a pozostali wierni Rzymowi.

- Wiem - skinąłem głową - wielu jest takich. Wielu też zabito.

- Słyszałem, że jesteś entuzjastą Rewolucji - zaczął pogodnie, jak gdyby to stwierdzenie wcale mu nie przeszkadzało.

- Byłem - sprostowałem - a do pewnego stopnia jeszcze nim jestem. Rewolucja doprowadzi nas do czegoś dobrego, co musi nastąpić. I nastąpi, wierzę w to. Ale widziałem też, jak Rewolucja potrafi wydobyć z człowieka bestię, ukrytą gdzieś głęboko. Nie wiem, jak to czyni. Wolność - Równość - Braterstwo nie skłaniają do mordowania niewinnych. Pod Valmy walczyłem za Francję, za Republikę - poprawiłem się. - Wówczas wierzyłem we wszystko, co głosiła Rewolucja. Ale potem zobaczyłem. Na własne oczy. Czy Wasza Wielbność był w owym czasie w Paryżu?

- Byłem - ksiądz pochylił głowę.

- Widziałem egzekucję króla - szepnąłem.

- Ja też widziałem. - Nie podnosił głowy. Może przygniatał go ciężar tego wspomnienia zbyt wielki na jego siły?

- Co jeszcze ksiądz widział? - Zapomniałem tytułować go "Wasza Wielbność", ale chyba tego nie zauważył.

- Wiele widziałem - powiedział powoli. - Widziałem, jak barwy miasta Paryża zastąpiły odwieczny kolor Francji, jak zerwano biały sztandar monarchii w złote lilie i zmuszono króla, by przypiął do kapelusza trójkolorową kokardę. Widziałem Święto Federacji obchodzone trzykrotnie w rocznicę zdobycia Bastylli. Potem zaniechano tej uroczystości. Do wzniosłych haseł Rewolucji, o których tylko co wspomniałeś, dodano najbardziej przekonujące "Wolność - Równość - Braterstwo lub Śmierć". To ostatnie przeważało. Po okresie radości i zwycięstwa nadszedł czas śmierci. Rewolucja zabiła nawet swoich przywódców, tych samych, którzy w imię tejże Rewolucji zabijali innych. Popelniono tyle zbrodni, że trudno będzie zmyć krew, która z Paryża rozlała się na całą Francję. Ta plama pozostanie niestety na naszej historii. Na zawsze.

- Wasza Wielbność - zaprotestowałem. - Jest tyle innych szlachetnych dokonań Rewolucji, które też pozostaną na zawsze i obdarzą swymi dobrodziejstwami nie tylko Francję, ale Europę i świat cały.

- Może - zgodził się przystając. - Mam nadzieję, że ty doczekasz tych dobrodziejstw. Bo ja jestem zbyt stary i takiej nadziei już nie mam.

- Och, Wasza Wielbność...

- Muszę czuć się szczęśliwy, że udało mi się przeżyć okres Terroru i to można powiedzieć w paszczy lwa - zauważył z tym swoim półśmiechem. - Taka była widać wola boska. - Pochylił głowę i westchnął.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

- Mam do ciebie prośbę - zmienił nagle ton.

- Prośbę? Słucham Wasza Wielbność.

- Martwię się, co będzie z Karolem, gdy mnie nie stanie.

- Wasza Wielbność jest gościem hrabiego. Karol zawsze będzie mógł pozostać w Belcastel - zawołałem.

- Belcastel - szepnął. - Nie zdobyta forteca. Ale jak długo ta forteca oprze się naporowi wrogich sił? Czy hrabia kiedy wróci? Nie wiadomo. Zanim uciszą się wzburzone wody historii, niejedna nawałnica przewali się przez dzieje Francji. Ale ty jesteś młody, ty przetrwasz. Dlatego zwracam się do ciebie z prośbą, żebyś nie opuścił sieroty.

- Czy on nie ma nikogo?

- Ma krewnych, ale być może lepiej by było, gdyby ich nie miał.

- Dlaczego?

- Interesy ludzkie często sprzeczne są z honorem, uczciwością, a nawet głosem krwi. Zresztą jak przyszłość każdego człowieka, tak i przyszłość tego dziecka jest tajemnicą. Będzie, jak Bóg chce.

- Wasza Wielbność dożyje lepszych czasów - powiedziałem, nie bardzo wierząc już w te moje nadzieje po tym, co usłyszałem.

On jakby ocknął się z tych smutnych przypuszczeń, bo odezwał się zwykłym głosem: - Muszę iść, Karol pewnie się obudził.

Dopiero wieczorem miałem okazję powtórzyć rodzicom tę rozmowę oraz prośbę opiekuna chłopca.

- Naturalnie przyrzekłeś - zauważył ojciec.

- Niczego nie przyrzekałem - odparłem zły na siebie - niepotrzebne są przyrzeczenia czy przysięgi. I tak go nie opuszczę. Przecież i wy...

- My go nie opuścimy. - Ojciec spojrział na matkę. - Zostanie w Belcastel dopóki zechce. Tak życzy sobie hrabia.

Zaprzyjaźniłem się z Karolem. Chłopczyk brał mnie za rękę i podnosząc ufne oczy pytał co dzień:

- Czy już troszkę lubisz historię?

- Troszkę lubię - odpowiadałem ze śmiechem.

Zdumiewała mnie jego znajomość przeszłości i zainteresowanie dawnymi dziejami. Prowadzony przez nauczyciela czytał i uczył się z zapałem tej, jak ją nazywał "wielkości Francji".

Poprosiłem księdza, by mi pozwolił przysłuchiwać się lekcjom i lekturom.

- Widzę, że już troszkę lubisz historię - powiedział wówczas Karol i właśnie od tej chwili co dzień zadawał mi to swoje śmieszne pytanie.

Pewnego dnia, gdy padał deszcz i nie można było przebywać w ogrodzie, zaprowadził mnie do "najpiękniejszego miejsca w Belcastel", tak się wyraził.

- Twoja matka pokazała mi - oznajmił.

Poszliśmy więc do salonu panny Gabrieli.

Byłem tu drugi raz i po raz drugi odnalazłem ślad jej obecności, jak gdyby tylko co przeszła przez pokój i była za drzwiami, a echo jej kroków drżało wśród aksamitnych zasłon, podobnie jak szelest długiej sukni sunącej za nią po posadzce.

- To cud prawdziwy, że Rewolucja oszczędziła to miejsce - powiedział zdławionym głosem - jedyne nietknięte miejsce we Francji. Azyl piękna i spokoju.

Dama z arrasów widać przyznała mi rację, skinęła wąską rączką, a jednoróżec błysnął oczami. To słońce, które na chwilę wyjrzało zza chmur ożywiło wytkane niegdyś postacie.

Poczułem tak silne wzruszenie, że zanim przestąpiłem próg, musiałem oprzeć się o futrynę. Karol puścił moją rękę i posunął się w głąb salonu. Oglądał wszystko po kolei. Porcelanowe bibeloty na gzymsie kominka i na gerydonie, stoliczek do robót z motkami barwnych jedwabów, przybory do pisania na biurku.

- Twoja matka mówiła, że to salon panny Gabrieli - powiedział ścisząc głos. - Czy ją znałeś?

- Znałem. - Ledwie mogłem mówić, tak mnie dławiło wzruszenie.

- Tak tu wygląda, jak gdyby panna Gabriela wyszła na chwilę i zaraz wróci. Nieprawdaż? - Chłopiec podniósł na mnie oczy.

Skinąłem głową.

W tym momencie posłyszeliśmy tupot na schodach i wpadł Piotr.

- Prędko - zawołał. - Od strony Rignac zbliża się gromada uzbrojonych ludzi. Jego Wielebność i Karol muszą być ukryci.

- Natychmiast. - Był to głos ojca.

Ksiądz czekał już przed zejściem do podziemi. Popchnięto ich do czarnej czeluści. Znali już to miejsce. Ojciec jak mógł tak wymościł kryjówkę, by pobyt w niej był jako tako wygodny. Stary Jakub zatrzasnął ciężkie drzwi, a my wszyscy udaliśmy się do kuchni.

Walenie kolbami w bramę kazało ojcu pospieszyć na podwórze.

- Otwierać! Szybciej! - Łomot był coraz mocniejszy, gruby głos nie zwiastował dobrych intencji.

Byli tam w komplecie wszyscy przedstawiciele Komitetu Ocalenia Publicznego z Rignac,

żandarmi i gromada oberwańców o twarzach rozgrzanych winem.

- Co się stało, obywatele? - Ojciec na szczęście nie stracił zimnej krwi.

- To się stało, że ukrywasz wrogów Republiki, obywatelu Peyrade - w grubym głosie dźwięczała groźba.

- Nikogo nie ukrywam. Jest nas tu siedmioro - zaczął ojciec.

- Zaraz sprawdzimy - wmieszał się dowódca żandarmów. - To gniazdo wrogów ludu dawno należało zburzyć.

- Nie ma tu wrogów ludu, tylko my, których znacie. A tę kupę kamieni kupiłem, gdy wystawiono na sprzedaż dobra emigrantów.

- Nie stawiaj się tak butnie, obywatelu Peyrade, doszły nas słuchy, że kogoś ukrywasz.

- Szukajcie, jeśli mi nie wierzycie. - Czułem, że ojciec brawuruje, że w głębi serca wcale nie jest tak spokojny, jak się wydawało.

- A ty dalej służysz arystokratom, podły zdrajco! - krzyknął jeden z tłumu wygrażając ojcu pięścią.

- Licz się ze słowami, obywatelu. - Ojciec położył mi rękę na ramieniu. - Nie masz prawa obrażać patrioty, którego syn przelał krew za Republikę i pruskim pociskiem został okaleczony na całe życie.

- Walczyłem z armią najeźdźców i emigrantów - dodałem - i pod Valmy straciłem rękę.

- Był pod Valmy - rozległ się szmer. - To prawdziwy patriota i rewolucjonista.

- Wejdźcie, obywatele, i szukajcie - ojciec zrobił zapraszający gest. - Nie chcę, żebyście mnie podejrzewali. Choć go kupiłem, zamek jest własnością Republiki i ma jej służyć. A my... pilnujemy tych kamieni. Dokąd pójdziemy? Innego domu nie mamy. Są wśród nas ludzie starzy - wskazał Jakuba i jego żonę. - Wrogowie ludu długo korzystali z tej siedziby, godzi się, aby wolni obywatele mogli teraz dożyć tu spokojnie swoich dni. Zaraz wytoczmy wam wina.

- Jeżeli mówisz prawdę - zaczął ten o grubym głosie.

- Znamy obywatela Peyrade - odezwał się w naszej obronie cieśla Vouvelle, bo i on był obecny. - A jego wina warto spróbować.

Moja matka, Marietka i stara Jakubowa otworzyły na oścież drzwi kuchni, ustawiając na stole wszystkie kubki, jakie były, i z antałka zaczęto rozlewać złocisty napój.

- Niech żyją prawdziwi patrioci! - zawołał ojciec i podszedł z pełnym kubkiem do dowódcy żandarmów.

Matka podawała wino przepasanemu trójkolorową szarfą przewodniczącemu Komitetu.

Atmosfera zupełnie się zmieniła. Nikomu już nie było spieszo przeszukiwać zamek.

Wesołość ogarnęła zebranych, a ponieważ po chmurnym dniu mrok wcześniej zapadł, zapalono pochodnie.

- Kto rzucił na mnie tak niecne podejrzenie? - Ojciec zwrócił się do tego o grubym głosie.

- Zostanie ukarany za oszczerstwo - odpowiedział komendant żandarmów.

- Obywatelu Peyrade - dodał przewodniczący Komitetu. - Znamy cię nie od dziś, znamy też twoje przekonania. Możesz być spokojny. Jesteś pod opieką Republiki. A twój syn to bohater.

Późno już było, gdy nareszcie opuścili Belcastel. Ojciec czym prędzej zbiegł do podziemi i wy dobył z kryjówki naszych gości. Piotr zaniósł śpiące dziecko do sypialni, gdzie moja matka i Marietka rozebrały je i położyły do łóżka.

Ksiądz nie okazał niepokoju.

- Przykro mi, panie Peyrade - powiedział ojcu - że przez nas jest pan narażony na niebezpieczeństwo.

- Trudno - ojciec potrząsnął głową. - Wasza Wielbność jest tu u siebie. Zresztą gdyby nawet hrabia nie udzielił chłopcu gościny, ja wbrew jego woli ratowałbym to dziecko.

Mimo późnej pory nikomu nie chciało się spać. Zbyt wiele przeżyliśmy, żeby tak od razu odzyskać równowagę i przejść do porządku nad tym, co się wydarzyło.

- Musimy teraz być szczególnie ostrożni - powiedział ojciec, gdy skończyliśmy wieczerzę. - Kręca się tu różni i wężsa. Nie wolno zapalać światła w sypialni hrabiego, a i w ogrodzie nie można zbyt głośno rozmawiać. Pamiętajmy, że Belcastel to sól w oku Rewolucji. On jeden ocalał w całej okolicy.

- Co to jest z tym kupnem zamku? - zapytałem nie rozumiejąc, co ojciec chciał przez to powiedzieć.

- W dziewięćdziesiątym drugim roku, jeszcze przed twoim pójściem do wojska, wyszedł dekret o konfiskacie dóbr emigrantów.

- Pamiętam, ale co to ma do rzeczy...?

- Potem dobra te, podobnie jak budynki i ziemie należące do Kościoła, wystawiono na sprzedaż. Rewolucja potrzebuje pieniędzy, a skąd je brać, gdy skarb pusty, podatki zniesione, a wszędzie anarchia, nędza i głód.

W dalszym ciągu nic nie rozumiałem. Ojciec przecież był biedny, a tu okazało się, że miał na kupno zamku i ziemi.

- Hrabia liczył się z tą możliwością - wyjaśnił ojciec cierpliwie. - Przed odjazdem zostawił mi pieniądze i odpowiednie instrukcje. Obawiał się o Belcastel. Drżał na myśl o zniszczeniu tego, co tu jeszcze przetrwało z dawnych czasów. Poszedłem więc do Rignac, zapłaciłem i stałem się właścicielem. Naturalnie, gdy hrabia wróci i nastanie porządek, wszystko będzie po dawnemu. Ale tymczasem... Tak samo jak hrabiemu, mnie również zależy na uratowaniu tych murów. Dlatego musimy teraz zachować wielką ostrożność. Nie daj Boże, żeby odnaleziono to dziecko. Nikt nie powinien się dowiedzieć...

- Nikt przecież nie wie - zauważyłem.

- Łatwo o zdradę. Szpiegów nie brak, a cieśla Vouvelle za bardzo się nami interesuje. Siedzimy na beczce prochu i wystarczy jednej iskry...

Ojciec miał rację. Rzeczywiście siedzieliśmy na beczce prochu.

Nazajutrz szezlong, na którym wypoczywał chłopiec ustawiono na wewnętrznym dziedzińcu, w cieniu baszty. Tam było najbezpieczniej, tam niegdyś chronili się obrońcy, gdy już nadzieja zawiodła. Ale my mieliśmy jeszcze nadzieję.

Wieczorem okna sypialni hrabiego, gdzie spało dziecko, zawieszano grubymi kotarami. Staliśmy się więc ostrożni, można powiedzieć, że aż do przesady, ale tak nakazywał rozum, a w tym przypadku nie było za wiele ostrożności.

Chodziłem czasem do Rignac po gazety. W "Monitorze" z 9-go czerwca wyczytaliśmy wiadomość o śmierci "małego Kapeta". Podano tam także wynik autopsji zwłok i nazwiska czterech lekarzy, którzy dokonali tej makabrycznej operacji. Syna ostatniego "tyrana" pogrzebano następnego dnia na cmentarzu świętej Małgorzaty ("Małgorzaty" - tak podał "Monitor", święci nie byli teraz dobrze widziani) w obecności kilku komisarzy oraz strażników więziennych.

Z całej rodziny królewskiej pozostała więc przy życiu jedynie szesnastoletnia Maria Teresa Szarlotta, najstarsza córka Ludwika XVI, "Zakładniczka Narodu", przetrzymywana dotąd w ścisłym odosobnieniu na trzecim piętrze ponurej wieży Temple.

Widziałem to więzienie. Ogromny teren otoczony podwójnym murem trzymetrowej wysokości. Mieszkałem w tejże samej dzielnicy, moje okno wychodziło na przerażającą wieżę, na to ogrodzenie dzielące ją od świata.

Pewnego dnia ojciec posłał Piotra do Rignac, a ponieważ dzień był wyjątkowo upalny, parobek wstąpił do oberży ugasić pożar.

- Panie Peyrade - zwrócił się do ojca po powrocie, a wydawał się niezwykle wzburzony. - Dziwne rzeczy gadają w oberży matki Paulin. Bardzo dziwne.

- Cóż tam gadają? - siadaliśmy właśnie do obiadu.

- Gadają, że "mały Kapet", tak nazywają delfina, a raczej króla, wcale nie umarł w więzieniu

Temple, że rojalistom udało się go wyswobodzić, a na jego miejsce podstawiono inne dziecko, które umarło ósmego czerwca. Mały król był ważnym zakładnikiem w rękach Konwentu, dlatego jego ucieczkę utrzymano w ścisłej tajemnicy. Boże, co tam jeszcze gadają! Nie sposób wszystkiego spamiętać. Podobno Paryż aż się trzęsie od plotek. Ale to niebezpieczne. Już wiele osób aresztowano. Nie wolno rozpuszczać kłamliwych wiadomości. Mówią też, że do otwarcia ciała wezwano czterech chirurgów, którzy nigdy nie widzieli delfina. A tych lekarzy, którzy go kiedykolwiek znali i leczyli i mogliby zdemaskować oszustwo, pominięto. - Piotr aż się zadyszał. Było to drugie z najdłuższych przemówień w jego życiu.

- Wszystko jest możliwe - stwierdziła stara Jakubowa. - Z pewnością byli ludzie, co chcieli ratować nieszczęsne dziecko, wyrwać je ze szponów tych bandytów. To przecież król, nasz król, choć nie pomazany - przeżegnała się.

- Bezbożnicy stłukli ampułkę ze świętym olejem, którym od tysiąca lat namaszczano królów Francji - powiedział ponuro ojciec. - Wszystko zniszczono, barbarzyńcy nie uszanowali nawet grobów, wyrzucając kości z królewskich sarkofagów. Ot, do czego nam przyszło. Jak te dzikusy.

- Dzikusy chyba mniej straszne od naszych ludzi - wtrąciła matka. - Zamordowali króla, królową, siostrę królewską i to dziecko. Bo mnie się wydaje, że i ono padło ofiarą zbrodni.

- Dziecka nie zgilotynowano - zauważył Jakub.

- Mało to sposobów, żeby pozbyć się dziecka? - zawołała Marietka. - Choćby i trucizna.

- Zapominasz o autopsji zwłok - przypomniał Jakub. - żeby była trucizna, lekarze by wykryli.

- Czy można wierzyć takim lekarzom? Sami zabiliby z zimną krwią. Takie to straszne, że myśleć o tym nie mogę. Kiedyż Pan Bóg zlituje się nad nami?

- Zlituje się. - Matka potrząsnęła głową. - Pamiętaj, Marietko, że nic nie trwa wiecznie. Zło także przemija jak i dobro.

- Tak, tak - przytaknął Jakub. - Doczekamy jeszcze powrotu hrabiego i wesela panny Gabrieli.

Nie mogłem tego słuchać. Wstałem i wyszedłem.

Dzień był upalny, niebo czyste, ani odrobiny wiatru. Udałem się na wewnętrzny dziedziniec, gdzie pod osłoną baszty wypoczywał chłopiec.

Mało się dotąd poprawił. Był ciągle tak samo chudy i słaby, tylko policzki, dzięki przebywaniu na powietrzu, utraciły ową woskową bladość upodabniającą go do umarłych. Kot, który nie odstępował swego młodego pana, leżał przy nim na poduszce.

- Chodź, chodź Bertranku - zawołał chłopiec, gdy się zbliżyłem. - Kotunio złapał polną myszkę i przyniósł mi na szeslong. Wiesz, nie zjadł jej, wcale nie chciał. Nie mógł przecież zjeść futerka. Udało mi się ją uratować - oznajmił z dumą.

- Oby tylko Kotunio nie polował na ptaki. - Zauważyłem, siadając przy nim.

Kot usłyszawszy swoje imię otworzył jedno oko, po czym ziewnąwszy wtulił nos w poduszkę.

Wkrótce obaj zasnęli.

Poszedłem na poszukiwanie opiekuna chłopca. Okazało się, że znał już rewelacje, jakie Piotr przyniósł z Rignac.

- Wiem, że wielu rojalistów usiłowało dostać się do więzienia Temple - powiedziałem. - Byłem wówczas w Paryżu, mieszkałem na tej samej ulicy i niejedno słyszałem. Jednakże próby te nie powiodły się mimo ogromnych sum, których na ten cel nie szczędzono.

- Tak - przyznał - wydano wiele pieniędzy. Przekupiono wiele osób. Ludzie zawsze są łasi na łatwy zarobek. Ale czy osiągnięto pożądaną rezultat...? - Przerwał i zamyślił się.

- Co się stało z dzieckiem? - spytałem wprost. - Co sądzi Wasza Wielobność o podanej w "Monitorze" dacie śmierci chłopca i w ogóle o jego śmierci?

- Cóż mogę sądzić? - spojrzał na mnie ze zwykłym smutnym uśmiechem. - Los tego królewskiego dziecka jest w rękach bożych. Może ono być albo tu, albo tam - wskazał wzrokiem ziemię i niebo.

- Poznałem w Paryżu pewnego człowieka, właściwie mogę nazwać go przyjacielem... - zacząłem.

- I cóż ten człowiek? - zainteresował się ksiądz.

- Rewolucjonista i republikanin, jak wszyscy w owym czasie, ale było w nim coś...

- Co? - podchwycił mój towarzysz.
- Nie wiem. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że...
- że co? Mówże prędzej, zaciekawiasz mnie.

że może nie był tak gorliwym rewolucjonistą, za jakiego pragnął uchodzić. Doprawdy nie wiem, ale bywało, że wyglądał, jakby kpił... Czyż można kpić z gilotyny?

- Można. - Powiedział z mocą opiekun chłopca. - Czasem nawet trzeba. żeby zachować równowagę ducha, nie poddać się, nie popaść w rozpacz, przezwyciężyć strach, nie utracić godności wolnego człowieka.

- On się niczego nie bał. Był nieustraszony i jak gdyby wyższy ponad to wszystko, co się działo. A działy się rzeczy, których nie sposób zapomnieć. Z jednej strony wielkie i wspaniałe, a z drugiej bestialskie i potworne. Człowiek, o którym mówię, bardzo się interesował wieżą Temple.

- Nie on jeden - mruknął ksiądz wzdychając. - Mam nadzieję, że nie spotkał go los podobnych mu bohaterów.

- Nie daj Boże! - krzyknąłem. - Nie daj Boże! - powtórzyłem ciszej. - Tak wiele mu zawdzięczam. Podziwiam go i kocham. Tak, kocham jak ojca, brata...

Zauważyłem, że mój wybuch zdziwił księdza, który jednak zbył go milczeniem.

Po wieczerzy od razu poszedłem do siebie. Moja wieża przypominała więzienną celę. Może kiedyś miała to smutne przeznaczenie, nie wiem, teraz jednak jej nagie kamienne ściany przywiodły mi na myśl więzienie Temple i małego "Zakładnika Narodu", oczekującego cierpliwie na śmierć - wybawicielkę. Ileż dzieci utraciło rodziców, dom, poczucie bezpieczeństwa! Ileż z nich tułało się ukrywane po strychach i piwnicach, pozbawione słońca i powietrza, ruchu i swobody! Ileż osób narażało życie, ratując owe odrośle arystokratycznych rodów, których wielkość przeminęła, a brzmienie sławnego może nazwiska zagłuszył warkot bębnow na placu Rewolucji i zgrzyt ostrza spadającego ze świstem z wierzchołka humanitarnej maszyny doktora Guillotina.

III

Cóż ja właściwie wiedziałem o Rewolucji wówczas, gdy jako osiemnastoletni chłopiec wyruszałem na wojnę?

Odcięty od reszty Francji górzystą wyżyną Rouergue mało miałem wiadomości o świecie i jego sprawach, a jeszcze mniej o ludziach, ich ambicjach i namiętnościach.

Dopiero tam w Paryżu...

Wydało mi się wtedy, że rozumiałem. Czyż można jednak pojąć to, co się działo? Ogarnąć wzrokiem czy rozumem tak rozpętany żywioł jak Rewolucja?

Nie, to nie było możliwe.

Nigdy nie widziałem morza, ale wyobrażam sobie skłębione zwały wód bijące o przybrzeżne skały z hukiem tysięcy dział, które wreszcie pokonują zaporę i rozlewają się szeroko, unosząc wszystko, co napotykają po drodze.

Taka właśnie była Rewolucja. Jak rozhulany ocean. Torowała drogę dla nowej Francji godnej nowego człowieka. Poprzez czas nadziei, zdobywanie Bastylli, czas równości i braterstwa, święta Federacji, czas wojny, wreszcie czas śmierci. Bo dopiero śmierć położyła kres staremu światu.

Któż do niedawna mógł przypuścić choćby możliwość zruszenia tysiącletniego porządku? A oto jakieś gigantyczne trzęsienie ziemi wypięrzyło na powierzchnię to, co znajdowało się dotąd w czeluściach, strącając w głąb otchłani wszystko, co dotychczas sterczało ku niebu.

Dawnych ludzi zmywała potężna fala, nowi zaś wypływali na wierzch, zdobywali należne im miejsca nie dzięki urodzeniu i nazwisku, lecz z racji politycznego talentu, umiejętności wybicia się, a przede wszystkim niepohamowanej żądzy władzy. Tytuł, szlachectwo utraciły wartość, przeżyły się. Były dobre i potrzebne w tej feudalnej Francji, gdzie kilkaset tysięcy rycerzy okrytych żelazem broniło granic, zdobywało grób Chrystusowy. Ale ich potomkowie? Zamiast nosić zbroję, stroili się w jedwabie. Ich wielkość była już pustym dźwiękiem, echem wielkości przodków. Przestali więc być użyteczni.

Zdałem sobie z tego wszystkiego sprawę patrząc na tych nowych ludzi, dostosowanych do nowych czasów, choćby rządy ich opierały się na ostrzu gilotyny.

Naturalnie nic o tym wszystkim nie wiedziałem, gdy po burzliwej scenie z ojcem, który stanowczo zabronił mi opuszczać Belcastel, wymknąłem się do Rignac, gdzie akurat werbowano ochotników.

Nie wszyscy tak chętnie jak ja odpowiedzieli na zew Zgromadzenia Narodowego. Zdarzało się, że przyszłych żołnierzy brano siłą, a oni równie zaciekle jak potem bili Prusaków, tak teraz bronili się przed czekającym ich losem.

Ciągnęliśmy więc na północ, każdego dnia zdobywając nowych rekrutów, a każdej nocy tracąc kilku z tych, którym udało się zapaść w pobliskie lasy.

Jakiż byłem wówczas szczęśliwy! Miałem obie ręce! Ale wcale nie zdawałem sobie sprawy z mego szczęścia. Obie ręce...! Mój Boże! Czy dlatego spotkała mnie kara, że wbrew woli ojca...? Nie wiem, ale często o tym myślałem. I bałem się wrócić. Właściwie postanowiłem nigdy nie wracać do Belcastel, a decyzję tę powziąłem nazajutrz po bitwie pod Valmy, odzyskawszy przytomność po operacji doktora Decaux. Wydawało mi się to wówczas najlepszą ucieczką od przeszłości i od wspomnień. Ale czy można uciec od własnej przeszłości i od własnych wspomnień? Przekonałem się, że nie. Rodzice, panna Gabriela i Belcastel - oto były pęta, z których nigdy nie zdołałbym się wyzwolić.

Rozłożyliśmy się obozem pod Chalons. Cóż to była za armia, ta zbieranina wszelkiej hołoty! Zaiste malowniczy przedstawialiśmy widok. Zamiast mundurów - łachmany. Część z nas nosiła długie buty, większość miała na nogach saboty, a byli i tacy, co szli boso. Głowy okrywała czerwona czapka frygijska, z rzadka wysłużony kapelusz, były też kaptury ze skórek króliczych, a wszystko ozdobione trójkolorową kokardą. Uzbrojenie różnorodnością odpowiadało "umundurowaniu": strzelby myśliwskie, bagnety, piki, szable i szpady, sierpy a nawet cepy, wszystko w pełnym nadziei oczekiwaniu na zdobyczną broń.

W tym lesie namiotów, wyrosłych pod Chalons, wśród rozpalonych ognisk snuło się nas z pięćdziesiąt tysięcy oberwańców, tych wszystkich, którzy z wolą lub pod przymusem poszli ratować Ojczyznę.

Rząd nad całą tą zgrają sprawował wielki Kellermann, Alzacyjny, pozostający wówczas pod rozkazami generała Dumourieza, głównodowodzącego Armią Północy.

Dumouriez zastąpił na tym stanowisku słynnego La Fayette'a, "obroncy wolności", który głośno objawił oburzenie na wieść o sierpniowych zajściach i tym samym naraził się Zgromadzeniu.

Wówczas to lud żądny krwi tyranów przypuścił szturm na Tuilerie i jak niegdyś Bastylię i Wersal, tak teraz zdobył to ostatnie na naszej ziemi gniazdo monarchii. Odtąd dla "tyrana" pozostało już tylko więzienie.

Owego więc dziesiątego sierpnia, uzbrojeni w strzelby, piki, bagnety i szable Paryżanie, wsparci pułkiem Marsylczyków, zatoczyli armaty i otworzyli ogień do broniących pałacu Szwajcarów.

Zwycięstwo z góry było przesądzone. Któż oparłby się takiej sile natarcia? Czyż ta garść zdrajców - arystokratów, trzymających się uparcie poły "tyrana" zdolna była stawić czoło potędze wolnego ludu?

Gdy szturmujący wdarli się do wnętrza, walka zamieniła się w rzeź. Wymordowano co do nogi Gwardię Królewską, czyli siedmuset pięćdziesięciu Szwajcarów, pokonano rojalistów bijących się z furią rozpacz o każdy metr śliskiej od krwi posadzki. Trupy zasłały główne schody pałacu - zdobywano stopień po stopniu, wypierając walczących jak szatany zwolenników tyranii. Goniono ich po strychach i poddaszach, rannych dobijano bagnetem lub wyrzucano przez okna na sterczące na placu piki patriotów - mścicieli. Rodzina królewska cudem uszła z życiem, chroniąc się pod opiekę Zgromadzenia.

Cóż to były za boje! Cóż za bohaterstwo! Wieści o tym przyniśli nam świadkowie do obozu pod Chalons, napełniając nas dumą i podniecając do walki.

Podejrzany o sprzyjanie rojalistom La Fayette został pozbawiony dowództwa. Ów "wzór patriotów" poczuł się zagrożony i by ratować głowę, z całym sztabem podobnych sobie zdrajców, opuścił obóz pod Sedanem, przeszedł granicę i oddał się Austriakom.

Mimo tak haniebnego postępku nie podniósł broni przeciw Ojczyźnie, za co posmakował więziennego chleba w magdeburskiej twierdzy.

Dumouriez więc i Kellermann poprowadzili nas do zwycięstwa. Ich to bowiem dziełem była tak zwana "kanonada pod Valmy", pierwszy oszałamiający sukces wojsk Rewolucji oraz tych wszystkich, których widok zrazu rozśmieszył, a wkrótce zmusił do ucieczki pysznego księcia Brunszwiku.

Deszcze rozmyły drogi, armaty grzęzły w błocie, a my umazani i przez to jeszcze bardziej przerażający, wzbudzaliśmy wstręt i pogardę u wroga. Piękne pruskie mundury i białe spodnie Austriaków wkrótce mało już się różniły od naszych łachmanów.

Spotkaliśmy się pod wioską Valmy. Kellermann konno, z lunetą przy oku ze szczytu pagórka wydawał rozkazy adiutantom.

Gdy zadudniły werble i zagrzmiały działa, jednym głosem huknęliśmy marsz Marsylczyków:

"Do broni, obywatele..."

I ruszyliśmy.

Nic nas nie mogło zatrzymać. Pędzeni szaleńczą wprost wolą zwycięstwa, ogłuszeni hukiem, oślepieni dymem wpieraliśmy się w pruskie szeregi niczym taran pchany tysiącem ramion, siekąc, waląc, dźgając, aby tylko poczuć pod ostrzem żywe mięso.

Ludzie krzyczeli, padali, podnosili się i znowu padali, żeby już nie powstać. Konie rżały, dudniły werble. A my ciągle szliśmy naprzód ze wzrokiem wbitym w trójkolorowy sztandar łopoczący na wietrze.

A potem, gdy zabrakło rąk, by utrzymać drzewce, i sztandar zapadł się w skłębioną masę ludzką setkami nóg wdeptany w błoto, nagle otworzyła się przede mną ziemia. Poczułem straszliwy ból w lewym ramieniu i straciłem przytomność.

Gdy po bitwie Kellermann nakazał zbierać rannych, znaleziono mnie oblanego krwią z poszarpaną ręką. To cud, że nie zostałem stratowany, ale padając potoczyłem się odrzucony wybuchem i to mnie uratowało.

Armia musiała ścigać wroga. Lżej rannych pozostawiono pod namiotami, mnie zaś i kilkunastu innych rozlokowano w pobliskiej wiosce. Wraz z dwoma żołnierzami trafiłem do domu zamożnego wieśniaka, którego żona i córka okazały nam wiele miłosierdzia.

Tam już dowiedziałem się o dalszych losach wojny, o zwycięstwie pod Jemmapes, o zdobyciu Mons i Brukseli.

Jemmapes!

Jeżeli kanonada pod Valmy wymiotła najeźdźców z francuskiej ziemi; Jemmapes w niespełna dwa miesiące potem było pierwszą zwycięską bitwą Rewolucji na obcym terytorium.

Wówczas to, szóstego listopada, stanęły naprzeciw siebie dwie armie: z jednej strony wyszkolone szeregi Austriaków, z drugiej Francuzi, gdzie wśród zawodowych żołnierzy wielu cywilów nie potrafiło jeszcze nagiąć się do wojskowej dyscypliny.

Po obu stronach artyleria, kawaleria, piechota. Jak bym ich widział!

Nad strojnymi szeregami Austriaków błyszczały bagnety. Głowę dałbym, że nie brakowało tam ani jednej sprzączki, ani guzika przy getrach! Za to nasi... Pożał się Boże! Ale naszymi dowodził generał Dumouriez, żołnierz z krwi i kości. Widziałem go pod Valmy i wiem, co potrafi. Podobno niegdyś król udekorował go za waleczność orderem świętego Ludwika.

Przez wiele dni tylko o tym gadaliśmy, tak nam to wszystko było bliskie. Moi dwaj towarzysze przeklinali Prusaków - jeden stracił nogę, drugi oko, a mimo to rwali się do bitwy.

Patrząc na nich mniej odczuwałem własną niedolę. Ja przynajmniej mogłem chodzić i miałem prawą rękę, a ten bez nogi nie pogodził się z kalectwem. Najpierw mówił o samobójstwie, wreszcie wpadł w melancholię i dopiero wiadomość o zwycięstwie pod Jemmapes wyrwała go z tego stanu.

- Zuch Dumouriez - wołał. - Czy widzieliście kiedy jego oczy? Ja raz znalazłem się blisko generała. Spojrzał na mnie. Nigdy tego nie zapomnę. Nikt nie ma takich oczu, to czarodziej. Z każdym zrobił, co chciał, gdy na kogo spojrzał. A taki wydaje się niepozorny. Niewielkiego wzrostu, szczupły, ale to żelazna siła.

- żelazna wola - mruknął mój drugi towarzysz, ten bez oka.

Kiedy już mogłem wstawać i wzmocniłem się na tyle, że zacząłem chodzić o własnych siłach, postanowiłem udać się do Paryża. A właśnie nadciągały tabory kierowane ku stolicy. Zabrano mnie na wóz i pojechałem.

Podróż trwała kilkanaście dni, wlekliśmy się noga za nogą, mnie się zresztą nie spieszyło. Dostałem nieco pieniędzy, ale nie zastanawiałem się wówczas, na jak długo wystarczy tej skromnej sumki. W ogóle o niczym nie myślałem. Tylko panna Gabriela stała mi ciągle przed oczami. Markiz, choć przestał już być markizem, stracił we mnie "rywala". Już na zawsze.

Stary kapral z drewnianą nogą, zatrudniony przy taborach, zapytał mnie raz, co zamierzam robić w Paryżu.

- Nie wiem - odparłem obojętnie.

- Czy masz tam znajomych?

- Nie mam.

- To jak myślisz żyć?

- Wszystko jedno jak.

- Głupi jesteś, czy co? - oburzył się.

- Może i głupi - odparłem bezmyślnie. - Ale na pewno bardzo nieszczęśliwy.

Widać go to wzruszyło.

- Ile masz lat?

- Osiemnaście.

- Osiemnaście i już bez jednej ręki - mruknął. - To co z tobą będzie?

- Czy to ważne, gdzie zdechnę? - Dość miałem tej indagacji. - Mnie tam wszystko jedno.

- Nie tak to łatwo zdechnąć, jak ci się wydaje - zauważył z goryczą. - Ja też tak kiedyś myślałem. - Stuknął w drewnianą nogę. - Jak ci sądzone życie, to czy chcesz, czy nie chcesz,

musisz żyć.

- Nie wiem, co mi sądzone.

- Tego nikt nie wie. - Zamilkł i nie odezwał się dłuższą chwilę.

Było mi wszystko jedno, co ze mną będzie. Nie zastanawiałem się nad najbliższą przyszłością. Nie miałem na to ani chęci, ani energii. Utraciwszy tak wiele krwi byłem jeszcze bardzo słaby.

Na postoju kapral wcisnął mi do ręki kawałek chleba z serem.

- Masz, zjedz - powiedział gderliwie. - Postaram ci się pomóc. - Głos mu nieco złagodniał. - Zapamiętaj adres: ulica Kordelierów numer 32. W podwórzu na parterze. Wdowa Clouet. Powtórz.

- Ulica Kordelierów 32. Wdowa Clouet - powtórzyłem posłusznie.

- Wdowa Clouet jest praczką - dodał kapral. - Może mógłbyś jej pomagać. Nosić wodę... Dałaby ci jaki kąt i miskę zupy. Powiesz, że przysłała cię Paweł Moulin. To ja - wyjaśnił.

Więcej nie było mowy o moim pobycie w Paryżu i ewentualnym zamieszkaniu u wdowy Clouet.

Stolica była coraz bliżej i pewnego dnia pod wieczór stanęliśmy przed bramą Świętego Marcina.

- Ja tu zostanę z taborem - powiedział kapral. - A ty rano, jak otworzą bramy, wejdiesz do miasta. A teraz śpij. I nie zapomnij pozdrowić ode mnie wdowy Clouet. To krewniaczka mojej nieboszczki.

Więcej go nie zobaczyłem. A rano, gdy tylko otwarto bramy, wszedłem do Paryża. Zapytany przez straż o papiery, wskazałem pusty rękaw i powiedziałem jedno tylko słowo: "Valmy".

Posłużyło mi ono za najlepszą przepustkę.

Miasto mnie oszołomiło ogromem i tłumami zalegającymi ulice. Ludzie popychali się, krzyczeli, coś sobie opowiadali. Kobiety z koszykami stały przed piekarnią czy sklepem rzeźnika. Twarze ich były mizerne, ale w oczach palił się jakiś niedobry ogień. Taki sam ogień widziałem w oczach kobiet w Rignac.

Od razu poczułem się zagubiony i nieszczęśliwy, głodny i zmęczony. I tak bardzo sam.

Ludzie wydzielali sobie ledwie wyszła spod prasy gazetę, wymyślali na tyranów i wrogów ludu, komentowali najnowsze zarządzenia Zgromadzenia Narodowego czy Konwentu. Ulica była jak gdyby miejscem spotkań, trybunałem i wielką halą targową.

Wlokłem się coraz wolniej, nie wiedząc nawet, czy idę w dobrym kierunku. Wreszcie upatrzyłem jakiegoś lepiej ubranego jegomościa i zapytałem o ulicę Kordelierów.

- Ciągle naprzód - machnął ręką - aż dojdiesz, obywatelu, do rzeki. Za mostem musisz się popytać. A to skąd? - wskazał pusty rękaw. - Czy spod Valmy?

Skinąłem głową.

I tak szedłem naprzód, a rzeki ciągle nie było. Zmęczony przysiadłem wreszcie na kamiennym występie przy jakiejś bramie. Młoda dziewczyna, która wracała widać do domu, spojrzała na mnie współczująco. Po chwili wyszła i podała mi kubek wody i niewielki kawałek chleba.

- To wszystko, co mogę ci dać, obywatelu - powiedziała dziwnie miękko.

Były to pierwsze dobre, serdeczne słowa, jakie usłyszałem.

Pokazała mi najkrótszą drogę do rzeki i dodała, że przed mostem będzie Chatelet, a most, na który mam wejść, nazywa się mostem Wymieniaczy.

Nie wiedziałem, co to właściwie jest owo Chatelet, wyobraziłem sobie jakiś zamek czy fortecę. Niewiele się zresztą pomyliłem, była to rzeczywiście twierdza broniąca dostępu do rzeki.

Przeszedłem pod ponurym sklepieniem i znalazłem się nad Sekwaną. Rzeka była dużo szersza niż nasz Aveyron i nie tak rwąca. Płynęła leniwie, popychając naładowane towarem barki. Na brzegu siedzieli rybacy.

Kramy i sklepiki ciągnęły się po obu stronach mostu, przedłużając jak gdyby ulicę, ale nie widziałem, co tam sprzedawano.

Niemłody mężczyzna z szyją obwiązaną trójkolorową chustką śpiewał zachrypłym głosem rewolucyjne kuplety. Była tam mowa o piekarzu, piekarce i piekarczyku, tak między innymi nazywano obelżywie króla, królową i delfina, czyli "tyranów".

Ludzie słuchali w ponurym milczeniu, widać było, że są głodni i zziębnięci. Czasem tylko wyrzucili z siebie przekleństwo lub bluznęli najordynarniejszym wyzwiskiem.

Włókłem się ostatkiem sił. Jakaś kobieta wskazała mi wreszcie ulicę Kordelierów. Odszukałem dom oznaczony numerem 32 i zapaściłem się w ciemną głąb bramy. Na podwórzu bawiło się kilkoro dzieci. Zapytałem o obywatelkę Clouet.

- To moja mama - zawołała siedmioletnia może dziewczynka i poszła przodem.

Okazało się, że z podwórza było przejście na drugi, mniejszy dziedziniec. Na rozciągniętych sznurach suszyła się tam bielizna.

Dziewczynka wprowadziła mnie do sieni i pospieszyła uprzedzić matkę.

Wdowa Clouet była jeszcze młoda, dość miłej powierzchowności. Wyglądała bardzo schludnie w czystym fartuchu na pasiastej spódnicy. Spod czepka wysuwały się jasne włosy.

- Przychodzę z pozdrowieniem od Pawła Moulin - zacząłem nieśmiało, nie wiedząc, jak przedstawić moją prośbę.

Skinęła głową, ale milczała. Nie przychodziła mi z pomocą.

- Kapral Moulin dał mi twój adres, obywatelko - podjąłem, zebrawszy się mimo jej milczenia na odwagę. - Wracam spod Valmy i jak widzisz, mam już tylko jedną rękę.

Nic się nie odezwała, wpatrzona w pusty rękaw mojego kaftana.

Postałem chwilę, a nie doczekawszy się ani słowa, odwróciłem się, by odejść. Co było dalej nie pamiętam.

Obudziłem się w łóżku, wdowa Clouet pochylała się nade mną. Wilgotną ręką przesunęła mi po twarzy.

- Zemdlełeś - wyjaśniła, jak gdyby odpowiadając na moje nieme pytanie.

- Przepraszam. - Było mi niewymownie przykro. Wstydiłem się mojej słabości.

- Nie ma za co. - A zwracając się do córki dodała: - Przynieś wody.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, jak dziękować, tak się wstydiłem.

- A więc mój krewniak dał ci ten adres? - popatrzyła na mnie przenikliwie.

- Kapral Moulin - wyszeptalem. - Z nim razem przybyłem do Paryża.

- Gdzież on? - spytała.

- Został przy taborach.

- A ciebie przysłał do mnie? - Badała, jak gdyby nie bardzo wierząc, że adres jej dostałem rzeczywiście od Pawła Moulin.

- Zaraz sobie pójde - poszukałem wzrokiem ubrania. Teraz dopiero zauważyłem, że miałem na sobie cudzą koszulę.

- Ubranie twoje w balii - powiedziała, uśmiechając się pierwszy raz. - Strasznie brudne. Widać nie jesteś byłym arystokratą, nie masz nawet koszuli na zmianę.

- Nie mam - przyznałem pokornie - i żaden ze mnie arystokrata.

- Nie bój się, żartowałam - pogładziła mnie po głowie. - Możesz zostać, póki nie znajdziesz lepszego mieszkania.

Zostałem więc u wdowy Clouet i zająłem małą komórkę za sienią. Było tam bardzo zimno i wilgotno. Bolało mnie ramię, ale nie miałem innego schronienia. Starłem się być użyteczny. Wynosiłem wiadra brudnej wody, chodziłem po zakupy, stałem godzinami przed piekarnią po bochenek ciemnego chleba, szorowałem kamienne płyty podwórza, robiłem wszystko to, co można było wykonać jedną ręką. Odnosiłem także klientom pranie i zabierałem tobołki z brudną bielizną. Wkrótce poznałem lokatorów z całej prawie kamienicy. Miałem nadzieję, że nie jadłem darmo chleba, a zapracowałem uczciwie na swoje utrzymanie.

Od czasu do czasu po wdowę Clouet zajeżdżał wózek. Pomagałem wówczas ładować kosz z upraną bielizną, praczka zabierała córkę i odjeżdżały. Nie było ich przez pół dnia. Nigdy mi nie mówiły, dokąd jadą i czyją bieliznę do prania przywożą wracając. Milczała nawet mała Julka, z którą byłem przecież bardzo zaprzyjaźniony.

Gdy bielizna była gotowa, pomagałem mojej gospodyni policzyć czyste sztuki i ułożyć je starannie w koszu, przykrywając kawałkiem płótna. Na wierzchu leżała zawsze kartka ze spisem.

Były tam prześcieradła, poszewki, ręczniki, koszule męskie, damskie i dziecinne, chustki,

pończochy i kaftaniki. Koszule uszyto z dość cienkiego batystu, nie ozdobiono jednak ani odrobiną koronki, były to rzeczy skromne, nie świadczące o zamożności klienta.

Wkrótce w kamienicy miałem już znajomych, a nawet przyjaciół. Ot, choćby dwaj młodzieńcy z pierwszego piętra zajmujący wysokie stanowiska w Sekcji. To oni - jak opowiadała Julka - ratowali mnie, gdy zemdlałem. Akurat znajdowali się w podwórzu. Podnieśli mnie z ziemi i pomogli ułożyć na łóżku. Jeden nazywał się Brutus Hulin, drugi Kasjusz Peltier. Zajmowali dwa pokoje na pierwszym piętrze, a od ich sąsiadki, starej obywatelki Thouret dowiedziałem się, że dawniej nosili zupełnie inne imiona.

- Na Rzymian pozują, bo to teraz w modzie - mówiła z pogardą. - Przybrali sobie pogańskie imiona. Naprawdę to jeden nazywa się Józef, drugi Marcin. Hołota!

- Ciszej, obywatelko - upomniałem ją.

- Nie boję się, stara jestem, niejedno widziałam. Ale takich durniów...

- To dobrzy chłopcy - przerwałem. - Okazali mi wiele serca. Ratowali mnie jak swego.

- Bardzo dobrzy - mruknęła. - Tylko w głowach im się przewróciło. Powiedz wdowie Clouet, że w ostatnim praniu zupełnie podarła mi halkę.

- Powiem - obiecałem, ale nie dotrzymałem obietnicy. Po co miałem sprawiać przykrość mojej dobrodziejce?

Brutus i Kasjusz nieraz zapraszali mnie na zebranie Sekcji, nigdy jednak nie miałem na to czasu. W ogóle prawie nie wychylałem się za bramę, chyba tylko po chleb, by wyręczyć moją gospodynię.

Gdy raz odniosłem pranie obywatelce Thouret, stara mnie zagadnęła:

- Cóż ta twoja praczka, znowu wczoraj była w więzieniu Temple?

- W więzieniu Temple? - zdumiałem się. - Nic o tym nie wiem.

- Wóz przecież po nią przyjeżdżał - zauważyła. - Pierze bieliznę króla i jego rodziny.

- Co też mówisz, obywatelko! - obruszyłem się.

- Widzę, że nie wiesz, co się koło ciebie dzieje - zaśmiała się szyderczo. - A ja, ot, wiem wszystko, tylko milczę.

- Milczże, obywatelko, nie daj Boże krzywdy dla wdowy Clouet.

- Głupi jesteś - wzruszyła ramionami. - Przecież nie robi tego po kryjomu. Konwent ją wynajął i dobrze płaci za opieranie więźniów. Król, choć zamknięty w wieży, jak każdy potrzebuje czystej koszuli. A tam ich jest... zaraz... jedno, dwa, trzy... pięcioro.

- Pięcioro? - zdziwiłem się.

- Król, królowa, dwoje dzieci i siostra królewska. Razem pięć osób. Cóż tak na mnie patrzysz?

- Skąd to wszystko wiesz, obywatelko?

- O tym wszyscy wiedzą, to nie tajemnica. - Poklepała mnie po ramieniu. - Lubię cię, dobrze ci z oczu patrzy. Powinieneś wiedzieć, co się w naszej Francji święci. A ty jak tabaka w rogu.

- Nic nie wiem - przyznałem. - Cały dzień jestem zajęty, ani chwili czasu, zresztą nie znam nikogo w Paryżu, a i miasta prawie nie widuję. Tyle co wyskoczę po chleb. A tak chciałem dowiedzieć się, zobaczyć na własne oczy...

- Zdrowo cię wyzyskuje ta twoja dobrodziejka - znowu zaśmiała się urągliwie. - A ty harujesz dla niej jak bydło.

- Wdzięczny jestem za kąć i jedzenie - zaprotestowałem. - A robić niewiele mogę z jedną ręką.

Dziwna ta obywatelka Thouret. Mieszka skromnie, w pokoiku z kuchnią na końcu korytarza, sprzętów u niej mało, tylko niezbędne i to bardzo ubogie. Ale wyraża się tak jakoś inaczej niż te wszystkie kumoszki, które znam. Od razu zrozumiałem, że nie była zwolenniczką Rewolucji. I tak ostro skrytykowała obu przyjaciół, mieszkających opodal. Brutus i Kasjusz... Piękne imiona, bardzo mi się podobały. Cóż z tego, że rzymskie? O starożytnym Rzymie dużo teraz mówią i wysławiają republikańskie cnoty jego obywateli. A ci dwaj... zawsze bardzo eleganccy, szczególnie jak idą na zebranie. Brutus opasuje się wówczas trójkolorową szarfą, a Kasjusz przypina szpadę do boku. Od razu widać, że to wysokie jakieś figury w tej ich Sekcji.

- A wiesz ty - powiedziała raz obywatelka Thouret - kto to był ten Brutus?

- Nie wiem, ale pewnie jakiś wielki rewolucjonista.

- Otóż to, rewolucjonista - i znowu zaśmiała się tym swoim nieprzyjemnym śmiechem. - Łotr i niewdzięcznik, ot, czym był - wyrzuciła gwałtownie. - Zabił zdradziecko swojego dobrodzieja, ojca prawie, zdradziecko, słyszysz? Wbił sztylet w serce człowieka, który mu ufał i kochał jak syna. Taki to bohater. I takich teraz czczą ci głupcy - prychnęła z pogardą. - Możesz zaskarżyć mnie do Sekcji - dodała trzęsąc głową. - Ale wiem, że tego nie zrobisz. Nie wyglądasz na Judasza.

- Obywatelko - zacząłem - nie jestem Judaszem i...

- Wiem, wiem, nie tłumacz się - przerwała - dobrze ci z oczu patrzy, dlatego cię ostrzegam. Miej się przed tymi dwoma na baczności.

- Jestem rewolucjonistą - zawołałem.

- Wierzę w to - zaśmiała się. - Ale już nie na długo. Gdy Rewolucja utopi we krwi wszystkie swoje ideały, ty też zmienisz wówczas przekonania, choć na to trzeba jeszcze trochę poczekać.

- Kim pani jest? - zapytałem, zapominając tytułować ją obowiązującą formą "obywatelko".

- Ja? - Popatrzyła na mnie z ukosa. - Starą kobietą stojącą nad grobem. Gdy się ma tyle lat i tyle przeżyło, nic już nie jest straszne. Nawet gilotyna. I wszystko widzi się inaczej, o wiele wyraźniej z perspektywy czasu. Lubię cię - położyła mi rękę na ramieniu, chudą i pomarszczoną, ale dziwnie kształtną. - Przypominasz mi młodość i kogoś, kto był dla mnie wszystkim, a potem stał się niczym. Jesteś równie gorący i nieujarzmiony, ale życie ciebie ostudzi, a Rewolucja... o, ta wiele cię nauczy. Obyś tylko nie stracił głowy, bo o to teraz coraz łatwiej.

Wyszedłem od niej zupełnie oszołomiony. Takiej osoby jak ona dotąd jeszcze nie znałem. Mówiła tak, jak gdyby widziała przyszłość i wypadki ukryte przed ludzkim okiem. Była mądra, ale ta mądrość mnie przerażała.

Gdy po paru dniach spotkałem Kasjusza Peltier, zapytałem go, kim był jego patron i co uczynił wielkiego.

- Razem z Brutusem zabił tyrana - odparł pompatycznie. - A wiesz ty, obywatelu, kim był Brutus?

- Wiem - pospieszyłem z odpowiedzią. - Już mnie pouczone.

- To dobrze. Przyjdź kiedy do naszej Sekcji. Poznasz tam wielu prawdziwych patriotów i dowiesz się rzeczy, które powinien znać każdy wolny obywatel Republiki.

Następnego dnia obywatelka Thouret zaprosiła mnie na kolację. Opowiedziałem jej o rozmowie z Kasjuszem.

- To szubrawiec, a nie patriota - rzuciła pogardliwie. - Ty przynajmniej broniłeś granic Francji i byłeś pod Valmy, a te dwa hultaje potrafią tylko gardłować na tych swoich zebraniach. Żaden z nich nie odpowiedział na apel "Ojczyzna w niebezpieczeństwie". Żaden nie wstąpił do wojska, choć to zdrowe byki. Ale bohaterowie bywają zazwyczaj na miarę swoich czasów.

Coraz częściej pukałem teraz do drzwi na końcu korytarza. Mimo tak krytycznego spojrzenia na Rewolucję, obywatelka Thouret była jedyną osobą, z którą mogłem szczerze rozmawiać. Poza tym wierzyłem w jej życzliwość. A bardzo tego potrzebowałem. Byłem pierwszy raz w życiu zupełnie sam, coraz bardziej tęskniłem za domem, za naszym zamkiem, za rodzicami. Nocami nie mogłem spać i mimo zmęczenia całonocną dreptaniną zamiast odpoczynku znajdowałem udrękę wspomnień. Belcastel i panna Gabriela... panna Gabriela i Belcastel.

Właściwie mogłem wrócić, rzucić wszystko i choćby jutro udać się w drogę. Na południe. Wiedziałem, że żołnierza spod Valmy poratują ludzie i dopomogą dostać się do domu. Nie śmiałem jednak. Z Belcastel uciekłem jak złodziej, wbrew woli ojca, a pokazać się teraz okaleczonym... Nie, nie, na to nie starczyłoby mi odwagi.

Ponadto chciałem się wreszcie przyjrzeć z bliska tej Rewolucji, którą tak podziwiałem z daleka. Tu znajdowałem się w samym sercu wielkich wydarzeń, mogłem być wiarygodnym świadkiem zajęć, które przejdą do historii. Chciałem poznać tych ludzi, o których czytałem w gazetach. Uwiązany obowiązkiem nie mogłem jednak dogodzić swoim pragnieniom. Cóż powiedziałyby wdowa Clouet, gdybym zamiast jej służyć, wymykał się na miasto?

Obywatelka Thouret zaspokajała w pewnym stopniu moją ciekawość, choć wiele wydarzeń widziała w fałszywym świetle, przeinaczone, wypaczone jej niechęcią do Rewolucji. Ale była

bardzo stara i nie mogłem mieć jej tego za złe. No i lubiła mnie.

- Pochodzisz z pięknego Południa - powiedziała pewnego razu. - Tam ludzie są inni, lepsi, mają gorące serca, nie są tak okrutni i wyrachowani - patrzyła w okno i wzdychała.

To samo mówiła kiedyś panna Gabriela.

- Skąd pani wie, że pochodzę z Południa? - Gdy byliśmy sami nie ośmielałem się jakoś używać wobec niej form przepisanych przez nowy rewolucyjny "kodeks towarzyski".

- Zdradza to twoja mowa, miękka i śpiewna.

- Jestem z Rouergue - wyjaśniłem.

- Rouergue - pokiwała głową. - Niedostępne skały, zamki na szczytach wzgórz, niezdobyte twierdze postawione przed wiekami na straży tej prastarej prowincji. Cóż z tego teraz zostanie? Mój Boże!

- Czy nie wierzy pani, że Rewolucja jest sprawiedliwa? - wybuchnąłem. - że nie krzywdzi niewinnych, a tylko karze złoczyńców, że ludziom przyniesie szczęście?

- Sprawiedliwy jest tylko Bóg, a Rewolucja odrzuciła Boga. Ludzie zaś... jak to ludzie - westchnęła. - Pragną władzy i użycia, pieniędzy i swawoli. I będą brodzić we krwi, by te cele osiągnąć. Bóg im przeszkadzał, wolą służyć innemu panu. - Zamilkła, a potem nagle spytała: - czy wiesz, co tu się działo we wrześniu?

- We wrześniu biłem Prusaków - odparłem dumnie.

Pokiwała głową i dotknęła pustego rękawa.

- Ale czy wiesz, co działo się tu, w Paryżu i w innych miastach Francji?

- Wrzesień pozostanie na zawsze chwalebny miesiącem Valmy.

- Ale też i haniebnym wspomnieniem wrześniowej masakry - powiedziała surowo. - Nie słyszałeś o tym?

- Słyszałem, że lud słusznie ukarał zdrajców i arystokratów.

- Słusznie... - wzdrygnęła się i poruszyła ustami, ale nic nie powiedziała.

Nie pytałem o szczegóły tych krwawych wydarzeń, wiedziałem, że zbyt się różnimy w poglądach na Rewolucję.

- Coś za często kręcisz się koło tej starej wariatki, obywatelu - zaczepił mnie raz na schodach Brutus Hulin, wskazując drzwi obywatelki Thouret.

- Odniosłem jej pranie, biedna staruszka niedomaga.

- Biedna staruszka! - burknął. - To wróg Republiki. żeby nie była taka stara, dawno Już znajdowałyby się w więzieniu.

- Co mówisz, obywatelu? - przeraziłem się.

- Wystarczy na nią popatrzeć, by wiedzieć, co to za jędza. Nasza Sekcja od dawna ma na nią oko.

- Cóż może szkodzić taka stara kobieta? - próbowałem bronić mojej przyjaciółki.

- Stare wiedźmy są najgorsze i najbardziej niebezpieczne - rzucił głową obywatel Hulin. - Wrogowie Republiki nie śpią. Czy nie starała się namówić cię do swoich niecnych knoń, ta twoja "biedna staruszka", co?

- Mnie? - oburzyłem się. - Jestem rewolucjonistą i republikaninem. Obywatelka Thouret to kobieta stara i niedołączna, chętnie oddaję jej czasem drobną przysługę. Nie wyobrażam sobie, co mogłaby knuć.

- Pamiętaj, obywatelu, donieść mi natychmiast, gdybyś posłyszał lub zauważył coś podejrzanego. Jesteś bardzo młody i niedoświadczony, a zdrajcy są wszędzie. Tyran ma jeszcze zaprzędanych sobie popleczników i póki się im nie utnie głowy... - Nasadził kapelusz z olbrzymią trójkolorową kokardą i obciągnął kwiecistą kamizelkę wyglądającą spod granatowego fraka.

Odeszła mnie jakoś sympatia do eleganckiego Brutusa. Od razu pobiegłem do obywatelki Thouret i powtórzyłem to, co usłyszałem. Błagałem ją, aby była ostrożniejsza w wypowiedziach.

- Wiem, że utopiliby mnie w łyżce wody - uśmiechnęła się wyrozumiale. - Bądź o mnie spokojny - dodała - nic mi nie zrobią. Jestem za stara na więzienie i nie miałabym nawet siły wdrapać się na szafot.

Odtąd żyłem w ciągłym o nią niepokojem.

Aż raz na naszym drugim podwórzu zjawił się Kasjusz Peltier.

- Ogarnij się, obywatelu - spojrział na mnie z góry - zabieram cię na zebranie naszej Sekcji. Czas najwyższy, żebyś posłuchał przemówień i dowiedział się, czym jest Rewolucja i jakie dobrodziejstwa przynosi naszemu ludowi. Porozmawiam z obywatelką Clouet, z pewnością uwolni cię na jedno popołudnie.

- Nie mam innego ubrania - wyznałem ze wstydem.

- To nic - stwierdził łaskawie. - Łachmany uciemienionych budzą więcej szacunku niż atłasy tyranów - dotknął jedwabnej kamizelki.

Niestety, moja wizyta w Sekcji nie doszła tym razem do skutku. Praczka oznajmiła, że czeka na wehikuł, który zawiezie ją do więzienia Temple, ma tam odstawić upraną bieliznę i moja pomoc jest jej niezbędna.

- Chodź tu - zawołała na mnie - trzeba sprawdzić wszystko ze spisem i ułożyć porządek w koszu. Aż szkoda mojej pracy! - wybuchnęła nagle. - Tam będą wytrząsać każdą sztukę i wywracać na wszystkie strony, a kartkę potrzymaną nad ogniem w nadziei, że wykryją jakieś sekretne pismo - mruzczała gniewnie. - Niektórzy z dozorców korzystają z sytuacji i dorzucają swoje brudy. Wszystkiego im mało, nie dość, że mają wikt i darmowe mieszkanie, chcą jeszcze, żeby ich opierać na koszt Konwentu. Chamy!

Pierwszy raz wdowa Clouet wyraźnie powiedziała mi, czyją to bieliznę odwozi trzy razy w miesiącu i dokąd ją dostarcza.

- I widzisz więźniów, obywatelko? - spytałem.

- Jak ciebie widzę - wzruszyła ramionami. - Tacy sami ludzie jak wszyscy - dodała.

- Mamo - Julka pociągnęła matkę za spódnicę - zabiorę swoje lalki i zabawki. Mogę?

- Dobrze, dobrze, nie przeszkadzaj! Zaraz przyjadą, a ja jeszcze nie gotowa. Czy pończochy policzone? - zwróciła się do mnie czerwona ze zdenerwowania.

- Policzone. Zgadza się ze spisem. A po co ci lalki? - spojrzałem na Julkę.

- Bawi się z chłopcem - wyjaśniła praczka. - Zobacz, ile w spisie koszul pani Elżbiety? Tu mam tylko dwie.

- W spisie jest sześć damskich koszul.

- W porządku. Osobno muszę spakować rzeczy dozorca Tisona i jego żony. Wszystko chcą mieć za darmo, hultaje - mruknęła ze złością.

- Czy to nosi mały Kapet? - Wskazałem leżący na wierzchu kaftanik.

- Tak, a tu jego koszule i pończochy. Julko, nie ruszaj, bo pobrudzisz.

- Mamo, dlaczego nazywają go Kapetem?

- Bo to jego nazwisko. Odsuń się, nie widzisz, że nie mam czasu?

- Bardzo lubię bawić się z Ludwikiem Karolem - oznajmiła dziewczynka. - Ale on ma niewiele zabawek. O, już przyjechali.

Pomogłem umieścić kosz na dnie wózka, praczka z córką wsiadły i zostałem sam.

Zastanawiałem się, co mam zrobić z wolnym czasem, odwiedzić obywatelkę Thouret, jak to czyniłem zazwyczaj, czy też pójść na zebranie Sekcji. Byłem ciekaw i chciałem posłuchać przemówień i wreszcie dowiedzieć się prawdy. Prawdy o Rewolucji. Wolałem nawet przyjść sam, nie chciałem kompromitować eleganckich sąsiadów moim bardziej niż nędznym wyglądem.

W drodze spotkałem obywatela Simon, który wraz z żoną zajmował niewielki pokój na trzecim piętrze naszego domu.

Obywatel Antoni Simon, jak mówiono, był z zawodu szewcem, nikt jednak nie widział go z dratwą czy pocięgłem w rękę. Za to znano go powszechnie jako wybitnego działacza w Sekcji, a nawet w Komunie miasta Paryża.

Żona jego podobno zasłużyła się bardzo pielęgnując rannych, którzy w sierpniu zdobywali Tuilerie. Nie pomieściły ich paryskie szpitale, wielu złożono w byłym klasztorze Kordelierów, gdzie też mieściła się siedziba Sekcji naszego dystryktu.

Oboje Simonów znałem jedynie z widzenia często spotykając ich na schodach, nie korzystali bowiem z usług wdowy Clouet, obywatelka Simon sama dawała sobie radę z praniem.

- Cóż to, obywatelu - zagadnął mnie szewc - nareszcie zdecydowałeś się przekroczyć nasze

progi? Dotąd nigdy cię tu nie widziano.

- Dawno chciałem wybrać się na zebranie - znajdowaliśmy się już na terenie klasztornych zabudowań. - Wciąż brak mi było czasu. Z jedną ręką nie jestem taki sprawny jak dawniej.

- Słyszałem, że byłeś pod Valmy - uśmiechnął się łaskawie. - Chwali ci się to, chwali.

- Nie ja jeden byłem - burknąłem. - I gdyby nie brak ręki biłbym się dalej.

- My się tu też bijemy - zauważył po chwili - gromimy wrogów Republiki i karzemy zdrajców. A ot już jesteście na miejscu. Wejść, obywatelu. Sala, jak widzisz, pełna.

To, co szewc Simon nazywał salą, w rzeczywistości było nawą olbrzymiego kościoła. W opuszczonych przez franciszkanów budynkach ulokował się od niedawna klub kordelierów, przyjmując nazwę od miejsca, tę samą, którą niegdyś nosili braciszczowie. Klub ten – jak dowiedziałem się później - założyli trzej wybitni rewolucjoniści: Danton, Marat i Kamil Desmoulins nadając mu nazwę "klubu przyjaciół praw człowieka i obywatela".

Zbierało się tu, jak mogłem się przekonać, wielu mężczyzn z naszego dystryktu, a nawet z dalszych dzielnic miasta, klub ten bowiem w przeciwieństwie do klubu Jakobinów był otwarty dla wszystkich, nie tylko dla członków. Zebrania były publiczne i każdy mógł stanąć na mównicy.

Spotkałem tam robotników, studentów z pobliskiej Sorbony, rzemieślników, sklepikarzy, a nawet pisarzy z adwokackiej kancelarii. Wszyscy byli rozgorączkowani i głośno wyrażali "tyranom, zdrajcom i arystokratom".

Podniósłszy wzrok ku gotyckiemu sklepieniu poczułem się nieswojo. Ogromny kościół ział pustką, odarty z wszelkich oznak kultu. Hen, wysoko, przez wybite witrażowe okna wpadał wicher i hulał po opuszczonym wnętrzu. W bocznych kaplicach świeciły świeżymi ranami poobijane ściany - dość bezceremonialnie pozbyto się tu nagrobków i posągów, kamiennych figur i ołtarzy.

W jednej z naw wielkie gwoździe znaczyły miejsce, gdzie niegdyś wisiał krzyż.

Było mi coraz bardziej przykro, czułem jak gdyby wstyd. Przy wejściu nie obnażyła się żadna głowa, każdy wchodził jak do karczmy, a przecież to miejsce...

Widać nie byłem jeszcze dostatecznie uświadomiony. "Słaby ze mnie republikanin i rewolucjonista - pomyślałem. - Powiniennem częściej tu zaglądać, oswoić się..." Obawiałem się jednak, że będzie to bardzo trudne.

Tymczasem na mównicy jakiś młody człowiek w czerwonej czapce, spod której czarne włosy spływały mu prawie do ramion, zaciśniętą pięścią wyrażał niewidzialnym wrogom i krzychał:

- Obywatele! Utrzymywanie tyrana i jego rodziny za drogo nas kosztuje. Po co hodujemy to jaszczurcze plemię? Czy chcecie doczekać się, by wilczym szczeniętom wyrosły kły i pazury? Doktor Guillotin nie po to udoskonalił swoją machinę, by próbować jej działanie na owcach i baranach!¹

- Dobrze gada! - wrzasnął stojący obok mnie wielki drab ze zmierzwioną czupryną i szyją okręconą czerwonym szalikiem. Nie miał pewnie koszuli i otulał się za obszernym na niego kaftanem. - Pod nóż ich wszystkich! A głowy do kosza!

- Do kosza! - zawtórował tłum.

- Cicho, obywatele! - Przewodniczący siedzący za stołem w dawnym prezbiterium zastukał młotkiem w gołe deski. - Obywatel Brutus Hulin ma głos.

Mój elegancki sąsiad musiał cieszyć się tu wielkim poważaniem. Opasany trójkolorową szarfą, wstał powoli z wysoko podniesioną głową. Wyglądał zupełnie inaczej, nie ten sam wesoły młodzieniec spotykany na schodach. Teraz był ważny i uroczysty, spoczywały na nim setki oczu, był świadom roli, jaką odgrywał w tej sali, świadom wysokiej pozycji, jaką zajmował wśród tego zgromadzenia.

- Obywatele - zaczął i nawet głos jego brzmiał inaczej. - Pragnę przypomnieć wam przemówienie obywatela Robespierre'a, gdy omawiano sprawę postawienia przed sądem Ludwika Kapeta. Już obywatel Saint just dziwił się naszej ciemnocie. "Jak to - wołał - chcecie sądzić tyrana, gdy dwa tysiące lat temu wystarczyło trzydziestu pchnięć sztyletem, by zabić Cezara? Prawem wówczas była wolność Rzymu. Ludwik musi zginąć, zbrodnia jest być królem. Zabójca Ludwika

¹ Wszystkie fragmenty przemówień w Sekcji, w Konwencji i Trybunale oraz urywki artykułów z prasy są autentyczne; tłumaczenie autorki.

zyska chwałę obrońcy ojczyzny!" Obywatel Robespierre ujął to jeszcze dosadniej. "Nie wolno dopuścić do procesu Ludwika. Postawić go przed sądem znaczyłoby podać w wątpliwość jego zbrodnie. Sąd może go uniewinnić, a wówczas cały naród byłby winowajcą. Naród jest sędzią, ale nie sądzi jak trybunały, nie wydaje wyroków. Naród rzuca pioruny, druzgocze i unicestwia." Oto, co powiedział. A potem dodał: "Jestem wrogiem kary śmierci. Kara śmierci staje się zbrodnią, gdy nie usprawiedliwia jej bezpieczeństwo narodu. Ludwik musi umrzeć, aby ojczyzna żyła".

Trudno opisać hałas, oklaski i okrzyki, jakie wybuchły po ostatnich słowach mówcy. Ludzie chyba oszaleli. Brutus Hulin spoglądał na całe to zgromadzenie mrużąc oczy i wydymając usta.

Po nim przemawiało jeszcze wielu mówców, ale ja byłem już tak zmęczony, że ledwie trzymałem się na nogach. Z trudem przecisnąłem się do wyjścia. Chłodny wiatr orzeźwił mnie. W kościele było zimno, ale i duszno zarazem, duszno od rozpalonego nienawiścią tłumu. Nienawiść przesyciła powietrze, ludzie oddychali nienawiścią, dławili się nią, nie było w nich żadnych innych uczuć prócz chęci zemsty i odwetu.

I przestraszyłem się. Pierwszy raz zza ludzkiej twarzy wyjrzała ku mnie bestia. Przestraszyłem się, że i ja... że i ja mógłbym tak samo...

Szedłem prędko byle dalej, byle znaleźć się już w domu i od razu pospieszyłem do obywatelki Thouret. Wiedziałem, że ona jedna potrafi przywrócić mi spokój i równowagę oraz wiarę w moje człowieczeństwo.

IV

Siedemnastego stycznia o dziewiątej wieczorem, po trzydziestu sześciu godzinach burzliwych deliberacji, Konwent podał do publicznej wiadomości wynik głosowania.

Trzystu sześćdziesięciu jeden członków opowiedziało się za karą śmierci. Trzystu sześćdziesięciu przeciwko niej. Jeden więc głos przeważył i ten jeden skazał na śmierć Ludwika Kapeta.

Zastanawiano się, czyj był to głos. Snuto na ten temat wiele przypuszczeń. Czy przypadkiem kuzyn królewski, zawistny Filip Orleański, który kazał się nazywać Filipem Równością, nie pochwyił tej jakże szczęśliwie nadarzającej się okazji, by w legalny sposób, nie narażając się na potępienie, pozbyć się znieawidzonego krewniaka.

dużo o tym mówiono. Może to zresztą były tylko domysły i supozycje, nikt przecież nie wiedział nic pewnego.

Konwent szybko uwinął się z królewskim procesem, przeprowadziwszy akt oskarżenia poprzez wszystkie fazy sądowej procedury aż do skazującego wyroku.

Egzekucjęznaczono na dwudziestego pierwszego stycznia. W mieście zawrzało. Moi dwaj sąsiedzi, Brutus i Kasjusz, całe dni teraz spędzali poza domem, a gdy czasem natknąłem się na nich na schodach czy na podwórzu, wyglądali tak, jak gdyby spotkało ich coś bardzo pomyślnego.

- Mam nadzieję, obywatelu - zagadnął mnie raz ze śmiechem Brutus Hulin - że zechcesz nareszcie przekonać się naocznie, jak gładko goli nasza narodowa brzytwa? - Tak nazywano gilotynę.

- Jak patriotycznie skraca zdrajców i arystokratów - dodał Kasjusz. - Tego dnia cały Paryż znajdzie się na placu Rewolucji. Będzie to prawdziwe święto wyzwolenia i koniec tyranii.

Postanowiłem już dawno przyjrzeć się straszliwej machinie i na własne oczy ujrzeć jej działanie.

Doktor Guillotin uchodził za dobroczyńcę i filantropa. Czyż jego wynalazek nie był najbardziej humanitarnym i sprawiedliwym narzędziem śmierci?

Minęły te czasy, gdy łotrów i bandytów łamano kołem, pospólstwo wieszano, a jedynie szlachetnie urodzonym obcinano głowę mieczem.

Teraz nastał czas równości, nie było już możnych i maluczkich, kara śmierci dla wszystkich powinna być jedna i taka sama. Doktor Guillotin więc, jako prawdziwy patriota i rewolucjonista zbudował maszynę traktującą jednakowo nieubłagane wszystkich skazańców. Była to równość wobec śmierci, a Rewolucja i tu dosięgła ideału.

Dzięki wynalazkowi doktora Guillotin zręczny kat w ciągu czterdziestu sekund pozbawia skazańca głowy. Nie pobrudzi przy tym rąk ani kaftana, gdyż uczyni to w sposób mechaniczny. Wystarczy, by przeciął sznur przytrzymujący ostrze, a pięćdziesięciokilogramowy nóż spadając wykona za niego krwawą robotę.

Jeżeli rola kata sprowadza się wyłącznie do przecięcia sznura, nie wiemy, jak tę operację znosi delikwent. Może dla niego nie jest to ani tak proste, ani łatwe.

Ja też raz skazałem w myśli na taką właśnie śmierć mojego rywala markiza. Może kat miasta Paryża wykonał na nim wyrok, który wydałem z nienawiści, opętany zazdrością i wbrew sumieniu? Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem.

W noc poprzedzającą egzekucję Ludwika, Paryż ani na chwilę nie zmrużył oka. Gwardia Narodowa stanęła pod bronią, ściągnięto do stolicy oddziały wojskowe z całego departamentu. W obawie, by wrogowie Rewolucji nie wdarli się do miasta i nie odbili więźnia, zamknięto bramy i wzmocniono strażę.

Od piątej rano dudnią po bruku armaty, jaszczce z prochem i amunicją. Jak na odparcie oblężenia! Stukają kopyta końskie - to kawaleria udaje się na miejsce kaźni. Miarowy krok żołnierzy znaczą pozycje zajmowane przez piechotę.

Patrole złożone z patriotów i gwardzystów przebiegają ulice, wyłapują obywateli podejrzanych

o sprzyjanie rojalistom. Na wszystkich rogach stoją posterunki, tłumy kłębią się na przejściach i chodnikach.

Już o świcie, za zgodą wdowy Clouet, wyszedłem z domu i wmieszałem się w gromady ciągnące ku rzece. Mrowie zalało mosty. Z trudem docisnąłem się do placu. Na szarym niebie rysowała się wyraźnie przerażająca sylweta gilotyny. Nie opodal sterczał pusty cokół po zwalonym posągu Ludwika XV.

Gwardia Narodowa konno otaczała szafot, dokoła błyskały bagnety i piki żołnierzy, którzy z trudem powstrzymywali napierających Paryżan.

- Za wielki to honor dla tyrana taki pokaz sił zbrojnych - posłyszałem za plecami gruby głos jakiegoś sankiuloty * w długich pasiastych spodniach i u rozchełstanej mimo chłodu koszuli, wyglądającej spod noszonej powszechnie karmanioli. Modę na ten rodzaj krótkiego kaftana przynieśli niedawno do Francji robotnicy z Piemontu.

Nikt mu nie odpowiedział. Ludzie stali milczący, słychać było tylko dudnienie werbli. Czuło się w powietrzu napięcie i jakieś oczekiwanie jak gdyby cudu.

Chwilami masa ludzka falowała niczym zboże, gdy przez gęstwinę kłosów przemyka się zając uciekający przed sforą. Pojedyncze postacie ze szpadą lub pistoletem u boku wciskały się wówczas w tłum, który rozstępował się na chwilę, by natychmiast zamknąć się za intruzem ginącym w ludzkim gąszczu.

Wojsko ledwie utrzymywało w ryzach ten ruchomy żywioł wyciągający szyję w stronę straszliwej sceny. Głównego aktora jeszcze na niej nie było.

Szafot wznosił się wysoko ponad głowami, podobnie jak krzyż na Golgocie, widziany ze wszystkich stron placu, a może Francji i Europy. Nagle zerwał się jak gdyby szum potężnego wichru i wołanie: jada, jada.

Cisza, jaka zapadła po tym okrzyku, wydała się jeszcze głębsza i jeszcze bardziej przerażająca. I w tej ciszy posłyszeliśmy tylko jeden głos: "łaski, łaski". Cóż to był za śmiałek, co miał odwagę prosić o łaskę dla tyrana! Głos jego nie wzbudził jednak echa, utonął w warkocie werbli.

Skazańca wieziono w zamkniętej karecie, a nie na więziennym wózku, w otoczeniu podwójnego kordonu kawalerii. Pojazd stanął naprzeciwko Tuileriów, u wylotu Pól Elizejskich.

I nagle zakotłowało się w zbitej masie ludzkiej, spychanej na boki kolbami wojska.

żandarmi dobyli szabli i rzucili się na szamoczącą się z żołnierzami grupę uzbrojonych mężczyzn. Błysnęły bagnety, szczęknęła stal, szpady uderzyły o szable. Krew zaczerwieniła bruk, stłumiony jęk oznajmił koniec incydentu. I znowu nastąpiła cisza.

Pomocnicy kata otwierali właśnie drzwiczki karety. Pierwsi wyskoczyli dwaj oficerowie żandarmerii eskortujący więźnia. Za nimi wysiadł Ludwik w towarzystwie spowiednika. Ksiądz, ku zdumieniu obecnych, nosił zabronioną w owym czasie sutannę.

Ludwik odsuwa katowskich pachotków, nie chce by go dotykali, sam zdejmuje frak, wyklada kołnierz koszuli i odsłania szyję. Nie pozwala jedynie, by mu związano ręce. Widać wyraźnie zmieszanie kata, który nie wie, jak zmusić więźnia do poddania się tej upokarzającej operacji. Dopiero ksiądz wybawia go z kłopotu: - Najjaśniejszy Panie - mówi głośno - racz znieść tę ostatnią zniewagę, podobnie jak zniósł ją niegdyś nasz Bóg.

Ludwik bez oporu pozwala sobie związać ręce na plecach i obciąć włosy.

Wszystko to widziałem wyraźnie między głowami żołnierzy, a cisza była taka, że słyszałem każde słowo.

Ludzie zamarli w bezruchu. Czekali teraz na drugi akt ponurego widowiska.

Ludwik z pomocą księdza zaczął wstępować na strome stopnie szafotu. Werble warczały, inaczej cisza stałaby się nie do zniesienia.

Znalazłszy się na platformie, pewnym krokiem przemierzył deski i zwróciwszy się do zebranych na placu tłumów, a przede wszystkim do żołnierzy (tak mi się przynajmniej zdawało), iście królewskim ruchem głowy nakazał werblom milczenie.

Ludzie przestali chyba oddychać.

- Francuzi! - Głos jego był mocny i władczy, leciał daleko aż do najdalszych zdawałoby się

zakątków kraju. - Umieram niewinny zarzucanym mi zbrodniom. Przebaczam tym, co mnie skazali i proszę Boga, aby moja krew... - werble nie pozwoliły posłyszeć dalszych słów, ale ci, co stali bliżej, roznieśli je potem po całym placu, aż po krańce Europy - ...aby moja krew nie spadła kiedyś na Francję.

Pomocnicy kata pochwycili go za ramiona i przywiązali do fatalnej deski umieszczonej na osi, która przechylając się położyła skazańca twarzą w dół. Specjalne urządzenie unieruchomiło głowę. Wystarczyło teraz, by kat jednym cięciem przeciął sznur zwalniający ostrze.

Nóż spadł ze świstem. Zegar na jednym z gmachów pokazał godzinę dziesiątą piętnaście.

żaden radosny okrzyk nie powitał śmierci tyrana, tylko paru najzjadlejszych wrogów monarchii ośmieliło się wyrazić głośno zadowolenie na widok głowy, którą pomocnik kata ukazał ludowi.

Cud się nie zdarzył, przedstawienie było skończone.

Podobnie jak inni nie odrywałem oczu od górującego nad placem szafotu. Prostokąt gilotyny czerniejący na bladym niebie zdawał się grozić całej Francji. żołnierze pospuszczali głowy, może wstydziło się roli, jaką kazano im odegrać w tym ponurym dramacie. Ich miejsce było przecież na polu bitwy, twarzą do równej lub przeważającej siły wroga, a tu użyto ich, by pokonać jednego bezbronnego człowieka.

Mimo że było już po wszystkim, nikt nie kwapił się do odwrotu. Plac opróżniał się bardzo powoli.

Nie miałem zamiaru wracać do domu, zanadto byłem wstrząśnięty. Może gdyby skazaniec okazał się zwykłym rzezimieszkiem, jakimś Cartouchem czy Mandrinem, odczułbym to inaczej, ale tak...

To, co się stało, musiało nastąpić - przekonywałem siebie. - Nie ma miejsca dla królów wśród równych sobie obywateli. Francja jest i będzie Republiką. Jedną i Niepodzielną, a korona żadnego władcy nie stanie się jarzmem, które ją zniewoli.

Szedłem wraz z innymi, niesiony ludzką falą, nie zważając nawet, dokąd idę. Nie znałem zresztą tych ulic i było mi najzupełniej obojętne, dokąd zaprowadzi mnie przypadek.

Gromady ludzkie przystawały na rogach komentując wydarzenie, którego były świadkiem. Przepisnąłem się wśród koni Gwardii Narodowej i zawróciłem ku rzece. Wolałem znaleźć się w bardziej znanej mi części miasta.

Na moście Wymieniaczy produkował się obywatel Bellerose, znany trubadur Rewolucji. Pieśni, które układał i śpiewał tenorowym głosem, obiegały cały Paryż. Teraz też otoczył go tłum, a on wyciągał żałośnie, z podniesioną w górę pięścią:

*O narodzie, jakże się spodliłeś!
Ten król bez czci i bez prawa,
wiarołomca wszeteczny, igraszką mu byłeś,
zaprawdę, słuszna nań kara!*

*Płacz, Ludwiku, w śmierci twej godzinie,
niszczyłeś kraj nasz bez miary,
i długo pamięć twych zbrodni nie minie,
opłakiwać będziem twe ofiary!*

Ludzie słuchali w ponurym milczeniu. Nagle zza murów Chatelet wyłonił się pochód złożony z kobiet, które mało przypominały "słabą płęć". Chyba tylko po pasiastych spódnicach i czepkach na rozczochranych głowach poznać było, że to megiery, a raczej wiedźmy z sabatu czarownic.

Każda trzymała w ręku pikę, widły lub nóż kuchenny, a wszystkie wrzeszczały:

- Śmierć tyranom! Arystokratów na latarnie!

Były tak przerażające, że uciekłem. Oparłem się dopiero na placu Rewolucji. Staralem się nie patrzeć na gilotynę, sterczącą w triumfie nad miastem. Wydała mi się nie narzędziem sprawiedliwości, ale bestią żądną krwi.

Oparty o słup szafotu, stał jakiś człowiek, jak się okazało również śpiewak uliczny, który otoczony tłumem, przepitym głosem intonował bluźnierczy hymn do gilotyny.

*Napełniaj worek głowami tyranów,
patronko patriotów, postrachu jaśnie panów!
O święta Gilotyno! O wzniosła machino!
Módl się za nami!*

- Módl się za nami - powtarzał rechocząc tłum zachwycony śpiewką.

Czym prędzej oddaliłem się z tego miejsca. Plac wydał mi się nagle przeklęty, przebywanie na nim groziło nieszczęściem. Zagłębiłem się w nieznaną mi ulicę i ujrzałem żandarmów, ciągnących wysokiego mężczyznę, który utykał na jedną nogę. Obok szła młoda dziewczyna, bardzo ubogo odziana, podnosiła na żandarmów zażawione oczy i wołała:

- Czego chcecie od tego obywatela? Stał obok mnie na placu, jak wszyscy. Puśćcie go, czy nie widzicie, że ma zranioną nogę?

- Odejdź, obywatelko - burknął jeden z żandarmów. - To buntownik i rojalista. Z grupą podobnych sobie zdrajców, chciał odbić Kapeta. Nie przeszkadzaj w wykonywaniu wyroku sprawiedliwości.

Mężczyzna szarpany przez żandarmów szedł z widocznym wysiłkiem. Nie odezwał się ani razu. Nie podniósł nawet oczu.

- Obywatelu - zaczęła mnie dziewczyna. - Byłeś z pewnością na placu i widziałeś. Człowiek ten - wskazała jeńca - stał koło mnie i patrzył jak inni. A teraz...

- Milcz, obywatelko, i nie broń zdrajcy - warknął drugi z żandarmów.

- Może to twój współnik? Może i ty spiskowałaś razem z nim? - dodał pierwszy.

- Nie znam go! - krzyknęła - ale nie mogę pozwolić, żeby niewinny człowiek...

- Czy niewinny, to się okaże, a ty, obywatelko, idź lepiej swoją drogą. Tak będzie zdrowiej dla ciebie.

Dziewczyna rzuciła mi rozdzierające spojrzenie, nie mogłem się wahać.

- On jest niewinny - powiedziałem stanowczo. - Możecie mi wierzyć, obywatele. Jestem żołnierzem, który stracił rękę pod Valmy.

Więzień pierwszy raz podniósł wzrok. Poczulem na sobie jego oczy zimne jak lód i jasne jak stal, a tak przenikliwe, że długo nie mogłem wytrzymać tego spojrzenia.

W twarzy jego nie było ani odrobiny lęku czy pokory. Patrzył zuchwale, nie jak człowiek zagrożony więzieniem a może i gilotyną.

Zdawałem sobie sprawę, że i ja się narażam. Widziałem go pierwszy raz w Życiu. A Jeżeli był rojalistą? Dlaczego miał zranioną nogę? Ale ta biedna dziewczyna... Może to jej narzeczony, brat czy kochanek. Broniała go tak odważnie. Nie myślała o sobie i o swoim bezpieczeństwie.

- Dokąd go prowadzicie? - krzyknęła nagle i chwyciła żandarma za rękę.

- Na odwach - mruknął, popychając więźnia w bramę, nad którą powiewał trójkolorowy sztandar.

- Chodź z nami, obywatelu - skinął na mnie drugi.

W niskiej salce za biurkiem siedział oficer i coś pisał w grubym rejestrze. Po drugiej stronie biurka naprzeciw piszącego rozpiął się w krześle mężczyzna czarno ubrany z nieprzyjemnym, bo złośliwym wyrazem twarzy.

Żandarmi popchnęli więźnia, aż się zatoczył i omal nie upadł. Krótkie spodnie, jakie nosił

spięte sprzączką pod kolanem, były rozdarte i zakrwawione na udzie. Biała pończocha również nosiła ślady krwi.

Na jego widok człowiek w czerni zerwał się i przystąpił do więźnia z wyciągniętą ręką.

- Co ci się stało, obywatelu Perrin? - W głosie brzmiało najwyższe zdumienie. - Kto cię tak poranił? - Wskazał skrwawione udo.

- Te zdradzieckie psy, rojaliści, chcieli odbić tyrana - powiedział spokojnie jeniec. - Dobyłem szpady, by pomóc żołnierzom i zatrzymać zdrajców i oto zamiast trafić łotra, mnie potraktowano żelazem.

- Co to znaczy? - Czarno ubrany mężczyzna zwrócił się do żandarmów.

- Schwytaliśmy go z bronią w rękę, obywatelu, jak atakował żołnierzy - wybełkotał brygadier, patrząc niepewnie na więźnia.

- Oczywiście, że miałem broń! - Więzień wzruszył ramionami. - Obawialiśmy się ataku rojalistów. Zostałem wraz z innymi członkami Sekcji delegowany na egzekucję, by przeszkodzić w uprowadzeniu tyrana. Zdrajcy do ostatniej chwili mieli jeszcze nadzieję, spodziewali się odbić Kapeta. Zresztą zapytajcie w Sekcji.

- To prawda - przytaknął nieznajomy. - Macie natychmiast uwolnić obywatela Perrin. Ja za niego odpowiadam. A na przyszłość strzeżcie się podobnych omyłek. Może was to drogo kosztować.

żandarmi spojrzeli po sobie, zwrócili się do oficera, który nie podniósł na nich oczu, zaszalutowali i wyszli. Człowiek w czerni musiał być kimś bardzo ważnym i znanym.

- Chciałbym pójść do domu i opatrzeć ranę - zauważył więzień. Był cały czas spokojny, ani na chwilę nie stracił zimnej krwi. - Dziękuję ci, obywatelu - skinął głową czarno ubranemu mężczyźnie. - Ci młodzi przyjaciele - wskazał na dziewczynę i na mnie - pomogą mi.

Dziewczyna posunęła się ku niemu, a on bezceremonialnie chwycił moją jedyną rękę.

- Wybaczcie - powiedział. - Obawiam się, że jeszcze nadużyję waszej cierpliwości.

Po chwili byliśmy na ulicy.

- Kto to? - Dziewczyna ruchem głowy wskazała na odwach.

- Obywatel Marat - odparł obojętnie.

- Ten co wydawał "Przyjaciela ludu"? - spytałem z niedowierzaniem.

- Ten sam.

- Wiem, że mieszka blisko mnie, choć nigdy go nie widziałem.

- Obywatel Marat rzadko wychodzi z domu.

Nasz podopieczny ciężko opierał się na moim ramieniu, widać rana bardzo mu dokuczała.

- Mój dom daleko stąd - odezwał się w pewnej chwili - boję się, że bardzo się zmęczycie.

- My to nic - zawołała dziewczyna. - Ale ty, obywatelu, ledwie idziesz.

- Trudno, muszę iść - mruknął. - Dojdę jakoś z waszą pomocą.

Mieszkał rzeczywiście daleko, bo aż na ulicy Powroźników, obrzeżającej mur więzienia Temple.

Gdy stanęliśmy przed wysokim domem, zwrócił się do dziewczyny.

- Nigdy nie zapomnę twojej dobroci, obywatelko - powiedział poważnie. - Gdzie mógłbym cię znaleźć, aby ci godnie podziękować? Jestem twoim dłużnikiem. Być może uratowałaś mi życie. żandarmi w swej gorliwości mogli mnie zgubić i gdyby nie obywatel Marat...

- Mieszkam tu w pobliżu - szepnęła rumieniąc się. - Nic mi nie jesteś dłużny, obywatelu, spełniłam tylko mój obowiązek. Widziałam cię przecież na placu. A mieszkam niedaleko stąd, na ulicy Charlot. Jestem szwaczką. Dozorczyni spod numeru szóstego powie ci, gdzie mnie znaleźć. zegnajcie, obywatele. - Oddaliła się tak szybko, że nie zdążyliśmy nawet odpowiedzieć.

Stałem nie wiedząc, co z sobą począć, gdy mój nowy znajomy znowu ujął mnie za rękę.

- Czy odprowadzisz mnie na górę, obywatelu? - spytał z uśmiechem. - To nieledwie górską wspinaczka. Mieszkam na piątym piętrze.

- Służę ci, obywatelu - odparłem pospiesznie.

W bramie zaczęła nas gruba kobieta w chustce skrzyżowanej na wydatnej piersi.

- Co ci się stało, obywatelu Perrin? - W głosie jej brzmiała szczerza troska.

- Nic, nic, matko Jourdan - uspokoił ją lokator. - Bagnety naszych dzielnych żołnierzy nie trafiają w próżnię, choć nie zawsze tam, gdzie potrzeba.

- Zaraz cię opatrzę.

- Dziękuję. Nie fatyguj się tak wysoko. Ten młody obywatel - wskazał mnie - pomoże mi się dostać do mego gołębnika. Nieprawdaż, obywatelu?

Skinąłem głową.

Szliśmy bardzo powoli, odpoczywając na każdym podeście. Schody były wąskie, śliskie i wydeptane, dom widać bardzo stary. Nie spotkaliśmy po drodze nikogo. Mieszkanie mego podopiecznego składało się z dwóch niewielkich pokoików na ostatnim, najwyższym piętrze. Była to mansarda, ze ściętym po bokach sufitem, a właściwie poddasze. Z okien wprawionych w głębokie framugi lało się światło. Widok był doprawdy prześliczny, bo okna wychodziły na ogrody Temple, a jedynie ponura wieża - królewskie więzienie - psuła spokojny urok tego zakątka.

- Ładnie tu u ciebie, obywatelu - wyrwało mi się z zazdrością, gdy rozglądałem się po schludnych pokoikach. - Nie to co moja nora, ciemna i wilgotna.

- Nora? - popatrzył na mnie przenikliwie.

- Nora - powtórzyłem. - Mieszkam u wdowy Clouet. To praczka. Pierze również dla tych - wskazałem głową więzienie Temple. - Staram się jej służyć, nie jeść chleba za darmo. Nie mam nikogo w Paryżu.

- I pod Valmy straciłeś rękę? - zainteresował się.

- Tak, pod Valmy.

Sam nie wiem, co się ze mną stało. Ale opowiedziałem mu wszystko. O tym, że uciekłem z domu, że ojciec nie chciał, bym wstąpił do wojska, że nie miałem odwagi wrócić kaleką, że stary kapral Moulin dał mi adres praczki, że przyjęła mnie u siebie, że jestem bardzo samotny, że boli mnie ramię od chłodu i wilgoci. Opowiedziałem nawet o starej obywatelce Thouret, która okazała mi tyle życzliwości.

Słuchał uważnie i nie przerwał ani razu.

- Wybacz, obywatelu - opamiętałem się wreszcie. - Gadam głupstwa, a ty cierpisz. Pomogę ci opatrzyć ranę.

Wskazał szufladę, gdzie było płótno i bandaże, nalałem z dzbanka wody do miski i przystąpiłem do dzieła. Pomagał mi, bo z jedną ręką niewiele mogłem uczynić.

- Więc podoba ci się u mnie? - spytał wyciągając się na łóżku.

- Bardzo. Czy czegoś jeszcze potrzebujesz, obywatelu?

- Jeżeli chcesz, możesz u mnie zamieszkać. - Wydawało się, że nie słyszał pytania. -

Naturalnie pomagałbyś nadal twojej praczce, okazała ci przecież miłosierdzie. Ale mieszkałbyś u mnie.

- To niemożliwe, obywatelu - zaprotestowałem. - Nie znasz mnie i...

- Wdowa Clouet także cię nie znała - przerwał - a jednak zaufała ci. Czemu mam być od niej gorszy?

- Nie wiem... - Byłem szczerze zakłopotany.

- Jest tu przecież drugi pokój. Możesz go zająć. Bądź dobry, zejdź teraz do matki Jourdan i przynieś obiad. Jej ciężko wspinać się na te wyżyny. Nie żałuje jednak nóg i utrzymuje w czystości moje mieszkanie. Nawet ustawiła na oknach doniczki z kwiatami. Tak o mnie dba - dokończył z uśmiechem.

Gdy się uśmiechał, w jego zimnych oczach nie było wesołości. Spojrzenie pozostawało poważne i czujne. Jak gdyby miał się na baczności, gotów każdej chwili do walki o życie.

Gdy zjawiłem się na dole, matka Jourdan spojrzała na mnie niespokojnie.

- Jak on się czuje? Może trzeba wezwać doktora? Mieszka w tym samym domu...

- Zapytam go. - Podobała mi się ta dozorczyńni. Miała dobroduszną szczerą twarz. - leży teraz. Przesłał mnie po obiad.

- Zaraz ci wstawię do koszyka, obywatelu. Mięsa dziś nie dostałam, jest tylko fasola, chleb i ser. Wino powinno być jeszcze na górze. Parę dni temu mój mąż kupił kilka butelek. Czy dasz radę biedaku, z jedną ręką?

- Doskonale sobie radzę - zapewniłem.
- To dobrze. Cieszę się, że nie jest sam, musi trochę poleżeć.
- Chętnie mu usłużę.

Mój nowy znajomy zjadł w łóżku, mnie kazał się przy stole i nie żałować sobie fasoli, chleba i sera. Wino było nad podziw dobre.

- Matka Jourdan pyta, czy nie trzeba doktora.
- Nie trzeba - zdecydował. - Jutro wstanę. Nie mam czasu wylegiwać się w łóżku. To dobre dla arystokratów. Patrioci muszą działać, bronić zdobyczy Rewolucji.
- Może mógłbym ci w czym pomóc, obywatelu? - spytałem nieśmiało.
- Zobaczymy. Ile masz lat?
- Dziewiętnaście.
- I biłeś Prusaków pod Valmy?
- Biłem.
- A jak to było z ręką?

Opowiedziałem o doktorze Decaux i o amputacji. I o pobycie u wieśniaka, o kolegach, okaleczonych podobnie jak ja.

- I chcesz zostać w Paryżu?
- Nie mogę tak się pokazać rodzicom. Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

Nic nie powiedział, tylko pokiwał głową.

Choć bardzo chciałem pozostać na ulicy Powroźników, musiałem jednak wrócić do domu. Wdowa Clouet mogłaby się niepokoić moją długą nieobecnością. Nie mogłem okazać się niewdzięczny. Nie wiedziałem zresztą, jak się ułożą stosunki z moim nowym znajomym. Może zapraszał mnie do siebie w chwili słabości, był chory, czuł się opuszczony i samotny. Ale potem... Może by żałował, że wpuścił do domu intruza? Za żadne skarby tego nie chciałem.

- Przykro mi, obywatelu, zostawiać cię w takim stanie, ale będę musiał wrócić do domu. Moja praczka byłaby niespokojna, wie, że nie znam miasta. Rozumiesz chyba...

- Rozumiem - skinął głową. - Proszę cię tylko, zanim odejdziesz, powiedz matce Jourdan, by mi jednak przysłała lekarza. Ta piekielna noga... A ty, jeżeli będziesz mógł, przyjdź jutro.

- Powiedz mi jeszcze, obywatelu - poprosiłem - jak mam się dostać na ulicę Kordelierów.
- Idź na zachód, potem na południe i pytaj o Chatelet. Stamtąd chyba trafisz.

Podziękowałem, a on skinął mi ręką na pożegnanie.

Przekazałem jego życzenie dozorczyńcy i wyszedłem.

Domy stały tu po jednej stronie ulicy, po drugiej ciągnął się trzymetrowej wysokości mur z szarego kamienia. Z dołu wyglądał posępnie, przytłaczał ciężarem i grubością, choć krył zadrzewiony teren, który wiosną musiał być wyspą zieleni.

Byłem tak zmordowany, gdy wreszcie dotarłem do domu, że wdowa Clouet aż krzyknęła na mój widok.

- Zjedz i kładź się spać, chłopcze - powiedziała serdecznie.

Nic nie jadłem, a tylko rzuciłem się na posłanie. Po schludnych jasnych pokoikach na poddaszu ulicy Powroźników, moja komórka wydała mi się jeszcze bardziej ponura i odrażająca.

Nazajutrz rano zabrałem się do codziennej roboty. Gdy zamiotłem i wyszorowałem podwórze, Julka zawołała mnie na śniadanie.

- Będziesz miał teraz dużo mniej pracy - oznajmiła. - Przyjechał ze wsi siostrzeniec mamy i zostanie u nas. Chciał iść do wojska, walczyć z Prusakami, ale go nie przyjęto. Ma dopiero szesnaście lat. Nazywa się Jan Franciszek, ale wołają na niego Janek - trzepała podskakując. - Widziałeś, jak zabito pana Kapeta? A jak wyglądała jego głowa po odcięciu? Mówią, że potem jeszcze mrugał oczami. Czy to prawda? Janek był na placu i wszystko widział. Specjalnie przyjechał do Paryża, żeby to zobaczyć. Stał tuż koło szafotu. A ty, gdzie stałeś, czy blisko?

Przy stole obok wdowy Clouet siedział tęgi wyrostek o nalanej twarzy. Nie wydał mi się sympatyczny.

- To Janek, syn mojej siostry - przedstawiła praczka. - Zostanie u nas. Będziesz miał pomocnika.

Chłopiec coś mruknął i rzucił mi nieprzyjazne spojrzenie. Od razu odczułem, że mnie nie lubi. Widać z góry był do mnie uprzedzony.

Po śniadaniu poszedłem za moją gospodynią do kuchni. Przybycie siostrzeńca było mi bardzo na rękę.

- Spotkałem znajomego, który zaprosił mnie do siebie na mieszkanie - powiedziałem bez wstępu. - Dobrze się składa, obywatelko, że masz siostrzeńca. Pozwolisz jednak, że co dzień przyjdę do roboty i jak dawniej będę ci służył i pomagał.

- Kto to taki, ten znajomy? - Nie bardzo widać wierzyła w to, co powiedziałem.

- To obywatel Perrin, przyjaciel Marata - odparłem z dumą.

- Chciałbym prosić cię, obywatelko, żebyś pozwoliła mi pójść zaraz do niego. Jest chory i potrzebuje opieki. Upraną bieliznę odniosę jutro.

- Możesz iść - mruknęła niezbyt zadowolona z mojej samodzielności.

Trochę się oczyściłem i poszedłem prosto do starej obywatelki Thouret. Niestety, nie zastałem jej w domu. W tej chwili otworzyły się drzwi z prawej strony korytarza i ukazał się w nich Brutus Hulin, strojny jak zwykle, gotów do wyjścia.

- Nie pukaj do tej starej wiedźmy - zauważył mijając mnie. - Nie ma jej w domu, nareszcie zrobiliśmy porządek z wrogiem Republiki.

- Co się stało z obywatelką Thouret? - Ledwie mogłem mówić. Zdławił mnie strach.

- Jest w więzieniu - rzucił obojętnie. - To dla niej najwłaściwsze miejsce. Nie uważasz, obywatelu? - W głosie brzmiało wyzwanie.

- W więzieniu? - wymamrotałem.

- W więzieniu - przytaknął.

- Jak można... - zacząłem.

- Bądź ostrożny, obywatelu. Bronisz wroga Republiki. To może być niebezpieczne dla ciebie - dokończył po krótkiej przerwie.

- W jakim więzieniu? - Opanowałem się z trudem.

- W Conciergerie. - I zbiegł ze schodów.

Wróciłem do wdowy Clouet.

- Spotkałem obywatela Hulin i dowiedziałem się, że obywatelka Thouret jest w więzieniu - wyrzuciłem. - Kiedy to się stało?

- Dziś w nocy. - Praczka była wyraźnie przestraszona. - Aresztowano wiele osób w naszej dzielnicy - powiedziała zniżając głos.

- Jest w więzieniu Conciergerie. Tak mówi Brutus Hulin.

- W Conciergerie - pokiwała głową. - Biedna staruszka! Długo nie pociągnie.

- Jak ją ratować? - wyrwało mi się.

- Co ty, zwariowałaś? Chcesz sam zginąć? Ani się waż tam chodzić.

- Muszę coś zrobić.

- Jej i tak nie pomożesz, a siebie zgubisz. To ci dwaj... To oni... To ich sprawka... Bodaj im... - dodała mściwie.

Biegłem nieledwie na ulicę Powroźników. Miałem nadzieję, że obywatel Perrin użyje swoich wpływów i uwolni moją starą przyjaciółkę.

Byłem już blisko celu, gdy ujrzałem dziewczynę, wczorajszą obrończynię naszego wspólnego znajomego. Ugięła się wprost dźwigając olbrzymie pudło.

- Dzień dobry, obywatelko - podszedłem do niej. - To pudło większe od ciebie. Pozwolisz, że ci pomogę.

- Odnoszę suknię mojej klientce - uśmiechnęła się na mój widok. - Nie będzie ci wygodnie jedną ręką...

- Wsuń mi je pod ramię - poprosiłem. - Widzisz, jak je dobrze trzymam.

- Dziękuję ci bardzo, obywatelu, to już niedaleko stąd. Moja klientka występuje w teatrze. Ta suknia potrzebna jej na wieczór. Pracowałam całą noc, żeby skończyć.

Była jeszcze bledsza i mizerniejsza niż wczoraj. W powrotnej drodze rozmawialiśmy już jak starzy znajomi.

Dozorczyńni obywatela Perrin przywitała mnie przyjaźnie.

- Był wczoraj doktor - oznajmiła. - Wszystko na szczęście w porządku. Wkrótce zejdź po obiad, obywatelu.

Szybko wspiąłem się na poddasze. Mój znajomy już ubrany, krzątał się po pokoju.

- Więc dotrzymałeś obietnicy - przywitał mnie życzliwie. - Bardzo się cieszę. Twój pokój gotowy. Przyniosłeś swoje rzeczy?

- Nic nie posiadam - wyznałem ze wstydem. - Mam tylko koszulę na zmianę. Teraz jest brudna, wdowa Clouet wypierze...

- Dobrze, dobrze - przerwał. - Mam tu nieco ubrania i bielizny. Jesteś co prawda trochę niższy ode mnie, ale poza tym, wszystko będzie na ciebie pasowało. W razie czego poprosimy o pomoc naszą młodą sąsiadkę.

Opowiedziałem mu o spotkaniu.

- Bardzo źle wygląda - dodałem. - Taka blada i chudziutka. Pewnie ciężko jej.

Nic na to nie odpowiedział. A ja zastanawiałem się, jak zacząć prośbę o ratunek dla mojej starej przyjaciółki.

- Tej nocy aresztowano wiele osób w naszej dzielnicy - zebrałem się wreszcie na odwagę.

- W całym Paryżu dokonano licznych aresztowań. I nie tylko tej nocy. Już od kilku dni tropiono osoby podejrzane o sprzyjanie rojalistom. Wiele z nich zatrzymano w domach i w dzień egzekucji nie pozwolono opuścić mieszkania.

- Moją sąsiadkę, starą obywatelkę Thouret, zabrano tej nocy do Conciergerie. Wydali ją dwaj działacze klubu kordelierów, Brutus Hulin i Kasjusz Peltier, też sąsiedzi. Mieszkają tuż obok niej, na tym samym piętrze. Wdowa Clouet obawia się... - zamilkłem, a potem dodałem: - obywatelka Thouret jest bardzo stara i słaba i nie lubi Rewolucji - dokończyłem ciszej.

- No cóż, jeżeli nie lubi Rewolucji... Jakże można jej pomóc?

- Właśnie chciałem cię prosić, obywatelu. Znasz Marata i może mógłbyś...

- Tu nic Marat nie pomoże. Kto trafił do Conciergerie... Czy wiesz, jak nazywają to więzienie?

- Nie wiem.

- Prędko przedionkiem gilotyny.

- Mój Boże!

- Nie desperuj. Mówisz, że jest bardzo stara?

- O tak.

- Dziś jeszcze nie mogę wychodzić. Ale jutro...

- Jutro? - spojrzałem na niego z nadzieją.

- Jutro postaram się... Nic jednak nie mogę obiecać. A teraz zejdź po obiad.

Gdy tak siedzieliśmy naprzeciw siebie - tym razem matka Jourdan zdobyła kawałek mięsa - miałem nareszcie okazję dobrze przyjrzeć się mojemu nowemu znajomemu.

Rzeczywiście był wyższy ode mnie co najmniej o pół głowy - a ja też nie jestem ułomkiem. Choć szczupły, sprawiał wrażenie siły. Miał piękne jasne włosy bez odrobiny pudru (to dobre dla zniewieściałych arystokratów!). Związywał je czarną wstążką, a niesforne kosmyki tworzyły jak gdyby aureolę dookoła twarzy. A twarz ta była zastanawiająca. Nie wiem, czy piękna. W każdym razie nie taka jak inne. Przede wszystkim uderzały w niej oczy. Jasne, zimne i jak gdyby nieubłagane. A przecież człowiek ten był dobry. Właściwie piękny był jedynie nos: prosty i cienki nadawał profilowi pewną szlachetną wyniosłość. Nie widziałem dotąd, żeby się śmiał. Umiał tylko uśmiechać się i to samymi ustami. Oczy nie brały w tym udziału.

- No co - wyrwał mnie z zadumy jego głos. - Jak wypadł egzamin? Dobrze mi się przyjrzałeś? Wyczytałeś z mojej twarzy nie tylko to, co chcę pokazać, ale i to co ukrywam?

- Wybacz, obywatelu - zaczerwieniłem się.

- Nie wstydz się, musisz poznać człowieka, u którego zamieszkasz. To przecież naturalne. Jak ci na imię? - spytał nagle. - Może pozostawimy na boku ten szacowny tytuł "obywatela", będzie nam wygodniej nazywać się po imieniu. Ja jestem Wilfred. Wilfred Perrin.

- A ja Bertran Peyrade.

- Popatrz jaka nasza Francja rozległa i bogata. Ty reprezentujesz Południe, ja Północ. Ty nosisz imię prowansalskiego trubadura, masz ogniste oczy i gorącą krew, włosy czarne i faliste i jesteś co się zowie ładnym chłopcem. Ja natomiast to typ całkowicie odmienny. Moją ojczyzną jest Normandia, gdzie zimne wody północnego morza omywają skaliste brzegi. Twój przodek to Rzymianie i Gallowie. Rzymianie podbili Galię i zaszczepili na jej ziemi wspaniałą kulturę. Moi - to chciwi krwi Wikingowie, wyruszający ze skandynawskiego półwyspu na łupieżcze wyprawy. To jasnowłose olbrzymy o niebieskich oczach i okrutnym sercu, towarzysze owego Rollona, co przed tysiącem lat poddał sobie tę część północno-zachodniej Francji, a potomkowie jego sięgnęli po Anglię. To germańskie plemię, a imiona jego barbarzyńskich synów dźwięczą jak spiżowe dzwony. Widzisz, jacy my różni, a jednak wydała nas ta sama ojczyzna. O tak, ta sama Francja - powtórzył i spojrzął w okno, jak gdyby widział tam rzymskie legiony sunące z południa i barbarzyńskich Normanów w długich łodziach wyskakujących na brzeg, by nieść śmierć i zniszczenie.

W każdym razie był to człowiek fascynujący. Wilfred... Wilfred Perrin... Jakoś to germańskie imię nie pasowało do tak czysto romańskiego nazwiska. Powiedziałbym nawet tak bardzo przeciętnego francuskiego nazwiska, gdy jego nosiciel był postacią tak nieprzeciętną.

Więc ja mam być potomkiem Gallów i Rzymian, a on dzikich Normanów? Jako typy ludzkie jesteśmy rzeczywiście krańcowo różni, on jasny, ja ciemny, on zimny, a ja - gorący. Dwa przeciwieństwa. Kto to powiedział, że skrajności przyciągają się? Gdzieś to już słyszałem. Czy zostaniemy przyjaciółmi? Chciałbym bardzo. Ale czy on zechce? Taki człowiek, taki wspaniały człowiek!

- Obywatelka Thouret też od razu odgadła, że jestem z Południa - powiedziałem po chwili.

- Nietrudno domyślić się tego - zauważył z uśmiechem. - Wystarczy na ciebie spojrzeć i posłuchać twojej mowy.

- A gdy dodałem, że pochodzę z Rouergue, tak ładnie mówiła o tej mojej prowincji.

- Jesteś więc z Rouergue? - Widziałem, że go to zainteresowało.

- Czy znasz ten region? Byłeś tam kiedy?

- Nigdy nie byłem, ale może będę. Cóż wiemy o tym, co nam kryje przyszłość?

- Zamek nasz nazywa się Belcastel. - Samo wymówienie tej nazwy sprawiło mi bolesną przyjemność.

- Belcastel, Belcastel. - Wydawało mi się, że lubuje się dźwiękiem tego słowa. - Posiadasz więc zamek?

- O nie - zaprzeczyłem gorąco. - Rodzina moja od wieków służy hrabiom de Saunhac. To oni są właścicielami zamku.

- De Saunhac. - Powtórzył i zamilkł.

Spałem cudownie. Obudziło mnie słońce. Dzień był jasny i wyjątkowo piękny. Czuło się Sun bliskość wiosny.

Zerwałem się i zajrzałem do pokoju Wilfreda. Siedział przy stole i coś pisał.

- Jak ci się spało? - powitał mnie przyjaźnie.

- Doskonale. Dziękuję. Tak mi tu dobrze.

- Zejdź do matki Jourdan po śniadanie.

Gdy po jedzeniu wstawiałem naczynia do koszyka, Wilfred zauważył:

- A teraz każdy z nas w swoją stronę. Ty do wdowy Clouet, ja po ratunek dla twojej staruszki. Spotkamy się wieczorem. I pamiętaj, że to teraz twój dom. W razie mojej nieobecności, matka Jourdan da ci klucz.

- Czy noga już ci nie dokucza? Czy będziesz mógł chodzić?

- Dokucza, ale chodzić mogę i muszę. Lokatorzy nie przebywają zbyt długo w przedsiönku gilotyny.

Na ulicy Kordelierów czekały mnie zwykłe obowiązki. Janek jakoś nie kwapił się do roboty. Wyczyściłem podwórze i rozniosłem upraną bieliznę, przynosząc jednocześnie kilka tłumoków z brudami.

W bramie spotkałem Kasjusza Peltier.

- Byłeś na egzekucji tyrana? - Wpatrywał się we mnie, jak gdyby chciał przeniknąć moje myśli.

- Byłem.

- No i co?

- Nic. Podziwiałem pracę kata. Robi to tak sprawnie, cicho i szybko, jak sama machina...

Naliczyłem zaledwie do czterdziestu, zanim spadło ostrze.

- Mówiłem ci, że to warto zobaczyć. Słyszałeś chyba, że nasza sąsiadka jest w więzieniu? - zmienił nagle ton.

- Słyszałem.

- To rojalistka. - Nie spuszczał ze mnie oka.

- Skądże? - zaoponowałem. - To bardzo stara kobieta. żyje przeszłością i...

- Na szczęście w porę przejrzelśmy jej knowania. W sam czas została unieszkodliwiona.

- Cóż mogła uczynić złego? Taka staruszka!

- Jesteś młody i nie znasz łotrów i zdrajców, którym marzy się powrót do dawnych czasów. żegnaj, obywatelu, spieszę na posiedzenie Sekcji.

Cały dzień w myśli towarzyszyłem Wilfredowi w jego zabiegach. Wiedziałem, że nie zaznam spokoju, póki obywatelka Thouret pozostanie w więzieniu. Jednakże moje zaufanie do Wilfreda było tak wielkie, że nadzieja ratunku pozwoliła mi jako tako przeżyć ten straszny dzień.

Siostrzeniec wdowy Clouet nie pokazał się aż do zmierzchu. Cały czas płątał się po Paryżu zachwycony miastem, jego ogromem, tłumami na ulicach, ruchem, gwarem i życiem wielkiej stolicy. Miałem dość tych jego wrażeń, pożegnałem więc moją dobrodziejkę i udałem się "do domu". Wilfred tak kazał mi nazywać mieszkanie na ulicy Powroźników. I rzeczywiście był to dla mnie dom, pierwszy od prawie roku, od ucieczki z Belcastel.

Matka Jourdan wraz z kluczem przekazała mi polecenie obywatela Perrin, który kazał powiedzieć, żebym się czuł jak u siebie. Tak też się i czułem, gdy wbiegałem na wąskie i wytarte setkami stóp schody naszego "gołębnika".

Powitała mnie cisza. Przez okna sączył się słaby blask umierającego dnia. Boże, jaki czułem się szczęśliwy! Jak mi było dobrze! Spojrzałem na ponurą wieżę Temple wyraźnie jeszcze widoczną na szybko ciemniejącym niebie i nagle pomyślałem o zamkniętych tam osobach, opłakujących tego, który dla nich nie był tyranem, lecz mężem, ojcem i bratem. Pierwszy też raz pomyślałem o nich nie jak o potworach, łotrach, mordercach i zdrajcach, lecz jak o ludziach, zwykłych ludziach, takich samych jak ja, tylko bardzo nieszczęśliwych.

Conciergerie...

Oparty o filar mostu Wymieniaczy spoglądam na ponure gmaszysko rozsiadłe szeroko nad Sekwaną. Pierwszy to pałac królów Francji: tu mieszkał Ludwik IX Święty, Luwr w owym czasie służył bowiem obronie miasta, był tylko fortecą.

Zza zwalistych wież i gotyckich dachów wystrzela ku niebu iglica ażurowej kaplicy, do niedawna nazywanej Świętą. Wzniósł ją ten sam Ludwik IX, przed przeszło pięciuset laty, jako olbrzymi relikwiarz dla Cierniowej Korony, którą przywiózł z wyprawy krzyżowej.

Rewolucja wydarła relikwię z drogocennej oprawy. Potrzeba było pieniędzy. Nieużyteczne bogactwo winno przecież służyć Ojczyźnie. Złoto więc przetopiono, a drogie kamienie... Co się zaś stało z relikwią, to nie interesowało nikogo. Podobno ktoś przechował narażając życie, ale o tym lepiej było nie wiedzieć.

Conciergerie...

Stoję i patrzę.

Olbrzymie zwały poczerniałego ze starości kamienia, któremu średniowieczny budowniczy nadał przedziwną lekkość, wyłaniają się jak gdyby z fal Sekwany. Na rogu kanciasta bryła wieży z pierwszym w Paryżu zegarem. Dalej, wzdłuż wybrzeża wtopione w gotycką fasadę dwie bliźniacze okrągłe baszty, strzegące wejścia do więzienia, królewskiej niegdyś siedziby.

Patrzę i patrzę, i przenika mnie dreszcz, tak posępne są te mury, kryjące jakże straszne tajemnice. I czekam na Wilfreda.

Już od tygodnia moja stara przyjaciółka przebywa w więzieniu. Czy jeszcze żyje? Czy spodziewa się ratunku, czy też pogrzebała wszelką nadzieję?

Poprzedniego dnia nareszcie otrzymałem upragnioną wiadomość. Wilfredowi udało się dotrzeć tam, gdzie zazwyczaj docierają już tylko ci, których czeka więzienny wózek i droga na plac Rewolucji.

- Uratujemy ją - oznajmił. - Nikt jednak nie powinien się dowiedzieć. Staruszka nie może wrócić do domu. Myślę, żeby ją umieścić u naszej szwaczki. Co o tym sądzisz?

- Bardzo dobrze. Jeżeli jest u niej miejsce. Ulica Charlot numer szósty, jeśli dobrze pamiętam.

- Tak, idź tam zaraz.

Wybrałem się więc na ulicę Charlot. Tego dnia nie pokazałem się u wdowy Clouet, miałem ważniejsze rzeczy do roboty.

Dozorczyni domu numer sześć była chuda, brzydka i niesympatyczna. Wskazała mi mieszkanie szwaczki, czyli obywatelki Lucylli Carnot.

Musiałem przejść ciemne i wąskie podwórze obudowane ze wszystkich stron oficynami i dopiero tam, na parterze, znalazłem naszą znajomą.

Mieszkanko było maleńkie, ale okna wychodziły na tyły domu, na wielki, zaniedbany teraz ogród otaczający pałac zgilotynowanego arystokraty. Wejście było przez kuchnię, ale pracownię zalewało słońce, a pokój choć mały i ubogi świecił czystością.

Obywatelka Carnot pochylała się nad stołem, na którym rozpięto zielony jedwab na wykwintną toaletę.

- Witaj, obywatelu - uśmiechnęła się na mój widok.

- Witaj - odparłem. - Jak widzę, znowu stroisz nimfę z teatru.

- To moje najlepsze klientki - odparła. - Dzięki nim żyję. - Nawet podczas Rewolucji ludzie lubią spektakle, a teatry Wodewilu i Republiki są co wieczór pełne. Proszę, siadaj, obywatelu. - Usunęła z krzesła zwoje aksamitu.

- Ciężko pracujesz, obywatelko - zauważyłem.

- Cóż robić, jeść trzeba. Nawet podczas Rewolucji. - Znowu uśmiechnęła się.

- Przysyła mnie obywatel Perrin - zacząłem.

- Słucham cię, obywatelu - zaczerwieniła się, nie wiadomo dlaczego.

- Moja dawna sąsiadka z ulicy Kordelierów została aresztowana i osadzona w Conciergerie.

- Biedna! - westchnęła.

- Bardzo biedna. Tym bardziej, że to staruszka. Obywatel Perrin użył swoich wpływów i znajomości i udało mu się uzyskać jej uwolnienie. Jutro mamy ją zabrać. Czy nie mogłabyś udzielić jej gościny? Dla bezpieczeństwa nie może wrócić do domu.

- Mogłabym - zgodziła się od razu. - Tylko u mnie nie ma wielkich wygod...

- Jej potrzebne będzie jedynie twoje serce, obywatelko - powiedziałem z przekonaniem. - To nieprzeciętna kobieta. Sama zobaczysz. Czy nie masz rodziców? - Rozglądałem się po pracowni.

- Nie żyją - szepnęła. - Nie mam nikogo, jestem zupełnie sama.

- Co powiesz dozorczyńcy? Nie wygląda sympatycznie.

- To okropna kobieta. Boję się jej. Powiem, że moja ciotka przyjechała z prowincji.

- Dobrze. Dziś jeszcze przywieziemy łóżko i pościel, a ty, obywatelko, postaraj się dla niej o jakąś suknię. Mogłabyś sama uszyć. - Z tymi słowami położyłem na stole kilka asygnat, które wręczył mi Wilfred. - Moja stara przyjaciółka nic nie ma, ale dostaniesz pieniądze na jej utrzymanie.

- Och, nie mów tego, obywatelu - znowu się zaczerwieniła. Zauważyłem, że rumieniec przychodził jej z wielką łatwością.

- Będziemy ci bardzo wdzięczni - zakończyłem wstając.

- Jak się czuje obywatel Perrin?

- Chyba nieźle. Przez moją przyjaciółkę nie mógł dać nodze koniecznego wypoczynku. To człowiek ze stali.

- O tak - przytaknęła - wspaniały człowiek. - Tym razem rumieniec okrył nie tylko policzki, ale i szyję.

- Mieszkam teraz u niego - dodałem. - Po mojej ciemnej i wilgotnej komórce wydaje mi się, że jestem w raj.

- To my teraz sąsiedzi - stwierdziła biorąc nożyce.

Nie mogłem jej dłużej przeszkadzać, choć chętnie zostałbym jeszcze chwilę.

Mąż matki Jourdan zakupił łóżko i pościel i ręcznym wózkiem dostarczył wszystko na ulicę Charlot. Mieszkanie oczekiwało na obywatelkę Thouret. Tylko czy obywatelka Thouret oczekiwała nas jeszcze w Conciergerie? Oto było pytanie.

Nazajutrz więc po śniadaniu stałem u wejścia na most Wymieniaczy od strony wyspy Cite, nie spuszczać oczu z okutej żelazem bramy. Gdy na wieżowym zegarze wybiła dwunasta, brama otwarła się powoli. Wilfred prowadził moją starą przyjaciółkę, która przystanęła, by, jak mi się zdawało, odetchnąć wolnością.

Szybko przebiegłem most; na nabrzeżu, po przeciwnej stronie więzienia czekała karetka. Nie wiem, skąd ją Wilfred wytrzasnął, ale wiedziałem już, że wszystkiego się można było po nim spodziewać.

Wkrótce nadeszli.

Schyliłem się do jej rąk, a ona objęła mnie za głowę.

- Kochany chłopcze - głos jej drżał. - Gdyby nie ty...

- To wszystko Wilfred - wyprowadziłem ją z błędu.

- Gdyby nie ty, o niczym bym nie wiedział... - Wilfred otwierał drzwiczki karety i pomagał wsiąść mojej uratowanej przyjaciółce.

Rzuciłem okiem na woźnicę. Kapelusze ozdobiony ogromną trójkolorową kokardą miał tak nisko nasunięty na oczy, że mało widziałem z jego twarzy, której dół zakrywał wysoki kołnierz redyngotu.

Gdy ruszyliśmy, Wilfred wydobył z kieszeni jakiś papier.

- To jest twój nowy dokument, obywatelko - powiedział poważnie. - Zapomnij, kim jesteś. Nazywasz się teraz Anna Lafare i przyjechałaś z Chartres. Znasz Chartres, obywatelko Lafare?

- Znam.

- To dobrze. Zapomnij także o mieszkaniu na ulicy Kordelierów. Nigdy tam nie byłaś.

Rozumiesz?

- Rozumiem.

- A oto twoje papiery. Jesteś cioteczną babką obywatelki Lucylli Carnot, przybywasz z Chartres, by u niej zamieszkać. Zapamiętasz to?

- Już zapamiętałam.

- Obywatelka Carnot jest szwaczką. Oczekuje ciotki Anny, której dawno nie widziała, ale którą bardzo kocha.

Przez cały ten czas obywatelka Thouret trzymała oburącz moją rękę – siedziałem naprzeciwko - i patrzyła na mnie takim wzrokiem, że łzy napłynęły mi do oczu.

- Dozorczyni domu przy ulicy Charlot, gdzie teraz zamieszkaasz, jest niesympatyczna i może być niebezpieczna. Proszę cię, obywatelko, zachowaj jak największą ostrożność. Chwilowo radzę nie wychodzić z domu. A ty, Bertranie - zwrócił się do mnie - uważaj, gdy zaczepią cię twoi byli sąsiedzi. Są też niebezpieczni. Nie ukazuj więc rozradowania i broń Boże nic nie mów pracze. To musi dla wszystkich pozostać tajemnicą.

Skinąłem głową.

Gdy wysiedliśmy, karetka natychmiast odjechała.

Obywatelka Carnot przyjęła nas serdecznie. Naturalnie nie obyło się bez rumieńca. "Ciotkę Annę" zaraz zainstalowała w pokoju, sama przeniosła się do pracowni. Nareszcie mogłem być spokojny, gdy na ulicy Powroźników dziękowałem Wilfredowi. - Nie mnie winieneś wdzięczność - powiedział - to Danton przychylił się do mojej prośby i biorąc pod uwagę podeszły wiek twojej protegowanej, uzyskał jej uwolnienie.

- Rewolucja jest sprawiedliwa! - wybuchnąłem. - Zawsze w to wierzyłem i wierzę. Co może zaszkodzić Francji taka stara niedołączna kobieta? To te łotry... to oni ją zadenuncjowali jako wroga Republiki. Nie lubili jej, bo ona jedna poznała się na ich obłudzie i tchórzostwie.

- Bądź ostrożny, Bertranie, w rozmowie z tymi młodzieńcami.

- Byłem już ostrożny. - I opowiedziałem o spotkaniu z Kasjuszem Peltier.

Miałem teraz wiele obowiązków, bo oprócz bytności u wdowy Clouet co dzień wpadałem na chwilę na ulicę Charlot.

- Kiedy mnie aresztowano - opowiadała "obywatelka Lafare" - nie pozwolono mi niczego zabrać. Okryłam się tylko chustką i to było wszystko. W więzieniu chłód. Prastare mury Conciergerie nie chronią od zimna. Przesiedziałam cały ten tydzień na wiązce słomy, którą strażnik rzucił mi z litości. Jeżeli ci się uda, Bertranie, zajrzyj do mego mieszkania i chwyć coś z mojej garderoby.

- Wilfred nie pozwolił - powiedziałem stanowczo. - Zabronił mi zbliżać się do twoich drzwi, obywatelko.

- Niczego cioci nie zabraknie - dodała szwaczka.

- Skąd wziąć na to pieniądze? - zatroskała się staruszka.

- Proszę, nie myśl o tym, obywatelko - wtrąciłem się - Wilfred wszystko załatwił.

- Cóż to za człowiek! - szepnęła jak gdyby do siebie.

- Wspaniały - zawołała obywatelka Carnot i nie zdołała ukryć rumieńca.

- Poznałem go dzięki tobie, obywatelko - zwróciłem się do dziewczyny i opowiedziałem nasze spotkanie.

- Obywatelka Carnot zachowała się bohatersko - zakończyłem - z narażeniem życia broniła nieznanego.

- Właściwie obywatel Perrin nie był mi obcy. - Szwaczka wydawała się zakłopotana. - Naturalnie nie znałam go osobiście i nie wiedziałam, jak się nazywa - dodała prędko. - Ale widywałam go czasem na ulicy, mieszkamy przecież w pobliżu. A takiego człowieka jak on nie sposób zapomnieć, gdy się go raz widziało. Nieprawda obywatelu? - Zwróciła ku mnie dziwnie roziskrzone oczy.

- Masz rację moje dziecko - wyręczyła mnie "ciotka Anna" - to postać niepospolita. Cieszę się, Bertranie, że znalazłeś takiego przyjaciela.

- Jeśli myślisz, obywatelko, że Wilfred jest wrogiem Rewolucji, to się mylisz. On równie jak ja

wierzy w sprawiedliwość i konieczność zachodzących przemian. Byłem na egzekucji Ludwika i widziałem koniec francuskiej monarchii. Przyznaję, że król zaimponował mi godnością i odwagą, z jaką zginął. Ludzie mówili, że ksiądz, który mu towarzyszył, powiedział, w chwili gdy spadło ostrze: "Synu Świętego Ludwika, wstępuj do nieba". Ja tego nie słyszałem, warczały werble, ale ci, co stali bliżej... Niemniej to koniec epoki i rad jestem, że byłem tego świadkiem.

Zaczął się nowy czas, czas równości i braterstwa. Gdy wrogowie Republiki upadną, Francja odetchnie wolna.

Podczas tej mojej tyrady obywatelka Thouret nie podniosła na mnie oczu. Siedziała ze złożonymi na kolanach rękami i spuszczoną głową.

- Twoje uwolnienie, obywatelko, najlepiej świadczy na korzyść Rewolucji - dodałem, by ją udobruchać.

- Dziś rano odczytano nazwiska tych, którzy nazajutrz mieli być straceni - odezwała się nagle.

- I co?

- I wśród innych było i moje nazwisko. - Powiedziała to bardzo cicho. - Obywatel Perrin zjawiał się w samą porę.

Miałem teraz u Wilfreda wszystkie gazety wychodzące w Paryżu. Między innymi moją ulubioną, "Francuskiego Patriotę", wydawaną przez obywatela Brissot. Czytywałem ją już dawniej, gdyż udawało mi się czasem dostać ją w Rignac.

Po egzekucji króla, Brissot napisał: "Ludwik przepowiedział nieszczęścia, jakie mają spaść na Francję po jego śmierci. O moi rodacy! Będzie to równie dalekie od prawdy, jak to, co mówił o swojej niewinności. Ocalimy Republikę! Widzieliśmy niebezpieczeństwa, w jakich się znalazła jeszcze przed śmiercią tyrana, a jednak wyszła z nich zwycięsko. Złączmy nasze wysiłki, a potrafimy zapobiec wszelkiemu złu".

Marat zaś stwierdził: "Głowa tyrana spadła ugodzona mieczem sprawiedliwości, który za jednym zamachem zniósł monarchię. Nareszcie wierzę, że mamy Republikę! Śmierć Ludwika jest wydarzeniem epokowym w dziejach naszego narodu. Wpłynie na los despotów całej Europy, na los ludów, które jeszcze nie zerwały łańcuchów. Śmierć Ludwika nie tylko nie zakłóciła pokoju w naszym Państwie, lecz umocniła je, porażając lękiem wrogów wewnątrz kraju, jak i tych poza jego granicami. Śmierć ta doda ludziom nowej siły do odparcia dzikich hord najeźdźców, którzy ośmieliliby się podnieść na nas rękę. Nie możemy się już cofnąć. Tu, gdzie się znajdujemy, trzeba nam dzisiaj zwyciężyć lub zginąć!"

Pożerałem te wszystkie mocno brzmiące hasła, przemawiały one do mojej wyobraźni, gdyż zgodne były z tym, w co wierzyłem. Widziałem w tych wypowiedziach prawdę o Rewolucji, tę istotną i rzeczywistą, daleką od pustych słów obywateli Brutusa i Kasjusza.

A potem nadeszła wiadomość, że młodszy brat Ludwika, przebywający na emigracji książę Prowansji, w wydanym właśnie manifeście ogłosił królem młodego delfina, zamkniętego w wieży Temple, nazywając go Ludwikiem XVII. Sam mianował się regentem królestwa.

- To niemożliwe - mówiłem. - Francja jest i pozostanie Republiką. Na zawsze. Nie chcemy więcej żadnego Ludwika. Koniec z monarchią.

- Koniec - przytaknął Wilfred, podnosząc głowę znad gazety.

Nie mówiłem tego wszystkiego w domu szwaczki, nie chcąc martwić mojej starej przyjaciółki, którą teraz ja również nazywałem "ciotką Anną".

- Wiesz - powiedziała mi raz. - Anna to moje prawdziwe imię. Wilfred dobrze utrafił. To mądry człowiek.

Szwaczka też któregoś wieczoru pokazała mi jakiś papier.

- Co to? - spytałem biorąc kartkę do ręki.

- Przeczytaj, obywatelu.

- "Testament Ludwika XVI" - przeczytałem głośno. - Skąd to masz, obywatelko?

- Przyniosła mi moja klientka. Jak mówi, wszyscy się tym zaczytują w teatrze Wodewilu.

- Nie boisz się, obywatelko?

Wzruszyła ramionami.

- Czytaj, czytaj - przynaglała ciotka Anna.

"W imię Trójcy Przenajświętszej, Ojca, Syna i Świętego Ducha - czytałem - dzisiaj, dwudziestego piątego dnia, miesiąca grudnia tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego roku, ja, Ludwik szesnasty z imienia, król Francji, zamknięty od czterech miesięcy w wieży Temple w Paryżu przez tych, którzy byli moimi poddanymi, i pozbawiony wszelkiej łączności ze światem, a od 10 bieżącego miesiąca nawet z moją rodziną, ponadto uwikłany w proces, którego wyniku nie można przewidzieć ze względu na rozpetane namiętności, w żadnym bowiem prawodawstwie nie podają powodu do takowego postępowania, mając jedynie Boga za świadka, gdy tylko do Niego mogę się zwrócić, oznajmiam oto w Jego obecności moją ostatnią wolę i uczucia".

- No i cóż - przerwała mi ciotka Anna. - Cóż na to powiesz?

- Pięknie się zaczyna - odparłem. - Ale czy szczerze?

- Czy myślisz, że człowiek może kłamać w obliczu śmierci? - obruszyła się. - Król wiedział przecież, jaki będzie wyrok, nie łudził się żadną nadzieją.

- Był przygotowany na śmierć - wtrąciła szwaczka. - Słyszałam o tym od moich klientek. - A potem dodała ciszej. - Nie chciałabym tak zginąć, to straszne... Ta gilotyna... - Wstrząsnęła się ze zgrozą.

- Dawno już pragnąłem cię zapytać, obywatelko, dlaczego poszłaś na egzekucję Ludwika? Takie krwawe widowisko nie jest stosowne dla młodej dziewczyny.

- Chciałam choć raz zobaczyć króla, nigdy go dotąd nie widziałam - szepnęła - a poza tym miałam nadzieję, że ludzie zgromadzeni na placu zażądają uchylenia wyroku. Konwent przecież po przeliczeniu głosów nie zaapelował, jak był powinien, do narodu. Słyszałam, jak o tym mówiono.

- Czy widziałaś, obywatelko, jak aresztowano Wilfreda? Ja stałem zbyt daleko.

- Zrobiło się straszne zamieszanie - wyjaśniła. - I krzyki. Przestraszyłam się. Obywatela Perrin zauważyłam już przedtem, a potem nagle ujrzałam go ze szpadą w ręku... Wreszcie pochwycili go żandarmi.

Ciotka Anna milcząco kiwała głową.

- Twój przyjaciel chciał ratować króla - stwierdziła z przekonaniem.

- ależ ciociu! - krzyknąłem z desperacją. - Wilfred chciał ratować Republikę, nie króla!

Popatrzyła na mnie, jak się patrzy na nierozumne dziecko i powiedziała spokojnie: - Czytaj dalej.

"Duszę polecam Bogu, mojemu Stwórcy - czytałem więc - i proszę Go, by przyjął ją w swoim miłosierdziu, by jej nie sądził według moich zasług, lecz według zasług Pana naszego Jezusa Chrystusa, który ofiarował się Bogu Ojcu za nas ludzi i za mnie najbardziej niegodnego.

Proszę wszystkich, których niechcący obraziłem, oraz tych, którym mogłem dać zły przykład, by wybaczyli mi krzywdę, jaką im wyrządziłem.

Wybaczam z całego serca tym wszystkim, którzy stali się moimi wrogami, choć nie dałem im do tego powodu i proszę Boga, by im odpuścił.

Bogu polecam moją żonę i dzieci, moją siostrę, ciotki, braci i wszystkich związanych ze mną węzłami krwi. Proszę moją żonę, by mi przebaczyła ten ucisk, który znosi z mego powodu.

Polecam memu synowi, jeżeli będzie miał nieszczęście zostać królem, by oddał się całkowicie służbie dla dobra rodaków, by zapomniał o nienawiści i nie chował urazy z powodu tego, co ja cierpię, żeby pamiętał, iż jedynie rządząc zgodnie z prawem może dać szczęście swemu ludowi, a jednocześnie nie zapominał, że tylko ciesząc się autorytetem, król może nakazać poszanowanie praw i czynić dobrze. Inaczej, mając ograniczoną władzę i nie wzbudzając szacunku, taki król bywa bardziej szkodliwy niż pożyteczny.

Polecam też memu synowi, by dbał o te osoby, które pozostały mi wierne, by spłacił dług dzieciom tych, którzy przeze mnie zginęli. Chciałbym też wyrazić wdzięczność tym wszystkim, którzy okazali mi bezinteresowne przywiązanie i przez to narazili się na niebezpieczeństwo. Polecam mu również mego kamerdynera Clery, który dobrowolnie podzielił moją niewolę i pozostał ze mną do końca. Proszę panów z Komuny, by oddali mu moje ubranie, zegarek oraz inne

drobne przedmioty złożone w ich ręce.

Dozorcom mojego więzienia przebaczam z serca przykrości i złe traktowanie, jakiego od nich doznałem. Uważali widać, że powinni tak ze mną postępować.

Kończąc, oświadczam wobec Boga, przed którym wkrótce stanę, że nie wyrzucam sobie nic z tego, o co mnie oskarżono.

Sporządzono w dwóch egzemplarzach w wieży Temple, 25 grudnia 1792 roku. Ludwik."

- Co ty na to? - Ciotka Anna przeszła mnie przenikliwym spojrzeniem.

- Powtarzam: bardzo pięknie napisane. Ale jednego możemy być pewni, Ludwik XVII nigdy nie będzie panował.

- Nigdy, jeśli go zamęczą w więzieniu. To jeszcze dziecko.

Szwaczka odebrała mi pismo i ukryła w komodzie, pod zwojami muślinu.

- W teatrze płaczą, czytając to - westchnęła.

- Widzę, że i tobie, obywatelko, mało brakuje, a zalałabyś się łzami - zauważyłem.

Zaczerwieniła się, ale nic nie powiedziała.

W domu zapytałem Wilfreda, czy zna treść królewskiego testamentu.

- Znam - odrzekł. - A ty, gdzie go czytałeś?

- U szwaczki. Te damy z teatru mają tak czułe serca, że podobno płaczą przy tej lekturze.

- Uprzedź ją, by była ostrożna. Policja tropi ten dokument, który w odpisach krąży po Paryżu.

Aresztowano już wiele osób.

Zaniepokoiłem się o moje przyjaciółki.

- Szwaczka jest nieostrożna - przyznałem - a teatralne nimfy lekkomyślne. Na szczęście jutro rano ma odnieść to pismo wraz z suknią.

- Miejmy nadzieję, że tej nocy nie wydarzy się nic złego - zauważył Wilfred.

- Mój Boże! Więc obawiasz się...

- Wszystkiego należy się obawiać. Czy myślisz, że te teatralne nimfy, jak je nazywasz, mają potrzebną rozwagę i potrafią milczeć? Idź lepiej i przynieś do nas to kompromitujące pismo. Jutro rano odniesiesz.

Zerwałem się przerażony.

W powrotnej drodze podniosłem oczy na nasze okna. Na parapecie jednego z nich stała świeca. Szybko wbiegłem na schody i zastukałem. Świeca, a właściwie dwie świece, stały jak zwykle na stole.

- Wiesz co - powiedział Wilfred wesoło - jestem pewien, że spodobałeś się szwaczce. Zauważyłem, jak się rumieni na twój widok. Daj, proszę, ten papier, schowam go dobrze.

- Co ci przyszło do głowy? - oburzyłem się. - Ona się rumieni bez żadnego powodu, a przeważnie, gdy mówimy o tobie.

- Przy tak ładnym chłopcu jak ty - zaczął.

- Och, dla mnie nie istnieją kobiety - zawołałem.

- Czyżbyś był wrogiem płci pięknej? A może jesteś nieszczęśliwie zakochany? - Spojrzał na mnie uważnie.

- Masz rację - przyznałem. - Jestem zakochany beznadziejnie i nieszczęśliwie.

- A ona? - zainteresował się.

- Ona... ona nie dla mnie. Ona jak gwiazda na niebie, a ja... ja jak robak. Nic dla niej nie znaczę. Nie wie nawet o mojej miłości... Nie może się dowiedzieć... Wolę jej obojętność niż wzgardę.

Nie spuszczał ze mnie oczu.

- Jest zaręczona - wybuchnąłem. - Z markizem! Z pudrowanym fircykiem, który potrafi tylko machać pozłocaną szpadką. To przecież nie mężczyzna. Jak mogła! Nienawidzę go. Chciałem, by zginął na szafocie. Nie patrz tak na mnie, wiem, jestem potworem! Ale ona go kocha, rozumiesz? Wybrała go. Jest z nim zaręczona, a ja... - oparłem się o stół, wtuliłem twarz w zgięte ramię i ku memu wstydomi, rozplakałem się jak słaba kobieta.

- Kto to taki? - spytał.

- Nie mogę ci powiedzieć. Wstydzę się.

- Mów. - W jego głosie był rozkaz.

- To... to panna Gabriela - wyjąkałem. - Córka hrabiego de Saunhac. Na szczęście nie ma już hrabiów ani markizów, ani panów de... Ludzie są równi, równi! - krzyknąłem.

- Są równi - otrzeźwił mnie głos Wilfreda. - Więc tak ją kochasz?

- Marzę o niej, a wiem, że jest dla mnie nieosiągalna. że nigdy... A ja... ja dałbym dla niej życie... O Boże, Boże! - Nie wiem, co się ze mną stało. Chciałem rzucić się na ziemię, wyć jak zwierzę, tłuc głową o ścianę. Chwyliła mnie straszna rozpacz, odżyła przeszłość, dawny ból, przyciszony nowymi warunkami, wrażeniami nowego życia. Pierwszy raz poczułem potrzebę, żeby z kimś mówić o mojej miłości. Dotąd nikt przecież nie wiedział, w Belcastel nikt się nawet nie domyślał. Aż tu naraz dziś... Jak gdyby pękły jakieś zapory i powstrzymywany dotąd potok runął rwącą kaskadą.

Wilfred milczał, wpatrywał się tylko we mnie swymi zimnymi oczami.

- Jaka ona jest? - spytał wreszcie.

- Jaka? - wybuchnąłem. - Cudna! Piękna! Jedyna na świecie... Moja panna Gabriela.

- Panna Gabriela - powtórzył. - A... markiz?

- Markiz... pewnie już nie żyje.

- Pragnąłeś jego śmierci?

- Pragnąłem. Byłem szalony. Ale teraz...

- Co teraz?

- Gdy zobaczyłem śmierć króla... Ta gilotyna...

- Więc żal ci markiza?

- Nie wiem. Nienawidziłem go. Był moim "rywalem". Rywalem! Śmiej się ze mnie. Ja i panna Gabriela!... Wiem dobrze, że to niemożliwe. Nawet Rewolucja nie mogłaby tego dokonać. A poza tym, panna Gabriela wyjechała... Wraz z ojcem opuściła Belcastel i Francję. Nie ma jej na naszej ziemi i nigdy jej nie zobaczę. Nigdy.

- Któż to wie?

- Wiem. Nie wrócę do Belcastel. Wilfredzie, zapomnij o tym wszystkim, co tu nagadałem. Ale musiałem. Coś się we mnie zerwało, coś pękło... Pewnie mną pogardzasz ty, taki mocny i opanowany, patriota i rewolucjonista, a ja taki słaby, nędzny... i taki nieszczęśliwy.

Wstał, obszedł stół i otoczył mnie ramieniem.

- żałujesz, że mnie przyjąłeś do swego domu, prawda? Takiego szaleńca!

- Jesteś szalony, tak, ale rozumiem cię, ach, jak dobrze cię rozumiem.

Spojrzałem w jego stalowe oczy. Były jak gdyby osnute mgłą.

- Gardzisz mną, powiedz?

- Za co miałbym tobą gardzić? Jesteś nieszczęśliwie zakochany, to wszystko. Będiesz niósł ten ciężar, aż spotkasz dziewczynę...

- Nie chcę nikogo - przerwałem. - Nie mógłbym...

Od tego dnia poczułem, że nowa więź łączy mnie z Wilfredem. Znał moją tajemnicę, znał moją nędzę i podłość. Bo byłem podły, gdy pragnąłem śmierci markiza. Ale okazał się wyrozumiały i wielkoduszny. Jakże go podziwiałem. Jakże podziwiałem i kochałem tego niezwykłego człowieka.

Była to druga tak poważna rozmowa, jaką z nim miałem. Pierwsza dotyczyła pieniędzy.

Nie mogłem tak żyć na jego koszt. U wdowy Clouet jadałem obiad - w ten sposób płaciła mi za pracę - ale pozostałe posiłki spożywałem z Wilfredem. A o żywność było coraz trudniej, ceny z każdym prawie dniem szły w górę. Dochodziło też do coraz częstszych zamieszek i krwawych porachunków. Tłumy rzucały się na sklepy. Kupców rozszarpywano na strzępy jako wrogów Rewolucji. Dopuszczano się potwornych okrucieństw, a wszystko dlatego, że czterofuntowy bochenek chleba kosztował dwanaście sous, podczas gdy najwyższa dzienna płaca robotnika nie przekraczała dwadzieścia sous.

Wilfred miał zawsze pieniądze. Nie wiem, skąd je brał, ale widywałem nieraz, jak z szuflady komody wyjmował nowiutkie asygnaty. W ogóle nie wiem, co porabiał. Nie było mnie cały dzień w domu, a i wieczorami wpadałem przecież na ulicę Charlot. Wilfreda często nie zastałem po powrocie. Nie wiem, dokąd wychodził, nie śmiałem pytać. Jakże mogłem? Raz

jednak podniosłem sprawę pieniędzy.

- Przestań, Bertranie - przerwał mi. - I nigdy nie poruszaj tego tematu. Wystarczy na nas dwóch tego, co mam, i nie ja tobie, ale ty mnie wyświadczyłeś łaskę zamieszkując ze mną.

Nie miałem odwagi więcej o tym wspominać.

- Jestem i pozostanę do śmierci twoim dłużnikiem - powiedziałem wówczas.

- Jak chcesz - zgodził się i na tym musiałem poprzestać.

Życie Wilfreda było dla mnie tajemnicą. Nigdy nie opowiadał, co robił, wiem tylko, że udzielał się w Sekcji, gdzie cieszył się wielkim poważaniem. Matka Jourdan i jej mąż okazywali mu bałwochwalcze wprost uwielbienie. To wszystko, co o nim wiedziałem. Właściwie było coś jeszcze: jego bezprzykładna odwaga, nie bał się niczego. Poznałem go przecież w ciężkiej dla niego sytuacji. W ogólnym zamieszaniu żandarmi wzięli go za buntownika, podczas gdy on stał w obronie Rewolucji. Mógł tę ich pomyłkę przypłacić głową. A jednak ani na chwilę nie stracił zimnej krwi. Doskonale to pamiętam. Troszczył się i bał się o innych, nigdy o siebie. Wyrwał z rąk śmierci moją sąsiadkę, a i teraz lękał się o bezpieczeństwo nieostrożnej szwaczki. O sobie nie myślał.

Ktoregoś wieczoru czekałem z niepokojem na jego powrót, gdy zastukano do drzwi. Otworzyłem. Na progu stał niski mężczyzna o ciemnych oczach i ruchliwej twarzy. Mimo małego wzrostu był bardzo zręczny, od pierwszego słowa zresztą poznałem w nim Gaskończyka.

- Czy nie ma obywatela Perrin? - Głos miał niezwykle dźwięczny.

- Jeszcze nie wrócił.

- Czy pozwolisz mi, obywatelu, zaczekać?

- Proszę cię, obywatelu.

Podąłem mu krzesło, ale on podszedł do okna i zapatrzył się w ciemność.

- Za dnia widać doskonale wieżę Temple - zauważyłem, by przerwać niezręczne milczenie.

Nic nie odpowiedział, a po chwili usiadł na wskazanym przeze mnie krześle.

Nie wiedziałem, o czym z nim rozmawiać, a on ciągle milczał i wydawał się bardzo niezadowolony z nieobecności Wilfreda. Wreszcie zerwał się i rzekł:

- Nie mogę dłużej czekać. Już bardzo późno. Czy możesz być tak dobry, obywatelu, i powiedzieć obywatelowi Perrin, że był Jan Evrard.

Wyprowadziłem go na schody i poświeciłem, póki nie zszedł na dół. Minęła już dziesiąta, a Wilfreda nie było. Gdy nie zjawił się do północy, zacząłem się obawiać nieszczęścia. Coś złego musiało go spotkać. Coś bardzo złego. I ten Jan Evrard... Kto to taki? Wróg czy przyjaciel?

Chodziłem po tych dwóch ciasnych pokoikach, nie mogąc usiedzieć na miejscu. O położeniu się nie było mowy. Nie wiedziałem, dokąd iść, gdzie go szukać i jak go ratować. Obawiałem się najgorszego.

Zasnąłem z głową opartą na stole, a właściwie zdrzemnąłem się tylko. Obudziły mnie kroki na schodach. Była trzecia w nocy. Świece dopalały się. Zerwałem się i otworzyłem drzwi. Wilfred wszedł, minął mnie, jak gdyby mnie nie widział, i padł na krzesło.

- Wilfredzie - rzuciłem się ku niemu. - Co się stało? Coś złego? Taki byłem niespokojny.

Nigdy nie widziałem podobnego wyrazu w jego oczach. Nie były teraz ani zimne, ani stalowe. Wydały mi się ciemniejsze - nie wiem, z powodu zmęczenia a może... rozpaczy. Tak, chyba rozpaczy. I jak gdyby trwogi. Ale przecież on nie bał się niczego. Więc pewnie chodziło o kogoś innego. O kogo się bał?

- Co ci? Co ci? - powtarzałem, stojąc przed nim i patrząc bezradnie na jego rozpacz. - Był tu wieczorem niejaki Jan Evrard - powiedziałem wreszcie. - Pytał o ciebie.

Zrobił taki ruch ręką, jak gdyby Jan Evrard i wszystko, co reprezentował, nie miało najmniejszego znaczenia.

- Wybacz mi - szepnął. - Niepokoiłeś się... Zatrzymano mnie w Sekcji.

Nic więcej nie powiedział. Wypił tylko trochę wina. Potem słyszałem, jak chodził po pokoju. Wreszcie się położył.

Byłem coraz bardziej niespokojny. Wiedziałem, że coś go spotkało złego, musiało to być coś bardzo złego, jeżeli potrafiło wytrącić z równowagi tego tak zrównoważonego człowieka.

Nazajutrz Wilfred był taki jak zwykle.

- Czego chciał Jan Evrard? - zapytał przy śniadaniu.

- Nie wiem. Czekał dość długo, a odchodząc prosił, bym ci powtórzył, że był Jan Evrard. To wszystko.

Skinął głową i nic więcej nie powiedział. Gdy wróciłem wieczorem, zastałem go pogrążonego w lekturze "Francuskiego Patrioty".

Tego dnia wdowa Clouet była w bardzo złym humorze. Z siostrzeńca nie miała żadnej pomocy. Janek przychodził do domu, żeby się najeść i wyspać. Poza tym biegał po mieście znosząc najbardziej nieprawdopodobne wiadomości. W dalszym ciągu wszystkim był zachwycony, ale najbardziej spodobało mu się demolowanie sklepów i wymierzanie doraźnej sprawiedliwości "wrogom Republiki".

Pomogłem praczce przygotować bieliznę mieszkańców wieży Temple, wnieśliśmy z woźnicą kosz na wózek, który właśnie przysłano i jak zwykle wdowa Clouet wraz z córką pojechały. Wróciły jednak niespodziewanie szybko. Pracznka była zła i zagniewana. Julka zawiedziona, nie doszło bowiem do oczekiwanej zabawy z "małym Kapetem".

- Nie wpuścili mnie - rzuciła ze złością moja pracodawczyni - ani do pani Antoniny, ani do pani Elżbiety (tak nazywała królową i siostrę zgilotynowanego króla).

- Dlaczego? - zdziwiłem się, wiedziałem bowiem, że zazwyczaj widywała te kobiety.

- Wytrzęśli cały kosz - narzekła. - Każdą sztukę bielizny wywracali na wszystkie strony. Coś się tam musiało stać tej nocy. Podwojono strażę. W dolnej sali siedzi kilku komisarzy z tamtejszej Sekcji. - Pierwszy raz tak szczerze opowiadała mi o swojej wizycie w wieży Temple. Widać bardzo była poruszona.

- I nie widziałaś więźniów, obywatelko?

- Nigdzie mnie nie wpuszczono - mruknęła. - Przy mnie obejrzeni bieliznę, sprawdzili ze spisem. Obszukali nawet Julkę i jej zabawki. Po śmierci pana Kapeta mniej jest do prania, ale dozorca Tison i jego żona dołożyli podwójną porcję. Korzystają, póki mogą. Jak wszystkich zgilotynują, skończy się dla nich darmowe życie.

- Wszystkich zgilotynują? - przeraziłem się. - Co mówisz, obywatelko.

- A jak myślisz? Wiesz przecież, jak nazywają panią Antoninę i jej syna. "Wilczyca i wilcze szczenię". Tak o nich mówią. A pani Antonina to bardzo grzeczna i łagodna pani, za wszystko dziękuje. Staralam się jej dobrze usłużyć. Ale tam coś zaszło tej nocy... Zupełnie poszaleli. Co chwila patrol wchodzi na górę, gdzie siedzą te kobiety. Chyba czegoś szukają. Sama nie wiem, co o tym sądzić. Gdy zdałam bieliznę i zabrałam brudy, od razu odesłali mnie do domu.

Wieczorem powtórzyłem tę rozmowę Wilfredowi.

- Może usiłowano uprowadzić je, jak myślisz? - spytałem.

- Z wieży Temple nie jest to możliwe - powiedział stanowczo. - Nasza Sekcja pilnuje. Jest tam zawsze dwóch komisarzy na dyżurze. Zmieniają się co dwadzieścia cztery godziny.

- Właściwie dla tych więźniów wdowa Clouet jest jedynym łącznikiem ze światem. - zauważyłem.

- Tak. Jedynym.

- Czy już jej tam nie dopuszczają?

- Może dopuszczają po jakimś czasie, gdy się wszystko uspokoi.

- Pracznka sądzi, że one także zostaną zgilotynowane.

- Bardzo możliwe. Lud nienawidzi Austriaczki.

- Brat jej, cesarz, dużo dałby za jej uwolnienie, prawda? Śle na nas wojska, ale jak dotąd przegrywa. Nie damy się ani Austriakom, ani Prusakom. Pobijemy wszystkich.

- Widzę, że z wielką uwagą czytasz wypowiedzi obywatela Brissot - uśmiechnął się Wilfred.

- Nie siedziałbym tu, gdybym miał obie ręce - zawołałem. - Walczyłbym pod rozkazami generała Dumourieza i wyzwałbym naszych północnych sąsiadów spod jarzma tyranów.

- Dobrze mówisz - pokiwał głową Wilfred. - Prawdziwy z ciebie patriota.

- Co tam ja - machnąłem ręką. - Przy tobie jestem niczym.

- Jesteś zbyt skromny - zauważył. - Ty przynajmniej bijeś wrogów pod Valmy, a ja nie

wstąpiłem do wojska.

- Miałeś przypuszczalnie ważne ku temu powody. I na pewno lepiej służyłeś Republice i Rewolucji niż ja.

- Kto to wie? - westchnął. - Kto to wie? A co powiesz, gdybyśmy "Republikę" zastąpili "Francją". Ustroje się zmieniają, zmieniają się rządy. Przychodzą rewolucje i mijają. Ale Francja zostaje. Niby po każdej zmianie inna, a właściwie zawsze ta sama. Francja, ojczyzna.

- Ojczyzna - powtórzyłem.

- Ojczyzna - przytaknął. - Twoja i moja. Ojczyzna republikanów i rojalistów. Wszyscy pragną jej dobra, a każdy pojmuje to inaczej. A kto ma rację?

- Nie wiem - wyznałem. - Ale chyba my i Rewolucja. O tak, Rewolucja.

Wiadomość o zdradzie generała Dumourieza poraziła mnie niczym przysłowiowy piorun z jasnego nieba.

Nie mogłem uwierzyć, żeby ten człowiek, patriota i rewolucjonista, przeszedł na stronę wroga. Przecież żaden wódz nie był tak uwielbiany przez żołnierzy, żaden nie dokonał tego, co dokonał Dumouriez z tą garstką oberwańców! Byłem tam i widziałem. Valmy! Jemmapes! To kamienie milowe znaczące zwycięski pochód Rewolucji.

Tak jeszcze niedawno Minister Spraw Zagranicznych Le Brun nadał urodzonej wówczas córce imiona Jemmapes_ \$dumouriez.

I nagle...

Pod dowództwem Dumourieza Francuzi zajęli Belgię, weszli do Mons i do Brukseli niosąc wszędzie wolność i głosząc śmierć tyranom. Obce ziemie posłyszały pieśń Marsylczyków "do broni, obywatele!..." I to wszystko zdziałał Dumouriez, tak, Dumouriez, a teraz miałby zdradzić? Trudno w to było uwierzyć.

Ponadto Dumouriez to nie żaden młodzik, niedoświadczony i nierozważny. Ma pięćdziesiąt trzy lata, to prawdziwy żołnierz i syn żołnierza. Od osiemnastego roku życia służy w armii. Brał udział w wojnie siedmioletniej, był siedemnaście razy ranny. Dumouriez to człowiek wykształcony, obdarzony wybitną inteligencją, prawdziwy geniusz wojny. I taki człowiek miałby zdradzić? Od początku, od pierwszego dnia, stanął po stronie Rewolucji. Został ministrem wojny, naczelnym dowódcą Armii Północy.

W 1791 roku wraz z innymi złożył przysięgę na wierność monarchii konstytucyjnej. Potem, gdy Rewolucja obaliła monarchię, zrobił, co prawda, wszystko możliwe, by uratować Ludwika XVI, jednakże jego starania nie odniosły skutku. Danton, Robespierre i Marat pozostali głusi na jego perswazje. Śmierć króla miała być ostatecznym ukoronowaniem zwycięstwa Rewolucji.

Po egzekucji Ludwika stosunki między generałem Dumouriezem a Konwentem uległy znacznemu ochłodzeniu. Do Paryża doszły słuchy o niepochlebnych uwagach naczelnego wodza Armii Północy źle oceniającego ostatnie posunięcia Konwentu. Dumouriez stał się wręcz podejrzany, a więc niebezpieczny, tym bardziej że doniesiono, jakoby zamierzał pójść na Paryż i ostrze swojej szpady zwrócić przeciw ojczyźnie.

W tym czasie Francuzi weszli do Holandii, ale tu odwróciło się szczęście od armii niosącej ludowi wolność, równość i braterstwo. Osiemnastego marca Dumouriez poniósł dotkliwą klęskę pod Neerwinden. Wezwany do Paryża odmówił powrotu. Wiedział dobrze, co go czeka. Konwent wysłał więc delegację, by siłą sprowadzić opornego i postawić go przed sądem.

Delegacji przewodzi minister wojny, wsparty czterema członkami Konwentu. Trzydziestego pierwszego marca 1793 roku komisarze przybywają do kwatery głównej Dumourieza. Natychmiast otacza ich oddział huzarów, a dowódca oznajmia ironicznie, iż stanowią gwardię honorową czcigodnych gości. Gdy stanęli w kwaterze generała, minister wojny przekazał mu rozkaz Konwentu. "Nie pojedę do Paryża - oznajmił Dumouriez - tam mnie chcą zamordować". "Aresztuję cię, obywatelu" - mówi jeden z komisarzy." "Głupcze, to ja was aresztuję" - odpowiada Dumouriez, po czym wy daje ich Austriakom.

Wszystkie gazety paryskie opisały owo zdarzenie z najdrobniejszymi szczegółami, litując się nad losem bohaterskich komisarzy, wystawionych na obelgi sługusów tyranii. Wszystkim autorom brakło słów oburzenia, by wyrazić podłość i nikczemność zdrajcy.

- Jak mógł? - pytałem Wilfreda. - Czym wytłumaczyć czyn tak haniebny? Był Przecież rewolucjonistą! Czyżby udawał? Na tyle przewrotny, by dla kariery uchodzić za prawdziwego patriotę?

- Widocznie w głębi duszy pozostał rojalistą - rzekł spokojnie Wilfred. - Pamiętaj, że przez całe życie służył monarchii.

- Służył Francji - przerwałem. - Sam przecież mówiłeś, rządy i systemy mogą się zmieniać, Francja zostanie zawsze ta sama.

- Widzę, że nauka w las nie idzie - uśmiechnął się. - Widocznie Dumouriez uważał, że zabijając Ludwika Rewolucja przebrała miarę.

- To było konieczne - gorączkowałem się. - Ludwik żywy wiecznie zagrażałby Republice. Zawsze znaleźliby się ludzie pragnący powrotu monarchii. Mogłoby nawet dojść do wojny domowej.

- A mogłoby - przytaknął Wilfred. - W każdym razie, gdyby Dumouriez posłuchał rozkazu i wrócił, nie unikałby losu Ludwika.

- Zgilotynowano by go? - zdumiałem się. - Przecież gdyby wrócił, nie byłby zdrajcą.

- Dumouriez zbyt dobrze zna Dantona i Robespierre'a oraz innych co znaczniejszych członków Konwentu. Pamiętaj, że trzystu sześćdziesięciu z nich głosowało za śmiercią króla.

- Dumouriez nie jest królem!

- Ale nie jest też pokornym barankiem. To żołnierz, który zna swoją wartość. Przypominam sobie, co kiedyś opowiadano, jak minister Ludwika XV, ksiązę d'Alaiguillon, niezadowolony z czegoś rzucił w twarz generałowi: "Jest pan kreaturą mojego poprzednika Choiseula!". "Nie jestem niczyją kreaturą - odparł butnie Dumouriez. - Stworzył mnie Bóg i moja szpada. A epitet, jakim mnie pan obdarzył, przystoi co najwyżej pańskim fagasom". Za tę arogancką odpowiedź pół roku odsiedział w Bastylii. Taki jest Dumouriez. Nie potrafi zamilczeć i znieść obelgi. Nie jego to zresztą wina klęska pod Neerwinden. Tak zazwyczaj toczą się losy wojny.

Długi czas nie mogłem sobie znaleźć miejsca, tak mną wstrząsnęła zdrada "mego dowódcy". Miałem prawo tak myśleć, przecież pod Valmy... Kogo właściwie można było być pewnym? Komu ufać? Oto po generale La Fayette zdradził Dumouriez. Nie ma więc Dumourieza, nie ma obrońcy północnej i wschodniej granicy. Co z nami będzie? Co będzie z Rewolucją? Tym bardziej że na zachodzie, w Wandei, ludzie powstali przeciw masowemu poborowi do wojska. Okazało się, że właśnie tam było gniazdo monarchistów. "Bóg i nasz król" - tak brzmiało zawołanie wrogów Ojczyzny, bo wrogów Republiki i Rewolucji.

Byłem tym wszystkim bardzo przybity i tylko jeden człowiek mógł mnie podnieść na duchu. Tym człowiekiem był oczywiście Wilfred, a jak na złość w tym właśnie czasie mało go widywałem.

Każdego wieczoru wracał późno i wydawał się zmęczony i niezbyt chętny do gawędy ze mną. Z kim więc miałem mówić o dręczących mnie sprawach?

Wdowa Clouet znowu zaczęła bywać w więzieniu Temple. Miałem więc u niej dużo roboty. Janek nie poczuwał się do żadnej wdzięczności wobec ciotki. Całe dni spędzał na placu Rewolucji przyglądając się egzekucjom. Gilotyna pracowała prawie co dzień, a on pochłaniał te krwawe widowiska z jakimś nieledwie chorobliwym zapamiętaniem. Zwróciłem nawet uwagę praczki na ten jego niezdrowy pociąg do podobnych scen, niebezpieczny przecież dla tak młodego chłopca. Mogło to się źle odbić na jego charakterze, powiedziałem.

- Nic na to nie poradzę - wrzuszyła ramionami. - Nie mam czasu zajmować się nim. Przyjechał, żeby mi pomagać, a zamiast pracować, włóczy się cały dzień po mieście, nie wiadomo z kim i gdzie.

- Powinnaś mu przynajmniej zabronić, obywatelko, opowiadać to wszystko Julce. Dziewczynka bardzo go lubi i jest pod jego wpływem.

- Nic na to nie poradzę - powtórzyła. - Raz mu już zwróciłam uwagę, ale mnie nie posłuchał. A mała w nocy dostała gorączki i opowiadała jak to ludziom obcinają głowy.

Sam już chciałem pomówić z chłopcem, ale rzadko go widywałem. Były dni, gdy nawet nie wracał na obiad. A wieczorem znowu ja byłem nieobecny. Ponadto Janek nie lubił mnie i raczej unikał, gdyśmy się czasem spotkali.

Aż raz, gdy szedłem rano do mojej praczki, natknąłem się na niego pod murami Chatelet.

- Wróc dziś wcześniej - powiedziałem - pomożesz mi nanosić wody. Mnie trudno z jedną ręką...

- Głupi jesteś - zaśmiał się bezczelnie. - Ciotka orze tobą jak wołem, a ty...

- Sam jesteś głupi. - Popatrzyłem na tę jego tępą, nalaną twarz. - Proszę cię też, nie opowiadaj Julce tych wszystkich okropności. To przecież dziecko.

- I dzieci patrzą na gilotynę. Bardzo dobrze. Niech się uczą, może nie będą takie głupie.

- Źle robisz - powiedziałem ostro. - Powinieneś mieć jakieś obowiązki, ale ty wolisz się próżniaczyć. Twoja ciotka zbyt ciężko pracuje, abyś darmo jadł jej chleb.

- Znalazł się klecha, co prawi kazania - wzruszył ramionami. - Ciotka pracuje, bo głupia, ale już niedługo... Gdy ze wszystkimi tam zrobią porządek - tu przejechał grzbietem dłoni po szyi i zaśmiał się ohydnie - będzie miała mniej roboty.

Poczułem do niego taką odrazę, że bez słowa minąłem go i co prędzej wpadłem na most.

Wdowa Clouet była w fatalnym humorze. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Teraz z wiosną ten pędziwiatr ani chwili nie posiedzi w domu - poskarżyła się. - Ciekawam, gdzie jada obiady, bo wraca zaledwie na noc.

- Spotkałem go - powiedziałem. - Obawiam się obywatelko, że nie będziesz miała z niego żadnej pociechy. A że go nie ma cały dzień, tym lepiej dla Julki.

- Może i tak - pokiwała głową.

Gdy potem odnosiłem bieliznę we frontowej kamienicy, z drzwi obywatelki Thouret wyszła nagle młoda dziewczyna. Zatrzymałem się mimo woli, tak mnie zdziwiło, że ktoś zajął mieszkanie mojej starej przyjaciółki.

Dziewczyna była ładna, choć rysy miała pospolite. Na bardzo jasnych włosach pysznił się suto krochmalony falbaniasty czepek z błękitnymi wstążkami. Ubrana była z pewną kokieterijną elegancją. Z dużego batystowego kołnierza przy sukni wdzięcznie wychylała się jej biała szyja. Pantofelki na wysokich obcasach wydawały się śmiesznie małe, akurat na dziecinne stopki.

Ukloniłem się mijając ją, a ona popatrzyła na mnie zalotnie (tak mi się przynajmniej zdawało) i zagadnęła:

- Nie znam cię jeszcze, obywatelu. Czy tu mieszkasz?

- Ja też cię nie znam, obywatelko - odpowiedziałem nieco zmieszany. - Nie mieszkam tu, ale pracuję.

- Czy byłeś na wojnie? - wskazała pusty rękaw.

- Biłem się pod Valmy - powiedziałem z dumą.

- Gram w teatrze - zauważyła. - Jeśli chcesz, mogę ci dać bilet.

- Dziękuję. Nie mam czasu.

- Nie bywasz w teatrze, obywatelu? - zdziwiła się. - Występuję w Wodewilu.

- Może kiedyś się wybiorę, żeby cię podziwiać, obywatelko - uśmiechnąłem się. - Teraz niestety muszę zebrać brudną bieliznę. Żegnaj. - Szybko zbiegłem po schodach.

Przy obiedzie opowiedziałem wdowie Clouet o spotkaniu.

- Mieszka tu już dość dawno - zauważyła. - Ma piękną bieliznę z najcieńszego batystu z mnóstwem koronek. Muszę bardzo uważać przy praniu, takie to delikatne.

- Powiedziała mi, że gra w teatrze.

- Tak - prychnęła pogardliwie. - Zniosła się już z tymi dwoma... Obaj się do niej zalecają. Ale ona ma innego protektora. Wyższego niż oni. Niedługo tu pewnie zabawi. Wkrótce przeniesie się do lepszego mieszkania. To sprytna sztuka. Ma już jednego, ale i tymi dwoma nie gardzi. Widać, też jej potrzebni. Niektóre kobiety umieją się urządzać. - Westchnęła jak gdyby z żalem. - Do tego co prawda talent zbyteczny, wystarczy gładka buzia. No i trzeba się urodzić lafiryndą. - Zakończyła podnosząc głowę jak gdyby z wyzwaniem.

- Co się stało z rzeczami obywatelki Thouret? - spytałem nieśmiało.

- Biedna staruszka - pokiwała głową ze współczuciem. - Pewnie już nie żyje. Rzadko kto wychodzi z Conciergerie, chyba tylko na plac Rewolucji.

- Kto wziął jej rzeczy?

- Nie było tam nic wielkiego, ot, same graty i rupiecie. Ale i na to znaleźli się amatorzy. Część rozebrali między sobą sąsiedzi, przede wszystkim szewc Simon i jego żona. Reszta gdzieś przepadła. Nie było tego dużo. Lubieś ją, prawda?

- Lubiełem - przyznałem. - Była dla mnie bardzo dobra.

- Dla wszystkich była dobra. Ale znaleźli się tacy, którym zawadzała. Ci dwaj nicponie... - poprawiła czepek i odeszła do balii.

Wieczorem, gdy odwiedziłem szwaczkę, powtórzyłem te wszystkie nowiny.

Moja stara przyjaciółka przyjęła westchnieniem wiadomość o przepadnięciu jej skromnego mienia, szwaczka natomiast z zainteresowaniem wysłuchiwała mojej opowieści o nimfie z teatru.

- Pewnie ją znasz, obywatelko - powiedziałem na koniec. - Gra w teatrze "Wodewilu", ładniutka i ślicznie ubrana. Praczka mówi, że ma piękną bieliznę z batystu i z koronkami.

- Któraż to może być? - zastanowiła się. - Wszystkie one ładniutki. Czy jest blondynką?

- Tak, i ma bardzo jasne włosy.

- To może Kamilla Rigel albo Aleksandryna Seguy. Chwytają każdy nowy numer "żurnalu mód", a wszystkie inne panny wrywają im z rąk to jedyne pismo traktujące o tym, co jest modne. Jeżeli ma niebieskie oczy to Kamilla, jeżeli szare to Aleksandryna.

- W takim razie to Kamilla - zdecydowałem. - Ma oczy jak niezapominajki.

- Jej przyjaciel to członek Konwentu - zniżyła głos szwaczka. - Zdobywa dla niej co najpiękniejsze tkaniny. Lubi, żeby była ładnie ubrana. Obszywa ją Róża Bertin, niegdyś krawcowa królowej.

- Teraz już wiem, skąd masz te różne wiadomości, obywatelko - zauważyłem. - Twoje klientki nasłuchają się ciekawych rzeczy od swoich wielbicieli, szczęściem nie potrafią utrzymać języka za zębami.

- Są jak dzieci - przyznała szwaczka. - Naiwne, a jednocześnie sprytne, gadatliwe a czasem skryte. Zawistne i mściwe. Szkodzą jedna drugiej i mogą narobić wiele złego - wzdrygnęła się. - Czasem ich się po prostu boję.

- Dobrze robisz, że jesteś ostrożna - zauważyła "ciotka Anna" - i że nic im o sobie nie opowiadasz.

- Nie przyjmuję ich u siebie i choć to dosyć męczące, ale z każdą miarą chodzę do nich lub do teatru.

- Pamiętaj, obywatelko, gdyby która z nich zjawiła się u ciebie, ciotka Anna nie powinna się pokazywać.

- Oprócz ciebie, obywatelu, nikt u nas nie bywa - zapewniła szwaczka. - A gdy wychodzę, ciocia nikomu nie otwiera.

- Wilfred nakazuje ogromną ostrożność - przypomniałem jeszcze.

Wiosna była piękna. Przez nasze okna, szeroko otwarte na rozległą przestrzeń obecnego więzienia Temple, płynęły zapachy świeżej zieleni, bzu i jaśminu. Wsparty łokciem o parapet mógłbym wpatrywać się godzinami w tę oazę zieloności. Niestety, nigdy prawie nie miałem czasu. Pozostawał co dziesiąty dzień wolny od pracy, który zastąpił niedzielę. Świąt żadnych nie chodzono, chyba tylko rocznice, jak na przykład czternastego lipca, upamiętniającą zdobycie Bastylii.

Patrząc tedy na ten ogromny teren otoczony wysokim murem, zabudowany licznymi gmachami, wśród których sterczała ponura wieża, myślałem coraz częściej o jej przymusowych mieszkańcach. Strzeżono ich teraz jak źrenicy oka - tak wyrażała się wdowa Clouet, którą znowu dopuszczano przed oblicze więźniów.

- Słuchaj, Bertranie - zagaił raz Wilfred - spytaj swoją praczkę, kiedy pojedzie następnym razem do Temple. Nie mów tylko, że o to pytałem.

- Sam mogę ci odpowiedzieć. Jeździ tam trzy razy w miesiącu. A była przedwczoraj. Wychodzi, że bywa tam co dziesięć dni.

Pokiwał głową i nic nie powiedział.

- Żal mi ich - wskazałem okno. - Są tak surowo traktowani, tak strzeżeni, jak gdyby obawiano się ich uprowadzenia. A przecież to niemożliwe. Ponadto, któż chciałby powrotu do dawnych czasów? Najlepszy dowód, że podczas egzekucji Ludwika, lud nie żądał łaski. Francuzi

mają dość monarchii. Ożywia ich duch Rewolucji. Nie chciałbym tylko, by zgilotynowano te kobiety, no i dziecko...

- W Konwencie coraz częściej mówi się o postawieniu przed sądem wdowy Kapet - zauważył Wilfred. - A taki proces skończyłby się niechybnie wyrokiem skazującym. Ponadto mylisz się sądząc, że Francuzi nie pragną monarchii. Są jeszcze tacy, którym marzy się powrót do starego systemu. Czy słyszałeś o tak zwanych "Zakładnikach Ludwika XVI"?

- Nie.

- Było ich trzy tysiące. Trzy tysiące mężczyzn i kobiet wszelkiego wieku i stanu. Stało się to wkrótce po nieudanej ucieczce rodziny królewskiej. Wiesz o tym, prawda?

- Naturalnie. To przecież było jeszcze w dziewięćdziesiątym pierwszym roku, chyba w czerwcu. Złapano ich w Varennes.

- Tak - skinął głową Wilfred. - Odtąd Ludwik i jego rodzina są więźniami w Tuileryach i nie mają prawa opuszczać pałacu. Niejaki obywatel Laclos złożył na Ołtarzu Ojczyzny na Polu Marsowym petycję, domagając się pozbawienia Ludwika korony. Wówczas to pewien żurnalista, zwolennik monarchii zaapelował w "Gazecie paryskiej" do ludzi, by dali się uwięzić w miejsce króla i jego rodziny. Dzięki temu Konwent miałby pewność, że Ludwik nie opuści Francji. Gwarancję stanowiliby dobrowolni zakładnicy. I wyobraź sobie, że trzy tysiące osób zgłasza się natychmiast na to dobrowolne więzienie, ręką głową, że Ludwik nie spróbuje więcej ucieczki. Naturalnie nie dopuszczono do wykonania podobnie szaleńczego pomysłu.

- Co się stało z tymi osobami - spytałem. - Czy je niepokojono?

- Właściwie nie. Niektórzy wyemigrowali, inni skryli się wśród głuchej prowincji. Sam tylko autor nieszczęsnego projektu zapłacił głową za swoje szaleństwo. Zgilotynowano go nieledwie w przeddzień bitwy pod Valmy.

- Nic o tym nie wiedziałem - stwierdziłem z żalem.

- Opłakujesz straconą okazję, by się przysłużyć monarchii? - uśmiechnął się. - Ty, taki zagorzały rewolucjonista...?

- Nie żałuję żadnej okazji - oburzyłem się. - Tylko wszystko mnie ciekawi, a o tym na przykład nie pisał w swojej gazecie obywatel Brissot. Poza tym zapominasz, że znajdowałem się wówczas daleko od Paryża.

- Niczego nie zapominam - położył mi rękę na ramieniu. - Doskonale pamiętam wszystko, co mi powiedziałeś, o Belcastel i o reszcie - dokończył ciszej. - Ale wiedz, że są ludzie, których wzruszał los Ludwika, jak teraz wzrusza los jego wdowy i sierot. Ty sam mówiłeś niedawno...

- Tak - przyznałem. - Za zło powinni odpowiadać jedynie mężczyźni, zaś kobiety i dzieci...

- Bywają bardzo złe kobiety - przerwał. - Często o wiele gorsze od mężczyzn. A dzieci wyrastają na mężów.

- Owszem, ale Austriaczka już nie groźna.

- Lepiej być ostrożnym - zakończył i wstał. - Czas spać, bardzo już późno. - Uśmiechnął się do mnie tym swoim dziwnym uśmiechem, w którym oczy nie brały udziału, a pozostawały czujne i surowe.

Coraz straszliwsza wojna domowa krwawiła zachodnie nadmorskie prowincje, cała Wandea stała w ogniu, bretońscy wieśniacy nie chcieli Rewolucji. Wybuch spowodowała Cywilna Konstytucja Duchowieństwa oraz masowy pobór do wojska. Republika potrzebowała trzystu tysięcy żołnierzy. Władcy Europy zawiązali koalicję przeciw Francji. W mowie wygłoszonej w Konwencie Brissot wołał: "Dopiero wówczas zaznamy spokoju, gdy Europa, cała Europa stanie w ogniu". Spełniło się jego życzenie, Europa stanęła w ogniu, Francji jednak daleko było do spokoju.

Konwent dekretem z 15 marca skazywał na śmierć powstańców z Wandei schwytanych z bronią w ręku. Nie zagasiło to jednak pożaru, który szerzył się zastraszająco. W tej bratobójczej wojnie ginęli Francuzi stojący po obu stronach barykady. Gdybym nie był kaleką... - myślałem. - Ale może to i lepiej. Przecież zabijać swoich... Nie, nie, chyba nie starczyłoby mi na to odwagi.

Jakoś w początku kwietnia, gdy to ogłoszono Dumourieza zdrajcą ojczyzny, Wilfred oznajmił,

że musi wyjechać. Nie powiedział dokąd ani po co. Nie śmiałem pytać.

- Nie będzie mnie ze dwa tygodnie - powiedział. - A może i dłużej. Tu są pieniądze - wskazał szufladę w komodzie. - Matka Jourdan ma wszystko zapłacone. Będzie o ciebie dbać. Wy tłumacz mnie wobec naszych przyjaciółek. Nie zdążę wstąpić do nich z pożegnaniem.

Gdy następnego dnia wróciłem do domu, na stole leżała karteczka.

"Pamiętaj, że jesteś u siebie. Gdybym nie wrócił, wszystko co tu się znajduje, jest twoje. Możesz mieszkać, ile czasu zechcesz. Aż do powrotu do Belcastel."

Przeraził mnie ten bilecik. Przypuszczałem, że wysłano go w jakiejś misji mediacyjnej do Wandei, błękitni bowiem, czyli żołnierze Rewolucji, po dotkliwych klęskach szukali porozumienia. Ale przysłowiowy upór Bretoński odrzucił wszelką możliwość ugody, szczególnie po egzekucji Ludwika. Bałem się o Wilfreda. Znałem przecież jego odwagę i wiedziałem, że nie będzie się oszczędzał. A tam wróg czyhał za każdym drzewem. Każdy krzak krył niebezpieczeństwo.

Odtąd zaczęły się dla mnie dni pełne niepokoju. Najgorsze jednak były noce. Zaludniały je krwawe widziadła. Dręczyły mnie koszmary, gdy na chwilę udało mi się zasnąć. Stawał mi wówczas przed oczami Wilfred w kałuży krwi. Miał zamknięte oczy i był martwy. Wiedziałem o tym na pewno. Budziłem się z krzykiem i biegłem do jego pokoju. Ale pokój był pusty, wszędzie było cicho, tylko w wieży Temple migotało nisko światelko.

Kładłem się rozbity i rozstrojony i daremnie usiłowałem zasnąć.

Pewnego razu, gdy jak zwykle pukałem do drzwi szwaczki, długo musiałem czekać na otwarcie.

- Kto tam? - spytała wreszcie.

- To ja, Bertran, obywatelko - zniecierpliwilem się.

Otworzyła natychmiast.

- Co się stało? - spytałem. - Przestraszyłaś się czegoś?

- To Bertran, ciociu - zawołała w głąb mieszkania. Ciotka Anna wysunęła się z przykniętych drzwi sypialni.

- Co się stało? - powtórzyłem.

- Miałymy nieproszonych gości - oznajmiła szwaczka. - Przyszła panna Kamilla Rigel z twoim dawnym sąsiadem.

- Z Brutusem Hulin - dokończyła ciotka Anna. - Ledwie zdążyłam zamknąć się w sypialni.

- Brutus Hulin? - wykrzyknąłem. - Tutaj? To niemożliwe!

- Zupełnie możliwe - wyjaśniła szwaczka. - Panna Kamilla potrzebowała nagłej poprawki w najnowszej teatralnej toalecie. Nie śmiała zwrócić się z tym do Róży Bertin. Koleżanki podały jej mój adres. Znają go, choć u mnie nie bywają. Rycerski Brutus eskortował sąsiadkę.

- "Ładnie szyjesz, obywatelko". - Szwaczka przedrzeźniała swoją klientkę. - "Pozwolisz, że i ja skorzystam z twoich talentów."

- Brutusa od razu poznałam po głosie - opowiadała ciotka Anna. - Pozował jak zwykle na wielkiego człowieka.

- Niech uważa - dorzuciła szwaczka. - Poluje na zakazanym terenie. To się może źle dla niego skończyć.

- Czy ciocia się bardzo przestraszyła? - zwróciłem się do mojej starej przyjaciółki.

- Przestraszyła się - przyznała. - Oni tam sądzą, że ja już nie żyję. Albo zmarłam w Conciergerie, albo zginęłam na szafocie. Tymczasem teraz tak mi dobrze, że ani mi w głowie umierać.

- Cieszę się, że cioci dobrze. - Szwaczka objęła ją czule. - Bo i mnie dobrze i nie wyobrażam sobie, jakbym żyła bez cioci.

- Martwię się o Wilfreda - powiedziałem, by przerwać te czułości. - Już dwa tygodnie, jak wyjechał.

- Właściwie dokąd pojechał? - Szwaczka zarumieniła się jak zwykle, gdy była mowa o Wilfredzie.

- Nie wiem. Obawiam się, że na Zachód.

- Do Wandei - stwierdziła ciotka Anna i pokiwała domyślnie głową.

- Tam straszna wojna - szepnęła szwaczka. - A on taki odważny i... nieostrożny.

Gdy zbierałem się do odejścia, ciotka Anna ujęła mnie za rękę.

- Wyobrazasz sobie, co czułam usłyszawszy głos Brutusa? - wstrząsnęła się. - Nie chodzi o mnie - dodała. - Ale co by się stało z Lucyllą.

- Zostałaś, ciociu, legalnie zwolniona z więzienia - odparłem uspokajająco.

- Wiem, jednak nie wróciłam do domu, a tu figuruję pod innym nazwiskiem. Te wściekle psy nie zostawiłyby mnie w spokoju. Ani mnie, ani Lucylli! Nienawidzą mnie. Zresztą Wilfred ostrzegął i zalecał wielką ostrożność.

- Ona znowu tu przyjdzie - rzuciła szwaczka. - Zbyt jej dogodziłam, no i nie jestem taka droga jak Róża Bertin.

Wracałem bardzo niespokojny. Przybyła mi nowa troska. Gdy zbliżałem się do drzwi domu, raptem od ściany oderwał się jakiś cień.

- Przepraszam cię, obywatelu...

Obejrzałem się. Człowiek był drobny, niskiego wzrostu. Po wymowie poznałem Jana Evrard.

- Czy pozwolisz pójść ze sobą na górę? - Patrzył na mnie wyczekująco.

- Proszę bardzo, obywatelu. Wilfred jeszcze nie wrócił.

- Nie wrócił - powtórzył takim tonem, jakby ten fakt był dla niego co najmniej nieszczęściem.

Weszliśmy na górę.

Podsunałem mu krzesło, ale on od razu podszedł do okna i przez dłuższą chwilę nie odzywał się wpatrzony w mrugające światelko wieży Temple.

Gdy wreszcie odwrócił ku mnie twarz, zauważyłem, że był niezwykle bladym.

- Gdy obywatel Perrin wróci - zaczął i umilkł.

- Słucham cię, obywatelu - powiedziałem zachęcająco.

- Bądź dobry i powtórz mu - znowu zamilkł.

Czekałem, co powie.

- Powtórz mu, że w szpitalu nie udało się.

- Powtórzę.

Posiedział chwilę, wreszcie wstał.

- Pójdę już. - Był najwyraźniej przygnębiony.

Poświeciłem mu na schodach, po czym zamknąłem się w domu. Byłem coraz bardziej niespokojny o Wilfreda i o ciotkę Annę. Nie daj Boże, mówiłem sobie nieraz, żeby Brutus Hulin zwęszył jej obecność na ulicy Charlot. I akurat stało się to, czego się obawiałem, i do tego podczas nieobecności Wilfreda.

Mało spałem tej nocy.

Matka Jourdan nakarmiła mnie jak zwykle - jadałem teraz śniadania u niej razem z jej mężem.

- Mizernie wyglądasz, obywatelu Bertranie - zauważyła. - I nie masz apetytu. Obywatel Perrin, gdy wróci, zmyje mi głowę. Trudno co prawda o żywność, w Paryżu sklepy puste...

- Dziękuję za wszystko, matko Jourdan - uśmiechnąłem się. - Nic mi nie brakuje. A jak wróci obywatel Perrin, będę znowu spokojny i odzyskam apetyt.

- Gdy wróci - powtórzyła. - Tak, my też na niego czekamy. Nie lubię, gdy się oddala od domu, w takich niebezpiecznych czasach...

Czasy rzeczywiście stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Rewolucja musiała bronić swoich republikańskich zdobyczy. Mnożyły się spiski rojalistów, poza tym dowiedziałem się od szwaczki, że na szczęście udało się udaremnić uprowadzenie więźniów z wieży Temple. Intryga była uknuta po mistrzowsku. Królowej i siostrze Ludwika dostarczono męskie przebranie. Chłopiec miał być dziewczynką w długiej sukience. Wykryto cały spisek, aresztowano szereg osób, dokonano rewizji w wielu domach. Szwaczka opowiadając to wszystko zniżała głos. Swoją drogą, ci obywatele z Konwentu nie potrafili zachować tajemnicy wobec swoich przyjaciółek. Paryż trząsł się od plotek. Wyolbrzymiano rozmiary spisku. Rojaliści mieli jakoby wymordować wszystkich patriotów. W mieście wrzało.

Wówczas to Danton i Robespierre wraz z grupą członków Konwentu powołali do życia specjalny Trybunał Rewolucyjny, by karać wrogów Republiki i tych, którzy zagrażają publicznemu

bezpieczeństwu. Oskarżonym, którzy staną przed owym trybunałem, nie przysługuje prawo obrony. Wyroki będą wykonywane natychmiast. Naturalnie będą to wyłącznie wyroki śmierci.

"Należy być surowym i nieugiętym" - grzieli mówcy.

- Najwyższym i decydującym sędzią stała się więc gilotyna - oświadczyła ciotka Anna przeczytawszy gazetę obywatela Brissot.

Sytuacja żywnościowa tymczasem pogarszała się z dniem każdym.

Skończyły się dostawy zboża dla stolicy. Zamknięto piekarnie. Funt mięsa kosztuje piętnaście liwrów, a każdy obywatel ma prawo do funta mięsa co dziesięć dni. Kogo jednak na to stać? Kobiety spędzają noce w kolejce przed sklepem rzeźnika, a często odchodzą z niczym, po wielogodzinnym wyczekiwaniu. Lud burzy się, domaga się chleba, grozi zbrojnym wybuchem, oskarża przywódców o zdradę. Rację miał Saint-Just, gdy powiedział: "Naród, który nie jest szczęśliwy, nie ma ojczyzny."

Lud szemrze coraz głośniejsze. Wierzył przecież, że wraz ze śmiercią tyrana skończą się wszystkie niedole. Zabijając króla, zabije się tym samym nierówność wśród ludzi i nędzę. Króla zabito, ale to nie poprawiło sytuacji. Są bowiem tacy, którzy napychają brzuchy najlepszym jadem, mają wszystkiego po gardło, a lud, który zdobył Bastylę, który dziesiątego sierpnia wdarł się do Tuileries, który unurzał ręce we krwi zdrajców i arystokratów podczas wrześniowej masakry w paryskich więzieniach, ten lud cierpi głód coraz straszliwszy. Gdzież tu równość?

Tak pisały gazety. Tak wrzeszczeli mówcy w Konwencie, w klubach i w Sekcjach. Spodziewano się więc, że jak ogłoszono: "Najwyższy Trybunał zemsty ludu nareszcie ukarze wrogów wolności."

Podczas gdy kraj drążyła od wewnątrz głucha wojna domowa, przy wszystkich granicach czyhali wrogowie. Wydawało się, że władcy całej Europy poczuli na szyi chłodny dotyk ostrza gilotyny. Hiszpania i państwa włoskie, cesarstwo i Prusy, Holandia i Anglia sprzyściły się przeciw Rewolucji. Na Zachodzie sto tysięcy mieszkańców Wandei zagrażało Republice. "Naród musi powstać i zgnieść despotów" - pada hasło z trybuny Konwentu.

Taka to sytuacja na zewnątrz i wewnątrz kraju sprowadziła na Francję rządy Terroru. Odtąd każdy mógł zadenuncjować każdego. Nie potrzebowano świadków ani dowodów niewinności. Szczególnie ostro zabrano się za emigrantów, którzy wrócili do Francji i za opornych księży, nie stosujących się do zaleceń Cywilnej Konstytucji.

"Każdy obywatel jest obowiązany wydać właściwym władzom ukrywających się emigrantów i księży. Będą oni natychmiast uwięzieni, stawieni przed sądem wojskowym i straceni w ciągu dwudziestu czterech godzin." W Paryżu rolę sądu wojskowego odegra Trybunał Rewolucyjny. Naturalnie wolność prasy i wolność wygłaszania własnej opinii zostały zniesione.

Drugiego kwietnia nowy Trybunał otworzył szeroko drzwi dla publiczności. Wkrótce miejsce to stanie się równie uczęszczane jak teatry Wodewilu czy Republiki. Galeria upodobni się do hali targowej. Tylko sędziowie zasiadający za stołem przypomną groźbę tego widowiska. Sędziowie, którzy noszą na szyi medal z napisem "Bezpieczeństwo publiczne" zawieszony na trójkolorowej wstędze.

Z wielkiej sali Trybunału krok tylko jeden do Conciergerie, skąd więźniowie jada już prosto na plac Rewolucji.

Rozumiałem, że te wszystkie środki zapobiegawcze konieczne są, by ratować ojczyznę. Z drugiej jednak strony wstyd mi było, że Rewolucja wypisawszy na swym sztandarze słowo "wolność" gwałciła tę wolność w taki krwawy sposób. Widocznie było to konieczne – pocieszałem się. Wiedziałem jednak, że aby osiągnąć tę upragnioną wolność, zginie wiele niewinnych osób, a wynikię stąd krzywdy mogą się okazać nie do naprawienia.

Ludzie żyli w ciągłym strachu. Nawet osoba tak silnego ducha jak ciotka Anna przygasła, a cóż mówić o biednej szwaczce?

- Poruszam się jak tancerka na linie - wyznała mi któregoś dnia. - Nigdy nie wiem, co może mnie spotkać od moich klientek. Są nieobliczalne. Mogę nie dogodzić którejś z nich, suknia nie będzie się podobała, a zaskarzy mnie do Trybunału jako wroga ludu.

- żartujesz, obywatelko! - wykrzyknęłam.

- Znam dobrze te moje nimfy, jak je nazywasz, obywatelu. Są zdolne do wszystkiego. Do wszystkiego - powtórzyła z naciskiem. - Nie mają żadnej moralności ani też sumienia. Nie rozróżniają, co złe, a co dobre. W zeszłym tygodniu jedna z nich zadenuncjowała hrabinę de Maillefert ukrywającą się w tej samej kamienicy pod przebraniem hafciarki, tylko dlatego, że ta pani nie kłaniała jej się pierwsza na schodach i nie okazywała dostatecznie swego szacunku. Oskarżona o konszachy z wrogiem hrabina została wczoraj zgilotynowana.

Byłem coraz bardziej przygnębiony, a niepokój o Wilfreda potęgował moje złe samopoczucie.

Pewnego wieczoru, gdy wracałem od praczki, matka Jourdan nareszcie przywitała mnie rozjaśnioną twarzą.

- Wrócił - zawołała skoro tylko ukazałem się we drzwiach. - Już kilka godzin temu. Położył się zasnąć, ale prosił, byś go zaraz obudził. Zabierz koszyk z kolacją, obywatelu Bertranie. Wszystko już naszykowałam.

Niosąc pełen koszyk musiałem iść bardzo ostrożnie, choć radość pchała mnie naprzód.

Leżał na łóżku, ale nie spał.

Postawiłem koszyk na stole i rzuciłem się ku niemu. Objął mnie za ramiona i przyjrawszy się dokładnie, powiedział:

- Źle wyglądasz. Matka Jourdan skarżyła się na ciebie. Mów, co ci dolega?

- Teraz już nic - wyznałem. - Znowu jestem spokojny. Bardzo zmęczyłeś się drogą?

- Trochę. Siadajmy do stołu.

Złożyłem mu dokładną relację ze wszystkiego, co się wydarzyło podczas jego nieobecności. Opowiedziałem również o wizycie Jana Evrard.

Wysłuchał w milczeniu. Zatrzaszczył się jedynie o bezpieczeństwo naszych przyjaciółek.

- Ciebie też nie powinien tam zobaczyć ten twój były sąsiad.

- Przyszedł tylko raz - zauważyłem. - Towarzyszył dziewczynie, było jeszcze wcześniej. Ja bywam tam wieczorem.

- Wszystko jednak jest możliwe. Pamiętaj, w razie kogoś zapuka, kryj się natychmiast wraz z ciotką Anną w sypialni.

Po kolacji pobiegłem na chwilę na ulicę Charlot, aby im zwiastować radosną nowinę, po czym powróciłem do domu. Nie mogłem wprost nacieszyć się obecnością Wilfreda.

Wieczór był piękny. Przysunęliśmy krzesła pod okno i wsparłszy się o parapet spoglądaliśmy na usiane gwiazdami niebo. Przed nami zieleniał obszar Temple, dachy budynków wystrzelały ponad drzewa, a wieża w tym oświetleniu wydawała się jeszcze bardziej ponura i groźna.

- Ciekawym, dlaczego ten teren obrzeżony murami - zatoczyłem ręką koło - nazywa się Temple? Przecież to znaczy świątynia.

- Świątynia - powtórzył Wilfred. - Tak, Świątynia Jerozolimska. Rycerze Świątyni.

- Co za Rycerze Świątyni?

- Rycerze Świątyni znani także jako Templariusze - wyjaśnił.

- Znam Templariuszów. U nas w Rouergue zachowało się wiele budowli, które niegdyś wzniesli. Widziałem grobowce, krzyże kamienne, kaplice i kościoły, są zamki i komandorie.

- Tak - pokiwał głową Wilfred - po całej Francji znajdziesz rozsiane resztki tej wielkiej świetności. Później wszystkie pozostałe po nich budynki i dobra przejęli Szpitalnicy.

- Dlaczego? A co się stało z Templariuszami?

- Rozwiązano zakon i wytępiono ich. A to - wskazał wieżę słabo już widoczną - to jest zemsta.

- Zemsta?

- Straszna zemsta za straszną krzywdę. A może po prostu kara.

- Nic o tym nie wiem. Powiedz, Wilfredzie, jaka to była krzywda i jaka jest zemsta, czy też kara?

- Zemstę, a jeśli wolisz karę, masz przed oczami, a krzywda...

- Mów wreszcie - przynaglałem.

- Wspaniałą to był zakon rycerski powstały dla obrony pielgrzymów w Ziemi Świętej. W pradawnych czasach, gdzieś na początku XII wieku, kiedy to Jerozolima znajdowała się już w

rękach krzyżowców. Są to tak stare dzieje, że ledwie przechowała je pamięć ludzka dzięki pozostawionym przez tych ludzi dokumentom. Ile z nich jednak dotrwało do naszych dni? A ile jeszcze zniszczy Rewolucja, tocząc przez Francję wyrównujący wszystko walec? Nie wiadomo.

Miałem wrażenie, że Wilfred przestał mnie widzieć, czuć moją obecność, po prostu zapomniał o moim istnieniu. A przecież siedziałem obok niego, dotykaliśmy się nieledwie ramionami, wpatrzni przez to samo okno w straszliwą wieżę sterczącą wysoko nad Paryżem.

- Były to czasy - szemrał głos Wilfreda - w których świat potrzebował żelaznych ludzi, nie tyle okrytych zbroją, ile mocnych i niezłomnych od wewnątrz. A takich znalazły się wtedy całe zastępy. Pchała ich jedna myśl, jedno pragnienie: ujrzeć grób Chrystusa i święte miasto Jeruzalem wyrwać spod wrażego panowania.

Rewolucja odeszła gdzieś daleko stąd, od tego okna otwierającego się w górze na wygwieżdzone niebo i na milczącą wieżę w dole.

- Już w ostatnim roku XI wieku krzyżowcy jako zwycięzcy weszli do Jerozolimy. Założyli tam królestwo Franków, wzniesli zamki obronne i fortece. Nie wypuszczali przy tym miecza z ręki. Rycerze Świątyni, czyli jak ich zwano Templariusze, stali zawsze u ich boku. Brali udział we wszystkich bitwach, nie żałowali krwi ni życia. Byli w pierwszych szeregach walczących. Aż do końca. Do upadku Jerozolimy. Bo przyszedł taki wódz nad wodze, sułtan Saladyn, z taką siłą, że pobił i rozgromił te niezwyciężone dotąd hufce.

Ostatnią wspaniałą kartą dziejów Templariuszów w Ziemi Świętej była obrona Akry, obleganej przez przeszło dwustutysięczną armię muzułmanów. Ostatnim bastionem chrześcijaństwa był ich klasztor, wreszcie ostatnim schronieniem baszta obronna. Wszyscy bracia-rycerze polegli na czele z wielkim mistrzem. I to był koniec. Koniec wspaniałej epopei, bezprzykładnego bohaterstwa i poświęcenia. Dominacja Franków w Ziemi Świętej trwała dwa wieki, dwa wieki grób Chrystusa był wolny. Potem nastąpił koniec. Koniec czegoś wielkiego. Świat zapadł w nicość, a Francuzi...

- Rewolucja zbudziła Francuzów - przerwałem gwałtownie. - Znowu przeżywamy wielkie i wspaniałe chwile. I choć nie okrywa nas kolczuga czy zbroja, jesteśmy równie waleczni jak tamci. Pomyśl o Valmy, o Jemmapes...

- Tak, tak. - Wilfred zdawał się powracać do rzeczywistości. - Masz rację. Ale jako chłopiec żałowałem zawsze, że nie żyłem w tamtych czasach.

- Ale i w tych dokonujesz wielkich rzeczy!

- Tak sądzisz?

- Jestem pewien, a ta twoja podróż... przypuszczalnie niebezpieczna misja w Wandei. Nie myślę się, prawda.

- Nie mylisz się - przyznał.

- A widzisz! Wróćmy jeszcze do Templariuszów. Kto był założycielem?

- Założycielem tego rycerskiego zakonu był niejaki Hugo de Payns, rycerz z Szampanii, który już od 1118 roku z grupą kilkunastu podobnych sobie zapaleńców postanowił oddać się szlachetnej misji obrony pielgrzymów, napływających z Europy śladami krzyżowców. Wszyscy dążyli do świętego Grobu, a po drodze padali ofiarą band muzułmańskich. Ci pierwsi "biedni rycerze Chrystusowi", jak sami się nazywali, dziesięć lat później na soborze w Troyes, otrzymali regułę zakonną z rąk papieskiego legata, a święty Bernard z Clairvaux powiedział wówczas o nich: "Na ziemi Wcielenia ukazało się nowe rycerstwo. Prowadzi ono podwójną walkę: przeciw wrogom z krwi i z ciała i przeciw duchowi zła. A to, że ci rycerze siłą swoich ramion pokonują cielesnych wrogów, nie jest niczym nadzwyczajnym. Wielu jest podobnie mężnych. Lecz wojna, jaką prowadzą siłą ducha przeciw występkom i demonom, to jest rzecz nie tylko wspaniała, ale i chwalebna. Taki rycerz jest słusznie zwany bez trwogi i bez zmazy, duszę jego okrywa bowiem zbroja wiary, podobnie jak ciało chroni kolczuga".

- Jak ty to pamiętasz! - zdumiałem się.

- Pamiętam. Byłem wówczas wyrostkiem, gdy to przeczytałem. Wryło mi się to w pamięć i pozostanie chyba do śmierci. - Spojrzał na mnie z uśmiechem. W mroku naszego pokoju błysnęła biel jego zębów.

- Jak się ubierali Templariusze?

- Zbroję okrywali białym płaszczem z czerwonym krzyżem na lewym ramieniu. krzyż miał kształt specjalny.

- Znam go - przerwałem. - U nas w Rouergue są takie krzyże wykute w murze lub na grobowcach.

- To, co masz przed oczami - Wilfred wskazał wieżę - cały ten zespół gmachów otoczony murem, Templariusze wzniesli w Paryżu już w XII wieku. Tu była ich główna siedziba. Musisz jednak wiedzieć, że we Francji to, co budowali, nie miało charakteru obronnego. W całym kraju były rozsiane komandorie zajmujące się uprawą roli, hodowlą bydła, a szczególnie koni. Tego potrzebowali w Palestynie i w Syrii oraz w Hiszpanii, gdzie walczyli przeciw Maurom. Gdy więc ziemia święta została stracona, powrócili do Europy. Ślady bytności pozostawili wszędzie. Od Anglii po Portugalię.

- I co z nimi się stało? - Nie odrywałem oczu od prawie już niewidocznej wieży.

- Stali się potężni, zbyt potężni, by król Francji mógł znieść podobną zniewagę. No i bogaci. Szalenie bogaci. Ale pieniądze były im potrzebne na wojnę. Gdy ta się skończyła... - zamilkł.

- Gdy ta się skończyła - podjąłem.

- Stracili właściwie rację bytu - dokończył Wilfred cicho. - Jako bankierzy rywalizowali nawet z Włochami. A wszystko to było niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne. - Westchnął.

- I co? Co było dalej?

- Dalej... Musieli zginąć.

- Zginąć? Tacy ludzie?

- Sprytny był król Filip zwany Pięknym, a jeszcze sprytniejszych miał doradców. Uknuli więc szatański zaiste plan. Oszczercza kampania przeciw Templariuszom rozpoczęła się wraz z 1307 rokiem. Rozpowszechniano o nich wśród ludu najpotworniejsze wieści. Zarzucenie sieci na niespodziewających się niczego braci wyznaczono na trzynastego października. Tego dnia seneszałowie, starostowie i urzędnicy całej Francji złamali pieczęcie na dostarczonym im już wcześniej królewskim piśmie. Nakazywano im zebrać zbrojnych ludzi i o świcie otoczyć każdą komandorię, jeśli trzeba wdrzeć się siłą do środka, aresztować wszystkich braci i osadzić w więzieniu. Rozkaz ten poparto opisem tak wstrętnych praktyk jakoby dokonywanych w klasztorach, że ludziom włosy powstały na głowie. Naturalnie głównym punktem oskarżenia była herezja i konszachty z demonem.

- Czy to się udało? Templariusze nie bronili się?

- Udało się całkowicie. Ani wielki mistrz, ani żaden z braci nie podejrzewali niczego. Otworzyli z ufnością bramy. Reguła ich zabraniała używać broni przeciw chrześcijanom. Tych więc ludzi z żelaza, podległych żelaznej dyscyplinie zabrano jak bezbronne owce na rzeź. I to był koniec. Poddani straszliwym torturom, nie wszyscy wytrzymali. Niektórzy przyznali się do tego, czego życzyli sobie oprawcy. Potem jednak odwoływali te zeznania. Dochodziło do dramatycznych scen i była chwila, gdy legat papieski, oburzony, im właśnie dał wiarę. Król jednak czuwał i nie dopuścił do wyjaśnień. Za bardzo potrzebował pieniędzy. I tak badanie winnych i męczarnie trwały przez lat siedem, wreszcie ostatni, dwudziesty drugi wielki mistrz zakonu Jakub de Molay został spalony na stosie, a papież Francuz, słaby i ulegający woli króla, rozwiązał zakon. Działo się to w 1314 roku.

Było już zupełnie ciemno. Nie mogliśmy nawet dostrzec zarysów wieży.

- A co mówiłeś o zemście?

- Może to nie zemsta, a kara, kto wie? - odparł Wilfred. - Podobno już na stosie Jakub de Molay wezwał papieża i króla przed boski trybunał i oznajmił, że umrą w tym jeszcze roku. Tak się i stało. Klemens V poszedł pierwszy, za nim Filip IV Piękny.

- To była kara. A zemsta? - spytałem.

- Zemsta, a może kara spadła, jak nieraz bywa, na niewinnych. Ludwik i jego rodzina pokutują w wieży wzniesionej przez Templariuszów. Ich siedziba stała się więzieniem dla następcy Filipa, tak twierdzą niektórzy.

- I król zgarnął ich bogactwa?

- Właśnie że nie. I to jest najdziwniejsze w tej całej historii. Przecież o to tylko królowi

chodziło. Napełnić skarb złotem Templariuszów. Popatrz, ten teren, który mamy przed oczami, otoczony wysokim murem, stanowił miasto w mieście, państwo w państwie. Był solą w oku Filipa. A liczne komandorie rozsiane po całej Francji... Przeszukano wszystko, nie znaleziono żadnych bogactw ani żadnych dokumentów. W ogóle nic. A przecież musiało istnieć archiwum zakonu. Gdzieś to zostało ukryte. Uratowało się bardzo niewielu braci, którym udało się uciec. Ci zbiegli do Anglii, do Włoch, na Półwysep Pirenejski. Bo tam ich nie prześladowano. Zakon jednak przestał istnieć. Dobra Templariuszów oddano Szpitalnikom, podobnym rycerzom-mnichom z Ziemi Świętej. Naturalnie Rewolucja zniosła te przeżytki. Nie ma już zakonów ani mnichów. A tym bardziej rycerzy. - Powiedział to ostatnie jak gdyby z zalem.

- Są żołnierze Rewolucji - zawołałem z przekonaniem. - Niosą wolność narodom, które jęczą dotąd pod jarzmem despotów!

Odwrocił twarz od okna i spojrzał na mnie. Oczy jego załśniły w ciemności.

Sam nie wiem czemu, poczułem nagle dziwny niepokój.

- Wilfredzie - zacząłem z wahaniem. - Jaki ja przy tobie głupi! Boże, jaki głupi! Wiesz tyle rzeczy, o których dotąd nie miałem pojęcia. A ty je znasz. Wiesz chyba wszystko. Kim ty właściwie jesteś?

- Kim? - zaśmiał się cicho.

- Powiedz...

- Francuzem, który kocha swój kraj. - Głos miał znowu poważny. - Widzisz, żyjemy w takich czasach, kiedy nadzieja na lepsze nowe walczy z przyzwyczajaniem, a może z przywiązaniem do starego. A co zwycięży...

- Nowe! - Wyrwało mi się. - Rewolucja!

Pokiwał głową, a ja po raz drugi pochwyciłem błysk jego oczu. Czułem się coraz bardziej nieswojo.

- Zauważ - mówił wolno, jak gdyby namyślał się nad każdym słowem. - Walka idzie na śmierć i życie. W imię miłości do kraju, w imię dobra jego obywateli. Na śmierć i życie - powtórzył. - A każda z walczących stron uważa, że jej sposób okazywania tej miłości jest słuszny. Pomyśl tylko, to Francuzi walczą przeciw Francuzom. I walka, jak już powiedziałem, idzie na śmierć i życie. Nie ma w niej miejsca na litość, na miłosierdzie, na przebaczenie. Jest tylko nienawiść, straszna i nieubłagana.

- Boże, co z tego wyniknie? Co wyniknie z tej walki, w której Francuzi przelewają krew Francuzów? - Ogarniała mnie rozpacz, nie mogłem przecież stracić wiary w zwycięstwo słusznej sprawy, a więc w zwycięstwo Rewolucji.

- Co wyniknie... - powtórzył i zamilkł.

- Mów - krzyknąłem prawie.

- Chaos - powiedział dobitnie. - Pamiętaj, wszystko powstało z chaosu. Potrzeba tylko czasu. Z chaosu Bóg stworzył świat. Tak samo i Francja... Tylko czasu. - Dokończył szeptem.

Sankiuloty - nazwa nadawana od 1792 r. żarliwym stronnikom Rewolucji. Pochodzi od culaile (franc.) - krótkie spodnie i sans (franc.) - bez. Sankiulota, czyli człowiek bez krótkich spodni. Moda rewolucyjna nakazywała noszenie długich spodni, jako wyraz odcięcia się od starego.

VII

Piękna to była wiosna i tym boleśniej raził kontrast między tak naturalnym rozkwitem przyrody a dramatem gwałtownej śmierci, jaki każdego dnia rozgrywał się na krwawej scenie placu Rewolucji.

Ludzie łaknęli widoku krwi. Z jakimś niezdrowym zachwytem wdychali jej mdlący zapach, śledzili z zapamiętaniem czerwone strużki ściekające na ziemię poprzez źle spojone deski szafotu.

Kosz wypełniały coraz to nowe głowy: stare i młode, siwe, ciemno_ i jasnowłose. Zastygłe w majestacie śmierci lub w jej grozie twarze należały do mężczyzn i kobiet różnego wieku i stanu. Na niektórych jaśniała jeszcze świeżość pierwszej młodości.

Powołany do życia dekretem Konwentu Komitet Ocalenia Publicznego nie żałował fatygi. Co dzień dostarczał ofiary Trybunałowi Rewolucyjnemu, którego gorliwość przeszła najśmielsze nawet oczekiwania.

"Wolność należy oprzeć na przemocy - grzmiał Marat - by w odpowiedniej chwili, gdy zajdzie potrzeba, móc zaprowadzić despotyzm wolności".

- Czy tak musi być? - pytałem w przerażeniu. - Czy musi być tyle krwi? Przecież wiele z tych osób, to ludzie niewinni.

- Tak być musi - odpowiadał Wilfred. - Gdy się przetnie sznur przytrzymujący ostrze, nóż spada natychmiast. Francuzi właśnie przecięli ów sznur i nic nie powstrzyma opadania narzędzia śmierci.

- Dlaczego? Jak można dopuścić...?

- Gilotyna musi spełnić swoje zadanie. Do końca. Póki nie zniszczy tych, którzy powinni zginąć.

- ależ Wilfredzie - krzyknąłem. - Jak możesz być tak okrutny? Tam przecież giną kobiety, niewinne kobiety!

- Rewolucja nie wybiera ofiar. Każdy może każdego posłać pod nóż. Wystarczy donos. Wielu Francuzów korzysta z tej dogodności, by pozbyć się świadków ich nieczystego sumienia.

- Czy sądzisz, że Francuzi to łaknące krwi bestie?

- Spójrz na tych, co otaczają szafot podczas egzekucji. Popatrz na ich twarze. Są tam i kobiety. Widziałeś, co one robią? Pończochy na drutach. Wówczas, gdy pomocnicy kata przywiązują skazańca do deski, by ułożyć go w odpowiedniej pozycji. Czy uważasz, że to normalny objaw tej obojętności, a zarazem ciekawość cudzego cierpienia i cudzej śmierci?

- Przestań! Nie mogę tego słuchać!

- Nie możesz? Ty, rewolucjonista i patriota?

- Nie o takiej rewolucji marzyłem. Nie o masowych mordach na niewinnych ludziach.

- Strzeż się, to co mówisz, pachnie zdradą. Podobnie myśleli La Fayette i Dumouriez. I wielu innych.

- Ja nie przejdę do Austriaków, nie wystąpię zbrojnie przeciw ojczyźnie. Ale przeraża mnie ta śmierć... Przecież nic podobnego nie działo się za rządów tyrańca.

- Milcz i nie czyń porównań. A najlepiej przestań o tym myśleć. I z nikim nie poruszaj tego tematu. Słyszysz? Z nikim.

- Ja nie chciałem takiej Rewolucji. Jak oni mogą? Czy nie ma w nich ludzkich uczuć?

- Uspokój się. Byłeś przecież żołnierzem, krew dla ciebie nie nowina.

- Co innego na polu bitwy. Ale tu... Wiesz co, nie mogę pozbyć się wyrzutów sumienia...

- O co ci chodzi?

- O markiza.

- Jakiego znowu markiza?

- Narzeczonego panny Gabrieli.

- Twego rywala.

- Nie kpj ze mnie. Nienawidziłem go, to prawda, pragnąłem jego śmierci. I jeżeli zginął... Jeżeli moje pragnienie wydało go w ręce kata... Na taką właśnie śmierć... Nigdy sobie tego nie

wybaczę. Nigdy. To tak, jakbym go sam zamordował.

- Uspokój się - powtórzył. - Markiz niekoniecznie musiał zginąć. Równie dobrze mógł udać się na emigrację. Może zaciągnął się do wojska, jak tylu innych, i podniósł broń przeciw Francji.

- Bo widzisz, panna Gabriela kocha go, kocha tego fircykowatego młodzieńca i jeśliby zginął... Jego śmierć mogłaby jej złamać serce, a ja... ja oddałbym życie, żeby tylko była szczęśliwa. Nie wiem, czy mnie rozumiesz. Jesteś taki mądry, wyższy ponad ludzkie słabości. Służysz Rewolucji, bo lepiej pojmujesz niż ja to, co się dzieje. Nie wiem, czy kiedy kochałeś... Czy w ogóle kobieta coś dla ciebie znaczy. Ale ja...

Wilfred wyciągnął rękę, ujął moją dłoń i mocno ją uściskał.

- Doskonale cię rozumiem - powiedział stłumionym głosem. - Moje serce też nie jest wolne... Kocham taką kobietę, którą pragnąłbym uwielbiać na klęczkach, całowałbym ślady jej stóp... Ale Rewolucja nas rozdzieliła. A ja muszę wypełnić mój obowiązek. Tak mi nakazuje honor. Ona wie o tym.

- I jesteś kochany?

- Jestem. Wierzę jej absolutnie. Wiem, że mnie nie zawiedzie. Ale kiedy ją zobaczę?... Może nigdy na tej ziemi.

- I czynisz to dla Rewolucji?

- Dla Francji - poprawił.

- Wilfredzie...

- Każdy skrzętnie ukrywa serdeczną ranę. Ty, ja, panna Gabriela. Miłość jest zawsze cierpieniem.

- Mój Boże! - jęknąłem. - Ale to prawda. Miłość i cierpienie zawsze idą w parze. Tak samo i Lucylla... - dodałem po chwili.

- Jaka Lucylla?

- Szwaczka.

- A cóż ona? Także nieszczęśliwa w miłości?

- Ona cię kocha.

- Mnie? Chyba raczej ciebie. Co dzień tam bywasz.

- Nie, Wilfredzie, nie mnie. Gdybyś widział, jak się rumieni, gdy o tobie mowa. żebyś słyszał jej głos, gdy pyta o twoje zdrowie i w ogóle o ciebie. Ona cię kocha. Przypomnij sobie, jak się broniła, gdy zostałeś aresztowany. Tylko kochająca kobieta znalazłaby w sobie tyle odwagi...

- Nie znała mnie przecież.

- Znała cię z widzenia. Ale to wystarczyło, by oddała ci serce.

- Moje serce należy do innej.

- Biedna Lucylla - szepnąłem. - Podobnie jak ja pokochała kogoś, kto nie potrzebuje jej miłości. Zresztą ona zbyt skromna, nie pasuje do ciebie. Ale co z nią będzie?

- A co będzie z tobą? - odpowiedział pytaniem.

- Ze mną... No cóż, wrócę kiedyś do Belcastel. Gdy Rewolucja pokona swoich wrogów. Minie wówczas czas śmierci i nastanie czas życia. życia i miłości, ogólnej miłości. Czas pokoju i braterstwa. Będziemy wolni i równi, a chłopcy tacy jak ja będą mogli bez przeszkód zdobywać takie dziewczęta jak panna Gabriela. Nie będzie żadnych markizów ani hrabiów. Równość. Rozumiesz? Absolutna równość.

- Czy myślisz, że absolutna równość jest możliwa? Zawsze ludzie będą się różnić między sobą. I nigdy tłusty rzeźnik nie dorówna wychudłemu poecie ani handlarz starzyzną nie upodobni się do dzielnego oficera. Możliwa jest jedynie równość wobec prawa i prowadzące do tego zniesienie niesprawiedliwych przywilejów. Ale reszta... - Wstał nagle i podszedł do okna. - Czy wiesz, która godzina? Spójrz, świeca prawie się wypaliła.

W wieży Temple poprzez listowie błyskało nagle światło. Było cicho i spokojnie. Paryż spał upojony krwią i zemstą, a na placu Rewolucji zza czarnego prostokąta gilotyny mrugały gwiazdy.

Wchodząc tego ranka do bramy domu na ulicy Kordelierów omal nie potrąciłem obywatelki Kamilli Rigel. Nosiała błękitną suknię i falbaniasty czepeczek, a w tych błękitach było jej wyjątkowo do twarzy.

- Powiedz praczce, obywatelu, że pilnie potrzebuję mojej taftowej halki. - Rzuciła w przelocie i już jej nie było.

Stałem chwilę spoglądając za nią, taka była świeża i ładna. Tylko ładna. Nic więcej. Nie piękna. Ładna.

I nagle ujrzałem w myśli pannę Gabrielę. W sukni koloru nieba. Z taką samą wstążką we włosach. Panna Gabriela podobna do świętej Radegundy z witraża. Panna Gabriela ze starego zamku Belcastel w Rouergue i panna Kamilla Rigel z paryskiego teatru Wodewilu. Obie w błękitnych sukniach. Panna Gabriela córka hrabiego de Saunhac, który już nie jest hrabią, zaręczona z markizem, który przestał być markizem i może stracił życie, i panna Kamilla "przyjaciółka" członka Konwentu, który ją ubiera i utrzymuje. Panna Gabriela wygnana z własnego domu, zmuszona uchodzić z ojczyzny, gdzie życiu jej groziła gilotyna. I panna Kamilla pnąca się po społecznej drabinie ku teatralnym wyżynom, zdobywająca dobrobyt i piękne suknie, gotowa zmienić protektora, o ile zyska na tym jej pozycja w teatrze i wygody w domowym zaciszu.

A choć panna Gabriela jest teraz biedna i pewnie nie ma co na siebie włożyć, to przecież panna Kamilla w najpiękniejszych toaletach, jakie mogą wyjść spod igły samej Róży Bertin, nigdy jej nie dorówna. W niczym. Gdzież więc owa równość i czyżby Wilfred miał rację?

Tak byłem zamyślony, że nie zauważyłem obywatela Simon, który będąc szewcem nie parał się szewstwem, lecz polityką, a takie robił postępy w tej dziedzinie, że mógł prawie uchodzić za męża stanu.

- Dawno cię nie widziałem, obywatelu - zaczepił mnie, uśmiechając się protekcyjnie. - Nie bywasz wcale w naszym klubie - dodał z naganą w głosie.

- Witaj, obywatelu. Mieszkam daleko stąd i bywam na zebraniach w innej Sekcji - skłamałem.

- To ci się chwali - pokiwał głową.

Usunąłem się, by go przepuścić.

Wdowa Clouet przywitała mnie z radością. Wiele było dziś roboty, a Janek wcześniej wymknął się z domu.

- Obywatelka Rigel prosi o taftową halkę - zacząłem. - Spotkałem ją w bramie i mówiła...

- Wiem, wiem - przerwała. - Halka gotowa, możesz zanieść.

- Nie ma jej, wyszła.

- Sama przyjdzie, jak wróci - wzruszyła ramionami.

Wieczorem dowiedziałem się od Lucylki (tak ją teraz nazywałem, po imieniu, na życzenie ciotki Anny), że panna Kamilla wystąpi w najnowszej sztuce obywatela Desfontainesa pod tytułem "Rozwód". Sztuka bardzo na czasie, gdyż małżeństwo, przestawszy być sakramentem, mogło zostać każdej chwili rozwiązane dla wygody i przyjemności wolnych obywateli.

Panna Kamilla więc z nieodstępnym Brutusem Hulin znowu odwiedziła Lucylkę i zamówiła odpowiednią do roli suknię.

Ciotka Anna po raz drugi przeżyła wstrząs usłyszawszy głos byłego sąsiada dochodzący wyraźnie do jej pokoju.

- Widocznie Brutus Hulin robi karierę - zauważyła szwaczka. - Obywatelka Rigel bowiem kokietuje go wprost nieprzyzwoicie.

- Ale on, z tego co słyszałam, jest tym zachwycony - dodała ciotka Anna.

- Jest przede wszystkim nieostrożny - mruknęła Lucylka - a ona głupia.

Wreszcie nastąpiło to, czego się obawiałem. Byłem właśnie u moich przyjaciółek, gdy zastukano do drzwi. Natychmiast wyskoczyłem przez otwarte okno w pachnącą ciemność sąsiedniego ogrodu, który przez parę ostatnich lat zdążył rozrosnąć się swobodnie, nie kępowany ręką ogrodnika.

Ukryty wśród zarośli słyszałem całą rozmowę.

Panna Kamilla była tak niespokojna co do pewnych szczegółów nowej toalety, których nawet

nie potrafię powtórzyć, że pozwoliła sobie odwiedzić obywatelkę Carnot o tak późnej porze.

- Nie denerwuj się, obywatelko. - Lucylka nie straciła zimnej krwi. - Wszystko się uda. Już skroiliśmy suknię. Tren ma właściwą długość, a dekolt będzie tak głęboki, jak sobie życzyłaś.

- Od tego występu wiele zależy, cała moja kariera, rozumiesz więc...

- Rozumiem. - Głos Lucylki działał kojąco. - Będziesz wyglądała jak... nimfa - dodała z emfazą.

- W takim razie możemy już iść. - Brutus Hulin podniósł się z krzesła.

- Tak, tak. - Panna Kamilla wydawała się jakaś nieswoja.

Gdy wyszli i szwaczka zaryglowała za nimi drzwi, wskoczyłem do pokoju. Ciotka Anna wysunęła się z sypialni.

- To oburzające - wybuchnąłem. - Nie dają ci spokoju o tak późnej godzinie. Powinnaś zwrócić jej uwagę.

- Powinam - przytaknęła. - żadna z moich teatralnych klientek nie odwiedza mnie w domu: Tylko ta. Obawiam się... - urwała.

- Czego? - spytałem.

- Nie wiem. Ale ta dziewczyna jakaś dziwna i ten Brutus...

- Niczego się nie bój - przerwałem. - Nikt nic nie wie o ciotce Annie, a ja przecież nie jestem niebezpieczny.

Ale Wilfred był innego zdania.

- Nie podoba mi się to - zauważył, wysłuchawszy mojej relacji. - Brutus coś zwęszył. To pies gończy. Może cię kiedy śledził.

- A cóż ja?

- Nic nie wiadomo. Poza tym ta dozorczyń z ulicy Charlot to podejrzana figura, jest przypuszczalnie na usługach tajnej policji. Wystarczy tylko jedno słowo do Komitetu Ocalenia Publicznego, aby Trybunał Rewolucyjny puścił w ruch maszynę tak zwaną "sprawiedliwości". Boję się o szwaczkę. Zna zbyt wiele sekretów tych teatralnych piękności. O stosunkach obywatelki Rigel z Brutusem może się dowiedzieć ów członek Konwentu wielbiący jej wdzięki. Oby nie powstały z tego komplikacje, które odbiłyby się na życiu naszej szwaczki. Wiesz przecież, czym to teraz grozi.

Na szczęście nic złego się nie stało. Lucylka naznaczyła miarę sukni w teatrze, tak jak innym klientkom. Panna Kamilla musiała się poddać i przestała ją nachodzić. Uspokoilem się, bo przez ostatni miesiąc nieledwie z biciem serca stukałem do drzwi moich przyjaciółek nasłuchując, zanim nacisnąłem klamkę.

Wkrótce nowiny, jakich dostarczyła mi praczka, zwróciły moje myśli w innym kierunku.

- Czy wiesz - powiedziała pewnego ranka - że obywatel Simon mieszka teraz w więzy Temple?

- Spotkałem go tu niedawno.

- Przyszedł odwiedzić żonę - wyjaśniła. - Widziałam go wczoraj w więzieniu. Siedzi tam w dolnej sali razem z wyznaczonymi do straży komisarzami, zabawiają się w najlepsze, grają w kości i piją, jak gdyby to był szynk, a nie więzienie. Simon to sprytna sztuka. Mówią, że wysoko zajdzie. Nie opuścił żadnego zebrania w Sekcji, to się i poduczył. A pamiętam, jak tu zamieszkał, dwóch słów nie mógł złożyć. A wiesz, co on tam robi? Dozoruje rzemieślników. Potrzeba było co nieco przebudować, poprawić, wstawić kraty, zasłony w oknach. Myślą, że więźniowie to ptaki i wyfruną któregoś dnia przez lufcik. Durnie! A żebyś słyszał, jak się chwali! W jakiej to on jest komitywie z panią Antoniną. "Ten dobry pan Simon" - tak go podobno nazywa. A on oddaje jej drobne przysługi. Chodzi do miasta, by kupić, o co go poprosi. Po śmierci tyrana osierocony rodzina pragnie nosić żałobę i on jej w tym pomaga. Możesz to sobie wyobrazić?

Nigdy jeszcze nie słyszałem takiej tyrady z ust wdowy Clouet.

Powtórzyłem to wszystko wiernie Wilfredowi. Słuchał nad podziw uważnie.

- Słyszałem - odparł - że przydzieleni do pilnowania więźniów komisarze buntują się. "Co innego, gdy żył jeszcze Ludwik - mówią - ale teraz? Czy mamy być lokajami wdowy Kapet? - tak krzyknęli na ostatnim posiedzeniu Konwentu. - Bo chyba potrzebni jesteśmy jedynie po to, by

wypróżniać jej nocniki."

- Mimo jednak podobnych wystąpień, więźniów pilnowano jak oka w głowie, a komisarze zmieniali się co dwadzieścia cztery godziny na obowiązkowy dyżur.

A potem coś się zaczęło dziać, bo Wilfred wracał bardzo późno albo nie wracał wcale. Zjawiał się dopiero rano i bez słowa rzucał się na łóżko.

W tym czasie mały Gaskończyk odwiedził go parokrotnie, a raz widziałem, jak po jego odejściu Wilfred wsuwał do szuflady w komodzie grubą plik asygnat. Na moje zdumione spojrzenie, zauważył:

- Są fałszywe, ale to nic nie szkodzi. Tak są doskonałe, że nikt nie pozna.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Przypuszczalnie potrzebował tych pieniędzy, by przekupić wrogów Rewolucji. Wiedziałem z całą pewnością, że użyje ich na szlachetne cele. Inaczej być nie mogło. Za dobrze go znałem.

Byłem jednak niespokojny. Chodziły znowu słuchy o udaremnionej ucieczce Marii Antoniny i jej dzieci. Przypuszczałem, że w udaremnieniu tych planów Wilfred odegrał niepoślednią rolę.

Rojaliści nie złożyli broni. Celem ich było uwolnienie rodziny królewskiej, tym bardziej że coraz głośniej mówiono o ewentualnym postawieniu wdowy Kapet przed trybunałem, a krwawa wojna w Wandei rozdmuchiwała ich nadzieje.

Wszystko to mnie gnębiło, obawiałem się bowiem o Wilfreda. Do praczki chodziłem wyłącznie z poczucia obowiązku i nawet codzienne wizyty u moich przyjaciółek nie potrafiły rozjaśnić dręczących mnie ponurych myśli.

Dnie tymczasem stawały się coraz dłuższe i coraz bardziej upalne. Po pięknej wiosnie, lato zapowiadało się burzliwe. Pewnego ranka - było to jakoś w początkach lipca - gdy zjawiłem się przed domem praczki, ujrzałem ten sam wózek, którym jeździła do więzienia Temple, otoczony gromadką rozgadanych kumoszek. Obywatelka Simon obładowana tłumokami schodziła właśnie ze schodów w towarzystwie sąsiadek niosących za nią liczne tobołki.

Odjeżdżającej kobiecie, gdy siadła już na wózek, zgotowano entuzjastyczną owację.

Od wdowy Clouet dowiedziałem się, że obywatelka Simon przeniosła się do męża, z którym miała zamieszkać w wieży Temple. Jednakże małżonkowie zatrzymali pokój zajmowany w domu przy ulicy Kordelierów.

W kilka dni później, gdy wróciła z wizyty w więzieniu, moja praczka była tak zdenerwowana, że nie udało mi się wydobyć z niej ani słowa. Cały czas płakała. Nie zabrała się nawet do prasowania. Na próżno ofiarowywałem pomoc przy segregowaniu brudnej bielizny. Nic jej nie interesowało. Była jak oziębiała.

- Idź do domu - powiedziała wycierając nos. - Nic dziś nie będę robić. Nie mogę.

Dopiero nazajutrz rano dowiedziałem się przyczyny tego zmartwienia.

- To potwory - wybuchnęła, gdy tylko wszedłem. - Czy wiesz, co zrobili?

- Co? - spytałem.

- Przyszli późno wieczorem i zabrali chłopca. Od matki. Działy się straszne rzeczy. Mały, zbudzony ze snu, przerażony, nie dał się wziąć tym łotrom. Pani Antonina tuliła go i błagała, by go jej nie zabierano. Ale czy te zbiry mają sumienie? Nic nie pomogło. A wiesz ty, po co go zabrano? Po to, by oddać na wychowanie obywatelowi Simon. Wyobrażasz sobie? Temu pijaczynie! Łajdak nic nie robił, tylko siedział w szynku albo na zebraniu, gdzie do reszty przewrócono mu w tym głupim łbie. Przez dwa dni i dwie noce dziecko płakało bez przerwy, nie chciało jeść ani spać. I dlatego sprowadzili żonę Simona, że to niby potrzebna kobieca opieka dla małego. W dobre dostał się ręce, nie ma co mówić. Mój Boże! A pani Antonina od zmysłów odchodzi. Ledwie ją poznałam. Bez łez patrzeć nie mogę na jej boleść. To przecież matka. Ale co to obchodzi tych łajdaków. Powiedziałam im, co o nich myślę. Ale oni śmieli się tylko. "Obywatel Simon to dobry nauczyciel - drwili. - Nauczy małego pić, palić, kłąć i śpiewać rewolucyjne pieśni. Zobaczysz, jaki z niego wyrośnie patriota."

Tak gadali. Nie wiedziałam, co mówić, jak pocieszyć biedną panią Antoninę. Ja też jestem matką i gdyby tak mnie zabrali moją Julkę... - Nie mogła dokończyć i zakryła twarz fartuchem.

- Ile lat ma mały Kapet? - spytałem.

- Tyle co moja Julka. Osiem - wychlipała. - A żebyś widział, jak ten Simon tam się panoszy! Urządzili sobie mieszkanie w pokoju pana Ludwika. A jak się kręcą, jak ustawiają meble. Swoje graty tu zostawili, bo to nędza, wzięli tylko szmaty. Ale im się udało! Wszyscy im zazdroszczą. Darmowe mieszkanie i utrzymanie. Z kuchni przynoszą jedzenie. Nie żałują sobie niczego. I do tego jeszcze im płacą! Nigdy nie widzieli tyle pieniędzy, ile teraz mają. Jest za co pić. Nie mogłam patrzeć na to biedne dziecko. Aż sine z rozpaczy. Nic tylko płacze. Trochę się uspokoił, jak mnie zobaczył. "Czy Julka jest - spytał. - Jest, jest - mówię. - Pobaw się z nią, biedactwo, i nie płacz." Mam nadzieję, że żona szewca będzie dla niego dobra. Nie słyszałam, żeby to była zła kobieta. Sama nie miała dzieci, to może okaże serce. Na małego woła "Karolek". Cóż robić - westchnęła. - Dziecko się przyzwyczai. Musi.

Byłem wstrząśnięty. W powrotnej drodze wyobrażałem sobie siebie w wieku lat ośmiu. Przypomniałem tkliwe starania matki, dobroć ojca. Gdyby mnie tak wówczas oderwano od rodziców i oddano na "wychowanie" takiemu obywatelowi Simon... Wzdrygnąłem się.

- Coś taki ponury? - zapytał Wilfred, który wyjątkowo był już w domu.

Powtórzyłem, co mi powiedziała praczka.

- Wiem o tym - pokiwał głową. - Taka była decyzja Konwentu. Cóż może być bardziej rewolucyjnego niż szewc preceptorem księcia? Naród pragnie wychować go na dobrego republikanina i Konwent zastosował się do woli narodu. Tak wyjaśniono podjęcie tej decyzji.

- To okrucieństwo - wybuchałem. - Rewolucja nie ma prawa karać dzieci za winy rodziców.

- Rewolucja musi się bronić - zauważył spokojnie. - Czy wiesz, jaką proklamację wydał hrabia Prowansji, brat Ludwika? Oto ogłosił się regentem królestwa w imieniu swego bratanka, najjaśniejszego króla Francji Ludwika XVII. To właśnie jest ten mały Karolek, wychowanek Simonów. "Wilcze szczenię", jak go nazywają w Konwencie. To dziecko jest stałym zagrożeniem dla Republiki. We Francji pozostało jeszcze zbyt wielu zwolenników monarchii.

- Ale cóż winne dziecko? - upierałem się. - I dlaczego ma cierpieć.

- Myślisz, że to jedyne dziecko we Francji, które cierpi? Nie wszyscy zdążyli wyemigrować. Wiele dzieci postradało rodziców. A co się z nimi stało? Jaki ich los? Czy zastanowiłeś się kiedyś nad tym? A przecież jest to tragedia straszniejsza niż ta rozgrywająca się na placu Rewolucji.

- Tego tylko brakowało - stwierdziłem z goryczą - by dzieci karano gilotyną.

- Dla niejednej z tych sierot byłoby może i lepiej zginąć od razu - odpowiedział poważnie.

Tymczasem obywatelka Simon zajęła się chłopcem. Przede wszystkim zabrano od matki jego dawniejsze ubranka i zdjęto mu żałobę. "Dziecko nie powinno być ubrane na czarno" - zdecydowała nowa opiekunka.

Ponieważ chłopczyk nie chciał jeść, a tylko wciąż płakał i wołał "do mamy", Simon obawiał się pokazać go w takim stanie strażom i przez kilka dni nie wyprowadzał wychowanek na spacer.

Komisarze nie widując więźnia powzięli jakieś podejrzenia i po Paryżu zaczęła kursować plotka o uprowadzeniu dziecka. Konwent wreszcie deleguje do Temple czterech swoich członków, by na miejscu przekonali się, jak właściwie sprawa wygląda. Kazali więc sprowadzić chłopca na dół i sami towarzyszyli mu podczas przechadzki.

Chłopczyk z początku milczący i nieufny, w pewnej chwili zapytał, jakim prawem rozłączono go z matką. Simon przestraszył się gniewu przedstawicieli Konwentu, bał się bowiem utracić tak lukratywną posadę, zapytał więc, co postanowiono uczynić z tym "szczenięciem".

- Uczono go zuchwałości, ale ja go poskromię, a jeśli przy tym zdechnie, nie moja to będzie wina. Właściwie, co Konwent zdecydował? Zabić go? Otruć? Deportować?

- Nie - odpowiedzieli wysłannicy. - Chcemy się go po prostu pozbyć.

Tę rozmowę powtórzyli komisarze obecni przy owej wymianie zdań. Wkrótce obiegła cały Paryż i dla nikogo nie były już tajemnicą plany Konwentu dotyczące "Zakładnika Narodu". Różnie też komentowano owe pragnienie pozbycia się więźnia.

- Wiadomo, jaki cel postawił sobie Simon - mówił Wilfred. - Pragnie oto z tego potomka tyranów uczynić prawdziwego mężczyznę. A co to jest prawdziwy mężczyzna w pojęciu szewca Simona? To dzielny sankiulota, który lubi dobrze zjeść, jeszcze lepiej wypić, palić fajkę, a przede wszystkim kłąć. I uda mu się to w zupełności. Słyszałem od jednego z komisarzy, że obywatelka

Simon przekonała męża o szkodliwości tytoniu dla tak małego chłopca. Ale reszta programu...

Każdego wieczoru długo wpatrywałem się w migocące wśród listowia światło wieży Temple. Na trzecim piętrze mieszkała tam "pani Antonina", jak ją nazywała praczka, z córką i siostrą męża. Pod nimi znajdowało się obecne mieszkanie Simonów i małego więźnia. Komisarze donosili, że obywatelka Simon, bezdzietna, troskliwie zajmuje się wychowaniem, a dziecko przywykłe dotąd do matczynej czułości garnie się do niej ufne i wdzięczne za każde serdeczne słowo.

- Co z nim będzie? - zadawałem sobie nieraz pytanie. - Co wyrosnie z tak "edukowanego" chłopca?

Umiał już czytać i pisać i wiele innych rzeczy - ojciec dbał bardzo o jego naukę i sam się tym zajmował. A teraz? Ten ciemny i głupi szewc, co zrobi z powierzonego sobie pupila? O nic przecież nie dba, tym bardziej, jak usłyszał, że Konwent postara się "pozbyć się" niewygodnego "Zakładnika Narodu".

Jak to jednak uczyni? Czy użyje trucizny, czy sztyletu? Publiczna egzekucja dokonana na dziecku nie mogła przecież wchodzić w rachubę.

Wdowa Clouet nie odzyskała dotąd dawnej pogody. Coraz częściej pochlipywała i ocierała oczy fartuchem.

- Z przerażeniem myślę o wizycie w Temple - wyznała mi pewnego dnia. - Nie mogę patrzeć na tego pijaka, jak niszczy zdrowie dziecka. Pani Antonina od razu zapyta mnie o synka, a ja, cóż jej powiem? Nie, nie, nie mam nerwów na takie przeżycia. Nie chcę też, żeby Julka to widziała. Z drugiej jednak strony towarzystwo małej to jedyna przyjemność dla Karolka. Nie mogę go jej pozbawiać. Ale to wszystko przechodzi moje siły. - Wzdychała i ocierała zażawione oczy.

W całej kamienicy długo komentowano wyniesienie obywatela Simona na tak odpowiedzialne stanowisko. Wszystkie kumoszki zazdrościły dobrego losu jego żonie i nagabywały praczkę o szczegóły nowej egzystencji szczęśliwych sąsiadów.

Nie zdążyliśmy się jeszcze otrząsnąć z przygnębienia, w jakie wtrąciła nas niedola małego Kapeta, gdy trzynastego lipca wieczorem straszna wieść spadła na Paryż. Oto zamordowano obywatela Marata w jego mieszkaniu przy ulicy Kordelierów numer trzydzieści, tuż obok nas. Ręka, która wbiła zdradziecki sztylet pod prawy obojczyk "przyjaciela ludu", była biała i delikatna, należała do młodej dwudziestopięcioletniej dziewczyny.

By wykonać swój zbrodniczy zamiar, Szarlotta Corday przybyła do Paryża z miasta Caen w Normandii, a powodem jej decyzji była chęć ukarania tego, którego nazywa "katem Francji".

Sledziła z uwagą wszelkie poczynania Rewolucji, ale Marat i jego nawoływanie do rozlewu krwi napępiała ją odrazą. Oskarżyła go o spowodowanie ucieczki ministra finansów Neckera i bohaterskiego La Fayettea, a najbardziej oburzyły ją afisze rozlepione na murach Caen, w których Marat wychwalał sprawców wrześnieowej rzezi w paryskich więzieniach i nawoływał miasta prowincjonalne do naśladowania stolicy. Potem proces króla wykazał tchórzostwo członków Konwentu, podburzanych przez Marata. Przerażała ją wpływ, jaki "Przyjaciel ludu" wywiera na Zgromadzenie, ale ostateczną decyzję unieszkodliwienia tego człowieka podjęła 31 maja, kiedy to aresztowano deputowanych ludowych, w tym dwudziestu paru żyrondistów.

Postawiona przed Trybunałem Rewolucyjnym zapewniła przewodniczącego, że "nigdy nie brakło jej energii", a na pytanie: "Czy dawno już, obywatelko, podjęłaś tę decyzję?" odpowiedziała śmiało: "31 maja, w dzień aresztowania przedstawicieli ludu".

Dramat rozegrał się blisko mieszkania mojej praczki, w narożnym domu, który tak dobrze znałem, starym domu, pamiętającym dawne bardzo czasy, tym z ostro zakończoną wieżyczką i wysokimi kominami.

Obywatelka Corday zjawiła się tam kilkakrotnie, ale nie została dopuszczona do Marata, który będąc niezdrów nie poszedł na posiedzenie Konwentu.

Dopiero za trzecim razem udało się jej wejść do mieszkania, mimo protestów przyjaciółki gospodarza, który usłyszawszy głosy, kazał wpuścić gościa. Wprowadzono ją więc do małego pokoiku, ale z początku nic nie może dojrzeć, gdyż całe pomieszczenie napępiała para unosząca się z krótkiej miedzianej wanny, gdzie w ziołowej kąpieli siedzi Marat z obwiązaną ręcznikiem głową i

na położonej na wannie desce robi korektę świeżego numeru gazety.

Gospodarz wskazuje gościowi krzesło koło wanny, nad którą wisi mapa Francji, dwa skrzyżowane pistolety i czarnymi literami wypisane słowo "Śmierć".

Podczas rozmowy przyjaciółka Marata wchodzi dwa razy podając choremu lekarstwo. Marat wypytuje gościa o nastroje panujące w Caen i o ewentualne spiski przeciw Rewolucji. Prosi ją o podanie nazwisk tamtejszych żyrondistów.

- Co z nimi zrobisz, obywatelu? - pyta Szarlotta Corday.

- każę ich wszystkich zgilotynować w Paryżu - odpowiada Marat.

- To zdecydowało o jego losie - powiedziała zabójczyni podczas procesu. Wyjęła więc kupiony uprzednio nóż i uderzyła. Śmierć była natychmiastowa.

W kilka dni po aresztowaniu Trybunał Rewolucyjny skazał ją na śmierć. Odwaga nie opuściła jej do końca.

Wiele sąsiadek mojej praczki widziało ją, jak wchodziła do domu Marata.

Wyglądała ślicznie i świeżo pomimo upału - opowiadała jedna z nich. - Nosila pasiastą spódnicę i korsazyk z wyłożonym kołnierzem.

- Na jasnych włosach miała modny czarny kapelusz z wysokim denkiem - dodała druga. - Wyglądała jak wielka dama.

Cały Paryż zapełnił salę Trybunału, żeby ją zobaczyć, a później tłoczył się na placu Rewolucji ciekaw, jak umierała.

- Umie bestia zabijać - mówiono - ale czy potrafi sama umrzeć, jak się patrzy?

Potrafiła.

Ani razu, czy to na sali sądowej, czy w momencie egzekucji, nie okazała słabości. Miała rację twierdząc, że nigdy nie brakowało jej energii.

Obywatelowi Maratowi urządzono wspaniały pogrzeb, zwłoki jego spoczęły w Panteonie. A jak dowiedzieliśmy się od komisarzy pilnujących więzienia Temple, obywatel Simon na znak żałoby po tym wielkim człowieku kazał swego wychowanka znowu ubrać na czarno.

- Słuchaj, Wilfredzie - mówiłem do mego przyjaciela. - Chciałbym wiedzieć, co o tym wszystkim sądzisz?

- O czym? - spytał niewinnie.

- No... o zamordowaniu Marata, o Szarlotcie Corday, o jej procesie i śmierci i w ogóle...

- Marat posłał na gilotynę tak wiele osób, że...

- Myślisz, że to kara boska? - przerwałem.

- Coś w tym rodzaju. Marat pławił się we krwi, śmierć krążyła wokół niego, stale obecna, a nawet jak wiesz, miał ją wypisaną na ścianie nad wanną, w której spędzał wiele godzin. Cierpiał od lat na dokuczliwą egzemę i tylko te ziołowe kąpiele łagodziły nieco jego przykrą dolegliwość.

- Ale ona... kobieta... I mogła zabić...

- Mogła, choć długo się wahała. I jak powiedziała przed sądem "nie po to przez cztery lata znosiłiśmy tyle cierpień, żeby taki Marat panował nad Francją". Widzisz, Bertranie, Brutusowie są teraz w modzie. Przez wszystkie teatry naszego kraju przeszła tryumfalnie sztuka Voltaire'a "Śmierć Cezara". Byle członek Zgromadzenia Narodowego podczas melodramatycznych przemówień potrząsa sztyletem grożąc, że się przebije, jeśli nie uda mu się ugodzić wrogów Rewolucji. Naturalnie to wszystko są puste słowa. Nawet i Marat nie odmówił sobie podobnej demonstracji, sam widziałem, i wymachiwał długim sztyletem krzycząc: "oto broń, którą utopię we krwi zdrajców". Miał wówczas na myśli Dumourieza. Nie zapominaj też, jaki entuzjazm budziła pieśń będąca na ustach wszystkich: "Umrzeć za ojczyznę to najpiękniejszy los" i tak dalej. Słyszałeś pewnie, jak to śpiewano.

- Słyszałem. Ale ta dziewczyna...

- Chciała ratować Francję - zakończył ze smutnym uśmiechem. - Ale na to jeszcze za wcześnie, o wiele za wcześnie - dodał zagadkowo.

Śmierć Marata najbardziej poruszyła mieszkańców naszej ulicy. Co dzień widywałem przed domem z wieżyczką gromadki gapiów, spoglądających w okna pierwszego piętra, a jednooka dozorczyń stała w bramie z rękami na biodrach i po raz setny chyba opowiadała:

- Taka ślicznotka, wystrojona jak jedna z tych przeklętych arystokratek, co to jadą na wózku na plac Rewolucji! Gdybym była wiedziała, że w fałdach tej spódnicy ukrywa nóż! Poczęstowałabym ją kułakiem i nie wpuściła za próg! Ale kto mógł wiedzieć? Głosik jak u ptaszka... Gdy zaświergotała: "Gdzie mieszka obywatel Marat" - to powiedziałam. Czy mogłam przypuszczać? dużo ludzi przychodziło do obywatela Marata, to sławny człowiek. - W tym miejscu otarła fartuchem suche oczy. - A jaki grzeczny! Prawdziwy patriota! "Jak tam zdrowie, obywatelko Honoryno?" - tak pytał, gdy mnie zobaczył.

Były to wielkie dni dozorczyń domu pod numerem trzydziestym, a ja dość już miałem tych dytyrambów, słysząc je co dzień o tej samej godzinie.

Wkrótce obiegł Paryż "List do Francuzów", napisany przez Szarlotę Corday, gdy zdecydowała się na swój szalony krok.

"O moja biedna Ojczyzno! Twoja niedola rozdziera mi serce! A ja mogę ci ofiarować tylko moje życie."

List ten czytano wszędzie, po kryjomu, ale sądzę, że sami nawet członkowie Konwentu pochylili się z ciekawością nad tą kartką, a może nawet dało im trochę do myślenia takie na przykład zdanie: "O mój kraju! W jakież ty dostałeś się ręce!"

Czyż oskarżona, gdy odpowiadała na pytanie przewodniczącego Trybunału i oznajmiała, że nigdy jej nie brakło energii, nie stwierdziła tym samym, iż należy do takich ludzi, "którzy odsuwając na bok własny interes potrafią poświęcić się dla Ojczyzny?"

List ten naturalnie przyniosła Lucylka, te teatralne damy wylewały nad nim łzy, choć wątpię, czy rozumiały cokolwiek ze wzniosłych myśli, jakie zawierał. Mówiąc o zabójczyni, omawiały szczegółowo suknię, w jakiej stanęła przed Trybunałem, a kapelusz zasłużył na ich specjalne uznanie, jako że był ostatnim krzykiem mody.

Po kolejnej wizycie w więzieniu Temple wdowa Clouet wróciła jeszcze bardziej przygnębiona i ponura.

- Serce mnie boli, gdy patrzę na to dziecko - westchnęła.

- Czy Simonowie źle je traktują? - spytałem. - Znęcają się nad nim?

- Nie, nie - zaprzeczyła - ona jest nawet bardzo łagodna i dba o chłopca, a i on, widzę, że go lubi. Dziecko potrzebuje czułości, potrzebuje przytulić się do czyjegoś serca. Simon już mu nawet sprokurował klatkę z gołąbkami. Tylko te przekleństwa... Nie mogę tego znieść, gdy wiem, jak go chowali rodzice... Ojciec uczył, co dzień były lekcje. A pani Antonina to dbała o jego zachowanie i maniery... Zwracała uwagę, gdy postąpił nie tak, jak trzeba. A teraz... co drugie słowo bluźnierstwo! On ma śliczne jasne włoski, z rudawym odcieniem. Zawsze był ładnie uczesany. Z przodu grzywka, a dalej włosy długie, w lokach. Teraz Simonowa obcięła je krótko, mówi, że nie ma czasu na zabawę... i boi się robactwa. Ciekawam, co ma do roboty, jeśli jest na wszystkim gotowym, bo jedzenie przynoszą im z kuchni, a ja mam ich opierać.

Mnie też było smutno i ciężko słuchać tego wszystkiego. Komisarze wraz z Simonem pili i grali w kości. Dziecko pętało się wśród nich słuchając nieodpowiedniej dla jego wieku rozmowy oraz ordynarnych wyzwisk rzucanych na rodziców.

Rozumiałem, że wdowa Clouet tak była tym przejęta, że musiała wygadać się przed kimś, a tym kimś mogłem być tylko ja. Nabrała już do mnie zaufania i nie obawiała się mojego gadulstwa. Co dzień więc dorzucała jakiś nowy szczegół, jaki przychodził jej na pamięć i dzieliła się ze mną tymi wrażeniami. Ja znowu powtarzałem to Wilfredowi, który słuchał milcząc z taką miną, jak gdyby myślał o czymś innym.

Zdawałem sobie sprawę, że będąc patriotą i rewolucjonistą nie chciał roztkliwiać się nad losem tej odrośli tyranów, niemniej sądziłem, że mógłby okazać trochę litości niewinnemu przecież dziecku.

Gdy raz zarzuciłem mu oschłość serca, odparł spokojnie: - Cóż ja mu pomogę? Co mu pomoże żal i współczucie tysięcy nawet Francuzów, jeśli Rewolucja postanowiła wychować go po swojemu? Nie bój się o niego. Chwilowo włos mu z głowy nie spadnie. To ważny pionek w rozgrywkach z Hiszpanią i z szuanami (tak nazywano powstańców z Wandei). Jest przecież "Zakładnikiem Narodu".

Trochę mnie to uspokoiło.

Powoli ulica Kordelierów po ostatnich wstrząsach wracała do normalnego stanu. Dwaj tylko lokatorzy, Brutus Hulin i Kasjusz Peltier, obnosili ostentacyjnie grobowe miny, krepą na ramieniu okazując trudny do utulenia żal po wielkim sąsiedzie. Tymczasem Robespierre został powołany na członka Komitetu Ocalenia Publicznego, a pierwszego sierpnia Konwent specjalnym dekretem ogłasza, że Maria Antonina, zanim stanie przed Nadzwyczajnym Trybunałem, zostanie natychmiast przeniesiona do więzienia Conciergerie.

Wiadomość tę przyniósł wieczorem Wilfred, obecny na posiedzeniu Konwentu i jak dowiedziałem się później, jeszcze tej samej nocy o drugiej nad ranem grupa przedstawicieli ludu wtargnęła do celi zajmowanej przez trzy kobiety. Brutalnie wyrwane ze snu ledwie zdążyły okryć się jako tako, gdy im odczytano dekret nakazujący przeniesienie wdowy Kapet do Conciergerie. Maria Antonina przyjęła tę wiadomość spokojnie, a jej córka i siostra męża od razu poprosiły, by mogły towarzyszyć królowej. Nie pozwolono na to. Wdowa Kapet zebrała trochę ubrania i bielizny - przy tym wysłannicy nie spuścili jej z oka i musiała ubrać się w ich obecności. Zrewidowali rzeczy, które zabierała ze sobą. Po czym po krótkim pożegnaniu z płaczącą córką, której nie miała już nadziei ujrzeć na tej ziemi, polecając ją opiece siostry męża, opuściła więź Temple.

O tym wszystkim opowiedziała mi moja praczka, która w kilka dni potem odwiozła czystą bieliznę do więzienia. Była przy tym tak splakana, jak gdyby to ją spotkało podobne nieszczęście.

- Pani Antonina taka zawsze grzeczna, taka łagodna, a jednocześnie tak mocnego ducha. Nigdy nie słyszałam od niej słowa skargi. Nigdy. Dziękowała za każdą usługę.

- No - powiedział nazajutrz Wilfred - mały Kapet może się już uważać za zupełnego sierotę.

- Przypuszczasz więc... - zacząłem.

- A po cóż przenoszono by ją do Conciergerie? - wzruszył ramionami. - Wiesz przecież, że stamtąd prowadzi najbliższa droga na plac Rewolucji.

- Ciągłe myślę o tym biednym chłopcu. - Podeszedłem do okna i spojrzałem w stronę ukrytej za drzewami wieży. - Właściwie cóż by szkodziło Rewolucji, gdyby go uwolniono. Niechby go wysłali na przykład do Austrii, do rodziny matki. Wiadomo, że żaden Bourbon na tron nie wróci, niechby więc ten mały żył sobie spokojnie pod opieką wuja cesarza. Francja pozostanie Republiką, a gdy dorósłszy, zechciałby zobaczyć ojczyznę, mógłby przyjechać jako zwykły obywatel.

- Mówisz głupstwa - zawyrokował Wilfred. - Zapominasz, że we Francji żyje wielu rojalistów. Jeszcze nie spacyfikowano Wandei, a szuani noszą czerwone szkaplerze w kształcie serca z napisem "Bóg i nasz król". Nie zapominaj o tym.

- Cóż z tego? - zauważyłem. - Przecież z góry wiadomo, że bunt w Wandei zostanie stłumiony. Ślemy tam wiele wojska. Siły buntowników wreszcie się wyczerpią i nastanie pokój. A jeżeli rojalistom nie podoba się Republika, niech sobie emigrują. Lepiej pozbyć się takich szkodliwych obywateli, niż mieć z nimi ciągle kłopoty.

- Zapominasz, że emigranci zasilają szeregi wroga - odpowiedział Wilfred.

- Wróg nam niegroźny. Wszędzie odnosimy zwycięstwa - stwierdziłem z dumą.

- Rewolucja wynalazła lepszy sposób na rojalistów - zauważył Wilfred. - Oto oddała małego Bourbona, w ich pojęciu prawowitego dziedzica korony, na edukację do szewca. Simon, jak słyszę, gorliwie spełnia szaczący obowiązek. Za parę lat dziecko zapomni czytać i pisać, nauki ojca i upamięnienia matki utoną w winie. Powoli upodobni się do towarzyszących mu prymitywnych gburów. A jak już będzie "gotów", Republika wówczas pokaże go wiernym zwolennikom monarchii. "Patrzcie - powie - oto jakiego króla chcecie osadzić na tronie Francji. Czy tego głupowatego wyrostka o wulgarnym języku i zachowaniu tragarza z hal? Popatrzcie na niego. Nie potrafi nawet się podpisać. Jakże będzie wydawał dekryty i wyroki w swoim imieniu?" Bądź pewien, że najzgorzalszy monarchista zakryje oczy i odwróci twarz od takiego króla.

- To jest plan szatański - zawołałem. - Nigdy nie uwierzę w podobne bezeceństwa. Nie, nie, Wilfredzie, mówisz to wszystko, żeby mnie przerazić. Ale nie uda ci się. Zanadto jeszcze ufam Rewolucji, żeby ją posądzić o taką podłość.

- To nie podłość - odrzekł zimno. - To zwykła polityka. Rewolucja - powtarzam - musi się bronić.

- Ale nie tak, nie tak! - krzyknąłem.

- Idź spać - głos mu nagle złagodniał. - I zapomnij o tym, co mówiłem.

Ale ja nie zapomniałem. Odwrotnie. Z biegiem czasu coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że Wilfred dojrzał to, co uszło uwagi najprzenikliwszych nawet rojalistów.

VIII

- Zawiadomisz praczkę, że jutro nie przyjdiesz - powiedział Wilfred, gdy wkładałem do koszyka naczynia po śniadaniu i szykowałem się do wyjścia.

- Dlaczego? - spytałem zaskoczony.

- Będziesz mi potrzebny - rzucił krótko. - Do ratowania Francji - dodał z uśmiechem.

Wdowa Clouet dość obojętnie przyjęła moją prośbę o zwolnienie. Przybita ostatnimi wydarzeniami w wieży Temple, pracowała bez zwykłego zapału. Mnie zaś pożerała ciekawość.

Jeżeli Wilfred potrzebuje mojej pomocy - mówiłem sobie - to chodzi widocznie o jakiś wyjątkowo szlachetny uczynek, którego sam nie jest w stanie dokonać. "Do ratowania Francji" - tak przecież powiedział.

Gdy nazajutrz rano wyszliśmy na ulicę, przed domem stał chłopiec trzymający dwa osiodłane konie.

- Pomogę ci - ofiarował się Wilfred.

Ale ja bez pomocy wskoczyłem na siodło.

- Jedziemy daleko?

- Nie. - I ruszył przodem.

Kierowaliśmy się ciągle na północ. Brama miejska, ta sama którą wszedłem do Paryża, była szeroko otwarta, a strzegł jej jak wówczas oddział żołnierzy.

Wilfred pokazał oficerowi jakiś papier i bez przeszkód wydostaliśmy się z miasta.

Jednocześnie z nami wychodziły gromadki mężczyzn, a każdy niósł toporzysko, widły albo zwykły gruby kij. Nikt ich nie pytał o papiery. Wychodzili swobodnie, jak gdyby szli do roboty, do której ich wyznaczono.

- Obyśmy nie przybyli za późno - mruknął w pewnej chwili mój przyjaciel.

- Dokąd my właściwie jedziemy?

- Do Saint_ \$denis.

- Po co?

- Żeby uratować to, co jeszcze może być uratowane - powiedział zagadkowo.

O nic więcej nie pytałem. Wilfred tego ranka nie był skory do rozmowy. Wydawał się niespokojny i popędzał konia.

Mijaliśmy pieszych niosących na ramieniu narzędzia pracy. Twarze mieli rozognione winem, oczy mętne, na ustach pieśń rewolucyjną "\$ca ira". Wyglądali odrażająco.

- Dokąd spieszą ci ludzie? - zaryzykowałem w pewnej chwili pytanie.

- Tam dokąd i my. Do Saint_ \$denis.

- Będą tam coś robić?

- Tak. Burzyć.

Wiedziałem jak wszyscy, że Saint_ \$denis pod Paryżem było to starodawne opactwo, gdzie chowano królów Francji. Pamiętam, jak ojciec opowiadał niegdyś, że święty Denis, czyli Dionizy, tu właśnie został pochowany i że sam wybrał to miejsce, bo gdy mu ucięto głowę, niósł ją tak długo, aż wreszcie padł. Tak głosiła legenda, a działo się to półtora tysiąca lat temu. Później król Dagobert wybudował kościół nad grobem świętego i opactwo, które z czasem stało się królewską nekropolią.

Wkrótce ujrzeliśmy wystrzelające ponad przydrożne drzewa szczyty wież, a po chwili stanęliśmy przed olbrzymią masą szarego kamienia poczerńiałego od upływu wieków. Bieg czasu chyba nie miał władzy nad tą wyniosłą budowlą, pnącą się w niebo ostro zakończonymi wieżycami, a tak wydawałoby się trwałą jak wieczność.

- Tę bazylikę postawiono sześćset lat temu - zauważył Wilfred zsiadając z konia. - Nic jej nie zmogło. Dopiero dziś...

Jak spod ziemi zjawił się chudy wyrostek i przytrzymał nasze wierzchowce. Patrzył przy tym na Wilfreda oczekując widocznie rozkazów.

- Pójdiesz z nimi do oberży. - Wilfred podał chłopcu asygnatę. - Tam na nas czekaj.

Masywne drzwi kościoła były wyłamane. Z wnętrza dochodziły krzyki i uderzenia, jak gdyby rozbijano kamień. Ledwie wcisnęliśmy się do przedsionka, gdy tumany pyłu zatamowały nam oddech. W olbrzymiej nawie uwijało się wielu oberwańców podobnych do tych, których mijaliśmy po drodze. Trudno było coś dojrzeć, pył wirował w powietrzu, wisiał niby biały obłok pod sklepieniem, grubą warstwą zaścielał posadzkę, a w górze ledwie majaczące gotyckie łuki pięły się do jakichś zawrotnych wysokości. Przez wybite witrażowe okna wpadało słońce złocąc arkady i wysmukłe filary oddzielające główną nawę. Pod bocznymi łukami stały monumentalne grobowce, piętrowe budowle z marmuru i brązu, wzniesione ku wiecznej chwale władców Francji, która minęła jak chwila. Ostatni z nich, Ludwik, nie podzielił miejsca spoczynku przodków.

Przez miotający się wśród grobowców tłum, przedzierał się szczupły młody człowiek wymachując jakimś papierem.

- Nareszcie jesteś, obywatelu Perrin - zawołał dotarłszy do nas. - Nie mogę sam dać rady. Omal nie postradałem życia w obronie tych zabytków. Mam tu pismo od Zgromadzenia Narodowego, ale nikt mnie nie słucha.

- Jesteśmy, by ci pomóc - powiedział Wilfred.

- Chodźmy, ratujmy, co się jeszcze da! - Młody człowiek pociągnął nas ku wspaniałemu nagrobkowi, dookoła którego kłębili się ludzie uzbrojeni w młoty i topory.

- Rozkaz Zgromadzenia! - krzyknął Wilfred, chwytając w żelazny uścisk podniesione do zadania ciosu ramię jakiegoś sankiuloty, uzbrojone w potężny młot.

- To hańba, obywatele, niszczyć naszą własną przeszłość! - Wołał młody człowiek, który jak się potem dowiedziałem, nazywał się Aleksander Lenoir i był malarzem.

- Precz z tą padliną! Ścierwa na śmietnik! - Wrzeszczał tłum. - My chcemy chleba! Chleba!

W tumanach pyłu z rozbitych ołtarzy i nagrobków trudno było oddychać. Obywatel Lenoir miotał się na wszystkie strony, zachrypnięty od krzyku, w przekrzywionym kapeluszu - nikt tu nie odkrywał głowy - błagając, grożąc i wrywając narzędzia niszczenia.

Straciłem z oczu Wilfreda, a sam, choć jedną ręką niewiele mogłem zdziałać, usiłowałem jednak bronić tych kamiennych pamiątek. Odepchnąłem jakiegoś draba od posągów zdobiących podnóże grobowca i wskazując pusty rękaw krzyknąłem: "Valmy". Trochę to ostudziło jego niszczycielski zapał.

- Zgromadzenie Narodowe nie pozwala burzyć dzieł sztuki - wrzasnąłem.

Drab, który już zamierzył się na mnie młotem, opuścił ramię i szybko się oddalił. Przepuszczalnie w innej części olbrzymiego kościoła wywarł zemstę na jakimś posągu czy ołtarzu.

Zapędziłem się tak aż do absydy, skąd prowadziły schody do podziemnej krypty. Koło zejścia stało już kilka otwartych trumien, w innych rozbijano wieka. Z podziemi wnoszono coraz to nowych nieboszczyków. Zawartość tych grobowych skrzyń była przerażająca. W bardzo starych trumnach oprócz szkieletów i resztek tkanin były cenne precjoza. Rzucano się na pozłacane korony, miecze, kawałki zbroi, zrywano z kościstych palców pierścienie. Tłum wył z uciechy, bawiono się czaszkami jak piłką.

Najgorsze jednak nastąpiło później, gdy otwarto jedną z ostatnich trumien. Zabalsamowany Ludwik XIV ukazał się w całym majestacie, ale nie wywarło to wrażenia, na rozbestwionych i ogarniętych szaleńskim niszczycielskim "wolnych obywatelach".

Królewskie zwłoki obrzucono najordynarniejszymi wyzwiskami. Wywleczono z trumny przybraną w atłas i aksamit mumię, zerwano perukę, o pierścienie trzymające się jeszcze na wyschłych palcach stoczono prawdziwe boje. Trupa podeptano, bito po twarzy, krzyczano nie dające się powtórzyć najplugawsze wyzwiska.

Chciałem uciec od tej godnej piekła sceny, ale nie mogłem zrobić kroku ściśnięty tłumem zafascynowanym makabrycznym widokiem.

Obok stała trumna następcy. Ludwika XV, dziadka zgilotynowanego tyrana. Zmarły wyglądał strasznie.

- Umarł na ospę - krzyknął ktoś. - Uważajcie, obywatele, to zaraza.

- Ospa... ospa - zaszemrało w tłumie.

Rzucono na zwłoki ciężką, metalową pokrywę. Ospa uratowała Ludwika XV przed

pohańbieniem.

Dalej rozbijano coraz starsze trumny. Z jednej buchnął tak potworny fetor, że ludzie odskoczyli przewracając stojących z tyłu, deptając powalonych. W trumnie nie było ani szkieletu, ani ludzkiej postaci, jedynie jakaś gęsta cuchnąca ciecz.

- Dżuma! Dżuma! - zawołał czyjś przerażony głos.

- Do dołu z wapnem! - wrzeszczał inny. - Wszystkie te ścierwa do wapna, to zaraza! Boczny wyjściem wytaszczano trumny na otaczający kościół niewielki cmentarz. Był już tam wykopany dół pełen niegaszonego wapna. Wrzucano i wlewano gnijące szczątki monarchii. Była to egzekucja o wiele gorsza od gilotyny. Tam przynajmniej ujrano ostatniego tyrana w godności ludzkiego ciała. Tu był rozkład i trupia zgnilizna.

W pewnej chwili ktoś ujął mnie pod ramię.

- Chodź stąd - powiedział Wilfred odciągając mnie od tego widoku. - Po co tu sterczysz? Mało ci jeszcze okropności?

Byłem jak odurzony. Sam nie wiem, co się ze mną działo. Wilfred pociągnął mnie do głównej nawy, gdzie już rozpędzono bandę niszczycieli. Obywatel Lenoir wycierał brudną chustką zaproszone pyłem oczy. Na kamiennych płytach posadzki wały się porozrzucone narzędzia zbrodni, młoty i topory. Pył powoli opadał ukazując poranione posągi i nadbite grobowce. Z niektórych pozostała tylko kupa bezkształtnego gruzu.

- Mało nie zginąłem - skarżył się obywatel Lenoir. - Rzucili się na mnie z toporami. Drugi już raz znalazłem się w podobnie niebezpiecznej sytuacji. Niedawno za cenę życia uratowałem grobowiec kardynała Richelieu w kościele Sorbony. - Odchylił mankiet i pokazał obandażowaną rękę. - Dostało mi się, ludzie uzbrojeni byli w bagnety i szable. Ten, co uszkodził nos kardynała na nagrobku, ciął mnie w rękę. Szczęśliwie, że tylko na tym się skończyło. To przecież wspaniałe dzieło Girardona, chyba najpiękniejsze, jakie stworzył. A tu - rozejrział się dokoła - ile bestialstwa! Prawdziwe barbarzyństwo! Patrzeć na to nie mogę. Szczęściem, że ci ze Zgromadzenia zrozumieli...

Obywatel Lenoir powiedział to samo, co mój ojciec. Podobnie też przejmował się losem zabytków. Przypomniałem sobie, co wówczas mówiłem i ogarnął mnie wstyd. Byłem więc i ja barbarzyńcą?

- Chodź - pociągnął mnie Wilfred. - Chcę, żebyś zobaczył kilka wspaniałych dzieł sztuki, które jeszcze ocalały. Nie wiadomo tylko na jak długo - dokończył ciszej.

- To przecież nie wina Rewolucji - zauważyłem. - Ludzie są ciemni i nie rozumieją. Ale to także nie ich wina.

- Nie ich wina - zgodził się Wilfred.

- Wiem, że profanacja grobów, czyje by to nie były groby, świadczy o dzikości tych, co dokonują tego podłego czynu. Umarły nie może się bronić, ale tu zbezczeszczono groby tyranów. Słuszny gniew ludu spadł więc na ich trupy. Gdyby żyli, podzieliliby los Ludwika, a tak... Tak zresztą dla nich lepiej.

- Chyba lepiej - mruknął Wilfred.

- Spotkamy się w gospodzie - rzucił mijając nas obywatel Lenoir.

- Mówiłeś, że to malarz? - zauważyłem, gdy młody człowiek nie mógł już nas usłyszeć.

- Zdolny artysta, uczeń nadwornego malarza Doyena. Poza tym jest autorem dramatycznym, próbował też występować na scenie. To on rzucił projekt, by w Paryżu zgromadzić dzieła sztuki pochodzące z pozamykanych kościołów i klasztorów, by w ten sposób uratować je przed zniszczeniem. Zaczął więc walkę z wandalami i dzięki niemu w jednym z paryskich klasztorów zebrano wiele bezcennych zabytków.

- Taki młody - zdziwiłem się - a lubi starocie.

Nic na to nie odpowiedział. Stanęliśmy właśnie przed monumentalną budowlą, gdzie biały i różnobarwny marmur połączono z brązem.

Budowla miała jak gdyby dwa piętra. Z podstawy wyrastały smukłe kolumny podtrzymujące dach. W środku otwór grobowy, obramowany filarami ukazywał dwie leżące postacie z białego marmuru: mężczyznę i kobietę. Na górze były także dwie postacie, tyle że w brązie.

- Spójrz - powiedział Wilfred. - To grobowiec Karola VIII i jego żony. Karol umarł młodo, w ostatnich latach XV wieku. On to właśnie odkrył przed Francuzami Italię i cuda włoskiego Renesansu. Popatrz tu, na dole. Widzisz te dwa obnażone ciała? To nie Rewolucja odkryła i propaguje równość między ludźmi. Zrobił to dużo wcześniej wiek piętnasty, zafascynowany śmiercią. Wówczas to powstał ów makabryczny "taniec śmierci", gdyż właśnie w śmierci dojrzano najdoskonalsze zrównanie wszystkich ludzi. Wielkich i możnych, i tych maluczkich i najuboższych. Śmierć nie omija nikogo. Każdy kiedyś kończy życie. Papież i cesarz, król i książę i tak w dół aż do najnędzniejszego żebraka. I tu właśnie widzisz króla Francji, jak leży nagi, odarty z dostojności i z bogactwa, taki jaki pójdzie na tamten świat, równy najniższemu ze swoich poddanych. Na górze zaś zobaczysz go obleczonego we wspaniałe szaty, w całym przepychu królewskiej wielkości, jak klęczy na poduszce z brązu, ze złożonymi rękami, korząc się przed boskim majestatem. Masz tu dwa jak gdyby spojrzenia na to, czym król jest za życia, a czym będzie po śmierci.

Dwie klęczące na szczycie grobowej budowli postacie wydawały się żywe w półmroku zbezczeszczonej świątyni, ujęte jak gdyby w ramy gotyckich łuków, z witrażowym oknem w tle i niekończącym się lasem smukłych filarów rozłożonych jak palmowe liście pod wysokim sklepieniem. U podstawy kobiece figury uosabiały chyba cnoty zmarłych.

Następny grobowiec, przed którym zatrzymał się Wilfred, był jeszcze piękniejszy i niezwykle ozdobny.

- Tu widzisz już cały przepych francuskiego Renesansu. - Wilfred wskazał podstawę grobowca, którą obsiadło wiele marmurowych postaci.

Na dole wśród bogato rzeźbionych arkad spoczywały dwa obnażone ciała. Na górze zaś te same ciała wspaniałe przystrojone, okryte gronostajem, klęczały z pobożnie złożonymi rękami.

- Popatrz tu - wskazał Wilfred wyrytą na frontonie datę. - Widzisz?

- Rok 1515 - odczytałem.

- Tak. To Ludwik XII i królowa Anna Bretonka, ta, co w posagu wniosła Francji Bretanię.

Zawrotne ostrołuki z kamienia pięły się z przedziwną lekkością w górę, jak gdyby pragnęły przebić sklepienie i wystrzelić w niebo.

Następny grobowiec nosił już na sobie ślady gniewu ludu.

Dolne postacie strzaskane młotem czy toporem "wolnych obywateli" były tylko kupą gruzu. Na szczycie klęczała królewska para w przepisanej żałobnym ceremoniałem pozie.

- Kto to? - spytałem.

- Franciszek I - odparł Wilfred. - Niestety, potomni nie uznali jego zasług dla Francji i jak widzisz okrutnie obeszlę z jego grobowcem. Szczęściem ocalały te postacie na szczycie. Z braku drabiny niszczyciele nie mogli sięgnąć młotem tak wysoko.

- Ale w tych grobowcach nie ma trumien, prawda?

- Trumny stoją w podziemiach, a widziałeś, co się tam działo. Sprofanowano zwłoki wielu monarchów. Konwent zezwolił na ten haniebnny czyn. Dopiero obywatel Lenoir, sam artysta, a więc człowiek o wielkiej wrażliwości nie tylko na piękno uczulił Zgromadzenie i przedstawił wagę owego problemu dla narodu i przyszłej Francji.

- Chodźmy stąd - poprosiłem. - Dławi mnie pył i wstyd.

- Wstyd? - zdziwił się.

- Wstyd za moich rodaków. Za ich ciemnotę. Ja też byłem taki, taki sam barbarzyńca. A mój ojciec rozumiał to wszystko - powiodłem ręką dookoła. - I tak drżał o Belcastel, bo padło wiele sąsiednich zamków, zdobytych przez lud jak Bastylia. Tylko Belcastel...

Nie mogłem mówić dalej. To, co mnie dławiło, to chyba były łzy, a nie pył. Wstydzilem się mojej słabości, ale jednocześnie poczułem nagły niepokój. A Belcastel? Czy jeszcze stoi? Runęło tyle zdawałoby się nie zdobytych twierdz. Ale Belcastel nie mógł runąć. Był mocny jak skała, na której go kiedyś wzniesiono.

Niemniej niepokój pozostał i nękał niczym ból zęba.

- Słuchaj Wilfredzie - powiedziałem wreszcie nie mogąc znieść niepewności. - Jestem ogromnie niespokojny o Belcastel. Teraz dopiero, widząc to zniszczenie, uświadomiłem sobie, że i

nasz zamek przedstawia coś podobnego do tych grobowców. I tak samo wznieca nienawiść i może rozpalić chęć zburzenia jego baszt i blanków. Co się wówczas stanie? Co stanie się z moimi rodzicami, ze starym Jakubem i jego żoną, z Marietką i z Piotrem? I Belcastel... I panna Gabriela i hrabia... Dokąd wrócą? Gdzie znajdą dom?

Wilfred ujął mnie pod ramię.

- Nie martw się - powiedział stanowczo. - Belcastel stoi jak skała. Wrócił niedawno jeden z członków Konwentu delegowany do Rouergue. Był i w Rignac. Rozmawiałem z nim kilka dni temu. Belcastel stoi, bo tam mieszkają patrioci, tak mi powiedział. Nic więc złego nie spotkało twoich bliskich.

- Mój Boże. - krzyknąłem. - Był w Rignac! A z Rignac w godzinę zajdę piechotą do Belcastel. Szkoda, że nie wiedziałem o takiej okazji. Byłbym przesłał list.

- Dobrze się stało, że nie wiedziałeś - zauważył Wilfred. - Teraz lepiej nie zwracać uwagi na takie budowle jak stary zamek. A może wysłannik Konwentu zechciałby zobaczyć, co kryją jego mury? Wierzaj mi, nie należy wysuwać zamków, nawet najstarszych, na plan pierwszy. Im starszy, tym los jego mniej pewny. Barbarzyńcy są wszędzie, a zanim rozkaz Zgromadzenia Narodowego dotrze do tak oddalonych zakątków Francji, szkody mogą już być nie do naprawienia.

Przyznałem mu rację, choć żałowałem straconej okazji.

Do gospody nie było daleko. Rozgrzane upałem powietrze wydało się czyste i orzeźwiające po pyłe i kurzu bazyliki, a blade błękit nieba okazał się najlepszym odpoczynkiem dla zmęczonych oczu.

W gospodzie ludzie przepędzeni z kościoła obsiedli wszystkie ławy. I oni byli zmordowani "robotą". Brudnymi rękami tarli zaognione powieki, a rękawem ocierali spocone twarze. Na nasz widok odwracali głowy i powoli wysuwali się z sali, spiesząc zabrać porzucone w bazylice narzędzia.

W kącie oparty o ścianę, z przymkniętymi oczami siedział obywatel Lenoir.

Wilfred podszedł prosto do niego.

- Zmęczyłeś się, obywatelu - powiedział współczująco.

- Zmęczyłem się - przyznał z bladym uśmiechem. - Dziękuję wam, obywatele, za pomoc. Sam nie dałbym rady.

Z jedzeniem jak wszędzie, tak i tu było skąpo. Dostaliśmy pół chleba i owczy serek, ale wina na szczęście nie brakło, po tym jednak, co widzieliśmy, żaden z nas nie przełknąłby ani kęsa.

Nasz chleb z serem dostał się chłopcu pilnującemu koni, którego na szczęście ani zmęczenie, ani wstręt nie pozbawiły apetytu.

- Robiłem, co mogłem - mówił tymczasem obywatel Lenoir. - Kołatałem do różnych drzwi. Uratowałem wiele dawnych monet, brązów, złoczonej miedzi, które miały być przetopione. Zasmarowałem je farbą, tynkiem, zaprawą murarską, czym się dało, byle ocalić. Ściągam teraz z prowincji cenne resztki, jakie jeszcze pozostały w zamkach, pałacach i klasztorach! Nasze składy są już wcale zasobne. Najgorzej dzieje się z zabytkami architektury dawnej, szczególnie średniowiecznej. A nasza Francja niezwykle jest bogata w te monumenty. Gotyckie katedry teraz niemodne, ale nie wolno nam utracić nic z naszego dziedzictwa. Konwent nie chciał nawet słyszeć, gdy błagałem o pomoc, przedstawiałem konieczność ratunku. "Po co", pytali i patrzyli jak na wariata. Pewnie i jestem wariatem, ale nic na to nie poradzę. Serce mnie boli, gdy widzę... Dopiero w Zgromadzeniu Narodowym znalazłem takich, co zrozumieli. Poparł mnie ówczesny mer Paryża, Bailly.

Długo jeszcze siedzieliśmy słuchając żalów obywatela Lenoir i ledwie pod wieczór dostaliśmy się na ulicę Powroźników.

- Idź spać - powiedział Wilfred. - Sam pójde do twoich przyjaciółek.

Zastanowiło mnie to. Przeważnie nie miał czasu na wizyty, jeżeli bywał u szwaczki to ze mną, nigdy sam. Widocznie chciał porozmawiać z Lucylką bez świadków.

Mimo zmęczenia i strasznych wrażeń tego okropnego dnia nie mogłem zasnąć. Wstałem więc i siadłem przy oknie, opierając łokieć na parapecie. Noc była jasna i wyraźnie widziałem zarysy ponurej wieży. Drugie i trzecie piętro przyciągało moją uwagę. Tam wysoko płakała może

kilkunastoletnia dziewczynka pozbawiona rodziców. Maria Teresa Szarlotta. "Madame Royale" - tak brzmiał do niedawna jej oficjalny tytuł. Miała jedenaście lat u progu Rewolucji. Biedna. Co ją czeka? Chyba nie zgilotynują tak młodego stworzenia, myślałem.

A niżej mały "Karolek", jak nazywa go obywatelka Simon. Król. Król? Zdziwiłem się. No tak. Król. I ma tylko osiem lat. Gdyby nie Rewolucja, ojciec jego żyłby jeszcze długo, a on miałby czas dorosnąć i zostać dorosłym królem. Ale Francja go nie chce, nie chce więcej królów ani starych, ani młodych. Żadnych.

Wilfred długo nie wracał. O czym tam rozmawiał z Lucyłką i z ciotką Anną? Opowiadał pewnie wrażenia tego strasznego dnia.

Utkwiłem oczy w zakrytych oknach drugiego piętra wieży. Więc tam było teraz mieszkanie małżonków Simon? On wcale nie był sympatyczny, tylko napuszony, przejęty ważnością własnej osoby, fałszywy jakiś, a przede wszystkim gbur. Prymitywny i brutalny. Ale praczka mówiła, że jest raczej dobry dla małego, a jego żona okazuje biedactwu wiele serca. Chłopiec, póki mieszkał jeszcze z rodzicami w Tuilériach, miał psa i nieraz wspomina to swoje wierne zwierzątko. Obywatelka Simon postarała się więc o zastępcę. Nowy ulubieniec Karolka jest mieszańcem, podobnym do wyżła, z białą-rudą sierścią i zwisającymi uszami. Nazwano go Kastorem.

Troszkę mnie to pocieszyło, że chłopiec nie jest źle traktowany. Naturalnie wdowa Clouet widzi tylko to, co chcą jej pokazać. Może jednak niedola ośmioletniego dziecka poruszy serca, choćby okryte grubą warstwą prymitywizmu i dzikości.

Konwent przysłał nawet do Temple mistrza Davida, by sportretował małego Kapeta w żałobnym stroju po śmierci Marata. Simon chwali się znajomością ze sławnym artystą, David bowiem jest członkiem Konwentu, głosował za śmiercią Ludwika, a jako wybitny artysta-malarz bywa mistrzem ceremonii wszelkich republikańskich uroczystości oraz obchodów rocznic znaczących zwycięstwa Rewolucji.

Jedyną niedogodnością mieszkania w wieży Temple i sprawowania zaszczytnego urzędu "wychowawcy" jest niemożność opuszczania murów więzienia. Obywatel Simon lubił odwiedzać szynki i popijać w towarzystwie podobnych sobie "patriotów". Teraz sam jest jak gdyby więźniem, nie ma prawa oddalać się poza obręb Temple, wobec tego pozbawiony został uczestnictwa w wielu wspnianych widowiskach i uroczystościach.

Wdowa Clouet dodaje, że nie można mieć wszystkiego na tej ziemi: albo darmowe mieszkanie i utrzymanie oraz pensja w Temple, albo swoboda i trudne biedowanie na ulicy Kordelierów.

O wszystkim tym myślałem spoglądając na mrugające między drzewami światełko.

Wilfred wrócił późno, milczący i jakiś nieswój.

Był zawsze bardzo dobry dla naszych przyjaciółek i otaczał je dyskretną opieką. Co tydzień kładłem na blacie kominka pod porcelanowym wazonem parę asygnat. Mąż matki Jourdan również co tydzień zanosił na ulicę Charlot koszyk wiktuałów. Najgorszą jednak rzeczą była owa nieszczęsna miłość Lucyłki.

- Co słyhać u ciotki Anny? - spytałem wreszcie, nie mogąc doczekać się jego zwierzeń.

- Dlaczego nie śpisz? - Nie odpowiedział na moje pytanie.

- Patrę na wieżę Temple i rozmyślam - odparłem odchodząc od okna.

- Nie ma o czym rozmyślać - burknął. - Ciotka Anna zupełnie straciła rozum, bierze mnie za rojalistę.

- Jest bardzo stara - ująłem się za moją przyjaciółką. - żyje przeszłością. Wiesz przecież, że nie pochwała Rewolucji, ani tego, co się dzieje.

- Chciałbym je wysłać z Paryża - powiedział nagle.

- Wysłać z Paryża? - zdumiałem się. - Dokąd? I po co?

- Gdzieś na zapadłą prowincję, a po to, by je uratować przed nieszczęściem. Widziałem u dozorczyni szpiega Komitetu Ocalenia Publicznego. Czegós węszy w tym domu. Obawiam się o te kobiety.

- Na litość boską! - krzyknąłem. - A cóż im może grozić?

- Wszystko - odparł krótko. - Muszę je ratować.

- Może dlatego chcesz je oddalić z Paryża, że szwaczka jest w tobie zakochana? - Spojrzałem

mu prosto w oczy.

Uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

- Wskoczyliśmy przez okno do ogrodu - wyjaśnił - i tam mieliśmy poważną rozmowę w cztery oczy. Mam nadzieję, że okazałem się dobrym lekarzem i wyleczyłem ją z tego bezsensownego afektu.

- Chyba nie byłeś dla niej zbyt surowy? - zaniepokoiłem się.

- Rozstaliśmy się jak najlepsi przyjaciele - zapewnił.

- Powiedziałeś, że chcesz je wysłać z Paryża?

- Tak, tylko że to nie jest łatwe.

- Gdyby mogły znaleźć się w Belcastel! - zawołałem. - Tam byłyby bezpieczne.

- Dla pewnych osób nigdzie dziś nie jest bezpiecznie - odparł poważnie.

- ależ one nic nie mają na sumieniu - zaprotestowałem.

- Nic. Ciotka Anna może by i mogła zostać. Ma nowe papiery. Ale cóż by sama robiła? Jest już za stara i wymaga opieki.

- Chodzi więc o szwaczkę?

- Tak. O szwaczkę. Ten wielbiciel jej klientki, członek Konwentu, jest przekonany, że ukochana go zdradza i właśnie w domu szwaczki spotyka się z amantem. To naturalnie nie jest prawdą, bo owego amanta ma pod bokiem, na ulicy Kordelierów. Niemniej powziął jakieś podejrzenia i kazał ją śledzić.

- Czy wiesz, kto jest tym zazdrosnym wielbicielem?

- Wiem. Jeśli chodzi o wygląd daleko mu do młodego i fertycznego Brutusa. Nic dziwnego więc, jeśli jest podejrzliwy. Ma jednak władzę i pieniądze, a dla takiej panny Kamilli Rigel te przymioty wielbiciela przewyższają młodość i urodę.

- Mógłbyś mu wytłumaczyć... - zacząłem.

- Nie jestem z nim w zażyłych stosunkach. A nawet gdybym był... Czy myślisz, że mężczyzna lekko strawi podobną zniewagę? W grę wchodzi przecież jego ambicja. O takiej porażce nikt się nie może dowiedzieć. Byłoby to równe z wyrokiem śmierci. A jak wiesz, o pretekst teraz nietrudno.

- Dokąd mógłbyś je wysłać?

- Chyba w moje strony, do Normandii. Mam tam jeszcze znajomych.

- Czy mówiłeś im o tym?

- Nie. Nie chcę ich straszyć. Być może szpicel Komitetu zwęszył inną zwierzynę w tym samym domu i u dozorczyńni zbiera o niej informacje. W razie gdyby Brutus Hulin spotkał cię kiedyś w tej okolicy - on też bywa jednym z ogarów puszczonej świeżym tropem - masz uchodzić za wielbiciela szwaczki. Dozorczyńni co dzień cię widuje, twój afekt jest więc najdoskonalszym usprawiedliwieniem tak częstych wizyt.

- ależ Wilfredzie, zapominasz...

- O niczym nie zapominam - przerwał sucho. - Gdy zajdzie potrzeba, powiesz to, jak wyuczoną lekcję.

Więcej nie mówiliśmy na ten temat.

Sierpień płynął równie powoli jak burzliwe chmury przynoszące ulewę, w akompaniamencie grzmotów i piorunów. Ta zmienność pogody utrudniała robotę praczki, mnie zaś wyřęcała często w szorowaniu płyt dziedzińca zlewanych strumieniami oczyszczającego deszczu.

Pewnego wieczoru zastałem Wilfreda z książką w ręku. W blasku świec jego jasna głowa wydawała się otoczona jak gdyby świetlistą aureolą. Gdy wszedłem, położył książkę na stole, a ja spojrzałem na okładkę.

- Co to jest - spytałem - ten "Zakochany diabeł"? - Taki bowiem był tytuł dzieła.

- Bardzo zabawne historyjki - uśmiechnął się. - Dobra lektura na dzisiejsze czasy. Fantazja autora przenosi nas daleko od rzeczywistości. Takie to dowcipne i mądre bajki. Byłyby nawet śmieszne, gdyby koniec autora nie był tak tragiczny.

- Kto jest autorem i jaki był jego koniec?

- Autora zgilotynowano mniej więcej rok temu. Nazywał się Jakub Cazotte.

- Za co go zgilotynowano?

- Właściwie za nic. Byłem wówczas obecny podczas posiedzenia Trybunału. Znam całą tę nieszczęsną historię i widziałem protagonistów dramatu, który wkrótce zmienił się w tragedię. Cazotte był już starcem, ale główną heroiną okazała się jego córka, Elżbieta. O ile Szarlotta Corday była jasnowłosa, Elżbieta Cazotte miała wspaniałe czarne loki. O ile Szarlotta była opanowana i spokojna, Elżbieta Cazotte rzuciła się na sędziów jak furia w obronie ojca.

- I co? Nie udało jej się go uratować?

- Udało się. Niestety, pisarz żyłby do dziś, gdyby nie Fouquier_Štinville, oskarżyciel z Trybunału.

- Więc Cazotte'a zgilotynowano?

- Tak.

- A jego córka?

- Córkę zwolniono.

- Opowiedz, jak to było. Tak mało wiem o Rewolucji, a chciałbym poznać wszystko.

- Działo się to równo rok temu - zaczął Wilfred. - Po zdobyciu Tuileriów przez lud.

- Pamiętam. Byłem wtedy w obozie pod Chalons.

- Otóż w papierach pozostałych w pałacu znaleziono paczkę listów opatrzonych tytułem: "Rady dla króla Ludwika XVI". Autor listów przedstawiał królowi plan ucieczki, mający jakoby niezawodnie wyrwać Ludwika i jego rodzinę z rąk prześladowców. Pamiętaj, że było to po nieudanej próbie i przyłapaniu zbiegów w Varennes.

- Słyszałem o tym.

- Okazało się, że autorem listów był znany pisarz, Cazotte, zamieszkały w Szampanii, trudniący się uprawą winorośli i produkcją wina. Cazotte, na początku przychylny reformom Rewolucji, gdy ta podniosła rękę na Kościół i na religię, odwrócił się od nowych idei i opowiedział się za uciśnioną monarchią. Zaaresztowano go więc wraz z córką.

- Dlaczego z córką? A cóż córka winna.

- Służyła ojcu za sekretarza i pisała, co jej dyktował, i właśnie niedawno zaręczyła się z młodym arystokratą, który wyemigrował i wstąpił do wrogiej armii. Pod eskortą żandarmów przywieziono ich do Paryża. Pamiętam, jak jechali ulicami miasta, a tłum wrzeszczał, usiłował zatrzymać karetę i na miejscu wymierzyć sprawiedliwość "zdrajcom ojczyzny". Komisarz policji, który ich wioził, zwierzył mi się, że nigdy więcej nie zgodzi się eskortować więźniów. Broniąc ich przed gniewem ludu, omal sam nie zginął.

- I cóż z nimi zrobiono?

- Postawiono ich przed Trybunałem Rewolucyjnym, gdzie oskarżonych badał osobiście Fouquier_Štinville i kazał osadzić w więzieniu. Drugiego września zaczęły się masowe rzezie aresztowanych. Grupa sankiulotów składająca się z mieszkańców przedmieścia, drobnych handlarzy, a przede wszystkim ludzi zatrudnionych w rzeźni wtargnęła do więzienia, w którym zamknięto Cazotte'a i jego córkę. "Patrioci" ustanowili naprędce trybunał i wywlekając kolejno więźniów wydawali ich tłumowi. Tam szybko się z nimi załatwiano, mordując bez miłosierdzia. I oto wyobraź sobie Cazotte'a, jak staje przed tą krwiożerczą zgrają. Siwy starzec wsparty na lasce, o imponującej postawie. "Sędziowie" czekają, aż poprosi o łaskę i zamierzają mu jej udzielić, ale on milczy i nie odpowiada na pytania. I w tej chwili do sali wpada jak furia Elżbieta Cazotte, rzuca się ojcu na szyję i woła: "nie dostaniecie go, pierwej musicie mnie zabić". Takie to wywarło wrażenie, że ludzie zaczęli krzyknąć: "łaski". Dziewczyna półprzytomna z rozpacz, z rozpuszczonymi włosami, prawie na skraju hysterii wzbudziła podziw i litość i jak mi sama potem wyznała "byłam gotowa na wszystko. Rozszarpałabym własnymi rękami tych kanibali". Kazano jej wypić za zdrowie narodu i podano szklankę wina. Wypiła krzycząc, jak chcieli: "Niech żyje wolność,

równość lub śmierć". Była odważna. Ujęła szklanę lepłą od krwi, ze śladami palców tych, co wykonywali wyroki. Widząc to zebrani wyli z zachwytu.

- To dlaczego potem go zgilotynowano?

- Fouquier_Štinville nie darował życia temu, kogo raz skazał na śmierć. Gdyby Cazotte skorzystał z tego uśmiechu losu i zniknął z Paryża, przypuszczalnie uratowałby głowę. Ale on nie uciekał. Pewnie brakło mu już sił i energii. Aresztowano go powtórnie po kilku tygodniach. Córka towarzyszyła mu aż do stopni szafotu. W chwili śmierci głośno wyznał swą wierność Bogu i królowi.

- A co się stało z córką?

- Śmierć ojca ją złamała. Wróciła do domu, do Szampanii. Poszedłem ją pożegnać i wyraziłem podziw dla jej odwagi. Mam nadzieję, że gdy narzeczony wróci, potrafi jeszcze być szczęśliwa. Jest młoda, a miłość czyni cuda.

- Jeżeli ten narzeczony wróci.

- Miejmy nadzieję - uśmiechnął się Wilfred. - Biedaczka nie ma nawet tej pociechy, by pomodlić się na grobie ojca. Wrzucono go do wspólnego dołu i tylko ta książka została po Jakubie Cazotte.

- A te masakry w więzieniach? - spytałem. - Mówiono nam wówczas w obozie, że były konieczne, że należało pozbyć się wrogów Rewolucji i że lud miał prawo wykonać wyrok.

- Zamordowano wówczas bardzo wiele osób, mężczyzn i kobiet. W tym wielu księży. Wypychano ich po jednym na podwórze, a tam czekali już uzbrojeni w szable i piki "patrioci". Krew płynęła strumieniem. Nie każdy mógł znieść podobny widok. Na to trzeba było mocnych nerwów.

- A ty to widziałeś?

- Widziałem.

- I... mogłeś?

- Musiałem.

- Dlaczego? Przecież sam nie splamiłeś rąk krwią bezbronnych?

- Nie splamiłem. Ale widzisz, każda epoka potrzebuje naocznego świadka pewnych najbardziej dla niej znamienych wydarzeń. To konieczność dziejowa. A takim świadkiem nie może być sfanatyzowany tłum, podniecony żądzą krwi i zemsty, który na jakiś czas odłożył na bok swoje człowieczeństwo. Świadek, aby był wiarygodny, musi być zimny i opanowany, a przede wszystkim obiektywny i sprawiedliwy, ponadto uczciwy, by mógł kiedyś powtórzyć wiernie to, co widział i słyszał nie przeinaczając faktów, nie wybielając ani nie oczerniając postaci aktorów.

- Ciotka Anna powiedziała mi, że to była haniebna zbrodnia - szepnąłem. - Wówczas mnie nie przekonała, ale teraz...

- Teraz zmieniłeś zdanie? - zdziwił się.

- Słyszając, co mówiłeś, nie jestem już taki przekonany o słuszności tych czynów ani o ich potrzebie.

- Marat podburzał lud, a i Danton nakłaniał ludzi do "wykrzesania z siebie odwagi". Miał na myśli wojnę z Prusakami, ale wielu myślało inaczej. Znaleźli więc w sobie dość odwagi, by zabijać bezbronnych. To każdy potrafi.

- Tak źle sądzisz ludzi?

- Widziałem, do czego są zdolni i jak łatwo skłonić ich do przelewu krwi. Za jednym pójdą tysiące jak barany. Rządzi tu prawo stada. A w tym wypadku między byłem a ludźmi mała jest różnica.

- Ale więcej to się nie powtórzyło, prawda? I nie powtórzy?

- Nie jest potrzebne. Teraz mamy gilotynę. Ta w zupełności wystarczy.

Nie mogłem spać tej nocy. W głowie mi huczało. Sprofanowanie grobów w Saint_Šdenis, masakra bezbronnych więźniów, stary Cazotte na szafocie, jego córka z rozpuszczonymi włosami pijąca czerwoną krew zamiast wina... Wszystko to wirowało przed moimi oczami w jakimś piekielnym tańcu. Zdrzemnąłem się dopiero nad ranem, gdy trzeba już było wstawać do roboty.

Wdowa Clouet wbrew zwyczajom siedziała przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Co się stało, obywatelko? - zapytałem przestraszony.

- żyć mi się nie chce - wybuchnęła. - Ale co beze mnie zrobi Julka?

- Co się stało? - powtórzyłem.

- Nie wiem, czy mogę ci powiedzieć.

- Nie masz do mnie zaufania?

- Mam, mam - rzuciła. - Ale to coś tak dziwnego...

- Co takiego?

- Wczoraj późnym wieczorem przyszedł tu taki jeden...

- Kto?

- Nie wiem. Nie podał swego nazwiska. Miał dużo pieniędzy i to wydało mi się podejrzane.

- I czego chciał?

- Właściwie dobrze nie wiem, czego chciał. Wypytywał o to i owo, i tak krążył, aż wreszcie zaczął mówić o wieży Temple.

- Co mówił?

- Wypytywał, czy dobrze znam Simonów, czy widuję małego Kapeta, o te dwie zamknięte na górze, pytał, czy też piorę ich bieliznę, czy znam komisarzy i strażników i w ogóle o wszystko...

- Kto to był?

- Nie wiem. Muszę jednak przyznać, że to człowiek sympatyczny i grzeczny.

- Może szpicel Komitetu Ocalenia Publicznego?

- Chyba nie. Był taki...

- Jaki?

- Trochę podobny do tych byłych arystokratów, co to ich wożą teraz na wózku na plac Rewolucji.

- Jak wyglądał?

- Małego wzrostu, szczupły, ciemnowłosy.

Nie wiem, czemu przyszedł mi na myśl Jan Evrard, który kilkakrotnie odwiedził Wilfreda.

- Jestem niespokojna - wyznała praczka. - żebym wiedziała przynajmniej, czego ode mnie chce... Pytał o moją Julkę, wie, że bawi się z Karolkiem. Zostawił dla niej pudełko smażonych owoców w cukrze... Boję się... Powiedział, że wkrótce znowu przyjdzie i że chce mnie prosić o pewną przysługę... za dobrą zapłatę. A jeżeli to szpieg? Może Konwent przysłał go specjalnie, żeby mnie wybadać. Co ja pocznę? Mój Boże! - zacisnęła ręce.

- Nie dręcz się obywatelko - starałem się ją pocieszyć. - Konwent ma do ciebie zaufanie, jeśli powierzył ci taką robotę. Przecież nikt inny prócz ciebie i komisarz ów nie ma wstępu do wieży Temple. A ten nieznajomy... Jeśli poprosi o coś niezgodnego z rozkazami Konwentu, nie zmusi cię przecież do posłuszeństwa. Powiesz mu jasno i wyraźnie, żeby sobie poszedł i zostawił cię w spokoju.

Wieczorem powtórzyłem Wilfredowi obawy praczki.

- Wiesz co - dodałem - ten nieznajomy jakoś bardzo przypomina mi twojego Jana Evrarda...

- Może - przyznał Wilfred. - Choć szczupłych brunetów niskiego wzrostu nie brakuje w Paryżu.

- Ciekawym, o co mu chodzi.

- Rojaliści ciągle marzą o uprowadzeniu małego Kapeta - powiedział spokojnie. - Ludzie o zdrowym rozsądku wiedzą, że to niemożliwe. Podobnie nierealne plany wylęgają się w głowach szaleńców, jeśli chodzi o Conciergerie i uwięzioną tam Austriaczkę.

- Słyszałeś coś o tym?

- Słyszałem. Członkowie klubu Jakobinów zarzucają Konwentowi opieszałość w przygotowywaniu procesu wdowy Kapet. żądają natychmiastowego postawienia jej przed trybunałem.

- Czy ją zgilotynują?

- Oczywiście.

- Przecież to kobieta.

- A cóż to ma za znaczenie - wzruszył ramionami. - Mało kobiet wstępuje na szafot?

- Czy myślisz, że ona też zagraża Rewolucji?

- Ona w oczach wielu jest jeszcze królową Francji - powiedział z naciskiem. - Czy chcesz powrotu monarchii?

- Nie, o nie! - zawołałem.

- A więc...

- Tak, rozumiem, ona też musi zginąć.

Była to już druga osoba, po markizie, którą w duchu skazywałem na śmierć. Tym razem jednak nie miałem wyrzutów sumienia. Nie była to przecież moja osobista sprawa. Chodziło o rzeczy wielkie, tak wielkie jak dobro Francji.

IX

Smutek tego wieczoru na długo omroczył moje serce i drogę na ulicę Charlot odbyłem podobny skazańcowi prowadzonemu na plac Rewolucji.

Moje przyjaciółki od razu przeczuły nieszczęście.

- Mów, co się stało? - Ciotka Anna splatała i rozplatała palce, a jej biedne oczy, które wypłakały wszystkie chyba łzy świata, patrzyły na mnie z rozdzierającą rezygnacją.

- Musicie wyjechać - wykrztusiłem.

- Wyjechać? - Szwaczka podeszła do mnie blisko. - Czy dobrze słyszałam?

Skinałem głową.

- Co to znaczy, wyjechać? - spytała ciotka Anna.

- To polecenie Wilfreda - odparłem prędko. - Wszystko przez tę... Kamillę Rigel. Jej wielbiciel podejrzewa ją o zdradę, każe śledzić każdy jej krok. Szpicle kręcą się koło tego domu i...

- Przecież nie bywa już u mnie - przerwała Lucylka.

- Brutus Hulin naprowadził ich na twój ślad - wybuchnąłem. - Wielbiciel panny Kamilli jest członkiem Konwentu i wiele może. Uważa, że u ciebie spotyka się ona z jego rywalem. Wilfred wszystko już przygotował. Wkrótce wyjedziecie.

- Dokąd? - spytała szwaczka spokojnie. - Powtarzam, obywatelka Rigel już u mnie nie bywa, nie mam czego się obawiać.

- Koleżanki panny Rigel zazdroszczą jej możnego protektora - powiedziałem tak, jak kazał Wilfred. - I zrobią wszystko, by cię zgubić w jego oczach. A on ... To człowiek mściwy. Przystajesz szyć. Jesteś chora, rozumiesz? Leżysz i nie masz siły do pracy. Jutro będzie tu doktor. Gdy zobaczy, jak jesteś blada i mizerna, bez trudu przepisze ci wyjazd na wieś i odpoczynek na świeżym powietrzu. - Nie dopuszczałem jej do głosu. - Wyjedziecie pojutrze.

- Mam zaczęte suknie - szwaczka wskazała rozłożone na stole tkaniny.

- Kto inny skończy. Pomogę ci odnieść je do teatru. Wilfred powiedział, że to konieczne - dodałem łagodniej.

- Jeżeli konieczne... - wzruszyła ramionami.

- Wilfred jest bardzo o ciebie niespokojny. Mówi, że nie tylko byli arystokraci i bogacze wstępują na szafot. Widział tam ludzi niskiej kondycji, służących, rzemieślników, a nawet biedotę, którzy z jakiegoś powodu narazili się Trybunałowi lub padli ofiarą donosu. Musisz być posłuszna, Lucylko, pojedziesz z ciotką Anną. Będzie wam tam dobrze, zobaczysz.

- Masz rację - zdecydowała moja stara przyjaciółka. - Wilfred wie, co robi, a Lucylce rzeczywiście grozi niebezpieczeństwo.

- Wy będziecie szczęśliwe na wsi, razem, a ja... - nie zdołałem ukryć żalu. - Nie wiem, jak bez was wytrwam - wybuchnąłem.

- Masz Wilfreda - powiedziała szwaczka surowo. - A o nas przecież nie zapomnisz. My też...

Podziwiałem, jak mądrze Wilfred obmyślił ucieczkę Lucylki. Bo to była ucieczka. Psy gończe raz spuszczone ze smyczy nie zaniechają tropu, krążą węsząc bez wytchnienia, a ja w ciągu ostatniego tygodnia widywałem dozorczynię w ożywionej rozmowie z podejrzanym osobnikiem, który przeprowadzał mnie wzrokiem aż do drzwi szwaczki.

Lucylka więc oznajmiła klientkom przerwę w pracy i pozostała w łóżku aż do chwili wyjazdu. Wówczas dopiero powiadomiła dozorczynię o zaleceniu lekarza. Wysyłał ją na wieś dla ratowania zdrowia. Za mieszkanie zapłaciła z góry.

Ta sama karetka, która przywiozła ciotkę Annę, z tym samym tajemniczym stangretem, stanęła przed domem na ulicy Charlot.

- Czy nie lepiej byłoby, żebyś im towarzyszył? - Spojrzałem niespokojnie na Wilfreda, gdy czarne pudło ginęło za zakrętem.

- Nie. - Ton był kategoryczny. - Woźnica wie, co należy mówić strażom przy bramie, zresztą pokaże im odpowiedni papier, a one mają dokumenty w porządku. Świadek doktora Desault jest tak przekonujący, że nie wzbudzi żadnych podejrzeń, lekarz to bowiem dostatecznie sławny i dobrze widziany przez władze.

- Jak to załatwiłeś? - Byłem pełen podziwu.

- Załatwiłem - rzucił krótko.

- I pojechały do Normandii? - dopytywałem się. - W twoje strony?

- W moje strony - przytaknął. - Będą bezpieczne, a szwaczka nareszcie odpocznie.

- I myślisz, że nic jej nie grozi?

- Nic. Zamieszkają w głębi lasu, właściwie wielkiego boru. Ludzie tam nie bywają. Zapomną nawet o Rewolucji. - Spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Czy jest we Francji miejsce, gdzie można zapomnieć o Rewolucji? - spytałem z powątpiewaniem.

- Jest. Właśnie tam, dokąd pojechały. Tamtejsi ludzie nie ciekawi nowinek. Zadowoleni są z tego, co mają.

- Widać znasz ich dobrze - zauważyłem.

- Znam.

Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o stronach, dokąd wyruszyły, znać nazwę miejscowości, najbliższego miasta, ale Wilfred nie kwapił się z udzieleniem mi tych informacji, wobec czego nie śmiałem pytać. Miałem przecież do niego bezgraniczne zaufanie i wiedziałem, że zorganizował wszystko najlepiej.

Czekały mnie więc teraz samotne wieczory, przyjaciel mój bowiem przepadał na całe dni i część nocy.

Po tygodniu oświadczył, że szwaczka i ciotka Anna szczęśliwie dotarły na miejsce, że im dobrze, są zadowolone i przesyłają nam pozdrowienia.

Nudę tych dni wstrząsnęły jednak wydarzenia, które znowu zwróciły moją myśl ku sprawom Rewolucji.

Walka, jaką klub Jakobinów wydał żyrondistom, zdawała się zbliżać do tragicznego końca. Byłem niespokojny o obywatela Brissot, którego artykuły i przemówienia trafiały mi najbardziej do przekonania. Ale jak wszędzie, tak i tu Rewolucja, aby wreszcie zwyciężyć, musiała zniszczyć przeciwników.

Taka bowiem była Rewolucja. Okrutna. Wymagała od ludzi nieludzkiego nieraz postępowania, kazała zapomnieć o miłosierdziu, precz odrzucić litość. W oczach Rewolucji współczucie było karygodną słabością, łagodność - tchórzostwem nie licującym z charakterem prawdziwego patrioty.

Starałem się zrozumieć to, co się dzieje, czego byłem naocznym świadkiem. I tak jak to mówił niedawno Wilfred, usiłowałem być sędzią bezstronnym i obiektywnym.

Rozumiałem już pewne rzeczy, które dawniej wydawały mi się wyłącznie czarne lub białe, czarne - a więc wrogie Rewolucji, białe - zgodne z duchem nowych czasów. Nie istniały dla mnie wówczas półtony czy światłocienie. Teraz jaśniej zdawałem sobie sprawę z toczącej się walki. Interesowała mnie szczególnie broń, jaką Rewolucja podnosiła przeciw wrogom.

Z jednej bowiem strony było tam jakieś gwałtowne, żywiołowe i spontaniczne rozpętanie najbardziej krwawych instynktów, które drzemią w każdym chyba narodzie. Ludziom o tych instynktach dano swobodę działania, wypuszczono ich jak zamknięte dotąd w zagrodzie stado, mówiąc "bij, morduj zdrajców i rojalistów".

Cóż więc dziwnego, że skorzystali z tej wolności, burząc wszelkie przeszkody, rwąc niczym górski potok, gdy topnieją śniegi. Efektem tego było zdobycie Bastylii, Tuileriów, masakry w więzieniach, bezprzykładne gwałty i bestialstwa.

Z drugiej zaś strony - ten sam krwawy zryw jawił się jak gdyby ujęty w karby prawa i legalności, ustawowo dopuszczony, kierowany przez rządzące instytucje, a mający na swych usługach najdoskonalsze narzędzie represji - gilotynę.

Nie mogłem dać sobie rady z tymi myślami. Według haseł Rewolucji hrabia de Saunhac i panna Gabriela powinni byli zginać. Czymże jednak zagrażali oni nowej Francji? Czy nie wystarczyłoby pozbawić hrabiego tytułu zgodnie z zasadą równości i pozwolić mu żyć spokojnie w ojczyźnie, we własnym domu? Belcastel leżał tak daleko od Paryża, od wojny na wschodniej i północnej granicy, od powstania w Wandei. Tak bardzo daleko.

Może były to sądy niegodne prawdziwego rewolucjonisty, za jakiego się przecież uważałem,

niemniej byłem święcie przekonany o ich słuszości. Może zresztą sądziłbym inaczej, gdyby chodziło o kogoś innego, nie o pannę Gabriellę i jej ojca. Może. Wiem tylko, że myśl o niedoli panny de Saunhac, o trudach i niewygodach wygnania była mi nie do zniesienia. Cóż jednak mogłem na to poradzić? Jak ulżyć doli tej, którą kochałem? Byłem przecież nikim i nawet Wilfred, który jakimś cudem mógł wiele, tego jednego nigdy nie zdołałby dokonać. I panna Gabriela może nigdy nie będzie miała prawa powrotu do Belcastel. Do domu. Bo to był przecież jej dom. Tak samo jak i mój.

Zdarzało mi się coraz częściej oddawać dziwnym i nieprawdopodobnym marzeniom.

Siedząc wsparty o parapet okna wyobraziłem sobie raz, że owszem, był sposób, by panna Gabriela zamieszkała bezpiecznie w Belcastel. Musiałaby jedynie zmienić nazwisko. Przestać być panną de Saunhac. A więc wyjść za mąż. Oczywiście nie za markiza, bo takie małżeństwo w niczym nie poprawiłoby jej sytuacji. Musiałaby poślubić człowieka z ludu. I zostać panią Dupont czy Martin. Obywatelką Dupont czy Martin. A jeżeli już zgodziłaby się na tę ofiarę, byle tylko zamieszkać znowu w Belcastel, to dlaczego nie mogłaby na przykład zostać panią Peyrade? Panią Bertranową Peyrade. Na tę myśl oblał mnie war. Panna Gabriela i ja? Czyż nie byłem szalony? Ale to szaleństwo, gdy raz zawładnęło moją wyobraźnią, nie pozostawiło mi już ani chwili spokoju.

"Kocha swojego markiza" - przekonywałem siebie. "Po cóż więc zawracać sobie głowę podobnymi mrzonkami?"

"A jeżeli markiz nie żyje? - odpowiadałem. - Nie będzie opłakiwać go całe życie. A ja..."

"Ja - myślałem - byłbym jej sługą, jak dawniej, niczym więcej, tylko sługą, byle bym mógł na nią patrzeć, słuchać jej głosu i wiedzieć, że jest bezpieczna. Bezpieczna w Belcastel".

Nie odczuwałem już wieczorami braku Wilfreda i samotności. Mój mansardowy pokój zapełniały cienie i marzenia, cienie, które nigdy nie staną się istotami z krwi i kości i marzenia, które - dobrze wiedziałem - nigdy się nie spełnią. Może jednak istniały podobne przypadki? Może niejedna arystokratyczna panna poślubiła już czy zamierza poślubić mężczyznę, który przed nazwiskiem nie nosił owego "de" świadczącego o przynależności do noblesy? Może. Na przykład takiego Wilfreda. Wilfred, z jego prezencją i wykształceniem, mógł przecież pretendować nawet do ręki księżniczki, choć nazywał się tylko Perrin. Ale to był Wilfred. I byłem przekonany, że mało książąt czy hrabiów mogło się z nim równać. A już na pewno żaden markiz.

Rok dziewięćdziesiąty trzeci był dziwnie ponury. Toczył się wolno znaczone krwawymi datami egzekucji, które zapoczątkowała śmierć Ludwika.

Nawet entuzjazm ludu wybuchający przy lada okazji czy rocznicy nie potrafił ożywić radosną nutą panującej ogólnie grozy i przygnębienia. Mogło się zdawać, że deska z wyciętym otworem, w który na szafocie zamykano szyję delikwenta, tamowała oddech wolnych obywateli.

Na Górze, czyli między Jakobinami a żyrondą, walka o władzę wypuszczała coraz więcej krwi z żył Rewolucji.

Spór toczył się już o to, czy należy położyć kres rządowi Terroru, czy też nadal trzymać zawieszony nad głowami, gotowe każdej chwili do opadnięcia ostrze gilotyny.

Robespierre, wybrany na przewodniczącego Konwentu, zalecał dochowanie wierności ideałom Rewolucji, nazywając żyrondistów rojalistami: "Bądźcie nieugięci - wołał - i wyrzucicie ze świątyni wolności pismaków będących na żołdzie Brissota oraz podobnych mu zdrajców".

Od początku było wiadomo, że pokonani staną się ofiarami zwycięzców. Takie bowiem jest prawo wojny.

Stojący na czele żyrondy obywatel Brissot, choć głosował za śmiercią Ludwika, miał jednak nadzieję, że Konwent odwoła się do ludu, który jako najwyższy sędzia dysponował prawem łaski.

Tak się jednak nie stało. Zdrada Dumourieza zadała śmiertelny cios żyrondistom. Brissot, przyjaciel generała, był ostatecznie skompromitowany. Robespierre mógł go śmiało oskarżyć, jak to nazwał - o "spiskowanie z tyranami zniewolonej Europy przeciw wolnej Republice".

Na te zarzuty Brissot odpowiedział milczeniem. I gdy sytuacja Francji pogarsza się zarówno

w kraju, jak i poza jego granicami, żyrondyści jako winni klęskom w opinii Jakobinów zostają odsunięci od władzy.

Brissot wówczas kieruje do narodu swoje ostatnie posłanie, starając się wyjaśnić obywatelom dalekiej prowincji trudności, z jakimi kraj się boryka oraz przestrzec przed groźącym niebezpieczeństwem. Wie, że jest zgubiony, nie ma więc się czego obawiać i z właściwą sobie swadą przystępuje do ataku. Wytyka bezład i anarchię partii, która doprowadziła Francję do nędzy i bezprawia. Nawołuje do zaprowadzenia porządku, skoro tyrania już obalona. Głos jego ginie jednak w padających z trybuny Konwentu okrzykach. Nikt go nie słucha. Brissot i dwudziestu jego towarzyszy zostają aresztowani.

W tym ponurym roku dziewięćdziesiątym trzecim najbardziej chyba ponurym miesiącem okazał się październik.

Już trzeciego Maria Antonina stanęła przed Trybunałem Rewolucyjnym. Po dwóch miesiącach spędzonych w więzieniu Conciergerie trudno było poznać tę dość jeszcze młodą, bo niespełna trzydziestosiedmioletnią kobietę.

Proces byłej królowej ściągnął tłumy ciekawskich do sal Trybunału. Wilfred bywał tam codziennie i przez niego miałem szczegółową relację z przebiegu posiedzeń. Pewnego dnia jednak wybrałem się sam, bo i wdowa Clouet zapragnęła jeszcze raz zobaczyć "panią Antoninę".

Oskarżona, w czarnej wytartej sukni, okryta zniszczonym szalem stała wyprostowana z podniesioną głową, choć widać było, że drży z zimna i upada ze zmęczenia.

Zeznania wdowy Kapet, jak ją nazywano, oraz świadków i zapoznanie sądu z protokołem z przesłuchania małego Kapeta, jego siostry i ciotki w więzieniu Temple zajęły cały dzień.

To jednak, co usłyszeliśmy z czytanych monotonnym głosem pisarza sądowego zeznań chłopca, oskarżającego matkę o najpotworniejsze bezeceństwa, jakich dopuszczała się jakoby w stosunku do dziecka, poruszyło najbardziej nawet zatwardziały rewolucjonistów.

W sali rozległ się pomruk, a kobiety - owe straszliwe wiedźmy nie opuszczające ani jednego widowiska na placu Rewolucji - głośno objawiły niezadowolenie.

- Karolek był odurzony wódką - opowiedziała mi potem moja praczka - ponadto zagrożono mu biciem, jeśli dobrze nie powie wyuczonej lekcji. Dziecko, przerażone, trzęsło się ze strachu. Na wszystkie pytania odpowiedziało tak, jak sobie życzyły te potwory. Przecież malec nie rozumiał, o co tu chodziło. I tak posłyszeliśmy dziecko plujące na matkę najwstrętniejszą ohydą - zakończyła wycierając głośno nos. - Do czego nas to doprowadzi, to doprawdy nie wiem. - Zakasała rękawy i stanęła przy balii. - Wylej tę brudną wodę. - Wskazała wiadro.

Janek na szczęście nie wrócił na obiad i mogliśmy dość swobodnie rozmawiać. Wieczorem za to zjawił się, gdy już wychodziłem.

- Ale ladacznica z tej Austriaczki! - To były pierwsze słowa, jakimi nas przywitał. - Słyszeliście, co zeznało wilcze szczenię? Przeklęty bękart! Dawno powinni byli łeb mu ukreścić. Na takiego to szkoda gilotyny.

- Milcz! - krzyknęła wdowa Clouet. - Ty... ty głupcze! Podły głupcze! Zabraniam ci...!

Nigdy nie widziałem spokojnej zazwyczaj praczki w stanie takiego uniesienia. Wyglądała jak furia, wymachując rękami, z których ściekała woda.

- Co też ciotka? - zaperzył się chłopiec. - Może żałujesz tych... tych... - szukał odpowiednio obelżywego słowa.

- Uspokój się, obywatelko - zawróciłem od progu, przerażony o jej bezpieczeństwo.

Nie miałem ani krzty zaufania do tego zdeprawowanego gagatka.

- Nie mogę tego słuchać! - zajęczała. - A ty, syn mojej siostry...

- Co tu ma do rzeczy twoja siostra, ciotko? - zauważył zimno. - Rewolucja dobrze robi, wszyscy ci arystokraci to rozpustniki. Dość długo paśli się krwią ludu. Niech teraz nałożą za to szyję. I tak zbyt się z nimi cackają. Gilotyna to za łatwa dla nich śmierć. Flaki bym z nich wypruwał, ot, co. - Trzasnął drzwiami od swojej komórki.

- Bądź ostrożna, obywatelko - szepnąłem. - On jest niebezpieczny.

Wdowa Clouet otarła ręce i poprawiła przekrzywiony czepek.

- Oto, do czego doszliśmy - stwierdziła z goryczą. - Musimy się obawiać własnych dzieci.

Dopiero tego wieczoru spotkałem się z Wilfredem. Nie było go dwa dni w domu. Wyglądał strasznie, był nie ogolony, koszulę miał brudną. Włosy, zazwyczaj starannie związane wstążką, zwisały teraz w potarganych kosmykach. Wydawał się ostatecznie wyczerpany.

- Wilfredzie... - zacząłem.

Spojrzał na mnie z tym samym beznadziejnym wyrazem oczu, jaki już raz u niego widziałem.

- Wilfredzie - powtórzyłem.

Siedział nieporuszony, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności.

- Co się stało? Coś złego? Czy rojaliści...

- Nie, nic.

- Wiem, że i tobą wstrząsnęło to, co usłyszeliśmy wczoraj w trybunale. - Siadłem obok niego. - Rewolucja też jest omylna i popełnia zbrodnie. Ale pomyśl, że to wszystko dla dobra Francji.

Usiłowałem go pocieszyć, ale chyba nie słyszał nawet, co mówiłem. Był przecież rewolucjonistą w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa i jeżeli to, co usłyszeliśmy na wczorajszym posiedzeniu Trybunału oburzyło nawet te bestie w spódnicach, to cóż dopiero musiał odczuć Wilfred, prawdziwie szlachetny człowiek i patriota.

Nic nie jadł tego wieczoru, tylko w tym samym brudnym ubraniu rzucił się na łóżko. Gdy nazajutrz rano wstałem, nie było go już w domu. Chyba nie tknął śniadania.

Nasza dozorczyni przywitała mnie zatroskaną twarzą.

- Czy obywatel Perrin dawno wyszedł? - spytałem niespokojny o przyjaciela.

- Dawno. - Patrzyła w ziemię i nie podniosła na mnie oczu. - Nic nie je - dodała - i pewnie nie śpi. Doprowadzi się do choroby.

- Bardzo zajęty - zauważyłem. - On tak poważnie pojmuje swoje obowiązki. W mieście wrze, rojaliści nie złożyli jeszcze broni i chcą odbić królową. Słyszałem...

- Słyszałeś? - Popatrzyła na mnie dziwnie. - Co słyszałeś? - a potem powiedziała: - O tak, obywatel Perrin bardzo poważnie pojmuje swoje obowiązki. To człowiek uczciwy i można na nim polegać.

Nie wiem, co miała na myśli, ale mówiła to takim tonem, jak gdyby obywatel Perrin i jego obowiązki wcale jej nie obchodziły. A przecież dobrze wiedziałem, jak była przywiązana do Wilfreda i jakim otaczała go staraniem.

Wdowa Clouet oznajmiła mi, gdy tylko wszedłem, że wysłała list do szwagra z prośbą, by zabrali Janka.

- Smarkacz łajdaczy się całymi dniami - dodała. - Na wsi będzie przynajmniej pożyteczny. Ojciec zapędzi go do roboty. Tu nic nie robi, włóczy się po mieście, a głowę ma nabitą wszystkim tym, co słyszy od różnego rodzaju hultajów bez czci i wiary. Teraz obija progi Trybunału i sterczy pod gilotyną. Nie chcę, żeby moja Julka słyszała takie okropności. On jej wszystko opowiada, choć mu zabroniłam. To nicpoń! Biedna moja siostra! Po co go tu wysłała? Wyszkolili durnia w Paryżu. Rodzice nie poznają gagatka.

- Nie wiadomo, czy zechce wrócić - zauważyłem.

- Ojciec da sobie z nim radę - stwierdziła z przekonaniem.

Nie byłem tego taki pewny. Janek to już nie wiejski wyrostek, który przyjechał do stolicy przypatrzeć się Rewolucji. A Trybunał w tych dniach, gdy toczył się tam proces przeciw Marii Antoninie, był dobrą szkołą.

Szesnastego października sesja sądu zakończyła się o czwartej rano. Prawie całą dobę wdowa Kapet, w żałobnej sukni, sina z zimna, bez jedzenia spędziła w Trybunale. Z wysoko podniesioną głową, zapatrzona w odległy punkt sali wysłuchała wyroku. Oskarżona o roztrwonienie narodowych funduszy, skazana została na śmierć.

W październiku czwarta rano to jeszcze ciemna noc. Chłód przenikał do kości. Byłą królową odprowadzono do więzienia, do wilgotnej celi Conciergerie. Pierwszy to wówczas raz, odkąd tu przebywała, przystano na jej prośbę i wniesiono światło. Pozwolono nawet napisać list. Ostatni, jaki wyszedł spod jej pióra. Był to list do pani Elżbiety, jak siostrę Ludwika nazywała moja praczka, której zlecała opiekę nad dziećmi. Czytałem go, podobnie jak testament królewski krążył w odpisach po Paryżu.

"Do ciebie, moja Siostrze, piszę ten ostatni list. - Tak się zaczynał ów dokument. - Skazano mnie, lecz nie na haniebną śmierć, taką bowiem giną zbrodniarze, ja zaś idę na spotkanie z twoim bratem. Podobnie jak on niewinna, mam nadzieję okazać się równie mężną w tej ostatniej chwili mego życia."

Wdowa Kapet ledwie trzymała się na nogach. Brak snu, pożywienia, chłód, niewygody, a przede wszystkim stała obecność żołnierzy w jej celi, której tylko niewielka część kryła się przed bezczelnym wzrokiem pilnujących ją straży, wyczerpały jej fizyczne siły. Trzymało ją jedynie poczucie własnej godności. Córka cesarza nie chciała okazać lęku wobec śmierci. Około ósmej przysłano jej z więziennej kuchni jedną z pracujących tam kobiet, niejaką Rozalię Lamorliere, którą dobrze znał Wilfred. Od niego zresztą mam te wszystkie wiadomości.

Kucharka przyniosła jej trochę wodnistego rosółu i pomogła zmienić bieliznę. Sukni na zmianę nie było.

O dziewiątej Maria Antonina klękała do ostatniej modlitwy, a o wpół do jedenastej zjawił się sekretarz Trybunału, by ponownie odczytać jej wyrok śmierci. O jedenastej kat miasta Paryża, Henryk Sanson, którego ojciec, Karol, wykonał wyrok na Ludwiku, związał jej ręce sznurem i obciął włosy. W parę minut potem, siedząc na fatalnym wózku wyruszyła w ostatnią drogę na tej ziemi.

Dziedziniec Pałacu Sprawiedliwości, zamknięty dotąd dla zwykłych obywateli, pełen zazwyczaj żandarmów i wojska, pierwszy raz otworzył bramy.

Już od świtu zgromadzili się tu ciekawi widowiska paryżanie. W oknach i na dachach pobliskich domów cisnęli się widzowie. Pierwszy raz miano oglądać egzekucję królowej Francji. Było to jeszcze bardziej podniecające niż egzekucja Ludwika, z uwagi na to, że chodziło o kobietę, do tego słynną z elegancji i urody.

Byłem tam i widziałem. Towarzyszyłem ponuremu ekwipażowi aż do placu Rewolucji. Gdy konie ruszyły, lud zawył: "Niech żyje republika! Precz z królami!"

Jeżeli kobieta ta była kiedyś piękna, to postać wyprostowana na wózku, z rękami związanymi na plecach, dygocząca z zimna w lekkiej sukni, z twarzą zsiniałą od chłodu w niczym nie przypominała uroczej mieszkanki Trianon.

Spod czepka wysuwały się nierówno obcięte kosmyki, gdzieniegdzie prześwitujące srebrem. Straszliwe więzienie starło z tej twarzy resztki młodości i urody.

Widziałem, jak jej oczy błędziły po fasadach domów - nie zatrzymując się jednak na tłumach, zapełniających ulice. W jednym z okien spostrzegłem mistrza Davida, słynnego malarza, członka Konwentu, który głosował za śmiercią Ludwika.

Wychylony do połowy ciała z kartonem i ołówkiem w ręku, szkicował pospiesznie tragiczną postać dążącą ku śmierci.

Na ulicy świętego Honoriusza zauważyłem chłopca na rękach matki, który - gdy go mijają - rączką przesłał jej od ust pocałunek.

Widziałem wyraźnie, jak blade policzki skazanej pokrył rumieniec, a z oczu spłynęła łza.

Droga na Kalwarię trwała półtorej godziny, wśród wrzasków, wyzwisk i obelg wypluwanych przez wolnych obywateli na ostatnią przedstawicielkę tyranii.

Zrozumiałem znaczenie łez i rumieńca wywołanych gestem dziecka. Był to kwiat rzucony wśród błota i kamieni, jakie na tej krzyżowej drodze nagromadziła nienawiść ludu.

Przybywszy na miejsce, oczy królowej pobiegły w dal, ku Polom Elizejskim, omijając górujące nad tłumem narzędzia kaźni. Usta bez przerwy poruszały się cichą modlitwą.

Doskonale opanowana, mimo braku sił, nie okazując cienia lęku, wstąpiła na fatalne stopnie.

Gdy głowa spadła, pomocnik kata, zanim ukazał ją ludowi, tej drgającej jeszcze głowie wymierzył policzek. Czyn tego pachołka nie u wszystkich wywołał zachwyty. Posłyszałem za plecami pomruk oburzenia. Śmierć zawsze wymaga pewnej przyzwoitości, jeśli już nie szacunku.

W drodze powrotnej myślałem o sierotach zamkniętych w wieży Temple. Czy one także podzielały los rodziców? Czy zginą tylko dlatego, że miały nieszczęście urodzić się na stopniach tronu?

Przepychałem się wśród tłumów. Ludzie wylegli na ulice ciekawi skazanej. Mało mieli

przedtem okazji do oglądania "Austriaczki". Odgradzona od zwykłych śmiertelników murem wersalskiego parku, przepychem i splendorem królewskich apartamentów, rzadko ukazywała się publicznie.

Tu była na oczach wszystkich, wyniesiona deskami szafotu, widoczna w najdrobniejszych szczegółach ludzkiej nędzy i upodlenia. Odarta z należnego kobiecie szacunku. Upokorzona jak pierwsza lepsza ładaczka z dawnych czasów. Ze związanymi rękami, bezwolna i bezsilna jak przedmiot, z którym można wszystko zrobić, potraktowana brutalnie, jak rzecz martwa, która nic nie czuje.

Wyobraziłem sobie jej dzieciństwo i pierwszą młodość w cesarskim pałacu w Wiedniu. Gdyby jej matka, Maria Teresa, mogła przewidzieć, jaki koniec czekał tę świetną arcyksiężniczkę, poślubioną następcy francuskiego tronu!

Ludzie zebrani na placu krzyczeli, wznosili okrzyki na cześć Rewolucji. A potem nagle ucichli. Spoglądali po sobie, jak gdyby pytając, co się właściwie zmieniło? Czy ze śmiercią znieprawionej Austriaczki piekarnie zapełnią się świeżym chlebem, a u rzeźnika na hakach zawisną półcie wieprzów, wołów i baranów?

Pomocnicy kata usuwali tymczasem ciało spod noża, owijali wraz z odciętą głową w prześcieradło dostarczone przez jakiegoś trzymające się na uboczu a litościwe osoby.

Zwłoki Marii Antoniny, podobnie jak zwłoki jej męża, wrzucone zostaną do dołu z wapnem na pobliskim cmentarzu świętej Magdaleny. I to wszystko. Na tym zakończy się żałobna ceremonia. Tak jej, jak i Ludwikowi, nic już na tej ziemi nie było potrzebne.

Zmęczony i zmarznięty w powrotnej drodze do domu wstąpiłem do winiarni. Musiałem rozgrzać się i chwilę odpocząć. Nie wiem nawet, na jakiej to było ulicy. Zadymioną salkę zapełniali tacy sami jak ja zziębnięci i zmęczeni, lecz wolni obywatele. Prawdziwie wolni, bo nie zagrażał im już nawet cień monarchii. Tyranów zabito.

Gdy wszedłem, jakiś zachrypły głos odpowiadał jak gdyby na moje myśli.

- Nie ma tyranów - perorował wśród ogólnej wrzawy - ale póki żyje szczenię, nie możemy być spokojni.

- Niech zdycha - rzucił z kąta chuderlawy oberwaniec z cynowym kubkiem w rękę. - Niech co prędzej zdycha. Obywatel Simon za delikatnie traktuje to przekłete nasienie.

- Obywatel Simon poradzi sobie ze szczenięciem - zarechotał wielki drab w czerwonej czapce nad plugawą gębą pijaka.

Odpowiedziały mu śmiechy i grube koncepty zebranych. Co prędzej wypilem moje wino i pospieszyłem do domu.

Wilfreda jeszcze nie było. Rozglądałem się za nim na placu Rewolucji, a i przedtem, na dziedzińcu Trybunału. Nigdzie go jednak nie dostrzegłem. Co prawda łatwo było przeoczyć kogoś w takiej ciżbie cisnącej się wokół gilotyny. Podwójny kordon wojska opasywał szafot, wytoczono nawet artylerię, armaty wycelowane w tłum miały odstraszyć ewentualnych przeciwników Republiki. Ale takich szaleńców chyba tam nie było. Ostatnia przedstawicielka monarchii leżała oto przywiązana do deski pod nożem gilotyny. Któż porwałby się bronić sprawy od dawna przegranej? Wszyscy wiedzieli, że do starych czasów nie było powrotu.

Obudził mnie ruch w pokoju Wilfreda. Gdzieś na wieży biła właśnie północ.

Zerwałem się i ostrożnie nacisnąłem klamkę.

Wilfred stał oparty o futrynę okna, trzymając wysoko zapaloną świecę.

Na skrzyp drzwi odwrócił się momentalnie i postawił lichterz na stole.

Wydawał się nie ten sam, a raczej taki, jakim go zawsze znałem, schludnym i porządnie uczesany. Teraz jednak ubrany był z niecodzienną starannością. Włosy miał ułożone w pukle nad uszami i związane wstążką, twarz gładko ogoloną.

- Wybierasz się gdzieś? - spytałem.

- Nie, właśnie wróciłem. Dlaczego nie śpisz?

- Obudziłem się... Taki jesteś elegancki...

- Elegancki - powtórzył i zaśmiał się. - Idź spać - powiedział łagodnie.

- Słuchaj, Wilfredzie - zacząłem. - Co to wszystko znaczy?

- O czym mówisz?

- No o tym, co się dzieje, wydawałeś się zrozpaczony... Nie wiedziałem, co myśleć. Byłem o ciebie niespokojny... O ciebie... i o Francję.

- O Francję?

- Tak. Nie ma już króla i królowej. Jest Republika, jak tego pragnęliśmy. Co prawda żyją jeszcze w wieży Temple dzieci, ale nie są już groźne. Nie zabijają ich chyba, co? Jak sądzisz? Daruje się im życie? To przecież tylko dzieci.

- Idź spać - powtórzył bardziej stanowczym tonem.

- Słuchaj, chcę wiedzieć, czy były jakieś próby uwolnienia Marii Antoniny?

- Były.

- Podczas jej pobytu w Conciergerie, czy potem, w drodze na szafot?

- Tak.

- Ty naturalnie znajdowałeś się wśród tych, co nie dopuścili... co przeszkodzili rojalistom odbić skazaną.

- Naturalnie.

- Nie daliby jednak rady. Tyle zgromadzono wojska, artylerii...

- Może i daliby, gdyby nie zdrada.

- Co mówisz?

- Nasi szpiegowie potrafia wkrećić się wszędzie i mają różne sposoby wymuszania posłuszeństwa.

- I rojaliści ośmielili się...?

- Ośmielili się. I przegrali. Idź spać. Jestem bardzo zmęczony. Chcę się położyć.

- Wilfredzie...

- Co jeszcze? - W jego głosie pierwszy raz postyszałem nutę zniecierpliwienia.

- Nie gniewaj się, ale...

- Nie gniewam się. Dobranoc.

Chciałem dowiedzieć się wiele rzeczy, ale Wilfred nie życzył sobie rozmowy ze mną. Czulem się źle i nie mogłem zasnąć.

Więc mój przyjaciel znowu narażał życie w obronie Republiki. Rojaliści z pewnością byli wmieszani w tłum. Jednak okazali się zbyt słabi, by zaatakować eskortę.

Raz jeszcze przeżyłem w pamięci wrażenia owego dnia. Historycznego dnia. Dnia, którego nic nie wymaże z dziejów Francji. Porównywałem obie te egzekucje. Jakże się różniły między sobą! Choć koniec był ten sam - obie ofiary przywiązane do fatalnej deski dały głowę pod nóż - to jednak zanim do tego doszło warunki, w jakich spędziły ostatnie dni życia, były zupełnie różne.

Ludwik doznał religijnej pociechy, aż na deski szafotu towarzyszył mu ksiądz, pożegnał się z bliskimi, wieszono go wygodnie w zamkniętej karecie i dopiero u stóp szafotu wydano w ręce kata.

Co innego Maria Antonina.

Na kilka miesięcy przed śmiercią oderwana od pozostałej przy życiu rodziny, pozbawiona najprostszych wygod, ani chwili sama, wystawiona na drwiny i obelgi zołdactwa, bez sakramentów, wydana w brutalne ręce kata i jego pachołków, wieszona była ulicami miasta na tym samym wózku, którym odbywały drogę na szafot wszystkie ofiary. Cała Francja, nie tylko Paryż, mogła napawać oczy widokiem królowej niżej upadłej niż najędzniejsza z jej dawnych poddanych. Nie oszczędzono jej niczego. Właściwie wzbudzała już jedynie litość. Od śmierci Ludwika Rewolucja dała wielki krok naprzód. Przestała troszczyć się o zachowanie pozorów jakiejś takiej delikatności. To było zbędne. Raz na zawsze zerwano z pańskimi fanaberiami. I choć obywatel Robespierre nadal posypywał pudrem włosy, wiązał pod szyją chustkę z najcieńszego batystu, nosił białe atlasowe spodnie, spięte sprzączką pod kolanem, a u wylotu fraka pienił mu się zawsze świeży koronkowy zabot, choć wyglądał tak, że mógłby swoim trzewikiem ze srebrną klamrą dotknąć posadzek Wersalu, jego republikański duch daleki był jednak od chełpliwej próżności toaletowych zabiegów. Mimo noszonych stale krótkich spodni, w każdym drgnieniu serca był sankiulotą.

Lud za to, zbuntowany przeciw dworskiej modzie, zmanifestował swoje rewolucyjne przekonania włożywszy długie pantalone i wsunąwszy bosc stopy w drewniane saboty. Odtąd tak

powinien wyglądać prawdziwy patriota. Nie wszystkim jednak ten strój przypadł do gustu. Wilfred na przykład, co do spodni pozostał wierny dawnej modzie. A i ja...

Nazajutrz rano ze strachem uchyliłem drzwi sąsiedniego pokoju. Mój przyjaciel przywitał mnie jak zwykle. Był już ubrany, siedział przy oknie i czytał gazetę. Gdy wróciłem ze śniadaniem, zasiedliśmy do stołu jak zwykle. Śmierć Marii Antoniny zdawało się przywrócić spokój i normalność naszemu życiu.

- Tak więc zginęła w wieku trzydziestu siedmiu lat Maria Antonina Józefa Joanna Lotaryńska, arcyksiężniczka austriacka, królowa Francji - powiedział nagle Wilfred, ocierając serwetką usta.

- Tyle miała imion? - zdziwiłem się.

- Tak brzmiał jej pełny tytuł - odparł poważnie. - Minęła i przeszła do historii. Nie pozostanie po niej i po jej mężu nic, nawet grobowiec w bazylice Saint_Denis.

Wzruszyłem ramionami.

- Czy myślisz, że ktokolwiek z tych, którzy giną na szafocie będzie miał grobowiec albo i zwykły grób czy jakkolwiek mogiłę na cmentarzu? żal mi niewinnych ludzi, którzy tak umierają, a co do wrogów Republiki wystarczy im wspólny dół zalany wapnem.

- Srogi jesteś - uśmiechnął się Wilfred.

- Czyż nie mam racji? Inaczej rojaliści odbywaliby pielgrzymki na cmentarze, czcząc w ofiarach Rewolucji świętych męczenników.

- Mogłoby tak być - przyznał. - Tymczasem skończyliśmy z monarchią raz na zawsze, bo nawet ta ampułka z olejami, którymi podczas koronacji w katedrze w Reims namaszczano królów, została zniszczona.

- Święta ampułka? - zawołałem zgorszony.

- Tak. Stukł ją niejaki obywatel Ruhl wysłany jako przedstawiciel ludu do tamtejszego Komitetu.

- Mój Boże!

- Czego tak się przejmujesz?

- Pamiętam, co mówił ojciec o tej ampułce ze świętymi olejami i w jak cudowny sposób znalazła się w Reims.

- Od blisko tysiąca lat służyła przy koronacji naszych królów, ale skoro nie będzie już kogo koronować, oleje są zbyteczne. Wszystko na tym świecie, jak widzisz, ma swój koniec. Nic nie trwa wiecznie.

- Tylko miłość - szepnąłem. - Moja miłość do panny Gabrieli. I pewnie twoja.

- I pewnie moja - przytaknął.

- A więc istnieją rzeczy wieczne.

- Istnieją - rzekł poważnie. - Nie są to jednak rzeczy materialne. Te prędzej czy później ulegają zniszczeniu. Wieczne jest jedynie to, co istnieje w sferze ducha.

- W takim razie miłość! - zawołałem.

- Miłość - powtórzył, a potem dodał jak gdyby z goryczą: - Czy nie widzisz, że teraz nie pora na miłość?

- Zawsze jest pora na miłość, tym bardziej teraz - wybuchnąłem. - Teraz, kiedy panuje śmierć. Ale miłość silniejsza jest od śmierci.

- Śmierć... - zamilkł i nagle zmienił ton. - Conciergerie ma nowych lokatorów.

- Biedni żyrondyści! - westchnąłem. - Najbardziej żal mi Brissota.

- Za długo zwlekał z ucieczką. Mógł się uratować. Niestety, złapano go w Moulins z fałszywym paszportem i zaraz odstawiono do Paryża, a mało brakowało i byłby bezpieczny.

- Jak myślisz, zostanie zgilotynowany?

- I on, i jego towarzysze. Nie darmo Robespierre oskarżył go o zdradę i nazwał współnikiem Dumourieza. A wiesz czym jest Conciergerie.

- Wiem, ale pamiętam, że z tego przedsionka śmierci wyrwał się moja stara przyjaciółka.

- To nie było trudne. Tylko plik asygnat - zaśmiał się. - Stara kobieta, bez znaczenia. Co innego Brissot i cała żyronda.

O tak, wiadomość o procesie Brissota i dwudziestu jego towarzyszy zaledwie w osiem dni po

egzekucji Marii Antoniny, poruszyła cały Paryż.

Październik był ciężkim miesiącem dla mieszkańców stolicy. Przedwczesny chłód wciskał się do domów, a brak opału nie pozwalał rozpalić ognia w kominku. Zaopatrzenie miasta w żywność pogarszało się z każdym dniem. Piekarze dwa razy dziennie wypiekali tak niewielką ilość chleba, że starczało zaledwie dla pierwszych kilkunastu osób czekających w długiej kolejce. Sklepy rzeźników świeciły pustkami, a w halach za byle warzywo żądano ogromnej sumy. Koszt życia podniósł się dziesięciokrotnie. Biedni po prostu przymierali głodem.

Dla rozgrzewki więc i aby oszukać pusty brzuch pasąc go widokiem niedoli wrogów Republiki, paryżanie tłumnie zbiegali się do Trybunału Rewolucyjnego.

- Igrzysk i chleba - zacytował tego wieczoru Wilfred to stare, jak się dowiedziałem, rzymskie jeszcze powiedzenie. - Zawsze jest to aktualne - dodał - i gdy braknie chleba, władcy zapychają głodny brzuch ludu widowiskiem. Czy byli to niegdyś chrześcijanie rzucający na pożarcie bestiom na arenach cyrków, czy dający głowę pod nóż gilotyny obywatele wolnej Republiki Francuskiej, widok krwi i śmierci zawsze fascynował tłumy i nie było i nie będzie żadnego widowiska, które cieszyłoby się większym powodzeniem.

To prawda, musiałem przyznać rację Wilfredowi.

Dwudziestego czwartego października Brissot i jego towarzysze, a więc cała góra żyrondy zajęła miejsce na ławie oskarżonych.

Byli to wszystko ludzie młodzi, jedyny i najstarszy z nich Sillery, mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, cierpiący na reumatyzm, szedł wsparty na kulach.

Delegat z ramienia Komitetu Bezpieczeństwa publicznego odczytał akt oskarżenia: "Spiskowali przeciw jedności i niepodzielności Republiki, przeciw wolności i bezpieczeństwu francuskiego ludu". Najbardziej niebezpieczny z całej grupy okazał się Brissot. Dawni przyjaciele i szkolni koledzy, teraz świadkowie oskarżenia bez litości zadali cios ostateczny.

Trzydziestego października sprawa została osądzona. O północy żyrondyistów Fouquier_Tinville w imieniu Republiki zażądał kary śmierci.

Gdy wyprowadzano skazańców, zaintonowali oni hymn Marsylczyków:

*"Krwawy sztandar tyranii
przeciw nam jest wzniesiony".*

Po wspólnym posiłku w Conciergerie Brissot zasiadł do pisania listów: do żony, do brata i do reszty rodziny.

"Myślę, droga Felicyto, że nadeszła moja ostatnia godzina - tak zaczął. - Przypuszczalnie nie będzie mi dane zobaczyć się z tobą. Jeśli to szczęście mnie ominie, bądź, proszę dzielna. Musisz żyć dla naszych dzieci. Zachowaj kilka kart z tego, co pisałem i pokaż im kiedyś, by mogły powiedzieć: oto pismo naszego ojca, który bardziej niż nas ukochał sprawę publiczną, poświęcił się dla niej i dla niej został poświęcony".

Pisząc ten list nie wiedział, że i żona jego przebywała już w więzieniu.

Następnego dnia, około pierwszej skazańców na czterech wózkach przywieziono na plac Rewolucji. I znowu zaśpiewali hymn Marsylczyków.

Tłumy, jeszcze większe niż przy królewskich egzekucjach zaległy ulice, tłocząc się wokół gilotyny. Ludzie gnietli się i deptali po sobie, byle tylko nic nie uronić z pasjonującego widowiska. Krzyczano: "Niech żyje Republika!" i "Śmierć zdrajcom!". Brissot zginął przedostatni. Razem z żyrondyistami zgilotynowano jeszcze jedenaście osób, tak że egzekucja wszystkich skazanych trwała trzydzieści osiem minut. Kat wykazał się mistrzowskim opanowaniem swojej sztuki, jeśli w trzydzieści osiem minut zdążył ściąć trzydzieści dwie głowy.

Przez cały czas oglądano się za obywatelem Robespierre'em, głównym sprawcą upadku żyrondy. Jak zwykle nie było go na placu. Przewodniczący Konwentu ani razu jeszcze nie pokazał się podczas egzekucji. To krwawe widowisko, jak mówiono, nie odpowiadało jego wyrafinowanym gustom.

Mistrz David i tym razem nie dał próżnować swemu ołówkowi. Najbardziej spodobał się

przyjaciołom rysunek głowy Brissota na szafocie, krążący dookoła stołu podczas wspólnego obiadu. Malarz, dla wywołania odpowiedniego nastroju, opisał zachowanie się poszczególnych skazanych w chwili śmierci.

- Nie wiem, czy pobudziło to apetyt biesiadników - dodał na zakończenie Wilfred, który opowiedział mi o tym incydencie.

Co do mnie, to poczułem się jak gdyby zagubiony w jakimś strasznym, obcym świecie. Utraciłem coś ważnego, co stanowiło dla mnie pewien punkt oparcia. Gdyby nie obecność Wilfreda, nie wiem, jak zniósłbym to wszystko, co waliło się na nas z szybkością górskiej lawiny.

Śmierć przywódców żyrondy głośnie echem odbiła się w całej Francji. W niektórych prowincjach doszło nawet do rozruchów. żyrondyści drogo zapłacili za krótkotrwałą przewagę polityczną, za umiar w niszczeniu przeciwników, za śmiałe piętnowanie nadużyć. I przegrali.

Kara, na jaką skazała ich Rewolucja, o wiele chyba przewyższyła winę.

Odczułem prawdziwą ulgę, gdy ostatni dzień grudnia oznajmił koniec owego straszliwego roku, który zamiast przynieść Francuzom pokój i pojednanie, zalał strumieniami krwi tłące się jeszcze tu i ówdzie, a niewygasłe dotąd zarzewia nienawiści.

Więzienia nie mogły już pomieścić aresztowanych. Patrole Gwardii Narodowej przemierzały nocami ulice wyciągając z łóżek obywateli podejrzanych o skryte sympatie do dawnego porządku. Przywożono ich pod ścisłą strażą lokując w zajętych na ten cel klasztorach. Tam miejsca było pod dostatkiem, zniesiono bowiem zakony, rozpędzono mnichów, a ostatnio zamknięto nawet wszelkie miejsca kultu.

Kat miasta Paryża nie nadązał ze ścinaniem głów, a ludzie zubożeli już po części na te tak tłumnie do niedawna uczęszczane widowiska.

Na próżno Danton nawoływał do pobłażliwości i umiarkowania wobec szalejącego coraz bardziej terroru. Głos jego ginął w skrzypie ciężkiej bramy Conciergerie, a warkot bębnow i świst opadającego ostrza gilotyny głuszył otępiełe sumienia.

Cóż bym dał za to, żeby znaleźć się w Belcastel! żeby dotknąć rozgrzanych słońcem murów obronnej baszty, ogarnąć wzrokiem przytuloną do podnóża skały osadę i poszybować po błękitach za stadem gołębi. Cóż bym dał! Wsłuchać się w ciszę, z którą tak pięknie grał szum płynącego dołem Aveyronu. Czyż to nie byłoby szczęście? Boże! Zasiąść znowu za stołem w chłodnej, nawet w najbardziej skwarny dzień, kuchni, a przede wszystkim wtulić się w ramiona matki i wypłakać na jej sercu te wszystkie okropności, których byłem świadkiem, wszystkie bóle i krzywdy, jakich doznałem ja i Francja, wszystko.

Zrywałem się chcąc biec, pędzić na południe, daleko od Paryża, od gilotyny, od czarnej wieży Temple. I opadałem na miejsce jak galernik przykuty do ławy i do wiosła.

Dlaczego? Co trzymało mnie w domu przy ulicy Powroźników? Co nie pozwalało opuścić tych pokoików mansardowych, tego okna otwierającego się na milczącą zawsze a tak złowrogą wieżę?

Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem!

Zauważyłem, że Wilfred przygląda mi się co dzień z większą uwagą.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytałem raz.

- Wiem, co ci dolega - odpowiedział zafrasowany. - Powietrze Paryża przestało ci służyć, powinieneś wrócić do domu.

- Wrócić! Wrócić! - wybuchnąłem. - I co z tego? Siedzieć w Belcastel wiedząc, co się tu wyrabia! Czy myślisz, że mógłbym zasnąć choć na chwilę?

- Powinieneś wrócić do domu - upierał się. - Mogę to załatwić. W przyszłym tygodniu wyrusza do Rodez delegacja i...

- Słuchaj - przerwałem - a może byśmy tak razem...?

- Ja nie - pokręcił głową. - Muszę zostać.

- Po co? Co cię tu trzyma?

- Honor.

- Honor? - Nie posiadałem się ze zdumienia.

- Honor i obowiązek - uzupełnił.

- Wiem, że pracujesz dla dobra Republiki, że jesteś kimś, że twoja obecność jest tu potrzebna, ale czasem boję się... boję się o twoje bezpieczeństwo. Byle donos zawistnego członka Konwentu czy jakiegoś szpicla Rewolucyjnego Trybunału, a...

- Nie bój się - uspokoił mnie z uśmiechem. - Zostać muszę i zostanę. Do końca.

- Do jakiego końca?

- Nie wiem. Ale jakiś koniec być musi. Wszystko przecież kończy się na tej ziemi.

- Czy myślisz o końcu Rewolucji? O tym, co będzie potem?

- O tym też - przytaknął.

- Gdy Rewolucja zwycięży, gdy ludzie zrozumieją, gdy już nie będzie przeciwników, a więc

potrzeby gilotyny...

- Przeciwnicy będą zawsze i wszędzie - przerwał. - A gilotyna...

- W przyszłości nie będzie i gilotyny - krzyknąłem.

- Przyszłość... - zamyślił się - oprócz Boga znał ją chyba tylko Nostradamus.

- Któż to taki?

- Prorok... Jasnowidz żyjący przed dwustu laty. Przewidział wszystko: Rewolucję, upadek monarchii, ucieczkę rodziny królewskiej, wymienił nawet nazwę miejscowości, gdzie ujęto zbiegów, śmierć Ludwika i Marii Antoniny.

- Co mówisz? A chłopiec? Jaki los go czeka?

- Właśnie to najciekawsze. Przepowiedział, że chłopiec będzie uratowany.

- A więc nie zabiją go - odetchnąłem. - To dobrze.

- Nie zabiją, gdyż zostanie uprowadzony z więzienia.

- Uprowadzony? Wierzysz w to?

- A dlaczego miałbym nie wierzyć? - Wzruszył ramionami. - Jeżeli wszystko inne sprawdziło się... Jeżeli żyjąc dwieście lat temu Nostradamus wiedział, co się stanie w Varennes...

- To rzeczywiście bardzo dziwne.

- Bardzo - potwierdził. - Ale na świecie dzieją się różne dziwne rzeczy.

- Jak można wykraść tak strzeżone dziecko z tak strzeżonego więzienia?

- O, to wcale nie takie trudne - uśmiechnął się.

- Nietrudne? Co ty mówisz? Przecież z tego, co opowiada wdowa Clouet, Simon i jego żona nie spuszczają małego z oka, a ciągle pełno tam dozorców i dyżurujących komisarzy.

- A co byś powiedział, gdyby go na przykład wyniesiono w koszu z brudną bielizną?

- Wilfredzie... - Poczułem suchość w ustach. - Więc przypuszczasz...?

- Nic nie przypuszczam - przerwał niecierpliwie. - Przedstawiam tylko jedną z możliwości.

Pamiętaj, że są ludzie, którzy dla tej sprawy poświęcili życie i majątek. Olbrzymi majątek.

- Czy myślisz, że wdowa Clouet zgodziłaby się - zacząłem.

- Nic nie myślę i nic nie przypuszczam. Są to zwykłe spekulacje pozbawione podstaw.

Pragnąłem tylko dowieść ci, że wszystko jest możliwe. Poza tym mistrz Nostradamus mógł się mylić.

- Czy przepowiedział coś jeszcze?

- Mnóstwo rzeczy. Część już się spełniła. Chociażby nasza Rewolucja i ścięcie Ludwika.

- A reszta?

- Reszty musimy dożyć, by się przekonać.

- Czy masz tę książkę?

- Miałem ją.

- Szkoda, że nie mogę jej przeczytać. To ważna książka. A ten, jak mówisz Nostradamus...

- Był lekarzem i astrologiem. Losy ludzkie czytał w gwiazdach.

- I żył dwieście lat temu?

- Tak. W szesnastym wieku. Swoje dzieło dedykował Henrykowi II, którego grobowiec - jeśli go dotąd nie rozbito - widziałeś w Saint_Denis.

- Więc mówisz, że chłopca można wynieść w koszu z brudną bielizną? Ale co dalej? Przecież od razu spostrzegą jego ucieczkę.

- Słuchaj, Bertranie, proszę cię, nie bierz na serio tego, co powiedziałem. Przy tych środkach ostrożności, jakie przedsięwzięto w Temple, jest to prawie niemożliwe.

- Prawie - podchwyciłem. - To znaczy, że istnieje jakaś choćby milionowa część możliwości.

Nie zdążono by jednak wyjść za bramę, a już Simonowie i dozorczy podnieśliby krzyk.

- Naturalnie, bo to byłaby tylko połowa planu.

- Połowa planu? - Kręciło mi się w głowie.

- Na miejsce małego Kapeta należałoby zostawić inne dziecko.

- Mój Boże, Wilfredzie, o czym ty mówisz? Jakżeby to zrobiono?

- Zwyczajnie. Przyniesiono by jakiegoś chłopca w odpowiednim wieku.

- Ale jak? W czym? Czy też w koszu z bielizną? Wdowa Clouet nieraz mi opowiadała, jak

ścisłej rewizji poddają uprane przez nią rzeczy, jak wytrząsają każdą sztukę szukając ukrytego listu. A ty mówisz o chłopcu? O ośmioletnim chłopcu!

- Niekoniecznie mają go przynieść w tym samym koszu. Są inne sposoby. Słyszałem na przykład, że więzień dostał niedawno tekturowego konia..

- Nie mogę w to uwierzyć, żeby w koniu...

- Nie powinieneś wierzyć. Są to manowce, na które sprowadził nas mistrz Nostradamus.

- Simonowie za dobrze pilnują dziecka, by to wszystko było możliwe! - wybuchnąłem. - Za bardzo zależy im na tej posiadzie. Mają zabezpieczony byt, no i pieniądze.

- Nie są to aż tak wielkie pieniądze - zauważył jak gdyby od niechcienia.

- Co masz na myśli.

- Tylko to, że za prawdziwie wielką sumę człowiek tej miary co Simon gotów byłby poświęcić nie tylko swoje republikańskie i rewolucyjne przekonania... A kobieta...

- Słyszałem od mojej praczki, że nie krzywdzi chłopca. Ma widać dobre serce.

- Właśnie dlatego, że ma dobre serce, łatwiej by ją było przekonać.

- Wilfredzie, o czym ty właściwie mówisz?

- Tak ty, jak i ja pozwalamy naszej wyobraźni podążać tropem gwiazd.

- Wiesz dobrze, że to wszystko stać się nie może.

- Nie może - przyznał. - Po cóż więc tym się zajmować?

- To ty zacząłeś...

- Nie ja - sprostował. - To Nostradamus. Wielu miało go za oszusta i szarlatana. A może po prostu był w zмовie z szatanem?

- żartujesz chyba.

- Dwieście lat temu niektórzy tak myśleli. Łaska królewska obroniła go przed oskarżeniem o czary. Wiesz, że za to w owym czasie palono na stosie.

- Straszne czasy! - wzdrynąłem się.

- Pewnie, że straszne. Lepsza już gilotyna.

- Czy zawsze musi być coś takiego jak stos czy gilotyna?

- Zawsze. Ludzi trzeba odstraszać od pewnych myśli, na przykład od niedozwolonych pragnień.

- Dlaczego? Przecież Rewolucja głosi Wolność.

- Czy czujesz się wolny?

- Jestem wolnym obywatelem Republiki. Przyznaję jednak, że się boję.

- Czegóż się boisz?

- Dobrze wiesz, czego. Wszyscy się boją tego samego. Cała Francja drży.

- Czy człowiek wolny może się bać? Może drzeć ze strachu o swoje życie, choć nie popełnił żadnego występnego czynu?

- Rewolucja, żeby dać wszystkim wolność, musi pokonać wrogów - zacytowałem jedno z haseł, jakie padło niedawno z trybuny Konwentu.

- Słusznie - pochylił głowę. - Pokonajmy więc wrogów Rewolucji, a będziemy wolni.

- Ale ty się nie boisz, prawda? - Spojrzałem na niego z zazdrością. - Nawet gdybyś stał ze związanymi rękami u podnóża gilotyny. Nigdy się nie bałeś. Przyznaj.

- Nigdy - odpowiedział krótko. - I nie będę się bał, nawet gdy stanę, jak mówisz, ze związanymi rękami u stopni szafotu.

- Wilfredzie! - krzyknąłem. - To niemożliwe! Ty nie możesz zginąć! Tak haniebnie zginąć jak ci wszyscy...

- Czy uważasz, że ci wszyscy zginęli haniebnie? - spytał spokojnie. - Ja widzę w tym rodzaju śmierci coś wielkiego.

- Pewnie masz rację. To zależy od tych, co mają umrzeć i jak umierają.

- Właśnie. Umieranie na szafocie jest sztuką.

- Czy to długo będzie trwało... ten terror i ta śmierć?

- Niedługo. Nostradamus przepowiedział upadek Robespierre'a.

- A co będzie z siostrą małego Kapeta?

- Równie jak brat ma zostać uratowana.

- Czy ją też wyniosą w koszu?

- Chyba nie - uśmiechnął się. - Dzieci Ludwika są "Zakładnikami Narodu". Przydadzą się może kiedyś Republice przy wymianie jeńców czy przy innej okazji.

- Ach, Wilfredzie, wiele bym dał, żeby móc rzucić okiem na tę nadzwyczajną księgę.

- Mało co byś zrozumiał. Są to czterowerszowe rymowane strofy, tak zwane "centurie". Język jest niebywale zawity i nie każdy potrafi doszukać się sensu w owej gmatwaninie. Ale takie już są proroctwa. Potrzeba wielkiej erudycji, by setki centurii ułożyć w chronologicznym porządku, dopiero wówczas pojawi się wyraźny obraz przyszłości. Ale to bardzo trudne.

- To czemu pisał tak zawile?

- Nie mógł inaczej. Wyobrażasz sobie wrażenie, jakie zrobiłoby dwieście lat temu proroctwo o końcu monarchii wówczas, gdy monarchia była jedyną uznaną formą rządu i wydawała się niezniszczalna? Słyszałem, że przewidział swoją własną śmierć i kazał przyrzec, że nikt nigdy nie otworzy jego grobu. Niestety tego przyrzeczenia nie dotrzymano, toteż gdy po latach otwarto trumnę ze zwłokami proroka, znaleziono leżącą na piersiach miedzianą tabliczkę, gdzie stało napisane: "Niech będzie przeklęta perfidia ludzka. Mimo obietnicy naruszono mój spokój" i następowała dokładna data otwarcia trumny, dzień, miesiąc, rok. Nie wiem, czy tak było naprawdę, ale tak mówiono. Słyszałem o tym jeszcze w dzieciństwie.

- Wiesz co - przypomniałem sobie nagle. - W Belcastel jest duża biblioteka. Właściciele zamku od wieków gromadzili książki, a w piwnicach schowano kufry i skrzynie z dokumentami. Jestem pewien, że dzieło Nostradamusa stoi tam wśród tylu innych, których skórzane lub obleczone pergaminem grzbiety podziwiałem nieraz, gdy udało mi się wsunąć niepostrzeżenie do wielkiej sali obstawionej półkami i szafami. Żeby to wówczas wiedział, jakie skarby pokrywał kurz, który matka co jakiś czas zmiatała pierzastą miotelką. Żeby wiedział! Byłem zbyt głupi, dopiero tu, w Paryżu, otworzyły mi się oczy na tyle nieznanymi sprawami i rzeczami. A wszystko dzięki tobie. Jakże wiele ci zawdzięczam! Ty zrobiłeś ze mnie człowieka. Dawniej miałem w głowie pustkę i ciemność, tylko miłość do panny Gabrieli świeciła w tym mroku. Panna Gabriela nie wiedząc o tym podnosiła mnie jak gdyby ku sobie. Starłem się być godzien tej miłości, choć wiedziałem, że nigdy nie będę godny panny Gabrieli. Ale mogłem ją kochać i to czyniło moje życie pięknym. Och, Wilfredzie, teraz gdy zbudziłeś moją duszę wiem, że miłość moja jest inna niż dawniej, teraz jest jak... jak poezja. Jak najwspanialszy poemat, jaki kiedykolwiek stworzył geniusz ludzki. I to wszystko tobie zawdzięczam, twojej dobroci. Wybacz, że tak mówię nieskładnie, ale nie potrafię inaczej.

- Przestań - położył rękę na mojej dłoni - i posłuchaj mnie. Wróć do Belcastel. Będziesz miał tam okazję wyszukać księgę doktora Nostradamusa i dowiedzieć się, co nas jeszcze czeka - dokończył żartobliwie.

- A co nas czeka? Ty pewnie wiesz, bo przecież czytałeś.

- Coś sobie przypominam - zamilkł na chwilę. - Nie chcę cię martwić, ale według naszego proroka Republika nie potrwa długo. Po opisie rewolucyjnej zawieruchy jest tam taka centuria: "na wyspie koło Italii narodzi się cesarz. Drogo będzie Francję kosztował. Okaże się nie tyle władcą, co rzeźnikiem". Nie wiem, czy dobrze zapamiętałem.

- Cesarz? To być nie może!

- Pocieszajmy się, że i Nostradamus był człowiekiem omylnym. Zresztą te proroctwa są tak niejasne, rozrzucone bez żadnego dziejowego porządku, iż równie dobrze ten cesarz, o którym ci wspominałem, może odnosić się do czasów starożytnych lub do średniowiecznego Bizancjum.

Nie wiedziałem nic o Bizancjum, ale poruszyła mnie wiadomość o cesarzu.

- To na pewno było coś innego - stwierdziłem z nadzieją. - Nie po to zrzuciliśmy króla, by poddać kark pod jarzmo jakiegoś cesarza.

- Nie po to - przyznał. - Ale historia lubi mścić się i będzie miała za co.

- "Nie tyle władcą, co rzeźnikiem" - powtórzyłem. - To pasuje do gilotyny, do Robespierre'a i reszty przywódców. Ale oni nie urodzili się chyba na wyspie koło Italii, są przecież Francuzami.

- Jest jedna włoska wyspa kupiona przez Ludwika XV od Republiki Genueskiej. Należy odtąd

do Francji.

- Jakaż to wyspa?

- Korsyka.

- Korsyka - powtórzyłem. - Tak, słyszałem o niej. Ale jej mieszkańcy to Włosi.

- Od trzydziestu paru lat są jednak francuskimi obywatelami. Skalista to wyspa, uboga i nieurodzajna. Korsykanie pragną niepodległości i z zapałem powitali naszą Rewolucję. Nie wiem jednak, czy długo wytrwają w wierności Republice. Francja nie ma zamiaru pozbyć się tak ważnego punktu na morzu Śródziemnym, tym bardziej że Anglicy wyciągają po nią rękę, no i królestwo Piemontu rości sobie do naszej wyspy pretensje.

- Zawsze myślałem, że Rewolucja zakończy wszelkie konflikty, wojny i nieporozumienia, a nasza Republika przyniesie nie tylko pokój całej Europie, ale i wzór do naśladowania. I nie będzie już innej formy rządów we Francji. Tymczasem Nostradamus...

- Nie przejmuj się Nostradamusem - powiedział lekko. - Te proroctwa są tak niejasne, że można je różnie interpretować. Każdy wydawca "centurii" wyklada po swojemu znaczenie najmniej zrozumiałych strof, może wręcz przeciwnie do zamysłu autora. Dla Nostradamusa dzieje świata zaczynały się cztery tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa, a pod koniec drugiego tysiąclecia po Chrystusie ma się jakoby zapoczątkować schyłek naszej cywilizacji. Coś ma zająć wówczas ważnego. Podaje nawet dokładną datę owego wydarzenia: lipiec 1999 roku.

- A co będzie potem?

- Potem wraz z siódmym tysiącleciem istnienia ludzkości ma nastąpić okres pokoju i dobrobytu. Będzie to era Wodnika. Znasz chyba znaki zodiaku?

- Znam. Jest ich zdaje się dwanaście?

- Dwanaście, tak jak dwanaście konstelacji, od których biorą imię. Każdej porze roku odpowiadają trzy znaki zodiaku. Tak przynajmniej było niegdyś. Teraz może jest inaczej.

- Jeżeli Nostradamus pisze o lipcu 1999 roku to znaczy, że nie używa kalendarza rewolucyjnego.

- Przed dwustu laty nikomu się nie śniło o rewolucyjnym kalendarzu.

- Ja się tego chyba nigdy nie nauczę - poskarżyłem się. - Konwent zwariował, żeby coś takiego wymyślić!

Od końca ubiegłego roku obowiązywał nowy kalendarz. Poetyczne nazwy miesięcy zawdzięczano inwencji Fabre'a d'Seglantine'a, członka Konwentu, bawiącego się piórem. Żebyś jeszcze rok zaczynał się pierwszego stycznia i nowe nazwy miesięcy odpowiadały dawnym! Niestety, kalendarz rewolucyjny zmienił cały porządek. Rok rozpoczynano wraz z jesiennym zrównaniem, to znaczy 22 września, podzielono go na 12 miesięcy, po 30 dni każdy, a miesiąc miał trzy dekady. Pięć pozostałych do końca roku dni przeznaczono na obchody świąt republikańskich. Data była więc uciążliwa do obliczenia, a w ogóle to nie każdy mógł spamiętać nowe nazwy. Niedziele przestały istnieć. Nie były już potrzebne jako dni wypoczynku, mało kto bowiem pracował. Ludzie zajęci byli Rewolucją.

- Kto wymyślił kalendarz? - spytałem raz Wilfreda, który był moim stałym źródłem wiadomości.

- Jeszcze przed Chrystusem, za Juliusza Cezara podzielono rok na 365 dni, co cztery lata dorzucając jeden dzień do lutego. Ten kalendarz nazwano juliańskim. W XVI wieku, Papież Grzegorz XIII wprowadził pewne zmiany i od tego czasu obowiązywał kalendarz gregoriański. Przyjęła go cała Europa. Dopiero my teraz wyłamaliśmy się z tego porządku. Liczymy lata nie od narodzenia Chrystusa, lecz od ogłoszenia Republiki. Widzisz więc, jacy jesteśmy młodzi. Stara Francja wróciła do niemowlęctwa. Przekreślono blisko dwa tysiące lat naszych dziejów i naszego istnienia. Wszystko, co było przedtem, nie liczy się, było złe i dlatego musiało zginąć. Niepotrzebna nam pamięć przeszłości.

- Ojciec mój myślał inaczej - szepnąłem. - Uważał za barbarzyńców tych, co niszczyli dawne zabytki, co wymazywali historię z naszej świadomości. Spierałem się z nim, miałem go za przestarzałego zacofańca, człowieka nie rozumiejącego nowych czasów. A teraz widzę, że on pewnie miał rację. Patrz, Wilfredzie, jaki krwawy był rok, który minął. Jedna tylko egzekucja

sprawiła mi przyjemność, bo była sprawiedliwa.

- O kim mówisz?

- O Filipie Orleańskim. Tchórz! Wyparł się swego pochodzenia i nazwiska. "Obywatel Równość!" Podły zdrajca głosował za śmiercią Ludwika. Ale i to go nie uratowało. Trybunał Rewolucyjny w tym wypadku wydał słuszny wyrok.

- Jestem niespokojna o Karolka. - Tak mnie przywitała wdowa Clouet po powrocie z więzienia Temple.

- Dlaczego?

- Nie wpuszczono nas do chłopca. - Moja praczka potrząsnęła głową. - Julka cały czas siedziała w kącie w dolnej sali... a ci komisarze, co tam piją i grają w karty albo w kości, to nie towarzystwo dla małej. Wynudziła się, biedactwo.

- A co z chłopcem?

- Mówią "chory". Chyba to i prawda, bo ani jednej pary pończoch nie dostałam do prania. Biedne dziecko!

- Sama mówiłaś, obywatelko, że żona szewca dobrze go traktuje - zauważyłem.

- Tak było z początku. Chłopczyk nie wyglądał źle. Zawsze czysty, a obywatelka Simon poszyła mu nawet fartuszki, by nie brudził ubrania. Ale teraz...

- Co teraz?

- Widać jej się sprzykrzyło, bo ostatnio dziecko było brudne i zaniedbane. Niby go tak lubi, "mój mały Karolek" ciągle słyszałam, ale to niedługo trwało. Już nie krzyczy na męża, gdy ten poi chłopca wódką.

- A co na to komisarze?

- Komisarze! - prychnęła z pogardą. - Myślisz może, że to coś lepszego? Takie same opoje jak Simon. Gdy mówię, to słuchać nie chcą. "Ty, obywatelko, pierzesz bieliznę, a od wychowania młodego Kapeta jest preceptor" i śmieją się ze mnie. Co z takimi gadać? Takie same łobuzy jak Simon.

- A... te kobiety na górze?

- Cóż one biedaczki? - Wzruszyła ramionami. - Nic o nim nie wiedzą. A mnie te łotry tak pilnują, że i słówka szepnąć nie mogę. Patrzą one na mnie, patrzą, jak gdyby twarz moja coś im mogła powiedzieć. A ja muszę milczeć, inaczej nie dopuszczono by mnie na górę. Dziewczynka tuli się do ciotki, a pani Elżbieta głaszcze jej włosy i mówi tylko: "dziękujemy ci, obywatelko, za pranie" i nic więcej. Cóż właściwie mogłaby powiedzieć w takiej sytuacji.

Przyznałem jej rację, ale cały dzień byłem przygnębiony. Jakiś ciężar ugniatał mi serce, czułem go prawie dotykalnie, wielki ciężar twardy i zimny jak głaz wzięty z grobu.

Jakoś przed samym Bożym Narodzeniem, które teraz było zwykłym dniem pracy, panna Kamilla Rigel wyprowadziła się z domu przy ulicy Kordelierów.

Zeszła ze schodów z rękami ukrytymi w olbrzymiej mufce. Za nią dwóch barczystych drabów znosiło kufry.

- Wprowadziła się tu z jednym zawiniątkiem i z trzcinowym pudłem na suknie - powiedziała z przekąsem moja praczka - a zobacz, czego dorobiła się w teatrze. Chciałabym widzieć apartament, który teraz zajmie. Czy po to rozpętano Rewolucję?

Obywatelka Rigel obdarzyła mnie olśniewającym uśmiechem - znajdowałem się właśnie w bramie - i z gracją unosząc suknię wsiadła do karety. Draby wskoczyły na kozioł.

- Powiedz praczce, obywatelu - zawołała opuszczając szybę i machając do mnie ręką - że będę jej przysyłała bieliznę do prania. Nikt tak dobrze nie uprasuje mi koronek.

- Dama - burknęła pogardliwie wdowa Clouet, gdy jej powtórzyłem to polecenie. - Wielkie panie zgilotynowane, a ona myśli, że upodobni się do jednej z nich. Głupia! Ciekawa jestem, za czyje pieniądze utrzymuje ją ten "opiekun". Są tacy, co umierają z głodu.

- Co na to obywatel Brutus Hulin? - spytałem nie odpowiadając na jej uwagi.

- Co taki hołysz dla niej znaczy? Był dobry, póki nie znalazł się lepszy – strzepnęła wyciągniętą z balii halkę. - Wynieś wodę - wskazała wiadro.

Obywatel Hulin miał bardzo markotną minę, gdy spotkałem go następnego dnia. Nawet trójkolorowe pióra na jego kapeluszu nie sterczały już tak butnie, jak dawniej. Odpowiedział na moje pozdrowienie ze zwykłą u niego pogardliwą wyższością i prędko wyszedł na ulicę.

Mieszkanko po panie Kamilli nie stało długo puste, w kilka zaledwie dni miało już nowego lokatora.

- Czy wiesz, kto tam teraz mieszka? - przywitała mnie wdowa Clouet pewnego ranka.

- Kto? - spytałem.

- Mój siostrzeniec, Janek Labourette - wykrzyknęła. - A żebyś go widział! Nie poznałbyś chyba!

- Przecież ojciec zabrał go na wieś - przypomniałem.

- Czy to ojciec teraz coś znaczy? - zawołała. - Owszem, zabrał go, ale gagatek zasmakował stolicy. Nie jemu już chodzić za pługiem czy doglądać świń, panicz gada o Rewolucji, o Wolności i Równości. Praca na roli nie dla niego. Dostał się tu w dobre ręce, ci dwaj z pierwszego piętra, Brutus Hulin i Kasjusz Peltier, już go pouczyli o Prawach Człowieka. Ciekawe tylko, kto za to wszystko płaci?

Nie minęła godzina, gdy Janek zjawił się u ciotki we własnej osobie. Dobrze, że mnie praczka uprzedziła. Chłopak rzeczywiście trudno był do poznania.

Przede wszystkim wyrósł i wydorósł, a ponadto nabrał niesłychanej pewności siebie. Prostacka gęba równie bezczelna jak dawniej dyszała jak gdyby pogardą do każdego, kto nie był obywatelem Labourette, ale już nie Janem. Najbardziej odmienił go strój. Nie był to bowiem byle jak odziany wiejski chłopak. Młodzieniec, który stanął w drzwiach wdowy Clouet, wyglądał niczym rewolucyjny dygnitarz.

Porządnie ułożone włosy przykrywał modny kapelusz przepięty trójkolorową kokardą. Szyję owijała śnieżnej białości chustka z najcieńszego widać batystu. Spod brązowego fraka ze złotymi guzikami wyglądała malinowa kamizelka, a równie brązowe spodnie zgrabnie opinały przyciężkie kształty niedawnego jeszcze parobczaka, ginąc w cholewkach długich butów z lśniącej skóry z wywinętym - jak każe moda - mankietem. Rzeczywiście, nasuwało się pytanie, kto za to zapłacił?

- Przyszedłem, obywatelko Clouet - powiedział głosem, który zdawał się pękać z ważności - by przedstawić jasno sytuację.

Ja, choć też obecny, dla niego nie istniałem.

- Czyś zwariował, Janku - wybuchnęła praczka. - "Obywatelka Clouet", też coś podobnego! Zapomniałeś chyba, że jestem twoją ciotką!

- Prawdziwy patriota ponad rodzinę stawia ojczyznę i jej dobro - wyrecytował były siostrzeniec wdowy Clouet. - Ponadto nie jestem żadnym Jankiem. Nazywam się teraz Juniusz Labourette, obywatel Juniusz Labourette. Jestem członkiem klubu Kordelierów i działam w tutejszej Sekcji. Proszę cię, obywatelko, żebyś dobrze to zapamiętała i pouczyła innych - tu raczył spojrzeć w moją stronę.

- Co ty... - zaczęła praczka, ale on nie dał jej skończyć i podniósł rękę na znak, że nie życzy sobie wdawać się w dyskusję ani słuchać niepotrzebnych komentarzy.

W tej chwili wpadła Julka i zachwycona przyskoczyła do kuzyna.

- Tak ślicznie się teraz nazywasz! - wołała. - Juniusz, Juniusz! To bardzo piękne imię. Mogę pójść z tobą? - Pełna podziwu ujęła rękę chłopca.

- Nigdzie nie pójdziesz! - krzyknęła praczka. - Zabraniam ci na przyszłość...

- Zabraniasz, obywatelko? - spytał bohaterki Juniusz takim tonem, że zaniepokoiłem się o bezpieczeństwo wdowy Clouet. Dobrze pamiętałem gorliwą działalność Brutusa i Kasjusza, której moja stara przyjaciółkaomal nie przypłaciła życiem.

- Chodź, Julko - powiedziałem prędko - coś ci pokażę. - Ale dziewczynka nie zwróciła na mnie uwagi, nie byłem przecież tak wspaniale wystrojony i uczepiona ręka kuzyna podreptała za nim.

- Julka, moje dziecko - powiedziała praczka cicho dziwnie zmienionym głosem i ciężko oparła się o balię.

- Nie desperuj, obywatelko - usiłowałem ją pocieszyć. - Julka zawsze lubiła Janka, nic więc dziwnego, że teraz... Imponuje jej... to przecież dziecko.

- Pójdę po nią - oderwała się od balii i wytarła fartuchem ręce.

- Nie trzeba - powstrzymałem ją - wkrótce przecież wróci, a potem wytłumaczysz jej, obywatelko. Julka zawsze była dobrym dzieckiem. Nie narażaj się na przykrości.

- Na przykrości - powtórzyła z goryczą. - Powiedz raczej na niebezpieczeństwo. I to mój rodzony siostrzeniec... gotów mnie wydać.

- On teraz gotów wydać ojca i matkę, gdyby stanęli mu na drodze - zauważyłem.. - Ma pieniądze i poczucie władzy. Ciekaw jestem, kto zapłacił za ten strój, którego nie powstydziliby się sam znany z elegancji obywatel Robespierre.

- Sprzedał się - wyrzuciła przez zaciśnięte zęby. - Ale czyż nie wiedzą, że to smarkacz, głupi smarkacz?

- Tacy właśnie głupi smarkacze potrzebni są do mało szlachetnej roboty. Te wszystkie donosy... Co drugi Francuz to judasz. Czasy są tak ciężkie, że właściwie nie powinno nikogo dziwić, w jak podły sposób ludzie zdobywają pieniądze.

- Ale to syn mojej siostry! - jęknęła. - Znałam go od urodzenia. Był taki maleńki... - rozplakała się.

Miałem dość całej tej historii, a musiałem co dzień wysłuchiwać żalów mojej praczki. Julka czatowała na kuzyna i gdy wracał do domu wymykała się na górę. Matka nie potrafiła dać sobie z nią rady. Dziewczynka, do niedawna dobra i serdeczna, stała się krnąbrna i nieposłuszna. Mnie wyraźnie unikała, a jak do niej zagadałem, odpowiadała opryskliwie i niegrzecznie.

- Nauka w las nie idzie - powtarzała praczka wygrażając pięścią w stronę wyższego piętra. - Ja mu tego nie daruję.

Obywatel Juniusz postanowił wreszcie zabrać się i za moją edukację.

- Słuchaj, obywatelu - zastąpił mi drogę, gdy szedłem z pustym wiadrem po wodę. - Dlaczego nie bywasz na zebraniach naszej Sekcji?

- Nie mam czasu - burknąłem. - Muszę pracować na chleb.

- Mógłbyś więcej zarobić - powiedział znacząco.

- Jestem kaleką - usiłowałem wyminąć go.

- To nie przeszkoda - zapewnił wyniośle. - Rewolucja potrzebuje wszystkich obywateli.

Był śmieszny w tej swojej pyszałkowej pewności siebie, jaką daje poczucie władzy i ważność własnej osoby. Ale jednocześnie mógł być bardzo niebezpieczny.

- Czego sterczysz u ciotki? - Przysunął się do mnie tak blisko, że z przyjemnością trzasnąłbym go w tę nalaną gębę. Lęk jednak trzymał na wodzy moje chęci. Lęk, który nie opuszcza niewolnika. Nie byłem więc wolny, a wraz ze mną i te dwadzieścia osiem milionów Francuzów według ostatniego spisu ludności.

- Bywałem na zebraniach Sekcji - powiedziałem, gdy się nieco uspokoiłem - ale jestem za głupi... nie wszystko rozumiem... - Pragnąłem jak najszybciej odczepić się od niego.

- Tak - przyznał z fałszywym współczuciem - ale nie martw się - dodał prędko. - Może i ty potrafisz kiedy przydać się Rewolucji. Tylko nie namawiaj Julki, by do mnie nie przychodziła - dokończył mijając mnie. - To przyjacielska rada - rzucił już w bramie i nie obejrzał się nawet, tak był pewny, że jego słowa nie przeszły mimo moich uszu.

Całą nagromadzoną we mnie wściekłość mogłem wyładować dopiero w domu przed Wilfredem.

Wkrótce jednak ważne sprawy usunęły Juniusza z moich myśli. Oto Konwent wydał dekret zabraniający jednej osobie piastowania kilku urzędów: "funkcji obieralnych i stanowisk opłacanych przez państwo" - tak głosiła nowa ustawa.

Wielu było takich, a wśród nich i szewc Simon. Preceptor małego Kapeta był jednocześnie delegatem Komuny. Karierę swoją zaczął jako członek Sekcji Kordelierów, a jeśli nie brał czynnego udziału w jej obradach - nie bardzo czasem rozumiał, o co mówcom chodziło - to nigdy nie opuścił żadnego zebrania. Zawsze obecny, otwierał szeroko oczy, a takie słowa jak "władza ludu, zbrodnie tyrana czy śmierć arystokratom" wywoływały w nim entuzjazm i podziw dla tych,

którzy potrafili tak umiejętnie ich używać.

Wszyscy go widzą, wszyscy zauważają, z jakim zajęciem ten niemłody sankiulota w czerwonej frygijce na głowie przysłuchuje się obradom i przemówieniom.

Z wieloma ze swych współtowarzyszy Simon spotyka się po zebraniu w narożnej winiarni. Dobrze jest przepłukać gardło po patriotycznych okrzykach. Wówczas też zaczyna interesować się prasą, a szczególnie zachwyca go rozchwytywana gazeta "Ojciec Duchesne". Pożycza ją od sąsiadów i choć nie wszystko rozumie, pełen jest podziwu dla autora. Bo to przecież ojciec Duchesne, nie kto inny, nie zawahał się napisać: "Drzyj poroniony płodzie don Kiszota" – chodziło zaś o generała La Fayette'a po jego podłej zdradzie. Simon, podobnie jak ja, nie wie naturalnie, kto zacz ów don Kiszot. Myśli, że to pewnie jaki plugawy arystokrata emigrant. Mnie jak zwykle oświecił Wilfred, zawsze chętny do pomocy.

Autorem artykułów, a zarazem wydawcą gazety jest niejaki Hebert, elegancik jak z igły, pachnący pudrem i lawendą. Ówże Hebert raczył zauważyć tak gorliwego członka klubu, który niczym filar podpierał sklepienie dawnego kościoła Kordelierów.

Naturalnie wszystkiego tego dowiedziałem się od Wilfreda, a Simon, z uwagi na jego wysoki urząd "preceptora", szczególnie mnie interesował. Znałem go przecież, widując dość często, póki mieszkał jeszcze w domu mojej praczki. A teraz oto najnowszy dekret Konwentu postawił go przed trudnym wyborem. Albo pozostać nadal "preceptorem", albo delegatem Sekcji, czyli jak mówiono "wysłannikiem ludu", lud bowiem zdobył ratusz i ustanowił tam nieustające posiedzenia powstańczej Komuny.

Do tej właśnie instytucji obywatel Hebert wprowadził Simona, a szewc, gdy nadeszła chwila podjęcia decyzji, wołał na ratuszu gardłować przeciw wrogom ludu, niż parać się "wychowaniem" małego Kapeta.

Właściwie nie była to żadna z jego strony ofiara, z wychowaniem "wilczego szczenięcia" połączone było przecież wyrzeczenie się wielu przyjemności, jakich dostarczał Paryż. Przede wszystkim Simon czuł się więźniem, nie miał prawa opuszczać powierzonego jego pieczy dziecka i nie wolno mu było przekroczyć ciężkiej żelaznej bramy. Posiedzenia w pobliskiej winiarni stały się więc nieosiągalnym marzeniem, a ponieważ zagwarantowano mu bezpłatne mieszkanie na terenie Temple w razie, naturalnie, gdyby zrzekł się zaszczytnej funkcji preceptora, uczynił to bez wahania, rad z odzyskanej wolności.

- Za stary jestem, by niańczyć parszywego bachora - oznajmił żonie, ta jednak niezbyt kwapiła się do powrotu na własne gospodarstwo. Kobieta wołała już doglądać chłopca, niż uganiać się za kupnem trudno dostępnych wiktuałów, gotować, prac i łamać głowę nad zdobyciem opału.

Ale Simon nie zmienił decyzji. Zresztą czy ten postępek nie przysporzył mu chwały? Sam obywatel Hebert, uwielbiany "ojciec Duchesne", unosił się nad tak wysoko pojętym patriotyzmem.

Ponadto pozostawała mu pozycja urzędnika Komuny. Od czasu, gdy jako świadek wystąpił w procesie Marii Antoniny, spodobały mu się posiedzenia Trybunału, a ważność własnej osoby nieco zawróciła mu w głowie. Nie był już byle kim. Sam obywatel Chaumette, przyjaciel Heberta i wysoki rangą członek Komuny powiedział nawet, gdy Simon obejmował stanowisko preceptora: "stajesz się więc, obywatelu, następcą Fenelona". Szewc nie miał co prawda pojęcia, kim był ów Fenelon - ja zresztą podobnie, dopiero od Wilfreda dowiedziałem się, że chodziło o wychowawcę wnuka Ludwika XIV.

Obywatel Hebert nie wypuścił i nadal Simona spod swojej opieki. To on wystawił kandydaturę szewca na książęcego preceptora, prezentując swego protegowanego jako najczystszej wody patriotę i rewolucjonistę. On też wyjednał nowe dobrodziejstwo dla Simonów: oto dostaną darmowe mieszkanie w obrębie Temple, co prawda przy stajniach, ale za to z pełnym utrzymaniem, za które nie zapłacą ani grosza. Do swego nowego domu mogą poza tym zabrać, co zechcą.

Piątego stycznia Simon oficjalnie złożył dymisję z zajmowanego stanowiska, a następnego dnia wdowa Clouet wróciła z Temple z wypiekami na twarzy.

- Simon nie jest już preceptorem małego - oznajmiła podniecona. - Wyobrażasz sobie, co to będzie? Dziecko dostanie się może w jakie gorsze ręce.

- Tak - powiedziałem. - Słyszałem, że Simon złożył dymisję. Nie będzie więcej preceptora przy

małym Kapecie. Komitet Ocalenia Publicznego nie widzi potrzeby wyrzucania pieniędzy. Utrzymanie więzienia Temple zbyt dużo kosztuje.

Wszystko to powiedział mi Wilfred, gdy wrócił z posiedzenia Konwentu.

- No to co będzie? - zapytała. - Czy dopuszczają nas do Karolka?

Bardzo to było dla niej ważne, gdyż jedynie podczas wizyt w więzieniu odnajdywała swoją dawną Julkę. Dziewczynka zapomniała wówczas o wspomniałym Juniuszu i cieszyła się na spotkanie z małym przyjacielem.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć na jej pytanie, i tylko wzruszyłem ramionami.

Przeprowadzkę Simonów naznaczono na dziewiętnastego stycznia. Była to niedziela, a tak się złożyło, że jednocześnie przypadał koniec dekady, a więc dzień wolny od pracy.

Wilfred wyszedł wcześniej rano, a wrócił późno zmordowany i ponury.

- Co się stało? - spytałem.

- Simonowie przenieśli się do nowego mieszkania przy stajniach - oznajmił, wyciągając się na łóżku.

- Byłeś tam? - zdziwiłem się.

- Rozmawiałem z jednym z komisarzy, któremu właśnie przypadł dyżur przy chłopcu. Straszny tam gwałt i zamieszanie, a na jutro, gdy już nie będzie Simonów, zamówiono robotników.

- Jakich robotników? Po co?

- Zobaczymy - mruknął i nie odezwał się do mnie przez cały wieczór.

Uszanowałem jego zmęczenie i nie zadawałem pytań. Po kilku dniach moja praczka, nie wiem jaką drogą, otrzymała niepokojące informacje.

- Coś tam robią w tym więzieniu, gdzie zamknięto chłopca - powiedziała, gdy Julka wybiegła na podwórze. - Piłują i stukają. Boję się o dziecko.

- A cóż mu mogą zrobić?

- Wszystko co najgorsze - mruknęła. - Simonów oddalili i nie mają już oni prawa wstępu do wieży. Kto teraz skontroluje, co się tam dzieje?

- Jak to, kto? Komisarze dyżurni - starałem się ją uspokoić. - Przecież zmieniają się co dwadzieścia cztery godziny i...

- Właśnie nawet ich to przeraża - przerwała. - Te jakieś tajemnicze przygotowania. Czyżby chcieli małego żywca zamurować?

- Co mówisz, obywatelko! - oburzyłem się. - To nie byle jaki więzień. I on, i siostra są "Zakładnikami Narodu". Mogą jeszcze przydać się Francji.

- Francja ich nie potrzebuje - stwierdziła z goryczą. - Gdyby do czegoś mogli się przydać, to ani Ludwik, ani pani Antonina nie zostaliby zgilotynowani. Może zresztą i byliby potrzebni, gdyby nasze wojska nie odniosły tak wspomniałych zwycięstw... Ale Valmy zdecydowało o ich losie.

Mądra była moja praczka, nigdy jej nawet nie podejrzewałem o taką wnikliwość w ocenie sytuacji. I miała rację. Sam to teraz wyraźnie widziałem. I król i królowa to były pionki w politycznej grze. Póki zwycięstwo nie przechylało się na stronę wojsk Rewolucji, można było negocjować z Wiedniem i w razie czego wymusić pokój. Ale po Valmy zakładnicy przestali być potrzebni. Ich śmierć miała pokazać całej Europie potęgę Republiki. Nie bano się już niczego.

Wieczorem zagadnąłem Wilfreda:

- Czy wiesz, co tam robią w Temple?

- Chcą odizolować chłopca - mruknął.

- Ale kto to postanowił? - dopytywałem się.

- Hebert, Chaumette, a Konwent wydał odpowiednie zarządzenie.

- I jak to sobie wyobrażają?

Wzruszył ramionami i milczał. Widocznie sam niewiele jeszcze wiedział.

Wkrótce potem moja praczka wróciła z Temple bardziej wzburzona niż zwykle.

- Simonowie wyprowadzili się w niedzielę - oznajmiła (podobnie jak ja, nie mogła przyzwyczaić się do nowego kalendarza).

- Czy to daleko od wieży? - spytałem.

- Niedaleko, na stajennym podwórzu. Raz dwa się uwinęli. Porośli w pierze i więcej mają teraz

tłumoków niż wówczas, gdy się tu wprowadzali. Najgorsze, że dziecko jest chore, choć uparcie twierdzą, że chłopak zdrowy jak ryba. Doktor Thierry odwiedzał go od czasu do czasu, ale gadają, że już niepotrzebny. A przecież niedawno jeszcze mówili, że chory. Mnie znowu do niego nie dopuszczono. Byłam tylko na górze...

- Skąd to wszystko wiesz, obywatelko?

- Wiem. A skąd, nie pytaj.

Nie pytałem więc. Ale pewnego dnia, gdy wstaliśmy od bardziej niż skromnego obiadu, zjawił się nagle nieoczekiwany gość. Julka na szczęście była u sąsiadów, a i ja zaraz poszedłem do zwykłej roboty. Wdowa Clouet zresztą nie uważała za potrzebne dokonywać jakiegokolwiek prezentacji, a gościa przyjęła jak dobrego znajomego.

Pod wieczór, gdy szykowałem się do wyjścia, wybuchnęła nagle:

- Nieszczęsne dziecko! żywcem go zamurują!

- Niemożliwe - zaprotestowałem.

- Wszystko już przygotowane, czekali tylko na odejście Simonów. Konwent uznał, że niepotrzebni specjaliści opiekunowie. Wystarczą dozorczy i dyżurujący komisarze.

- Słyszałem o tym, ale nic nie mówiono o zamurowaniu.

- To jak nazwiesz te wszystkie przygotowania, tych stolarzy i ślusarzy, murarzy i cieśli, co tam się kręcą cały dzień?

- A coż oni robią?

- Robią, co im kazały te potwory - zaperzyła się. - Odcinają dziecko od ludzi, od świata, ot co robią. Okno już tak zaciemnione drewnianą zasłoną, że w pokoju wieczny mrok, wybili w ścianie dziurę, wstawili w nią piec. Palenisko od strony korytarza, więc mały krzywdy sobie ogniem nie robi. Widzisz, jacy to troskliwi opiekunowie. Drzwi zamknięte na klucz, a obok w ścianie okienko, również zamykane, kędy więźniowi podają posiłki.

- Jak to i nikt tam nie wchodzi?

- A wchodzi, wchodzi. Tymczasem dyżurni komisarze co dzień sprawdzają, czy chłopiec jest na miejscu. I wiesz, co mówią? Gdy wchodzi, pytają: "śpisz, Kapecie?", a potem rozkazują: "Wstawaj Kapecie!" Jak do starego zbrodniarza. A to przecież dziecko... - zachlipała.

Dawno nie byłem tak wzburzony jak tego wieczoru, gdy wstępowałem na nasze schody. Wilfred był już w domu ponury jak zwykle ostatnio.

- Czy wiesz, co mi opowiedziała praczka? - Nie zdążyłem nawet postawić na stole koszyka z wieczerzą.

- Wiem wszystko - mruknął.

- I Konwent na to pozwala? A jeśli będzie potrzebny "Zakładnik Narodu"?

- "Zakładnik Narodu" nikomu już niepotrzebny, a Konwent boi się króla.

- Króla? Jakiego króla? Przecież króla już nie ma.

- Czy nie wiesz, co wołano po śmierci każdego króla Francji? "Król umarł! Niech żyje król!"

- No tak, ale to było dawniej. Ostatni król zginął na szafocie i nie ma po nim już żadnego innego.

- Mylisz się. Ludwik XVI zginął, ale żyje Ludwik XVII.

- Mówisz o tym dziecku?

- Mówię o królu Francji. Nie zapominaj, że są jeszcze ludzie, dla których ten chłopiec zamknięty w wieży Temple jest ciągle królem.

- I dlatego ma zginąć, że jacyś głupcy uważają go za króla?

- Dla tych głupców on jest królem - powiedział z naciskiem. - Jest ciągle Jego Królewską Mością Ludwikiem XVII. A czy zginie...

- Wilfredzie, nie mogę o tym myśleć! - wybuchnąłem. - Nie mogę myśleć o tym dziecku pozbawionym opieki, światła i powietrza. Do licha z Jego Królewską Mością, to przecież tylko dziecko, zwykłe dziecko, takie samo jak dziecko najędzniejszego włóczęgi!

- Nie takie samo - zaprzeczył. - Dziecko włóczęgi jest wolne, bawi się z innymi dziećmi, biega, gdzie chce, wygrzewa się w słońcu, żyje wśród ludzi i choć głodne, może czuć się szczęśliwe. Podczas gdy on...

- Więc co z nim będzie?

- Czy wiesz, jak nazywała go Maria Antonina? - odpowiedział pytaniem, które wydało mi się zupełnie nie na miejscu.

- Jak?

- Moje słodkie kochanie - powiedział cicho.

Nie wiem, czy chciał coś jeszcze dodać. Co do mnie, miałem dość tej rozmowy i uciekłem do mego pokoju.

XI

Porządnie zmarłem w powrotnej drodze do domu. Padał mokry śnieg, a wiatr leciał wyludnionymi ulicami, tarmosząc pusty rękaw mojego kaftana. Paryż zamarł jak gdyby tego wieczoru, przestał być wesołą stolicą świata. Kopcące ogarki za brudnymi szybami wskazywały na biedę i brak nadziei. Najplugawsza bowiem nora służąca za mieszkanie, czy łachman na grzbiecie nędzarza nie broniły przed oskarżeniem o zdradę Republiki. Stopnie szafotu deptały nie tylko trzewiki ze srebrną klamrą, nierzadko dudnił po nich ciężki krok drewnianych chodaków.

- Obywatel Perrin ma gościa - przywitała mnie matka Jourdan podając koszyk z wieczerzą. - Będzie u was nocował - dodała, gdy wychodziłem.

Gość grzał się przy żelaznym piecyku rozpalonym prawie do czerwoności. Coś mówił, ale zamilkł, gdy otworzyłem drzwi.

- Oto Bertran Peyrade, a to Jakub Hublot, mój dawny przyjaciel. - Wilfred dokonał prezentacji.

- Witaj, obywatelu - powiedziałem i postawiłem koszyk na stole.

Gdy zasiedliśmy do jedzenia, mogłem swobodnie przyjrzeć się Jakubowi Hublot.

Był trochę starszy od Wilfreda, ciemnowłosa, o dużych niebieskich oczach. Krępy, mocno zbudowany, musiał posiadać nie byle jaką siłę. Wyglądał trochę na marynarza, tak mi się przynajmniej zdawało, gdyż prawdziwego marynarza nigdy nie widziałem.

- Jakub przywozi nam wiadomości od naszych przyjaciółek - zaczął Wilfred napełniając szklanki winem, które matka Jourdan zdobywała nie wiadomo w jaki sposób.

- Jakże się miewają?

- Doskonale. - Głos Jakuba Hublot pasował do jego statury. Był głęboki i przyjemny dla ucha.

- Wyobraź sobie, że Lucylka wychodzi za mąż - oznajmił Wilfred z wyraźną przyjemnością. - Opowiedz wszystko jeszcze raz - poprosił gościa.

- Lucylka wychodzi za mego młodszego brata - uśmiechnął się "marynarz", który jak się wkrótce dowiedziałem, był leśniczym w dobrach jakiegoś byłego arystokraty i nadal mieszkał w powierzonych niegdyś jego pieczy borach.

- A ciotka Anna? - spytałem.

- Ciotka Anna to moja wielka przyjaciółka, obywatelu - powiedział poważnie. - Tobie, zdaje się, zawdzięcza życie.

- Wilfredowi - zawołałem prędko. - Wilfredowi, nie mnie.

- Tak - pochylił głowę w stronę Wilfreda. - Ale gdyby nie ty, Wilfred nigdy by się nie dowiedział.

- Wyciągnął ją z Conciergerie, tego przedsonka śmierci - mówiłem z zapalem - ukrył ją u Lucylki, dbał o jej potrzeby, a wreszcie pomógł obu kobietom wyjechać.

- Wiemy, wszystko wiemy - pokiwał głową. - Opowiadały nam.

- I dobrze im w tej Normandii?

- W Normandii jak wszędzie, tak jak i tu - rozłożył ręce. - Dobrze jest tylko w naszych lasach. Puszcze to ogromne, ludzi nie zobaczysz. Za to zwierza wszelakiego mnóstwo. Polować teraz każdemu wolno, to i głodu nie ma. Tam można zapomnieć o całym świecie, nawet... o Rewolucji - dokończył ciszej.

- Pamiętasz Jakubie, jak nas niedaleko krzyża opadły wilki? - ożywił się Wilfred. - Gdyby nie ty, byłoby po mnie. Ofiarą padł twój pies.

- Mój psi przyjaciel - poprawił Jakub Hublot - ale co do reszty... Przeceniasz moją rolę.

- A nasze lasy? - Wilfred spojrzął na mnie. - Jakub jest leśniczym - dodał dla wyjaśnienia.

- I w dalszym ciągu pełnisz tę funkcję, obywatelu? - spytałem.

- Nie pełnię żadnej funkcji - wzruszył ramionami. - Ot, siedzę w lasach i pilnuję, jeśli tak można powiedzieć. To teraz bezpieczeństwa dobro, każdy ma prawo stawiać sidła, strzelać zwierzynę, zwałać pnie, brać opał czy budulec, bez pytania, bez zezwolenia. A ja muszę milczeć. Rok temu był duży pożar. Pijane wyrostki podpaliły las dla zabawy. Bór jak i reszta ziemi, jak pałac i wszystkie budynki idzie w ruinę.

- To jest tam pałac? - zainteresowałem się.
- duży i piękny. - Nie podniósł oczu znad talerza.
- Właściciel pewnie wyemigrował?
- Pewnie - mruknął.
- Znałeś to miejsce? - zwróciłem się do Wilfreda.
- Znałem - odparł krótko.

- Czy w tym pałacu jest biblioteka? - dopytywałem się z nadzieją, że może znajdzie się tam dzieło doktora Nostradamusa.

- Była - kiwnął głową Jakub Hublot - ale już jej nie ma. Ludzie wyrzucali książki przez okna, rąbali półki i szafy, ułożyli stos i podpálili. Piękna była iluminacja - dodał spuszczać oczy. - Udało mi się chwycić parę tomów, zanim spłonęły. - Westchnął. - Teraz pałac remontują, kupił go pewien handlarz bydła wzbogacony na dostawach dla wojska. Mówią, że dobrze kraść i stąd ma pieniądze.

- Któż to taki? - spytał Wilfred.

- Niejaki Franciszek Cousson, nie znasz go. Przyplątał się niedawno, mówi, że szukał dla siebie rezydencji w naszych stronach, no i znalazł, tylko ludzie już wszystko rozkradali, chwyłali co się dało, to i ja chwyciłem. Lustra rozbili, ale parę portretów udało mi się uratować, wyniosłem nocą. Malarstwo widać nie interesuje nowego właściciela.

Zadrżałem o los Belcastel. Jeżeli i tam...

- Powiedz mi proszę, obywatelu - zwróciłem się do Jakuba Hublot, aby odmienić nieco tok moich myśli - co tam słycać w Wandei? Jak wojna? Zawsze bliżej masz do Bretanii, niż my tu, w Paryżu i więcej możesz się dowiedzieć.

- Wojna... - zasępił się - to nie wojna, to rzeź.

- Po cóż więc się biją? Dlaczego nie złożą broni? Jak mogą występować przeciw Republice? - oburzyłem się. - Obiecano im amnestię, a oni...

- Oni nie chcą amnestii, oni chcą Boga i króla.

- Boga przecież mają, a król... Nie będzie więcej królów we Francji - powiedziałem to z największym przekonaniem.

- Widzisz, obywatelu, to nie takie proste jak myślisz. - Jakub Hublot spojrział bokiem na Wilfreda. - Tamtejsi ludzie to naród pobożny, kochający swoich księży, a skoro Republika ich prześladowa... Ponadto chcą pozostać wierni królowi. Dlatego woleli powstać przeciw Republice, niż iść walczyć z jej wrogami.

- I dlatego walczą z Francją - powiedziałem surowo. - Konwent musiał zabrać ze wschodniej granicy generałów Klebera i Marceau i przerzucić ich na zachód, by pokonać własnego, wewnętrznego wroga. To oburzające.

- Oburzające - przyznał - ale już niedługo tej wojny. Wandeja ledwie dyszy. Ziemia wygląda jak po przejściu huraganu, długo tam nic nie wyrośnie. - Spuścił głowę.

- Sami sobie winni - mruknąłem - jeżeli podnoszą rękę na Francję.

- Nie na Francję - sprostował. - Na Republikę. Oni tak myślą. A czy wiesz obywatelu, kto to jest Carrier?

- Nie.

- Szkoda. To członek Konwentu delegowany dla spacyfikowania Wandei. A czy słyszałeś, co się stało w Nantes?

- Nie, nie słyszałem.

- Szkoda - powtórzył.

- Mów, obywatelu, co się tam stało?

- Obywatel Carrier przybył do Wandei z misją specjalną. I udało mu się przeprowadzić to, co zamierzył. Wszystkich więźniów - a było ich wielu - przeważnie księży, kobiety z dziećmi, niedołążni starcy, załadowano na barki i tratwy, spuszczone na wodę, oddalono się od brzegu i zatopiono. Nikt się nie uratował. żaden Bretończyk tego nie zapomni. A ostatnio... Słyszałeś chyba, co to są "piekielne bataliony"?

- Nie.

- Szkoda - powtórzył po raz trzeci. - To są wojska generała Turreau tak nazwane, gdyż po ich przejściu ziemia staje się pustynią. Widzisz więc, że zdławienie powstania w Wandei to kwestia dni. - Powiedział to jakimś dziwnym tonem.

- Nie wiedziałem o tym.

- Mało tu kto o tym wie - pokiwał głową. - Tylko my tam, co widzieliśmy.

- To straszne - szepnąłem. Było mi dziwnie wstyd. - Ale przecież Rewolucja, żeby zwyciężyć, musi pokonać wrogów. - Wypowiedziałem to zdanie tłumaczące wszelkie nadużycia popełniane w imię wolności, równości i braterstwa bez zwykłego przekonania.

- Rewolucja zwycięży - stwierdził Jakub Hublot. - Musi tak być. Wandeja jest sama, nikt jej nie pomaga. Dlatego zginie.

- Mój Boże!

- Nie martw się obywatelu - uśmiechnął się. - Francja przeżyła najazd Hunnów i wojnę Stuletnią. Z Rewolucji też wyjdzie.

- Mój Boże. - Było mi coraz ciężej na sercu.

- Ty w każdym razie walczyłeś za Francję - powiedział poważnie. - Za nią przelałeś krew. Republikę proklamowano nazajutrz po bitwie pod Valmy.

- Bardzo jesteś uczony, obywatelu - zauważyłem z podziwem - znasz tak dobrze historię. Nie wiem, kto to byli Hunnowie... O wojnie Stuletniej coś niecoś słyszałem.

- Gdybyś siedział w tak głębokich lasach jak ja - uśmiechnął się znowu - czytanie byłoby dla ciebie najmiłą rozrywką.

Długo jeszcze gadaliśmy, ale już na radośniejsze tematy. Dowiedziałem się, że brat Jakuba, Mateusz, bardzo jest zakochany w Lucylce, ona podziela jego afekt, a ciotka Anna wielce jest z tego rada.

- Przyjedź do nas, obywatelu. - Jakub Hublot popatrzył na mnie z życzliwym uśmiechem. - Dobrze w naszym lesie, cicho, nie dociera tam zgiełk Rewolucji.

- Pojechałbym chętnie, byle dalej od Paryża - wyrwało mi się. Spojrzałem z nadzieją na Wilfreda, ale mój przyjaciel miał chmurną twarz, a na zwrócone do niego zaproszenie gościa pokręcił przecząco głową.

Tej nocy śniły mi się ogromne bory, puszcze niezgłębione. Błądziłem wśród wysokich pni, splecionych gałęzi, przedzierałem się przez gęstwinę, brodziłem w poszyciu z mchów i paproci, zasłuchany w szczebiot ptaków i szum wiatru albo morza. Czy przebywałem w Normandii, czy w Wandei? Nie wiem. W każdym razie daleko od Paryża. Po przebudzeniu rzeczywistością okazał się jedynie wiatr, a właściwie wicher bijący śniegiem w okna, aż drżały szyby.

Jakub Hublot złożył już swoje posłanie - spał na podłodze - i podkładał drwa do piecyka.

- Pojedź ze mną - ponowił zaproszenie. - U nas nigdy nie zmarzniesz.

- Nie zostawię Wilfreda - powiedziałem stanowczo i zbiegłem do matki Jourdan po koszyk ze śniadaniem.

Gdy wychodziłem do mojej praczki, zostawiłem ich siedzących jeszcze przy stole. Jakub opowiadał o wspólnych znajomych, o tragicznej śmierci niejakiego Jana Alaina, którego Wilfred musiał dobrze znać.

Od piecyka szło przyjemne ciepło i nie bardzo chciało mi się wyjść na śnieg i zawieruchę. Na szczęście wiatr zmienił kierunek i nie był już taki lodowaty. Najwyraźniej nadchodziła odwilż.

- Julka chora - przywitała mnie praczka. Była blada i miała podkrążone oczy. Widać nie spała tej nocy. - Idź po doktora Texier, a przy okazji rozniesz bieliznę - dodała.

Zabrałem więc bieliznę i poszedłem. Szczęśliwie zastałem lekarza jeszcze w domu. Razem wróciliśmy do praczki.

Julka miała rozpalone policzki i zbyt błyszczące oczy.

- Czy tylko nie jakaś zła choroba - biadała wdowa Clouet okrywając starannie dziewczynkę.

- Przeziębienie - zawyrokował doktor. - Nie myśl, obywatelko, o żadnej złej chorobie. Przeziębienie wystarczy. Mała ma wysoką gorączkę. Naparz rumianku, dobrze jej to zrobi.

Chora grymasiła, nie puszczała matki od siebie.

- Posiedź przy niej - poprosiła w pewnej chwili praczka. - Ja muszę do kuchni...

Tak więc minął mi ten dzień przy łóżku chorej Julki. Dziewczynka rada była z mego towarzystwa. Opowiedziałem wszystkie znane mi z dzieciństwa bajki i na jej prośbę mówiłem o naszym Południu.

- Ładnie tam - stwierdziła wreszcie.

- Bardzo ładnie.

- I wrócisz do domu?

- Wrócę.

Potem znów zaczęła grymasić i popłakiwać.

- Niech tu przyjdzie Juniusz - powiedziała w pewnej chwili. - Idź po niego. Chcę, żeby mi opowiadał o gilotynie.

- Nie lepsze moje bajki? - zapytałem.

- Lepsze, ale chcę o gilotynie. Juniusz obiecał, że mnie kiedyś zabierze... Muszę zobaczyć, jak podłym arystokratom obcinają głowę, jak leje się krew. Idź już - popędzała mnie - niech zaraz przyjdzie.

Wdowa Clouet z rezygnacją kiwnęła przyzwalająco.

Juniusz pisał coś pracowicie przy stoliku założonym papierami.

- Julka prosi cię, obywatelu - powiedziałem od progu - jest chora i chce cię widzieć.

- Chora? - Podniósł na mnie przestraszone oczy. - Na co chora.

- Nie wiem. Doktor mówi, że to przeziębienie. Ma wysoką gorączkę.

- Jeżeli ma gorączkę i ciot... obywatelka Clouet wzywała lekarza, to musi to być coś poważnego - zauważył odsuwając papiery.

- Może i poważnego - zgodziłem się. - Biedactwo oczekuje cię z niecierpliwością.

- Ale ja nie mogę... - Był wyraźnie zakłopotany. - Jeżeli to niebezpieczne... a może zaraźliwe... Ja nie chcę. Mam ważną funkcję w Sekcji. - Wydał wargi. - Powiedz jej, że nie mam czasu. Widzisz - wskazał stolik i rozłożone papiery - piszę właśnie pilny raport. Nie mogę... doprawdy nie mogę.

Powtórzyłem wiernie mojej praczce odpowiedź Janka - Juniusza.

- Dobrze - nie ukrywała zadowolenia. - Może ją to wyleczy z tej głupoty. Zaraz powiem...

- Nie trzeba, obywatelko - powstrzymałem ją. - Julka to przecież dziecko. Chore dziecko.

Będzie płakać.

Przystanęła w drzwiach.

- Masz rację - mruknęła. - Głupia jestem. - Pogłaskała mnie po policzku. - Powiedz jej, że jeszcze nie wrócił.

- Ale jak wróci, to przyjdzie? - dopytywała się Julka.

- Przyjdzie - skłamałem. - Jeżeli nie wróci zbyt późno. Opowiem ci teraz o jednym chłopcu z Rignac, którego kiedyś znałem.

- Nie chcę o chłopcu. Chcę o gilotynie. Widziałeś, jak pani Antoninie obcinano głowę?

- Julko - wzdrygnąłem się. - Po co wspominać takie straszne rzeczy?

- To nie straszne, to sprawiedliwość ludu - wygłosiła z powagą. - Juniusz jest bardzo mądry, nie taki jak ty, i wszystko wie o gilotynie i o tych podłych arystokratach. Muszę to zobaczyć. Juniusz obiecał. Mamo, kiedy ja wyzdrowieję?

Byłem zdenerwowany i zniechęcony. Zabawianie tego żadnego krwawych widoków dziecka zmęczyło mnie bardziej, niż najcięższa praca, jaką kiedykolwiek wykonywałem u wdowy Clouet.

Praczką była niemniej przerażona ode mnie.

- Jak to się stało? - biadała. - Co ten łotr plecie temu dziecku?

Z przyjemnością znalazłem się na ulicy, gdzie mimo chłodu lżej jakoś było oddychać.

- Macie jeszcze jednego gościa - oświadczyła matka Jourdan z uśmiechem podając mi koszyk z wieczerzą. - Ładna dziewczynka, owszem - dodała kiwając głową. - Ładna, ale mizerniutka.

Dziewczynka z pewnością byłaby ładna, gdyby nie jej chudość i wyraz tępego przerażenia na chorobliwie bladej, nieledwie szarej twarzy.

Długie, sięgające ramion włosy miały odcień starego złota. Była wysoka, biednie ubrana, chudziutka ręka zaciskała końce skrzyżowanej na piersi chustki.

- To Anetka, krewniaczka Jakuba - przedstawił gościa Wilfred. - Pojedzie z nim do Normandii.
- Odchuchamy biedactwo - uśmiechnął się Jakub Hublot do dziewczynki.
- Odstąpię jej mój pokój - powiedziałem prędko. - Niech dobrze wypocznie.

Dziewczynka jadła niewiele, nie odzywała się prawie wcale i zaraz po kolacji Wilfred zaprowadził ją do mojego pokoju.

- Odjeżdżam jutro o świcie - oznajmił Jakub. - Może się namyśliłeś, obywatelu? Konie i wóz już przygotowane do drogi. Moje kasztany rozleniwiły się przez te parę dni.

Tej nocy spałem na podłodze owinięty w derkę, blisko dobrze jeszcze ciepłego piecyka. Przypomniały mi się czasy Valmy i obóz pod Chalons.

Goście wyszli, zanim wzeszło słońce. Wilfred odprowadził ich do oberży "Pod czapką frygijską", gdzie Jakub zostawił konie. Tam mieli zjeść śniadanie. Zabrali tylko na drogę spory koszyk wiktuałów, jaki naszykowała im matka Jourdan.

Czekałem na Wilfreda, ale długo nie wracał i musiałem wreszcie pospieszyć do mojej praczki.

Julka była bardzo chora. Doktor Texier obawiał się zapalenia płuc. Wdowa Clouet całą noc przesiedziała przy dziecku. Miała zapłakane oczy i drżące usta.

- Dobrze, że przyszedłeś - przywitała mnie i od razu posłała do apteki po synapizmy.

Gdy wreszcie obłożono małą tymi plastrami z gorczycą, odetchnęła jak gdyby z nadzieją na szybkie polepszenie.

Dziewczynka już nie wzywała Juniusza. Leżała cichutko ciężko dysząc i aż mi się na płacz zbierało, gdy na nią patrzyłem.

Aptekarz dał mi także torebkę ziół, które kazał naparzyć, a potem poić chorą co dwie godziny.

Starłem się być jak najbardziej użyteczny mojej praczce w tym ciężkim dla niej dniu, ofiarowałem się nawet pozostać na noc, ale nie zgodziła się.

- Posiedzę sama - powiedziała krótko. - I tak nie mogłabym spać. Przyjdź rano.

Wbiegłem szybko po schodach balansując koszykiem, w którym podzwaniały garnuszki z wieczerzą. Wilfred już na mnie czekał.

- Jak mała? - spytał od razu.

- Źle. Doktor niespokojny, a biedna praczka... Powiedz mi co to za dziewczynka? Jakub zabrał ją do swoich lasów?

- Zabrał. To nie dziewczynka, to chłopiec.

- Nie ufaliście mi - stwierdziłem z gorczycą.

- Nie, tylko chłopiec jest zbyt przerażony, stracił rodziców.

- Czy ich...

- Tak - skinał głową. - Zgilotynowani. Chłopiec pojechał jako córka Jakuba. Biedak przeżył straszne chwile. Cudem udało się... - zamilkł, a po chwili dodał: - Odżyje w domu Jakuba, choć nigdy nie zapomni.

Zasiedliśmy do kolacji.

- Więc Lucylka wychodzi za mąż - zacząłem, aby powiedzieć coś bardziej radosnego po tych wszystkich tragediach.

- To doskonała wiadomość - przyznał Wilfred. - Lucylka potrzebuje opiekuna. Jest sama na świecie, a ciotka Anna długo nie pożyje. Rozumiesz chyba, jaka to dla mnie ulga. Wziąłem ją jak gdyby pod moje skrzydła i po trosze jestem za jej los odpowiedzialny.

- Pamiętaj, była w tobie zakochana. - Nałożyłem sobie na talerz sporą porcję fasoli matki Jourdan.

- Nie, nie - zaprzeczył gorąco. - Nie zakochana. Po prostu wyobraziła sobie... Wówczas, gdy mnie aresztowano, stanęła tak bohatersko w mojej obronie. Ale to nie była miłość, o nie... - potrząsnął głową.

- Skąd wiesz?

- Człowiek, który kocha, jest wyczulony na sprawy serca - powiedział cicho.

- Właśnie dlatego uważam...

- Jesteś jeszcze bardzo młody - przerwał.

- Mam dwadzieścia lat i byłem na wojnie.

- Dwadzieścia lat! - westchnął. - Cóż to jest?

- To dużo - zaprotestowałem. - Cieszę się naturalnie z powodu Lucylki...

- To wielkie szczęście. Będzie miała przy sobie kochającego człowieka, który da jej dom, otoczy miłością i opieką. Będzie bezpieczna i nie zazna biedy.

- Tak, ona będzie bezpieczna - powtórzyłem. - A ile dziewcząt osieroconych przez Rewolucję, pozbawionych domu, błąka się bez pomocy i bez opieki! Chociażby panna Gabriela! - wyrzuciłem gwałtownie. - Moja panna Gabriela... któż się o nią troszczy? Kto otacza opieką? Kto kocha? Kto chroni od złego? Czy jest przy niej ktoś taki?

- Mówiłeś, że ma ojca.

- Ojciec jest stary, może już nie żyje.

- Słuchaj - odłożył łyżkę i spojrzał na mnie. - Co ty właściwie sobie wyobrażasz?

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o ciebie i o pannę Gabriellę.

- Właśnie o niej mówię. Lucylka będzie szczęśliwa i bezpieczna, a ona? Gdzie ona jest, w jakich żyje warunkach? Czy ma co jeść? Ja dla niej oddałbym życie, a nie mogę nic... nic.

- Słuchaj, Bertranie - zaczął. - Właśnie o to pytam. Kochasz ją, wierzę, oddałbyś dla niej życie, gdyby to miało przynieść jej szczęście. też wierzę. Ale co dalej? Wyobraźmy sobie, że kończy się Rewolucja i panna Gabriela wraca do domu. Jak sobie wyobrażasz jej dalsze losy i twoje? Wiesz przecież, że kocha innego.

- Wiem, ale nie myślę o tym, co będzie, gdy skończy się Rewolucja. Będę szczęśliwy, jeśli wróci do Belcastel, jeśli ją zobaczę... Będę jej służył, bronił od złego... sam nie wiem...

- Otóż to, nie wiesz. A ja wiem.

- Ty? - Podniosłem na niego oczy.

- Tak, ja. Mówiłeś mi, że miała narzeczonego.

- Nie wiadomo, czy ten markiz żyje...

- Nie wiadomo. Ale jeżeli żyje...

- Jeżeli żyje, to... - zamilkłem.

- To co?

- To panna Gabriela wyjdzie za mąż. - Ciężko mi przyszło wypowiedzieć te słowa, ale przemogłem się.

- Dobrze - kiwnął głową. - A ty?

- Ja? Co ja?

- Co wówczas zrobisz?

- Nic. Przecież wiem, że ona nie dla mnie. - Było mi coraz ciężej. - Po co zresztą o tym mówić?

- Trzeba. Nie chcę, żebyś kiedyś cierpiał.

- Ja zawsze będę cierpiał. Nie ma dla mnie ratunku. Ale dlaczego to mówisz? Właśnie teraz?

- Najwyższa pora, żebyś zdał sobie sprawę z sytuacji.

- Rewolucja może jeszcze długo trwać - powiedziałem - i może nigdy nie zobaczę panny Gabrieli.

- Wszystko jest możliwe - przyznał.

- A jeżeli jej nie zobaczę...

- Narzeczonej panny Gabrieli może zginąć - zauważył.

- Jeżeli panna Gabriela nie wyjdzie za mąż - zawołałem - będę jej służyć. Nie opuszczę jej. Przecież wówczas wszystko będzie inne, nie takie jak dawniej. Inne, lepsze i piękniejsze. To, co Rewolucja przyniosła dobrego, to pozostanie. Wilfredzie, po co mnie o to wszystko pytasz?

- Rewolucja może skończyć się bardzo szybko - powiedział cicho. - Szybciej, niż przypuszczamy.

- Ale świat już będzie inny - krzyknąłem. - Nie ma powrotu do dawnego porządku. Francja jest inna i my też zmieniliśmy się. Wszystko jest inne. Panna Gabriela też już nie ta, co dawniej... Francja jest i pozostanie Republiką i...

- Nie wierzysz więc w prorocтва Nostradamusa? - przerwał.

- Racja, Nostradamus... zupełnie o nim zapomniałem. Ma być przecież jakiś cesarz, jak

mówiłeś.

- Ma być - przytaknął z uśmiechem.

- To co się wówczas z nami stanie? - zapytałem pełen niepokoju. - My, jak wszyscy Francuzi, dochowamy wierności Republice.

- Taki jesteś pewien naszych rodaków?

- Jestem pewien - powiedziałem to z pełnym przekonaniem o słuszności mojego sądu. - Ale wiesz co, Wilfredzie, cała ta rozmowa, te wszystkie pytania, które mi zadałeś, wskazują, jakobyśmy się mieli rozstać, żyć z dala od siebie. Ty tu, w Paryżu lub gdzie indziej, a ja tam w Belcastel. Czy tak myślisz naprawdę?

Pokiwał głową.

- Ale tak być nie może! - zawołałem. - Chyba że masz mnie już dość i pragniesz odzepić się ode mnie.

- Nie mów głupstw - rozgniewał się. - Przyszłość jest tajemnicą, cóż my wiemy, co wydarzy się choćby jutro. Gdzie będziemy za tydzień, czy za rok?

- Wilfredzie, przyrzeknij mi jedno - poprosiłem. - Gdzie byś nie był, chciałbym znać miejsce twego pobytu. Nie mogę cię stracić, nie mogę pozwolić, by zerwano tę nić, która mnie do ciebie wiąże. Wiem, jestem dla ciebie niczym... nie, nie, nie zaprzeczaj... ale okazałeś mi tyle serca, tyle przyjaźni...

- Dość Bertranie. - Wstał i podszedł do okna. - Nie mogę tego słuchać. Mówisz same głupstwa. Spójrz lepiej na to światelko na dole... o tam... w sali, gdzie siedzą komisarze. - Wskazał wieżę. - Widzisz? Okna na wyższych piętrach są ciemne. U chłopca nigdy już się nie pali, a te dwie biedaczki też pozbawiono światła.

- Długo będą więzić te kobiety i to dziecko? - wybuchnąłem. - Dlaczego nie odeślą ich do Wiednia?

- Jeszcze nie koniec Rewolucji. Dzieci są zakładnikami i kara śmierci im nie grozi, ale siostra Ludwika...

- A cóż siostra winna?

- Jak to, co winna? Jest siostrą tyrana. Uważasz, że to mało?

- Dlaczego nie uciekła razem z braćmi? Po co została? Pewien jednak jestem, że jej nie zabiją. Co innego, gdyby była królową. Kto jeszcze pozostał tu z tej rodziny?

- Nie ma nikogo. Dwie ciotki Ludwika, Adelajda i Wiktoria, opuściły Francję i poszły na wygnanie jeszcze w dziewięćdziesiątym pierwszym... Udało się Ludwikowi uzyskać zgodę Zgromadzenia na ich wyjazd, były to już zresztą stare kobiety.

- To córki Ludwika XV?

- Tak. Ludwika XV i Marii Leszczyńskiej.

- Wyjechały do Wiednia?

- O nie, do Rzymu. Udały się pod opiekę papieża. Dwie smutne stare panny, Madame Adelajda i Madame Wiktoria, jak je nazywano.

- Siostra Ludwika bardzo źle zrobiła zostając - zauważyłem. - Z ciotkami byłaby bezpieczna.

- Nie chciała opuścić brata i jego dzieci. Po śmierci matki dziewczynka przynajmniej nie jest sama.

- Często o niej myślę - wyznałem. - O tej dziewczynce z wieży Temple. - I porównuję ją z córką mojej praczki. Julka to jeszcze dziecko, podczas gdy tamta prawie już dorosła. I ta mała Julka niesyta jest opowieści o gilotyńi i o śmierci. Co ten głupi Janek zrobił z tego dziecka!

- Wiele jest teraz dzieci zainteresowanych krwawym widowiskiem. Julka to nie wyjątek. Ostatnio w mieście Arras była taka historia, opowiadał mi jeden z członków tamtejszego trybunału przybyły do Paryża.

- Jaka historia?

- Stary hrabia de Bethune miał papugę. Gdy żołnierze przyszli przeprowadzić rewizję w jego domu, "Kubuś" - tak nazywała się papuga - podniecony rewolucyjną śpiewką zaczął wykrzykiwać: "Niech żyje król! Niech żyje król!" Naturalnie zaaresztowano hrabiego, na pół sparaliżowanego kalekę, jego synową, jej ojca i dwie służące. Podczas procesu udało się uratować jedną z nich.

Resztę zgilotynowano. Papugę także skazano na śmierć. Urzędnik, który mi to opowiadał, mówił, że widział dzieci zabawiające się miniaturową gilotyną. Produkowano takie zabawki na dwie stopy wysokie. Dzieci obcinały głowy złapanym ptakom i myszom. Mój rozmówca widział tę "zabawkę" z ostrzem oblepionym zaschłą krwią i piórami. Oto, co można zrobić z dzieci. Wszystko.

- Biedna ta moja praczka! żebyś widział, jaka zgnębiona. To bardzo pocziwa kobieta, ma dobre serce. Mnie przygarnęła i lituje się nad Karolkiem. Oplakała śmierć "pani Antoniny", jak ją nazywa. A teraz tak rozpacza nad Julką

Synapizmy doktora Texier pomogły dziewczynce wydobyć się z choroby. Bardzo jednak powoli wracała do sił. Wychudzona i bledziutka wodziła za mną wzrokiem i ciągle chciała mieć mnie przy sobie. Ani razu nie wspomniała o kuzynie. Gilotyna i jej ofiary też jakoś poszły w zapomnienie.

- Nie wpuszczę tego łotra na próg! - odgrażała się praczka.

Na szczęście Juniusz oszczędził jej wykonania groźby, bo od czasu choroby Julki nie pokazał się w mieszkaniu ciotki.

Tak byłem zajęty, że mało pozostawało czasu na rozmowy z Wilfredem. Mój przyjaciel zresztą wracał późno, a jedną noc spędził poza domem. Gdzie był? Co robił? Nigdy o tym nie mówił. My jednak z matką Jourdan byliśmy bardzo o niego niespokojni.

Czasy stawały się coraz burzliwsze, niebezpieczeństwo czyhało na każdym kroku, za każdym niemal rogiem ulicy kryło się coś złowrogiego, co mogło zaprowadzić do więzienia. A z więzienia - przeważnie wyjeżdżało się na wózku, ze związanymi na plecach rękami i z odsłoniętą szyją.

Terror szalał. Robespierre pozbywał się po kolei niedawnych przyjaciół, w których widział już tylko ewentualnych rywali. Najmniejsze słowo krytyki równało się wyrokowi śmierci. I choć strach zamykał usta, paraliżował rękę trzymającą pióro, Paryż trząsał się nie tyle ze zgrozy, co i ze śmiechu, zalewany każdego dnia powodzią złośliwych pamfletów. Niektórzy ludzie - jak mówił Wilfred - czują wprost nieprzepatą potrzebę swobodnej wypowiedzi własnego zdania, mimo niebezpieczeństwa i zakazu. Tajne drukarnie wypuszczały w świat broszury i ulotki, almanachy i gazety. Ton tych szpargałów był agresywny, bezczelny, wręcz wulgarny. Ale przemawiały one do tłumów, znajdując posłuch wśród sankiulotów, straganiarek spod hal czy rozochoconych wyrostków, których wychowuje plac Rewolucji i ulica.

Doskonałym przykładem takiego pamfletu był "Ojciec Duchesne" wydawany przez Heberta. U Wilfreda miałem możliwość zapoznać się z wieloma pismami wychodzącymi w Paryżu. Ich autorzy naśmiewali się i drwili niemiłosiernie ze wszystkiego, a specjalnie z dawnych świętości.

Czegóż bo nie wymyślił ów Ojciec Duchesne! Można tym było ostudzić zapiekłą nienawiść i nasycić głód zemsty, zaspokoić nigdy niesytą odwetu zawiść, czy odplacić krwawym żartem za wzgardę.

Hebert pastwił się szczególnie okrutnie nad Ludwikiem, tym "tłustym wieprzem, którego tuczenie drogo nas kosztowało". Po śmierci króla pisał: "Umierał z nadzieją, że jego syn pomści śmierć ojca i uczyni tyle zła, ile on sam nie zdążył uczynić. Wielu ich jeszcze zostało z tej podłej rasy, pamiętajcie więc, że póki oni żyją, nie zaznacie spokoju. Z małej rybki wyrasta wielka ryba, do licha, strzeżcie się, wasza wolność wisi na włosku".

O tak, Hebert umiał trafić do tych łbów otumanionych oparami krwi i rzeźni.

Nienawiść pluła jadem, nie szanowano niczego, obalano wszelkie granice w zwalczaniu wrogów czy przeciwników. Wszystko było dozwolone.

Najbardziej utalentowanymi z tych pismaków, według Wilfreda, byli - obok Heberta - Marat i Desmoulins. To oni przygotowali klęskę żyrondistów, oni urobili opinię tłumy, oni zniszczyli Brissota i jego towarzyszy, oni wreszcie wyostrzyli nóż spadający na szyję żyrondy. Każde pociągnięcie piórem było śmiertelnym ciosem wymierzonym w tych, którzy jeszcze zachowali jaki taki umiar, było oskarżeniem ich o odstępstwo i zdradę.

Coraz mniej podobał mi się Kamil Desmoulins, którego uwielbiałem w początkach Rewolucji. Był porywający, młody, piękny, pełen ognia i szlachetnego zapału. Na pierwszej stronie wydawanej przez niego gazety widniało takie hasło: "żyć wolnym lub umrzeć". Stało się to jak

gdyby dewizą mojego życia, miałem ją zawsze przed oczami, uznałem za wzniosły cel, za drogowskaz prowadzący ludzkość ku szczęśliwości. Niestety, wkrótce opadł mój zachwyt i entuzjazm. Pióro obywatela Desmoulinsa maczane w żółci prześcignęło złośliwością i sarkazmem wszystkich innych piszących. Można to było uznać za błyskotliwe i dowcipne. Gdy jednak najobleśniejszym słowem bluznął na Osobę Boską, poczułem niesmak i wstręt. Mógł sobie być Mateuszem, ale te niewybredne epitety, jakich używał, jakoś nie pasowały do jego wytwornej powierzchowności, do młodej twarzy urzekającej łagodnością i wdziękiem. Widziałem go i słyszałem przemawiającego. On właśnie najbardziej zajadłe atakował mego ulubieńca Brissota, on posłał go na śmierć. Okazał się człowiekiem okrutnym, pozbawionym litości i miłosierdzia. Tak go osądziłem.

A jednak myliłem się, bo w końcu przejrzał. Przeraziły go ekscesy Terroru, zobaczył przepaść, w którą staczała się Rewolucja. I uznał swą winę.

Robespierre nie darował niedawnemu przyjacielowi tej zmiany tonu. Na jego rozkaz Desmoulins został wydany z klubu Jakobinów.

Następnie wypadki potoczyły się błyskawicznie niczym górska lawina. Mały kamyczek potracony nieostrożną stopą często wystarcza, by zwalić niebotyczne skały.

Najpierw aresztowano Fabre'a d'\$eglantine'a, któremu zawdzięczano nowe nazwy miesięcy rewolucyjnego kalendarza. Zaledwie zatrzasnęła się za nim brama więzienia, a już otwarto ją ponownie na przyjęcie Heberta, owego "Ojca Duchesne", który na krótko przed aresztowaniem grzmiał jeszcze w klubie Kordelierów przeciwko tym, "co pobłażali zdrajcom i usypiali czujność patriotów". Zaraz po nim przekroczył progi więzienia główny prokurator Chaumette, tak zdawałoby się czysty i gorliwy, prawdziwy filar Rewolucji.

W tydzień po aresztowaniu, Hebert stanął przed trybunałem i rozpoczął się głośny na cały Paryż i Francję tak zwany proces "hebertystów". W parę dni potem skazani na śmierć, Hebert i jego poplecznicy, wstępowali na szafot.

A na świecie znowu zaczynała się wiosna. Któż jednak mógł cieszyć się przebudzeniem natury, kogo czarowały młoda zieleń, szczebiot ptaków, czy malownicze wschody i zachody słońca? Kto w południe grzał się w jego promieniach, a nocą liczył gwiazdy i marzył o miłości przy pełni księżyca? Kto wybiegał za miasto, by posłuchać szmeru strumyka i zerwać pierwsze fiołki, kto wystawiał twarz na pieszczotę wiatru i wdychał z rozkoszą zapach świeżej ziemi? Czy byli tacy? Niestety! Paryż wydawał się cmentarzem i stolicą umarłych, których nie zdążono jeszcze pogrzebać. Sztywni i obcy snuli się po ulicach tego świata, na pół zubożeni na jego sprawy i wymogi.

Spiesząc do wdowy Clouet mijałem ludzi o poszarzałych z lęku twarzach i zapadłych oczach nieboszczyków. Zdawali się pytać jedni drugich: kto będzie następny? Po kogo zjawia się w nocy uzbrojeni w piki oprawcy w krwawej frygijce na głowie i rozchełstanej karmanioli? Czy warto było troszczyć się o cokolwiek, pracować, tworzyć czy po prostu żyć?

A mały kamyczek toczył się nieubłaganie i pociągał za sobą coraz to większe odłamy skalne, które z hukiem sunęły ku przepaści.

Trzydziestego marca poraziła Paryż najstraszliwsza wiadomość: oto aresztowano Dantona, a z nim jego przyjaciół, a więc Kamila Desmoulinsa, Delacroix, Phelippeau, Heraulta de Sechelles, Westermanna i resztę. Wszyscy deputowani do Konwentu. Ich proces zapowiadał się jako kulminacyjny punkt Rewolucji.

Uprosiłem wdowę Clouet, by mi pozwoliła posłuchać oskarżeń i obrony winowajców, po czym wraz z Wilfredem przekroczyłem progi straszliwego Trybunału.

Sala była wypełniona po brzegi. Przez wysokie okna dostrzegałem strzelistą wieżyczkę Świętej Kaplicy, za ścianą zaś czułem nieledwie przytykające do Trybunału nasiąkłe łzami mury Conciergerie.

A na dworze była wiosna. Kwietniowe słońce mocno już grzało, sięgało promieniami

sędziowskiego stołu zasłanego suknem, odbijało się od ostrza pik i obnażonych szabel żołnierzy, błędziło po twarzach i rozpalało barwy Republiki - błękit, biel i czerwień - na malowidłach plafonu.

Gdy wprowadzono oskarżonych, wszystkie oczy wyszukały wśród nich Dantona i Kamila Desmoulinsa i już ich nie opuściły.

Jakże byli różni! Dwaj ludzie dążący do jednego celu, ożywieni jednym pragnieniem, a tak do siebie niepodobni!

Danton ciężki, zwalisty, z brzydką, ale jakże charakterystyczną twarzą, wysuwał pogardliwie dolną wargę i spoglądał na zebrany tłum z miną zwycięzcy. Może spodziewał się, że lud, porwany jak zwykle jego wymową, stanie w obronie swego trybuna i wyniesie go na ramionach jako triumfatora?

- Wygląda, jakby nie zdawał sobie sprawy z zamysłów Robespierre'a - szepnąłem do ucha Wilfreda.

- Wie, co go czeka - rzucił mój przyjaciel. - Za dobrze zna sędziów i cały ten proceder.

Desmoulins przede wszystkim przyciągnął oczy kobiet, nawet tych, co zatraciły już cechy swojej płci i zmieniły się w rozczochrane megieiry żądne krwi zdrajców. Szczupły, starannie uczesany, ze śnieżnej białości chustką u szyi sprawiał wrażenie młodego człowieka znajdującego się o sto mil od Rewolucji i jej niebezpieczeństw.

Wszyscy wiedzieli, jak bardzo kochał żonę, poślubioną przed kilku laty. Ta śliczna kobieta, która podzielała jego rewolucyjne ideały, patriotyzm, przywiązanie do Republiki i nienawiść do dawnego porządku siedziała teraz wśród widzów tego ponurego spektaklu błada, ze ściągniętą bólem twarzą i rozpaczą w oczach.

- Byłem na jego ślubie - opowiadał mi Wilfred, gdy szliśmy do Trybunału. - Sześćdziesięciu zaprzyjaźnionych z nim rewolucjonistów podpisało ów akt, a niedawno słyszałem, jak powiedział z goryczą: "z sześćdziesięciu przyjaciół, którzy podpisali się na moim kontrakcie ślubnym, pozostało tylko dwóch: Danton i Robespierre. Reszta albo wyemigrowała, albo zginęła na szafocie".

- Znałeś więc ich wszystkich? - spytałem.

- Znałem. Może nie wszystkich, ale wielu. Ślub im dawał ksiądz Berardier, u Świętego Sulpicjusza, a przed Rewolucją ksiądz Berardier był profesorem Kamila w Liceum Ludwika Wielkiego. Wygłosił do nowożeńców wzruszające przemówienie i zalecał panu młodemu umiar i szacunek dla religii w tym, co pisze. Pamiętam, że dodał na zakończenie: "twój patriotyzm będzie przez to bardziej szczerzy i prawdziwy, bo jeżeli prawo może zmusić człowieka, aby stał się dobrym obywatelem, to religia tego od nas wymaga." Doprawdy, piękna to była uroczystość. Ale działo się to jeszcze na początku Rewolucji, gdzieś w dziewięćdziesiątym roku.

- A potem? - dopytywałem się.

- Potem byli szczęśliwi, kochali się, mieli dziecko... Kamil odnosił sukcesy, gdy przemawiał w klubie Kordelierów... Kiepski jednak był z niego mówca, o ileż lepiej władał piórem. Dziw tylko, że Lucylla, jego żona, z urody podobna do anioła, podburzała go do coraz gwałtowniejszych wystąpień. I on powoli zapominał o słowach księdza Berardier. W tym, co pisał, był coraz bardziej okrutny i nieprzejednany. Dopiero ostatnio...

- Czy myślisz, że go skazą?

- Bez wątplenia. I jego, i Dantona, wszystkich. Robespierre nie zatrzyma się w pół drogi.

- A jeżeli lud...

- Lud już odegrał swoją rolę. Potrzebny był przy zdobywaniu Bastylji, marszu na Wersal, ataku na Tuilerie... przy wrześnieowych masakrach w więzieniach... Teraz pora na głównych aktorów dramatu. Statyści już niepotrzebni.

Siedząc na sali wciśnięty pomiędzy Wilfreda a grubą przekupkę, rozsiewającą przykrą woń ryb, spoglądałem ukradkiem na Lucyllę Desmoulins. Jaka śliczna! Wyglądała na uosobienie łagodności i dobroci, a przecież... I ma synka. Nazwali go, jak każda moda, rzymskim imieniem Horacjusza. Co teraz z nim będzie, jeżeli ojca...

Z tej pięknej nawet w bólu twarzy przenosiłem wzrok na niego, na Kamila, przypominając słowa, jakie niezbyt dawno wypowiedział: "zanurzyłem się po szyję w Rewolucji". Tak, to prawda, żył Rewolucją i dla Rewolucji. I czyżby miał dla niej i przez nią umrzeć? Zginąć haniebną śmiercią

zdrajcy? A potem powróciłem myślą do wrześnieowej masakry więźniów, kiedy to pijany motłoch rzucił się na bezbronnych mordując ich bez opamiętania. "Odpowiedzialność za tę zbrodnię spada na Dantona i Kamila Desmoulins" - powiedziała mi kiedyś ciotka Anna. "To oni podzegli lud."

Rozumiałem, że Desmoulins nie mógł się już zatrzymać na pochyłości. Wybrany deputowanym do Konwentu gwałtownie domagał się śmierci Ludwika. "W zmarłym królu ludzkość nie straci jednego ze swych obywateli. Głosuję za śmiercią Ludwika może zbyt późno, by uratować honor narodowego Konwentu" - tak wówczas jego przemówienie podały gazety.

Lucylla popierała antyroyalistyczne wystąpienia męża domagając się zawczasu śmierci Marii Antoniny, a Wilfred powtórzył mi później, co przy tym mówiła: "Gdybym była królową i tak jak ona unieszczęśliwiła moich poddanych, skazano by mnie na słuszną śmierć. Lecz ja nie czekałabym aż rozpasane pospólstwo wydrze mnie z pałacu, by zawlec na szafot. O nie! Uprzedziłabym ich i umierając wzbudziła podziw całej ludzkości. Kazałabym wznieść ołtarz i stos. Przed tym ołtarzem błagałabym Wielkiego Mistrza Wszechświata o wybaczenie moich win, po czym wstąpiłabym na stos, o północy, przy blasku pochodni".

- Chyba jest szalona! - zawołałem.

- Nie, jest taka, jaką urobiła ją ta epoka - uśmiechnął się Wilfred. - A więc żadna krwi, a jednocześnie dziecinna i teatralna. Przy tym zawsze urocza. Wszystko w naszym codziennym dramacie jest podobne do scenicznej dekoracji, aktorzy noszą rzymskie imiona i stroje, a mistrz David dyryguje przedstawieniem.

Nie odrywałem oczu od tych dwojga. Kamil i Lucylla. Czyżby mały Horacjusz miał zostać sierotą?

Dlaczego właściwie dopuszczono do powołania dyktatury? - zadawałem sobie pytanie. Wiem, że powierzono tę funkcję Komitetowi Ocalenia Publicznego z Robespierrem i Saint-Justem na czele. Ale dlaczego tak się stało? Dlaczego jeden człowiek miał decydować o życiu i śmierci współobywateli? To przecież są rządy absolutne, bardziej absolutne niż dawna monarchia. Trybunał rewolucyjny skazuje na śmierć i nie ma odwołania od jego wyroków. Czy o to walczyliśmy? O taką właśnie wolność?

Patrząc teraz na tych sędziów, na oskarżonych i na oskarżycieli, na widzów tłoczących się wokół aktorów dramatu, przypomiłem sobie wyroki wydawane przez głównego prokuratora, Chaumette'a, w tym samym trybunale. A oto i za nim zapadła kurtyna, zszedł i on ze sceny wyprowadzony przez żołnierzy. Czyżby więc wszyscy ci, co żądają śmierci dla innych, sami też musieli padać jej ofiarą?

Słuchałem przemówień stron i nagle procedura wydała mi się jakaś dziwna, a cały ten proces nieprawdziwy, niemal nierzeczywisty. Czuło się prawie, że wyrok był już dawno postanowiony, a sąd - pusta tylko formalność.

- Chcą mnie posłać na szafot - wołał Danton. - Doskonale! Wybiorę się tam z przyjemnością! Do licha! Aż trudno uwierzyć, że podobnego dnia jak dzisiejszy ja sam ustanowiłem rewolucyjny Trybunał! Proszę Boga i ludzi o przebaczenie.

W tym nieprawdopodobnym procesie oskarżający jak zwykle Fouquier-Tinville skierował do przysięgłych następujące pouczenie:

- Obywatele przysięgli, wykryto spisek zdążający do przywrócenia monarchii, do zniesienia Republiki i przedstawicielstwa narodu. Macie wydać sprawiedliwy wyrok.

Po czym zaczęto przesłuchiwać oskarżonych.

Zapytany o wiek Kamil Desmoulins powiedział:

- Mam trzydzieści trzy lata, wiek sankiuloty Jezusa, krytyczny wiek dla patriotów.

- Nazywam się Danton - zagrzmiał trybun ludu w odpowiedzi na pytanie. - Jestem rewolucjonistą, przedstawicielem narodu. Mój adres? Wkrótce nicość, a potem panteon historii.

W ciszy, jaka zapadła, słysząc było tylko przyspieszone oddechy zebranych. Nie dla wszystkich starczyło miejsca. Większość tłoczyła się w korytarzach i w sąsiednich salach. Pytania i odpowiedzi oskarżonych powtarzano stojącym na zewnątrz. Jedynie potężny głos Dantona docierał do najdalszych zakątków Pałacu Sprawiedliwości, a przez otwarte okna leciał na Paryż, słyszany aż na drugim brzegu Sekwany. Głos ten przypominał ryk rozwścieczonego lwa. Słuchającym dreszcz

przechodził po plecach. Ludzie już nie ukrywali sympatii dla oskarżonych. Wobec niebezpiecznej więc sytuacji, zarządzono przerwę do dnia następnego.

- Słuchaj, Wilfredzie - mówiłem rozgorączkowany w drodze do domu - jestem pewien, że zostaną uniewinnieni.

- Nie - mój przyjaciel pokręcił głową. - Wyrok już zapadł.

Miał jak zwykle rację.

Posiedzenia Trybunału ciągnęły się przez cztery dni, cztery dni, które przeżyłem na pół przytomny, dygoczący z podniecenia i gorączki. Ludzie szaleli. Nad ogłuszający hałas i harmider sali wybijał się głos Dantona, który niczym bicz smagał oskarżyciela, sędziów i przysięgłych. To oni wydawali się oskarżonymi w tym procesie - próbie generalnej przed głównym przedstawieniem, które miano dopiero odegrać na placu Rewolucji.

- Gdzież są świadkowie i dowody mojej winy - huczał głos Dantona. - żądam konfrontacji!

Krzyki zebranych głośzyły wypowiedzi sędziów.

- Niech pokażą się moi oskarżyciele - grzmiał dalej - a pogrążę ich w nicości!

Tumult i zamieszanie dosięgły szczytu. Oskarżonych czym prędzej wyprowadzono. Ostatnią noc przed egzekucją mieli spędzić w Conciergerie, dokąd przeniesiono ich z pałacu Luksemburskiego, zamienionego niedawno na więzienie.

Tej nocy nie zmrzyłem oka, sądzę, że i Wilfred nie spał, gdyż słyszałem, jak chodził po pokoju.

Podczas bezsennych godzin myśl moja ani na chwilę nie opuściła ponurych murów Conciergerie. Jak je spędzali więźniowie?

Kamil Desmoulins oblał pewnie łzami pożegnalny list do żony, Danton bluzgał pogardą na niedawnych przyjaciół, którzy wydali go katu. A inni? Każdy przecież miał kogoś bliskiego, kogo kochał, kogo osieroci, kto po nim przywdzieje żałobę.

Straszna to była noc przed dniem jeszcze straszniejszym.

Nazajutrz, w drodze do Trybunału, gdy podchodziliśmy do rzeki, Wilfred powiedział nagle:

- Raz spotkałem ich obu tu, nad Sekwaną. Zachodziło słońce i purpurowe blaski kładły się na wodzie. Danton zawołał: "Patrz, Kamilu, spójrz na rzekę, krew płynie Sekwaną. Dość tych morderstw, chwyć pióro i pisz, nawołuj do opamiętania. Ja ci pomogę." I Kamil usłuchał. Niestety, za późno już było, by powstrzymać rozpędzone koło terroru.

Im bliżej Trybunału, tym więcej osób spieszyło w tym samym co i my kierunku.

- Czy wiesz, że Danton mógł ratować się ucieczką? - spytał w pewnej chwili Wilfred.

- Tak?

- Mógł. Byli tacy, co przygotowali wszystko. Uprzedzono go. Ale odmówił. "Nie ośmielą się" - twierdził.

Ośmielili się jednak i nie było już dla niego ratunku.

Desmoulins jak widać karmił się podobnie złudną nadzieją. Czyż nie walczył w pierwszym szeregu Rewolucji? Czyż swym piórem nie ofiarował Francji wolności, równości i braterstwa?

Piękny Saint_Just, prawa ręka Robespierre'a, innego był jednak zdania. Nie zapomniał urazy, a on i Desmoulins nie byli stworzeni po to, by się rozumieć.

Wszyscy słyszeli, jak ci dwaj ścięli się pewnego dnia w Konwencie.

- Saint_Just nosi głowę, jak gdyby to był Najświętszy Sakrament - zauważył złośliwie Desmoulins, który szydził zazwyczaj, ze sztywnej postawy i przesadnej elegancji zastępcy Robespierre'a.

- Patrz, żebyś ty nie poniósł swojej jak święty Dionizy - odparł przez zaciśnięte zęby Saint_Just.

I okazało się, że Saint_Just miał rację.

Ostatniego dnia procesu przysięgli zostali przekonani o winie oskarżonych, wobec czego przewodniczący zamknął posiedzenie Trybunału.

- Do diabła! - krzyknął Danton. - Cóż to za komedia? Nie przesłuchano świadków, nie

przedstawiono dowodów!

Nikt go jednak nie słuchał. I on, i towarzysze siłą zostali wyprowadzeni. Było ich piętnastu.

Na dziedzińcu czekały już na skazańców dwa wózki. Trybunał nie zamierzał przeciągać sprawy.

Cały Paryż wyległ na ulice, by zobaczyć po raz ostatni swoich niedawnych przywódców, jak ze związanymi rękami stali stłoczeni w tych haniebnych ekwipażach.

- Niech żyje Republika! - wrzeszczały tłumy.

- Krzyczcie, krzyczcie - odpowiadał Danton - za godzinę Republika pozostanie bez głowy.

- Śmierć zdrajcom! - darli się ludzie wygrażając pięściami. Kleli teraz i pluli na wczorajszych ulubieńców. Nierzadko celnie rzucony kamyk ugodził któregoś ze skazanych.

- Francuzi! - wołał Desmoulin z łzami w oczach. - Ludzie! Oszukano was! Zabijacie obrońców i przyjaciół Rewolucji! Waszych braci, którzy walczyli o wolność i równość, o Republikę!

- Przestań - uciszył go Danton. - Czyż nie widzisz, jak ci grozi ta kanalia?

Gilotyna na placu Rewolucji zdawała się niecierpliwie oczekiwać na ofiary. Sterczała wysoko ponad głowami tłumu zimna i nieczuła, błyskając ostrzem w wiosennym słońcu, które zalewało Paryż jak na urągowisko.

- Nie minie parę miesięcy, a nasi mordercy wstąpią na te same deski – przepowiedział Danton w profetycznym jakby widzeniu stając na platformie.

Gdy spadła ostatnia głowa, plac zaległa cisza. Ludzie jak gdyby oprzytomnieli. Czyż ci, co zginęli, nie byli ich sumieniem? Czyż nie kierowali ich czynami, nie prowadzili na mury Bastylii? Pod ich to przewodem obalono tyrana, zatknięto trójkolorowy sztandar na ratuszu, odparto wroga od granic Francji, ukarano zdrajców. A teraz oni sami...?

Ludzie rozchodzili się w milczeniu, dziwnie skupieni i niespokojni. Nie był to jednak jeszcze koniec dramatu. Akt piąty miał dopiero nastąpić.

W kilka dni po egzekucji aresztowano Lucyllę Desmoulin. Oskarżona o podburzanie ludu, o chęć osadzenia na tronie chłopca z wieży Temple, o próbę uwolnienia męża, o zamach na życie głównego oskarżyciela Fouquier_Tinville'a jednogłośnie została skazana na śmierć. Wystarczyło jednej z tych zbrodni, by winowajczynię zaprowadzić na szafot, nagromadzono ich jednak tyle, by tym mocniej uzasadnić decyzję Trybunału.

Lucylla nie zamierzała się bronić, zresztą wiedziała, że było to bezużyteczne. Śmierć Kamila złamała jej serce. Nie mogła żyć bez jego miłości. Nieledwie z uśmiechem wsiadła na wózek, a potem ani na chwilę nie wyzbyła się owego spokoju, który upodabniał ją do białego posągu. Ci, co stali bliżej szafotu, mówili, że poruszała się jak w ekstazie, jak gdyby widziała coś, czy kogoś - może męża? - ku czemu dążyła z radością. Miała dwadzieścia cztery lata.

Mnie najbardziej obchodził teraz los małego Horacjusza. Na szczęście dowiedziałem się, że żyli dziadkowie, którzy zajęli się sierotą.

Podczas gdy owej wczesnej wiosny 1794 roku Paryż a z nim cała Francja opłakiwała krwawymi łzami śmierć swoich najszlachetniejszych synów, byli w stolicy ludzie, których nie przerażały szaleństwa terroru. Nie bali się oni oskarżenia o zdradę, nie drżeli przed więzieniem i gilotyną. Wieczory spędzali w teatrze w towarzystwie pięknych kobiet, a potem gromadzili się na wykwintnej kolacji przy stole zastawionym przysmakami jak gdyby z innego świata.

Podobnie bowiem jak sale Trybunału, teatry Paryża co wieczór błyszcząc setkami świec zapełniały się strojnym tłumem. Jakże odmiennym od widzów darmowego spektaklu, tłoczących się na ławach sądu, a potem towarzyszących skazanym na plac Rewolucji.

Bywalcy teatrów wylewali łzy wzruszenia nad wyimaginowanym a tragicznym losem głównej heroiny dramatu. Wcielała się w nią zazwyczaj piękna panna Lange. Paryż kochał, uwielbiał, ubóstwiał pannę Lange! Jej śliczna twarz uśmiechała się zalotnie na słynnym portrecie, rozpalając namiętności, wzniecając podziw jednych, a gniew i zazdrość tych, których nie dopuszczono do łaski. Na owym więc portrecie panna Lange wyobrażała rzymskiego bożka miłości. Wyglądała

wprost zachwycająco, z obnażoną piersią i kołczanem pełnym strzał Amora nad lewym ramieniem.

XII

Cóż to była za wiosna! Krew nieledwie płynęła rynsztokami Paryża, a Sekwana toczyła mętne wody przeświecające czerwienią.

Wilfreda prawie nie widywałem, bo często nie wracał na noc do domu. A gdyśmy się czasem spotkali, bywał małomówny i wydawał się zmęczony.

Chodziłem jak zwykle do wdowy Clouet, roboty było sporo, cały dzień nosiłem i wynosiłem wodę, załatwiałem konieczne sprawunki, uganiałem się za żywnością, pomagałem przy rozdzielaniu brudnej, a układaniu czystej bielizny i po upraniu dostarczałem ją klientom.

Brutus Hulin i Kasjusz Peltier byli jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, wyniośli i arogancy, ale przestali już mi imponować i nie zwracałem na nich uwagi. Za to siostrzeniec mojej praczki wyraźnie schodził mi z drogi, czasem tylko mignął jego kapelusz ozdobiony trójkolorową kokardą wyjątkowych rozmiarów, lecz natychmiast zniknął, gdy się zbliżałem.

Julka jak gdyby zapomniała o istnieniu kuzyna i ani razu nie wymówiła jego imienia. Nie biegła też na górę, pomagała matce i praczka miała z niej dużą wyrękę.

Od czasu gdy Simon rzekł się funkcji preceptora i opuścił wieżę Temple, nie dawano do prania bielizny Karolka, ani żadnych jego rzeczy.

- Dziecko żywcem zamurowano - biadała wdowa Clouet po każdorazowym powrocie z więzienia. - Nikt do niego nie wchodzi. Siedzi sam, w półmroku, a wieczorem, gdy przynoszą mu kolację, to stawiają lampę za okienkiem, przez które wsuwają naczynie z jedzeniem. Wówczas tylko ma trochę światła, a pilnujący go komisarze zaglądają do środka, aby się upewnić, że nie zniknął. Łotry!

- Jak to? Nikt do niego nie wchodzi, nikt tam nie sprząta?

- Nikt. A te dwie biedaczki na górze myślą chyba, że chłopca już tam nie ma, tak siedzi cichutko. Ani zapłacze, ani zawoła. Mówił mi tylko kuchcik, że parę razy zastał nietknięte jedzenie.

Zapytał więc: "Dlaczego nie jesz?" A on odpowiedział: "Chcę umrzeć". Czy to widziane, żeby tak się obchodzić z dzieckiem?

- Kto go teraz pilnuje?

- Dzień i noc czterech komisarzy z różnych sekcji po kolei. Czasem uda mi się z którymś pogadać. Bywają tacy przystępniejsi... Niektórzy mają dzieci i widzę, że są przerażeni. Ale boją się okazać litość.

- Czy Konwent wie o tym?

- Przecież to z rozkazu Konwentu. Potwory! Mam nadzieję, że sami się wymordują.

- To co Karolek robi cały dzień?

- Nic. Siedzi skulony na łóżku. Zaduch tam podobno coraz straszliwszy, okna nigdy się nie otwiera. żebyś Bóg się prędzej zlitował i zabrał to dziecko! Jestem chora, gdy muszę tam jechać z bielizną, ale te dwie biedaczki czekają na mnie, widzę to, chcą pytać i nie mogą. Nie wiedzą nawet, że pani Antonina nie żyje. Nic nie wiedzą. Mówił mi jeden z komisarzy, ten co zachował jeszcze ludzkie uczucia, że co noc chodzą na górę z rewizją. Spać nawet nie dają tym kobietom spokojnie. A czegoś szukają? To tylko szykany, żeby im do reszty zatruć tę straszną niewolę.

- Niewola zawsze straszna - stwierdziłem. - Ale to dziecko...

- Jacy by nie byli, Simon i jego żona, zajmowali się jednak małym. Dziecko nie było samo, opuszczone, miało z kim rozmawiać, w razie choroby wzywano doktora. A teraz co? Pustka, ciemność i samotność. Dorosły by zwariował w takich warunkach, a cóż dopiero dziecko! Nie wiadomo, czy zdrowy, czy chory... Czyż może zresztą być zdrowy siedząc cały dzień skulony na łóżku? W brudzie i bez zmiany bielizny czy ubrania? Niechby te eleganciki z Konwentu spróbowały takiego życia. Ale zobaczysz, wymordują się wzajemnie. To będzie dla nich najlepsza kara.

Czasem odwiedzał praczkę jej znajomy, którego raz już widziałem. Okazało się, że to jeden z rzemieślników zatrudnionych w wieży po odejściu Simonów, przy tajemniczych robotach mających na celu odizolowanie małego więźnia.

Widywał się on czasem z którymś z komisarzy pełniących dyżur w Temple i miał świeże wiadomości o chłopcu.

Wiadomości te były przerażające i coraz trudniej przychodziło mi usprawiedliwić Rewolucję i wynaleźć okoliczności potwierdzające konieczność tak niehumanitarnego traktowania dziecka.

- Nie ma dla nich żadnego tłumaczenia - mówiła wdowa Clouet po każdorazowym powrocie z Temple. - Spójrz na bieliznę tych biedaczek - rozwiązywała tłumok - to przecież łachmany! Wkrótce nie będzie czego prać, w rękę się rozłazi. A te łotry postrojone, kieszenie pełne pieniędzy, wszystkiego w bród, a inni nie mają się czym odziać ani co do gęby włożyć.

- A dlaczego nie powiedzą, czego im brak? - zapytałem raz.

- Prosiły, ale bez skutku. Więcej prosić nie będą. Te gbury cieszą się z ich niedoli. Z nimi w ogóle nie ma co gadać. One już do nich nie zwracają się z niczym, traktują jak powietrze. Nie odpowiadają nawet na pytania. Ale tak lepiej.

Co wieczór wpatrywałem się w światelko w wieży. Komisarze grali tam w karty, pili, palili, gadali, śmieli się. Było im wesoło. Praca lekka, a Konwent dobrze płacił. Nigdzie by tyle nie zarobili.

Potem posuwałem wzrok ku górze. Ciemno. I na drugim i na trzecim piętrze. O czym Karolek myślał dniami i nocami skulony na brudnym łóżku bez jednej życzliwej twarzy, bez pomocnej ręki i dobrego słowa? Czy przypominał sobie matkę i jej pieszczoty? A może Wersal? Miał cztery lata, gdy wybuchła Rewolucja. Może więc coś pamięta? A potem, gdy rodzina królewska mieszkała w Tuileries, był jeszcze szczęśliwy, bo otoczony miłością i opieką. I nawet w więzieniu Temple, póki żyli rodzice... A potem, gdy wydarto go matce i przekazano w ręce Simonów, co czuł? Co przeżył? Jaką rozpacz i przerażenie? To było straszne, prawda, ale jednak znajdował się wśród ludzi. Widywał Julkę, gdy wdowa Clouet przywoziła bieliznę, bawił się z nią... żona Simona dbała o niego... W razie choroby przychodził doktor...

Wszystko to naturalnie było wielką krzywdą wyrządzoną dziecku, ale w ostateczności żył i mógł tak żyć. Za to teraz... To, co zrobiono z nim teraz, wołało o pomstę do nieba. Było najwyższą podłością i okrucieństwem. Nikt nie miał prawa znęcać się nad dzieckiem, choćby to było dziecko króla, którego zrzucano z tronu i zabito. Czym mogło zagrażać Republice? Mały Karolek może już dawno zapomniał, że kiedyś nazywano go księciem i delfinem. Z pewnością nie zdawał sobie sprawy z tego, kim był.

A jeżeli wiedział i pamiętał?

Ta myśl poraziła mnie niczym błyskawica w nocnej ciemności.

Tak, jeżeli wiedział i pamiętał, to co musiał czuć? A może wódka, którą poił go Simon, zabiła w nim pamięć i to wszystko, czego do końca uczyli go rodzice?

Opowiadała praczka, że po śmierci Ludwika Maria Antonina złożyła przed synem dworski ukłon i pocałowała go w rączkę, gestem tym uznając w nim króla. Króla? Tak, króla Francji, Ludwika XVII.

Wzdrygnąłem się. To wszystko nie miało przecież sensu, Francja nie ma i nigdy nie będzie miała króla. Głupi Nostradamus plótł jakieś bzdury o cesarzu... To niemożliwe... Republika za drogo nas kosztowała, wylano zbyt wiele krwi, by ją uchronić przed wrogami, poświęcono zbyt wiele istnień ludzkich po to, by ją ustanowić i utrzymać. Wśród tych, którzy kładli głowę pod nóż gilotyny, byli ludzie niewinni, ci nawet co walczyli o Republikę i dla niej poświęcili życie. Wszystko przecież szło ku lepszemu. Wkrótce skończą się rządy terroru, ustanowiono je jako konieczne narzędzie do walki z przeciwnikiem. Ale i to minie. Francuzi rozumieją. I tylko ta ciemna sylweta wieży Temple pozostanie wieczną plamą...

Oderwałem się od okna.

Dlaczego Wilfred nie wraca? Dlaczego nie mogę podzielić się z nim tym wszystkim co mnie dręczy?

Nazajutrz, na szczęście, zastałem go wieczorem w domu.

- Powiedz mi - wybuchnąłem po kolacji - dlaczego Ludwik nie uciekł z Francji? Na co czekał? Czy na to, by zadręczono to dziecko? - Wskazałem na okno.

- To nie było takie łatwe - odparł odsuwając talerz i opierając się o stół. - Pilnowano ich.

Gwardia Narodowa nie spuszczała z oka Ludwika i jego rodziny. A komendant Gwardii, generał La Fayette, nieraz dał się im we znaki i naraził się królowej. Nie mogła go ścierpieć, nazywała urągliwie "Blondynkiem". Wszyscy to słyszeli.

- Ale przecież raz uciekali?

- Tak, próbowali, latem dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Niestety nie udało się.

- Dlaczego nie udało się?

- Wszystko zorganizowano nie tak, jak potrzeba. Zbyt wiele zabierali ze sobą osób i rzeczy. Należało to urządzić zupełnie inaczej. Uciekali ku wschodniej granicy, zamiast na zachód i północ w stronę wiernej dla monarchii Bretanii... A tam już morze i wolność. Poza tym nad całą tą ucieczką wisiała jakaś fatalność. Pułk, który miał spotkać ich i doprowadzić do granicy, nie znalazł się na umówionym miejscu. W miasteczku Varennes, gdzie zmieniano konie, oberżysta rozpoznał Ludwika porównując profil woźnicy z profilem króla na monecie. I tak się skończyła nadzieja na ratunek. Zawrócono ich do Paryża. Wracali w asyście wojska i wrogich tłumów, które otaczały berlinkę z więźniami. W tej powrotnej drodze przeżyli piekło. Śmierć widać była im pisana, nie mogli jej uniknąć.

- Oni tak, ale dzieci...

- Cóż chcesz, "z małej rybki..." jak pisał Ojciec Duchesne...

- To niech go zabiją, ale prędko, niech dadzą truciznę, czy ja wiem co, ale niech nie dręczą tak nieludzko.

- Widocznie tak im było przeznaczone. - Wzruszył ramionami. - Wszystkim. Dziecku też.

- Lud powinien zaprotestować - zacząłem.

- Lud ma co innego do roboty. Coraz trudniej o żywność, o pieniądze.

- A przecież są ludzie, którzy rzucają asygnatami na prawo i lewo...

- Są - przyznał. - Ale pieniędzy jest coraz mniej. Drukuje się asygnaty, na które nie ma żadnego pokrycia. Ponadto wszystkim trzeba płacić, ludowi też.

- Jak to ludowi?

- Czy myślisz, że na przykład ci, co rozbijali grobowce w bazylice Saint_Denis, robili to za darmo? A ci wszyscy niszczyli zabytków przeszłości w całej Francji? Czy sądzisz, że pracują z miłości do Rewolucji? To ciężki trud i trzeba za to płacić. Podczas wrześniejszej masakry w więzieniach w dziewięćdziesiątym drugim, też opłacano oprawców i to suto. Czy wyobrażasz sobie, że znalazłoby się tylu "patriotów", gdyby ich zapału nie podniecał dobry zarobek? Dostawali dwadzieścia cztery liwry dziennie, podczas gdy dniówka robotnika wynosi liwra.

- Jak to? Płacono im?

- A co myślisz? Płacono wszystkim i za wszystko. I płaci się nadal. Za co stroją się członkowie Konwentu i przedstawiciele ludu? Przywódcy Republiki mają szeroki gest i nie żałują dla swoich przyjaciół. Pamiętają też i o sobie, biorą trzydzieści sześć liwów dziennie. A to coś znaczy. Niszczenie dzieł sztuki i tego, co się teraz nazywa "świadectwem przesądów i feudalizmu", w skali całej Francji pochłania zawrotne sumy. Opłaca się murarzy, aby rozbijali figury ozdabiające frontony i portale katedr, zwalali krzyże i posągi świętych, wydrapywali herby, kwiat lilii i wszelkie emblematy i symbole monarchii na budynkach i pałacach. Nie jest to, jak się może wydawać, wandalizm czy spontaniczny gest wolnego ludu, o nie. Jest to akcja zorganizowana, z góry ułożona i obmyślana, starannie obliczona w liwrach. Prowincja jest droższa od Paryża. Samo rozbijanie figur na katedrze w Strasburgu kosztowało krocie. I tak jest wszędzie. Nie zapominaj przy tym, że zniesiono dawne podatki. Pieniądze trzeba jednak zdobywać, a Rewolucja kosztuje.

- Mój Boże, nigdy nie sądziłem... Byłem pewien, że to lud... sam z siebie...

- Owszem, to lud, bo lud lubi niszczyć i robi to z pasją, ale lud także musi jeść.

- Mój Boże, Wilfredzie...

- Tak, tak. Republika ma szalone wydatki. Weź choćby utrzymanie wojska. Nasze armie stoją na wschodniej i na północnej granicy, poza tym w Wandei... Tak wielkiej ilości żołnierzy nigdy jeszcze Francja nie miała.

- To skąd Republika bierze na to pieniądze?

- Ustanowiono nowe podatki nazywając je inaczej. Nigdy pieniądz nie był w takiej cenie jak

dzisiaj. Skoro Rewolucja zniosła przywileje związane z urodzeniem, pieniądz zajął miejsce tytułów i przyznał sobie prawa, jakie przedtem dawało szlachectwo. Liczy się teraz ten, kto ma pieniądze, duże pieniądze. Wymiótłszy ze słownika pojęcie "podatek", zastąpiono je "składką" albo "kontrybucją". Już sam ten termin wskazuje, że nie chodzi o przymus, lecz o dobrowolną zgodę na wpłacanie pewnej sumy do kas Republiki.

- Czy każdy musi płacić?

- Prawie każdy, przede wszystkim jednak posiadacze ziemi, choćby najmniejszego skrawka pola czy ogrodu, ponadto płaci się też za posiadane nieruchomości. Kupuje się pozwolenie na prowadzenie handlu oraz wszelkiej działalności przemysłowej.

- To pewnie przynosi wielki zysk Republice - zauważyłem.

- Nieprawda. Bardzo niewielki. Przy czym cały ciężar podatkowy spada na właścicieli ziemskich. Muszą płacić od każdej posiadanej sztuki bydła, od ilości parobków do pracy na roli. Właściwie ten nowy typ podatku uderza szczególnie w bogatych - taka zresztą była myśl Jakobinów. Ponadto zmuszono obywateli do zasilania skarbu Republiki poprzez kupowanie bonów "pożyczki narodowej". Trzeba też podawać źródła dochodów i ujawniać posiadane kosztowności. Każda gmina mianowała specjalnych kontrolerów, którzy sprawdzają wiarygodność tych deklaracji i mają prawo podnosić stawkę "składki" według własnego uznania.

- Wyobrażam sobie, do jakich to prowadzi nadużyć - wtrąciłem.

- Naturalnie. Ludzie kłamią, ukrywają dochody, zaniżają sumy. Zakopują złoto, srebro, biżuterię. Bronią się, jak mogą, przed tą formą terroru.

- Kto obecnie zajmuje się finansami?

- Minister Cambon.

- Któż to taki?

- To człowiek bardzo zamożny, zna się na handlu, a pochodzi z Południa. Wiesz przecież, że dobra byłych arystokratów, szczególnie emigrantów, zostały znacjonalizowane. To samo ziemia i budynki należące do Kościoła. Można je łatwo kupić. Otóż obywatel Cambon spekuluje na tym narodowym obecnie majątku i również w ten sposób zasila kasę Republiki, nie zapominając przypuszczalnie o swej własnej szkatule. Rewolucja dla niektórych jest wspaniałą okazją do zdobycia fortuny.

- Tak, wielu jest teraz bogaczy.

- Nie zapominaj również, że Francja wyciska, co może, z podbitych krajów, z Belgii i z Niderlandów.

- Jak to? Francja niosła tam wolność! - oburzyłem się.

- Za wolność też trzeba płacić - uśmiechnął się Wilfred.

- Doprawdy, Wilfredzie...

- Obywatel Cambon, by zaradzić złu, kazał nadrukować obligacje na różne sumy i Każdy obowiązany jest wykupić te papiery. To właśnie jest pożyczka, jaką Republika zaciąga u obywateli.

- Ale zwróci im ten dług?

- Miejmy nadzieję - wzruszył ramionami. - Tymczasem jako pieniądze służą papierowe asygnaty. Złoto i srebro znikło jak gdyby z powierzchni ziemi. I nie wolno posiadać złotych monet, w ogóle żadnych kosztowności. Wolno natomiast władzom przeprowadzać rewizje w domach prywatnych i konfiskować wszelkie drogocenne przedmioty.

- Jak to dobrze, że niczego nie posiadamy - stwierdziłem z ulgą.

- Masz rację, tak jest najbezpieczniej - zgodził się Wilfred. - Republika gardzi złotem, nazywa je "gorszyścielem dusz". Sam minister Cambon porównuje ten metal do gnoju, inni przywódcy rzucają z trybuny takie oto zdania: "złoto niszczy duszę bogacza i czyni ją nieczułą i zimną", a także słyszałem innego mówcę, jak wołał: "Rewolucjonista patrzy na złoto obojętnie i z pogardą". Tak, tak, ten podły metal, mimo że tak poniżony, jest ciągle celem westchnień niejednego "patrioty", który za garść dawnych ludwików oddałby wszystkie asygnaty Republiki.

Drugi już raz wdowa Clouet posłała mnie do swojej szwagierki z jakimś poleceniem.

Z przyjemnością wędrowałem ulicami Paryża mijając ludzi, których mina daleka była od wiosennego uśmiechu przyrody. Drugi też raz przechodząc ulicą Świętego Honoriusza zapuściłem wzrok w podwóreczko, które przyciągnęło moje oczy za poprzedniej tu bytności.

Porządnie ułożony w kącie stos desek i zmiecione na kupkę trociny wskazywały, że w domu tym był warsztat stolarski, a zawieszona w oknie na pięterku doniczka różowej pelargonii zdradzała młodą dziewczynę kochającą piękno.

Zapytałem w pobliskim sklepie o mieszkańców tego domu i dowiedziałem się, że obywatel Duplay rzeczywiście jest stolarzem, że ma cztery uroczę córki, że najmłodsza, Elżbieta, jest prześliczna, ale obywatelka Duplay-matka mocno trzyma w ryzach męża, córki i pracujących w warsztacie stolarczyków. W domu nie ma służącej, a panny, choć otrzymały staranne wykształcenie, po ukończeniu nauk pod kierunkiem matki wdrażają się w domowe prace i wszystko same robią: w kuchni, w pralni i w pokojach.

Zatrzymałem się dłużej, chcąc ujrzeć którąś z córek stolarza, ale akurat nie było żadnej z nich w pobliżu. Z tyłu za domem zieleniał zapewne niewielki ogródek, czuby drzew wystrzelały bowiem ponad dach pierzastym bukietem.

Poszedłem dalej, ale w powrotnej drodze znowu zamarudziłem chwilę przed domem stolarza. I gdy tak stałem, gapiąc się, skrzypnęła furka i wyszedł z niej szczupły mężczyzna z olśniewającej bieli żabotem. Ze zdziwieniem poznałem w nim Robespierre'a, którego kiedyś Wilfred pokazał mi na otwartym posiedzeniu Konwentu.

Zza rogu wychyliło się dwóch postawnych obywateli - czekali widać na niego - i wszyscy trzej poszli szybko ulicą Świętego Honoriusza w kierunku Sekwany. Jeden z nich obejrzał się i popatrzył na mnie chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

Byłem zaintrygowany spotkaniem przewodniczącego Konwentu w tak skromnym domu - wychodził przecież sam, jak gdyby tu mieszkał. Wieczorem od razu zarzuciłem Wilfreda pytaniami.

- Robespierre tam mieszka już prawie trzy lata - powiedział Wilfred spokojnie. - Obywatel Duplay popełnił to największe głupstwo w swoim życiu: oto kiedyś udzielił schronienia uciekającemu przed wrzeszczącym tłumem oberwańców, którzy widząc jego nienaganny ubiór wzięli go pewnie za "wroga ludu".

Stolarz przyjął zbiega do siebie na jedną noc, Robespierre tak jednak zasmakował w spokojnej atmosferze tego domu, jakże różnej od rozkrzyczanej sali klubu Jakobinów, że poprosił o stałą gościnę. Zaraz nazajutrz kazał przenieść swoje rzeczy do nowego mieszkania i ulokował się na dobre u obywatela Duplay.

Mimo powiększenia obowiązków matka i córki bardzo były rade z lokatora. Wieczorami czytano wspólnie Jana Jakuba, spacerowano przy księżycu, rozprawiano o poezji i o najnowszych dekretach Konwentu.

- Tak o tym mówisz, jak gdybyś dobrze ich znał - przerwałem.

- Bo ich znam. Stolarz to najuczciwszy człowiek pod słońcem, dobry i szlachetny, a Robespierre... ma miękkie serce. Czy wiesz, że nigdy nie widział egzekucji? Dla niego gilotyna to symbol. Symbol Rewolucji. Nic więcej.

- Co mówisz? Jak to możliwe?

- Człowiek to dziwne stworzenie. Tak i on. Wyruszał z pannami za miasto, zbierano polne kwiaty i trawy do zielnika, a wkrótce czuła przyjaźń połączyła go z dziewczętami. Wnosił przecież tyle urozmaicenia w ich monotonne życie. Sprzątanie jego pokoju było przywilejem, o który spierały się i kłóciły. Opowiadał mi to, śmiejąc się, stolarz. A już pranie i prasowanie pięknych żabotów stanowiło szczęście, nieledwie były się o nie między sobą.

- Tak dobrze ich znasz! - wykrzyknąłem z zazdrością.

- Bywałem tam wówczas - powiedział niedbale i spojrzał na mnie spod oka. - Chciałbyś poznać te dziewczęta? - spytał po chwili. - Nie ma tam dla ciebie nic do roboty, dwie są już zameżne, najstarsza i najmłodsza, ta najładniejsza, pozostałe zaś zaręczone.

- Ach, Wilfredzie - zawołałem. - Jak możesz tak mówić? Wiesz, że nie to miałem na myśli. Po prostu spodobał mi się ten dom i to, co mi opowiadano w sklepie o jego mieszkańcach. Byłem

ciekawym. Nic więcej. A za kogo wyszła ta najmłodsza?

- Najmłodsza i najładniejsza jest żoną Filipa Le Bas, wiernego towarzysza Robespierre'a. To miły i porządny chłopiec. Zachował jeszcze wiele złudzeń i choć widzi, co się dzieje, wierzy dotąd w szlachetne intencje przyjaciela.

- Co robi ten Filip Le Bas? Kim jest?

- Jest członkiem Konwentu. Przybył do Paryża jako poseł północnych dzielnic Francji. Jest bardzo zasłużony dla Rewolucji.

- I córka stolarza poślubiła go z miłości?

- O tak. Z wielkiej miłości. Wyobraź sobie, że gdy Robespierre na dobre zadomowił się u rodziny Duplay, sprowadził tam swoją starszą siostrę, Szarlotę, a potem młodszego brata. I kiedyś Szarlotta zabrała Elżbietkę na posiedzenie Konwentu. Było to jakiś rok temu. Zajęły miejsca na trybunie dla publiczności. Le Bas wszedł na górę powitać siostrę przyjaciela. Wkrótce potem obie panny znowu przyszły przysłuchać się obradom. Le Bas tym razem towarzyszył im dłużej. I tak się zaczęło. Wreszcie oświadczył się rodzicom i został przyjęty. Najlepszą dla niego rekomendacją była przyjaźń z lokatorem.

- Bardzo to piękna historia - westchnąłem.

- Tak - przyznał Wilfred. - Bo to prawdziwa miłość. Po ślubie Filip i Elżbietka zamieszkali oddzielnie, w nowej dzielnicy mało jeszcze zabudowanej, pełnej ogrodów i zieleni. Le Bas sprowadził młodszą siostrę Henriette, aby żona nie była sama - często wysyłano go w misji specjalnej wraz z Saint_Justem do obozów wojskowych na wschodzie i na północy. I tak Saint_Just i Henrietta poznali się i pokochali, a potem zaręczyli. Saint_Just stracił nieco ze zwykłej sztywności. Ma piękny głos, ładnie czyta i śpiewa. Bardzo przyjemnie spędzano wieczory w domu państwa Le Bas. Ponieważ Elżbietka spodziewała się dziecka, młodzi znowu zmienili mieszkanie i przenieśli się bliżej rodziców. Są szczęśliwi i choć dokoła krąży śmierć, oni z ufnością patrzą w życie. Le Bas co prawda jest niespokojny, widzi, co się dzieje. Rozmawiałem z nim niedawno.

- Są więc i dziś ludzie szczęśliwi - zauważyłem z zazdrością. - I nie przeszkadza im ani terror, ani gilotyna. Pewnie nawet nie zwracają uwagi na te okropności.

- Ludzie nie mogą żyć samymi okropnościami - powiedział z uśmiechem Wilfred. - Muszą mieć chwile wytchnienia. A cóż im pozwoli zapomnieć o dzisiejszej grozie? Tylko miłość. Czy myślisz, że w tym Paryżu, nad którym krąży śmierć i panuje gilotyna, ludzie nie żenią się i nie kochają? Więcej teraz ślubów niż w czasach pokoju i bezpieczeństwa. Młodzi rzucają się sobie w ramiona, przysięgają miłość dożgonną, choć często krótkotrwałą bez ich jednak winy. Spieszą się, nikt bowiem nie wie, czy zdąży zaznać chwili szczęśliwości?

- Ale Robespierre... - zacząłem.

- Robespierre nie potrzebuje takich podniet. Jemu wystarcza władza. Jest przecież panem Francji. Pozbył się już niewygodnych przyjaciół. Nie ma Dantona, ani Kamila Desmoulins. Nikt nie ośmielił się wypowiedzieć słowa krytyki, nawet pomyśleć o nim źle. Jest przecież Nieprzekupny. Tak go zresztą nazywają. Nie podlega ludzkim słabościom. Jest najczystszy wzorem rewolucjonisty i patrioty.

- Wydał na śmierć swoich przyjaciół - wybuchnąłem. - To też byli patrioci i rewolucjoniści.

- Obrócili się przeciwko niemu. Nie miał wyboru.

- Może to już ostatnie ofiary - westchnąłem.

- O nie - powiedział Wilfred - to jeszcze nie koniec.

I to nie był koniec. Bo czyż można zatrzymać toczącą się po stromym zboczu lawinę?

Po kilku tygodniach względnego spokoju, wznowiono krwawe widowiska na placu Rewolucji.

- A nuż zardzewiałoby ostrze gilotyny - mówili ludzie. - Co by wówczas było? Czy jak w dawnych czasach ścinano by nam głowy toporem?

Ósmego maja dwudziestu siedmiu głównych poborców podatkowych, których udało się wypłoszyć z kryjówek, wstępowało na szafot. Jeden wśród nich wcale się nie ukrywał. Pracował do końca nad nowym wynalazkiem. Czego bo już nie wymyślił ów człowiek, wielki uczony jak się

dowiedziałem. Sławny chemik i fizyk, który obliczył skład powietrza, odkrył rolę tlenu w oddychaniu zwierząt, dokonał pomiaru gazów i wiele innych mądrych rzeczy. Choć bardzo był potrzebny Republice, Trybunał rewolucyjny nie zawahał się wydać na niego wyroku śmierci. A gdy ktoś w Konwencie, pragnąc go ratować, podkreślił jego zasługi na polu nauki, jeden z członków zauważył opryskliwie:

- Rewolucja nie potrzebuje uczonych.

Tak więc Lavoisier podzielił los towarzyszy.

W dwa dni potem Wilfred nie puścił mnie do praczeki.

- Pójdziemy do Trybunału - zapowiedział.

- Po co? Kogo będą sądzić? - spytałem zaskoczony.

- Siostrę Ludwika.

- Siostrę...? Ale przecież... Cóż ona...?

- Nie ma czemu się dziwić. Musi zginąć, jest siostrą Ludwika.

- A... dziewczynka? - Zdławił mnie strach. - Czy ona też?

- Nie, ona jak i jej brat są "Zakładnikami Narodu". Nic im nie grozi.

- Nic... - powtórzyłem z goryczą. - A to dziecko... Czy to też nic groźnego?

- Uspokój się. Chodźmy już. Mam nadzieję, że twoja praczka potrafi dziś obejść się bez ciebie.

- Potrafi. Wczoraj nanosiłem pełną beczkę wody. Jest tam taki młody sąsiad, co mi czasem pomaga.

Sala Trybunału była pełna. Nic dziwnego. Sądzone przecież córkę i siostrę królów, a więc tyranów.

Nie była specjalnie ładna i już nie pierwszej młodości, miała trzydzieści parę lat. Któż kobieta zresztą, choćby najmłodsza i najpiękniejsza, mogła ładnie wyglądać w więziennych warunkach? Ciemną suknię okrywała skrzyżowana na piersiach chustka, spod płóciennego czepek wymykały się bujne włosy.

Jedno w niej uderzało, jakaś powaga i zdeterminowanie w układzie ust. Od razu było widoczne, że ta kobieta nie będzie prosić o litość ani w ogóle tłumaczyć się z czegokolwiek. Była odważna i nie przerażała jej śmierć na szafocie.

Bezwzględnie też przystąpiła do rzeczy, przerywając pytania sędziego.

- Po cóż przeciągać to śledztwo? - powiedziała głosem tak spokojnym, jak gdyby tu nie chodziło o jej życie. - Wszystkie te pytania nie są potrzebne. Jestem przecież z góry skazana i przyjmuję wyrok.

W głębokiej ciszy, jaka zapanowała wśród stłoczonych na ławach widzów tego dramatu, ogłoszono ją winną zdrady narodu, po czym oznajmiono, że egzekucja odbędzie się bezpośrednio po procesie.

Tegoż jeszcze dnia sądzono dwudziestu czterech oskarżonych, mężczyzn i kobiety, których podobnie jak i panią Elżbietę skazano na śmierć.

Jadąc wózkami wraz z innymi na miejsce kaźni była zupełnie opanowana i spokojna.

Po przybyciu ustawiono ich rzędem obok fatalnej estrady, nad którą sterczała gilotyna. Ostrze ujęte w ramy tego narzędzia śmierci błyszczało niczym polerowane srebro.

Pani Elżbieta była ostatnia.

Towarzyszyliśmy tym ofiarom terroru w drodze na ich Kalwarię. Tłumy jak zwykle przy takiej okazji zalegały ulice, ludzie byli ciekawi siostry tyрана pędzącej niegdyś próżniacze życie w splendorach Wersalu. Mało jednak słyszało się wrogich okrzyków, raczej wrzeszczała chwilami grupa opłaconych na tę okazję "patriotów".

Razem z pierwszym wózkiem i my z Wilfredem wydostaliśmy się na plac, torując sobie drogę wśród gapiów. Ludzie jak zwykle przyszli całymi rodzinami. Ojcowie podnosili wysoko dzieci, aby i one mogły przyjrzeć się, jak umierają zdrajcy ojczyzny.

Wśród skazanych panowało absolutne milczenie. Tylko nastąpiło coś, czego jeszcze nie widziałem, a czego inni także nie byli dotąd świadkami.

Oto każdy z tych, co mieli za chwilę umrzeć, po kolei, zanim kat związał im ręce, podchodził

do pani Elżbiety i składał przed nią głęboki dworski ukłon, ostatni wyraz czci i szacunku, jaki jej okazano na tej ziemi. Od czasu jak ten plac nazwano placem Rewolucji, nie widziano tu podobnej ceremonii.

Ona zginęła dopiero wówczas, gdy dwadzieścia cztery głowy zapełniły kosz pod gilotyną.

Wstępowała na stopnie szafotu tak, jak gdyby były to stopnie tronu. Dostojna i majestatyczna ze związanymi rękami, a wiatr rozwiewał byle jak ucięte ręką kata kosmyki włosów, wymykające się spod czepka.

Ciszę, jaka zapanowała wśród tłumu zalegającego plac, przerwało nagle szczekanie psa.

I wtedy czar przysł.

Z ciężkim sercem szedłem nazajutrz do mojej praczki. Po bezsennej nocy bolała mnie głowa i odezwała się ręka, której nie ma. Wdowa Clouet wiedziała oczywiście, co się stało, a ja w bramie zderzyłem się nieledwie z sąsiadami z pierwszego piętra.

Brutus i Kasjusz mieli rozradowane miny, obaj opasani trójkolorową szarfą, znakiem ich godności.

- No i co, obywatelu - odpowiedział Brutus na moje pozdrowienie. - Widzisz, jak sprawnie Republika starła z powierzchni ziemi to plemię jaszczurcze!

- Ja bym tak nie powiedział - mruknąłem. - Coś niecoś jeszcze z niego zostało.

- Ech, te dwa szczenięta - machnął lekceważąco ręką Kasjusz. - Wyrwano im już kły i pazury, więcej nie ugryzą.

- Z nimi prędko się uwiniemy - zaśmiał się Brutus. - Na to nie trzeba nawet fatygować Pani Gilotyny!

Nie mogłem tego słuchać. Zaciśnąłem zęby i prędko poszedłem w głąb podwórza. Urażliwy śmiech obu przyjaciół doleciał mnie, jeszcze zanim pchnąłem drzwi do sieni.

Wdowa Clouet siedziała na kuchennym krześle trzymając się za głowę.

- Byłeś tam, prawda? - spytała.

- Byłem.

- Opowiedz.

Opowiedziałem. Słuchała z zamkniętymi oczami. Spod powiek sączyły się łzy.

- Pani Elżbieta... - powiedziała szeptem. - Taka dobra, cicha i łagodna. A mówiono, że kiedyś nie lubiły się, ona i pani Antonina, gdy pani Antonina przybyła do Francji, by poślubić Ludwika. Pani Elżbieta była wówczas dziewczynką kilkunastoletnią. A potem... okazała się najwierniejszą w nieszczęściu. Mogła wyjechać z braćmi, z ciotkami, a została. Została, żeby umrzeć. A to biedactwo teraz samo... Jak zniesie tę niewolę bez opieki, bez jednej życzliwej duszy... Łotry! Zamordowali wszystkich i tylko te dzieci... te dzieci... - Wytarła głóśno nos.

- Tak - powiedziałem siadając naprzeciw niej przy stole. - Całą noc myślałem o dziewczynce. Patrzyłem na ciemne okna i wyobrażałem sobie...

- Za parę dni jadę do Temple. - Wdowa Clouet wsunęła pod czepkę rozwichrzone loczki. - Może się czego dowiem.

To, czego się dowiedziała, nie podniosło nas na duchu. Były to zresztą bardzo skąpe wiadomości. Dziewczynka z niepokojem wyglądała powrotu ciotki. Nie wiedziała przecież o niczym. Myślała pewnie, że obie, matka i ciotka, siedzą w innym więzieniu.

Po paru dniach, gdy odwiedził praczkę ów znajomy rzemieślnik, dowiedzieliśmy się więcej. Człowiek ten miał najlepsze informacje od jednego z komisarzy, którzy byli świadkami całej sceny.

Gdy się tylko położyły, załomotano do drzwi. Pani Elżbieta krzyknęła:

- Chwileczkę, muszę się ubrać.

Łomotano tak wściekle, jak gdyby chciano wyrwać drzwi z zawiasów. Wreszcie brzęknęły rygle i cała gromada zbrojnych wwalila się do środka.

- Pójdiesz z nami, obywatelko - powiedział ten, który wydawał się dowódcą.

- A moja bratanica? - spytała pani Elżbieta z lękiem.

- Nią zajmiemy się później - odparł burkliwie dowódca.

Wówczas pani Elżbieta uściskała dziewczynkę.

- Nie martw się, wkrótce wrócę - powiedziała głośno, jak gdyby rzucała wyzwanie prześladowcom.

- Nie, obywatelko - przerwał brutalnie dowódca. - Już tu nie wrócisz. Włóż czepek i chodź z nami.

Podczas gdy pani Elżbieta drżącymi rękami wkładała czepek i wygładzała suknię, obrzucono ją najgorszymi wyzwiskami. Nie zważając na obelgi, raz jeszcze ucałowała dziewczynkę.

- Odwagi - powiedziała. - Miej ufność w Bogu.

Po czym popchnięto ją na schody.

Taką relację przekazała mi moja praczka. Wilfred potwierdził wiarygodność tego przekazu.

Dziewczynka więc pozostała sama. Nie dano jej jednak zaznać jakiego takiego spokoju. Przede wszystkim pytania o los ciotki zbywano milczeniem. Przestała więc pytać, za to nękaną ją ciągłymi "wizytami" o różnych porach dnia i nocy.

Wpadali do jej celi ludzie, których nie знаła, aż pewnego dnia zjawił się wraz z innymi doskonale ubrany młody mężczyzna o cienkich wargach i oczach jak lód. Zajrzał jej bezczelnie w twarz, po czym wyszedł bez słowa. Wilfred powiedział, że był to Robespierre ciekaw córki tyrana.

- Sam Robespierre! - Jak opowiadał mu jeden ze znajomych komisarzy, przy czym wznosił oczy do nieba i pobożnie składał ręce.

- Co z nią będzie? - pytałem pełen niepokoju. - Co zrobią z tą biedną dziewczynką?

- Sami już pewnie nie wiedzą, co z nimi zrobić - mruknął Wilfred odsuwając talerz i opierając łokcie na stole.

- Wilfredzie - postanowiłem wreszcie zadać pytanie, które od dłuższego czasu paliło mi usta.

- Czy ty... nie obawiasz się o siebie?

- Ja? - Podniósł głowę.

- Tak, ty. Nie obawiasz się?

- Czego?

- No... Wszystkiego tego, co się dzieje, tych procesów, wyroków śmierci, egzekucji... Padli najwięksi rewolucjoniści, najlepsi patrioci... Boję się o ciebie.

- Bądź zupełnie spokojny - uśmiechnął się. - Nie grozi mi to, czego się obawiasz. Nie jestem ani tak wielki jak Danton, ani tak groźny jak Desmoulins. Z nikim nie rywalizuję w walce o władzę. Nie zabieram publicznie głosu. Nie jestem członkiem Konwentu ani innego ciała, nie działam też w żadnej frakcji.

- Mimo to jesteś wszędzie, znasz wszystkich i wiesz to, co dla ogółu jest zakryte. Jak to robisz?

- Jak? - zdziwił się, a potem zaśmiał się głośno. - Mogę powiedzieć, że podobnie jak Desmoulins z głową zanurzyłem się w Rewolucji, z tą tylko różnicą, że będąc niczym, mam większe szanse unieść głowę cało.

- Ty, Wilfredzie, niczym? - zaprotestowałem. - Wiem, jaki z ciebie patriota i dziwię się, że Republika nie wykorzystuje twoich zdolności, twojej wiedzy i w ogóle twoich talentów.

- W takich czasach jak te, bezpieczniej machać miotłą, niż wykorzystywać talenty - zazartował. - I ponieważ jestem niczym, mogę spełniać mój obowiązek nie wzbudzając nieufności.

- A jaki jest twój obowiązek? - Chciałem jak najwięcej dowiedzieć się, co robił, gdy zniknął na całe dni i noce.

- Dotrzymać wierności Francji.

- Wybacz to głupie pytanie. Naturalnie, twój obowiązek będzie zawsze tam, gdzie honor. Wiem przecież o tym. Znam twoją skromność i odwagę, twoją szlachetność.

- Przestań, nic nie wiesz i nie trzeba, żebyś wiedział.

- Nie wdzieram się w twoje tajemnice, ale wiem, że cokolwiek robisz, jest to słuszne i sprawiedliwe. A to, co się dzieje... widocznie tak być musi. Tylko boli mnie jedna rzecz. To morze

krwi niech nie pochłania kobiet. Rewolucja powinna uszanować ich słabość...

- Rewolucja nie lubi kobiet - przerwał gwałtownie. - A raczej pewnego typu kobiet. Jeszcze parę dni temu jakiś krzykacz w Konwencji wygrażał kobietom, które niepomne swojej płci pchają się do polityki i do stanowisk przynależnych wyłącznie mężczyznom. "To może my mamy przypasać fartuchy i zająć się wycieraniem zasmarkanych nosów naszych dzieci? - wołał. - może mamy stanąć przy balii lub w kuchni doglądać garnków i mieszać zupę, żeby się nie przypaliła? To skandal! Nie wolno odwracać naturalnego porządku uświęconego przez wieki! Miejsce kobiety jest przy domowym ognisku, nie w klubie, nie na zebraniu; przy biurku może zasiąść jedynie dla napisania listu, a nie po to, aby zaczerpnąć stopy papieru uczonymi traktatami. Mamy teraz kobiety wynaturzone, pragnące zabierać głos we wszystkich ważnych dla narodu kwestiach. Doszło do tego, że kobiety chcą zajmować się polityką, kierować sprawami, o których nie mają najmniejszego pojęcia! I trzeba sięgać po środki ostateczne, by ukrócić samowolę kobiet!"

- Ja też raz słyszałem coś podobnego - pokiwałem głową. - Ale bywają przecież kobiety mądre. Taka na przykład pani Roland...

- Tak - przyznał Wilfred. - Pani Roland była bardzo mądra, wyjątkowo mądra. Gdy jej mąż został ministrem spraw wewnętrznych, to właściwie ona kierowała podległym mu urzędem. A Olimpia de Gouges... też wybitna indywidualność. Niestety, zaszkodziła im przyjaźń z żyrondistami. Pamiętasz, obie zostały osądzone i ścięte w parę dni po procesie tak zwanych "brissotystów".

- Pamiętam. Pani Roland była bardzo ładna. A jej mąż? Jego też chyba aresztowano?

- Jemu udało się zbiec. Ukrywał się prawie pół roku, a na wiadomość o egzekucji żony przebił się sztyłem. Był od niej o wiele starszy i bardzo ją kochał, a ona z więzienia napisała pożegnalny list do innego, nie do męża.

- Podła.

- Nie, tylko zakochana. Roland był dla niej za stary. I widzisz, tak ona, jak i Olimpia de Gouges, a potem Lucylla Desmoulins z zamkniętymi oczami rzuciły się w Rewolucję, jak gdyby to był jakiś staw czy jezioro. A to przecież Ocean...

- To były kobiety nieprzeciętne.

- Tak, ambitne, żądne władzy i bardziej zainteresowane polityką niż kuchnią czy dziećmi. Mężczyźni nie pozwolą sobie wydrzeć należnych im praw. Rewolucja zbyt rozpałała wyobraźnię kobiet i żeby ostudzić nieco te szalone głowy...

- Nie kończ, Wilfredzie - krzyknąłem. - Czyżbyś był wrogiem kobiet?

- To nie ja, to Rewolucja - odparł śmiejąc się. - Ja współczuję kobietom i lituję się nad nimi, szczególnie jeśli są inteligentne, a dostały głupich mężów.

- W każdym razie uważam, że nie wolno gilotynować kobiet - upierałem się.

- Kobietom odmawia się praw, jakie mają mężczyźni - Wilfred wstał - jednak karze się je tak samo jak nas, w tym przynajmniej są nam równe... No, czas spać, Bertranie, jutro mam wiele pracy, chcę też być na obradach Konwentu.

- Czy mógłbym pójść z tobą? - spytałem, od dawna bowiem pragnąłem znowu znaleźć się w tej sali i popatrzeć na ludzi kierujących Rewolucją.

- Możesz. Każdy może tam wejść. - Wilfred spojrzął na mnie pytająco. - Byłeś już tam przecież.

- Byłem - przyznałem. - W ubiegłym roku. Ale teraz tyle dzieje się nowego i chciałbym...

- Dobrze - uciał. - Przyjdź o dziewiątej. Spotkamy się już na sali, na galerii - poprawił się.

Wyszedłem trochę wcześniej niż zwykle, bo chciałem uprzedzić praczkę o mojej nieobecności.

- Idź, idź - powiedziała wdowa Clouet, klepiąc mnie po ramieniu. - Może coś tam mądrego posłyszysz - westchnęła na pożegnanie.

Korytarze były zatłoczone. Przepychałem się do schodów na galerię, gdy wtę posłyszałem:

- Z drogi! Z drogi!

Głos był przeraźliwy i piszczący, przykry dla ucha, a jednocześnie rozległo się brzęczenie i skrzypienie kół i dziwny pojazd ukazał się u końca korytarza.

- Couthon! Couthon! - zaszemrali ludzie, rozstępując się na boki, by zostawić wolną przestrzeń

dla zbliżającego się szybko wehikułu.

Był to rodzaj fotela na kółkach, wybity żółtym aksamitem. Z bocznego oparcia sterczały rączki korby, poruszającej ten zaiste przedziwny pojazd. Człowiek siedzący w fotelu z niesamowitą wprawą i zręcznością kręcił tymi rączkami, a fotel, jak gdyby pchany niewidzialną mocą, szybko sunął naprzód. Drogę jego znaczyło skrzypienie podłogi, zgrzyt korby i dudnienie kół.

- To on! Couthon! - przeleciało ponad głowami i w korytarzu powiało grozą.

Ten, który budził taki lęk, wyglądał najzupełniej zwyczajnie. Był to drobny mężczyzna w średnim wieku o łagodnej twarzy, wcale nie pasujący do miana, jakie mu nadano: "Tygrys Konwentu". Dobrze był znany, nie tylko w Paryżu; cała Francja drżała na dźwięk jego nazwiska.

Widziałem go pierwszy raz, choć wiele słyszałem o jego działalności i o roli, jaką odgrywał przy boku Robespierre'a, trzymając się jednak raczej w cieniu.

Byłem bardzo ciekaw tak sławnej osoby, pospieszyłem więc za innymi na górę.

W podobnie wielkiej ciżbie nie sposób było odnaleźć Wilfreda, zrezygnowałem więc z poszukiwań. Na szczęście udało mi się wcisnąć na ostatnie wolne miejsce na galerii.

Fotel kaleki ustawiono blisko trybuny dla mówców. W pewnej chwili, podczas burzliwej dyskusji, dwóch barczystych młodzieńców odrzuciwszy pled przykrywający sparaliżowane nogi "Tygrysa" uniosło go jak piórko i posadziło na krześle ustawionym specjalnie dla niego na mównicy.

- Obywatele! - Przykry dla ucha głos skrzeczał wśród ciszy porażonej grozą sali. - Oczyścimy nasze szeregi ze słabych, obojętnych i zdradliwych! Niech każdy patriota wzbudzi w sobie czujność, by nie dopuścić wrogów do działania przeciw Republice. Pamiętajcie, że ciężką walką zdobyliśmy wolność, pozbyliśmy się króla. Król! Drzę z obrzydzenia na sam dźwięk tego słowa. To potwór, którego wypiera się Natura, ciemiecza, który dąży do upodlenia narodu, tyran znienawidzony przez wolnych obywateli! Pozbyliśmy się tego społecznego wyrzutka i nikt nigdy nie nałoży Francji haniebnego jarzma niewoli! Należy ponadto wytepić wszystkich księży, tych obłudnych sługusów ciemnoty; ukrywają się jeszcze gdzieś owi zdrajcy ojczyzny i wrogowie ludzkości! Republika potrzebuje krwi tych szarlatanów, by zmyć nią wszystkie przesady, zagrządzające drogę do wolności i do panowania rozumu. Pozbądźcie się fałszywej litości i jeśli chcecie zwyciężyć, stańcie się Rzymianami!

Ludzie słuchali jak zahipnotyzowani. Nikt nie śmiało głębiej odetchnąć, poruszyć ręką. Skrzekliwy głos trzymał obecnych pod jakimś złym czarem, a tak zdawałoby się łagodna przed chwilą twarz przerażała teraz zimnym okrucieństwem. Gdy przemawiał, opadała z niego maska obłudnej czułości. Wyglądał na człowieka wyzutego z człowieczeństwa, dyszał nienawiścią, bo nienawdził wszystkich, nawet tych słuchających go na tej sali.

- Czy to kalectwo uczyniło go takim...? - Siedząca obok mnie młoda dziewczyna zadała szeptem to niedokończone pytanie, które pewnie zadawali sobie wszyscy obecni na sali słuchacze.

Tygrys! - myślałem. - To prawdziwy tygrys żądny ludzkiej krwi. Tak, krew, oto czego pragnie. Czy starczy jednak we Francji krwi, by go nasycić? Czy starczy krwi, by zaspokoić głód i ugasić pragnienie bestii? Czy starczy?

XIII

- Przypominam sobie pewną straszną scenę. - Wilfred stał w otwartym oknie i choć cały obrzeżony murem teren dawnej siedziby Templariuszów pławił się wprost w majowym słońcu, stercząca ponad inne budowle wieża nic nie utraciła ze swej ponurej grozy.

- O czym mówisz? - spytałem odsuwając krzesło i podchodząc do okna.

Był właśnie dzień wolny od pracy. Po ostatnich krwawych wydarzeniach na placu Rewolucji przysnął jakoś dla mnie urok Paryża i z przyjemnością zostałem w domu.

- Mówię o tym, co tu się wydarzyło w początkach września dziewięćdziesiątego drugiego roku.

- Wilfred zatoczył ręką szeroki łuk. - Nie było tu wówczas tak cicho i pusto jak teraz. Ogarnięte szaleńczego mordowania pospólstwo zniosło stojące mu na drodze straże i wdarło się za ogrodzenie. Ten, co szedł na przedzie, wysoko podnosił pikę ociekającą krwią, bo na jej szczycie zatknęto ludzką głowę. Za życia była to głowa pięknej kobiety, ale teraz...

- Któż to taki?

- Księżna de Lamballe. A tłum wył: "To przyjaciółka Austriaczki, podnieś pikę pod samo okno, niech zobaczy, jaka kara spada na wrogów ludu!"

- Powiedziałaś, że działo się to na początku września dziewięćdziesiątego drugiego roku?

- Tak.

- A więc na krótko przed Valmy. Znajdowałem się wówczas, jak wiesz, w obozie pod Chalons i słyszałem tylko, co się tu działo.

- Nasi mówcy potrafili doprowadzić lud do wrzenia. Pamiętam jak Danton, bardziej czerwony niż zwykle, krzyczał z trybuny Konwentu: "Pozbądźmy się zdrajców! Śmierć wrogom ojczyzny! Należy wytoczyć niedobrą krew z narodu". Nic dziwnego, że pijani winem i nienawiścią "patrioci" rzucili się do więzień. Pani de Lamballe przebywająca za granicą właśnie wróciła, by podzielić los przyjaciółki. Zamknięto ją w więzieniu La Force, gdzie dotąd trzymano złodziejki i nierządnic. Powstał tam, jak i w innych więzieniach, samowolny trybunał dla sądenia winnych z Hebertem na czele. Tak, tak, właśnie z owym eleganckim Hebertem, o którym żona, dawna zakonnica, zwykła mawiać: "jego ręce są równie czyste, jak jego dusza".

- Wiem, że wymordowano wówczas wielu więźniów, ciotka Anna mówiła.

- Zawleczono więc ową nieszczęsną "przyjaciółkę Austriaczki" przed ten "trybunał", a wyrok był dla wszystkich jednakowy. Lepkimi od krwi rękami pochwycono biedaczkę i wypchnięto na dziedziniec zasłany trupami. Pierwszy cios piką rozorał jej czoło nad okiem, za nim poszły następne. Ktoś wreszcie, podobno jakiś czeladnik od rzeźnika, oddzielił głowę od zmasakrowanego tułowia i zatknęto ją na pice przyniesiono aż tutaj, podsuwając pod zakratowane okno "Austriaczki".

- Ohyda - mruknąłem.

- Ta pani de Lamballe to bardzo nieszczęśliwa kobieta. Wydano ją za młodego rozpustnika, uganiającego się za aktorkami. Po roku owdowiała, mąż zaraził się brzydką chorobą i zmarł. Szczęście, że żona wkrótce po ślubie przestała go interesować.

- I co ona?

- Zamieszkała z jego rodzicami. Gdy ją aresztowano, teść sypał pieniędzmi, robił wszystko, by ją ratować. Trafił do przywódców, ale ci byli nieugięci. Danton w odpowiedzi na jego petycję wrzasnął: "Przedstawiciele ludu paryskiego po to dziś pracują, by zerwać pęta niewoli i poprowadzić go ku wolności". Inni wrzuszali tylko ramionami, a Marat, bo i do niego dotarł zrozpaczony ojciec, zauważył zimno: "Pół miliona głów winno spaść, jeśli chcemy zachować wolność". Robespierre zapewnił, że sprawiedliwość nie skrzywdzi niewinnej i obiecał wstawić się za panią de Lamballe.

- Ja wówczas byłem zachwycony Rewolucją - powiedziałem nieśmiało. - I w dalszym ciągu mam się za szczerego rewolucjonistę, ale te ekscesy... Mówiłeś, że to nieuniknione, że każdy przewrót wymaga ofiar, tak i teraz... Wierzę jednak, że Rewolucja wyjdzie z tych prób oczyszczona, obmyta z krwi i niczym słońce zajaśnieje dla całej Europy.

- Być może - mruknął Wilfred. - W każdym razie dobrze się dla ciebie złożyło, że nie byłeś

wówczas w Paryżu.

- Jednej rzeczy nie mogę zrozumieć. - Namyslałem się, jak wyrazić to, co pragnąłem powiedzieć. Nie rozumiem ludzi, którzy z zimną krwią mordowali bezbronnych więźniów.

- Przede wszystkim nie czynili tego z zimną krwią. - Ożywił się Wilfred. - Agitatorzy i podżegacze uderzali w patriotyczną strunę. "Prusacy idą na Paryż! Verdun skapitulowało! Gubernator tego miasta popełnił samobójstwo! Na ratuszu powiewa czarna chorągiew! Kto wie, czy wróg nie stoi już u bram Paryża? Zabijmy zdrajców, by nie mogli nam szkodzić! Śmierć arystokratom!" I tym podobnie. Tak się to wówczas odbywało. Nie zapominaj też, że nie żałowano wódki i wina, które niczym oliwa dolana do ognia rozpałały patriotyczny zapał. No i pieniądze. Dla pospólstwa była to gratka nie lada. Za żadną robotę nie płacono tak hojnie, jak za rzeź w więzieniach. Była bieda, głód, ludzie potrzebowali pieniędzy.

- Więc bronisz tych morderców?

- Nie bronię, ale znam ludzką naturę i wiem, jak można manipulować tłumami.

- Mówisz, że pchał ich do haniebnych czynów patriotyczny zapał. Dlaczego więc nie zaciągnęli się do wojska, gdy ojczyzna potrzebowała obrońców? Gdy z nastawionym bagnetem szedłem w szeregu wśród takich samych jak ja oberwańców, gdy grały armaty i świstały kule, pchał mnie jak i wszystkich żołnierzy właśnie ów patriotyczny zapał. Mieliśmy przed sobą wroga o wiele lepiej niż my uzbrojonego. Słuszność była po naszej stronie, to my broniliśmy naszych granic, naszej niepodległości. Szły na nas armie Austriaków, Prusaków i emigrantów, wrogów, co chcieli nas zakuć w kajdany, odebrać nam ziemię. I to my, słabsi i źle uzbrojeni sankiuloci, pobiliśmy owe wspaniałe armie, my, bosci i w łachmanach wtłoczyliśmy w błoto białe mundury Austriaków. Ale to było zupełnie co innego niż tu, w więzieniach.

- Nie unosz się - zmitygował mnie Wilfred. - Tak tu jednak było i nic tego nie zmieni. Z jednej strony wielkość i bohaterstwo, Valmy i Jemmapes, z drugiej ohydne bestialstwo pastwiące się z nożem w rękę nad bezbronnymi w zamkniętych murach więziennych dziedzińcach. Dwa oblicza ludzi, a więc Rewolucji, bo to ludzie robią Rewolucję.

- Wiem. Ale gdybyś był wówczas w naszym obozie... Pamiętam, na parę dni przed bitwą przybyło takich dwóch z Paryża. Powiedziano nam, że to wysłannicy Konwentu. Wszyscy się ich bali, a oni weszli jak psy, wszędzie wetknęli nos. Oficerowie byli wściekli i szemrali: "Ci cywile pojęcia nie mają o sztuce wojennej, a chcą wszystkim rządzić". My byliśmy bosci i obdarci, a im na kapeluszu sterczał trójkolorowy pióropusz, a przepasywali się takąż jedwabną szarfą z kokardą na lewym boku. I mieli szable.

- Ten teatralny nieco strój zaprojektował mistrz David - wtrącił Wilfred. - Nie myśl jednak o nich tak źle. Biedni byli ci wysłannicy Konwentu, tłukli się na wózkach lub konno po drogach całej Francji, docierali do granic kraju, gdzie stały nasze armie. Konwent bał się zdrady, szczególnie po ucieczce La Fayette'a i po przejściu Dumourieza na stronę Austriaków. W wojsku wybuchały bunty, panowało rozprzężenie. Żołnierze głodni i obdarci dopuszczali się gwałtów na cywilnej ludności. Należało ukrócić te nadużycia i grabieże.

- Tak - wspominałem. - Zebrano nas wszystkich i jeden z tych z trójkolorową szarfą wygłosił przemówienie. Gadał o honorze, ojczyźnie, o chwale wojennej, o dyscyplinie wojskowej, przytaczał co chwila przykłady Greków i Rzymian, a wreszcie tak zakończył: "Żołnierze, winniście mi całkowite i ślepe posłuszeństwo. Zrozumiano?" Słuchaliśmy zafascynowani, bo ten wysłannik, choć drobny i niewysoki, grzmiał niczym trąba bojowa. Wszystko, co mówił, wydawało mi się wówczas wzniosłe i wspaniałe. Dziś chyba nie zrobiłoby to na mnie takiego wrażenia. Drżeli przed nim i generałowie, ale nie nasz Kellermann. Ten wiedział, że wszystko, co czynił, było słuszne.

- W następnym roku pod Valmy takim delegatowi towarzyszył pomalowany na czerwono wóz z przenośną gilotyną - zauważył Wilfred. - Groza poszła po kraju, a zjawienie się wysłanników Konwentu oznaczało bliską śmierć. Szczególnie gdy wysyłano ich w rejon zamieszek. Prowincja nie tak łatwo jak Paryż uległa Rewolucji. Co rusz wybuchały gdzieś bunty i powstania. Trzeba było twardej ręki, by położyć kres walce, a opornych ewentualnie krócić o głowę. Mistrzem w tego rodzaju misji był Couthon.

- Ten kaleka?

- Ten kaleka. Nie darmo nazwano go "Tygrysem Konwentu". Bano się go bardziej niż ognia. Pamiętaj też, że owi wysłannicy mieli nieograniczoną władzę. Rozumiesz, co to znaczy? Nieograniczoną. Czyli że stawali się panami życia i śmierci. Iluż dzielnych generałów wysłali na gilotynę! Choćby taki Custine czy Houchard. Degradowali wysokich oficerów, którzy im nie byli posłuszni, a nierzadko na ich rozkaz rozstrzeliwano opornego generała przed frontem jego własnej dywizji.

- Couthon widać dobrze zasłużył na przydomek "tygrysa".

- A dobrze. Gdy w Lyonie wybuchły zamieszki, gdy miasto opowiedziało się po stronie żyrondistów, trzeba było posłać tam wojsko. Przystąpiono do regularnego oblężenia. I oto zjawia się Couthon "przedstawiciel ludu" i w pierwszym raporcie, jaki wysyła do Konwentu, pisze, że ludność całej prowincji powstała przeciw lyońskim wicherzycielom. Nie tylko mężczyźni, ale kobiety i dzieci jak jeden mąż przyłączyli się do żołnierzy. Lyon musiał skapitulować i otworzyć bramy. Natychmiast zaczęły się represje. Ale tym razem wbrew swemu przezwisku Couthon nie łaknął krwi buntowników. Spadło tylko coś ze trzydzieści głów. Resztę pozostawił swoim następcom. Pod karą śmierci zabroniono żołnierzom grabieży. Konwent specjalnym dekretem nakazał jednak zburzenie miasta. Takiego miasta! Wyobrażasz sobie? Couthon symbolicznie wyszczerbił młotkiem ścianę jednego z pałaców na placu Bellecour. Po jego wyjeździe rozpętało się piekło. Zburzono blisko dwa tysiące najwspanialszych gmachów, wymordowano tyluż obywateli. Podobne powstania wybuchały też w innych miastach: w Marsylii, w Bordeaux, w Tulonie. Nie mówiąc już o Bretanii, gdzie cała prowincja opowiedziała się za monarchią, a nasze wojska biją się przecież na wszystkich frontach, także poza Francją niosąc wolność uciemżonym.

- Mówiłeś, że za wolność muszą nam płacić.

- I płacą. My też zapłaciliśmy. I to niemało.

Prawie cały ten dzień spędziłem siedząc przy oknie, wpatrzony w wieżę, której poczerniałe ze starości mury, choć ozłoczone słońcem, przypominały raczej grobowiec niż ludzkie mieszkanie. Wieczorem po kolacji razem z Wilfredem znaleźliśmy się znowu u okna. Cień wieży słabo już znaczył się na ledwie jaśniejącym niebie, a my znowu wróciliśmy do porannej rozmowy.

Pytając o głównych przywódców Rewolucji, których Wilfred znał, wymieniłem nazwisko Saint_Justa.

- Saint_Just - ożywił się mój przyjaciel, a nawiązując do tego, o czym mówiliśmy rano, dodał: - Saint_Just, jako "misjonarz republikańskiej ewangelii", tak siebie nazywali owi przedstawiciele ludu wysyłani w misji specjalnej do armii, również jeździł na owe inspekcje. W takich sytuacjach Konwent nie tylko nadawał mu władzę nieograniczoną, lecz wręcz "nadzwyczajną". Pamiętam, że zimą on i Le Bas, małżonek pięknej Elżbietki, której tak byłeś ciekawy, przybyli do Strasburga, zagrożonego pruską i austriacką inwazją.

- Dlaczego Konwent wysłał w takiej misji tak wysokiego dygnitarza? - zdziwiłem się.

- Sytuacja na froncie wschodnim wymagała specjalnych środków. Saint_Just był ostatnią nadzieją Komitetu Ocalenia Publicznego, a Le Bas, przyjaciel Robespierre'a, reprezentował Komitet Bezpieczeństwa. Nastroje w Alzacji nie spodobały się wysłannikom Konwentu. Saint_Just był niezmordowany w tępieniu nadużyć i w rozpalaniu rewolucyjnej gorliwości wojska, dwoił się i troił, był wszędzie. Gdy namawiano go do spoczynku, odpowiadał: "Ci, którzy w świecie wywołują rewolucje, śpią dopiero w grobie". Niezmordowany przeprowadzał inspekcję za inspekcją: koszary, szpital, kuchnie, sztab oficerski. Litowano się nad nim, bo był błąd jak trup z braku snu i odpoczynku. Opowiadał mi to wszystko mer jednego z miast, gdzie właśnie Saint_Just i Le Bas przeprowadzali kontrolę.

- Tak oczerniają Saint_Justa - zawołałem. - Rzeczywiście nie jest sympatyczny, nie lubię go, ale on wypełnia obowiązki nie zważając na swoje zdrowie i niewygody.

- O tak, Saint_Just to prawdziwy Rzymianin i tak go nazywają - uśmiechnął się Wilfred. - Ma przy tym dar słowa. Wszędzie, dokąd jeździł, pisał proklamacje do wojska i do ludności, które po wydrukowaniu rozlepiano na murach. żądał kary śmierci dla oszustów i złodziei, dla wszystkich bogacących się na dostawach dla wojska. Nawet dla żołnierzy, którzy nie wypełniali jak trzeba szaczonej służby dla ojczyzny. "Waszym hasłem ma być zwycięstwo lub śmierć" - wołał. Kazał rozstrzelać opieszalego w wykonywaniu rozkazów generała, a cała tak zwana armia Renu bała się go bardziej niż wroga. Jednakże dzięki tej żelaznej dyscyplinie nasze wojska odnosiły tak wspaniałe zwycięstwa. Ponadto ten "Archanioł Terroru" dbał o żołnierzy. Dzięki jego interwencji byli lepiej żywieni, odziani i uzbrojeni. Mimo to nie był lubiany. Wzbudzał jedynie szacunek pełen trwogi.

- Wypełnił swój obowiązek i przyczynił się do naszego zwycięstwa - zauważyłem.

- Z pewnością - pokiwał głową Wilfred. - Słyszałem też, że niektórzy mieszkańcy Alzacji nazywają go "dobrze uczesany potworem". Zawsze nienagannie ubrany, dba o swój wygląd. Terror jednak, który zaciążył na tej prowincji, wywołał więcej szkody niż pożytku. Przeszło dwadzieścia tysięcy rolników porzuciło ziemię i uciekło do Niemiec.

- Nie mieli prawa opuszczać ojczyzny - oburzyłem się.

- Cóż chcesz - wzruszył ramionami Wilfred. - Nie byli pewni życia, a Saint_Just wierzył w zbawienne działanie terroru. Nie wszystkim to jednak odpowiada. Muszę też dodać, że rola tych wysłanników nie była łatwa. Nieograniczona władza, jaką im nadano, narzucała nieograniczoną odpowiedzialność. Tajni agenci Komitetu Ocalenia Publicznego szpiegowali każdy krok wysłanników Konwentu i składali raporty o ich poczynaniach. Niektórych po powrocie czekała gilotyna. Komitet takie oto wydał im polecenie: "Zostaliście wysłani, by oczyścić drogę dla wolności, by Rewolucja mogła swobodnie dotrzeć tam, gdzie jeszcze tlą się rojalistyczne zarzewia i zalać je krwią zdrajców".

- Czy ten... Le Bas był równie gorliwy? - spytałem myśląc o uroczej córce stolarza.

- To bardzo porządny człowiek - powiedział Wilfred z przekonaniem. - Jest równie gorliwym rewolucjonistą jak Saint_Just. Nie ma w nim jednak okrucieństwa. Zresztą Saint_Just jest okrutny wyłącznie wobec wrogów Republiki. Le Bas teraz bardzo się niepokoi sytuacją. Powiedział mi ostatnio, że terror już przekroczył dozwolone granice i że za to trzeba będzie zapłacić.

- Co miał na myśli?

- Nie wiem. Ale wiem, że nic nie trwa wiecznie, a są w Paryżu ludzie, którzy mają już dość terroru. Ich odwet będzie straszny.

- Myślisz, że lud...?

- O nie, lud nie ma tu nic do gadania. Myślę o tych stojących u góry członkach Konwentu, którzy drżą o swoje życie i każdego dnia spodziewają się wyroku. Nikt przecież nie wie, czym może się narazić. Przez ostatnie miesiące zgilotynowano w Paryżu setki osób, a w innych miastach...

- Więc co będzie?

- Zobaczymy.

To, co zobaczyliśmy, było piękne i wzniosłe.

Ósmego czerwca pod przewodnictwem Robespierre'a obchodziliśmy uroczyste na Polu Marsowym święto Najwyższej Istoty. Było to wspaniałe widowisko, nieledwie przedstawienie teatralne w dekoracjach i strojach zaprojektowanych przez mistrza Davida. Chór opery odśpiewał hymn na cześć "Ojca Wszechświata", zwanego też Najwyższą Inteligencją. A słowa pieśni porwały zebranych: "Napraw nasze błędy, uczyn nas dobrymi, spraw, abyśmy stali się sprawiedliwi i dzielni. Panuj nam aż po wieczność, a my, posłuszni twoim wzniosłym nakazom, poprowadzimy ludzkość ku wolności".

Piękne były słowa owego hymnu. Ludzie płakali ze wzruszenia i cieszyli się, że mają znowu

kogo wielbić, gdyż niektórzy żalowali dawnego Pana Boga. Na Polu Marsowym zebrały się tłumy, jak zwykle przy wielkich uroczystościach, te same zresztą tłumy, które zalegały plac Rewolucji podczas wykonywania krwawych wyroków.

Robespierre wystąpił w roli najwyższego kapłana z kłosem zboża w ręku, ale wydał mi się mizerny i wychudzony, jak gdyby chory.

Uroczystość wypadła wspaniale, a Wilfred przypomniał przy tej okazji słowa Dantona: "nie po to obaliliśmy przesady, aby ustanowić panowanie ateizmu". Najwyższa Istota więc jako siła Natury, doskonale wypełniała powstałą po wygnaniu Boga pustkę.

Zaledwie jesienią czciliśmy co prawda Boginię Rozumu. W całej Francji wznoszono świątynie na jej cześć. W Paryżu wprowadzono ją uroczystie do byłej katedry Notre Dame. W obwieszonym draperiami wnętrzu zbytnio przypominającym dawne przesady zbudowano grecką świątynię dedykowaną Filozofii. Niżej stał ołtarz Rozumu, bo odtąd Rozum miał władać ludzkością.

Młoda kobieta w błękitnym płaszczu na białej sukni, we frygijskiej czerwonej czapce na głowie i z piką w ręku wyobrażała Wolność. Chór także śpiewał, a słowa pieśni napisał członek Konwentu i brat poety, Józef Maria Chenier.

Bogini Rozumu niedługo jednak cieszyła się czcią wiernych. Wkrótce popadła w niełaskę, powołali ją bowiem do życia niegodni zdrajcy Republiki, czyli hebertyści. Kult Najwyższej Istoty miał za to trwać wiecznie, jeżeli cośkolwiek wiecznego istnieje na tej ziemi.

Ta wzniosła chwila, którą przeżyliśmy na Polu Marsowym, okazała się tylko chwilą ciszy przed nadciągającą nawałnicą, w dwa dni bowiem po uroczystości. Konwent ogłosił czas "Wielkiego Terroru", a Trybunał rewolucyjny ze zdwojoną gorliwością przystąpił do tępienia wrogów ojczyzny.

Wilfred znowu spędzał wieczory, a czasami i noce poza domem. Gdy wracałem od mojej praczki, kręciłem się niespokojny po naszych pokoikach. Co robił mój przyjaciel? Gdzie był? Siadałem przy oknie i zrywałem się niezdolny pozostać na miejscu.

Wieża ledwie czerniała na granatowym niebie usianym gwiazdami. Tam, w górze, było tak cicho i bezpiecznie. Tu, na dole, czyhała śmierć.

Nie spuszczałem z oczu ponurego cienia. Za tymi murami znajdowało się biedne, opuszczone dziecko, pozostawione w tym kamiennym grobowcu na pastwę samotności, choroby, szaleństwa. "Jak dzikie zwierzę w klatce" - myślałem. Wyżej, płakała pewnie dziewczynka-sierota, nękana dniem i nocą "wizytami" często pijanych komisarzy lub tak zwanych "przedstawicieli ludu". Jakże musiała lękać się, drzeć sama, bezbronna, wystawiona na bezczelne spojrzenia, obrzucana obelgami. Co wówczas myślała? Czy obawiała się, że jej więzienie będzie trwać wiecznie? Nic nie wiedziała o śmierci matki i ciotki, nie wiedziała, czy jej braciszek znajdował się jeszcze w tej samej wieży.

A przecież miała rodzinę i to możną. Sam cesarz austriacki to jej kuzyn, jego ojciec i jej matka byli rodzeństwem. I zadałem sobie wreszcie pytanie, jak ten bratanek Marii Antoniny na cesarskim tronie mógł dopuścić do śmierci tak bliskich krewniaków.

- Uczucia rodzinne obce są polityce - powiedział Wilfred, gdy podzieliłem się z nim moim oburzeniem. - Po egzekucji Ludwika Austria przestała interesować się losem więźniów z Temple. Jedyne Hiszpania pozostała wierna nieszczęśliwym kuzynom. Dlatego to Konwent liczył na "Zakładników Narodu" w politycznych rozgrywkach z Madrytem. Chodziło przecież o zawarcie pokoju.

- Dlaczego cesarz Franciszek nie wykupi przynajmniej dziewczynki? - pytałem rozżalony. - Stać go chyba na to, a Republika potrzebuje pieniędzy.

- Republika nigdy się na to nie zgodzi - odpowiedział Wilfred.

- Dlaczego? Czegóż się boi?

- Rzeczywiście się boi. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby uwolnioną dziewczynkę cesarz wydał za jednego z arcyksiążąt? Mąż córki Ludwika domagałby się praw do francuskiej korony. Nie, nie, to niemożliwe.

- Więc co z nimi będzie? - wybuchnąłem.

Wilfred milczał.

Wiedziałem, że go nudzę tym wiecznym utyskiwaniem, ale było mi coraz ciężej, gdy myślałem o tych dwojgu. A wdowa Clouet po każdej wizycie w Temple wracała z coraz bardziej ponurą twarzą przywożąc coraz nędzniejsze szmatki biednej dziewczynki i ani jednej sztuki bielizny czy ubrania Karolka.

Któregoś dnia w obrębie więzienia spotkała Simona. Były szewc ciężko przeżył zdradę Heberta. "Ojciec Duchesne" był jego drogowskazem, a odstępstwo od zasad Rewolucji, którego dobrze nie rozumiał, pogrążyło go w rozpacz. Odtąd cały podziw, wiarę i bezgraniczne zaufanie przelał na Robespierre'a. Ten nie mógł się mylić, ani zawieść. Wszystko, co mówił, było prawdą, w nią należało wierzyć.

- Coraz głębszy ten Simon - kończyła praczka. - Przesiaduje godzinami na ratuszu, gdzie faszerują bzdurami tę jego pustą głowę.

Na ratuszu obradowała Komuna miasta Paryża, a Simon zajmował tam ważny w jego mniemaniu urząd.

- Wszyscy teraz wierzą w Robespierre'a - zauważyłem. - Inaczej łatwo stracić życie.

- Tak, tak - wytarła ociekające wodą ręce. - Ci, co wykazują zbyt mało entuzjazmu dla rewolucyjnych przemian to albo zdrajcy ojczyzny na żoździe Pitta, albo rojaliści dybiący na zgubę Republiki.

- Widzę, że czytasz gazety, obywatelko - wtrąciłem.

- Co tam gazety! - wybuchnęła. - I bez gazet wiemy, co się święci. Jeszcze parę lat takich porządków, a mało kto zostanie.

- Zostaną najlepsi, czyści i mądrzy, ci, którzy wiedzą, co jest narodowi potrzebne do szczęścia - zacytowałem ostatnie przemówienie Saint_Justa.

- Co oni wiedzą, co mnie jest potrzebne do szczęścia? - wzruszyła ramionami. - Przynieś wody - rozkazała po chwili, a gdy wychodziłem z pustym wiadrem, posłyszałem, jak mrucała: - Niech piekarz piecze chleb, rzeźnik sprzedaje mięso. Tego potrzebuje naród, ale o tym nikt nie myśli.

Brak żywności i trudność w dostaniu kawałka chleba coraz dotkliwiej dawały się we znaki. O mięsie należało zapomnieć. Na ulicach błąkały się głodne i obdarte dzieci, wynędzniałe kobiety okryte byle jakim łachmanem wystawały godzinami przed piekarnią. Nędza panoszyła się w wąskich zaułkach, biła w oczy. Kto właściwie pracował? Ludzie spędzali czas na zebraniach, w Trybunale, na placu Rewolucji. Wrzeszcząc i wygrażając pięściami przeprowadzali każdy wózek zapełniony "strawą dla Pani Gilotyny".

- Do czego to dojdzie? - pytałem Wilfreda.

- Już doszło - odpowiadał. - Ruina i anarchia, nędza i występki. To było do przewidzenia.

- Przecież nikt czegoś takiego nie przewidywał. - Denerwowałem się. - Mieliliśmy dojść do wspaniałej Wolności, do sprawiedliwego podziału dóbr. Nikt nie miał być głodny ani obdarty.

- Posłuchaj, o czym mówią w Konwencie, a od razu poczujesz się syty i elegancki. - Wilfred odsunął krzesło i wstał. - Muszę jeszcze wyjść - powiedział nie patrząc na mnie. - Nie wiem, kiedy wrócę.

Następnego ranka, gdy wchodziłem w bramę domu mojej praczki, tuż przy chodniku zatrzymał się elegancki powozik. Wybałuszyłem oczy, odwykliśmy bowiem od widoku tak wytwornego ekwipażu, a z powozika wyskoczyła zgrabna subretka z dużym okrągłym pudłem przewieszonym przez ramię. Pudło nie musiało być ciężkie, dziewczyna niosła je bez żadnego widać wysiłku.

- Czy tu mieszka wdowa Clouet, praczka? - zwróciła ku mnie ładną twarzyczką i poprawiła pasek od pudła na ramieniu.

- Zaprowadzę cię, obywatelko. - Poszedłem przodem wskazując jej drogę.

Nie byłem niestety obecny przy rozmowie, gdyż czekała mnie naszykowana poprzedniego wieczoru bielizna do rozniesienia klientom, i dopiero przy obiedzie dowiedziałem się, kim był ów gość.

- Czy wiesz, co to za dziewczyna? - zagadnęła praczka nałożywszy na mój talerz skąpą porcję fasoli.

Pokręciłem przecząco głową.

- Służ u panny Kamilli Rigel, tej z teatru, jeśli pamiętasz. - Popatrzyła na mnie znacząco. - A wiesz, gdzie teraz mieszka jej pani? - zadawała dalej pytania, na które sama tylko mogła dać odpowiedź. - Ma apartament w dzielnicy Marais, no i służbę, jak widziałeś, a ponadto powóz, którym jeździ do teatru.

- Dobrze jej się wiodło - zauważyłem.

- A dobrze, nawet doskonale. Dziewczyna opowiadała. Przyjaciół panny Kamilli to człowiek bogaty. Nie odmawia jej niczego. Bardzo w niej zakochany. Dziewczyna przywiozła całe pudło jedwabów i koronek do prania. Obywatelka Rigel nic innego teraz nie nosi.

- Dobrze jej się wiodło - powtórzyłem.

- I ma co jeść! - Wdowa Clouet pogrzebała łyżką w talerzu. - Nie to, co my. Takiej fasoli nie wzięłyby do ust. Dziewczyna rozgadała się. "Udka kurczęcia, pieczona gaska, pasztet strasburski" - przedrzeźniała pokojówkę panny Kamilli - oto co jadają ładacznice - rzuciła, spoglądając na Julkę zajęętą wyławianiem fasoli z garnka.

- Skąd jej... opiekun ma tyle pieniędzy? - spytałem.

- Niektórzy mówią, że pieniądze leżą na ulicy, trzeba tylko schylić się w odpowiednim momencie, a biedacy lenią się, czekają, aż gołąbki same im wpadną do gąbki.

- Co mówisz, obywatelko? Gdyby tak łatwo przyszło zdobyć fortunę, nie byłoby biedaków na świecie.

- Ludzie umieją się urządzać - wzruszyła ramionami. - Ot, choćby i ta... obywatelka Rigel. Nie żyje ze swego aktorskiego talentu, to pewne. A przecież takim jak ona obcinają teraz głowy.

- Takim jak ona? - zdziwiłem się. - Artystkom?

- No niezupełnie - skrzywiła się. - Nie artystkom, a ładacznicom. Ot, choćby i ta... du Barry. Dobrze jej się działo za dziada pana Ludwika. Opływała w dostatki. A jakież spotkał ją koniec? Gilotyna. A przecież nie urodziła się wielką damą. Spodobała się królowi i została faworytą. Ludwik XV obsypał ją klejnotami. Nie ma nic gorszego jak mężczyzna w starszym wieku zadurzony w młodej dziewczynie. Wtedy już zupełnie głupieje. On, co prawda, umarł we własnym łóżku, za to ona zapłaciła za jego szaleństwo. A przecież mogła się uratować! Już podczas Rewolucji wyjeżdżała, jak słyszałam, do Anglii. I po co wróciła? Czy po to, żeby umrzeć pod gilotyną?

- Stracono ją jeszcze w ubiegłym roku - wtrąciłem.

- Tak. A wiesz, jak umierała?

- Byłaś, obywatelko, na jej egzekucji? - Zdumiałem się, gdyż wdowa Clouet nie gustowała w tego rodzaju widowiskach.

- Ja? Uchowaj Boże! - wzdrygnęła się. - Opowiadali ci, co widzieli. Choćby nasi sąsiedzi.

- Jak więc zginęła?

- Widziałeś sam, jak umierają te wielkie damy, księżne i hrabiny. Widziałeś panią Antoninę i panią Elżbietę na szafocie i wiesz, jak to było.

- Wiem.

- Otóż to. A ta... du Barry... Od razu poznać było, że to nie żadna wielka dama, choć nosiła perły i brylanty. Bała się, rozumiesz? Bała się śmierci.

- To chyba naturalne - przerwałem. - Każdy człowiek boi się śmierci, nawet największy bohater...

- Ale tego nie pokazuje! - krzyknęła. - Na tym widzisz polega różnica. Ci arystokraci tego nie pokazują.

- Nie tylko arystokraci - zaprotestowałem. - A Kamil Desmoulin, a Danton, a Brissot i żyrondyści...

- Mężczyznom łatwiej, ale kobiety... Więc ta du Barry szalała na szafocie. Musieli ją siłą związać. "Jeszcze minutkę, panie kacie" - tak skomlała. "Jeszcze minutkę życia". Bo dobre miała życie. Do końca. Król podarował jej posiadłość niedaleko Paryża, mieszkała w pałacu, jak jaka księżna, ale umrzeć nie umiała, jak należy, o nie. Na szafocie wyszło sztychło z worka. A wiesz, co myślę? Oto byle prostytutka, ale przywoita, z większą godnością potrafi iść na tamten świat niż

ona. Ludzie kpili z niej, wyśmiewali się w jej ostatniej godzinie. Nikt jej nie żałował.

- Biedna - powiedziałem. - Ja ją żałuję. Kobiety nie powinny ginąć na szafocie.

- Masz dobre serce, Bertranie. - Wilgotną ręką pogłaskała mnie po policzku. - Chciałabym, żebyś spotkał kiedy porządną dziewczynę, która potrafi poznać się na tobie.

- żadna mnie nie zechce - zachnąłem się. - żadna nie spojrzy na kalekę...

- Niejedna by się znalazła - odparła żywo. - Ładny z ciebie chłopiec... Nawet tu, w tym domu, znam takie...

- Nic nie mów, obywatelko - podniosłem rękę - nie chcę nawet wiedzieć...

- Młody jeszcze jesteś i masz czas. Ale i na ciebie to przyjdzie, jak na każdego.

W domu spytałem Wilfreda o panią du Barry i o jej posiadłość.

- To Louveciennes, koło Saint_Germain_en_Slaye. Król zbudował jej tam pałacyk. Ponieważ wspomagała biedaków w potrzebie, stała się osobą popularną w tamtej okolicy. Najlepszy dowód, że przez cztery lata Rewolucja jej nie zauważała. Dopiero w końcu dziewięćdziesiątego trzeciego... Ostatnim jej przyjacielem był książę de Brissac.

- Miała kochanka? - zdziwiłem się. - Była już przecież stara.

- Ale zawsze piękna - uśmiechnął się Wilfred. - De Brissac też nie był młody. Połączyła ich prawdziwa miłość, wielka miłość. De Brissac został dla niej we Francji, dla niej i dla króla. Wierny do ostatka, był w Tuilerych dowódcą gwardii. Gdy w dziewięćdziesiątym drugim skazano go na śmierć, mógł uciec, jeszcze nie było za późno. Ale nie chciał.

- I aresztowano go?

- Tak. W Orleanie. Tam go uwięziono. Dziesiątego sierpnia lud zdobył Tuileries. Ludwika i jego rodzinę zamknięto w Temple. Brissac zrozumiał, że był zgubiony.

- I co? Zgilotynowano go?

- Nie zdążono, lud uprzedził egzekucję. De Brissaca i czterdziestu kilku więźniów przewożono pod eskortą do Paryża, aby stawić ich przed Trybunałem. Był początek września, kiedy to rozjuszony tłum wdarł się do więzień. De Brissac i jego towarzysze dojechali do Wersalu. I tam dopadła ich śmierć.

- Zamordowano go?

- I jego, i towarzyszy. Więźniowie mieli związane ręce, wyszarpywano ich z wozów i zaczęła się zwykła rzeź.

- Jak to rzeź? A wojsko?

- Wojsko pomogło tłumowi. De Brissac cudem chyba uwolnił się z więzów, wyrwał kij z rąk jakiegoś wyrostka i bronił się do ostatka. Mer Wersalu szalał, krzyczał, groził mordercom, ale nikt go nie słuchał. Od niego mam te wiadomości. Wyprzęgnięto konie i rzucono się na bezbronnych. De Brissac walczył jak lew, ale cóż mógł poradzić setkom uzbrojonych po zęby szaleńców? Był to jeden z najohydniejszych mordów, który splamił ręce Francuzów podczas tej Rewolucji. De Brissac trzymał się dzielnie, ale oślepiony własną krwią - mordercy dźgali więźnia pikami w głowę - zwałił się na ziemię, gdy wreszcie wykłuli mu oczy. Rozniesiono go na szablach. Trupa poćwiartowano. Znani z nazwiska i imienia szanowani mieszkańcy Wersalu i okolic, dumni ze zwycięstwa, podzielili się resztkami tego, co było niegdyś świetnym oficerem gwardii królewskiej. Jeden uciął sobie stopę w jedwabnej pończosze i trzewiku, inni rozdzielili między siebie palce obu rąk. A kilku wyrostków zatknąwszy na szabli skrwawioną głowę, przebiegało ulice Wersalu zaczepiając kobiety: "Pocałuj, obywatelko, Brissaca".

- Czy to doprawdy możliwe?

- Znam szewca spod Wersalu, niejakiego Caboula, który uciął mały palec lewej ręki Brissaca na pamiątkę. Chełpi się tym bohaterskim czynem. Ale to nie wszystko. Pozostała przecież głowa.

- Co z nią zrobili?

- To samo co z głową księżny de Lamballe i tylu innych.

- Komu ją pokazali?

- Komuż, jak nie wiernej przyjaciółce Brissaca. Tylko już nie na szabli, a na widłach. Zwykłych widłach do rozrzucania gnoju.

- Mój Boże!

- Tacy są nasi "patrioci". Pamiętajmy jednak, że mamy Rewolucję, a więc ci, co byli przedtem na dole, są teraz na szczytach, a ci z góry spadli tak nisko, że w oczach tłumu utracili nawet swoje człowieczeństwo, potraktowani niczym rzeźne bydłota.

- Co zrobili z głową Brissaca, mów!

- Pani du Barry siedziała w parterowym saloniku w Louveciennes. Był ciepły wieczór, drzwi do ogrodu otwarte. Raptem posłyszała gwar wielu głosów, krzyki. W tej chwili wrzucona do wnętrza potoczyła się na posadzkę krwawa piłka z wyłupionymi oczami. Nie dziwny się, że na ten widok zemdląca.

- Mój Boże! - powtórzyłem.

- Mówią, że owinęła głowę przyjaciela w jedwabną chustę i zakopała w kącie trawnika. Własna służba przyczyniła się do jej zguby. Gadali na nią niestworzone rzeczy. Gdyby nie oni, Rewolucja pewnie zapomniałaby o królewskiej metresie.

- Jeżeli mieli rację... - zacząłem.

- Rzecz w tym, że racji nie mieli, a pani hrabina, jaka by nie była, miała dobre serce i szczodłą rękę. Ale ci, co służyli, chcieli teraz, by im służyli, a choć nie otrzymali tego, czego pragnęli, zemścili się na tej, co to miała.

- Słuchaj Wilfredzie, to są rzeczy straszne. Ja nie tak widziałem Rewolucję tam, w Belcastel, a potem w wojsku, no i tu, w Paryżu...

- Rewolucji, widzisz, podobnie jak lawiny, nie można powstrzymać, z każdym dniem nabiera większego rozpędu i leci, spada, aż dotknie dna.

- Co wówczas się stanie?

- Już raz mnie o to pytałeś, ale cóż mam ci odpowiedzieć? Sam przecież nie wiem.

- Ale Republika będzie uratowana?

- Może. Nie zapominaj jednak o tym jakimś cesarzu, o którym pisze Nostradamus.

- To niemożliwe. Nostradamus z pewnością się pomylił.

- Z pewnością. - Wilfred zgodnie z moim życzeniem zakończył rozmowę, a ja sam już chwilami nie wiedziałem, co myśleć o Rewolucji.

Pomimo gilotyny i tych głów obnoszonych na pice, Francuzi nie zatracili ludzkich uczuć. żadna krwi bestia żyła w nich wespół z najszczytniejszym z ideałów: miłości ojczyzny.

Na okrzyk "wróg u granic Francji" ludzie rzucali wszystko i chwytały za broń. Od wiosny 1792 roku, kiedy to niemal cała Europa wydała nam wojnę, patriotyzm naszego narodu zajaśniał niczym słońce, które nagle wy błyska z za chmur. I mimo podłości i okrucieństwa, mimo tchórzostwa i zdrady, nic nie zdołało zaćmić jego blasku.

Francuzi zrobili wszystko dla obrony Ojczyzny i cała Francja stała się jednym wielkim arsenałem: przygotowywano proch, wykuwano broń, odlewano armaty.

- Patrz, Wilfredzie - mówiłem - odkryliśmy w naszych rodakach tyle cech ujemnych, nawet przerażających, otchłanie bestialstwa, coś, czego nie podejrzewaliśmy u ludzi zdawałoby się normalnych i przyzwoitych. A oto odkrywamy jeszcze jedną cechę, tym razem piękną, a nawet wspaniałą: miłość ojczyzny. To dla ratowania ojczyzny tylu biednych ludzi pracuje w pocie czoła przy wyrabianiu prochu. Dla ratowania ojczyzny uczeni wymyślają nowe sposoby oczyszczania saletry, zakładają nawet w kościołach specjalne rafinerie. Bucha tam wiecznie podsycany ogień, a w kotłach bulgocze ta konieczna do otrzymania prochu substancja.

- Pięknie to powiedziałeś, Bertranie - uśmiechnął się Wilfred. - I masz rację. Wszystko to prawda. Patriotyzm to nasza wielka szansa.

- Szansa?

- Tak, szansa na przetrwanie. Rewolucja minie, jak minęło tyle innych okresów historii, a Francja zawsze zostanie ta sama. Dzięki naszemu obecnemu patriotyzmowi kleszcze, w jakie ujęli

Francję jej wrogowie, powoli się rozwierają. Odpędzamy najeźdźców od naszych granic. To ty i tacy jak ty uratowali Francję od zewnętrznego wroga. Pozostał jedynie robak toczący wewnątrz kraju. Ale już niedługo...

Nie wiem, co Wilfred miał na myśli. Ale gdy następnego wieczoru przechodziłem koło kościoła świętego Seweryna, buchający przez nie domknięte drzwi żar rozpalonych pieców i strzelające w górę płomienie wydały mi się żarem pałających miłością serc Francuzów i płomieniem spalającego je patriotyzmu.

Miałem dzisiaj dziwny sen i cały dzień pozostawałem pod wrażeniem sceny, jaka rozegrała się tej nocy przed moimi oczami. Naturalnie we śnie.

Oto wychylony z okna widziałem, jak pod bramę Temple zajechał powóz, z którego wyniesiono ogromnego konia z kartonu. Zaraz potem pojawiła się wdowa Clouet, a za nią dwóch mężczyzn niosło kosz z upraną bielizną, zupełnie podobny do naszego, tylko o wiele większy. Gdy zatrzaśnięto bramę, powóz odjechał, a stangret spojrzął w górę w moje okno i pomachał ręką. Ze zdumieniem poznałem w nim Brutusa Hulin.

Dopiero wieczorem odważyłem się opowiedzieć Wilfredowi te moje nocne dywagacje. Obawiałem się kpiny czy żartów z jego strony, ale on popatrzył na mnie tak poważnie, jak gdybym powiedział rzeczywiście coś mądrego.

- Może i masz rację - zauważył po dłuższej chwili milczenia. - Może twój sen jest proroczy i tak to się właśnie odbyło.

- Co? - rzuciłem w nagłym podnieceniu.

Zamiast odpowiedzi, zadał mi dziwne pytanie.

- Czy zastanowiłeś się kiedy nad przyczyną tak okrutnego potraktowania biednego dziecka? Nad tak zupełnym odizolowaniem go od ludzi, jak gdyby już był umarły? Od stycznia nikt nie wchodzi do więzienia, nikt nie otwiera drzwi, które można by porównać do grobowej furty. Czy pomyślałeś, dlaczego Konwent wydał takie właśnie rozkazy?

- Dlaczego? - wybuchnąłem. - Nietrudno chyba zgadnąć. Chcą, by dziecko zeszło z tego świata bez użycia sztyletu czy trucizny. Jeszcze trochę, a z pewnością osiągną czego pragną.

- Mylisz się. Nie wszyscy członkowie Konwentu są głupcami i jeżeli wydali takie zarządzenie, musieli mieć jakiś powód. Co byś na przykład powiedział, gdyby musieli tak postąpić w imię racji stanu? Gdyby trzeba było ukryć prawdę?

- Prawdę? Jaką prawdę?

- Choćby taką, że chłopiec zamknięty w Temple nie jest małym Kapetem.

- Nie jest... - zamilkłem, bo nagle poczułem brak tchu.

- Chłopca znali wszyscy komisarze i dozorczy. A jeżeli zamiast niego znalazło się w Temple inne dziecko, to czy myślisz, że Konwent krzyczałby o tym na cztery strony świata?

- Więc to inne dziecko tak cierpi za małego Kapeta?

- Słuchaj, Bertranie, nie powiedziałem przecież, że to jest inne dziecko. Nic przecież nie wiem.

- Więc dlaczego mówisz...?

- Wiele osób zadaje sobie pytanie: Skąd taka srogość w traktowaniu niewinnego przecież dziecka. Dlaczego skazano je na tak nieludzkie odosobnienie? I nasuwa się jedna tylko Możliwa odpowiedź: ponieważ chłopiec został zamieniony, a Konwent, nie chcąc przyznać się do klęski, robi wszystko, by utrzymać to w tajemnicy. Dziecko więc zostało zamknięte, nikt nie ma prawa wchodzić do jego więzienia. Jest tam ciemno, a lampa, którą wieczorem przynoszą razem z kolacją, stoi daleko i daje mało światła.

- Myślisz więc, że mały Kapet został wyniesiony z Temple, a na jego miejsce pozostawiono w więzieniu inne dziecko?

- Różne myśli przychodzą do głowy, nie tylko zresztą mnie. Ludzi oburza takie okrucieństwo. Naturalnie nikt głośno tego nie mówi, wszyscy boją się Robespierre'a i nikt nie śmie krytykować jego zarządzeń. Ale jest to właściwie najlepsze wyjście dla Konwentu, jeżeli, powtarzam, znalazł się w trudnej sytuacji.

- Jeżeli jest tak, jak mówisz - nie potrafiłem ukryć oburzenia - to jest to jeszcze większa podłość. Mały Kapet cierpiałby za winy ojców, ale inne dziecko... Skąd je zresztą wzięli? Nikt

przecież nie wydałby własnego syna na takie udrczenie.

- To najmniejsza trudność. Mało to mamy sierot w przytułkach i szpitalach? A błakające się po ulicach bezdomne dzieci? Mogli też wziąć jakiegoś niedorozwiniętego chłopca, opuszczonego i bez rodziny. Wszystko jest tu możliwe.

- Przerażasz mnie, Wilfredzie. Nie przysłoby mi to nigdy do głowy.

- Bo nigdy nie rozważałeś różnych aspektów tej sprawy. Być może są to tylko przypuszczenia, które wylęły się w umysłach osób lubiących zagadki. Doszukują się one ukrytych przyczyn ludzkiego działania. Wcale przecież tak nie musi być. Konwent po prostu chce w taki sposób pozbyć się niewygodnego więźnia, "Zakładnika Narodu", stąd okrutne z nim postępowanie. Nic więcej.

- Mówisz tak, by mnie uspokoić - zauważyłem.

- Wcale nie, powtarzam ci tylko, o czym szepcze cały Paryż, bo o tym najlepiej rozmawiać szeptem. To bardzo niebezpieczny temat i proszę cię, nie wtajemniczaj w to twojej praczki.

Głowa mi pękała od tych wszystkich przypuszczeń i insynuacji. Nic już nie rozumiałem, a wieża Temple wydała mi się jeszcze groźniejsza, gdy ukrywała, być może straszną tajemnicę. Właściwie w sprawie tej wszystko było tajemnicą. Tajemnicą serca i sumienia ludzi kierujących losami Francji, losami Rewolucji.

Nie zdążyłem jeszcze otrząsnąć się z ponurego odrętwienia, gdy nowa klęska spadła na Paryż. Oto Trybunał rewolucyjny podniósł rękę na tych, którzy każdego wieczoru odrywali Francuzów od widowiska pod gilotyną, każąc im zapełniać łoże i krzesła w teatrach stolicy.

Od początku wszystkim było wiadomo, że Rewolucja nie lubiła Komedii Francuskiej, której aktorzy, od czasów Moliera, mianowali się "królewskimi komediantami". I choć po zdobyciu Bastylli Komedię Francuską przechrzczono na Teatr Narodu, zmiana nazwy mało pomogła i występująca tam trupa nie cieszyła się zaufaniem Rewolucji.

Terror nie oszczędził aktorów. Nawet uwielbiana panna Lange zakosztowała więziennej strawy, a kilku "komediantów" zginęło na szafocie.

Nie widziałem ich na scenie, nie podziwiałem talentu tych, którzy największe oklaski zbierali w tragediach. Nie byłem też na egzekucji, nie mogę więc porównać, czy umierali równie bohatercko w tej ostatniej roli, jak na deskach dawnej Komedii Francuskiej.

- Za co karać aktorów? - oburzyłem się. - Nie wypowiadają przecież własnych myśli, powtarzają tylko to, co ktoś inny napisał i włożył w usta bohaterów sztuki.

- Trudno - odparł Wilfred - kto choć raz wystąpił w roli króla czy imperatora, musi za to w życiu zapłacić. A teraz płaci się głową.

Tej samej zapłaty zażądano wkrótce od poetów. Z tych najbardziej znanych Wilfred wymienił dwa nazwiska: Jan Antoni Roucher i młody Andrzej Chenier, brat członka Konwentu, mającego również literackie aspiracje.

Pierwszy opiewał naturę i jej piękno, uroki wsi i sielskiego życia. Z wybuchem Rewolucji stanął w szeregu patriotów, ostrząc pióro na politycznych pamfletach.

Drugi, dużo młodszy, wytworny bywalec poetyckich salonów, mało jeszcze znany, brat słynnego już Marii Józefa, członka Konwentu, wraz z Roucherem zwalczał piórem terror jakobiński. Nie spodziewał się aresztowania.

Roucher natomiast, uprzedzony o niebezpieczeństwie, ukrywał się przez dłuższy czas. Podobno nocował nawet w podziemiach Muzeum Przyrodniczego w Ogrodzie Botanicznym. Wreszcie pochwycony i osadzony w więzieniu Świętego Łazarza, czyli "u Łazarza" jak mówiono, został następnie wraz z innymi przewieziony do Conciergerie. Dwudziestego piątego lipca stanął przed Trybunałem.

Wyrok był tylko jeden, taki sam dla wszystkich. Roucher i Chenier wsiedli więc na wózek i wspólnie odbyli ostatnią drogę. Młody Chenier opłakiwał stracone nadzieje, nie dano mu bowiem dokończyć poetyckiego dzieła, a miał zaledwie trzydzieści jeden lat. Zginęło ich wówczas czterdziestu.

Działo się to - według rewolucyjnego kalendarza - siódmego termidora. Gdybyż można było przewidzieć, że owa egzekucja stanie się ostatnią kroplą, która przepełni krwawą czarę terroru i w

dwa dni potem pchnie na deski szafotu tych wszystkich, którzy nigdy nikomu nie okazali miłosierdzia ani choćby sprawiedliwości. Gdybyż to można było przewidzieć!

XIV

Obudził mnie księżyc. Przez szparę strzelnicy kładł się długa, wąską smugą na mojej twarzy łaskocząc powieki. Otworzywszy oczy w pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie był to mój pokój na ulicy Powroźników. Omiotłem wzrokiem kamienne ściany. Wieża. Tak, znajdowałem się w wieży, nie była to jednak dobrze mi znana wieża Temple. Choć może wnętrze miała podobne, tyle, że dużo mniejsze.

Ulica Powroźników, matka Jourdan, Wilfred...

Wilfred.

I nagle zdałem sobie sprawę, że nie ma już Wilfreda i poczułem się jak sierota opuszczony przez najbliższych, jak łódź bez żagla i wiosł miotana burzliwą falą.

Nie było przy mnie Wilfreda i może już nie będzie, Wilfreda, najlepszego przyjaciela, człowieka, który nigdy mnie nie zawiódł. Tylko ten raz, gdy wbrew mojej woli odesłał mnie z Paryża.

Głowiłem się i głowią się nadal nad przyczynami tej decyzji. Dlaczego chciał się mnie pozbyć? Właśnie wówczas, gdy najgorsze mieliśmy już za sobą, gdy ucięto łeb "hydrze terroru" jak mówiono i zalano krwią winowajców te kłamliwe hasła Rewolucji, które wynaturzyły pierwotne znaczenie Wolności, Równości i Braterstwa. Tym razem bez śmierci.

Dlaczego tak nagle wyprawił mnie do domu?

- Czas nam się rozstać, Bertranie - powiedział pewnego wieczoru. - Musisz wrócić do rodziców, do Belcastel.

- A ty? - zapytałem.

- Ja... - zaczął i urwał.

- Wiem, ty musisz dokonać czegoś wielkiego, czegoś, co ci nakazuje honor i obowiązek. Tak mówieś. Musisz iść za swoim przeznaczeniem.

- Moje przeznaczenie... - I zaśmiał się.

- Tak, twoje przeznaczenie - przytaknąłem gorąco. - Każdy człowiek przeznaczony jest do czegoś na tej ziemi. Ale dlaczego chcesz, żebym opuścił Paryż?

- Tak trzeba - powiedział cicho. - W domu będzie ci lżej, wśród swoich.

- Mnie już nigdzie nie będzie lżej. Czy myślisz, że ktokolwiek z nas potrafi żyć tak spokojnie jak niegdyś, po tym wszystkim cośmy widzieli?

- To minie - powiedział prędko. - Wszystko mija. Z pamięci można zmyć najkrwawsze nawet plamy. Na ciebie czekać będą nowe obowiązki.

- Jakie? Zapominasz, że jestem kaleką i że kocham pannę Gabrielę.

- Niczego nie zapominam. A panna Gabriela... Jeżeli panna Gabriela wróci do Francji, to od razu pojedzie do Belcastel.

- Jeżeli wróci.

- Wkrótce wróci wielu z tych, którzy z własnej woli skazali się na wygnanie.

- Z własnej woli - mruknąłem. - Unosili głowy spod gilotyny. I to im wybaczam. Ale dlaczego wymierzili broń w serce Francji? Tego im ani zapomnieć, ani wybaczyć nie można.

- Taki jesteś zawzięty? - uśmiechnął się.

- Jestem sprawiedliwy - powiedziałem z dumą.

- A więc - zaczął, jak gdyby nie słyszał mojej ostatniej uwagi - pojutrze wyjeżdżasz.

- Wilfredzie - zaprotestowałem. - Traktujesz mnie jak pakunek, który można włożyć do pocztowej bryki i wyekspediować na drugi koniec Francji.

- Nie gniewaj się. - Poklepał mnie po ramieniu. - Nie jesteś pakunkiem, a pocztowe bryki nie kursują jeszcze tak punktualnie jak dawniej. I niełatwo opuścić Paryż. Wyrobiłem ci potrzebne papiery. Będiesz wygodnie podróżował... z rozkazu Konwentu - dokończył nieco ciszej.

- Ja? Z rozkazu Konwentu?

- W misji do komitetów w Rouergue.

- A cóż ja mam wspólnego z komitetami i z jakąś tam misją?

- Ty nic, ale stangret odda papiery komu potrzeba. Wsiądziesz w Rignac.

- Wilfredzie. - Dławiło mnie w gardle i trudno mi było mówić. - Myślisz o wszystkim... o moim bezpieczeństwie... o wygodzie... ale odsyłasz mnie, wyrzucasz z domu... Jakbym był... jakbym... - nie mogłem znaleźć odpowiedniego porównania.

- Dość się napatrzyłeś na to, co się działo. - Spojrzał mi głęboko w oczy. - Niech Rewolucja idzie dalej swoją drogą, do końca. A ty... - zamilkł na chwilę. - Ty już widziałeś, co powinieneś być widzieć. Poznałeś Rewolucję. Płomień buchnął wysoko, pożar był wielki... Teraz niech się dopalają zgliszcza.

- Zgliszcza! - krzyknąłem. - A więc uważasz, że pozostały jedynie zgliszcza?

- Nie. Pozostało pogorzelisko. A na pogorzelisku można orać i siał. Ziemia tam żyzna.

- Mówisz zagadkami - zachnąłem się.

Nic na to nie odpowiedział, tylko wziął z kąta dużą torbę podróżną i postawił na krześle.

- Masz tu ubranie na drogę. Nie chcę, żebyś wrócił do domu jak żebrak. Matka Jourdan już szykuje ci nieco jedzenia. Resztę kupisz na postojach.

- Nie mam za co - burknąłem.

- W torbie jest sakiewka - wyjaśnił cierpliwie. - I ty, i woźnica będziecie się posilać podczas zmiany koni.

- Wilfredzie! - wybuchnąłem czując łzy pod powiekami. - Wypędzasz mnie, a jeszcze troszczysz się o moje wygody. A ja... Ja już ciebie nigdy nie zobaczę. Wiem.

- Nic nie wiesz, a zobaczymy się z pewnością wcześniej, niż przypuszczasz.

Nie śmiałem nic więcej mówić. Czymże ja przy nim byłem? On przecież zrobił ze mnie człowieka.

Najcięższe jednak chwile przeżyłem w domu szwagierki mojej praczki, na ulicy Lille. Julka nie chciała uwierzyć w moją, jak mówiła, ucieczkę.

- Wyjeżdżasz? Już jutro? Zostawiasz mnie?

- Jest okazja do Rodez. - Tak mnie pouczył Wilfred. - Muszę wreszcie wrócić do domu. Rodzice nie wiedzą nawet, czy żyję. A ciebie zostawiam u cioci.

- Ale mama - skrzywiła się jak do płaczu.

- Mama wkrótce wróci.

- I nie obchodzi cię, co ja pocznę.

- Owszem, bardzo obchodzi - zaprotestowałem. - U cioci jest ci dobrze, bezpiecznie.

- Nie ma mamy... a teraz nie będzie i ciebie - powiedziała cicho z jakimś niedzielnym smutkiem w głosie.

- Mamę niedługo zobaczysz.

Pochyliła głowę i milczała.

Szwagierka mojej praczki, również wdowa Clouet, a także praczka z zawodu, przytuliła dziewczynkę do siebie.

- Pozwolono wejść do mieszkania Katarzyny - szepnęła. - Zabrałam rzeczy Julki.

Wówczas to zrozumiałem, jak mądry był Wilfred. Takich pożegnań nie należało rozkładać na dni i tygodnie. Trzeba jednym cięciem oddzielić wczoraj i dziś od jutra, podobnie jak doktor Decaux oddzielił od tułowia moją poszarpaną rękę.

Julka, widząc, że zabieram się do odejścia, uwiesiła mi się na szyi.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał - wyszlochała. - Zawsze tu byłeś, a teraz i ciebie nie będzie? - Płakała głośno, tuląc się do mnie. Ocierała przy tym łzy pustym rękawem mojego kaftana.

- Nie zapomnij o nas - powiedziała ta druga wdowa Clouet, siląc się na spokój. - I napisz, jak tam w domu.

Julka na pożegnanie przyniosła fartuszek pełen jaskrawo malowanych glinianych ptaszków i zwierzątek.

- Wybierz sobie na pamiątkę - podsunęła mi zabawki. - Może tego? Zawsze go lubiłeś - podawała gołębia z ułamanym ogonem.

Wziąłem glinianego gołębia i prędko wyszedłem. Od razu udałem się na ulicę Kordelierów, zagłębiłem się w podwórze, minąłem sień, bramę. Znowu na ulicy przystanąłem i obejrzałem się po

raz ostatni na tak dobrze znaną fasadę. W oknie pierwszego piętra siedziała obywatelka Melard. Robiła jak zwykle pończochę. Pomachałem jej ręką i uciekłem. Biegłem aż do mostu, byle dalej zostawić za sobą ulicę Kordelierów. Wieczór był cichy i ciepły.

Zdawało się, że teraz, gdy już zgasła płonąca nad miastem łuna terroru, ludzie lżej oddychali, wyżej podnosili głowy, szerzej otwierali oczy i patrzyli bez lęku na mijanych przechodniów. Czarny cień gilotyny przepędzony wichrem Rewolucji odpływał znad paryskiego nieba. Jedyne wieża Temple nic nie utraciła z dawnej grozy i choć wiedziałem, że zamknięte tam dziecko z trudem przywrócono do życia, straszne więzienie pozostawało więzieniem, może tylko odrobinę mniej strasznym.

Minąłem most i znalazłem się na Wyspie. Po prawej ręce czerniały ścięte wieże Notre Dame, po lewej sądy i trybunały, a spoza połyskujących słabo dachów pięta się ku niebu iglica Sainte Chapelle, Świętej Kaplicy, w której nie było już nic świętego. Zza ciasno sfoczonych gmachów straszyla jeszcze niewidoczna teraz Conciergerie.

Minąłem drugi most i poprzez rzekę spojrzałem na ciężką bramę wtopioną jak gdyby w dwie przysadziste wieże. Sam ich widok wywoływał dreszcz grozy.

Poszedłem dalej śladami moich własnych stóp i wspomnień. Plac Rewolucji milczał pusty i ciemny, spał widocznie, a może tylko odpoczywał po niedawnych egzekucjach, tym razem sprawiedliwych. O tak, jak najbardziej sprawiedliwych.

Wszystko zaczęło się w końcu czerwca, dokładnie dwudziestego dziewiątego, kiedy to przed Rewolucją obchodzono święto Apostołów Piotra i Pawła. Trzej członkowie Konwentu Billaud_Švarenne, Collot d'Herbois i Carnot, uczony matematyk i geometra, a także członek Komitetu Ocalenia Publicznego, podczas burzliwego posiedzenia nazwali Robespierre'a dyktatorem i oskarżyli go o nadużywanie władzy.

W dwa dni potem Robespierre w klubie Jakobinów wystąpił z gwałtowną napaścią na "zdrajców ojczyzny, kryjących się tchórzliwie za plecami członków Konwentu, którzy uknuli spisek przeciw jego osobie", po czym usunął się jak gdyby z publicznego życia, zamykając się w domu ciesli i udając chorobę. A może był naprawdę chory? Człowiek pożerany nadmierną ambicją, dyszący nienawiścią do innych ludzi nie może być zdrów.

W tydzień później Paryż wiwatował na cześć naszych armii, wojska bowiem generałów Jourdana i Pichegru weszły do Brukseli.

Tymczasem Saint_Šjust zadawał sobie wiele trudu, by pogodzić zwaśnionych teraz, a idących przeciw do niedawna wspólną drogą twórców Rewolucji. Niezbyt mu się to udawało i Wilfred twierdził, że ta wymuszona zgoda trzyma się na jednym włosku. Może by się zresztą i utrzymała, gdyby Robespierre w Konwencie nie domagał się ukarania zdrajców i usunięcia z komitetów "wrogów Republiki". Nie wymienił ich jeszcze z nazwiska, ale winni poczuli już na szyi powiew spadającego ostrza.

Okazało się, że na takim samym włosku wisiła władza Robespierre'a.

- Za wielu ma wrogów - mówił Wilfred. - Jego pycha przeszła wszelkie granice. Zatracił poczucie rzeczywistości, uderza ślepo, niczym okrutna bestia łaknąca krwi. Ludzie są zmęczeni rządami terroru, poza tym boją się, a strach przywodzący do rozpacz może zrodzić szaleńczą nawet odwagę. Chodźmy jutro na posiedzenie Konwentu i zobaczymy, co się tam będzie działo.

- Robespierre ma lud za sobą - zauważyłem - i nie boi się wrogów. Jestem przekonany, że zwycięży.

- Jest zbyt pewny siebie - pokręcił głową Wilfred - a to zgubiło niejednego tyrana. Liczy na Konwent, na Zgromadzenie i na członków Komuny, ale nie domyśla się nawet, ilu ma w Konwencie wrogów.

Miał jak zwykle rację. Ci, co dążyli do przewrotu, czekali tylko na sposobną chwilę. Działali w tak ścisłej tajemnicy, że szpiedzy Robespierre'a nie przewąchali zdrady, spiskowców zaś lęk pchał do czynu, drżeli bowiem o własne życie.

Tego ranka, a było to dziewiątego termidora według rewolucyjnego kalendarza, Robespierre w doskonałym humorze uspokoił obawy ciesli Dupley'a.

- Konwent to sami czyści, prawdziwi patrioci. Nie obawiaj się, nic mi tam nie grozi.

Poszedł jeszcze na przechadzkę z jedną z córek swoich gospodarzy. Dowiedziałem się o tym wszystkim dopiero później, gdy za nim i za jego towarzyszami zapadła "kurtyna historii" – tak wyczytałem w gazecie.

Z trudem udało się nam wepchnąć do sali posiedzeń. Ludzie chyba przeczuwali, że szykowało się coś nadzwyczajnego, jeśli tak tłumnie zapełnili dziedziniec, schody i korytarze.

Gdy wielki zegar wybił dwunastą, Saint_Just wstąpił na trybunę. Zauważyłem, że był jeszcze bardziej sztywny niż zwykle, szedł jak nakręcony automat, a spojrzenie miał puste, bez wyrazu. Podobno całą noc pisał przemówienie, które teraz właśnie zamierzał wygłosić.

Przywarłem wzrokiem do jego przystojnej twarzy. Rysy miał regularne, oczy duże, czegoś mu jednak brakowało. Pomyślałem, że może narzeczona, owa siostra Robespierre'a potrafi z niego wykrzesać choć isierkę życia.

Objął spojrzeniem salę, ale byłem pewien, że nic nie widział, po czym wyjął z kieszeni równo złożone arkusiki. Wydało mi się, że plik był dość gruby.

- Nie należę do żadnej frakcji, będę je wszystkie zwalczał - zaczął. - Jedyne odpowiednie instytucje zakreślą granice władzy i poddadzą ludzką pychę pod jarzmo wolności.

W ciszę, jaka zapanowała od pierwszych słów mówcy, wdarły się teraz pojedyncze głosy, pomruki i pokrzykiwania. Saint_Just nie zwrócił zdawałoby się uwagi na tych wichrycyeli, pragnących nie dopuścić go do głosu.

- Bieg wydarzeń sprawił - udawał, jakoby nie dosłyszał wrogich okrzyków - że trybuna ta stać się może skałą Tarpejską dla kogoś, kto by sądził, iż członkowie rządu zeszedli z drogi mądrości. Uznałem, że winienem wam prawdę, nie można bowiem zerwać z nakazami sumienia, nawet jeśli trzeba ważyć się na wszystko dla ratowania ojczyzny.

Na tym musiał zakończyć. Widać było, że nikt z członków Konwentu nie przykładał ucha do wywodów Saint_Justa. Najgłośniej krzyczał Tallien, elegancik w wiśniowym fraku, od którego pięknie odbijała jaśniejsza nieco kamizelka. Był równie starannie uczesany jak sam Robespierre, a włosy nad uszami układały mu się w nienaganne pukle.

- Dość tego - wołał. - Mówca oskarża członków komitetów za ich plecami. Niech przyjdą i usłyszą, co się im zarzuca. Obywatel Saint_Just, zanim odczyta swój tekst publicznie, niech im pokaże to przemówienie i zyska ich aprobatę.

Na ten zarzut Saint_Just odpowiedział milczeniem. Wydawał się jak gdyby ogłuszony i na pół przytomny. Usunął się na skraj mównicy i tak stał, wystawiony na gniew i szyderstwo zgromadzonych.

Na sali rozpętało się piekło. Członkowie Konwentu skakali sobie do oczu, Tallien wymachiwał sztyletem, zagrażając bezpieczeństwu najbliższej stojących. Ludzie nie mówili, a krzyczeli i nikogo nie można było zrozumieć. Zebrana na ławach publiczność, o tyle mniej elegancka, wywrzaskiwała obelgi adresowane do rządzących Francją. Billaud_Svarenne na próżno usiłował przekrzyknąć rozwrzeszczane zgromadzenie.

- I Saint_Just ma czelność stać na tej trybunie, po tym co się wydarzyło? - wołał. - Nas wszystkich miano złożyć w ofierze na ołtarzu despotyzmu! Miała się nad nami rozpętać mściwa furia Robespierre'a i jego popleczników!

Robespierre, który spóźnił się na posiedzenie, dłużej nie wytrzymał, zerwał się, by skoczyć na mównicę i opanować ogarnięte szaleństwem tłumy. Nieraz udawało mu się polać oliwą wymowy rozkołysane fale ludzkiego oceanu. Tym razem zbiorowej hysterii nic nie mogło uśmierzyć. Zrozumiałem, że niedawny ulubieniec przegrał. Był stracony. W tej samej chwili ktoś krzyknął z sali:

- Precz z tyranem!

- Nikt z nas nie chce jęczeć pod jarzmem despoty! - wrzasnął ktoś inny. - To podłość mówić o cnocie i sprawiedliwości, a jednocześnie deptać najświętsze prawa człowieka i obywatela.

Dowiedziałem się potem od Wilfreda, że to sam Billaud_Svarenne poparł tego, kto pierwszy krzyknął "precz z tyranem". Potem powtarzała to cała sala aż do zachrypnięcia.

Tallien jednym skokiem znalazł się na trybunie.

- Gdy wczoraj w klubie Jakobinów ujrzałem, jak formuje się armia nowego Cromwella,

zadrzałem o bezpieczeństwo ojczyzny i o nasze życie. Chwyciłem sztylet, by przebić pierś zdrajcy, gdyby Konwent okazał się na to zbyt tchórzliwy.

- Precz z tyranem! - zawył lud tłoczący się w głębi sali, a wnet ten okrzyk podjęli deputowani. Słuchałem i patrzyłem, nie wierząc oczom i uszom. Ludzie dzierżący w rękach losy Francji zachowywali się jak rozwrzeszczany motłoch. Miotali się ogarnięci szaleństwem, wymachiwali rękami, wygrażali pięścią, Tallien przebił sztyletem wymagowanego wroga.

- Mam broń przeciw temu zdrajcy! - krzyczał dobywając ostatek głosu. - Zniszczę go, zdepczę jak gada. Zamiast być obrońcą uciśnionych, stał się najgorszym ciemieżcą! Precz z tyranem!

- Precz z tyranem! - powtórzyła sala.

Robespierre, który wydawał się posągiem z kamienia, ożył wreszcie, zerwał się i rzucił ku mównicy.

- To fałsz! - krzyknął. - Zwracam się do was, obywatele, do ludzi czystego serca i czystych rąk, a nie do tych bandytów!

Odpowiedziano mu obelgami. Padły wyzwiska i przekleństwa.

- Po raz ostatni obywatelu przewodniczący proszę cię o głos - zwrócił się do Collot d'Herbois. Wiedział, że gdy przemówi, zwycięży. Znał siłę swojej wymowy, nigdy go dotąd nie zawiodła.

- Dusi cię krew Dantona, co? - padło nagle z głębi sali.

- Tchórze! - odpowiedział Robespierre. - Czemuś go wówczas nie bronił?

Do stołu prezydialnego podszedł niejaki Louchet. Był to jeden z członków Konwentu, jak się później dowiedziałem.

- żądam, by uchwalono dekret nakazujący aresztowanie Robespierre'a - powiedział wyraźnie.

Wśród nieopisanego tumultu dekret został natychmiast jednogłośnie uchwalony.

W głowie mi się kręciło. Aresztowanie Robespierre'a? Czy w ogóle było to możliwe? Przecież to Robespierre nakazywał aresztować tego czy tamtego, wydać wyrok śmierci i posłać skazańca na plac Rewolucji.

Sala huczała. Ludzie przekrzykiwali jedni drugich. Wszyscy nagle stali się bardzo odważni i złaźnieni sprawiedliwości.

Augustyn Robespierre, młodszy brat Maksymiliana, podniósł rękę.

- Ponieważ cnoty mego brata są i moim ideałem - zawołał - pragnę podzielić jego los.

Wobec tak wyrażonej chęci los Robespierre'a, oprócz jego brata, mieli również podzielić Saint-Just i Couthon.

- Chciałeś zasiąść na tronie, co? - krzyknął ktoś z sali wskazując fotel kaleki.

- Z takimi nogami? - Couthon zaśmiał się drwiąco.

Le Bas nie chciał okazać się gorszy ani mniej bohaterski od młodego Augustyna.

- Niech i mnie obejmie ten haniebnny dekret - krzyknął. - Zaliczcie i mnie do aresztowanych.

Czterej niedawni przywódcy skupili się wokół fotela Couthona.

- Na co czekacie? - wrzasnął ktoś z grupy deputowanych zwracając się do prezydialnego stołu.

Rzeczywiście, na co czekano? - zastanowiłem się. Wyglądało, że nikt nie ośmielał się podnieść ręki na niedawnych jeszcze wszechpotężnych wodzów Rewolucji.

Wreszcie otoczyli ich żandarmi, prosząc grzecznie, lecz stanowczo, by nie stawiali oporu. Nie mieli wcale tego zamiaru. Gdy ich wyprowadzono i ścichł skrzyp fotela kaleki, sala zamilkła, jak gdyby porażona nagłą konsternacją.

- Najlepszy to dowód, jak magnetyczny wpływ wywierała na słuchaczy wymowa Robespierre'a - zauważył w domu Wilfred.

- Nie rozumiem - odparłem. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przecież dlatego spiskowcy zrobili wszystko, by nie dopuścić go do głosu - wyjaśnił. - Gdyby przemówił, nie doszłoby do aresztowania. Robespierre'a wyniesiono by z sali na rękach, jak triumfatora, a głowy jego oskarżycieli znalazłyby się wkrótce w koszu pod gilotyną.

- Zapominasz, że brat Robespierre'a i Le Bas z własnej woli podzielili los przyjaciela.

- Biedny Le Bas! - westchnął Wilfred. - Ślepy i głuchy i zamiast troszczyć się o żonę i dziecko, myśli wyłącznie o Maksymilianie. Pragnie być lojalny, do końca. I na tym, widzisz, opiera

się siła Robespierre'a.

Wiadomość o tragicznych wydarzeniach w Konwencie błyskawicznie rozniosła się po Paryżu. Ulicami przebiegały grupy oberwańców, krzycząc "zdraycy zabijają Rewolucję!". Komuna zadeklarowała wierność partii Robespierre'a. Od szóstej wieczorem bito w bębny na alarm. Gwardia Narodowa stanęła pod bronią.

Tymczasem Konwent kontynuował burzliwą debatę, ale nie interesowały już nas dalsze wypowiedzi, a raczej krzyki deputowanych. dużo ciekawsze rzeczy działy się na ulicy.

Pięciu aresztowanych odprowadzono do Komitetu Bezpieczeństwa, urzędującego wówczas w dawnym pałacyku Brionne'ów, tuż obok Tuileries. Jak nam później opowiedziano, na pierwszy "więzienny" obiad podano im kapłona, pieczeń baranią i butelkę burgunda.

Poszedłem z Wilfredem pod Ratusz, na plac de Greve, gdzie zbierały się tłumy. Obradująca tu Komuna postanowiła uwolnić przywódców Rewolucji zatrzymanych bezprawnie przez wrogów ojczyzny.

Dzwony biły jak oszalałe, warczały bębny, miasto huczało. W Komitecie Ocalenia Publicznego, który również urzędował na Ratuszu, układano plany ratowania sytuacji. Właściwie nikt nie był pewien życia. Zarówno w Konwencie, jak i w salach Komuny czy w Komitetach panował nieopisany zamęt i rozgardiasz. Niczyja głowa nie trzymała się mocno karku.

Jak dowiedzieliśmy się nazajutrz, Collot d'Herbois, rozparty za przydialnym stołem, oznajmił krótko: "Obywatele, oto nadeszła chwila, gdy musimy zginąć na posterunku".

Prawie wszyscy członkowie Konwentu podzielili jego zdanie.

Skoro czterdziestu ośmiu sekcjom wydano rozkaz mobilizacji, czterystu gotowych na wszystko patriotów zgromadziło się pod Ratuszem. Otaczało ich sześć kompanii kanonierów.

Konwent stanął w obliczu klęski. Należało natychmiast podjąć jakąś decyzję, ale nikt nie miał pojęcia, co przyniosłoby ratunek, a co zgubę. Deputowani przybierali poży rzymskich senatorów, bohatercko oczekujących śmierci.

Komunie wkrótce udało się zgromadzić niebagatelną siłę ośmiu tysięcy ludzi i siedemnaście kompanii kanonierów. Do tego należało dodać dobrze uzbrojoną Gwardię Narodową na koniach i bezładny tłum "patriotów". Z natarciem oczekiwano jedynie rozkazu Robespierre'a.

Pięciu aresztowanych nie przyjęło żadne więzienie. Zmęczeni i przybici trzęśli się w niewygodnym fiakrze, aż wreszcie wysadzono ich w biurze policji. Tam, późnym wieczorem, odnaleźli więźniów członkowie Komuny i uroczyście zaprosili na Ratusz. Robespierre wydawał się jak gdyby porażony paralizem. Za to młody Augustyn wszedł śmiało do wielkiej sali głównej Rady.

- Zostaliśmy aresztowani nie przez Konwent, lecz przez podłych spiskowców knujących zdradę - oznajmił butnie.

Przywódcy Komuny zapewnili więźniów o swojej wierności i wyrazili nadzieję, że uda się uspokoić deputowanych bez użycia siły i co za tym idzie bez rozlewu krwi.

Robespierre usadzony w fotelu mera zażądał złożenia przysięgi na wierność jego osobie.

- Przysięgamy umrzeć za Robespierre'a - wrzasnęli zebrani w sali członkowie, a wraz z nimi i publiczność tłumnie zalegająca trybuny.

- Lud uwolnił mnie z rąk tych, którzy pragnęli mojej zguby - ciągnął, pochylając głowę w podzięcie za wybawienie. Po czym razem z bratem i z Le Bas zamknęli się w przyległym gabinecie, by z szefami sekcji omówić plan działania.

Na ulicach panował nieopisany zgiełk. Z otwartych szynków wysuwały się ledwie stojące na nogach postacie. Wrzask przewierał uszy. Komuna kazała zamknąć bramy miasta i bić w dzwony. Konwent kazał otworzyć bramy, a dzwonników skazać na śmierć.

Do zbrojnych grup przyłączyło się wojsko.

Ludzie zgromadzeni na placu de Greve tupali z niecierpliwości. Na co każą im czekać? Dlaczego nie wolno natychmiast przywołać do porządku buntowników z Konwentu? Nie są przecież z żelaza i jak wszyscy czują zmęczenie, są głodni i spragnieni.

- Gdyby Robespierre zbudził się z letargu - powiedział później Wilfred - lud poszedłby za nim i

zniósł Konwent z powierzchni ziemi.

Ale Robespierre wahał się, stracił dotychczasową pewność siebie, coś się w nim załamało.

Za to Konwent zbudził się z odrętwienia. Członkowie i deputowani nie czekali już na bohaterską śmierć. Pragnęli walczyć i zwyciężyć. Wieść o przejściu Robespierre'a do obozu zbuntowanej Komuny wprawiła ich najpierw w zdumienie, a potem we wściekłość. Więc to tak? - krzyczeli. Barras i Freron natychmiast ułożyli tekst dekretu, który przy świetle pochodni odczytywano na wszystkich skrzyżowaniach i placach stolicy. Wysłuchaliśmy tego – z gorączkowym zainteresowaniem, dekret bowiem uznawał za wyjętych spod prawa wszelkich buntowników oraz tych, co poparli zdrajców. Trzystu gazeciarzy rozniosło tę wiadomość po najdalsze zakątki Paryża. Na miasto padł strach, powiało grozą.

Wałęsaliśmy się zatłoczonymi ulicami, a krwawe błyski pochodni wydobywały z mroku przerażone twarze, odbijając się w bagnietach sterczących nad grzbietami koni.

- Każdy obywatel ma teraz obowiązek aresztować zdrajców i oddać ich w ręce władz – darł się stojący blisko nas krzykacz gazetowy.

Znaleźliśmy się znowu na placu de Greve, gdy z dwóch stron wyłoniły się zbrojne kolumny. Jedną dowodził Barras, drugą Bourdon. Szli prosto na Ratusz. Akurat na wielkim zegarze wybiła druga. Mimo zgiełku usłyszeliśmy tę nocną godzinę zwiastującą nadzwyczajne wypadki nowego dnia.

Wilfred chwycił mnie za rękę. Z trudem przepchaliśmy się do wejścia. W Ratuszu huczało jak w rafinerii, gdzie oczyszczano saletrę. Przez okna ujrzeliśmy nagle kanonierów, mających broń Komuny, jak obracali paszcze armat kierując je na Ratusz. Zrozumieliśmy, że zdradzili i przeszli pod rozkazy Konwentu.

Ludzie rzucili się do ucieczki, plac powoli pustoszał.

W sali, gdzie schroniło się pięciu więźniów, powstał popłoch. Za oknem dał się słyszeć tupot regularnych oddziałów. Pojęli wówczas, że są zgubieni. W chwili gdy pod naporem żandarmerii drzwi rozwierały się z trzaskiem, dokładnie ujrzeliśmy oświetlone świecami wnętrze salonu. W tym momencie Robespierre podniósł do ust pistolet i wypalił. Rzucono się ku niemu. Rozumiałem, że nie chciał żywy wpaść w ręce Konwentu. Niestety, nie zabił go samobójczy strzał, a tylko strzaskał dolną szczękę, która w przerażający sposób opadła na skrwawiony żabot. Le Bas miał więcej szczęścia, gdy przyłożył pistolet do skroni. Młody Augustyn rzucił się z okna, ale dzięki nagromadzonym w dole śmieciom i odpadkom, złamał tylko nogę. Wyobrażałem sobie bezsilną wściekłość Couthona przykutego do fotela. Najbardziej jednak zadziwił mnie Saint_Just. Wydawał się posągiem z białą jak marmur twarzą i szklistymi oczami.

Przez miasto jak wichur przeleciała wieść o samobójstwie Robespierre'a. I w tej samej chwili dotychczasowy "pan Francji" utracił ostatnich zwolenników.

Powiem prawdę, że było mi go żal. Ta nieledwie odstrzelona szczeka musiała sprawiać mu nieludzkie cierpienia. Ktoś litościwy podwiązał chustką okrwawioną i opadającą na piersi brodę. Położono go na stole w tak zwanym dawniej "salonie królowej", jak mi powiedział Wilfred.

Białe spodnie, brudne teraz i poplamione, wygnieciony frak, żabot cały we krwi – tak żalony widok przedstawiał ten zazwyczaj nienagannie elegancki mężczyzna.

Nikt, zdawało się, nie zwracał na niego uwagi. Ludzie przechodzili obojętnie, nieliczni tylko zatrzymywali się chwilę, by rzucić przekleństwo lub zniewagę, a jeden plunął mu w twarz. Dokoła panował gwar, w sąsiedniej sali zasiadano do jadła i do picia.

Zauważyłem wówczas, że ranny ma otwarte oczy i jest całkowicie przytomny. Bezskutecznie wyciągał rękę, skręcał się na boki, jak gdyby chciał dosięgnąć uwierającej go widocznie sprzączki, która spinała spodnie pod kolanem. Podeszedłem szybko i rozluźniłem zapięcie. Wydał westchnienie ulgi i powiedział cicho "dziękuję panu".

Nawet w tej tragicznej sytuacji nie zapomniał o dobrym wychowaniu. Pamiętam, że ktoś, chyba Wilfred, powiedział o nim:

"Przebył rynsztok w białych pończochach i lakierowanych trzewikach i nawet się nie zabłocił".

Bardzo to do niego pasowało, do takiego, jakim był. Ale teraz...

Dla czterech pozostałych przy życiu więźniów nie zadano sobie trudu odegrania komedii

procesu. Ot, postawiono im tylko zwykłe pytania, by ustalić tożsamość winowajców.

O trzeciej nad ranem ponury pochód opuścił Ratusz, kierując się ku Tuileries. Żołnierze na koniach oświetlali drogę pochodniami. Posuwano się powoli, tak wielka ciżba zalegała ulice. Z każdego okna wychylały się głowy. Ludzie wydawali okrzyki radości, klaskali, powiewali chustkami. Couthona i młodego Augustyna rzucono na wózek, leżącego na desce Robespierre'a niosło czterech żandarmów. Za nimi szedł Saint-Just ze związanymi rękami, przytroczony sznurem do siodła jednego z żołnierzy.

Okropne wrażenie sprawiał Couthon. Podobno jeszcze na Ratuszu, korzystając z nieuwagi zebranych, opuścił się z fotela na podłogę i ukrył pod stołem. Miał nadzieję przeczekać niebezpieczeństwo. Dojrzano go jednak. Pochwycony i niczym tłumok ciśnięty na schody spadał ze stopnia na stopień aż na sam dół. Krew z rozbitej głowy umazała mu twarz i ubranie. Znalaziono go dopiero nad ranem na wewnętrznym dziedzińcu Ratusza, dokąd ostatkiem sił doczołgał się na rękach. Ale i tam odkryły go czujne oczy wrogów i choć usiłował przebić się szczyrykiem, związanego rzucono na nosze i zaniecono do szpitala. Tam znany chirurg Dessault opatrzył mu rany. Wreszcie o dziewiątej rano spotkał się w Conciergerie z Robespierre'em i resztą.

Na placu Rewolucji powitały ich tłumy żądne krwawego widowiska. Gilotyna wydała mi się jakaś wyższa i groźniejsza. Tym razem miała wreszcie stać się naprawdę narzędziem sprawiedliwości.

- Leżał na Ratuszu na tym samym stole, na którym podpisał niezliczone wyroki śmierci - powiedział za mną jakiś męski głos.

- Bóg zawsze osiągnie winnego - odpowiedział na to miękki głos kobiety.

Obejrzałem się. Była to para ludzi, którzy mi się od razu spodobali. Biło w oczy, że się kochają. On - silny i barczysty - obejmował ramieniem figurynkę jak z sewskiej porcelany, taka wydawała się krucha i delikatna. Ona tuliła się do niego ufna i bezpieczna. Pomyślałem o pannie Gabrieli i zacisnąłem zęby, żeby nie krzyknąć z bólu i rozpacz.

Nie wiem, czy Wilfred odgadł moje myśli, bo też obejrzał się na tych dwoje, ścisnął mnie za ramię i powiedział prędko:

- Robespierre nigdy nie widział egzekucji. Pierwsze to jego zetknięcie się z gilotyną.

- Długo na niego czekała - mruknął stojący obok nas młodzieniec w karmanioli.

- W ogóle unikał widoku tego narzędzia śmierci - ciągnął Wilfred, jak gdyby nie słyszał uwagi sąsiada, przepychając się wśród coraz bardziej gęstniejącej ciżby.

Ponury orszak wyłonił się tymczasem z bocznej ulicy. Czterej skazani znajdowali się teraz wszyscy na wózku. Wózków zresztą było trzy. Na te trzy wózki naładowano dwadzieścia dwie osoby. Byli to wszystko wierni poplecznicy Robespierre'a.

Wśród skazańców ze zdumieniem rozpoznałem Simona. Co robił na tym wózku zdążającym na plac egzekucji były "preceptor" małego Kapeta?

Trąciłem Wilfreda.

- Zobacz, to chyba Simon? Tam, na tym wózku.

- Simon - odpowiedział krótko.

Na placu udało nam się tak stanąć, że mieliśmy przed oczami szafot w całej jego grozie.

Pomocnicy kata pochwycili Couthona. On miał umrzeć pierwszy. Nieszczęsny kaleka przeżył teraz najcięższy chyba kwadrans swojego życia. Tak pokręcony tułów i nogi trudno było ułożyć na desce. Twarde ręce pachołków mistrza Sansona przewracały go więc na wszystkie boki, posuwały, wreszcie związanego jak salceson wepchnęły pod straszliwe ostrze. Wrzaski pospólstwa nie zdołały zagłuszyć jęków nieszczęśliwca.

Zaraz po nim zginął młody Augustyn. Robespierre był przedostatni. Czekala nas jeszcze bardzo przykra chwila. Przewodniczący Konwentu nie wiadomo jakim cudem zebrał resztki sił i prawie bez pomocy wstąpił na fatalne stopnie. I tu stała się rzecz straszna. Kat, by obnażyć szyję delikwenta zerwał chustkę podtrzymującą dół twarzy. Opadła odstrzelona szczeka, a z gardła Robespierre'a buchnął krzyk tak nieludzkiego bólu, że z przerażenia i z litości zamknąłem oczy, by nie widzieć.

Działo się to dziesiątego termidora, czyli dwudziestego ósmego lipca tysiąc siedemset

dziewięćdziesiątego czwartego roku, drugiego roku nowej ery rewolucyjnej wolności.

Jak zwykle przy tego rodzaju wydarzeniach nie zabrakło mistrza Davida i jego szkicownika, a Wilfred, który nazajutrz zobaczył rysunek, powiedział zdumiony: "twarz ta zadziwia wyrazem, to twarz natchnionego mistyka, a głowa przypomina głowy dawnych męczenników".

Jakże innym, nieznanym dotąd człowiekiem, objawił się Robespierre wielkiemu przecież artyście, w tej ostatniej chwili życia.

Po tych wypadkach, które wstrząsnęły Francją, nic już, myślałem, nie mogło mnie wytrącić z równowagi. W domu dopiero odczułem zmęczenie i zdałem sobie sprawę, że dawno nie byłem tak wyczerpany. Nie mógłbym nawet zasnąć. Ale gdy w koszyku matki Jourdan obok nieśmiertelnej fasoli odkryłem smakowite kęsy mięsa, poczułem głód tak gwałtowny, że rzuciłem się na jedzenie niepomny zdawałoby się krwawych scen, jakich byłem świadkiem.

- Skąd matka Jourdan zdobyła mięso? - spytałem z pełnymi ustami.

- Ma swoje chody - uśmiechnął się Wilfred nalewając wino. - Wypij, to ci pomoże odzyskać spokój.

- Wiesz - ująłem szklankę - najbardziej wstrząsnęła mną śmierć Simona. Nigdy bym nie przypuszczał, że i on... Nie był przecież żadną osobistością... Skąd mu do kompanii takich tuzów jak Robespierre czy Saint_Just?

- Sam sobie winien - pokiwał głową Wilfred. - Na plac Rewolucji zawiodła go jego własna głupota. Czegóż bowiem można się było spodziewać po tak prymitywnym prostaku? Żal mi go nawet. Mógł jeszcze żyć.

- Więc dlaczego?

- Gdyby dziewiątego termidora został w domu, nic by mu się nie stało. Nie należał do przywódców, był niczym. Ale miał ambicje i chciał być kimś. Jak wiesz, bywał na obradach Komuny i tego fatalnego dnia jak zwykle znalazł się na Ratuszu. Zawarczały bębny, zabiły dzwony, ludzie zrozumieli, że dzieje się coś niezwykłego. Sala była pełna, wszyscy oczekiwali zakończenia konfliktu, w którym Konwent zwrócił się przeciwko przewodniczącemu, a przecież był nim Robespierre. Gdy więc i do tej sali doszły okrzyki "precz z tyranem", Simon nie wytrzymał. On, który nigdy nie zabierał głosu, tym razem skoczył na trybunę i wygłosił nieskładną mowę obrończą, by ratować uwielbianego mistrza. To go zgubiło. Ktoś, kto go nie znał, oburzony, dał znak żandarmom. Aresztowany i zamknięty w jakimś zakamarku Ratusza został nazajutrz odstawiony do Conciergerie. Biedny głupiec chyba do końca nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. Doprawdy, powinni go byli zwolnić. Niechby wrócił do żony, do tego mieszkania, które zajmowali nad stajnią w obrębie Temple.

- Powinni byli - przytaknałem.

- A tak obywatelka Simon jest obecnie wdową Simon - zakończył Wilfred pogrzebową mowę szewca.

Niestety, nie zostawiono jej w spokoju. Aresztowana po egzekucji męża, następną noc spędziła już w więzieniu.

Zupełnie inaczej minął niektórym ten wieczór w teatrze, gdzie oklaskiwano zabawną komedię w pięciu aktach, pod znamienym tytułem: "Dziwne igraszki losu".

Nazajutrz stu sześciu dalszych zwolenników Robespierre'a poszło w ślady wodza, a pomocnicy kata ledwie nadawali przesypywać świeżymi trocinami kosz pod gilotyną, do którego spadały ścinane głowy.

Miałem dość krwawego widowiska i zamiast na plac Rewolucji poszedłem do mojej praczki.

Wdowa Clouet była jakaś niespokojna i zdenerwowana.

- Mam nadzieję, że polepszy się teraz sytuacja małego Kapeta - powiedziałem, gdy siedliśmy do stołu.

- Chyba tak - mruknęła. - Wkrótce pewnie dowiem się, co się dzieje w Temple. W każdym

razie w naszym domu wielkie nowiny. - Zawiesiła głos. - Dziś nad ranem aresztowano tych dwóch...

- Kogo? Brutusa i Kasjusza?

- Właśnie tych dwóch łotrów. Dobrze im tak. Zniszczyli wiele niewinnych osób. Choćby tę staruszkę z naszego domu. Pamiętasz?

Miałem właśnie powiedzieć, że staruszka żyje, została uratowana, ale coś mnie powstrzymało. Nie była to moja tajemnica, a Wilfred zalecał jak największą ostrożność.

W tej chwili drzwi rozwarły się z traskiem. W progu stał siostrzeniec mojej praczki. Nie był to jednak butny i elegancki Juniusz, ale dawny Janek w zgrzebnej koszuli i takichże spodniach.

Rozczochrane włosy opadały na twarz tak bladą, że aż zieloną z lęku i przerażenia.

- Ciotko - zajęczał. - Ciotko! Ratuj mnie. Kasjusz i Brutus nie żyją! Zgilotynowani... Ciotko, ukryj mnie... ja muszę do domu... do ojca...

Julka odłożyła łyżkę i z dziwnym niedzielnym wyrazem na dziecinnej przecież buzi przyglądała się kuzynowi.

- Pójdiesz do ciotki Marii - powiedziała spokojnie praczka. - Ona cię przetrzyma i odeśle do domu. Czy masz życie ludzkie na sumieniu?

- Nie... chyba nie... nie wiem... - Janek - Juniusz wzbudzał już tylko litość, nic więcej.

- Julko, pójdiesz z nim i zostaniesz u ciotki. Jutro cię zabiorę.

- Nie! - krzyknęła dziewczynka. - Nie chcę z nim iść, nie pójdę.

- Julko. - Chłopiec złożył ręce. Trząśł się cały.

- Idź, Julko - powiedziała matka. - To twój kuzyn.

Dziewczynka jeszcze się wzbraniała.

- Może ja z nim pójdę? - ofiarowałem się.

- Jeżeli ty pójdiesz, to ja pójdę razem z tobą - zdecydowała Julka.

Wyszliśmy więc wszyscy troje na kipiące niby gotujący się garnek ulice Paryża. Tłumy ciągnęły na most, a dalej, za murami Chatelet na drugim brzegu Sekwany ludzki potok płynął w stronę placu Rewolucji. Inny nurt, złożony z tych, którzy nasycili już chęć zemsty, odpływał powoli, rozlewając się w wąskich uliczkach cienkim strumykiem.

Ominęliśmy plac z daleka, dalej ludzi było coraz mniej, cichł gwar tłumu.

Zostawiliśmy Janka u ciotki Marii - była to bratowa wdowy Clouet, także wdowa, która pomagała czasem mojej praczce, gdy było wiele roboty, i po krótkim odpoczynku udaliśmy się w powrotną drogę. Rączka Julki ścisnęła moją rękę, jak gdyby w obawie, że ktoś może nas rozłączyć. Była wyraźnie przestraszona.

- Co zrobią Jankowi? - spytała w pewnej chwili.

- Nic - odparłem uspokajająco. - Nikt go tam nie będzie szukał. Posiedzi cicho parę dni, a potem ciotka wyśle go na wieś. Znajdzie wieśniaków, którzy każdego ranka przywożą warzywa na targ. Znają ich przy bramie miejskiej. Janek na ich wózku bezpiecznie opuści Paryż.

- On jest głupi - oświadczyła, gdy byliśmy Sun blisko domu. - Czemu nie został na wsi, gdy ojciec po niego przyjechał?

- Tak - przytaknałem. - Janek nie grzeszy rozumem. Myślę, że będzie teraz pomagał ojcu przy gospodarstwie. Bądź o niego spokojna.

- Gardzę nim - podniosła na mnie oczy. - Właściwie to powinni mu uciąć głowę, jak tamtym.

- Nie, Julko - zaprotestowałem. - Janek jest bardzo młody, może kiedyś zmądrzeje.

Wydeła usta i nie odezwała się więcej aż do samego domu.

Wdowa Clouet przywitała nas z wyraźną ulgą.

- Wszystko w porządku? - patrzyła mi niespokojnie w oczy.

- W porządku, obywatelko - odparłem kiwając uspokajająco głową. - Chyba już jutro Janek opuści Paryż. Twoja bratowa jest pewna, że uda się go wywieźć z miasta.

Wieczorem opowiedziałem Wilfredowi przeżycia owego dnia.

- Czy widziałeś dzisiejszą egzekucję? - spytałem na koniec.

Pokręcił przecząco głową.

- Miałem co innego do roboty - mruknął niewyraźnie.

Był taki jakiś dziwny, więc po kolacji wysunąłem się do swego pokoiku. Nie chciałem mu przeszkadzać. Może wśród dzisiejszych ofiar gilotyny był ktoś, na kim mu zależało? Nie wiadomo. Nie znałem przecież jego przyjaciół ani wrogów. W ogóle nic o nim nie wiedziałem. Jednego tylko byłem pewny: jego bohaterstwa i patriotyzmu.

Nazajutrz przy śniadaniu był taki jak zwykle i z dużo lżejszym sercem wyruszyłem na ulicę Kordelierów.

W oknie pierwszego piętra siedziała obywatelka Melard, lecz tym razem bez drutów i pończochy. Wyglądała tak, jak gdyby na kogoś czekała.

- Obywatelu! - Zamachała ku mnie chudą ręką.

Przystanąłem pod oknem.

- Wstąp do mnie - powiedziała ciszej i zniknęła w głębi pokoju.

Pospieszyłem na schody.

Oczekiwała mnie w otwartych drzwiach mieszkania.

Pod ścianą, na sofce, spała Julka.

- Dziś w nocy aresztowano wdowę Clouet - powiedziała szeptem. - Zabrałam małą do siebie... strasznie płakała...

- Aresztowano praczkę? - Trudno mi było uwierzyć. - Za co? Przecież nie ma już Robespierre'a.

- Wiem tyle, co i ty - burknęła. - Radź, co zrobić z dzieckiem.

- Zaprowadzę ją do ciotki - oznajmiłem.

- Na drzwiach do mieszkania położyli pieczęcie. Nikomu tam nie wolno wejść.

- Dokąd ją zabrali?

- Do Luksemburga, oskarżona o głoszenie antyrewolucyjnych przekonań. Wszystko słyszałam, obudził mnie krzyk Julki. Czepiała się matki, ledwo ją oderwali.

Julka obudziła się w tej chwili, a zobaczywszy mnie wyciągnęła ręce i wybuchnęła płaczem.

Siadłem na brzegu sofki i objąłem biedactwo.

- Bertranku, zabrali mamusię... co będzie? Bertranku... Ja chcę do mamusi...

- Cicho, cicho... Mamusia wróci... Tymczasem pójdziemy do cioci. Zostaniesz tam do powrotu mamusi.

Pożegnałem obywatelkę Melard i z Julką uczepioną mojej ręki poszedłem na ulicę Lille.

Wyjaśniłem wszystko szwagierce mojej praczki i uspokojony nieco o los dziewczynki wróciłem do domu.

Wilfred siedział przy stole i coś pisał.

Gdy wszedłem, złożył papiery, odsunął kałamarz i spojrzał na mnie, jak gdyby oczekiwał wyjaśnień mojego przedwczesnego powrotu.

- Aresztowano ją - powiedziałem krótko.

- Kogo?

- Moją praczkę.

- Praczkę? Aresztowano?

- Wilfredzie, musisz ją ratować. Podobno zabrano ją do więzienia w pałacu Luksemburskim. Tak mówiła sąsiadka. Oskarżona o antyrewolucyjne gadanie. Nic z tego nie rozumiem. Przecież skończył się terror, nie ma już Robespierre'a. I dlaczego ją? Co ona znaczy? Zwykła praczka.

- Mylisz się, wdowa Clouet nie jest zwykłą praczką. Prała bieliznę więźniom z Temple.

- Cóż z tego? - krzyknąłem. - Wiele osób obsługiwało więźniów z Temple. Czy wszyscy zostali aresztowani?

- Uspokój się - zmitygował mnie Wilfred. - Nie wszyscy jednak wiedzieli to, o czym być może wiedziała praczka.

- A coż mogła wiedzieć?

- Nie wiem. Może nic, a może coś słyszała... powtórzyła komuś...

- To nieprawdopodobne.

- Nieprawdopodobne, ale możliwe. Musiała być przecież jakaś przyczyna jej aresztowania. Obawiam się...

- Czego? - wybuchnąłem,

- Sam nie wiem.

- Wilfredzie, błagam cię, dowiedz się, pamiętasz, uratowałeś ciotkę Annę z przedpiekła Conciergerie. Może ci się uda i teraz... Tak mi jej żal... I to biedne dziecko... żebyś widział jej rozpacz...

- Widziałem wiele ludzkich łez i wiele rozpacz - powiedział Wilfred twardo. - Mielśmy czas przywyknąć.

- Zmiłuj się, Wilfredzie - zajęczałem.

- Zrobię, co będę mógł. - Obiecał.

Nic nie mógł zrobić, nikt nie chciał nawet z nim mówić.

- Ci, z którymi rozmawiałem, sami chyba nie wiedzą. - Tak mi powiedział wieczorem.

Przeżyłem straszny dzień i straszną noc. Pocięchą była mi tylko myśl, że - jak mówił Wilfred - nie groziła jej kara śmierci.

Gilotyna pracowała teraz wyłącznie dla popleczników "tyrana", ale było mi to zupełnie obojętne. Aresztowanie wdowy Clouet legło kamieniem na moim sercu. Tym trudniej i ciężiej opuszczałem Paryż. Taka była jednak wola Wilfreda.

- Obiecuję ci, że będę o niej pamiętał - powiedział przy pożegnaniu.

- Siedzi już tyle miesięcy...

- I przenoszą ją z jednego więzienia do drugiego. Dowiedziałem się, że teraz jest u Świętej Pelagii.

- Tak długo ją trzymają! Wdowę Simon wypuszczono po miesiącu, a przecież też miała do czynienia z małym Kapetem.

- To co innego - potrząsnął głową Wilfred.

Dowiedziałem się od obywatelki Melard, że wdowa Simon po wyjściu z więzienia chciała powrócić do swego mieszkania na terenie Temple. Nie wpuszczono jej tam, na drzwiach leżały pieczęcie. Nic nie mogła zabrać, od miesiąca nie zmieniała sukni ani bielizny. Powróciła więc do ciemnego pokoju na trzecim piętrze od podwórza na ulicy Kordelierów, skąd wyruszyła, by towarzyszyć mężowi w jego karierze "preceptora". I dopiero po pewnym czasie wydano jej część niezbędnych rzeczy, a resztę otrzymała dużo później. Nie lubiono jej w kamienicy, dawniej zazdrozczono wyniesienia męża i lekkiego życia na wszystkim gotowym.

- Biedna kobieta - zakończyła swą relację obywatelka Melard. - Ma astmę i wspinanie się na trzecie piętro bardzo jej szkodzi. Długo potem kaszle.

Wdowa Simon też była w pewnym sensie ofiarą Rewolucji.

Zamknięty w podróźnej bryce spoglądałem na uciekające sprzed oczu domy Paryża. Jakże inny był mój wyjazd z tego miasta od przybycia tu w grudniu dziewięćdziesiątego drugiego roku! Jakże inny! Ile było we mnie wówczas entuzjazmu i podziwu dla tej Rewolucji, która zmiotła ostrzem gilotyny wiele z moich dawnych iluzji i wyobrażeń. Ale coś jednak zostało. Hasła: Wolność - Równość - Braterstwo nie były już pustym dźwiękiem, który władcy Terroru odarli z pierwotnego piękna i prawdy. Znowu błyszczały niczym gwiazdy na nocnym niebie i niosły nadzieję.

Pozbywszy się krwawych tępicielei dawnego ładu Rewolucja wchodziła w nową fazę. Być może w rządy sprawiedliwości i umiarkowania, poszanowania ludzkiego życia i tolerancji.

Rozkochałem się w Belcastel. Podobnie jak byłem rozkochany w pannie Gabrieli. Stary zamek i młoda panna Gabriela zlały się w jakąś nierozzerwalną całość. Nic dziwnego, Belcastel był domem panny Gabrieli, spuścizną po przodkach. Po owych dumnych niegdyś i wspaniałych hrabiach de Saunhac, okrytych czy to zbroją, czy atłasem, a zawsze orężem służących Francji.

żeby wrócić pod spiczaste dachy Belcastel, przemierzyłem całe kwitnące niegdyś królestwo - tak zaczynało nieśmiało mówić - które teraz leżało obnażone niczym trup w oczekiwaniu na pochówek.

Wszędzie ruina. W blaskach jesiennego słońca straszły poczerniałe dymem mury sterczące z pogorzeliska. Nikt nie mógł odgadnąć, czym niegdyś były. Zamkiem czy pałacem, kościołem czy klasztorem, skromnym dworem czy zwykłym domem mieszkalnym.

Mogłem tylko domyślać się, ile dobra i piękna pochłonęły płomienie. Ile dzieł ludzkiego geniuszu, ludzkiej myśli czy ludzkiej miłości padło pod ciosami topora barbarzyńcy.

Na głównym placu każdej mijanej wsi czy miasteczka pyszniło się "Drzewo Wolności", zasadzone w rocznicę zdobycia Bastylli. Gdziekolwiek zamiast zielonego pióropusza sterczał suchy badył przybrany w trójkolorowe wstęgi, wyblakłe i poszarpane deszczem i wichurą, równie zwiędły jak wolność pod rządami terroru. Dokoła rozciągały się pola, niegdyś uprawne, dziś podobne do kamienistej pustyni z rzadka porosłej zielskiem. Zielsko pleniło się wszędzie, wdzierając się do parków i ogrodów, spływało z połamanych sztachet i płotów, okrywało zgliszcza i ruiny.

Ludzie, jacyś dziwni, błakali się wśród tej leżącej odłogiem ziemi, głodni i wynędzniali, żadnemu jednak z nich nie przychodziło widać na myśl, by wrócić do tego, czym zajmowali się od pokoleń, zanim przewalił się przez kraj huragan, który wstrząsnął Francją. Wszystko było teraz inne, a przecież minęło zaledwie pięć lat od owych wspaniałych dni, gdy cały naród ruszył na Bastylię, by krwią wypisać na murach te trzy cudowne słowa: Wolność - Równość - Braterstwo.

Co z tego zostało? - pytałem siebie, spoglądając na zgliszcza i na ponure twarze nareszcie wolnych i równych sobie obywateli. Co pozostało ze szczytnych haseł, które Terror wynaturzył w jakieś krwawe szyderstwo? I dlaczego ludzie nie pracują? Czemu snują się apatyczni i bezwolni, kiedy tam, w Paryżu wszystko budzi się do życia? Kupcy i rzemieślnicy powychodzili z kryjówek, coś zaczyna się dziać, coś dobrego i pożytecznego. A przecież członkowie Konwentu zabijając Robespierre'a nie mieli zamiaru zmieniać ustroju, nie pragnęli powrotu do dawnego porządku, po prostu bali się o własne życie, zabili więc, aby ich nie zabito. Do wspólnej akcji popchnął ich strach i chęć zemsty. Nic więcej.

Znikła teraz cenzura. Gazety z furią rzuciły się na prawdę, obnażając najskrytsze zakamarki działania Terroru. Wyszły na jaw najpotworniejsze zbrodnie i okrucieństwa popełnione w imię rewolucyjnych ideałów. Ludzie, ci nawet najbardziej zatwardziali i obyci z zdawaniem śmierci, szeroko otworzyli oczy z przerażenia. Sami członkowie Konwentu i obu Komitetów, gdy ich pytano, odpowiadali: "nie wiedzieliśmy o tym".

Nędzne to było tłumaczenie, nędzne i tchórzliwe. Ludzie raptem zobaczyli małość tych, którzy wydawali się olbrzymami. Ich upadek nie zatrzęsł Francją, Paryż nie zadrżał w posadach, tylko nagle wszystko to, co było potępione, uznano za ładne, miłe i przyjemne. Powstała nowa moda. Ale już, jak mówił Wilfred, nie arystokracja nadawała ton doborowemu towarzystwu. Towarzystwo teraz tworzyli młodzi urzędnicy, kanceliści i sekretarze palestry, pisarze i artyści, sklepikarze i czeladnicy zatrudnieni w handlu i w różnych rzemiosłach.

Owych elegantów nazywano muskadenami od muszkatowych pastylek, za którymi przepadali. Śmieszli mnie, gdy tak przechadzali się pod drzewami Palais-Royalu, wsparci na ciężkiej lasce zakończonej ołowiem, co w razie potrzeby stanowiło groźną broń.

Na ufryzowanych włosach nosili wysokie kapelusze bez piór, chustkę pod szyją wiązali w suty fontaż, frak z długimi połami tak był wycięty na brzuchu, że ukazywał prawie w całości barwną kamizelkę. Widziałem na przykład młodzieńca w ciemnoczerwonym fraku do zielonkawych

spodni, krótkich i obcisłych jak dawniej, spiętych pod kolanem sprzączką nierządno zdobną pękiem wstążek.

Modne pończochy musiały być koniecznie w poprzeczne paski czy prążki, biało-zielone, biało-żółte lub biało-niebieskie. Trzewiki też ozdabiano kokardami. Był to styl - jak twierdził Wilfred - antyrewolucyjny, ci wszyscy młodzi mieli dość łachmanów, frygijskiej czapki i sankiulotów, a ludzi Terroru nazywali "krwiopijcami".

Jednym z przywódców tych elegancików był członek Konwentu Tallien, dusza spisku przeciw Robespierre'owi i jego klice, a "patronką termidora" ogłoszono piękną Teresę Cabarrus, z którą łączyła go czuła miłość. Głośno o tym wszystkim było w Paryżu, pisano też w gazetach o wybrykach tych modnisiów.

Na znak protestu z Panteonu wyrzucono zwłoki Marata, umieszczając na ich miejsce resztki Jana Jakuba Rousseau.

To wszystko opowiadał mi Wilfred, który wiele czasu spędzał poza domem. Ja również pętałem się po mieście. Chodziłem często do tej drugiej wdowy Clouet, by zobaczyć Julkę, pomagałem przy zakupach Żywności naszej dozorkyjni, matce Jourdan. Właściwie nie miałem już nic do roboty i mój pobyt w Paryżu nie miał żadnego sensu.

Wszystko to, co spotykałem po drodze w czasie podróży do domu, było zupełnie różne od tego, co widywałem w stolicy. Nowa moda i nowy sposób bycia nie dotarły jeszcze na głęboką prowincję. Tu ciągle ludzie jak gdyby spali, jak gdyby zapomnieli o normalności, porażeni lękiem, jakim Terror osnuł całą Francję.

Najgorsze, że z nikim nie mogłem zamienić słowa o tym, co przepełniało moje myśli. Zamknięty w pudle pocztowej bryki kontaktowałem się z woźnicą wyłącznie na przepręgach, a i wówczas wyniosły i lodowaty wyraz jego twarzy nie dozwalał na żadne poufalsze zbliżenie.

Przeważnie milczał jak zakłęty, tylko ruchem ręki dawał mi znak, że czas jechać dalej. Tonem, jakim zazwyczaj wydaje się rozkazy, zwracał się do oberżystów i Żandarmów, okazując czarodziejski widać dokument, który pozwalał mi tak wygodnie podróżować. Brano mnie chyba za jakiegoś rewolucyjnego dygnitarza wysłanego w misji specjalnej, tyle że bez towarzystwa gilotyny.

Dnie pędziły równie szybko jak pocztowe konie. A potem nagle ocknąłem się z pewnego rodzaju uśpienia - ciągle myślałem o Paryżu, choć miałem przed oczami inne pejzaże - i oto rozpoznałem znajome miejsca i tak mi bliskie nazwy: Figeac, Viviez, Aubin, Cransac, Montbazens same wybiegły na usta. Wreszcie dojrzałem wieżę kościoła w Rignac.

Droga węższa i mniej wygodna wiła się teraz wzdłuż koryta Aveyronu. Zamiast bitym traktem jechać do Rodez, woźnica - chyba na polecenie czy prośbę Wilfreda - wybrał tę gorszą drogę, aby mnie wysadzić jak najbliżej domu.

Bryka stanęła na skraju miasteczka. Do Belcastel miałem pięć kilometrów, ale cóż to dla mnie znaczyło? Niezliczoną ilość razy przemierzałem tę odległość pieszo lub konno, znałem tu każdy przydrożny kamień, każdy krzak czy drzewo.

Woźnica zeskoczył z kozła i podczas gdy pomocnik trzymał konie, otworzył drzwiczki i zajrzał do środka.

- Dziękuję ci, obywatelu - zawołałem - jestem już w domu, to Rignac, za godzinę znajdę się w Belcastel.

Nic nie mówiąc pomógł mi zarzucić na ramię dość jeszcze ciężką torbę i pierwszy raz spojrzął mi w oczy. Spojrzenie było przenikliwe i badawcze, jak gdyby oceniał moje możliwości dalszej pieszej wędrówki.

Skinąłem mu głową z uśmiechem, chcąc uspokoić jego skrupuły.

- Wszystko w porządku - powiedziałem. - Szczęśliwej drogi!

Stałem i patrzyłem, jak odjeżdżał. Nie ruszyłem się, aż ścichł tętent kopyt i turkot kół. Do wieczora zdąży jeszcze dojechać do Rodez. Rzuciłem okiem na toczące się u mych stóp fale Aveyronu i ruszyłem ku Belcastel.

Ogarnęła mnie taka cisza, jak gdybym znalazł się na bezludziu. Nie spotkałem nikogo. Prawda, pora była przedwieczorna i wszyscy zasiadali do skąpego posiłku, niemniej odczułem to milczenie i tę pustkę jako zapowiedź groźnych jakichś wydarzeń.

Wkrótce ujrzałem Belcastel.

Zamek sterczał nad okolicą, wyrastał jak gdyby z potężnej skały, a czworokątna baszta widoczna była z daleka wraz z tulącą się do niej okrągłą wieżą.

- Belcastel - powtarzałem półgłosem. - Belcastel. Mój dom i dom panny Gabrieli.

Po chwili widziałem już wyraźnie dachy z szarego łupku przycupniętych na zboczu domów osady. I most, most mający już ze trzysta lat, jak mówiono, z przepięknymi arkadami, które odbijały się w wodach Aveyronu.

Serce tak mi biło, że musiałem przystanąć przed wspinaczką. Poszedłem stromą ścieżką omijając osadę, prosto do bocznej furtki w grubym, okalającym zamek murze.

Belcastel był coraz bliżej. Wznosił w całej okazałości swoje prastare mury, które dotrwały do dziś, do mego powrotu.

Pod furtką stanąłem zdyszany. Była naturalnie zamknięta, musiałem więc obejść zamek, by dotrzeć do głównej bramy. Tam dopiero wisiała kołatka i liczyłem, że ktoś mnie usłyszy.

Zacząłem walić poczerńiałym ze starości Żelazem, a uderzenia odbijały się jak gdyby od masywnych wrót i dopiero gdy już traciłem cierpliwość, posłyszałem kroki na podwórzu. W bramie otwarło się małe, zakratowane okienko. Stary Jakub miał równie bystre oczy i pomarszczoną twarz jak dawniej.

- Jezu! - zawołał - Jezu! Toż to Bertran!

Zamki i łańcuchy szczęknęły w radosnym powitaniu. Byłem nareszcie w domu.

Belcastel nic się nie zmienił. Pozostał taki sam, jak żył w mojej pamięci. Ogromny, potężny, niezdobyty. Mocny jak skała, która go nosiła. Dumny, bo górował nad okolicą, bo spoglądał w dół, podczas gdy wszyscy, by go ujrzeć, podnosili głowy.

Dawał poczucie bezpieczeństwa pomimo Rewolucji, pomimo Komitetu Ocalenia Publicznego, pomimo straszliwego Trybunału i gilotyny.

- Nigdy go nie opuszczę - mówiłem sobie. - Nigdy nie oddalę się na tyle, by stracić z oczu czworokątną wieżę. Tu chcę żyć zawsze, zawsze.

Belcastel przestał jak gdyby być własnością hrabiego de Saunhac. Należał do mnie, był moim dobrem. Żadna siła nie wydrze mnie z tych murów, wzniesionych gdzieś tam w zamierzchłych czasach, w tej dawnej Francji, której już nie ma.

O tak sędziwym wieku zamczyska zapewniał też ów duchowny opiekun chłopca, którego moi rodzice tytułowali "Waszą Wielebnością".

Bo i jego interesował zamek, i on wpatrywał się w te mury z podobnym do mego podziwem i zachwytem.

I tak powoli zawiązała się między nami pewna zażyłość, jeśli to naturalnie było możliwe między mężem tak uczonym a takim ignorantem i prostakiem jak ja. Chociaż nie przestałem być barbarzyńcą, Wilfred zapalił w mojej głowie latarnię, która przedtem straszyla brakiem światła. Powoli zauważyłem, że książd szuka mego towarzystwa, a głównym tematem naszych rozmów stał się wkrótce Belcastel. No i Rewolucja.

Na nim, jak i na małym Karolu, pusty rękaw mego kaftana nie wywarł tak straszliwego wrażenia, jakie zrobił na moich rodzicach. Nie znali mnie przecież dawniej, gdy miałem obie ręce.

Począwszy od starego Jakuba, który pierwszy powitał mnie w domu, aż do jego żony, Marietki i Piotra, wszystkich jak gdyby poraził widok mego kalectwa. Najgorsze było jednak spotkanie z rodzicami.

Matka stała w kuchni przy ogniu, ojciec siedział na ławie, ale zerwał się natychmiast, gdy tylko wszedłem. Mogłem prawie przypuszczać, że czekał na mnie przez te parę lat, jak gdyby każdego dnia spodziewał się mego powrotu.

- Ojczy - powiedziałem - ojczy...

Gdy dotknął pustego rękawa, zbladł i obawiałem się, że upadnie. Nic nie mówił, tylko na mnie patrzył tak, jak nigdy dotąd.

- Mój syn, moje dziecko - szeptała za to matka, obejmując moją pochyloną do jej rąk głowę.

Gdy siadłem za stołem, paryskie przeżycia odeszły ode mnie, przestały istnieć. Nigdy nie opuszczałem Belcastel, a wojna, Valmy, Paryż, wdowa Clouet, ciotka Anna i Lucylka należały do jakiegoś innego, nierzeczywistego świata.

Prawdziwy i rzeczywisty był tylko Wilfred.

Wilfred...

Tego człowieka nic nie mogło usunąć z mojego życia i pamięci.

Zaprzyjaźniłem się z Karolem.

Raz odwiedził mnie w mojej wieży. Stał na progu i wodził oczami po nagich murach upodabniających to miejsce do więzienia.

- Wejdz, proszę - powiedziałem zachęcająco.

Od razu dostrzegł prezent Julki. Błękitny gołąb z odłamanym ogonem stał tak, jak go postawiłem na drewnianej rzeźbionej skrzyni, w której matka przechowywała bieliznę.

Wziął glinianego ptaszka i obracał w palcach.

- Ma ułamany ogon - powiedział wreszcie.

- Tak - przyznałem.

- Skąd go masz?

- Dostałem na pamiątkę od znajomej dziewczynki - wyjaśniłem.

- Od dziewczynki - powtórzył.

- Nazywa się Julka.

- Julka... - usiadł na skrzyni i bawił się gołębiem.

- Jeżeli chcesz, możesz go wziąć - powiedziałem widząc zainteresowanie, z jakim oglądał i głaskał glinianego ptaszka. - Nie masz żadnych zabawek.

- Nie mam - stwierdził ze smutkiem. - Kiedyś miałem - dodał Ożywiając się. - Więc mogę zabrać gołąbka? - Wpatrywał się we mnie tymi swymi niebieskimi oczami zbyt smutnymi jak na oczy dziecka.

- Tak - uśmiechnąłem się. - Jest twój.

- Mam Kotunia, a teraz jeszcze gołąbka. - Wydawało mi się, że jego oczy jak gdyby poweselały.

- Kotunio jest Żywy - zauważyłem - a gołąbek...

- Gołąbek jest z gliny i ułamano mu ogon. - Podszedł do mnie i ujął mnie za rękę. - Chodźmy stąd... na słońce...

Zazwyczaj bawił się z kotem w cieniu kwadratowej baszty na wewnętrznym dziedzińcu osłoniętym wyniosłymi murami zamkowych budowli.

Interesowało go też stadko kur, które hodowała moja matka, i dwa psy podwórzowe, wiekowe już i dożywające starości. Poza tym dużo czytał i rozmawiał ze swoim wychowawcą.

Z Jego Wielebnością spotykałem się przeważnie w ogrodzie, wczesnym rankiem, gdy chłopiec jeszcze spał, a ksiądz spacerował z otwartym brewiarzem w ręku. Zazwyczaj roztrząsaliśmy klęski i zdobycze Rewolucji - doszliśmy już do tego tematu w naszych rozmowach.

- Klęski owego okresu, które dziś wydają się zwycięstwem - mówił ksiądz - dadzą się odczuć dopiero za wiele lat, może za pół wieku albo i później. Wylano za dużo krwi bratniej, zwalono za dużo pomników dawnej chwały, zniszczono ziemię i to, co na niej rośnie i co żyje. Trudna będzie odbudowa, trudna i długotrwała.

- Rewolucja powołała do życia wspaniałe instytucje - odpowiadałem. - Potrzebne i pożyteczne, które przetrwają jej epokę i będą trwać wiecznie.

- Wiecznie. - Uśmiechnął się i spojrzał na mnie jak gdyby z politowaniem, tak mi się przynajmniej zdawało. - Cóż trwa wiecznie na tej ziemi, mój młody przyjacielu? Nic przecież nie pozostało, nic z tego, co składało się na naszą Francję, na jej zewnętrzny i duchowy obraz. Zauważ, że nie tylko zburzono gmachy i pomniki, dużo większej dewastacji dokonano w ludzkich duszach. Ludzie nie są już tym, czym byli pięć, sześć lat temu. Nic w nich nie pozostało, nic. Są zupełnie inni i sami nie zdają może sobie nawet sprawy z tej przemiany, jaka się w nich dokonała.

- Wszystko się zmienia - odparłem - i świat, i ludzie. Czas nie stoi w miejscu i nie wiemy, co się jeszcze może zdarzyć. Nostradamus mówił o jakimś cesarzu...

- Nostradamus - pokiwał głową.

- Chciałbym bardzo poczytać te jego przepowiednie. Może są w tutejszej bibliotece. Tyle tu książek, że nie sposób odnaleźć.

- Przeglądałem ten księgozbiór - powiedział wzdychając. - Nie zauważyłem jednak dzieła Nostradamusa. Tak bardzo cię to interesuje? - dodał po chwili.

- Bardzo - przytaknąłem. - Podobno Nostradamus napisał, że delfin zostanie uratowany.

- Nie delfin - poprawił - a król. Jego Królewska Mość Ludwik XVII.

- Właśnie, król. Nie wiadomo, czy należy wierzyć w to, co ten prorok napisał.

- Nie wiadomo - zgodził się. - Prawda znana jest jedynie Bogu.

- No i ludziom, którzy dopomogli uratować dziecko, jeśli je uratowali.

- I ludziom. Tak. - Pokiwał głową.

- Skąd więc weźmie się ten cesarz, jeśli król żyje?

- Nie wiadomo, czy żyje. A cesarz... No cóż, król, nawet gdyby żył, może wolałby pozostać w ukryciu. Jego pojawienie się nie wszystkim byłoby na rękę.

- Skąd się jednak weźmie cesarz? - dopytywałem się. - Według Nostradamusa miał się urodzić na wyspie.

- Widzę, że dokładnie przestudiowałaś proroctwa tego renesansowego lekarza - spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Nie czytałem ich - zaprotestowałem gwałtownie. - To mój przyjaciel tak mnie oświecił. Przypomniał sobie to, co kiedyś czytał i co mu utkwiło w pamięci.

- Tak, tak - pokiwał głową. - Ciekawe są spostrzeżenia mistrza Nostradamusa.

- I niech Wasza Wielobność zważy, że wiele z przeszłych zdarzeń, które opisuje, miały rzeczywiście miejsce. Dlatego tak mnie trwoży ten cesarz...

- Nie lękaj się - powiedział z uśmiechem, który dziwnie rozjaśniał jego smutną i poważną twarz. - Nic gorszego już nas nie spotka od terroru i gilotyny. Na mniejsze klęski zostaliśmy skutecznie uodpornieni. A co do samej Rewolucji... - zamilkł.

- Właśnie, co do Rewolucji pragnę dodać, że instytucje, które powołała do życia, wydają mi się wielkie i piękne.

- Czy wynagrodzi to zbrodnie, które popełniono w imię szczytnych ideałów? - szepnął.

- Ale te instytucje... - upierałem się.

- Czy podział Francji na osiemdziesiąt trzy departamenty uważasz za tak wielkie osiągnięcie? Albo podeptanie chrześcijańskiej tradycji i dobrych obyczajów tak bardzo przemawia na korzyść Rewolucji?

- Nie o tym myślę - podniosłem na niego wzrok. - Myślę o instytucjach znaczących wielkość Francji, o wspaniałych uczelniach gromadzących ludzi nauki, na przykład o Narodowej Szkole budowy dróg i mostów, o szkole politechnicznej, szkole języków wschodnich, o wielu innych szkołach i liceach.

- Czy myślisz, że ich przedtem nie było?

- Nie wiem. Przedtem w ogóle nic nie wiedziałem. Byłem bardzo głupi.

- Jesteś skromny - zauważył. - A to piękna cecha. Te różne szkoły nosiły wówczas nazwę królewskich. Dziś są narodowe. Ale uczą tego samego. Z tą tylko różnicą, że przedtem uczeni czuli się bezpieczni, a biedny Lavoisier przyplacił głową swoją przyjaźń z Rewolucją. I nie był w tym odosobniony.

- Pochłoneła go fala, która zalała wówczas wielu.

- No cóż - pokręcił głową. - Rewolucje są widać potrzebne. Zdarzają się od czasu do czasu. Ot, choćby w Anglii... Tam też ścięli króla, tyle że w sposób bardziej barbarzyński, nie wymyślono bowiem jeszcze gilotyny.

- Czy Wasza Wielobność mówi o Karolu I? - spytałem. - Opowiadał mi przyjaciel...

- Tak, o Karolu Pierwszym. Miałem kiedyś ten zbiór centurii Nostradamusa, którego tak poważasz - uśmiechnął się znowu. - Było to stare wydanie sprzed dwóch wieków i wiesz, jaki

rysunek zdobił kartę tytułową? Szafot, na nim kat ścinał królewską głowę. Przypomniałem to sobie w styczniu dziewięćdziesiątego trzeciego roku i doszedłem do wniosku, że chodziło o naszego króla. Wszystkim się zdawało, że autor miał na myśli angielskiego Karola, a to przecież był francuski Ludwik. Dziwne, prawda?

- Widzi Wasza Wielbność, jak wielkim był prorokiem. Dlatego mnie tak interesuje jego dzieło. A gdyby się udało odnaleźć je tu, w Belcastel...

- Zostawmy w spokoju Nostradamusa i przepowiednie. Zdajmy się na Opatrzność, która ustrzegła nas od złego i doprowadziła do tej chwilowo cichej przystani i być może do końca nie wypuści nas spod swojej opieki i pozwoli pozostać w Belcastel.

- To wspaniały zamek, prawda Wasza Wielbność?

- Wspaniały - przytaknął. - Jego wiek budzi szacunek. Przeglądając książki i papiery w bibliotece w jednej z szaf znalazłem ciekawy dokument. Czy wiesz, kto to byli Templariusze? - spytał nagle.

- Wiem i pamiętam wszystko, co o tych mnichach-rycerzach mówił mój przyjaciel.

- Otóż jednym z Wielkich Mistrzów zakonu był przodek hrabiego de Saunhac.

- To nadzwyczajne! Ale chyba nie ostatni? - przerwałem. - Spalono go przecież.

- Nie, nie ostatni. W czasie dwustu lat istnienia Zakonu rządziło nim dwudziestu dwóch Wielkich Mistrzów. Siedemnastym był Wilhelm de Sonnac. Zauważ, że choć inaczej pisane, nazwisko to wymawia się prawie tak samo jak dzisiejsze nazwisko pana tego zamku. De Sonnac, de Saunhac.

- To nadzwyczajne! - wykrzyknąłem po raz drugi. - A kiedy żył ów Wielki Mistrz de Sonnac?

- W XIII wieku, a Mistrzem był w latach 1247-1250, jak widzisz krótko, poległ bowiem bohaterską śmiercią w Ziemi Świętej.

- To było w bitwie, prawda? - pytałem pełen ciekawości.

- W krwawej bitwie - przytaknął. - Podczas pierwszej wyprawy krzyżowej naszego świętego króla Ludwika IX. Wielki to był monarcha i mądry, dużo dobrego zrobił dla Francji, ale w Ziemi Świętej...

- Co było w Ziemi Świętej?

- Nie znał tamtejszych stosunków ani obyczajów, a Wielki Mistrz Templariuszów Wilhelm de Sonnac nie potrafił się z królem dogadać. O tych wszystkich sprawach pisał francuski kronikarz Jan de Joinville, towarzyszący królowi i znający wszystkich aktorów dramatu. Frankowie zdobyli wówczas Damiettę i wyruszyli na Kair. Templariusze szli w przedniej straży. Odepchnęli atak Turków i oczyścili drogę dla królewskiej armii. Niestety klęska czekała na nich u zbiegu dwóch rzek, Nilu i Tanisu. Na pierwszy ogień jak zwykle poszli Templariusze i choć Saraceni użyli podstępów, z początku Francuzi odnieśli wspaniałe zwycięstwo pod Mansurą. Nie było jednak dla nich ratunku. Dziesiątkowała ich zaraza, no i klimat, nękał wróg. Gdyby posłuchali Templariuszów, nie doszłoby do tak krwawej masakry, ale niepomini ostrzeżeń, rwali się do walki. W murach Mansury zginęło wielu naszych, między innymi hrabia d'Artois, brat królewski, i kilkuset Templariuszów.

- To musiało być straszne!

- Bitwy następowały potem jedna po drugiej, a w każdej na czele szedł Wielki Mistrz de Sonnac z resztką braci.

- Mój Boże - szepnąłem. - Cóż to byli za ludzie!

- Tak - pokiwał głową ksiądz. - Francuzi wówczas walczyli z wrogiem, stawali twarzą w twarz z równie jak oni uzbrojoną armią. Walczyli jak mężczyźni. A teraz...

- Wiem, Wasza Wielbność - zawołałem. - Teraz mordowali bezbronnych, starców, kobiety i dzieci. Uzbrojeni po zęby całą gromadą rzucali się na taką panią de Lamballe czy na więźniów ze związanymi rękami... Ofiary nie mogły się bronić... Wiem, co się wydarzyło podczas wrześniejszej masakry w więzieniach. Wiem, jakie bestialskie czyny popełnili Francuzi, wszystko to wiem... Ale na ich obronę powiem, że była to Rewolucja, że runął cały porządek moralny, to co dawniej było podłością, uchodziło teraz za bohaterstwo. A oni byli ciemni... nie wiedzieli... nie rozumieli... Rewolucja wydobyła z nich to, co tkwiło gdzieś głęboko, ale istniało i może istnieje w każdym

człowieku. Wiem, nie można tego porównać z tamtym bohaterstwem...

- Pięknie przemawiasz w ich obronie. Tak, poniekąd masz rację - westchnął. - Ciemni i prymitywni... - I znowu westchnął. - Ale tu nie ma żadnego porównania. Tam było rycerstwo, tu rozbestwiony motłoch.

- Przepraszam, że tak przerwałem Waszej Wielebności. - Byłem zmieszany całą tą tyradą, jaka wyrwała mi się z serca. - Czy mogę prosić o dalsze losy Wilhelma de Sonnac? Przypuszczalnie wówczas zginął, prawda?

- Zginął. - Pokiwał głową ksiądz. - Już na początku stracił jedno oko, pod koniec zaś bitwy do reszty oślepiła go saraceńska strzała. Niewidomy walczył bohatersko do końca.

- I co było dalej?

- Król Ludwik i wielu rycerzy dostało się do niewoli. Wykupiono ich za pół miliona liwrów, sumę tę dali Templariusze, za uwolnienie zaś króla trzeba było oddać Damię. A wszystkiego tego można było uniknąć, gdyby posłuchano Wilhelma de Sonnac i całą tę kampanię poprowadzono zgodnie z jego radą. On i bracia najlepiej znali tamtejsze warunki oraz sytuację polityczną. Wyrzucano im nieraz kontakty z wyznawcami Proroka. Wówczas też Francuzi nie rozumieli...

- Francuzi często nie rozumieją - powiedziałem z goryczą. - I robią tak straszne rzeczy...

- To cecha ogólnoludzka. - Ksiądz poklepał mnie po ramieniu. - Nie martw się. Przyjdzie czas, że nasz wóz wejdzie w dawno wyżłobione koleiny na nowej jednak drodze i wróci porządek.

Tej nocy źle spałem. Myślałem ciągle o tym Wielkim Mistrzu Wilhelmie de Sonnac. Ciężką, bo ponad pięćsetletnią spuścizną dźwigał na barkach nasz hrabia i choć pisał się teraz de Saunhac, był przecież potomkiem owego Wielkiego Mistrza, który oślepiiony nie poddał się, nie prosił o łaskę, a walczył do końca.

Z dalszych rozmów z opiekunem chłopca dowiedziałem się, że Belcastel istniał już, zanim dzwon historii oznajmił rok tysięczny, wówczas jednak zamek i przylegające doń włości należały do "szlachetnego i potężnego rodu Belcastel". Dopiero w roku 1214 Rajmund de Belcastel, zrujnowany zamieszkami, jakie wznęciły wojny religijne na południu Francji, sprzedał zamek kuzynowi. I tak przez ponad wiek Belcastel przechodził z rąk do rąk, by wreszcie dostać się Wilhelmowi de Saunhac, przodkowi naszego hrabiego. Stał się on panem i baronem Belcastel, a jego syn osiągnął tytuł królewskiego szambelana. To on właśnie, ów Alzias de Saunhac odbudował zamek ze zniszczeń spowodowanych panowaniem różnych przygodnych właścicieli i w początkach XV wieku wznosił most na Aveyronie, a na lewym brzegu rzeki kościół Świętej Magdaleny, gdzie cudem jakimś ocalało jego wspaniałe mauzoleum.

- Ocalało, bo nocą ja, Piotr i stary Jakub okryliśmy je deskami i słomą - powiedział ojciec, któremu powtórzyłem moją rozmowę z księdzem. - A kościół wkrótce zamknięto.

Ojciec wiedział o Belcastel więcej chyba niż to, co zapisano w dokumentach, urodził się tu, jak i jego ojciec, dziad i pradziad.

- Peyradowie - mawiał - są równie starzy, a może i starsi od hrabiów de Saunhac. Przypominam sobie, że byli tu, gdy jeszcze zamek należał do rodziny Belcastel, zanim dostał go Wilhelm de Saunhac.

- A co się stało z pierwszymi właścicielami, owymi Belcastel? - pytałem.

- Gdy Rajmund de Belcastel zbiedniał i zrujnowany musiał sprzedać zamek, usunął się do pozostałej mu jeszcze posiadłości la Pradelle koło Rignac. Znasz przecież ten zameczek. Popadł on potem w ruinę, a Rewolucja dokończyła dzieła.

Poszedłem wychylić się za mur zamkowego tarasu i poszybowałem spojrzeniem w stronę la Pradelle, gdzie pięć wieków temu schronił się ostatni Belcastel, prawowity pan tej okolicy.

Dziś sterczały tam osmalone zgliszcza.

- Podpalili ruiny - opowiadał ojciec. - Chcieli zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko, co przypominało minioną wielkość.

- Dziwne, że nie tknęli zamku - zauważyłem.

- Kupiłem go przecież i był teraz moją własnością - uśmiech ojca był smutny. - Nadejdzie może dzień, że oddam hrabiemu to, co nie przestało do niego należeć. Pamiętaj, jeśli mnie wówczas nie stanie, ty przekazesz zamek panu de Saunhac. A jeżeli nie jemu - dodał po chwili - to pannie

Gabrieli.

Pannie Gabrieli...

- Może wyszła już za swego markiza - mówił dalej ojciec.

- Markiz mógł zginąć - rzuciłem - i jeżeli nie uciekł, to pewnie stracił głowę.

- Może udał się na emigrację. - Ojciec spojrzał zdziwiony na moją zaczerwienioną twarz. -

Wielu opuściło Francję. Może gdzieś na świecie spotkał pannę Gabrielę... Może są już po ślubie...

- To niemożliwe! - nieledwie krzyknąłem.

- Co ci jest? - zatroskał się ojciec. - Tak zbladłeś, a przed chwilą byłeś czerwony jak rak. Co ci?

- Nic - mruknąłem. - Uważam tylko, że czasy nie były stosowne na zawieranie małżeństwa.

- Dlaczego? - zdziwił się ojciec. - Jeżeli się kochali... Zaręczyli się przecież jeszcze przed Rewolucją.

- A w ogóle co to za mąż dla panny Gabrieli? - wybuchnąłem. - Jakiś wycackany i wypudrowany wymoczek.

- Widziałeś go? - zdumiał się ojciec.

- Nie, ale właśnie tacy byli ci różni markizowie i książęta

- Nie wszyscy, mój chłopcze, nie wszyscy. Weź naszego hrabiego... Mężczyzna jak się patrzy, jeszcze w sile wieku, on też mógł się ożenić. I powinien był to zrobić... żeby mieć męskiego potomka. A tak Belcastel przejdzie w obce ręce - westchnął.

- W obce ręce? - oburzyłem się. - Co mówisz, ojczu? Przecież panna Gabriela...

- Panna Gabriela będzie, jeśli już nie jest, markizą, a jej mąż moŜe nie zechce trzymać nas na zamku. Osadzi tu swoich ludzi... nic nie wiadomo.

- To być nie moŜe - zdecydowałem. - My siedzimy tu dawniej niż hrabiowie de Saunhac. Tytuły są teraz zniesione, nie ma hrabiów czy markizów, to wielka zdobycz Rewolucji. Peyradowie są równie dobrzy jak rodzina de Saunhac, partykuła "de" straciła rację bytu. żebyś widział mego przyjaciela... Nazywa się zwyczajnie, Perrin, a wygląda... Każdy wzięłby go przynajmniej za hrabiego, jeśli nie za księcia. Ważny jest człowiek, nie nazwisko, które nosi... człowiek i jego wartość... to, co sobą przedstawia. Byłem głupi i ciemny, gdy opuszczałem dom, i byłbym takim pozostał, gdyby nie ten przyjaciel... Otworzył mi oczy, umysł, duszę... Wszystko mu zawdzięczam.

Pierwszy raz tak szczerze rozmawiałem z ojcem. Pozwoliłem mu zajrzeć w głąb mego serca.

- Nie jestem już barbarzyńcą - dodałem - i potrafię na przykład docenić piękno naszego mostu. - Wskazałem to wspaniałe dzieło średniowiecznych budowniczych, którzy nie studiowali w nowo założonej przez Rewolucję Szkole, a potrafili przerzucić z jednego brzegu Aveyronu na drugi pięć cudownych arkad, którym w wodzie, jak w lustrze, odpowiada pięć odwróconych łuków.

- Zmieniłeś się - stwierdził krótko ojciec. - I cieszę się z tego. Gdyby nie to... - dotknął pustego rękawa.

Tej nocy obudziło mnie miauczenie. To Kotunio zamiast spać zagrzebany w pościeli przy swym małym przyjacielu, wybrał się widać na łowy lub na poszukiwanie przygód.

Miauczał tuż pod moim oknem-strzelnicą i nie mógłbym zasnąć, gdybym go zostawił na dworze. Widocznie zmarzł, noc bowiem była wyjątkowo chłodna.

Gdy otworzyłem drzwi, wsunął się natychmiast i wskoczył na łóżko. Położyłem się, a on mrużąc, przywarł ciasno do mego boku. Po chwili już spał.

Ja za to wybiłem się ze snu i choć leżałem bez ruchu jak kłoda, nie mogłem zmrużyć oka.

I jak już nieraz bywało, myśl moja zaczęła krążyć wokół osoby Wilfreda.

Parę dni temu otrzymałem od niego trzeci list. I ten, jak dwa poprzednie, pełen był wiadomości o wspólnych znajomych i o Paryżu. Wdowa Clouet wciąż przebywała w więzieniu, nie dopuszczano do niej nikogo i nie pozwalano na żadne kontakty ze światem zewnętrznym. Łamałem sobie głowę i łamię dotychczas nad powodem jej uwięzienia i zastosowaniem tak srogich środków ostrożności. Nie mogłem tego zrozumieć. Zwykła praczka! Wilfred nawet obawiał się wówczas o moje bezpieczeństwo i nie pozwolił chodzić na ulicę Kordelierów. Uważałem to stanowczo za

przesadę, ale przyzwyczaiałem się już poddawać jego woli. Znałem mądrość i rozwagę mojego przyjaciela. Szczęściem, że teraz mogłem być spokojny o jego bezpieczeństwo.

I nagle stanęła mi przed oczami scena sprzed trzech lat, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. Trzymał w rękę obnażoną szpadę, a białe spodnie spryskane były krwią. Szedł kulejąc otoczony Żandarmami.

Na tle nagiego muru mojej wieży ujrzałem tę scenę tak wyraźnie, jak gdyby w tej właśnie chwili rozgrywała się tu, na moich oczach. Zraniono go wówczas, gdy walczył przeciw rojalistom, usiłującym odbić króla w drodze na szafot.

I raptem poraziła mnie myśl, od której dech mi zapało i pociemniało w oczach.

Czy Wilfred rzeczywiście walczył w obronie Republiki? Czy rzeczywiście stawał przeciwko tym, co pragnęli uratować "tyrana" i wyrwać go spod gilotyny?

Porażony tą jakże nieprawdopodobną możliwością leżałem dłuższą chwilę, nie mogąc tchu złapać ani uspokoić rozszalałego serca.

Wilfred rojalistą? Wilfred, patriota i bohater, bojownik o wolność i równość między ludźmi, zwolennikiem monarchii, a więc despotyzmu?

Nie, to nie było możliwe. Od wszelkich podejrzeń uwolnił go wówczas sam Marat "przyjaciel ludu". Na własne oczy widziałem, byłem przecież obecny.

To niedorzeczne myśli - mówiłem sobie. - Coś mi się pomieszało w głowie. Widać z murów tego feudalnego zamczyska emanują jakieś niewidzialne a niedobre prądy, które mroczą umysł przesadami owych czasów. Jestem przecież człowiekiem nowej epoki i choć widziałem potworności roku Terroru, nie zdołały one jednak wymazać z mojej świadomości tego, co było zdobyczą Rewolucji.

Wilfred był i jest republikaninem i choć ksiądz mówiąc o małym Kapecie nazywa go Jego Królewską Mością Ludwikiem XVII, to i tak nigdy ani to dziecko, ani żaden monarcha nie zasiądzie na francuskim tronie. Ozdobny ten fotel obaliła Rewolucja nie na rok czy dwa – na zawsze.

Uspokajałem się powoli. Serce wracało do normalnego rytmu, minęło zamącenie wzroku. Sen tylko nie przychodził. Kotunio parę razy parsknął gniewnie, przywołując mnie do porządku. W moim podnieceniu nie zwracałem na niego uwagi.

W ostatnim liście były obok radosnych i smutne wieści: Lucylka powiła syna. Wilfred cieszył się z dobrego losu byłej szwaczki, bo jak napisał, czuła się bardzo szczęśliwa. Wiadomość smutna to śmierć ciotki Anny. "Umarła spokojnie, bez cierpień - pisał Wilfred - ot, po prostu ze starości. Ale do grobu zabrała swoją tajemnicę. Nie wyjawiała ani nazwiska, ani pozycji, jaką zajmowała w dawnym świecie. Prawdziwe tylko było jej imię, Anna."

Wspomniałem o niej matce, która obiecała modlić się za tę moją starą przyjaciółkę. Kim niegdyś była? - zadawałem sobie pytanie. Jaki los rzucił ją do tego nędznego mieszkania na ulicy Kordylierów? Była kobietą wykształconą, należała zapewne do bogatej burżuazji, jeśli nie do noblesy. Może ojciec jej czy mąż nosili jakiś tytuł, a przynajmniej przed nazwiskiem stawiali te dwie magiczne wówczas litery "de", które wyodrębniały pewnych ludzi od reszty śmiertelnych? Może. Nie wiadomo.

Wszystko to pozostawało tajemnicą i pozostanie nią do końca świata. Grób gdzieś w lasach w Normandii nie zdradzi sekretu. Nieważne zresztą, kim była i jakie nosiła nazwisko. Ważne, że kazała mi dobroć i serce, gdy tak tego potrzebowałem, że była kobietą mądrą, szlachetną i wielkoduszną, tą osobą obok Wilfreda, która zaczęła dzieło mojej edukacji, by mnie wydobyć z ciemnoty i z barbarzyństwa.

Z wiadomości o sprawach publicznych ważny był dekret Konwentu nakazujący zamknięcie klubu Jakobinów, a następnie udzielenie amnestii Wandejczykom i szuanom, którzy w terminie jednego miesiąca od ogłoszenia dekretu złożą broń. Skazano przy tym na śmierć owego potwora arriera, który w Nantes potopił tyle niewinnych osób podczas pamiętnej karnej ekspedycji. Niestety nie położyło to końca wojnie domowej, Wandeę nadal broczyła krew.

Ponadto dwaj członkowie Konwentu, którzy odegrali niepoślednią rolę w obaleniu Robespierre'a, Billand_Varenne i Collot d'Herbois, postawieni w stan oskarżenia, zostali skazani na

deportację do Gujany.

Wiosna i lato tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego roku niedobre były dla Paryża. mieście panował głód, ludzie burzyli się. Co rusz wybuchały zamieszki w różnych dzielnicach stolicy. Tymczasem Trybunał rewolucyjny wszczął postępowanie przeciw oskarżycielowi publicznemu Fouquier-Tinville'owi, który wydał na śmierć tysiące Francuzów. Proces ten zakończył się nareszcie słuszną i sprawiedliwą karą gilotyny.

Trwały walki uliczne, bruki stolicy znowu splamiła krew.

Sankiuloci wdarli się do sali posiedzeń Konwentu, lud zdobył Ratusz i dopiero wojsko położyło kres bratobójczym walkom.

Ostatnią wiadomością, jaka do mnie doszła, było zniesienie Trybunału rewolucyjnego. udzie poczuli się nareszcie wolni i bezpieczni, jeśli to było możliwe na tej ziemi, w co wątpił ksiądz, z którym omawiałem te wszystkie wydarzenia.

Zapaliłem świecę i nie zważając na protesty Kotunia przeczytałem raz jeszcze listy Wilfreda. W ostatnim doniósł, że nie mieszkał już na ulicy Powroźników naprzeciw murów pasujących więzienie Temple. Pisał, że ciężko mu było rozstać się z matką Jourdan i jej kuchnią, ale tak się złożyło, że przyjaciel odstąpił mu wygodniejsze mieszkanie. Nie wymieniał ulicy, gdyż, jak zaznaczył, nie zamierza długo korzystać z gościny przyjaciela, a matka Jourdan doręczy mu listy, jakie do niego przyjdą na dawny adres.

Wszystko to było jakieś zagadkowe i niepokojące, jak zagadkowe i niepokojące było życie ego człowieka. Czy rzeczywiście jednak zagadkowe? To, że nic o nim nie wiedziałem, nie stanowi jeszcze o zagadce i tajemnicy, nie było też w tym właściwie nic niepokojącego. Ot, zwyczajnie, ponieważ Wilfred nie opowiadał mi wiele o sobie, wynioskowałem, że życie jego kryło jakąś tajemnicę. Ale Rewolucja nie nakłaniała ludzi do zwierzeń, odwrotnie, bezpieczniej było trzymać język za zębami, nawet przed najbliższymi. A czymże ja dla niego byłem? Niczym.

Stwierdzenie to napełniło mnie smutkiem. Tak, niczym, z drugiej jednak strony pociechę stanowiło zainteresowanie, jakie okazywał mojej osobie, dobroć i serdeczność, jakiej od niego doznałem.

Przewracałem się tak z boku na bok do rana, aż Kotunio, obrażony moim brakiem wszelkich względów dla jego wygody, wyniósł się na skrzynię; choć twarda, zapewniała jednak pokój, stała bowiem nieruchomo. pod ścianą.

Z ulgą powitałem promień światła, który rozjaśnił mroczną strzelnicę i jasną smugą przeciął kamienne płyty posadzki na dwie jak gdyby połowy.

Gdy wstałem, Kotunio natychmiast zerwał się ze skrzyni i wskoczył do ciepłej pościeli.

Byłem zmęczony bezsennością i zdenerwowany. Czego właściwie chciałem od Wilfreda, człowieka dobrze mi znanego, o którym właściwie nic nie wiedziałem.

Po czyjej stał stronie? Ludu czy tyrana?

Dawno co prawda przestałem myśleć o Ludwiku jako o "tyranie". Rewolucyjni przywódcy, którzy z taką łatwością wydawali wyroki śmierci, podburzali spóółstwo do bestialskich czynów, stawiając siebie ponad prawem, pokazali się z najgorszej strony, to byli prawdziwi tyrani i despoci. Niemniej dawno już chciałem dowiedzieć się czegoś o byłym królu, poznać go przede wszystkim jako człowieka.

Wcześniej też wyszedłem z mojej wieży. Miałem nadzieję spotkać księdza, on bowiem był jedyną osobą, która miałaby tu coś do powiedzenia.

- Ludwik XVI - zaczął i zamilkł. - No cóż, pozostanie postacią historyczną. Król... Człowiek... Znałem go.

Uszanowałem jego zadumę i czekałem cierpliwie, co powie.

- Tak, znałem go - powtórzył. - Króla i człowieka. Czy wiesz, że niektórzy z jego otoczenia nazywali go anarchistą? Oburzali się na "wolnościowe wybryki" króla. Na przykład jeśli chodzi o torturę. Tortura była czymś zwykłym, jednym z elementów kryminalnego procesu. Każdego oskarżonego poddawano torturze. Ludwik nie mógł tego ścierpieć. Pierwszym dekretem, jaki wydał objawszy po dziadku tron Francji, było zniesienie tortury, a następnie przywrócenie protestantom praw obywatelskich, których pozbawił ich jego przodek Ludwik XIV. Wiele nowości

wprowadzonych przez Rewolucję, nie było wcale nowościami. Karta praw człowieka i obywatela powtórzyła parę rzeczy ustanowionych przez tegoż właśnie "tyrana". Król kochał morze, przyczynił się do rozwoju naszej marynarki, zniósł karę śmierci za dezercję ze służby morskiej, zabronił dowódcom Używania obelżywych słów wobec niższego rangą oficera czy marynarza. Najwyższym nawet admirałom groziło za to wyrzucenie z królewskiej służby. I taki właśnie człowiek został oskarżony o zbrodnie przeciw ludzkości.

Było mi jakoś głupio i nieprzyjemnie.

- Ciekawe, jak historia oceni naszą Rewolucję - odezwał się po chwili. - Na przykład za sto lat. Będzie to naturalnie zależało od ustroju, jaki wówczas zapanuje we Francji.

- Francja pozostanie Republiką - odpowiedziałem z przekonaniem.

- Więc już nie obawiasz się cesarza?

- Ech, to może oznacza coś innego... Jeżeli Nostradamus ukrył prawdę w niezrozumiałych obrazach, poplątał chronologię... to pewnie i ten cesarz jest jakimś znakiem czy symbolem... ja się na tym nie znam.

Potem, gdy po śniadaniu Karol zjawił się na wewnętrznym dziedzińcu z Kotuniem w objęciach, widok tego dziecka dziwnie mnie poruszył, przywiódł na myśl małego więźnia z Temple.

Karol też był ofiarą Rewolucji. Utracił rodziców, dom, poczucie bezpieczeństwa. Przed jego nazwiskiem musiała stać owa partykuła oznaczająca szlachectwo, a ojciec chłopca był może wyróżniony jakimś tytułem. W każdym razie on utracił wszystko. Uratowano go, wyciągnięto na światło dzienne z jakiegoś ukrycia, gdzie przeczekał najgorsze nasilenie nawałnicy. I teraz jest nareszcie bezpieczny.

A tamten? Jaki los czeka jeszcze tamtego?

Karol jest mniej więcej w jego wieku. Poprawił się, ma zaokrąglone policzki, bawi się jak normalne dziecko. A tamten? Jak teraz wygląda po półrocznym zamknięciu? Czy jest bardzo chory?

Pierwszą rzeczą, o jaką spytałem Wilfreda dziesiątego termidora to był on, mały Kapet, "wilcze szczenię", jak go przeważała Rewolucja. Najlepszych informacji dostarczyłaby moja praczka, ale i ona podzieliła los więźniów z Temple.

Dowiedziałem się jedynie od Wilfreda, który pociągnął za język jednego ze znanych mu komisarzy, pełniących dyżur w wieży, że tuż przed egzekucją Robespierre'a, przypomniano sobie o małym męczenniku.

Nowy "mocny człowiek" Konwentu, Barras, dawny wicehrabia i królobójca, głosował bowiem za śmiercią Ludwika, a potem potrafił otrzeć się o gilotynę nie straciwszy głowy, obecnie mianowany został dowódcą gwardii narodowej. On to w towarzystwie kilku oddanych sobie ludzi zjawił się w Temple. Był wczesny ranek.

Szczęknięty zamki i zasuw, otworzono nie otwierane od pół roku drzwi. Zaduch nie wietrzonego nigdy pokoju nieledwie zaparł gościom dech. Śmieci i nieczystości zalegały kąty. Łóżko niegdyś zajmowane przez Ludwika stało puste. Dziecko leżało skurczone na łóżeczku, a raczej kołysce, stojącej na środku pokoju. Nie było tam żadnej pościeli, tylko goły materac.

Barras zapytał, dlaczego leży w tak niewygodnej pozycji na za małym dla niego łóżeczku, zamiast wyciągnąć się wygodnie na dużym łóżku zaśłanym pościelą.

- Bola mnie kolana - odpowiedział chłopiec - i tu jest mi lepiej.

Obejrzano nogi małego więźnia i stwierdzono, że kolana i kostki były bardzo spuchnięte i pokryte wrzodami.

- Wstań - rozkazał Barras.

Chłopiec ani drgnął.

Na dany znak dwaj komisarze wzięli dziecko pod ramiona i postawili, ale mały nie mógł utrzymać się na nogach i musiano ułożyć go znowu w tej niewygodnej kołysce.

Chłopiec miał na sobie zbyt już ciasne spodnie i kaftan z szarego sukna, rzeczy brudne i zniszczone. Nie tylko nogi, ale i ręce były spuchnięte, twarz obrzękła wprost bladeści.

Uspokoiwszy więźnia i poleciwszy go opiece komisarzy Barras podążył na górę do

dziewczynki.

Przyjęła go chłodno, a na pytanie, czy czego potrzebuje, odpowiedziała odmownie.

Barras zgromił komisarzy i służbę więzienną za brud i nieporządek, za warunki, w jakich wegetowali ci "Zakładnicy Narodu", po czym złożył odpowiedni raport w Komitecie Ocalenia Publicznego.

Do bardzo widać chorego dziecka wysłano natychmiast doktora Desault, sławnego chirurga.

Na tym skończyła się interwencja Konwentu.

Nowym dozorcą więzienia Temple został niejaki Laurent, młody Kreol, jak powiedział Wilfred, któremu potem przydano do pomocy obywatela Gomina.

- Bardzo porządny człowiek ten Gomin - orzekł Wilfred. - Mam nadzieję, że jeśli można jeszcze uratować dziecko, to zostanie uratowane.

Trzy razy dziennie, przeważnie w porze posiłków, Laurent odwiedzał więźniów. Wizytom tym towarzyszył niepokojący zgrzyt otwieranych i zatraskiwanych drzwi, odsuwanych i zasuwanych rygli.

Właściwie mało co zmieniło się w tragicznym losie więźniów. Rozkazów Barrasa nie wykonano. Sprzątnięto nieco pokój chłopca, wykąpano go na polecenie lekarza, przebrano, obcięto włosy - roiło się tam od wszy.

Laurent zabrał go nawet raz na szczyt wieży, by chłopiec odetchnął świeżym powietrzem. Dziecko jednak było zbyt chore, apatyczne i nie odpowiadało na pytania, czasem tylko odezwało się do znanego mu dozorca Gourleta lub do kuchcika przynoszącego posiłek.

Dopiero Gomin zyskał zaufanie nie tylko chłopca, ale i dziewczynki, która obojętnie zbywała awanse Laurenta.

W dalszym ciągu obowiązywał ścisły nakaz odosobnienia, siostra i brat nic o sobie nie wiedzieli, nie mieli prawa spotkać się ani razu.

Pewnego ranka wyleciała w powietrze prochownia z Grenelle. Wybuch wstrząsnął miastem, z wielu okien powypadały szyby. Wyobrażono sobie, że jest to sygnał zamachu, jaki przygotowali rojaliści, by uwolnić królewskie dzieci.

Do Temple natychmiast delegowano nową komisję, upewniono się, że więźniom nic nie grozi, podwojono strażę, dokonano inspekcji drzwi, okien i zamków.

Jedynym dobrym rezultatem całej tej akcji było gruntowne wysprzątanie pokoju małego więźnia i oczyszczenie go z brudu i robactwa.

Wyrzucono królewskie łóże jak również kołyskę, gdzie leżyły się setki pluskw. Zniesiono dawne łóżko chłopca, które pozostało jeszcze na wyższym piętrze z czasów, gdy mieszkał tam z matką.

Laurent żył w ciągłym strachu. Obawiał się napaści na Temple, strzegł więc małego Kapeta jak źrenicy oka, odpowiadał za niego głową.

Sam, podobnie jak dawniej Simon, był niejako więźniem, nie opuszczał bowiem wieży z obawy przed zamachem.

Jesienią o piątej było już ciemno, tym bardziej że nie odjęto z okien owych zasłon, nie dopuszczających światła. Dziecko więc dalej siedziało samo w ciemności do godziny ósmej, kiedy to przynoszono mu kolację: miskę zupy i talerz soczewicy. Wtedy podczas jedzenia zapalano lampę, a po kolacji Gourlet rozbierał "króla" i kładł go do łóżka.

Zatraskują się wówczas ciężkie drzwi, zgrzytają rygle i zasuw. Do następnego ranka Ludwik XVII pozostawiony jest samemu sobie.

Laurent na próżno usiłował "oblaskawić" księżniczkę. Starał się być grzeczny i uważający, ale jego zabiegi nie robiły na dziewczynce wrażenia. Pozostawała obojętna i wyniosła. Nie Życzyła sobie jego usług.

Inaczej potoczyły się sprawy, gdy do Temple trafił Gomin.

Laurent z coraz większym trudem znosił służbę w więzieniu. Obowiązki ciążyły mu coraz bardziej, ponadto Komitet zalegał z wypłatą pensji.

Wilfred bardzo był z tego zadowolony, pragnął odejścia Laurenta. Chciał, by Gomin miał pieczę nad więźniami. Mimo że nieżonaty i bezdzietny, Gomin pierwszy okazał serce biednemu

dziecku i zrobił wszystko, co mógł, by ulżyć jego niedoli. Uzyskał pozwolenie na codzienny spacer i odtąd wyprowadzał chłopca do ogrodu. Ozdobił ponurość jego więzienia doniczkami kwiatów, nakazał zapalenie lampy stojącej za szybą z chwilą zapadnięcia zmierzchu. Nareszcie usunął drewniane zasłony w oknach i chłopiec miał nieco dziennego światła w pokoju.

Gomin powoli zyskiwał sympatię małego, który rozmawiał z nim swobodnie, ale tylko wówczas, gdy byli sami. Przy komisarzach zachowywał nieufne milczenie. Miał teraz książki, dużo czytał, bawił się kartami.

Gomin nazywał chłopca Karolkiem, tak jak niegdyś nazywała go wdowa Simon. Dziecko powoli odżywało, choć stan jego zdrowia pozostawiał wiele do życzenia. Miał ciągle trudności z poruszaniem się, bóle nóg często nie dawały zasnąć.

Do moich trosk o praczkę dołączył się stały niepokój o chłopca.

Wilfred, przez jednego z komisarzy reprezentujących wszystkie sekcje po kolei, którzy zmieniali się co dwadzieścia cztery godziny, był w kontakcie z Gominem.

Nie wiem, jak tego dokonywał, przypuszczam, że były w tym pomocne grube pliki asygnat, które co jakiś czas wyjmował z górnej szuflady komody i wkładał do kieszeni.

Nie wiem, skąd brał pieniądze. Może zresztą były to banknoty fałszywe, w Paryżu aż roiło się od wszelkiego rodzaju fałszerzy i oszustów. Ludzie musieli żyć, a w ten sposób zdobywali środki na kupno coraz droższej Żywności.

Wiem tylko, że Wilfred był człowiekiem, dla którego nie istniały przeszkody.

Z wyjazdem znalazłem się więc w absolutnej nieświadomości losów małego więźnia. Pałałem za to coraz większą sympatią do Gomina, bo raz Wilfred powiedział mi, że i dziewczynka, której też musiał pilnować, wyczuła w nim porządnego człowieka i wyzbyła się nieufności.

W listach Wilfreda nie było nigdy najmniejszej nawet wzmianki o chłopcu. Temat to zbyt niebezpieczny, by roztrząsać go na papierze.

O śmierci małego więźnia dowiedziałem się więc z gazety. Szczerze opłakałem zgon tego nieszczęśliwego dziecka, uznałem jednak, że dla niego było to wybawienie z długoletniej być może, ciężkiej niewoli.

Patrząc teraz na Karola, jak bawił się z kotem, ze ściśniętym sercem myślałem o "tamnym" i cieszyłem się, że "ten" odżył, stał się znów normalnym dzieckiem i być może kiedyś wróci do tak zwanego "świata", opuści Belcastel i rozpocznie swoje własne przeznaczone mu życie wolnego człowieka. Choć nigdy nie zapomni.

XVI

Panna Gabriela przyjechała ostatniego dnia tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego roku, owego tak znaczącego roku, który umocnił zwycięstwo termidora, zakończył działalność Konwentu i przekazał władzę w ręce Dyrektoriatu.

Bardzo uroczyście obchodziliśmy Boże Narodzenie. Ojciec zszedł do podziemi i wydobył ukryte tam szaty i naczynia liturgiczne, jego Wielebność bowiem zaprzagnął odprawić o północy mszę pasterską w zamkowej kaplicy.

Na ołtarzu paliły się tylko dwie świece osłonięte abażurami, aby jak najmniej światła przedostawało się przez wysokie okna. Należało wciąż jeszcze być ostrożnym.

Zgromadziliśmy się wszyscy na tym podniosłym nabożeństwie. Na białym obrusie ołtarza lśnił złocisty kielich wysadzany kamieniami, a migotliwe światło świec wydobywało z nich krwawe błyski. Przed ołtarzem stało krzesło i klęcznik dla Karola. My siedzieliśmy za nim.

Moój ojciec służył do mszy - niegdyś był to jego stały przywilej.

Sklepienie wsparte na dwóch filarach tonęło w mroku. Mrok osnuwał kąty kaplicy, noc zaciemniła barwne witraże, niewidoczna była teraz święta Radegunda i mogłem tylko odgadnąć jaśniejszy zarys jej twarzy i błękitną suknię, w której słońce rozpalało zazwyczaj kolory nieba.

Gdy po mszy ksiądz zaintonował kolędę, nieśmiało podjęliśmy pieśń w obawie, by jej melodia nie przebiła grubych murów kaplicy.

Potem zebraliśmy się jeszcze w kuchni na świąteczną wieczerzę. Matka upiekła kurczaki, mieliśmy ser i świeży chleb. W jadalni do stołu zasiadł Karol ze swym opiekunem. Ojciec przyniósł z piwnicy stare wino jeszcze z hrabiowskich zapasów. Matka usługiwała im przy kolacji, a sennego chłopca ojciec zaniósł potem do sypialni.

My siedzieliśmy w kuchni długo w noc przy świetle żarzących się drew w kominie. Nikomu nie było spieszno do łóżka. Wszyscy wspominaliśmy hrabiego, a szczególnie pannę Gabrielę. Nikt jednak nie spodziewał się, że za tydzień mieliśmy ją zobaczyć w Belcastel.

Pierwszy ujrzał karetę Piotr.

- Ktoś do nas jedzie - krzyknął, wpadając zdyszany do kuchni, schodziliśmy się właśnie na obiad.

Ojciec narzucił grubą kurtę, wziął klucze i wyszedł.

Dzień był słoneczny, w nocy ziemię przyprószył śnieg, ale tak cienką warstwą, że wyraźnie usłyszeliśmy stukot kopyt na kamienistej drodze.

Pobiegłem na szczyt wieży, skąd doskonale widziałem ciężki pojazd.

Na kozle siedziało dwóch mężczyzn. Na głowach mieli staromodne trójrożne kapelusze, okrywały ich grube płaszcze z peleryną. Nie wyglądali na stangretów.

Ojciec podszedł do bramy i wyjrzał przez okienko.

W karcie spuszczone szybę, wychyliła się kobieca główka, a głos panny Gabrieli zawołał:

- To ja, panie Peyrade, ja, wracam do domu.

Wówczas rzuciliśmy się wszyscy otwierać, witać, opuszczać stopnie, pomagać wysiadać.

Panna Gabriela padła płacząc w objęcia mojej matki.

- Pani Peyrade, droga pani Peyrade, ojciec nie doczekał tego szczęścia. Leży w obcej ziemi.

Ta smutna wieść bardzo nas dotknęła.

Matka poprowadziła pannę Gabrielę do dolnej sali. Była przy niej młoda dziewczyna, która zalęknionymi oczami wodziła po wyniosłych murach zamku.

- To Agata, moja pokojówka - przedstawiła panna Gabriela swoją towarzyszkę.

Dwaj mężczyźni zeskoczyli tymczasem z kozła i rozglądali się z zaciekawieniem zamkiem, aż stary Jakub skinął na Piotra.

- Zajmiemy się końmi - oznajmił.

- Panie Peyrade - panna Gabriela stojąc na progu sali zwróciła się do ojca. - Ci panowie są moimi przyjaciółmi, proszę nam podać coś do jedzenia. Zgłodnieliśmy i zmarzli.

Przez cały ten czas stałem jak skamieniały. Panna Gabriela ani razu na mnie nie spojrzała.

Właściwie nie widziała nikogo oprócz moich rodziców.

Matka pobiegła do kuchni.

- Prędko, Marietko, przynieś jajka, trzeba zrobić omlety, panna Gabriela lubiła... - słyszałem, jak wołała.

Dawno już drzwi dolnej sali zamknęły się za gośćmi, a ja wciąż stałem, jak wrośnięty w ziemię.

Potem była bieganina z kuchni do sali, wreszcie ojciec osadził kilka świec w kandelabrze i poprowadził pannę Gabrielę i jej gości na pierwsze piętro.

- Idź, sprowadź Jego Wielbność i dziecko - polecił mi wychodząc, ksiądz bowiem i Karol ukryli się w podziemiu. Zszedłem więc do schowka, by uspokoić uciekinierów.

- Przyjechała panna Gabriela - powiedziałem. - Jest z nią pokojówka i dwóch panów.

- Panna Gabriela! - Karol wbiegał na górę. - Zobaczą pannę Gabrielę - mówił podniecony. - Tę z pięknego saloniku!

Przywitanie nastąpiło w dużym salonie pierwszego piętra. Jego Wielbność i panna Gabriela wymienili ukłony, jej towarzysze pochylili się nisko przed wchodzącymi. Karol śmiało podszedł do dziewczyny, ujął jej rękę i pocałował.

Wszyscy usiedli na wytwornych kanapach i fotelach, o które moja matka dbała z taką pieczołowitością.

Panna Gabriela wkrótce wstała.

- Pani Peyrade, gdzie jest pani Peyrade? - wołała. - Droga pani Peyrade, chciałabym zobaczyć pani syna. - Przechylała się przez poręcz schodów.

- Pamięta go panienka? - Matka wynurzyła się z bocznego korytarza.

- Doskonale pamiętam. Był ślicznym dzieckiem.

Stałem w sieni nasłuchując głosów z salonu.

- Chodź - zawołała matka. - Chodź, Bertranie.

Szedłem, jak na ścięcie. Nie wiem, dlaczego wbiłem sobie do głowy, że panna Gabriela, jeżeli wróci do Belcastel, mnie pierwszego powita. Tymczasem w ogóle mnie nie zauważyła.

Nie chciałem iść, ale matka pociągnęła mnie za rękę, a potem pchnęła lekko, naprzód.

- Oto mój Bertran - powiedziała krótko.

- To... Bertran? - zdziwiła się panna Gabriela podchodząc do mnie. - Przecież to mężczyzna...

- Cóż panienka chce? - uśmiechnęła się matka. - Mój Bertran jest dorosły. Ma dwadzieścia jeden lat.

- Mój Boże! - westchnęła panna Gabriela i wówczas zauważyła pusty rękaw. - Co to? - Dotknęła tkaniny. - Co się stało?

- Valmy - powiedziałem.

- Byłeś pod Valmy? - Cofnęła się nieco. - Walczyłeś w szeregach tych bandytów? Bronieś Rewolucji?

- Nie - odparłem chłodno. - Broniełem Francji przed inwazją. Przed pruskim i austriackim najeźdźcą.

Spuściła głowę, a po chwili podniosła na mnie wzrok.

- Biedaku - szepnęła. - Wyglądasz równie poważnie jak wówczas, gdy byłem tu ostatni raz. Czy wiesz, że jesteś bardzo piękny? - spytała nagle.

- To chyba nie ma znaczenia - zauważyłem.

- Był ślicznym chłopcem - zwróciła się ponownie do mojej matki. - A teraz...

- Teraz jestem kaleką - dokończyłem za nią.

- Bertranu - powiedziała miękko jak dawniej, ale nie pogłaskała mnie po policzku.

Zacisnąłem szczęki. Chciało mi się wyć.

Była jeszcze piękniejsza. O wiele piękniejsza niż święta Radegunda z witraża. Miała w sobie ową kobiecą słodycz, tajemniczą i obiecującą, coś, czego przedtem nie zauważyłem, a może po prostu byłem zbyt młody, żeby to zauważyć.

I pomimo Rewolucji, pomimo hasel równości i braterstwa wiedziałem, że przepaść między mną a panną Gabriellą jest nie do przebycia. A ta głębia nie ma nawet dna.

Mężczyźni, którzy ją tu przywieźli, odjechali nazajutrz, a potem panna Gabriela wezwała mego ojca na naradę. O czym mówiono, dowiedzieliśmy się wieczorem, przy kolacji.

- Panna Gabriela pozostanie jakiś czas w Belcastel czekając na narzeczonego – oznajmił ojciec.
- Tu się spotkają.

Ledwie dosiedziałem do końca wieczery.

Tu się spotkają... panna Gabriela, moja panna Gabriela i ten markiz.

A więc nie zginął i przyjedzie. Po pannę Gabriellę i po Belcastel.

- Źle się czujesz? - Matka spojrzała na mnie z widocznym niepokojem. - Boli cię co?

- Nie...

- Wszyscy jesteśmy poruszeni śmiercią hrabiego i powrotem panny Gabrieli – powiedział ojciec odkładając łyżkę. - Całe szczęście, że wróciła.

- I wreszcie poznamy markiza - dodała Marietka.

- O tak - pokiwał głową stary Jakub - nareszcie zobaczymy, kogo wybrała na pana zamku Belcastel.

- A jeżeli mu się nie spodobamy? - szepnęła lękliwie Jakubowa.

- To być nie może - oświadczyłem stanowczo. - Nie zapominajcie, że jeszcze trwa Rewolucja.

- Nie będziemy dochodzić naszych praw przy pomocy Rewolucji - ojciec zmarszczył brwi. - Do tego nie dopuszczę. A ponadto, jeśli tego markiza wybrała panna Gabriela i zaakceptował hrabia, musi to być człowiek honoru.

Na tym dyskusję zakończono.

Odtąd rzadziej widywałem księdza i Karola. Chłopiec przesiadywał w saloniku panny Gabrieli, kot wylegiwał się na atlasowych poduszkach kanapki, a Jego Wielebność rozsnuwał tragiczne dzieje Rewolucji i słuchał emigranckich żalów.

Mnie wyrzucono jak gdyby poza nawias. Nie należałem przecież do sfery panny Gabrieli, w tym wypadku rewolucyjne przemiany na nic się nie zdały.

Pokojówka Agata była tak cicha i zastraszona, że przemykała jak myszka bezszelestnie, nie wiem tylko, dlaczego przede mną czuła większy lęk niż przed innymi.

- Dawno służysz u panny Gabrieli? - spytałem raz spotkawszy ją na dziedzińcu.

Splószyla się, jak gdybym był niebezpiecznym opryskiem i już miała się rzucić do ucieczki.

- Poczekaj - powstrzymałem ją. - Czego się mnie boisz? Nie widzisz, że jestem kaleką?

- Ja się wszystkich boję - szepnęła.

- Tu nie potrzebujesz bać się nikogo - rzuciłem poirytowany. - Tu mieszkają porządni ludzie.

- Ale pan...

- Nie jestem Żadnym panem - burknąłem. - Na imię mi Bertran.

- Wiem. - Ośmieliła się podnieść na mnie oczy.

- Od kiedy jesteś u panny Gabrieli? - pytałem dalej.

- Od śmierci hrabiego.

- Nie wiem, kiedy umarł.

- Już ze dwa lata temu. -

- Gdzie?

- W Szwajcarii. - Uciekła bojąc się jak gdyby dalszej ze mną rozmowy.

Pokojówka - myślałem - oto towarzystwo dla ciebie. - A ty się ośmielasz...

Nie ośmielałem się już. Zrozumiałem. Wszędzie we Francji, gdybyśmy się spotkali, byłoby może inaczej, ale tu, w Belcastel... Mury tego zamczyska przygniotłyby chyba śmiałka, który by się odważył...

I zacząłem znowu intensywnie myśleć o Wilfredzie. Gdyby tu był! Czy i on także nie miałby wstępu do saloniku panny Gabrieli i nie byłby dopuszczony do "towarzystwa"? On, taki mądry i

wspaniały. To nic, że nazywa się tylko Perrin, wystarczyłoby żeby się pojawił i przemówił.

O tak, Wilfred umiałby się znaleźć w każdej sytuacji, nawet tak delikatnej jak obecnie moja.

Wydało mi się, że Jego Wielebność odczuł to i zrozumiał. Pewnego ranka poszukał mnie w mojej wieży.

- Tak się gdzieś chowasz - powiedział wchodząc - że trudno cię spotkać.

Wskazałem mu krzesło.

- Dziękuję Waszej Wielebności za odwiedzinę - powiedziałem prędko. - Do Belcastel Rewolucja na szczęście nie dotarła, a ja znam swoje miejsce.

- Nie mów tak - zaprotestował. - Panna Gabriela jako kobieta wymaga pewnych względów. Ponadto zna cię od dziecka, jak mówiła.

- Więc mówiła o mnie?

- O tak, z wielką sympatią. Boleje nad twoim nieszczęściem - wskazał pusty rękaw.

- Są gorsze rzeczy - mruknąłem.

- Są - przyznał i westchnął. - Przyszedłem, żeby ci coś opowiedzieć.

- Dziękuję Waszej Wielebności.

- Rozmawialiśmy kiedyś o królewskich dzieciach zamkniętych w Temple - zaczął. - Chcę ci więc donieść, że księżniczka jest wolna.

- Wolna! - zawołałem - ale chyba nie umarła?

- Żyje i jest wolna - powtórzył. - Panna Gabriela widziała ją w Szwajcarii.

Byłem ogromnie szczęśliwy, że dziewczynka została uratowana i zarzuciłem gościa pytaniami.

- Wszystko ci powiem po kolei - oświadczył uśmiechając się. Widział, jak byłem niecierpliwy.

- Będę wdzięczny Waszej Wielebności.

- Konwent, jak wiesz, obszedł się z tymi dziećmi szczególnie okrutnie.

- O tak - przyznałem. - To było nieludzkie. Na szczęście ci, co doszli do władzy po termidorze, złagodzili więzienne warunki dziewczynki, a chłopiec, choć i jego usiłowali ratować, niestety nie doczekał wolności.

- Nie doczekał - przytaknął Jego Wielebność. - Ale Konwent po śmierci małego króla, być może powodowany wyrzutami sumienia, przydał jej do towarzystwa młodą kobietę, która od razu zyskała sympatię i zaufanie biednego dziecka. Odtąd księżniczka nie była już sama i od tej towarzyszki dopiero dowiedziała się o śmierci matki, ciotki i brata.

- Biedna - szepnąłem.

- Postąpiono z nią podle, wiele wycierpiała, za wiele jak na tak młodą dziewczynkę.

- Ale już gdy do Temple przyszedł Gomin, los tych dzieci znacznie się poprawił - powiedziałem z przekonaniem.

- Znasz Gomina? - Książdz spojrział na mnie zdziwiony.

- Nie, ale zna go mój przyjaciel i wiele mi o nim opowiadał, gdy byłem jeszcze w Paryżu.

Dlatego tak go polubiłem.

- Wart jest sympatii - mruknął książdz, a po chwili dodał: - Gdy Dyrektoriat przejął władzę po Konwencie, uznał za bezcelowe przetrzymywanie w więzieniu tej ostatniej "Zakładniczki Narodu". Do niczego już nie była potrzebna.

- Czy to Austria wystąpiła o jej uwolnienie? - spytałem.

- Austria. Zaproponowali wymianę czterech francuskich jeńców za księżniczkę.

- Chodziło pewnie o tych członków Konwentu, których Dumouriez zdradziecko wydał Austriakom?

- O nich właśnie - pokiwał głową książdz. - W Wigilię Bożego Narodzenia wieczorem księżniczka ze swoją eskortą przybyła do Huningi pod Bazyleą, tam bowiem miała dokonać się wymiana. Trzebaż trafu, że w tym samym zajeździe "Pod Krukiem" zatrzymała się i panna Gabriela.

- Dziwny doprawdy zbieg okoliczności - zawołałem.

- Bardzo dziwny i wyobraź sobie jej zdumienie, gdy nagle spotkała się ze znajomą z dawnych lat, niejaką panią de Soucy towarzyszącą księżniczkę w podróży. Od niej też dowiedziała się tego wszystkiego, co ci opowiadam. Panna Gabriela pozostała więc w Szwajcarii, a zaraz po świętach

nastąpiła wymiana jeńców. Odbyło się to na przedmieściu Bazylei. Cesarz przysłał po kuzynkę świetny orszak. Zabrano ją do Wiednia. Wątpię, czy będzie tam szczęśliwa.

- Dlaczego, Wasza Wielbność, dlaczego? Należy się jej szczęście, tyle wycierpiała, biedna dziewczynka.

- Masz rację, ale widzisz, cesarz nie kiwnął palcem, by ratować ciotkę, austriacką przecież arcyksiężniczkę. Tym bardziej kuzynka...

- Boże, co więc ją czeka?

- Jej przeznaczenie. Mówiła panna Gabriela, że była bardzo smutna, choć naturalnie cieszyła się z odzyskanej wolności. Czy jednak będzie zupełnie wolna? Śmiem wątpić.

- Jak to, Wasza Wielbność? Znowu nie będzie wolna?

- Będzie nadal w klatce, tyle, że złoconej. Otoczy ją przepych cesarskiego dworu, jak przystało na królewską córkę, ale co poza tym?

- Wasza Wielbność sądzi, że będzie pod nadzorem?

- żaden monarcha ani członek panującej rodziny nie jest zupełnie wolny. Znajdując się na świeczniku, nie może uczynić najmniejszego gestu, który umknąłby wpatrzonym w niego badawczym oczom, przeważnie oczom niezyczliwym. Myślę, że i Maria Teresa Szarlotta nie uniknie tego losu. Otoczona Niemcami straci kontakt z najbardziej oddanymi sobie ludźmi. Nie dopuszczą do niej nikogo, kto nie zyska aprobaty austriackiego dworu.

- Jakiż więc los jej sądzony? - przeraziłem się.

- Smutny los królewskiego dziecka, pionka na politycznej szachownicy.

- Czy był przy niej Gomin? - spytałem z nadzieją na obecność tego opiekuna i obrońcy.

- Był. Ale tylko do granicy. Rząd francuski nie pozwolił mu towarzyszyć księżniczce do Wiednia.

- Wielka szkoda - zawołałem. - Myślę, że i ona tego Żałowała. A czy nie mogła poprosić...?

- Gomin i tak na jej prośbę został przydzielony do eskorty. Podróżowano dwiema karetami. W pierwszej siedziała księżniczka z panią de Soucy, Gomin i kapitan Żandarmerii, niejaki Mechin. To on był odpowiedzialny za całą operację, a w Bazylei pożegnał księżniczkę, otrzymawszy za nią "pokwitowanie" od austriackiego rządu. Zachowywał się przyzwoicie, jak opowiada panna Gabriela, która go widziała i słyszała o nim od pani de Soucy.

- Ale pani de Soucy pojechała do Wiednia?

- O tak pani de Soucy i reszta Francuzów, gdyż w drugiej karetce jechał jej syn, wierny kamerdyner króla, Hue, i troje służących, którzy opiekowali się pieskiem księżniczki. - Zamilkł na chwilę. - Ostatnio pozwolono jej w Temple i na ten "wybryk" - dodał sarkastycznie.

- Jak to dobrze, jak dobrze - powtarzałem. - Dziewczynka nie będzie więc taka osamotniona w tym Wiedniu. Poza tym ma tam przecież rodzinę...

- Rodzinę... - znowu westchnął. - Nie znała ich, a zachowali się nie jak na rodzinę przystało. Nie wiadomo, czy tego jej francuskiego "dworu" zaraz nie odprawią. O tym zadecyduje cesarz.

- Cesarz to jej cioteczny brat! - wybuchnąłem.

- Na stopniach tronu nie liczą się bracia czy siostry. Ważny jest interes państwa i tak zwana racja stanu. Mówiła jednak panna Gabriela, że słyszała od pani de Soucy, jakoby księżniczka zamierzała udać się pod opiekę stryja, Ludwika XVIII, obecnego króla Francji na wygnaniu.

- W takim razie będzie bezpieczna. - Zawyrokowałem z ulgą.

- Nie wiadomo, gdzie jej będzie lepiej. Król nie ma domu ani pieniędzy, błąka się po Europie, teraz siedzi w Italii, zależny jest od tych, którzy mu udziela gościny. Myślę, że chwilowo będzie jej wygodniej w Wiedniu. - A potem innym tonem dodał: - Podobno jeszcze we Francji, w oberżach, gdzie zatrzymywano się na nocleg i na zmianę koni, ludzie poznawali ją, cisnęli się do "naszej księżniczki".

- Wyobrażam sobie jej wzruszenie - szepnąłem.

- O tak, bardzo była wzruszona. Kiedyś nosiła tytuł "Madame Royale", ale to dawne dzieje. - Pochylił głowę i zamyślił się.

Uszanowałem jego zadumę.

Wiosna tego roku przysłała wcześniej i w lutym słońce dobrze już grzało.

Karol spędzał wiele czasu na dworze, na wewnętrznym dziedzińcu pod basztą. Bardzo się tej zimy poprawił, miał więcej siły i mógł swobodnie chodzić i biegać. Oczywiście jedynie pozostały takie jak dawniej. Pełne niedziecinnego smutku.

Spotkałem go zabawiającego się z psami, które wygrzewały stare kości leniwie rozciągnięte na słońcu.

Miałem zamiar wspiąć się na szczyt baszty, by z tej wysokości obejrzeć całą okolicę. Drzwi wieży odgrodziły mnie od słońca, a strome schody oświetlone jedynie od czasu do czasu, w miarę wspinania się, wąską strzelnicą doprowadziły na szczyt, niewielki jak gdyby taras otoczony wysokimi blankami. Stanąwszy w wycięciu kamiennej korony wieńczącej basztę, pozwoliłem oczom poszybować hen daleko, musnąć czuby gęsto rosnących drzew, pola pozostawione odłogiem, dachy osady i rozrzuconych siedzib ludzkich. Z Żadnego komina nie unosił się dym, domy wyglądały jak wymarłe i opuszczone. A jednak ujrzałem oznaki Życia. Nieliczne postacie ludzi i zwierząt snuły się po drodze, wychudły pies węszył w poszukiwaniu jedzenia, a koń o zapadłych bokach i zmierzwionej grzywie stał ze spuszczoną głową przywiązany do walącego się płotu.

Smutek mnie ogarnął na widok tego zaniedbania wszelkiej aktywności, pod tym tak radosnym i porywającym do czynu słońcem. Aveyron tylko płynął jak dawniej, arkady piętnastowiecznego mostu podobnie jak trzysta lat temu odbijały się w wodzie. Niebo jak niegdyś tak i dziś barwiło fale błękitem.

Zapatrzyłem się w rzekę u stóp zamkowej skały i nie słyszałem lekkich kroków panny Gabrieli.

- O czym tak myślisz, Bertranie? - obudził mnie nagle jej głos.

Odwrociłem się od rzeki i od nieba i stanąłem do niej twarzą.

- O czym tak dumasz? - powtórzyła.

- O naszym Aveyronie, o pięknym moście, o świecie, który leży przed naszymi oczami i o bezsilności człowieka.

- To wina Rewolucji - oświadczyła. - To Rewolucja uczyniła z ludzi bezwolne marionetki. Strach sparaliżował ich wolę i chęć do pracy. Niczego nie pragną, chcą tylko Życ i boją się śmierci.

- Przez ostatnie lata śmierć była nieodłączną towarzyszką Francuzów - powiedziałem z gorącością.

- Słyszałam, że byłeś w Paryżu. - Odgarnęła z twarzy nawiane wiatrem włosy. - Co tam robiłeś?

- Pracowałem u praczki.

- U praczki? - Uniosła brwi.

- U wdowy Clouet, która między innymi prała też bieliznę więźniów z Temple.

Spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

- A ja myślałam, że uganiałeś się za dziewczętami, a raczej opędzałeś się od ich natrętej adoracji - zauważyła ze śmiechem.

- Jestem kaleką - rzuciłem niecierpliwie - i nie w głowie mi dziewczęta.

- Dlaczego? Pamiętam, gdy rozmawialiśmy ostatni raz, powiedziałeś, że wiesz wszystko o miłości. Byłeś wówczas jeszcze dzieckiem, właściwie wyrostkiem - poprawiła się.

- Dziś mogę powtórzyć to samo - mruknąłem.

- Miłość jest najpiękniejszą przygodą, jaką może przeżyć człowiek. - Podniosła rękę, by ujarzmić niesforne włosy. - A ty kochając i będąc z pewnością kochanym masz minę godną grabarza.

- Nie jestem kochany... - szepnąłem.

- Nie jesteś? Taki piękny chłopiec? Któż to dziewczyna, niegodna i głupia, nie widzi swego szczęścia?

- Zapomina pani o moim kalectwie.

- A może przez to jesteś jeszcze bardziej interesujący? To, co zeszpeciłoby kobietę, mężczyźnie przydaje uroku.

- Ona kocha innego - powiedziałem cicho.

- Więc to dlatego... - zamilkła i podeszła do mnie bliżej. - W takim razie nie ma dla ciebie nadziei.

- Nie ma - przytaknąłem ponuro. - Ale ja będę ją zawsze kochał.

- Nie trzeba. - Znowu poprawiła nieposłuszne loki. Wiatr wiał z południa, był ciepły i pachniał świeżą ziemią. - Nie wolno ci zakłócać jej spokoju. Pewnie jest szczęśliwa.

- O tak, bardzo szczęśliwa.

- Wobec tego trzymaj się od niej z daleka. - W jej oczach lśniły skrawki nieba. - Chyba nie chcesz, Żeby miała wyrzuty sumienia.

- Jestem dla niej niczym... - stwierdziłem z Żalem. - Ale wiem, że nie może być inaczej. Chciałbym, Żeby była szczęśliwa.

- Biedaku - powiedziała ze współczuciem, po czym zwróciła się twarzą ku rzece. - Piękny ten most, choć taki stary.

- Dlatego piękny, że stary.

- Jeżeli lubisz stare budowle, to pewnie i nasz zamek ci się podoba - uśmiechnęła się.

- Kocham Belcastel - wybuchnąłem. - Chciałbym tu pozostać na zawsze.

- Nie za smutne to miejsce dla tak młodego człowieka? Zanudzisz się. Nie ciągnie cię w świat?

- żyłem dwa lata na tak zwanym świecie i widziałem tak przerażające rzeczy, że pragnę jak najprędzej o nich zapomnieć.

- Widziałeś Rewolucję i jej zbrodnie. Ale gdy to minie i wszystko wróci do dawnego porządku...

- Nic nie wróci! - przerwałem może niegrzecznie. - To, co było, minęło i już się nie powtórzy. Francja jest Republiką i nic tego nie zmieni.

- Bertranie! - Spojrzała na mnie z przestachem. - I ty to mówisz? Ty, dziecko Belcastel? Więc aprobujesz zbrodnie Rewolucji? Zabójstwo króla, królowej?

- Niczego nie aprobuję, Żadnych zbrodni, zbyt wiele ich widziałem. Rewolucja wypchnęła na przód francuskiej sceny ludzi, którzy nigdy nie powinni byli na niej się znaleźć. Ci ludzie posłużyli się ciemnym motłochem, wykorzystywali często dla swoich własnych celów najniższe instynkty rozjuszonego tłumu. I to jest straszne. Ale Francja pozostała. Nietknięta przez najeźdźców. Zniszczona i zdewastowana przez własnych obywateli. Mam nadzieję, że przyjdą ludzie, którzy potrafią podnieść ją i odbudować.

- Bertranie - powtórzyła moje imię, ale tym razem zupełnie innym tonem. - Nie poznaję cię. Mówisz jak... - zawahała się. -

- Szuka pani odpowiedniego słowa - nie dałem jej skończyć. - Nie jestem już tym ciemnym chłopcem, którego pani kiedyś znała. Wiele przeżyłem. Przestałem chyba być barbarzyńcą. A wszystko to zawdzięczam człowiekowi, który zaszczyił mnie przyjaźnią. Wspaniałemu człowiekowi. Chciałbym, żeby go pani poznała.

Patrzyła na mnie, jak gdyby dopiero teraz zobaczyła mnie naprawdę.

- Wcale nie byłeś ciemny - zaprotestowała. - Wszystko, co mówisz jest takie dziwne. Nigdy tak nie myślałam o Rewolucji. A te wszystkie Dantony i Robespierre'y, te potwory...

- Zapłacili za swoje zbrodnie. Widziałem ich na sali sądowej i na szafocie.

- Widziałeś? - Otworzyła szeroko oczy.

- Widziałem zbrodnie, jakie popełniano w imię trzech najwspanialszych ideałów. Ale gdy z Rewolucji spłynę krew ofiar, zostanie coś, co napęlni nas dumą i szczęściem. Te trzy ideały, wypaczone przez rządy Terroru podbijają świat, bo są słuszne i sprawiedliwe.

- Nie wiem, co o tym myśleć - szepnęła. - Dużo więcej wiesz o Rewolucji niż ja. Mnie tu przecież nie było! Ale to Rewolucja wygnała mnie z ojczyzny, pozbawiła domu, zabiła ojca. Rewolucja... - wstrząsnęła się. - Teraz po tych wszystkich okropnościach czeka mnie szczęście.

Wkrótce przybędzie mój narzeczony. Smutno mi tylko, że ty cierpisz. Gdybym mogła coś dla ciebie zrobić...

- Nie - powiedziałem. - Nikt nic dla mnie nie może. Dziękuję pani. Proszę mi tylko pozwolić pozostać w Belcastel.

- To przecież twój dom - stwierdziła z prostotą. - Tu się urodziłeś. Ty, twoi rodzice, stary Jakub i reszta. Wszyscy możecie tu żyć do końca, dokąd chcecie. Jesteście dla mnie świadkami czasów, które odeszły, i jeżeli nastaną jakieś inne, dobre czasy, nie będą już tym, czym były niegdyś tamte. Nie mam ojca, zostałam sama, a wy, tu, w Belcastel, jesteście częścią tego dawnego świata, mego świata. Ponadto twój ojciec uratował ten zamek i wszystko, co się w nim znajduje. Inaczej, może byłby dziś kupą osmolonych gruzów, jak tyle innych, które widziałam po drodze.

I nagle rozplakała się. Wielkie łzy spływały jej po policzkach, usta drgały od powstrzymywanych łkań.

- Mój ojciec... - wyszlochała. - Mój drogi ojciec... Zostawił mnie samą... i byłabym opuszczoną sierotą, gdyby nie on...

Wiedziałem, że mówi o markizie, o człowieku, który miał do niej prawa, który mógł się nią opiekować, bronić ją, oddalać od niej smutek i niebezpieczeństwo.

A ja? Co ja?

Ja oddałbym dla niej Życie. Padłbym jej teraz do nóg i wykrzyczał moją beznadziejną miłość i wieczne cierpienie.

Ale nie miałem prawa. Mogłem tylko stać i patrzeć na jej łzy i nieledwie umierać z bólu i rozpacz.

Panna Gabriela uspokajała się powoli. Wytarła policzki, poprawiła fryzurę i usiłowała się uśmiechnąć.

- Widzisz, Bertranie, jaka jestem słaba - powiedziała przeprasza. - Trzymałam się cały ten czas, a dziś, tu, na szczycie baszty, opuściło mnie zwykłe opanowanie. To twoja wina - dodała - twój smutek nie odwzajemnionej miłości i wszystko to, co utraciłam, a szczególnie brak ojca tak mnie rozstroiły. Zapomnij o tym, proszę.

- Nigdy o tym nie zapomnę - odparłem może niezbyt właściwie. - Ukazała mi pani swoją duszę, przez chwilę była pani tylko panną Gabriellą, a nie córką hrabiego de Saunhac i przyszłą markizą, od której dzieli mnie przepaść nie do przebycia.

- Dlaczego to mówisz? - W jej spojrzeniu dostrzegłem wyrzut. - Zgodnie z zasadami Rewolucji nie ma już we Francji hrabiów ani markizów. Wszyscy są równi. Równi. - Pokiwała głową. - No cóż, tu w Belcastel można o tym zapomnieć. Rewolucja ominęła ten zakątek, ale Belcastel leży we Francji i w każdej chwili może być poddany prawom rządzącym nową Francją. A jakie będą te prawa, Bóg jeden raczy wiedzieć.

- Nikt pani nie skrzywdzi - powiedziałem z ledwie hamowanym Żarem - póki ja Żyje.

- Dziękuję, Bertranie, raz mi to już kiedyś mówiłeś. Pamiętasz?

Pamiętałem wszystko. Gdy odeszła, zostałem na szczycie wieży, sam, a ból rozsadzał mi serce.

Marzec był tak ciepły, że nie tylko ja podjąłem poranne spacerowanie w ledwie zieleniejącym ogrodzie. Jego Wielbność poszedł w moje ślady i korzystał z tej wczesnej pory, by odczytywać modlitwy z brewiarza.

Spotykaliśmy się więc jak przedtem i chodząc po alejkach rozprawialiśmy o poczynaniach Dyrektoriatu wyczytanych w gazecie, a czasem książkę powtarzał mi zasłyszane od panny Gabrieli nowiny z "dworu" Ludwika XVIII. Najczęściej jednak snuliśmy różne przypuszczenia co do losu "dziewczynki" i jej pobytu w Wiedniu.

Aż nadszedł dzień tak gorąco oczekiwany przez pannę Gabrielę. Ona też pierwsza z okien saloniku dostrzegła pędzących drogą jeźdźców.

Gdy Jakub otwierał bramę, wyskoczyłem na dziedziniec. Panna Gabriela zbiegała już ze schodów.

Nasze dwa głosy zlały się w jeden okrzyk.

- Raul!

- Wilfred!

Jeźdźców było dwóch, ale te dwa imiona odnosiły się tylko do jednego z nich:

Ledwie Wilfred zeskoczył z konia i zerwał kapelusz, a już panna Gabriela była w jego objęciach.

W głowie mi się zmaciło, w gardle tak zaschło, że nie zdołałbym wydobyć głosu.

Wilfred i panna Gabriela... panna Gabriela i Wilfred...

I nagle zobaczyłem, jak wargi Wilfreda dotknęły ust panny Gabrieli.

Długo tak trwali w tym powitalnym pocałunku, a ja stałem i patrzyłem, jak gdyby mnie zamieniono w kamień.

Towarzysz Wilfreda trzymał się w dyskretnej odległości, odwracał głowę, udawał zainteresowanie odwieczną architekturą zamku.

Ja nie okazałem takiej delikatności i nie odrywałem oczu od splecionej uściskiem pary, Wilfreda i panny Gabrieli. Mojej panny Gabrieli i mojego Wilfreda.

Straciłem więc wszystko. Wszystkie złudzenia. Nie chciałem, żeby mnie zobaczył. Dla panny Gabrieli byłem przecież niczym, najwyżej "świadkiem jej przeszłości", jak sama to określiła. Ale Wilfred... Przyjaciel...

Właściwie czy był moim przyjacielem? - pierwszy raz zadałem sobie to pytanie leżąc teraz na łóżku w mojej wieży. Między mną a nim była przepaść równie głęboka jak ta, co mnie oddzielała od panny Gabrieli.

Markiz.

A więc to on był tym człowiekiem, któremu tak gorąco Życzyłem kiedyś śmierci. On... Wilfred...

Panna Gabriela nazwała go Raulem, wszystko więc w nim było fałszywe. Począwszy od imienia i nazwiska.

Perrin... - Zaśmiałem się głośno. Taki był z niego "obywatel Perrin", jak ze mnie cesarz chiński.

Ale czy ludzie tego nie widzieli? Nikt nie podejrzewał? Głupi, równie głupi jak ja. Pan markiz de... Nie znałem jego nazwiska i wcale nie byłem tego ciekawy. Uciekłem, bo nie chciałem, by mnie zobaczył. Zresztą, cóż to dla niego znaczyło, czy widziałem, jak całował pannę Gabriellę, czy nie? To nie miało dla niego znaczenia. Wiedział przecież, że tu mieszkam, jechał z przekonaniem, że mnie zobaczy. Mógł okazać więcej wstrzemięźliwości i tak ostentacyjnie nie demonstrować swoich praw do panny Gabrieli widząc, że tu stoję.

Nie poszedłem na obiad. Matka przyszła do mojej wieży. Siadła na brzegu łóżka i dotknęła pustego rękawa.

- Bertranie - powiedziała jakimś dziwnym głosem, którego u niej nigdy nie słyszałem. - Wiem, co czujesz. Odgadłam. Wiem, że wszystko cię boli i ta ręka, której nie masz, i serce, którego każde uderzenie jest rozpaczą. Pojęłam to nagle, bo jesteś moim synem, moim dzieckiem, a matka i dziecko to jedno. Zawsze. Twój ból rani i moje serce.

Wtuliłem głowę w jej suknię pachnącą dymem z jałowca, w suknię matki, gdzie od początku, od dzieciństwa szukałem schronienia.

Głaskała moją głowę, a ja uspokajałem się powoli.

- Nazywa się markiz de Mondeville - szeptała matka. - Jest uprzejmy i czarujący. Potraktował nas jak przyjaciół, nie jak służbę. Z nim panna Gabriela będzie szczęśliwa i bezpieczna. Ojca podbił i zachwycił, a Jakubowa pozbyła się wszelkich obaw.

- Tak, wiem, to właśnie ten człowiek, o którym wam mówiłem. Zawdzięczam mu wszystko. Ale oszukał mnie. Okrutnie mnie oszukał. A ja mu ufałem, bezgranicznie. Nie chcę go teraz widzieć, proszę, matko, pozwól mi zostać w mojej wieży, nie mogę go spotkać, byłoby to bardzo przykre dla nas obu.

Leżałem więc bez chęci do Życia, nie zjadłem nawet tego, co mi matka przyniosła, i rozmyślałem, jakie będzie moje spotkanie z Wilfredem, gdyż spotkanie takie było nieuniknione.

Czas płynął powoli. Smuga światła wpadająca przez strzelnicę kładła się na posadzkę niczym wydłużona wskazówka sunąca ku zachodowi. Był to jak gdyby słoneczny zegar, który mierzył godziny mego oczekiwania.

Zapukano do drzwi i na progu stanął Wilfred. Zanim jednak wszedł, wiedziałem, że to on.

Zerwałem się z łóżka i nakazując sobie spokój powiedziałem z ukłonem:

- Czemu zawdzięczam zaszczyt pańskiej wizyty, panie markizie?

Stał chwilę nieporuszony, po czym jednym skokiem przebył dzielącą nas odległość. Był blady, widziałem, że z trudem hamuje wściekłość. Myślałem, że mnie uderzy.

- Słuchaj - rzucił gwałtownie - i dobrze zapamiętaj na przyszłość. Jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie markizem, "panem markizem" - powtórzył dobitnie - to choć masz tylko jedną rękę, a ja dwie, walka więc nie byłaby honorowa, ale zbiję cię tak, jak mnie kiedyś zbili "wolni obywatele" Normandii, zanim na pół Żywego i ociekającego krwią wrzucili do gnojówki.

- Wilfredzie - wyszeptałem - Wilfredzie...

Nareszcie czegoś się o nim dowiedziałem, czegoś strasznego.

Otoczył mnie ramieniem i pociągnął na łóżko. Siedzieliśmy obok siebie. Milczałem, nie wiedziałem, co mam mówić.

- Wiem, Bertranie, wiem wszystko, co czujesz. Ale to było konieczne. W Paryżu nikt nie mógł wiedzieć, kim jestem. Byłem w służbie króla, obowiązywała mnie najściślejsza tajemnica. Powierzono mi ważną i niebezpieczną misję. Nie wolno mi było ryzykować, że ktoś, może nawet niechcący, mnie wyda. Byłem zwierzyną, na którą polowali szpicle Konwentu i Komitetu Ocalenia Publicznego. Proszę cię więc, wybac mi ten brak szczerości. Chodziło mi też i o twoje bezpieczeństwo. Nie chciałem, byś w razie czego musiał być zmuszony do zeznań. Ale moja przyjaźń jest szczerą i w to nie wolno ci wątpić.

Nie wątpiłem. Znowu mu ufałem. Jak dawniej.

życie nabrało nowego sensu. Zniknęła gdzieś szarość codzienności. Teraz wszystko było kolorowe i podniecające.

Musiałem się pogodzić z tym, co nazywałem moim nieszczęściem.

To, że narzeczoną panny Gabrieli, owym osławionym markizem, okazał się Wilfred, uczyniło mój ból mniej dotkliwym. Przecież i tak wiedziałem, że panna Gabriela była dla mnie nieosiągalna, ale to uczucie żyło we mnie od tak dawna, że zrosło się jak gdyby z moją istotą, stanowiło część mojej duszy. Nie wyobrażałem sobie, bym mógł zakochać się w jakiejś dziewczynie, poślubić ją. To po prostu nie było możliwe. Ponieważ panna Gabriela zostanie żoną Wilfreda, w moim życiu nie będzie więc żadnej kobiety. Wydawało mi się to zupełnie naturalne.

Teraz, gdy Wilfred przebywał w Belcastel, zamek zajaśniał dawną jak gdyby świetnością, a każdy dzień przynosił jakieś nowe, wspaniałe doznania i przeżycia.

Wilfred opowiedział mi wszystko.

Na samym początku Rewolucji, ogarnięty szaleńcami niszczenia, podniecony winem i wódką tłum runął na pałac. Mieszkańcy nigdy się tego nie spodziewali, między nimi a okoliczną ludnością stosunki układały się wręcz przyjacielsko. W przeciwieństwie do innych utytułowanych właścicieli zamków i gruntów rodzice Willfreda spieszyli wszystkim potrzebującym z pomocą, a pałac w Mondeville był schronieniem i ucieczką dla pogorzalców, chorych i sierot. Tacy bowiem byli ci Mondeville'owie. Nie opuścili więc domu, jak uczynili to sąsiedzi, którzy unieśli przynajmniej głowy. Byli spokojni i nie obawiali się odwetu, mieli bowiem czyste sumienie. I za tę pewność siebie musieli zapłacić. Ojciec na szczęście już nie żył. Syn akurat na krótko przyjechał do domu i został potraktowany z wyrafinowanym okrucieństwem. Uratował go tenże leśniczy, Jakub, którego

poznałem w Paryżu. Nieprzytomnego, pokrytego zakrzepłą krwią z kilkudziesięciu ran, przeniósł nocą do swojej leśniczówki, ukrytej w głębi nieprzebytych borów. Tam Wilfred cudem chyba odzyskał zdrowie.

Niestety, matkę jego, siostrę i młodszego brata, wyrostka jeszcze, zamordowali z zimną krwią jacyś obcy, którzy poili miejscową ludność i zagrzewali do zbrodni.

Wylizawszy się z ran Wilfred wrócił do służby. Ludwik XVI dobrze znał dzielność i odwagę tego oficera swojej gwardii i Wilfred został jednym z tych, którzy brali udział w przygotowaniach do nieudanej ucieczki.

- Nie posłuchali mnie - powiedział z goryczą. - Uparli się jechać ku wschodniej granicy zamiast na zachód i północ. Bretończycy, jak ci już raz mówiłem, przyjęliby ich z otwartymi ramionami i byłiby bezpieczni. A potem morze oddzieliłoby ich od Francji i od Rewolucji. I przetrwaliby. A tak...

Nie odzywałem się zafascynowany jak zwykle tym, co mówił.

- A tak - podjął po chwili - wszystko potoczyło się jak gdyby zguba była im pisana. Pułk, który miał czekać na drodze, nie stawiał się w oznaczonym czasie. Ludzie, mający ich eskortować do granicy, nie zjawili się w umówionym miejscu. I zauważ, Że nie było w tym niczyjej złej woli. Po prostu stało się tak, jak być musiało. Wyobrażasz sobie, co się działo w Varennes, tam, gdzie ich zatrzymano? De Batz i ja nadlecieliśmy konno, dowiedziawszy się przez rozstawione strażę, Że upadł cały plan, ułożony w najdrobniejszych szczegółach. Ale było już za późno. Karetę wiozącą Ludwika i jego rodzinę otoczyło wojsko i nieprzebyte tłumy wrzeszczącej gawiedzi. Ludzie wymachiwali szablami, pikami, kijami, czym kto miał. Ten powrót do Paryża był prawdziwą gehenną. Do tego upał, kurz i wrzaski. I lęk, by nie rozsiekano ich po drodze. Trzymaliśmy się z de Batzem w bezpiecznej odległości, bezsilni i zrozpaczeni, gotowi umrzeć, gdyby zaszła potrzeba..

- Kto to jest de Batz? - spytałem, gdy zamilkł.

- Baron de Batz, najdzielniejszy człowiek w rewolucyjnej Francji - w głosie Wilfreda brzmiał podziw. - Niepozorny z wyglądu, mały Gaskończyk...

- Gaskończyk? - przerwałem. - Chyba poznałem go, przychodził parę razy do ciebie.

- Żywy jak iskra, odważny jak lew - pokiwał głową Wilfred.

- Nazywał się wówczas, jeśli dobrze pamiętam, Jan Evrard.

- Miał sto nazwisk i sto adresów. Był wszędzie. Nie wiem, jak to robił, wiem tylko, Że z każdej opresji wychodził cało. Był szalenie bogaty i ogromną fortunę rzucił na ratunek królewskiej rodziny. Sypał pieniędzmi, największe tuzy Konwentu były na jego Żołdzie. Opłacał szpiegów, wiedział wszystko. Motał intrygi, jednych rzucał przeciw drugim i płacił, płacił... Sam może tylko Robespierre nie brał łapówek. Nie darmo nadano mu przydomek "Nieprzekupny"

- A ja nic nie wiedziałem...

- I dobrze. To niebezpieczna znajomość. - Wilfred potrząsnął głową. - A potem zostałem wysłany do Bretanii i do Wandei, tam właśnie wybuchło powstanie, usiłowałem przygotować teren do ucieczki króla. Ale minęła już odpowiednia na to pora. Ludwik XVI był więźniem w Tuileryach. A potem lud zdobył pałac, wymordowano wiernych Szwajcarów, gwardię królewską i wszystkich obrońców. Mnie z pewnością spotkałby ten sam los, gdybym tam był...

- Mój Boże! - zawołałem. - Teraz rozumiem. Podczas egzekucji Ludwika walczyłeś po stronie rojalistów.

- Naturalnie. De Batz opracował szczegółowy plan akcji. Było nas trzystu na wszystko gotowych. Rozstawieni na trasie przejazdu królewskiej karety mieliśmy zaatakować eskortę. Ale i nad tym przedsięwzięciem zaciążyło fatum. Zdrada udaremniła nasz plan. Większość spiskowców policja zatrzymała w domu, ale de Batz i ja z garścią wiernych rzuciliśmy się, by odbić więźnia. Wówczas to ugodziła mnie Żołnierska szabla. Prowadzony na odwach zostałem cudem uratowany przez dwoje nieznajomych... - Spojrzał na mnie z uśmiechem.

- To Lucylka - zawołałem - to ona, to jej zasługa...

- Ona i ty, wy oboje.

- I Marat, który szczęśliwie wówczas tam się znajdował.

- I Marat - przyznał Wilfred. - Znał mnie pod moją nową osobowością.

- Obywatel Perrin - powiedziałem z mimowolną goryczą.

- Przyznasz, że to było konieczne - wzruszył ramionami. - Ale Wilfred to moje rzeczywiste imię, drugie imię. Ochrzczono mnie jako Raula Wilfreda Joachima. Zawsze lubiłem to drugie barbarzyńskie miano. Przywodziło na myśl dawnych moich przodków, owych wikingów, co przybyli niegdyś z północy, by podbić Normandię.

- Raul Wilfred Joachim, markiz de Mondeville - wyrecytowałem. - Co taki wielki pan ma wspólnego z Bertranem Peyrade, synem sługi hrabiego de Saunhac?

- Przestań - zmarszczył brwi. - Zabraniam ci takich żartów. Dumny jestem z mojego nazwiska, to prawda, nosili je ludzie uczciwi, wielu z nich w ciągu wieków oddało życie za Francję. Byli równie uczciwi jak rodzina Peyrade. Ojciec mojej narzeczonej pokładał absolutne zaufanie w twoim ojcu. Powierzył mu nie tylko swoje mienie, ten zamek - zatoczył ręką koło - i wszystkie zawarte w nim skarby, ale coś dużo cenniejszego.

- Cóż może być cenniejszego od Belcastel? - zapytałem.

- Kiedyś się dowiesz - powiedział zagadkowo. - Wszystko zrozumiesz i jeszcze bardziej uszanujesz ojca.

- Tego co prawda nie rozumiem, ale za to wiem, dlaczego mieszkałeś na ulicy Powroźników.

- Tak - pokiwał głową. - Matka Jourdan i jej mąż to moi ludzie i wielcy patrioci. Pod ich opieką czułem się bezpieczny. De Batz nie ustawał w wysiłkach uwolnienia królowej i jej dzieci z Temple. Raz było już wszystko przygotowane. Męskie przebranie dla Marii Antoniny, pani Elżbiety i dla dziewczynki, dla chłopca długa sukienka. Przekupiony strażnik i zamówione konie... Ale zapomnieliśmy o wiszącym nad nimi fatum. Akurat tej właśnie nocy zjawiła się specjalna komisja przysłana przez Konwent dla zbadania stanu bezpieczeństwa więźniów. Drugi raz nie zdarzyła się już podobna okazja. De Batz jednak nie zrezygnował. Usiłował wyrwać królową z Conciergerie. I też mało brakowało, a plan by się powiódł, mimo tak ścisłego dozoru. Nie była przecież nigdy sama, w jej celi przebywało dzień i noc paru Żołnierzy. Ale pieniądze może wszystko, a de Batz dysponował niewyczerpanym wprost zasobem asygnat i złota.

- Skąd to brał?

- Miał własną olbrzymią fortunę, poza tym byli inni... nawet cudzoziemcy. Na przykład pewna Angielka, lady Atkins... utopiła krocie w tym przedsięwzięciu.

- I wszystko na nic - mruknąłem.

- Na nic - potwierdził - jeśli nie liczyć bohaterstwa i poświęcenia, które nigdy nie giną.

- Wilfredzie - powiedziałem po chwili - coraz bardziej cię podziwiam, choć widzę teraz wyraźnie, że stoimy po dwóch stronach barykady.

- Mylisz się. - Miał dziwny wyraz twarzy. - Cały czas idziemy ramię w ramię. Obaj przecież służyliśmy Francji. Gdybyś był członkiem Konwentu, nie głosowałbyś za śmiercią Ludwika, nie skazałbyś królowej i uratowałbyś dzieci.

- Nie głosowałbym za śmiercią ojca i uratowałbym matkę i dzieci - przyznałem. - Powiedz, co z moją praczką? Czy już wolna?

- Wolna. Wypuszczono ją w trzy miesiące po ogłoszeniu śmierci małego króla. Byłem u niej przed wyjazdem. I ona, i Julka zasyłają ci pozdrowienia. Mieszkają teraz na ulicy Lille, u jej bratowej.

- Nareszcie! - Odetchnąłem z ulgą. - A biedna wdowa Simon?

- Ta jest rzeczywiście biedna. Znalazła się prawie w nędzy, chora, oprócz astmy cierpi na reumatyzm. Ciężko jej się poruszać. Na szczęście dostała się do zakładu dla nieuleczalnie chorych. Bardzo jest z tego rada.

- A co robi Gomin?

- Gomin? - zdziwił się. - Cóż on cię obchodzi?

- Lubię go - oznajmiłem.

Było wczesne popołudnie, dzień piękny, słońce oblewało zamek wydobywając z kamienia

koloryt, jakim minione wieki pomalowały te czcigodne mury.

- Nie byłeś jeszcze na szczycie baszty - zauważyłem spotkawszy Wilfreda na dziedzińcu – i w ogóle nie znasz całego Belcastel, wszystkich jego zakamarków, a przecież wkrótce będziesz panem tego zamku.

- Zdążę wszystko poznać i zobaczyć - uśmiechnął się spoglądając w górę ku blankom. – A teraz chodź ze mną, chcę cię przedstawić mojej narzeczonej.

- Twojej narzeczonej? - zdumiałem się. - Panna Gabriela zna mnie od początku...

- Nie, nie zna cię, nie zna mojego przyjaciela Bertrana.

Stałem i patrzyłem na niego nie rozumiejąc.

- Chodź - pociągnął mnie na schody. Szedłem za nim jak zwykle posłuszny, ale w dalszym ciągu nie rozumiałem, o co mu chodzi. Tak doszliśmy do drzwi saloniku.

Panna Gabriela siedziała z robótką w rękę, a przed nią, na okrągłym stolyczku stał koszyk pełen barwnych motków jedwabiu.

- Pozwól, droga Gabrielo, Że ci przedstawię mego przyjaciela Bertrana - powiedział Wilfred pochylając się ku narzeczonej. - Przez dwa lata mieszkaliśmy razem w Paryżu.

Panna Gabriela uniosła głowę, ale jako osoba doskonale wychowana nie okazała zdziwienia, a ja pragnąłem zapaść się pod ziemię.

- Siadaj, Bertranie - wskazała mi fotel po drugiej stronie stoliczka. - A ty, Raulu, bądź tak dobry i podaj nożyczki, leżą na biurku.

W taki to sposób przyjęty zostałem do "towarzystwa" i odtąd co dzień spędzałem kilka godzin w saloniku panny Gabrieli. Nie była to tylko zasługa Wilfreda. Dobrze wiedziałem, Że bez Rewolucji nigdy nie dostąpiłbym tego szczytu. Powoli też pozbywałem się onieśmienia i oswajałem z moją nową pozycją. Wkrótce poczułem się na tyle pewnie w tej, jak mi się zdawało na początku, "niezręcznej sytuacji", Że odważyłem się zabierać czasem głos w sprawach dotyczących Francji. Nie byłem jednak zadowolony.

Muszę przyznać, Że tak Wilfred, jak i panna Gabriela zrobili wszystko, aby mi ułatwić to moje "wejście w świat", a Jego Wielebność okazał radość z takiego obrotu rzeczy. Nawet Kotunio zaakceptował moją obecność i nie raz wskakiwał mi na kolana. Nie zgodziłem się tylko na wspólne z nimi posiłki i jak dawniej, tak i teraz jadałem w kuchni. Nie nalegali zresztą.

Gdy patrzyłem na nich oboje, na ich spojrzenia i uśmiechy, wydawali mi się tacy dalecy, tak oderwani od rzeczywistości, zatopieni w sobie i w tym, co ich łączyło. Belcastel był wyspą na burzliwym oceanie Rewolucji, a my wszyscy mieszkańcami jakiejś odległej krainy szczęśliwości, która cudem zachowała się i przetrwała wbrew krwawym czasom końca naszego wieku.

- Francję zgubiła bezbożność, odejście od wartości, które wyniosły ją na szczyty cywilizacji i kultury - mówił Jego Wielebność.

- A także pycha - dorzucił Wilfred. - Pycha możnych i utytułowanych, którzy nie widzieli, bo nie chcieli widzieć, mieszczaństwa, owego trzeciego stanu, jako nowej warstwy dorównującej im często fortuną, a czasem przewyższającej inteligencją i wykształceniem.

- Ma pan rację, panie markizie - przytakiwał gorąco ksiądz. - Nieraz o tym myślałem, o pustocie ludzi noszących pierwsze nazwiska Francji i o ich bezmyślności. Reformy były konieczne i sędzę, Że gdyby nasza noblesa była mądrzejsza, mniej pewna siebie, mniej przywiązana do odwiecznych przywilejów, obyłyby się bez Rewolucji i osiągnęlibyśmy wolność, równość i braterstwo bez zalania Francji krwią niewinnych.

- Jak strasznie nas nienawidzono. - Panna Gabriela podniosła oczy znad haftu. - Mordowano nie tylko mężczyzn, ale i kobiety, a nawet dzieci...

- Odwiedziłem w więzieniu panią Roland - powiedział raz Wilfred. - Jej mąż był przez pewien czas ministrem spraw wewnętrznych w rewolucyjnym rządzie. Upadł wraz z Żyrondystami, ale uniósł głowę, zabił się jednak na wieść o egzekucji Żony.

- Podobno była bardzo piękna - szepnęła panna Gabriela.

- Bardzo piękna i bardzo mądra. Bywałem w jej salonie, lecz poznałem ją lepiej dopiero w ostatnich miesiącach jej Życia. Żeby zabić czas, jaki jej pozostawiono do procesu i egzekucji, pisała pamiętniki, a paru odwiedzających ją przyjaciół wynosiło z więzienia te cenne rękopisy. Wśród

nich byłem i ja. Opisała swoje dzieciństwo i pierwszą młodość. Była córką grawera, ojciec jej w swojej pracowni zatrudniał wielu dobrych rzemieślników. Zajmował się też handlem dziełami sztuki i klejnotów. Rodzina dobrze sytuowana, należała do oświeconego mieszczaństwa, a Manon Phlipon, tak się nazywała pani Roland z domu, zadziwiała wiedzą i odczytaniem. Gdy miała dziewięć lat, zachwyciła się Plutarchem i za wzór postawiła sobie jego bohaterów. Ponadto studiowała filozofów. Była najdoskonalszą przedstawicielką naszego oświeconego wieku.

- Nie znałem jej osobiście - wtrącił Jego Wielbność - ale dużo o niej słyszałem i wiem, że na skutek tej lektury utraciła wiarę.

- Tak, utraciła ją - potwierdził Wilfred - choć w dzieciństwie była niezwykle pobożna. Podobnie jak naszą noblesa, tak i ją dzieła filozofów skłoniły ku ateizmowi. Chcę tu przypomnieć, co mi raz powiedziała będąc w więzieniu w Conciergerie, na krótko przed procesem.

Panna Gabriela odłożyła haft i nie spuszczała oczu z narzeczonego.

- Otóż Manon Phlipon jako podlotek odwiedziła wraz z babką pewną wielką damę, z którą babka jej utrzymywała przyjacielskie stosunki od czasów młodości. Proszę sobie wyobrazić, że w porze kolacji poproszono te panie do stołu w izbie czeladnej, gdzie zasiadły wraz z lokajami, pokojówkami i resztą służby. Mała Manon była oburzona i wcale jej się nie dziwił. Babka za to, przywykła do takiego traktowania, miała to za rzecz normalną. Po kolacji zaproszono je znowu do salonu. Manon osądziła panią domu i kilka jej znajomych, szlachetnie urodzonych dam, jako kobiety głupie, nieinteligentne, zarozumiałe i antypatyczne. Nie miała w ogóle o czym z nimi rozmawiać. Potraktowano ją haniebnie - tak się wyraziła - i zapowiedziała babce, że nigdy więcej nie przestąpi progu tego domu. I miała rację. To była kobieta wyjątkowej kultury, pochodziła z dobrego domu, była doskonale wychowana i niczym innym jak tylko wyższością intelektu różniła się od największych, najwyżej urodzonych dam.

- Pamiętam, stracono ją jakoś na jesieni dziewięćdziesiątego trzeciego roku - odezwał się ksiądz.

- Tak. W tym roku tragicznym dla żyrondy. Rano był proces, po południu już wykonanie wyroku, krótka droga z Conciergerie na plac Rewolucji.

- A co pisały wówczas gazety! - Ożywił się Jego Wielbność. - Nazwano ją potworem, kobietą wynaturzoną, a wszystko dlatego, że w czasie procesu pobiła sędziów ich własną bronią. Nie darowali jej takiej porażki.

- Dumna i wspaniała, nie bała się śmierci i nie prosiła o łaskę - stwierdził Wilfred. - Padła ofiarą Rewolucji, której była gorącą zwolenniczką. Zraniona miłość własna pchnęła ją w szeregi burzycieli dawnego porządku. Ta wykwintna mieszcza stawiała się dużo wyżej nad utytułowane lalki, a przynajmniej czuła się im równa. I o to walczyła, o taką właśnie równość. Niestety, poniosła klęskę. Ale to, o co walczyła, zwyciężyło, a my musieliśmy zapłacić za głupotę tamtej epoki.

Nasłuchawszy się takich rzeczy miałem o czym rozmyślać w mojej wieży. Obecnie Żyrondyści byli już zrehabilitowani, a ich niedobitki weszły nawet do Konwentu.

- Wande'a walczyła do końca - powiedział któregoś dnia ksiądz. - I nie dała się ujarzmić.

- Do końca. - Przytaknął Wilfred. - Ostatnich przywódców rozstrzelano tej zimy. Gdy kilka tysięcy emigrantów wylądowało w Quiberon, Republika posłała tam swoje wojsko pod dowództwem Hoche'a, który kazał rozstrzelać ośmiuset z nich. Hoche to młody generał wsławiony w wojnie przeciw Austriakom. Dowodził armią Mozeli. Na wojennym firmamencie Francji wschodzi jednak inna, jaśniejsza gwiazda.

- Któż to? - spytałem.

- Generał Bonaparte. Poznałem go ubiegłej jesieni, gdy stłumił bunt rojalistów i kierował ogniem artylerii przed kościołem Świętego Rocha. Powiedział mi wówczas: "Gdybym był Ludwikiem XVI i miał armaty, zmiotłbym Rewolucję, jak teraz zmiotłem rojalistów z Konwentu".

- To ciekawe - zapalił się Jego Wielbność. - Ja też o nim słyszałem. Podobno wybitny to oficer i bardzo jeszcze młody.

- Nie ma trzydziestu lat, a został już mianowany generałem dywizji i szefem armii w kraju, a tuż przed wyjazdem dowiedziałem się, że objął dowództwo tak zwanej "armii włoskiej" i podobnie jak Hannibal przeszedł Alpy i spadł na Austriaków. Wkrótce pewnie zajmie Mediolan i na

Półwysep Apeniński poniesie hasła Rewolucji.

- To chyba Włoch - zauważyłem. - Jego nazwisko nie jest francuskie. Bonaparte...

- Nie jest francuskie - zgodził się Wilfred. - Właściwie brzmi ono Buonaparte. To Korsykanin.

Chlubnie ukończył wojskową akademię w Brienne. - A potem dodał, jak gdyby coś sobie przypomniał. - Urodził się na Korsyce, na wyspie...

- Na wyspie - powtórzyłem, stale mając w pamięci przepowiednię Nostradamusa.

- Wiele jest wysp na świecie - zauważył Jego Wielbność - i wiele osób tam się rodzi.

- Co macie na myśli? - Panna Gabriela spoglądała po kolei to na mnie, to na Wilfreda.

- Nostradamus przepowiedział cesarza na francuskim tronie - pospieszył z wyjaśnieniem

Wilfred.

- Ma się urodzić na wyspie - dokończyłem.

- To niemożliwe. - Panna Gabriela potrząsnęła lokami. - Mamy króla Ludwika XVIII, który wróci do Francji. Cesarz nam niepotrzebny.

- Słyszysz, Bertranie? - uśmiechnął się Wilfred. - Cesarz nam niepotrzebny.

- Ani cesarz, ani król - powiedziałem stanowczo. - Francja jest i będzie Republiką.

Pierwszy raz ośmieliłem się głośno wyrazić swoje republikańskie przekonania w obecności panny Gabrieli.

Wilfred ujął delikatnie rękę narzeczonej i pocałował. Może przeproszał ją za rewolucyjne poglądy swojego "przyjaciela"? Zrobiło mi się przykro.

- Nie chciałem pani urazić - powiedziałem, czując się jak obity pies.

- Przyszłość jest zakryta przed ludzkim okiem - zauważył spokojnie Jego Wielbność. - Nie trzeba budować Żadnych teorii. Wszystkie mogą okazać się fałszywe. Tylko Bóg wie, co się wydarzy, a ludzie, jako Że są zmienni, zmieniają też zapatrywania. Nic nie wiemy, co będzie. Może na przykład nasz Bertran stanie się kiedyś zagorzałym rojalistą.

- Nigdy! - rzuciłem, pogrążając się jeszcze bardziej w oczach panny Gabrieli.

Zauważyłem, Że Wilfred i ksiądz wymienili spojrzenie.

- Przepraszam - wstałem niezgrabnie. - Pójdę już, bo mówię dziś nie to, co powinienem.

Na dziedzińcu spotkałem Karola z Kotuniem w objęciach.

- Piotr pokazał mi gniazdko - pochwalił się chłopczyk. - Ale jeszcze puste. Ptaszki dopiero szykują domek dla dzieci.

- Musisz potem pilnować Kotunia, Żeby nie połapał piskląt. - Poglądziłem go po tych jasnych, lekko rudawych włosach. Były miękkie i lśniące jak jedwab w koszyku do robót panny Gabrieli.

Miesiąc ten na zawsze pozostał w mojej pamięci, ten jedyne miesiąc, który zaważył na całym moim dalszym Życiu.

Panna Gabriela jako narzeczona Wilfreda była dla mnie taką samą świętością jak ta dawna królowa Radegunda wyniesiona na ołtarze. żyła gdzieś w zamierzchłych czasach, a przerażona zbrodniami swojej epoki, skryła się w założonym przez siebie klasztorze. Przeniosła samotność mniszej celi nad przepych barbarzyńskiego dworu.

I Wilfred. To on zrobił ze mnie człowieka. Zawdzięczam mu wszystko. Myśli i duszę. Nie zniżył się do mnie, mnie podniósł do siebie i dlatego stałem się tym, czym jestem.

A oto miałem ich utracić. Wilfred nie chciał zostać w Belcastel ani nawet we Francji.

- Nie mogę - powiedział mi podczas ostatniej rozmowy w mojej wieży. - Do Normandii nie wrócę. Nigdy. Nie ma tam nawet grobu moich najbliższych i ukochanych. Dom odbudowany zajęty przez obcych, kupiony wraz z ziemią bezprawnie, bo pozostałem we Francji. Utracono jednak mój ślad i policzono mnie w skład emigrantów. Dzięki temu Żyję. Czasy są niepewne, rządy rewolucyjne co prawda umacniają się, dążą do stabilizacji, ale trwa walka o władzę i nie wiadomo, kto zwycięży i co przyniesie jutro, jaka frakcja ostanie się w tej walce. Oboje z Gabrielą pragniemy osiąść w Szwajcarii. W razie czego będę blisko, gdybym był nagle potrzebny Francji, a ty i twoi rodzice pozostaniecie w Belcastel. Może tu kiedy wrócimy. Nie wiadomo. Jego Wielbność ma rację, przyszłość przed nami zakryta.

- Wilfredzie - zdołałem tylko wyszeptać. - Wilfredzie, jak ja potrafię...

- Potrafisz. - Podniósł się z jedyne go krzesła, które stało w mojej wieży. - Będiesz jeszcze świadkiem na moim ślubie - dodał wychodząc.

Wszyscy byliśmy świadkami, wszyscy złożyliśmy podpisy w starym kaplicznym rejestrze, który ojciec wyniósł ze schowka razem z naczyniami potrzebnymi do liturgii.

Piotr i Marietka ustroili kaplicę we wszystko, co kwitło tej wiosny w Belcastel. Bzy, jaśminy i kaskady glicynii spływały z ołtarza.

Panna Gabriela w srebrzystej sukni, z głową otuloną błękitnym welonem była Żywym obrazem świętej Radegundy, której aureolę i suknię słońce rozpałało złotem i szafirem.

Ceremonia była podniosła i wzruszająca, choć cicha i prosta. Matka, Marietka i stara Jakubowa płakały. Karol nie spuszczał oczu z młodej pary.

- ...i nie opuszczę cię aż do śmierci, tak mi dopomóż Bóg - głos Wilfreda mocny i wyraźny odbił się od poczeriałego sklepienia.

Zaciskałem rękę aż do bólu i w duszy powtarzałem te słowa i za nim, i za nią. Przysięgałem obojgu, wiedziałem, Że i ja nie opuszczę ich aż do śmierci.

Wyciągnięta z wozowni stała gotowa do drogi stara karetka hrabiów de Saunhac. Ojciec z Piotrem jeździli dość daleko w poszukiwaniu koni, ale za pieniądze wszystko można było dostać, szczególnie za złote ludwiki, bo niechętnie już przyjmowano asygnaty.

- Francja ma nową monetę - oznajmił Wilfred. - Nazywa się frank.

- Najlepsze są nasze ludwicy - mruknął ojciec. - Z czystego złota.

Pożegnana ze łzami panna Gabriela wraz z pokojówką wsiadła do karety, Wilfred wspiął się na kozioł. Był stangretem. Człowiek, który mu towarzyszył, tylko kilka dni zabawił na zamku. Dlatego teraz Wilfred miał sam powozić.

- Tak jest bezpieczniej - wyjaśnił. - Nie zapominajmy, Że Żyjemy w czwartym roku Republiki, jednej i niepodzielnej. Francja jest młoda, wychodzi dopiero z dziecięcego wieku, a co z niej jeszcze wyrośnie... - Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział. Spoglądając z kozła na zebranych na dziedzińcu domowników pewną ręką ujął lejce.

Jakub otworzył bramę, karetka powoli wytoczyła się za bezpieczne mury Belcastel. Piotr towarzyszył podróżnym konno, zaraz jednak za Rignac miał zawrócić do domu.

Pobiegłem na szczyt baszty. Nie mogłem oderwać oczu od czarnego pudła karety. Było coraz mniejsze, powoli cichł turkot kół i tupot kopyt na kamienistej drodze.

Traciłem ich, traciłem na zawsze, dwie osoby, bez których Życie wydawało się nie do zniesienia. Bo czymże będzie moje Życie bez nich? Bez tych dwojga, w których zamykało się dla mnie całe piękno, sens i cel egzystencji?

Nie wyobrażałem sobie bez nich przyszłości. Nie czułem nawet łez, które zalewały mi oczy i mąciły wzrok. Karetka ledwie już była widoczna na wijącej się wzdłuż Aveyronu drodze.

- Odjechali - krzyknąłem nie panując nad rozpaczą. - I ona, i on, i nigdy ich nie zobaczę! Nigdy! Jestem sam, sam!

Ciepła rączka wsunęła się w moją dłoń.

Spojrzałem w dół na wzniesione ku mnie smutne oczy pełne teraz niedziecinnej powagi.

- Karolu! - szepnąłem wzruszony.

- Ludwiku - poprawił. - Nie chcę być więcej Karolem, to moje drugie imię, na pierwsze mam Ludwik.

- Ludwik - powtórzyłem nie rozumiejąc jeszcze.

- I nie będziesz nigdy sam, słyszysz? Nigdy. Będiesz zawsze ze swoim królem.

- Z królem? - spytałem, a potem nagle wszystko stało się jasne.

- Z twoim królem - powtórzył dobitnie. - Tylko z twoim.

Stał prosto z opuszczonymi rękami, z podniesioną głową, a słońce wydobywało z jego jasnych włosów blask prawdziwie królewskiej korony. Nie mogłem oderwać od niego oczu.

- Nie opuszczę Belcastel - dodał opierając się o blanki. - A ty zostaniesz ze mną. Na zawsze.

- Na zawsze. Z moim królem - powiedziałem głośno.

Wydało mi się, Że czas stanął, Że słońce zatrzymało się w biegu, zastygły ptaki w locie, wiatr

zamarł. Jak gdyby w oczekiwaniu.

Wówczas zgiąłem przed nim kolano i dotknąłem ustami cienkiej rączki.

Był w nim majestat. Majestat Francji.

Historia pełna jest nierozwiązanych zagadek, które może do końca świata nie zostaną rozwiązane.

Jedną z takich tajemnic, którą historycy na próżno usiłują wyjaśnić, jest los małego króla, nieszczęsnego Ludwika XVII. Jego oficjalną śmierć ogłoszono 8 czerwca 1795 roku. Miał dziesięć lat.

KONIEC

O tym chłopcu napisano tomy, najwięksi francuscy i obcy historycy pochylali się nad dziejami małego męczennika, nad jego "podwójną śmiercią", jak mówiono, wertując kilometry archiwalnych pólek zastawionych dokumentami, gdzie przechowuje się najmniejszy nawet szpargał z czasów Rewolucji. I nic.

Najwięcej kontrowersji budzi ewentualny zgon chłopca w wieży Temple. Powstały różne teorie o śmierci i przeżyciu małego więźnia.

Wszyscy jednak, i ci, którzy uważają, że Ludwik XVII zmarł w więzieniu, i ci, którzy twierdzą, że został uprowadzony i zastąpiony innym dzieckiem, mają zdawałoby się niepodważalne argumenty na poparcie swoich racji.

Ostatnio zgodzili się na jedno:

1. chłopiec, który 8 czerwca 1795 roku zmarł w więzieniu Temple, nie był Ludwikiem XVII. Stwierdzono to po ekshumacji zwłok w dwadzieścia lat po śmierci. Szkielet należał do chłopca dużo starszego niż Ludwik XVII. Nie pochowano go więc, jak zamierzano, w bazylice Saint-Denis, lecz pozostawiono w poprzednim grobie.

2. Ludwik XVII nigdy się nie ujawnił, choć już w czasach Napoleona zaczęli się pojawiać samozwańcy. W sumie było ich ze czterdziestu.

Ponieważ do dziś jest to nie wyjaśniona tajemnica, każdy może pozwolić sobie na własne rozwiązanie zagadki, każdy może poprowadzić małego zbiega drogami własnej wyobraźni, szczególnie jeśli są w niej elementy prawdopodobieństwa.

W dawnej prowincji Rouergue, dziś jednym z departamentów współczesnej Francji, od tysiąca lat wystrzela w niebo ze skalnego podnóża zamek Belcastel.

Od pięciuset lat arkady pięknego mostu odbijają się w wodach Aveyronu, gdyż od tej właśnie rzeki wziął nazwę cały departament.

Departament więc Aveyron leży na górzystym południowym obrzeżu Masywu Centralnego, który zachował jeszcze czyste powietrze, zdrową wodę i względnie odludne miejsca, gdzie dzika przyroda pozwala ujrzeć świat takim, jakim był niegdyś.

Belcastel, po wygaśnięciu rodu, który mu dał miano, przeszedł na własność rodziny de Saunhac, od XVIII jednak wieku stał opuszczony i bezpański. Dopiero w naszych czasach zabezpieczono cenną ruinę i prastare, lecz mocne mury poddano konserwacji.

Zamek wygląda imponująco i cieszy oko turysty, który nie pożałuje fatygi i zapięści się w te odległe strony. Belcastel jest tego wart. Do stóp zamkowej skały tuli się osada Belcastel licząca dziś już tylko pięćdziesięciu mieszkańców - przed Rewolucją było ich czterystu - są tam jednak aż dwie restauracje, słynące z dobrej kuchni.

Administracyjnie Belcastel należy do Rignac, głównego miasta Kantonu, odległego o pięć kilometrów od zamku.

Francuskie archiwa okaleczone i przetrzebione w czasach Rewolucji, przechowały pieczołowicie każdy, najmniej zdawałoby się znaczący papier o wadze dokumentu z tej wielkiej epoki.

Szczególnie cenne są wszelkie pisma dotyczące więzienia Temple i tych kilku lat przebywania rodziny królewskiej w osławionej wieży.

Są tu rachunki wystawiane przez dostawców i rzemieślników, lekarzy i ową skromną praczkę, wdowę Clouet, której Konwent zlecił opieranie więźniów. W ciągu kilku lat nazbierało się sporo

owych kartek ze spisem bielizny, które niezbyt wprawna w pisaniu praczka sporządzała trzy razy w miesiącu stosując dość fantazyjną ortografię.

Wieża, jak i cały "kompleks" Temple, dziś nie istnieją. Wieżę kazał znieść Napoleon, obawiając się, by ludzie przywiązani do starej dynastii, nie odbywali pielgrzymek do miejsca o tak ponurej sławie, które jeszcze przez parę lat, za Konsulatu, służyło jako więzienie stanu.

Na szczęście zachowały się szczegółowe plany architektoniczne wszystkich pięt wieży wraz z zaznaczeniem przeróbek, jakie tam poczyniono na przyjęcie więźniów.

Dziś część tego terenu zajmuje plac Republiki, od którego odchodzą bulwar Temple i ulica Temple. Jest tam też skwer tego imienia i hala targowa, gdzie kwitnie handel starzyzną. Do dziś istnieją ulice Powroźników, która obrzeżała mur więzienia, i Charlot.

Tak tu, jak i na placu Zgody - w owe lata stała tam gilotyna, a plac nazywał się placem Rewolucji - tętni teraz nowe Życie nowego Paryża.

Składam gorące podziękowanie pani Magdalenie Rozwadowskiej i pani Danucie Raymon z Le Liandis w Aveyronie za materiały historyczne, które pozwoliły mi na - w miarę wierną - ewokację owej epoki sprzed dwustu lat oraz na ukazanie wielkich wydarzeń Historii.